

CLIVE CUSSLER

A black and white illustration of a submarine or ship moving through turbulent, dark water. The ship is viewed from a low angle, showing its conning tower and hull. In the foreground, a large swastika is visible on the water's surface, suggesting a Nazi vessel. The overall atmosphere is dark and dramatic.

**ATLANTYDA
ODNALEZIONA**

Clive Cussler
ATLANTYDA
ODNALEZIONA
Przekład PAWEŁ WIECZOREK

Uderzenie

Rok 7120 p.n.e. Dzisiejsza Zatoka Hudsona

Intruz przybył z daleka. Mgliste ciało niebieskie, stare jak wszechświat, powstało w gigantycznej chmurze lodu, skał, pyłu i gazu, kiedy cztery miliardy sześćset tysięcy lat temu rodziły się zewnętrzne planety Układu Słonecznego. Wkrótce po tym, jak rozproszone cząstki zamarły w zbitą masę o średnicy ponad półtora kilometra, obiekt zaczął bezgłośnie zakreślać orbitę w próżni kosmosu. Okręzał odległe Słońce i zawracał w pół drogi do najbliższych gwiazd. Podróż trwała tysiące lat.

Jądro komety było mieszaniną zamrożonej wody, tlenu węgla, metanu i poszarpanych bloków skał metalicznych. Brudna kula śniegowa, rzucona ręką Boga. Kiedy wirując, minęła Słońce i przekroczyła apogeum orbity, zawracając w kierunku Ziemi, emitowane przez Słońce promieniowanie spowodowało metamorfozę jądra. Brzydkie kaczątko zmieniło się w piękność.

Po wchłonięciu ciepła i promieni ultrafioletowych, wysyłanych przez Słońce, zaczęła się tworzyć długa wstęga, która powoli przekształciła się w olbrzymi, świecący, błękitny ogon, ciągnący się za jądrem na przestrzeni ponad stu czterdziestu milionów kilometrów. Powstał także krótszy - szeroki na mniej więcej półtora miliona kilometrów - biały ogon pyłowy, który wił się wzdłuż boku komety, tworząc coś, co przypominało rybnie płetwy.

Za każdym razem, kiedy kometa mijała Słońce, traciła kolejną porcję lodu i jądro się zmniejszało. Po dwustu milionach lat kometa straciłaby cały lód i rozpadła się, tworząc liczne meteory i chmurę pyłu - tej nie było jednak pisane kolejne wyjście poza Układ Słoneczny ani okrążenie Słońca. Nie była jej dana powolna, zimna śmierć w czarnych głębinach kosmosu. Życie tej komety miało dobiec końca w ciągu kilku minut. Przy ostatnim pokonywaniu orbity, mijając w odległości miliona czterystu pięćdziesięciu kilometrów Jowisza, została pchnięta w bok jego wielką siłą grawitacyjną i skierowana na kurs kolizyjny z trzecią planetą od Słońca, zwaną obecnie przez jej mieszkańców Ziemią.

Wpadła w atmosferę ziemską pod kątem czterdziestu pięciu stopni, z prędkością dwustu dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę, a ziemska grawitacja jeszcze ją przyspieszała. Kiedy szeroka na piętnaście kilometrów, ważąca cztery miliardy ton kula zaczęła rozpadać się pod wpływem tarcia, powstała przed nią jaskrawo świecąca fala uderzeniowa. Siedem sekund później zniekształcone ciało niebieskie, zmienione w oślepiającą kulę ognia, uderzyło w powierzchnię Ziemi. Skutki były straszliwe. Bezpośrednim efektem wyzwolenia ogromnej ilości energii kinetycznej przy uderzeniu było wydrążenie zagłębienia dwa razy większego od Hawajów, skąd zderzenie wybiło ziemię, a woda wyparowała.

Glob zadrżał od wstrząsu tektonicznego o sile dwunastu stopni w skali Richtera. Wyrzucone w górę miliony ton wody oraz osadu z dna morskiego pomknęły przez dziurę nad miejscem uderzenia komety do stratosfery - wraz z gigantyczną chmurą fragmentów rozpalonych do czerwoności skał,

wystrzelonych na trajektorie suborbitalne, skąd spadały z powrotem jako płonące meteoryty. Burze ognia zniszczyły wiele puszczy na całym świecie. Wulkany uśpione przez tysiące lat zaczęły nagle wybuchać i wyrzucać oceany lawy, która rozlewała się na przestrzeniach obejmujących miliony kilometrów kwadratowych i pokrywała teren skorupą o grubości trzystu metrów, a często nawet większej. Do atmosfery wyrzucone zostało tyle dymu i pyłu, które potem porywiste wichry rozwiały po całym globie, że światło słoneczne niemal przez rok nie mogło przebić się do powierzchni Ziemi. Planetę spowił całun ciemności, a temperatura spadła poniżej punktu zamarzania wody. Zmiany klimatyczne nastąpiły w każdym zakątku kuli ziemskiej, i to w niezwykle gwałtowny sposób. Temperatura na wielkich polach lodowych i lodowcach północy wzrosła do ponad trzydziestu, nawet prawie czterdziestu stopni Celsjusza. Lód roztopił się błyskawicznie. Zwierzęta strefy tropikalnej i umiarkowanej wyginęły w ciągu jednego dnia. Wiele - takich jak mamuty - zamarzło tam, gdzie stało, pasąc się na letniej łące, z jeszcze niestrawionymi trawami i kwiatami w żołądkach. Drzewa zostały zamrożone - z liśćmi i owocami - w sposób niewiele odbiegający od tego, w jaki dziś przygotowuje się mrożonki. Przez wiele dni siły wyzwolone uderzeniem kosmicznego obiektu wyrzucały z głębin wodnych ryby.

O brzegi kontynentów uderzyły fale o wysokości od ośmiu do ponad piętnastu kilometrów i wdarły się na lądy. Woda zalała przymorskie niziny na kilkaset kilometrów w głąb, niszcząc wszystko i zaścieniając ziemię niewyobrażalną masą osadu z dna oceanów. Dopiero, kiedy potężny przypływ uderzył w podnóża gór, jego czoło podwinęło się pod masę wody i zaczęło zawracać. Nic już nie było takie jak przedtem - zmienione zostały biegi rzek, w zagłębieniach terenu powstały nowe jeziora, a dotychczasowe przeistoczyły się w pustynie.

Wydawało się, że reakcja łańcuchowa nigdy się nie skończy.

W dół górskich zboczy - początkowo z cichym dudnieniem, które wkrótce zamieniło się w nieustający ryk grzmotu - zaczęły schodzić lawiny. Wielkie góry kołysały się jak trącane lekką bryzą palmy. Kiedy sztorm zawył ponownie i kolejny raz uderzył w kontynenty, pustynie i szerokie trawiaste sawanny zostały pofalowane. Uderzenie komety spowodowało nagłe i potężne przesunięcia w cienkiej skorupie ziemskiej. Trzydziestokilometrowa powłoka zaczęła wraz z płaszczem Ziemi, okrywającym jądro z płynnego metalu, wypiętrzać się i skręcać. Przesuwała się tak, jakby oddzielono skórkę od grejpfruta bez jej rozcinania. Wewnętrzna kula mogła rotować wewnątrz zewnętrznej.

Kontynenty uległy przemieszczeniu. Wzgórza wypiętrzyły się, tworząc łańcuchy górskie. Liczne wyspy na Pacyfiku zniknęły, w innych miejscach pojawiły się nowe. Antarktyda, leżąca na zachód od dzisiejszego Chile, przesunęła się ponad trzy tysiące kilometrów na południe, gdzie szybko pokryła ją warstwa coraz grubszego lodu. Olbrzymia płaszczyna lodowa, pływająca na Atlantyku na zachód od Australii, trafiła do strefy umiarkowanej i zaczęła gwałtownie topnieć. To samo stało się z lodem, który pokrywał biegun północny - teraz rozproszył się na północy dzisiejszej Kanady. Wkrótce powstał nowy biegun i zaczął tworzyć grubą warstwę lodu w miejscu, gdzie niedawno był ocean.

Zniszczenia postępowały bezlitośnie. Wstrząsy i zagłada trwały, jakby nigdy nie miały się skończyć. Ruch cienkiej skorupy Ziemi powodował kataklizm po kataklizmie. Nagłe topnienie pływających po oceanach pól lodowych oraz przesunięcie lodowców, pokrywających spore części kontynentów, w pobliże stref tropikalnych spowodowały podniesienie się poziomu wód o sto kilkadziesiąt metrów i zalanie lądów dopiero co zniszczonych przez wyzwolone uderzeniem komety fale. W ciągu jednego dnia połączona z kontynentem Brytania stała się wyspą, a pustynię w miejscu znanym dziś jako Zatoka Perska zalała woda. Nil, wpływający do wielkiej, żyznej doliny i

skręcający do wielkiego oceanu na zachodzie, teraz kończył się w miejscu, w którym niespodziewanie powstało Morze Śródziemne.

Z perspektywy geologii ostatnia wielka epoka lodowcowa zakończyła się w mgnieniu oka.

Dramatyczne zmiany granic oceanów oraz ich prądów spowodowały także przesunięcia biegunów, co drastycznie zakłóciło równowagę rotacyjną planety. Kiedy bieguny przesuwały się na nowe miejsca, oś obrotu Ziemi została chwilowo wychylona o dwa stopnie, co zmieniło panującą na powierzchni siłę odśrodkową. Morza i oceany dostosowały się do zmiany, zanim Ziemia zdążyła wykonać trzy obroty, jednak lądy ze względu na swą konsystencję nie mogły zareagować tak szybko. Miesiącami trwały trzęsienia ziemi.

Wokół planety gnały wściekłe burze niesione gwałtownymi wichrami, przez kolejne osiemnaście lat rwące na strzępy i rozbijające wszystko, co stało im na drodze. Uspokoily się dopiero, gdy bieguny planety przestały się przesuwać i zatrzymały, tworząc nową oś obrotu Ziemi. Przez ten czas morza i oceany ustabilizowały się, pozwalając na powstanie nowych linii brzegowych w panujących przedziwnych warunkach klimatycznych. Zmiany trwały nieprzerwanie. Wraz ze zmniejszeniem się o połowę liczby dni w roku zmienił się podział doby na dzień i noc. Magnetyczny biegun Ziemi przesunął się na północny wschód o kilkaset kilometrów.

Bardzo szybko wyginęły setki, może nawet tysiące gatunków zwierząt. Z obu Ameryk zniknęły: wielbłąd jednogarbny, mamut, koń lodowcowy oraz leniwiec olbrzymi. Przestały także istnieć tygrys szabłozębny, gigantyczne ptaki ze skrzydłami o rozpiętości ponad ośmiu metrów i wiele innych zwierząt o wadze powyżej pięćdziesięciu kilogramów - ginęły, dusząc się w powietrzu wypełnionym dymem oraz gazami wulkanicznymi.

Apokalipsa zniszczyła także florę. Rośliny, których nie spaliły na popiół pożary, ginęły z braku światła słonecznego. Ten los podzieliły algi morskie. Z powodu powodzi, ognia, burzy, lawin i unoszących się w powietrzu trujących oparów zginęło ponad osiemdziesiąt pięć procent żywych organizmów na Ziemi.

W ciągu jednej przerażającej doby zniknęły liczne społeczności ludzkie - zarówno wysoko rozwinięte, jak i te dopiero rozkwitające, stojące u progu złotej ery. W okrutny sposób zginęły miliony mężczyzn, kobiet i dzieci. Zniszczone zostały wszelkie ślady tworzących się cywilizacji, a nieliczni szczęśliwcy, którzy przeżyli, zachowali jedynie mgliste wspomnienia przeszłości. Bezpowrotnie zamknięty został do tej pory najdłuższy, nieprzerwany rozdział historii ludzkości - trwająca dziesięć tysięcy lat podróż od prostego Człowieka z Cro-Magnon do pokolenia królów, architektów, rzeźbiarzy, malarzy i wojowników. Wytwory ich talentu oraz ich ziemskie resztki legły głęboko pod dnem nowych mórz. Pozostały nieliczne obiekty - a raczej ich fragmenty - świadczące o istnieniu rozwiniętych kultur. Można by wręcz twierdzić, że wiele narodów i miast istniało jedynie chwilę, po czym uległo kompletnemu zniszczeniu. Zagięły prawie wszystkie ślady jakichkolwiek cywilizacji.

Z zaskakująco niewielkiej liczby ludzi, którzy przeżyli, większość zamieszkiwała wyższe regiony górskie, mogła więc znaleźć w jaskiniach schronienie przed furją żywiołów. W odróżnieniu od bardziej cywilizowanych ludzi epoki brązu, którzy budowali osiedla na nizinach, w pobliżu rzek i mórz, mieszkańcami gór byli nomadowie reprezentujący kulturę epoki kamiennej. Zagłada dotknęła więc samą śmietankę ludzkości - Leonardów da Vinci, Picassów i Einsteinów - a dominację nad światem przejęli prymitywni wędrujący myśliwi. Okres ten można porównać do momentu, w którym odrzucono wspaniałe osiągnięcia starożytnego Rzymu i Grecji, a świat na wieki popadł w ignorancję

i kulturową stagnację. Epoka neolitycznej ciemnoty przykryła całunem grób wysoko rozwiniętych cywilizacji, a mrok miał trwać prawie dwa tysiące lat. Po tym czasie ludzkość zaczęła powoli, bardzo powoli, wychodzić z ciemności i znów tworzyć oraz budować miasta i cywilizacje - w Mezopotamii i Egipcie.

Tylko niewielka liczba utalentowanych budowniczych i twórczych myślicieli pochodzących ze zniszczonych kultur przeżyła, docierając do wyżej położonych obszarów Ziemi. Kiedy spostrzegli, że ich cywilizacji nie nigdy nie odtworzy, zaczęli trwające wieki działania, które polegały na ustawianiu wielkich, wbitych pionowo w ziemię tajemniczych megalitów i dolmenów, znajdujących w Europie, Azji, na wyspach Pacyfiku oraz w obu Amerykach. Jeszcze długo po tym, jak pamięć wspaniałego dziedzictwa przygasła i stała się wyłącznie mitem, monumenty straszliwego zniszczenia oraz zagłady niezliczonych rzesz ludzkich w dalszym ciągu ostrzegały przyszłe pokolenia przed następnym kataklizmem. W ciągu tysiąclecia potomkowie mędrców powoli tracili dawną wiedzę i wtapiali się w plemiona nomadów, aż w końcu przestali reprezentować rasę wysoko rozwiniętą.

Przez setki lat po katastrofie ludzie obawiali się zejść z gór, by ponownie zamieszkać na nizinach i wybrzeżach. Potomkowie narodów, które odbywały podróże morskie i miały kiedyś techniczną przewagę nad innymi, zachowali jedynie mgliste wspomnienia przeszłości. Zapomniano o metodach konstruowania statków oraz technikach żeglarskich i wszystko musiało zostać wynalezione na nowo. Pokolenia, które tego dokonały, czcili swych znakomitych przodków, uważając ich za bogów.

Lawinę śmierci i zniszczenia wywołała gruda brudnego lodu nie większa niż dzisiejsze farmerskie miasteczko w stanie Iowa. Kometa spowodowała tragiczne zniszczenia bezlitośnie i gwałtownie. Ziemia nie była atakowana z taką gwałtownością od czasu, kiedy sześćdziesiąt pięć milionów lat temu trafił w nią meteoryt, który przyniósł zagładę dinozaurom.

Tysiące lat po katastrofie komety uważano wciąż za zwiastuny wielkich nieszczęść i zbliżających się tragedii. Przypisywano im wszelkie zło - od wojen przez zarazy po katastrofy naturalne i zwykłą śmierć. Jeszcze do niedawna uważano je za cuda natury, jak tęcza czy zabarwione złotym światłem zachodzącego słońca chmury.

Opowieść o biblijnym potopie i legendy o innych katastrofach wynikają z pamięci tej właśnie tragedii. Starożytne cywilizacje Olmeków, Majów i Azteków miały wiele tradycji związanych z prastarą zagładą. Indiańskie plemiona w całych Stanach Zjednoczonych przekazują sobie opowieści o zalewających ich kraj wodach. Chińczycy, Polinezyjczycy i mieszkańcy Afryki opowiadają sobie legendy o kataklizmie, który zdziesiątkował ich przodków.

Najbardziej tajemniczą i intrygującą z powstałych przed wiekami i kwitnących przez stulecia opowieści jest legenda o zaginionym kontynencie i cywilizacji Atlantydy.

Statek widmo

30 września 1858, Zatoka Stefanssona, Antarktyda

Roxanna Mender wiedziała, że jeśli się zatrzyma, umrze. Była wyczerpana i poruszała się tylko dzięki sile woli. Temperatura spadła grubo poniżej zera, ale prawdziwy problem polegał na czym innym - w ciało wbijały się, niczym zęby, lodowate szpile gnanego wichrem powietrza. Ogarniająca ją łagodnie śmiertelna senność powoli zwyciężała wolę życia. Roxanna posuwała się do przodu, stawiała nogę za nogą, raz za razem potykała się o wyłomy w lodowej płaszczyźnie. Oddychała szybko, chrapliwie, jak wspinacz pnący się na himalajski szczyt bez butli z tlenem.

Przed oczami nieustannie wirowały rzucane wiatrem cząsteczki lodu. Prawie nic nie widziała. Twarz chronił gruby wełniany szal, którego końce schowała w obszytej futrem kurtce i choć zaledwie raz na minutę patrzyła przez wąską szparę zmrużonych powiek, jej oczy były zaczerwienione i piekły od uderzeń maleńkich grudek lodu. Podniosła głowę i zobaczyła nad miotanym śniegiem oślepiające błękitem niebo i jaskrawe słońce. Jej serce ścisnęła rozpacz. Gęste zamiecie, a nad nimi czyste niebo, nie są na Antarktydzie zjawiskiem niezwykłym.

W okolicy bieguna południowego zaskakująco rzadko pada śnieg. Jest tak zimno, że w powietrzu nie utrzymuje się wilgoć - więc śnieg nie tworzy się. W ciągu roku na kontynent spada go może dwanaście centymetrów, a spora część leżących wokół zasp ma kilka tysięcy lat. Ostre promienie słońca odbijają się od lodu, a ciepło dostaje się do atmosfery. Ma to też wpływ na utrzymywanie się krańcowo niskich temperatur.

Roxanna miała szczęście. Ubranie chroniło ją przed zimnem. Zamiast europejskiego stroju założyła na siebie to, co mąż kupił od Eskimosów podczas poprzednich ekspedycji wielorybnych w rejonie arktycznym. Wewnętrzna warstwa składała się z tuniki, spodni do kolan i przypominających grube skarpety butów z miękkiego futra, ułożonego włosiem do środka.

Oddzielna warstwa zewnętrzna chroniła przed bardzo niskimi temperaturami. Długa kurtka z kapturem została luźno skrojona, by umożliwić cyrkulację powietrza i odprowadzanie ciepła ciała bez pocenia się. Zrobiono ją z futra wilka, spodnie - z karibu. Wysokie buty zakładało się na skarpety.

Najbardziej niebezpieczne było złamanie nogi albo skręcenie kostki na nierównej powierzchni - no i oczywiście odmrożenia. Ciało miała okryte, ale martwiła się o twarz. Przy najmniejszym swędzeniu nosa albo policzka tarła energicznie skórę, by pobudzić krążenie. Widziała już odmrożenia u sześciu marynarzy męża - dwóch z nich straciło palce nóg, a jeden uszy.

Na szczęście wicher zaczął słabnąć i tracić złośliwą energię. Teraz szło się łatwiej niż przez poprzednią godzinę błędzenia. Wyjący wiatr przestał zagłuszać dźwięki - znów słyszała chrzęst kryształków lodu pod stopami.

Dotarła do pagórka, wystającego jakieś pięć metrów nad resztę terenu. Morze bez ustanku kruszy

i wypiętrza krę, tworząc garby. Większość z nich ma nierówne zbocza, ten jednak był na tyle długo poddawany działaniu wiatru, że się wygładził. Roxanna padła na czworaka i zaczęła się wspinać, co chwila się zsuwając.

Wysiłek odebrał jej resztę sił. Wspięła się w końcu, ale nie pamiętała nawet, jak to zrobiła. Kiedy znalazła się na szczycie pagórka, ledwie żyła - serce waliło, z trudem chwytała oddech. Nie wiedziała, jak długo leżała na szczycie, była jednak wdzięczna, że oczy mogą odpocząć od smagnięć wichru. Kiedy serce przestało szaleć, a oddech stał się równiejszy, Roxanna uświadomiła sobie ze złością, że sama wpakowała się w tak kłopotliwe położenie. Czas przestał się liczyć. Bez zegarka nie miała pojęcia, ile godzin minęło, odkąd zeszła na lód z wielorybniczego statku męża - „Paloverde”.

Niemal pół roku temu statek utknął w lodzie i Roxanna z nudów zaczęła odbywać codzienne wędrówki. Zawsze starała się go widzieć i pozostawać w zasięgu wzroku załogi, która uważnie ją obserwowała. Tego ranka, kiedy schodziła na lód, niebo było kryształowo czyste, szybko jednak zniknęło, zakryte przez lodową burzę. W ciągu kilku minut statek przestał być widoczny i Roxanna zgubiła się na bezgranicznej lodowej przestrzeni.

Zgodnie z tradycją większość wielorybników nie zabierała ze sobą żon, ale wiele kobiet nie miało ochoty siedzieć w domu przez trzy lub cztery lata wyprawy męża. Roxanna Mender także nie zamierzała spędzić samotnie tysięcy godzin. Mimo drobnej budowy - miała niewiele powyżej półtora metra wzrostu i ważyła najwyżej czterdzieści pięć kilo - była wytrzymała. Jasno-brązowe oczy chętnie się śmiały. Ta ładna kobieta na dodatek rzadko narzekała na trudy i nudę. Nie wiedziała, co to choroba morska. Raz już urodziła syna w ciasnej kabinie statku - otrzymał imię Samuel - i choć mąż jeszcze o tym nie wiedział, była teraz w drugim miesiącu ciąży. Załoga ją akceptowała, kilku marynarzy nauczyła czytać, pisała im listy do żon i była znakomitą pielęgniarką.

„Paloverde” był jednym z wielu statków wielorybnych wypływających z San Francisco. Zbudowano go solidnie - specjalnie do łowienia wielorybów w kręgu podbiegunowym. Miał czterdzieści metrów długości, nieco ponad dziewięć metrów szerokości, pięć metrów zanurzenia i prawie trzysta trzydzieści ton wyporności. Jego rozmiary pozwalały na załadowanie dużej ilości oleju oraz zapasów dla sporej załogi na trzyletni rejs. Sosnowa stępka, wręgi i pokładniki zrobiono z drewna z gór Sierra Nevada. Po ich ułożeniu pokład pokryto ośmiocentymetrowymi deskami i przybito je drewnianymi ćwiekami, zazwyczaj wycinanymi z dębu.

Statek był trzymasztowym barkiem o klarownych, śmiałych i zgrabnych liniach. Kabiny wyposażono elegancko i wyłożono boazerią z daglezji. Ze szczególną troską urządzono kabinę kapitańską, co wynikało z uporu Roxanny Mender, by towarzyszyć mężowi w podróży. Galion, czyli figura dziobowa, w mistrzowski sposób przedstawiała drzewo paloverde, którego ojczyzną jest południowy zachód. Na rufie pyszniła się wykonana z rzeźbionych, połączonych liter nazwa statku. Dodatkowo zdobił ją rzeźbiony, rozpościerający skrzydła kalifornijski kondor.

Zamiast popłynąć przez Morze Beringa na północ w kierunku Arktyki i wód lepiej znanych wielorybnikom, mąż Roxanny, kapitan Bradford Mender, skierował „Paloverde” na południe, w rejon antarktyczny. Ponieważ doświadczeni wielorybnicy z Nowej Anglii rzadko go odwiedzali, uważał, że właśnie tam może istnieć niepowtarzalna okazja odkrycia dziewiczych miejsc połowu wielorybów.

Wkrótce po dotarciu w pobliże koła podbiegunowego, na wodach między złodowaczeniami a brzegiem, manewrując wśród gór lodowych, załoga złowiła sześć wielorybów. W ostatnim tygodniu marca, czyli pod koniec antarktycznej jesieni, w miejscach, gdzie początkowo była tylko cienka

warstwa, lód zaczął z niezwykłą prędkością narastać, osiągając grubość prawie półtora metra. „Paloverde” mimo to mógłby jeszcze uciec na otwarte wody, niestety wiatr, który błyskawicznie zmienił się w wyjący wichur, zniósł statek z powrotem ku brzegowi. Sunące kry o wielkości przekraczającej rozmiary statku zamknęły drogę ucieczki i załoga mogła jedynie bezradnie patrzeć, jak zatraskuje się lodowa pułapka.

Lód szybko otoczył statek i zaczął pchać go w kierunku brzegu z taką łatwością, jak wielka pięść przenosi łupinę orzecha. Niezamrożnięta woda tuż przy brzegu natychmiast pokryła się warstwą lodu. Menderowi i jego ludziom, pracującym z rozpaczliwą determinacją, udało się rzucić kotwicę i unieruchomić statek niecałe dwie mile od brzegu. W ciągu kilku godzin lód stawał się coraz grubszy. Niedługo nie było widać ani skrawka wody - zastąpił ją biały całun. Utknęli w środku antarktycznej zimy. Dni stawały się coraz krótsze. Uwolnienia można było spodziewać się dopiero za siedem miesięcy.

Wysuszono żagle, zwinięto je i zasztauowano, by nie mieć problemów z podniesieniem ich na wiosnę, kiedy dzięki bożej opatrności ociepli się i statek będzie mógł odpłynąć. Ponieważ należało się liczyć z długim uwięzieniem, starannie zinwentaryzowano artykuły spożywcze i podzielono je na racje. Wszyscy zastanawiali się, czy prowiantu wystarczy do wiosennych roztopów, na szczęście łowienie w przeręblach na linki z haczykami przyniosło nadspodziewanie dobre rezultaty i wkrótce w okrętowej spiżarni znajdował się bogaty asortyment antarktycznych ryb. Na dodatek brzegi zapełniały komiczne pingwiny - były ich chyba miliony. Jedyne problemy polegały na tym, że bez względu na to, w jaki sposób przyrządzał je kuk, zawsze były niesmaczne.

Głównymi niebezpieczeństwami dla załogi były straszliwe zimno i nagłe przesunięcia mas lodu. Ryzyko zamarznięcia zmniejszono, paląc olej, który uzyskano ze złowionych przed utknięciem w lodzie wielorybów. W ładowni było jeszcze grubo ponad sto beczek - wystarczająco dużo, by utrzymać ogień w piecach do końca najgorszego okresu antarktycznej zimy.

Na razie lód zachowywał się spokojnie, Mender wiedział jednak, że niedługo zacznie się przesuwać i wypiętrzać. Wtedy pierwsza przemieszczająca się góra lodowa będzie mogła połamać kadłub „Paloverde” i zgnieść grube wręgi, jakby były z papieru. Nie zachwycała go myśl o żonie i dziecku próbujących przeżyć na lądzie do chwili pojawienia się w lecie jakiegoś statku. Szansa na to była - w najlepszym przypadku - jak jeden do tysiąca.

Istniało także zagrożenie chorobami. Siedmiu ludzi miało już objawy skorbutu. Na szczęście zimno powybijało robactwo i szczury. Długie antarktyczne noce, izolacja i lodowaty wiatr nasilały apatię. Mender walczył z nudą beczynności, zlecając załodze nie kończące się prace na pokładzie. Miały utrzymać ich ciała i umysły w stanie aktywności.

Siedział w swej kabinie i po raz setny obliczał szansę na przeżycie. Bez względu na to, jak manipulował wariantami możliwego ratunku, wynik zawsze pozostawał ten sam - prawdopodobieństwo, by na wiosnę odpłynęli cali i zdrowi, było naprawdę niewielkie.

Lodowaty wichur skończył się tak nagle, jak zaczął, i znów pojawiło się słońce. Patrząc przez zmrużone powieki na oślepiająco jaskrawy lód, Roxanna widziała swój cień. Cóż za radość - mimo nieskończonej pustki wokół. Kiedy rozejrzała się po horyzoncie, dostrzegła „Paloverde” w odległości mniej więcej dwóch kilometrów. Serce skoczyło jej z radości. Ciemny kadłub niemal całkowicie krył się za lodem, wyraźnie jednak widać było łopoczącą na cichnącym wietrze wielką amerykańską flagę. Z pewnością zmartwiony mąż specjalnie dla niej wciągnął ją wysoko na

grotmaszt. Nie mogła uwierzyć, że odeszła aż tak daleko. Była przekonana, że robi kręgi i wciąż pozostaje blisko statku.

Zobaczyła poruszające się po lodzie czarne punkty. Po chwili dotarło do niej, że to jej mąż i marynarze wyszli na poszukiwanie. Właśnie zamierzała wstać, żeby do nich pomachać, kiedy jej wzrok spoczął na czymś całkowicie nieoczekiwanym: między dwoma utworzonymi z kry olbrzymimi pagórkami zamigotały maszty drugiego statku. Dwa lodowe wypiętrzenia zamarzyły wokół kadłuba i utworzyły z nim całość, która utknęła w miejscu, gdzie pod lodem musiał się zaczynać ląd.

Trzy maszty, bukszpryt i olinowanie wyglądały na nieuszkodzone, żagle były zwinięte. Ponieważ wiatr osłabł do lekkiej bryzy, Roxanna odwinęła z oczu szal, by móc się lepiej przyjrzeć. Prawie cały kadłub tajemniczego statku tkwił w lodzie. Ojciec Roxanny był kapitanem żeglugi wielkiej i pływał klipami na linii chińskiej. Jako dziewczyna miała do czynienia z wieloma rodzajami takielunku i żagli, jednak tylko raz widziała statek podobny do tego, który miała przed sobą - na obrazie wiszącym w domu dziadka.

Statek widmo był stary, bardzo stary. Miał wielką, zaokrągloną rufę z oknami, a znajdujące się tu kabiny wystawały nad wodę. Kadłub był długi, wąski i wysoki. Roxanna szacowała go na dobre czterdzieści trzy metry długości i nieco ponad dziesięć metrów szerokości. Wyglądał dokładnie jak statek na obrazie. Musiał to być ośmiusettonowy brytyjski indiaman z końca osiemnastego wieku.

Odwróciła się od statku i zamachała szalem, żeby przyciągnąć uwagę męża i marynarzy. Jeden z nich zauważył kątem oka ruch nad śniegiem. Zaczęli natychmiast biec w jej kierunku po popękanych lodzie - kapitan Mender prowadził. Dwadzieścia minut później załoga „Paloverde” dotarła do Roxanny i rozległy się okrzyki radości.

Zwykle spokojny i małomówny Mender teraz był wylewny i rozemocjonowany. Z zamarznietymi na policzkach łzami wziął żonę w ramiona i długo czule ją całował.

- Boże... - Mruczał. - Już myślałem, że nie żyjesz. To cud, że jesteś cała.

Bradford Mender został oficerem wielorybniczym w wieku dwudziestu ośmiu lat. Teraz miał trzydzieści sześć lat, a obecna wyprawa była jego dziesiątym rejsem. Był twardym, zaradnym dzieckiem Nowej Anglii. Wysoki i mocno zbudowany, z czarnymi włosami i brodą, błękitnymi przenikliwymi oczami, nie był obyty towarzyszko, ale zawsze zachowywał się fair. Każdy problem z oficerami albo członkami załogi umiał efektywnie i uczciwie rozwiązać. Umiał nie tylko polować na wieloryby i żeglować - nieźle szło mu w interesach, dzięki czemu był nie tylko kapitanem, ale także właścicielem „Paloverde”.

- Gdybyś nie nalegał, żebym założyła eskimoskie ubranie, zamarzyłabym już wiele godzin temu.

Puścił ją i odwrócił się do sześciu członków załogi, szczęśliwych, że udało się znaleźć żonę kapitana żywą.

- Zaprowadźmy panią Mender na statek, żeby jak najszybciej dostała gorącej zupy.

- Nie, jeszcze nie - Roxanna złapała męża za rękę i wskazała na swe odkrycie. - Znalazłam statek.

Wszyscy odwrócili się.

- To Anglik. Poznaje linię na podstawie obrazu, który wisiał w domu dziadka w Bostonie.

Wygląda na opuszczony.

Mender wpatrywał się w zjawisko, migoczące pod lodem jak biały duch.

- Chyba masz rację. Wygląda jak stary statek handlowy, mniej więcej z lat siedemdziesiątych osiemnastego wieku.

- Powinniśmy tam wejść, kapitanie - powiedział pierwszy oficer, Nathan Bigelow. - Na

pokładzie mogą być zapasy, które pomogą nam przetrwać do wiosny.

- Miałyby osiemdziesiąt lat - odparł Mender.

- Mróz dobrze je zakonserwował - wtrąciła Roxanna. Popatrzył na nią czule.

- Przeszłaś ciężkie chwile, droga żono. Każę jednemu z ludzi odprowadzić cię na „Paloverde”.

- Nie - odparła rezolutnie Roxanna. Po zmęczeniu nie było już śladu. - Zamierzam sprawdzić, co się tam kryje.

Zanim kapitan zdążył zaprotestować, zeszła z pagórka i ruszyła w kierunku porzuconego statku. Mender popatrzył na swych ludzi i wzruszył ramionami.

- Daleki jestem od spierania się z kobietą zżeraną przez ciekawość.

- Statek widmo... - mruknął Bigelow. - Wielka szkoda, że jest na zawsze zakuty w lodzie.

Moglibyśmy popłynąć nim do domu i wystąpić o znaleźne.

- Jest zbyt stary, by mógł być wiele wart.

- Dlaczego stoicie na zimnie i paplacie jak baby? - spytała Roxanna, chcąc ich nieco popędzić. -

Pospieszmy się, nim przyjdzie kolejna burza.

Poszli, jak najszybciej się dało. Lód nagromadził się przy burtach statku, mogli więc bez większego trudu wejść na nadburcie i przejść przez jego szczyt. Po chwili Roxanna, jej mąż i marynarze stali na tylnym pokładzie, pokrytym cienką warstwą lodu.

Mender rozglądał się po pustym statku i kręcił ze zdziwieniem głową.

- Nie do wiary, że lód nie zgniótł kadłuba.

- Nigdy nie sądziłem, że stanę kiedyś na pokładzie angielskiego indiamana - powiedział cicho jeden z marynarzy, z wyraźną obawą w oczach. - A już na pewno nie takiego, który zbudowano, zanim przyszedł na świat mój dziadek.

- Spory - powiedział powoli Mender. - Moim zdaniem ponad dziewięćset ton. Czterdzieści pięć metrów długości i dwanaście szerokości.

Zbudowany i wyposażony w stoczni nad Tamizą, miejscu, w którym pod koniec osiemnastego wieku pracowicie wyszykowano wiele brytyjskich statków handlowych, indiaman był statkiem mieszańcem. Przeznaczono go głównie do przewozu towarów, ale ponieważ w owych czasach po morzach kręciło się sporo piratów oraz okrętów z krajów wrogich Anglii, uzbrojono go w dwadzieścia osiem dział. Poza ładowniami na statku znajdowały się także kabiny pasażerskie. Kiedy weszli na pokład, wszystko tkwiło zastygnięte w lodzie - jakby czekając na złożoną z duchów załogę. Działa stały milcząco w gniazdach, szalupy ratunkowe wisiały na mocowaniach, wszystkie włazy były starannie zamknięte.

Na statku panował upiorny i przerażający nastrój. Zdawało się go przenikać coś ponurego - jakby pochodzącego z innej planety. Stojących na pokładzie marynarzy opanował irracjonalny lęk, że w głębi statku czeka na nich stary, okrutny stwór. Marynarze są zabobonni i poza Roxanną, rozpaloną niemal dziewczęcym entuzjazmem, wszyscy czuli niepokój.

- Dziwne - powiedział Bigelow. - Jakby załoga porzuciła statek, nim utknął w lodzie.

- Wątpię - ponuro odparł Mender. - Szalupy wiszą.

- Bóg jeden wie, co znajdziemy pod pokładem.

- To chodźmy sprawdzić! - rzuciła podniecona Roxanna.

- Ty nie, moja droga. Moim zdaniem powinnaś zostać tutaj.

Obrzuciła męża dumnym spojrzeniem i powoli pokręciła głową.

- Nie będę czekać sama, skoro mogą tu krążyć duchy.

- Jeśli w ogóle były tu jakieś duchy - stwierdził Bigelow - to dawno zamarzły.

Mender wydał rozkazy.

- Dzielimy się na dwie grupy. Panie Bigelow, proszę wziąć trzech ludzi i sprawdzić kabiny załogi oraz ładownie. Reszta pójdzie ze mną na rufę -przejrzymy kabiny pasażerskie i oficerskie.

Bigelow skinął głową.

- Tak jest, panie kapitanie.

Drzwi prowadzące do kabin rufowych były zablokowane przez zamarznęty śnieg. Mender poprowadził więc Roxannę i swych ludzi na wyższy pokład tylnego kasztelu. Tam wspólnym wysiłkiem podnieśli przymarznąłą klapę zejściówki i ostrożnie zeszli w dół. Roxanna szła tuż za mężem, trzymając się paska jego grubego płaszcza. Jej zwykle blade policzki teraz zaróżowiły się w pełnym podniecenia oczekiwaniu.

Nie spodziewała się, że wkroczy w środek koszmaru.

Przy drzwiach kabiny kapitana natknęli się na wielkiego owczarka niemieckiego, zwiniętego na małym dywaniku. Roxannie wydawało się, że pies śpi, ale kiedy Mender trącił go czubkiem buta, cichy, głuchy odgłos świadczył, że zwierzę jest zamarznęte na kość.

- Twardy jak gład - stwierdził Mender.

- Biedactwo - smutno dodała Roxanna.

Mender wskazał głową na znajdujące się w końcu korytarza zamknięte drzwi.

- Kabina kapitana. Aż boję się pomyśleć, co może być w środku.

- Może nic tam nie ma - powiedział nerwowo jeden z marynarzy. Wszyscy prawdopodobnie uciekli ze statku i pomaszerowali wzdłuż brzegu na północ.

Roxanna pokręciła głową.

- Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek mógł skazać na samotną śmierć tak pięknego psa.

Mężczyźni siłą otworzyli drzwi. Ich oczom ukazał się straszny widok. Na krześle siedziała kobieta ubrana w suknię z drugiej połowy osiemnastego wieku. Jej ciemne, otwarte oczy wpatrywały się z wielkim smutkiem w leżące w kołysce dziecko. Najprawdopodobniej zamarzła pogrążona w żalu po śmierci córki. Na kolanach miała Biblię otwartą na Księdze Psalmów.

Tragiczny widok poraził Roxannę i członków załogi „Paloverde”. Jej entuzjastyczna ochota odkrywania tajemnicy nagle przerodziła się w cierpienie. Stała w milczeniu, cichy oddech skraplał się w kabinie-krypcie w chmurkę mgły.

Mender odwrócił się i wszedł do następnej kabiny, gdzie znalazł kapitana - jak przypuszczał - męża kobiety z dzieckiem. Mężczyzna siedział za biurkiem i sprawiał wrażenie zmęczonego. Rude włosy pokrywał lód, twarz była trupio blada. W prawej dłoni ciągle tkwiło gęsie pióro. Na biurku, tuż przed kapitanem, leżała karta papieru. Mender zmiótł dłonią szron i przeczytał tekst.

26 sierpnia 1779

Mija pięć miesięcy, odkąd zostaliśmy uwięzieni w tym przeklętym miejscu. Sztorm zepchnął nas daleko z kursu na południe. Jedzenie się skończyło. Nikt nie jadł od wielu dni. Większość załogi i pasażerów nie żyje. Moja córeczka zmarła wczoraj, moja biedna żona godzinę temu. Ktokolwiek znajdzie nasze ciała, niech zawiadomi o naszym losie dyrekcję Skylar Croft Trading Company z Liverpoolu. Wszystko skończone. Wkrótce powinienem dołączyć do ukochanej żony i córki.

Leigh Hunt

Kapitan „Madrasa”

Oprawiony w skórę dziennik pokładowy „Madrasa” leżał z boku na biurku. Mender ostrożnie oderwał przymarznąłą do blatu tylną okładkę i wsunął księgę za gruby płaszcz. Wyszedł z kabiny i zamknął za sobą drzwi.

- Co znalazłeś? - spytała Roxanna.
- Ciało kapitana.
- To takie straszne.
- Spodziewam się jeszcze gorszych widoków.

Były to prorocze słowa. Podzielili się na mniejsze grupki i zaczęli chodzić od kabiny do kabiny. Najbardziej eleganckie znajdowały się na końcu szerokiej rufy. Duża, obudowana oknami przestrzeń z balkonami została podzielona na różnej wielkości pomieszczenia. Pasażerowie wynajmowali pustą kabinę i musieli ją sami urządzić - zdobyć kanapy, łóżka i krzesła oraz kazać każdy mebel przymocować do podłogi, w czasie podróży należało się bowiem spodziewać ciężkich warunków. Zamożni często sprowadzali osobiste biurka, regały z książkami czy instrumenty muzyczne, czasem nawet pianina albo harfy. W tej części statku znaleziono prawie trzydzieści ciał ludzi, których śmierć dopadła w najróżniejszych pozycjach. Niektórzy umarli, siedząc na krześle, inni leżeli w łóżku, jeszcze inni na podłodze. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby spokojnie zasnęli.

Roxannę najbardziej denerwował widok otwartych oczu. Ponieważ twarze były śnieżnobiałe, barwa tęczy wydała się intensywniejsza. Aż się skuliła, kiedy któryś z marynarzy dotknął włosów jednej z kobiet. Zamarznęte loki wydały dziwny, trzeszczący dźwięk i pozostały w palcach mężczyzny.

Wielka kabina, mieszcząca się na pokładzie pod eleganckim kasztem, wyglądała jak kostnica po przejściu katastrofy. Wypełniona była ogromną liczbą ciał, głównie mężczyzn. Wielu z nich ubranych było w angielskie mundury oficerskie. Bliżej dziobu znajdowało się pomieszczenie najniższej klasy pasażerskiej. Ono także wypełnione było zamarzniętymi zwłokami w hamakach rozwieszonych pomiędzy bagażami i skrzyniami z produktami.

Wszyscy zmarli spokojnie. Nie było najmniejszego śladu chaosu. Rzeczy i sprzęty zostały odpowiednio zasztauowane. Gdyby nie ostatnia wiadomość od kapitana Hunta, można by sądzić, że dla pasażerów indiamana czas nagle się zatrzymał. Umarli tak samo cicho i spokojnie, jak żyli. To, co ukazywało się oczom Roxanny i Mendera, nie było ani groteskowe, ani przerażające - świadczyło jedynie o złym losie. Ludzie na statku nie żyli od siedemdziesięciu dziewięciu lat i świat dawno już o nich zapomniał. Z pewnością odeszli także ci, którzy zastanawiali się, jaki los spotkał ich bliskich, i opłakiwali ich zaginięcie.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała Roxanna. - Jak oni zginęli?
- Ci, którzy nie umarli z głodu, pozamarzali - odpowiedział jej mąż.
- Ale przecież mogli tak jak my łowić pod lodem i zabijać pingwiny, a ogrzewać się, paląc kawałki statku.
- Z ostatnich słów kapitana wynika, że bardzo zniosło ich z kursu. Podejrzewam, że zostali uwięzieni w lodzie znacznie dalej od brzegu niż my i kapitan, ufając, że prędzej czy później odpłyną - zakazał wzniesienia ognia na pokładzie w obawie przed zaproszeniem. Aż było za późno.

- I tak po kolei umarli.
- Kiedy lody stopniały, uwolniony wrak nie został uniesiony przez prądy na południowy Pacyfik, lecz dryfując, dotarł do brzegu i tkwi tu od końca zeszłego wieku.

- Ma pan rację, kapitanie - przytaknął Bigelow, który nadszedł z części dziobowej. - Sądząc po ubraniach, biedacy nie spodziewali się, że tu dotrą. Szykowali się raczej na klimat tropikalny. Musieli płynąć z Indii do Anglii.

- Co za tragedia - westchnęła Roxanna - i nic nie było w stanie ich uratować.

- Tylko Bóg - mruknął Mender. - Tylko Bóg. Jaki ładunek wieźli? - zwrócił się do Bigelowa.

- Nie znalazłem złota ani srebra. Jest za to herbata, chińska porcelana ciasno pakowana w drewnianych skrzyniach, bele jedwabiu, najróżniejsze wyroby z rattanu, przyprawy i kamfora. Aha - tuż pod kabiną kapitana znalazłem niewielki magazynek, zamknięty na grube łańcuchy.

- Przeszukał go pan? Bigelow pokręcił głową.

- Nie, sir. Uznałem za stosowne, by był pan przy tym obecny. Moi ludzie rozrywają łańcuchy.

- Może są tam skarby - zaciekawiała się Roxanna, a jej policzki znów nabrały rumieńców.

- Wkrótce się dowiemy. - Mender skinął na oficera. - Panie Bigelow, mógłby pan poprowadzić?

Ruszyli w dół do głównej ładowni rufowej. Magazynek znajdował się naprzeciw armaty z zamrożonym otworem strzelniczym. Dwóch marynarzy mocowało się z wielką kłódką, która szczepiała wbite w drzwi łańcuchy. Kiedy rozbili ją za pomocą młota i przecinaka, zaczęli dłubać w zamku, aż zasuwa odskoczyła i drzwi można było pchnąć do środka.

Wnętrze małej ładowni słabo oświetlone niewielkim otworem w nadburciu szczelnie wypełniały drewniane skrzynie. Miało się wrażenie, że zostały załadowane w pośpiechu. Mender podszedł do jednej z nich i bez trudu podniósł wieko.

- Nie zostały fachowo zapakowane w porcie - powiedział spokojnie. - Wygląda to raczej na szybką robotę załogi. Załadowali je w czasie rejsu i zostawili pod opieką kapitana.

- Nie stój tak - powiedziała rozgorączkowana Roxanna. Otwórz kilka! Załoga stała przed drzwiami, Mender i Bigelow zaczęli odrywać wieka skrzyń. Opanowani nadzieją na znalezienie skarbu nie zwracali uwagi na przenikliwy chłód. Ale kiedy Mender wyciągnął ze skrzyni pierwszy przedmiot, ich nadzieje zostały rozwiane.

- Miedziana urna - powiedział, podając przedmiot Roxannie, która uniosła go ku światłu. - Pięknie rzeźbiona. Myślę, że grecka albo rzymska.

Bigelow wyjął ze skrzyń i podał dalej kilka kolejnych przedmiotów. Większość była zrobiona z miedzi i przedstawiała dziwne zwierzęta z oczami z opali.

- Jakie piękne - wyszeptała Roxanna, zachwycając się deseniami na glinianych naczyniach. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- Są rzeczywiście niezwykle - przyznał Mender.

- Mają jakąś wartość? - spytał Bigelow.

- Może dla zbieracza antyków albo muzeum - odparł Mender. Wątpię, by ktokolwiek z nas mógł się dzięki nim wzbogacić... - Przerwał i uniósł rzeźbę przedstawiającą naturalnej wielkości czaszkę. Jej czarna powierzchnia połyskiwała w półmroku. - Boże drogi, popatrzcie na to!

- Przerazająca - wymamrotał Bigelow.

- Jakby wyrzeźbił ją sam szatan - dodał z szacunkiem jeden z marynarzy.

Roxanna spokojnie wzięła czaszkę i zajrzała w puste oczodoły.

- Wygląda jak hebanowe szkło. Popatrzcie na wychodzącego spomiędzy zębów smoka!

- Moim zdaniem to raczej obsydian - stwierdził Mender. - Nie mam pojęcia, w jaki sposób to wyrzeźbiono...

Przerwał mu głośny trzask - lód wokół rufy wypiętrzył się. Jeden z marynarzy, którzy zostali na

górnym pokładzie, zbiegł do nich i piskliwym, zachrypniętym ze strachu głosem krzyknął:

- Kapitanie, musimy szybko uciekać! W naszą stronę idzie wielka szczelina. W lodzie tworzą się dziury! Jeśli się nie pospieszymy, będziemy w pułapce!

Mender nie tracił czasu na pytania.

- Wracamy na statek! - Rozkazał. - Szybko!

Roxanna zawinęła czaszkę w szal i wsadziła ją sobie pod pachę.

- Nie czas na pamiątki! - Burknął Mender na żonę. Nie zwróciła na to uwagi. Pchając Roxannę przed sobą, mężczyźni pospieszyli na górę, wybiegli na główny pokład i zaczęli zeskakiwać na lód. Z przerażeniem stwierdzili, że to, co jeszcze niedawno było nieprzerwaną solidną płaszczyzną, teraz ruszało się i rwało, tworząc wodne oczka. Morska woda, przenikając na powierzchnię, zamieniała pęknięcia w kręte strumyki i rzeczki. Nikt nie miał pojęcia, że kra może tak szybko topnieć.

Omijając piętnastometrowe lodowe szpice i przeskakując wąskie jeszcze szczeliny, biegli, jakby ścigani przez samego diabła. Przerażał ich makabryczny chrzest ocierających się o siebie lodowych płyt. Ucieczka była bardzo wyczerpująca. Z każdym krokiem stopy zapadały się na piętnaście centymetrów w nagromadzony mokry śnieg.

Wiatr znów zaczął się nasilać i - co dziwniejsze - wydawał się ciepły. Tak ciepłego powietrza nie było od dnia, w którym ich statek został zatrzaśnięty w lodowej pułapce. Po dwóch kilometrach biegu wszyscy byli na granicy wyczerpania. Ponaglające okrzyki pozostałych na „Paloverde” marynarzy zmusiły ich do ostatniego wysiłku. Nagle stanęła przed nimi przeszkoda niemal nie do pokonania - pęknięcie tuż przed burtą statku poszerzyło się do sześciu metrów i wciąż zwiększało się w zastraszającym tempie.

Widząc, co się dzieje, drugi oficer Asa Knight kazał spuścić na lód szalupę wielorybniczą. Kilku ludzi pchało ją w kierunku szczeliny, która osiągnęła już prawie dwadzieścia metrów szerokości. Chcieli dotrzeć do kapitana, jego żony i marynarzy, nim będzie za późno. Po nadludzkich wysiłkach znaleźli się przy pęknięciu. Po przeciwległej stronie Mender, Roxanna i pozostali czekali, brodząc po kolana w lodowatej wodzie.

Ku ich ogromnej radości udało się w końcu zepchnąć szalupę na wodę i przepłynąć przez coraz szerszą rzekę. Roxannę wsadzono na pokład jako pierwszą, po niej resztę ludzi i na końcu kapitana.

- Jesteśmy pana wielkimi dłużnikami, panie Knight - wyznał Mender, ściskając dłoń drugiego oficera. - Pańska śmiała inicjatywa uratowała nam życie. Szczególnie dziękuję w imieniu żony.

- I dziecka - dodała Roxanna, zawinięta w koc przez dwóch marynarzy. Mender popatrzył na nią.

- Nasze dziecko jest bezpieczne na statku.

- Nie mówiłam o Samuelu - odparła, szcękając zębami. Mender przeszył ją wzrokiem.

- Chcesz powiedzieć, że znów jesteś w ciąży?

- Chyba drugi miesiąc. Był przerażony.

- Wyszłaś na lód podczas burzy, wiedząc, że jesteś w ciąży?

- Kiedy wychodziłam, nie było burzy - odparła ze słabym uśmiechem.

- Boże drogi! Co ja mam z tobą zrobić?

- Jeśli pan jej nie chce, kapitanie - wtrącił jowialnie Bigelow - chętnie ją przygarnę.

Choć przemarznięty na kość, Mender roześmiał się i objął żonę, niemal ją dusząc.

- Niech pan mnie nie kusi, panie Bigelow.

Pół godziny później ubrana w suche rzeczy Roxanna grzała się przy wielkim żeliwno-ceglanym

piecu, używanym do topienia wielorybiego tłuszczu. Jej mąż i załoga nie szczydzili wysiłku, by zapewnić jej maksimum wygod. Równocześnie szybko wyjęto ze schowków żagle i wciągnięto je na maszty. Wkrótce były rozwinięte. Kiedy kotwice poszły w górę, kapitan Mender poprowadził „Paloverde” między olbrzymimi górami lodowymi ku otwartemu oceanowi.

Po sześciu miesiącach zimna i głodu wreszcie byli wolni i mogli wyruszyć do domu. Prawdziwy powrót miał się jednak zacząć dopiero po napełnieniu beczek tranem.

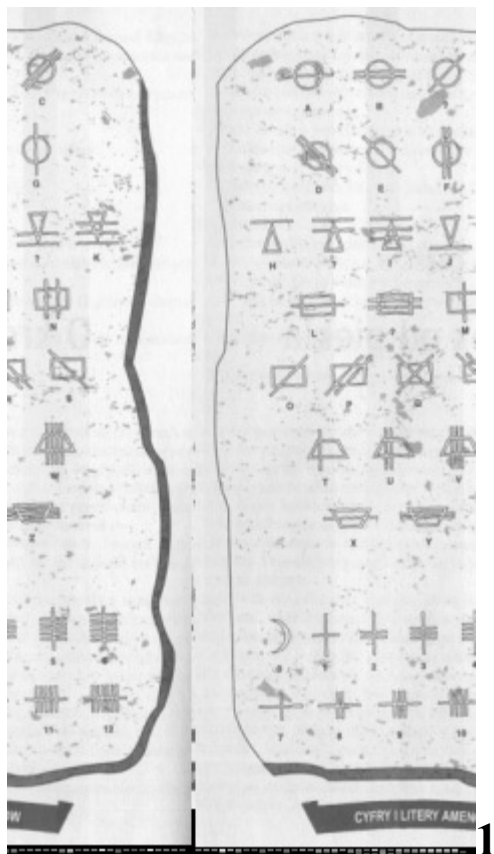
Przedziwna obsydianowa czaszka, którą Roxanna zabrała z zamrożonego „Madrasa”, ozdobiła kominek w rodzinnym domu w San Francisco. Mender z przejęciem korespondował z aktualnymi właścicielami firmy Skylar Croft Trade Company z Liverpoolu, która teraz działała pod całkiem inną nazwą. Posłał im dziennik pokładowy oraz dane dotyczące pozycji, w jakiej znalazł statek, porzucony u wybrzeży Morza Bellingshausena.

Ponury i martwy wrak długo tkwił w lodowatej samotni. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku wysłano z Liverpoolu dwa statki, by odzyskały ładunek „Madrasa”, żaden z nich jednak nie powrócił i oba uznano za zaginione w rozległych polach lodowych Antarktyki.

Dopiero po stu czterdziestu czterech latach człowiek ponownie postawił stopę na pokładzie „Madrasa”.

CZEŚĆ I

O krok od piekła



22 marca 2001, Pandora, Kolorado

Z wysokości trzech tysięcy metrów świecące na porannym niebie gwiazdy przypominały tablicę reklamową nad wejściem do kina. Ale dla Luisa Marqueza, który właśnie wyszedł ze swego niedużego drewnianego domu, księżyc wyglądał upiornie. Otaczało go dziwne pomarańczowe halo. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Luis przyjrzał się niecodziennemu zjawisku, po czym ruszył przez podwórko do napędzanego na cztery koła pikapa marki Chevy Cheyenne z siedemdziesiątego trzeciego roku.

Ubrał się w robocze ciuchy i wyslizgnął cicho z domu, by nie obudzić żony i dwóch córek. Lisa chciała wstać i przygotować mu śniadanie oraz kilka kanapek na drogę, ale zdecydowanie stwierdził, że czwarta rano to - z wyjątkiem chorych psychicznie - zbyt wcześnie, by snuć się po ciemku.

Marquez i jego rodzina żyli skromnie. Samodzielnie odnowił zbudowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim roku dom. Jego córki chodziły do szkoły w Telluride. Mniejsze zakupy robili zwykle w pobliskim kurorcie narciarskim, a raz w miesiącu jeździli do oddalonego o ponad

sto kilometrów na północ Montrose.

Zawsze przed wyjściem zasiadał do kubka kawy i rozglądał się po okolicy. Najlepszym dla niej określeniem byłoby „miasteczko duchów”. W specyficznym świetle księżyca nieliczne jeszcze stojące budynki wyglądały jak cmentarne nagrobki.

Po odkryciu w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku skał złotonośnych do doliny San Miguel zaczęli napływać poszukiwacze. Zbudowali miasteczko, które nazwali Pandora - na cześć bohaterki greckiego mitu o pięknej dziewczynie i jej puszcze, pełnej tajemniczych duchów. Potem grupa bankierów z Bostonu kupiła prawa do złóż z zamiarem sfinansowania budowy kopalni. Powstały tylko trzy kilometry w pobliżu sławniejszego miasta górniczego Telluride.

Kopalnię nazwano Paradise i wkrótce Pandora stała się niewielkim przykładowym miasteczkiem z dwustu mieszkańcami i własną pocztą. Domy - z porządnie przystrzyżonymi trawnikami i białymi płotami - starannie pomalowano. Choć Pandora mieściła się w ślepym kanionie - prowadziła tam tylko jedna droga - nie było to miejsce izolowane. Drogę do Telluride utrzymywano w dobrym stanie, a przedsiębiorstwo Rio Grande Southern Railroad doprowadziło do miasteczka tor, by wygodnie dowozić ludzi i zapasy oraz transportować rudę przez główny dział wodny Ameryki Północnej do Denver.

Niektórzy gotowi byli przysiąc, że kopalnia jest przeklęta. Koszty, które poniesiono przez czterdzieści lat, by wydobyć złoto wartości pięćdziesięciu milionów dolarów, były bardzo wysokie. W wilgotnych i ponurych szybach zginęło dwudziestu ośmiu walczących z twardą skałą górników (czternastu w jednej tylko katastrofie), niemal stu zostało trwale okaleczonych w wyniku ciężkich warunków pracy oraz zawałów.

Pierwsi poszukiwacze zamieszkali w Telluride twierdzili, że w ciągnących się kilometrami pustych szybach słyszą jęki jednego z górników, którzy ponieśli tam śmierć.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku wyczerpano zasoby złoża. Wyeksploatowaną kopalnię Paradise zamknięto. Przez następne sześćdziesiąt pięć lat była jedynie wspomnieniem i powoli zarastającą blizną w krajobrazie. Do dziewięćdziesiątego szóstego roku jej szyby i tunele, „w których straszy”, nie słyszały chrzęstu podeszwy ani uderzenia młotka.

Marquez przeniósł wzrok na szczyty gór. W zeszłym tygodniu przez cztery dni trwała burza. Na zboczach pojawiło się kolejne półtora metra puchu. Rosnąca wraz z nadejściem wiosny temperatura nadała śniegowi konsystencję tłuczonych kartofli. Nadchodził lawinowy szczyt. W wyższych partiach warunki robiły się niebezpieczne i narciarzy ostrzegano, by nie zbaczali z wyznaczonych tras. Marquez nie pamiętał, by kiedykolwiek duża lawina zeszła na Pandorę, i myślał, że jego rodzina jest bezpieczna, napawała go spokojem. Sam nigdy nie zwracał uwagi na ryzyko, kiedy jechał w górę stromej, pokrytej lodem drogi, a następnie samotnie wchodził głęboko w trzewia góry. Wraz z ociepleniem zalegające zbocza masy śniegu musiały się prędzej czy później obsunąć.

Od czasu, gdy zamieszkali w okolicy, Marquez tylko raz widział lawinę. Ogrom tego pięknego zjawiska i moc, z jaką głązy, drzewa i śnieżne masy schodziły zboczami w dolinę - z towarzyszeniem nieustannego, podobnego do grzmotu huku - wywarły na nim niezatarte wrażenie.

Założył na głowę hełm, zasiadł za kierownicą chevroleta i uruchomił silnik. Pogrzał go kilka minut na luzie, po czym rozpoczął ostrożny wjazd wąską, nieutwardzoną drogą do kopalni, która kiedyś była głównym producentem złota w Kolorado. Opony zostawiały w śniegu głębokie koleiny. Im wyżej wjeżdżał, tym ostrożniej manewrował. Wkrótce przepaść osiągnęła kilkadziesiąt metrów. Jeden niekontrolowany poślizg i ratownicy musieliby wydłubywać poszarpane ciało Marqueza z

resztek pikapa, rozbitego na majaczących daleko w dole skałach.

Tutejsi ludzie uważali, że odkupienie praw do eksploatacji starej kopalni Paradise było głupotą, ponieważ dawno już wydobyto stąd każdą wartą eksploatacji grudkę złota. Poza pewnym bankierem z Telluride nikt nie miał zielonego pojęcia, że inwestycja Marqueza zrobiła z niego majątnego człowieka. Zyski z tego, co znalazł w starej kopalni, sprytnie inwestował w nieruchomości, a dzięki rozwojowi pobliskiego ośrodka narciarskiego jego majątek osiągnął prawie dwa miliony dolarów.

Marqueza nie interesowało złoto. Przez dziesięć lat szukał w różnych częściach świata kamieni szlachetnych. W Montanie, Nevadzie i Kolorado przeczesywał stare, porzucone kopalnie srebra i złota, szukając minerałów, które można by ciąć na kamienie ozdobne. W jednym z tuneli kopalni Paradise - w skale, którą dawni górnicy uznaliby za bezwartościową - odkrył żyłę różowych kryształów. Był to rodochrozyt - piękny kryształ, znajdujący w różnych miejscach świata w odcieniach od jasnego różu do soczystej czerwieni.

Cięty lub fasetowany rodochrozyt jest rzadko spotykany. Zbieracze poszukują dużych kryształów i nie są zainteresowani dzieleniem ich na kawałki. Przezroczyste, czyste kryształy z kopalni Paradise, pocięte na osiemnastokaratowe kamienie, były bardzo drogie. Marquez zdawał sobie sprawę, że już dziś mógłby przejść na emeryturę i dostatnio spędzić resztę życia, dopóki jednak żyła dawała kamienie, był zdecydowany wrywać je skale.

Zatrzymał swoją poobijaną furgonetkę o podrapanych i powgniatanych zderzakach przed wielkimi zardzewiałymi wrotami, skutymi czterema różnymi łańcuchami z czterema różnymi kłódkami. Otwierał je kolejnymi kluczami wielkości dłoni mężczyzny. Potem otworzył wrota. Promienie księżycowego światła płytko oświetlały opadające stromo dno sztolni, wydobywając z ciemności schodzące w głąb tory.

Uruchomił zamocowany na wielkim przenośnym generatorze silnik, po czym przesunął dźwignię na skrzynce z przełącznikami. Szyb został nagle oświetlony sznurem wiszących u sufitu żarówek, które malowały w oddali, zmieniając się w bladożółte punkciki. Na torach stał wózek na rudę, uwiązany do nawiniętej na bęben stalowej liny. Zbudowano go solidnie, jedyną oznaką intensywnej eksploatacji była rdza na bokach.

Marquez wsiadł do wózka i wcisnął przycisk pilota. Bęben zaczął obracać się i wózek ruszył w dół, napędzany jedynie siłą ciężenia. Zjazd mógł być ciężkim przeżyciem dla kogoś bojaźliwego albo cierpiącego na klaustrofobię. Nachylenie chodnika pozwalało ledwie przesunąć się wózkowi. Co kilka metrów tunel podierały stemple i stropnice, chroniąc go przed zawalem. Wiele bali pogniło, liczne jednak zachowały się w stanie niemal nie zmienionym od dnia, kiedy je ustawiono. Wózek dotarł na głębokość czterystu metrów, gdzie z sufitu tunelu nieprzerwanie kapiała woda.

Marquez wziął plecak z pojemnikiem na prowiant i poszedł do pionowego szybu, prowadzącego do najniższych korytarzy kopalni Paradise na głębokości prawie siedmiuset metrów. Wykute w granicie chodniki rozchodziły się, przypominając szprychy koła. Według dawnych zapisów i map w okolicy Pandory znajdowało się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów tuneli.

Marquez rzucił w głąb szybu kawałek skały. Po dwóch sekundach rozległ się plusk. Wkrótce po zamknięciu kopalni wyłączono także stację pomp i woda zalała najniższe korytarze. Z biegiem czasu jej poziom podnosił się. Brakowało najwyżej pięciu metrów, by dostała się na głębokość czterystu metrów, gdzie Marquez eksploatował swoją żyłę rodochrozytu. Po ostatnim, szczególnie deszczowym sezonie w górach San Juan woda podnosiła się coraz szybciej. W ciągu kilku tygodni miała zalać główny tunel - uniemożliwiając dalsze wydobywanie kamieni.

Marquez postanowił dobrze wykorzystać ten czas. Ponieważ dysponował jedynie górniczym oskardem i taczka, jego dzień pracy znacznie się wydłużył.

Idąc tunelem, mijał stare, rdzewiejące wózki transportowe i pozostawione przez dawnych górników świdy. Sprzętu nie można było wówczas sprzedać, ponieważ w tym samym czasie zamykano wszystkie okoliczne kopalnie. Rzucano go więc na bok i zostawiano tam, gdzie był ostatni raz użyty.

Siedemdziesiąt metrów od wejścia do tunelu Marquez dotarł do szczeliny wystarczająco szerokiej, by z trudem się przez nią prześlizgnąć. Sześć metrów dalej znajdowała się żyła rodochrozytu. Wymienił przepaloną żarówkę - zawsze nosił kilka zapasowych w plecaku - wziął oskard i zaczął pracować. Matowo-czerwone kamienie przypominały wetknięte w bułeczkę suszone wiśnie.

Ze szczytu szczeliny wystawał fragment skały, który mógł w każdej chwili oderwać się i spaść mu prosto na głowę. Nie miał innego wyjścia - musiał go wysadzić. Przy pomocy przenośnej wiertarki zrobił otwór, włożył do niego niewielki ładunek dynamitu i przyłączył do ręcznego detonatora. Kiedy schował się w głównym korytarzu po drugiej stronie szczeliny, wcisnął rączkę. Korytarzem wstrząsnęło głuchoe tąpnięcie. Rozległ się łoskot upadającego głazu i do głównego tunelu wpadła chmura pyłu.

Marquez odczekał kilka minut i ostrożnie przeszedł przez szczelinę. Skalny nawis zniknął. Zamiast niego na podłodze leżał stos kamieni. Wrócił do głównego korytarza, podjechał wózkiem do szczeliny i zaczął napełniać go gruzem, który wysypał kawałek dalej. Kiedy droga za szczeliną była wolna, rozejrzał się w górze, czy nic mu już nie grozi.

Zaskoczony spostrzegł, że tuż nad żyłą rodochrozytu powstała szczelina. Spróbował oświetlić ją zamocowaną do hełmu latarką. Szczelina zdawała się tworzyć głęboką komorę. Zaciekawiony wrócił do głównego tunelu, gdzie znalazł pordzewiałą, dwumetrową drabinę. Przepchał się z nią z powrotem przez szczelinę i zaczął się wspinać. Wcisnął głowę do środka otworu i ujrzał niezwykle widok.

Okazało się, że w skale wykute jest regularne pomieszczenie. Wyglądało na idealny sześcian o boku długości mniej więcej pięciu metrów. Na nagich, gładkich ścianach wyryto dziwne symbole. Na pewno nie było to dzieło dziewiętnastowiecznych górników. Nagle promień światła z latarki zatrzymał się na kamiennym postumencie i zamigotał na stojącym na nim przedmiocie.

Marquez zamarł z przerażenia na widok diabelskiej czarnej czaszki. Jej puste oczodoły skierowane były prosto na niego.

2

Pilot obleciał dwusilnikowym beechcraftem United Airlines dwie postrzępione na brzegach chmury i zaczął schodzić do krótkiego pasa na urwistym brzegu rzeki San Miguel. Choć setki razy lądował na niewielkim lotnisku pod Telluride i tak samo często z niego startował, wciąż z niesłabnącym zachwytem podziwiał niesamowity widok ośnieżonych szczytów gór San Juan. Pełne powagi piękno poszarpanych wierzchołków i zboczy, nad którymi rozpościerało się jaskrawo-

błękitne niebo, zapierało dech w piersiach.

Im niżej się znajdował, tym majestatyczniej wyglądały zbocza gór. Zdawało się, że końce skrzydeł lada chwila trącą rosnące na skalistych występach osiki. W końcu wysunięto podwozie i minutę później koła z piskiem uderzyły w wąski asfaltowy pas.

Beechcraft miał na pokładzie tylko dziewiętnastu pasażerów. Patricia O'Connell wyszła na lądowisko ostatnia. Idąc za radą przyjaciół, którzy często przyjeżdżali tu na narty, poprosiła o miejsce z tyłu, by skrzydła nie zasłaniały jej widoku roztaczającego się z okien samolotu.

Na wysokości trzech tysięcy metrów powietrze było rozrzedzone, ale niezwykle czyste i orzeźwiające. Idąc do terminalu, Pat głęboko oddychała. Zaraz po wejściu do środka podszedł do niej niski, krępy mężczyzna z ogoloną na łyso głową i ciemną brodą.

- Doktor O'Connell?

- Proszę mi mówić Pat - odparła. - Z pewnością doktor Ambrose?

- Mów do mnie Tom - powiedział mężczyzna z ciepłym uśmiechem. - Miałaś przyjemny lot z Denver?

- Cudowny. Nad górami trochę trzęsło, ale wspaniałe widoki całkiem skompensowały niewygody.

- Telluride to przepiękne miejsce - powiedział z zazdrością. - Czasem marzę, by móc tu mieszkać.

- Nie wyobrażam sobie, żeby dla człowieka z twoim doświadczeniem mogło się tu znaleźć dużo interesujących stanowisk archeologicznych.

- Nie na tej wysokości. Dawne indiańskie ruiny znajdują się znacznie niżej.

Doktor Thomas Ambrose być może nie wyglądał na sławnego antropologa, ale był jednym z najbardziej uznanych uczonych w swojej dziedzinie. Emerytowany profesor Uniwersytetu Stanowego Arizony i znakomity badacz słynął z niezwyklej skrupulatności przy sporządzaniu raportów z badań polowych. Choć wyglądał o dziesięć lat młodziej, dobiegał sześćdziesiątki. Przez trzydzieści lat poszukiwał śladów człowieka pierwotnego na całym południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych.

- Doktor Kidd był przez telefon bardzo tajemniczy - powiedziała Pat. - Właściwie nic nie powiedział o odkryciu.

- Ja też nic nie powiem - odparł Ambrose. - Najlepiej będzie, jeśli jeszcze trochę zaczekasz i obejrzysz je na własne oczy.

- W jaki sposób zetknąłeś się z tą sprawą?

- Byłem w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. Jeździłem na nartach ze starą przyjaciółką, kiedy zadzwonił do mnie kolega z Uniwersytetu Stanowego Kolorado i zapytał, czy nie rzuciłbym okiem na kilka znalezisk. Przypadkowo natknął się na nie pewien górnik. Niestety, szybko uznałem, że to zadanie mnie przerasta.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Nie jestem specjalistą od epigrafiki. Dlatego poprosiliśmy ciebie o pomoc. Jediną osobą zajmującą się odcyfrowywaniem starożytnych inskrypcji, którą znam osobiście, jest doktor Jerry Kidd ze Stanforda. Nie mógł nam pomóc, ale zarekomendował ciebie.

Ambrose odwrócił się. Otworzono bramkę i bagażowa zaczęła rzucać torby i walizki na spadzistą, metalową platformę.

- Ta wielka zielona jest moja - powiedziała Pat, wdzięczna, że ma u swego boku mężczyznę,

który zajmie się jej załadowaną podręcznikami trzydziestokilową torbą.

Ambrose stęknął, ale nic nie powiedział, taszcząc ciężką torbę do jeepa cherokee, czekającego na parkingu pod terminalem. Przed wejściem do auta Pat na chwilę się zatrzymała. Chłonęła wspaniały widok sosnowo-osikowego lasu, wspinającego się na zbocza widocznych po drugiej stronie doliny Mount Wilson i Sunshine Peak. Gdy stała zauroczona panoramą, Ambrose przez chwilę się jej przyjrzał. Opadające do pasa rude włosy błyszczały w słońcu. Miała oczy koloru szałwi. Wyglądała jak wykuty przez wybitnego artystę pomnik - ciężar ciała opierała na prawej nodze, lewą odrobinę zgięta, kierując kolano minimalnie do wewnątrz. Barki i ramiona sugerowały budowę nieco bardziej muskularną niż u większości kobiet - bez wątplenia uzyskaną w trakcie długich godzin ćwiczeń na siłowni. Mogła mieć metr siedemdziesiąt dwa wzrostu i ważyć około sześćdziesięciu, sześćdziesięciu dwóch kilogramów. Była ładną kobietą - nie śliczną ani uderzająco piękną - po prostu ładną. Wyobrażał sobie, że ubrana w coś bardziej kobiecego niż dzinsy i skórzana kurtka mogła wyglądać bardzo ponętnie. Doktor Kidd twierdził, że Patricia O'Connell jest najlepszą specjalistką od odczytywania starożytnych napisów. Przefaksował jej życiorys - Ambrose był pod wrażeniem. Miała trzydzieści pięć lat, zrobiła doktorat z języków starożytnych w Szkocji, w St. Andrews College, wykładała lingwistykę na Uniwersytecie Stanowym Pensylwanii. Napisała trzy dobrze przyjęte książki, w których odczytywała napisy skalne z różnych części świata. Jakiś czas temu rozwiodła się z mężem prawnikiem i samodzielnie wychowywała czternastoletnią córkę. Była zwolenniczką dyfuzjonizmu, według którego kultury nie powstawały równoległe, a postęp jest wynikiem przenikania i zapożyczania wytworów kulturowych, i mocno wierzyła w to, że starożytni marynarze odwiedzali wybrzeża Ameryki setki lat przed Kolumbem.

- Znalazłem ci miejsce w bardzo przyjemnym pensjonacie - powiedział Ambrose. - Jeśli chcesz, mogę cię zawieźć tam na godzinkę, żebyś się trochę odświeżyła.

- Dziękuję, nie trzeba. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chętnie pojechałabym prosto na stanowisko.

Ambrose skinął głową, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer.

- Zawiadomię Luisa Marqueza, właściciela kopalni, że jedziemy. Przejechali w milczeniu przez centrum Telluride. Pat spoglądała w górę, ku trasom narciarskim wokół Mountain Village, i obserwowała narciarzy na stromych, majestatycznych zboczach na skraju miasteczka. Mijali stare budynki, odnowione tak, by wyglądały jak dwa wieki temu. Teraz mieściły niezliczone bary i sklepy. Ambrose wskazał na budynek z lewej.

- Tutaj Butch Cassidy obrabował swój pierwszy bank.

- Telluride musi mieć bogatą historię.

- Ma. Dokładnie tutaj, przed hotelem Sheridan, William Jennings Bryan wygłosił swe sławne przemówienie o „złotym krzyżu”*. Kawalek dalej w dolinie South Fork mieściła się pierwsza na świecie elektrownia produkująca prąd zmienny dla kopalni. Jej wyposażenie zaprojektował Nikola Tesla**.

* William Jennings Bryan (1860-1925) - amerykański polityk, trzykrotny kandydat na Prezydenta (1896, 1900, 1908), sekretarz stanu (1913-15), zwolennik bimetalizmu, czyli dopuszczenia do bicia monet nie tylko w złocie, ale także w srebrze. We wspomnianej mowie stwierdził, że „nie należy krzyżować ludzkości na złotym krzyżu” (przyp. tłum.).

** Nikola Tesla (1856-1943) - amerykański inżynier elektryk i fizyk pochodzenia chorwackiego, odkrywca zasad działania prądu zmiennego, konstruktor maszyn i urządzeń (przyp. tłum.).

Ambrose jechał powoli przez pełne narciarzy miasteczko. W końcu wjechał w ślepy wąwóz prowadzący do Pandory. Pat z zachwytem przyglądała się stromym skalnym ścianom, otaczającym dawną górniczą osadę, chłonęła urodę wodospadów Bridal Veil, którymi zaczynała powoli płynąć woda ze śniegów topniejących pod wpływem pierwszego wiosennego ocieplenia.

Dotarli do bocznej drogi i dojechali do szeregu ruin starych budynków. Niedaleko stały pomalowane na jaskrawo-turkusowy kolor furgonetka i jeep. Dwóch ludzi w skafandrach wyładowywało sprzęt do nurkowania.

Co nurkowie zamierzają robić w sercu gór Kolorado? - Spytała zdezorientowana.

- Rozmawiałem z nimi wczoraj - odparł Ambrose. - To ekipa z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Dość daleko stąd do morza.

- Powiedzieli mi, że badają starożytny system dróg wodnych, który kiedyś odwadniał zachodnią stronę gór San Juan. Podobno jest tu cała płatanina jaskiń, łączących się ze starymi tunelami kopalni.

Kilkaset metrów dalej minęli porzuconą przetwórnę rudy. Tutaj, niedaleko brzegu rzeki San Miguel, przy samym wejściu do kolejnej porzuconej kopalni stała wielka ciężarówka z odłączoną naczepą. Wokół rozbito namioty. Po obozie krążyło sporo mężczyzn. Na bokach naczepy widniał napis: Geo Subterranean Science Corporation, oraz adres - Phoenix, Arizona.

- Kolejna ekipa naukowców - wyjaśnił Ambrose. - Mają nowoczesny sprzęt, który może ukazywać wewnątrz skał ewentualne żyły złota, niedostrzeżone przez dawnych górników.

- Sądysz, że coś znajdą? Ambrose wzruszył ramionami.

- Wątpię. Te góry przekopano dość głęboko.

Zahamował przed malowniczym domkiem i zaparkował obok starego pikapa. Marquez i jego żona Lisa, zawiadomieni o ich przybyciu, wyszli się przywitać. Ambrose przedstawił Pat.

- Zazdroszczę państwu - powiedziała Pat - że możecie mieszkać w tak wspaniałej okolicy.

- Niestety, po roku przestaje się ją zauważać - odparła Lisa.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek mogła się uodpornić.

- Czego się napijecie? Kawa? Piwo?

- Ja dziękuję - odparła Pat. - Chciałabym jak najszybciej zobaczyć odkrycie.

- Nie ma sprawy - stwierdził Marquez. - Mamy jeszcze pięć godzin dziennego światła. To nawet za dużo.

- Przygotuję kolację - powiedziała Lisa. - Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko jeleniowi z grilla.

- To brzmi wspaniale - Pat natychmiast poczuła głód. Marquez wskazał głową na swojego starego chevroleta.

Prawdopodobnie będzie wygodniej, jeśli pojedziemy pańskim jeepem, doktorze.

Piętnaście minut później zjeżdżali w głąb kopalni Paradis. Dla Pat było to nowe doświadczenie. Jeszcze nigdy nie widziała kopalnianego szybu.

- Im głębiej zjeżdżamy, tym robi się cieplej - stwierdziła po chwili.

- Co trzydzieści metrów temperatura rośnie o pięć stopni - wyjaśnił Marquez.

- W najniższych, teraz zalanych korytarzach dochodziła prawie do czterdziestu stopni.

Wózek stanął. Marquez wysiadł i sięgnął do dużej drewnianej skrzyni. Dał Pat i Ambrose'owi hełmy.

- Spadające kamienie? - Spytała Pat.

Marquez roześmiał się.

- Raczej niski sufit.

Kiedy szli za Marquezem wilgotnym korytarzem oświetlani mdłym światłem zamocowanych do stropnic żarówek, nagie skalne ściany nadawały ich rozmowie głuchy pogłos. Pat kilka razy potknęła się o podkłady rdzewiejących szyn, zawsze udawało jej się jednak uniknąć upadku. Przygotowując się do wylotu do Telluride, nie zdawała sobie sprawy, jak mądrą decyzją było założenie wygodnych butów do chodzenia po górach. Po dziesięciu minutach, które zdawały się trwać całą godzinę, doszli do szczeliny. Dalej znajdowała się komora.

Marquez zatrzymał się przy drabinie i wskazał w górę. Z otworu w suficie płynęło jasne światło.

- Zamocowałem wczoraj oświetlenie. Po pańskiej wizycie, doktorze - wyjaśnił. - Jest jasno, nie powinna mieć pani problemu z odczytaniem napisów. - Odsunął się na bok i pomógł Pat wejść.

Nie powiedziano jej, czego ma się spodziewać, więc widok kompletnie ją zaskoczył. Poczuli się jak Howard Carter, kiedy pierwszy raz zajrzał do grobowca Tutanchamona. Natychmiast spostrzegła czarną czaszkę. Z respektem podeszła do postumentu i zapatrzyła się w błyszczącą, gładką powierzchnię.

- Jest doskonała - wyszeptała z uznaniem, kiedy Ambrose przecisnął się przez wejście i stanął obok.

- Arcydzieło - przyznał. - Wyrzeźbiona z obsydianu.

- Widziałam kryształową czaszkę Majów z Belize. W porównaniu z tą wydaje się prymitywna. Ta robi dużo większe wrażenie.

- Podobno tamta czaszka emanuje światło i dobiegają z niej dziwne dźwięki.

- Musiałam chyba spać, kiedy ją badałam - odparła Pat z uśmiechem. - Stała w bezruchu i tylko się we mnie wpatrywała.

- Nie umiem sobie wyobrazić, ile lat - prawdopodobnie przez kilka pokoleń - polerowano tak piękny przedmiot. Jest tak kruchy. Jedno uderzenie młotkiem i mógł się rozprysnąć na kawałeczki.

- Jaka gładka powierzchnia łagodnie powiedziała Pat. - Bez żadnej skazy. Ambrose rozejrzał się wokół.

- Cała komora jest cudowna. Wyrycie tych napisów musiało zająć całe życie przynajmniej pięciu ludziom. Najpierw jednak ktoś musiał wypolerować duże powierzchnie. Samo wykucie komory na tej głębokości zajęło lata. Wymierzyłem ją - to perfekcyjny sześcian. Odchylenia nie przekraczają milimetra. Jak w klasycznej powieści o wielkiej tajemnicy, dramat rozegrał się w pomieszczeniu bez drzwi i okien.

- A otwór w podłodze?

- Został przypadkiem wysadzony przez pana Marqueza.

- Jak w takim razie zrobiono tę komorę? Bez wejścia ani wyjścia? Ambrose wskazał na sufit.

- Jedyne ślad minimalnej szpary w kamieniu, jaki znalazłem, znajduje się wzdłuż zetknięcia ścian z sufitem. Mogę jedynie przypuszczać, że ten, kto stworzył to pomieszczenie, wykopał je od góry, po czym zamknął sześcian dopasowaną kamienną płytą.

- Ale po co?

Ambrose uśmiechnął się przepaszająco.

- To ty masz na to odpowiedzieć.

Pat wyjęła z przybornika u paska notes, pędzelek i szkło powiększające. Podeszła do ściany, delikatnie starła pędzelkiem kurz stuleci i spojrzała przez lupę na napis. Patrzyła uważnie, a potem

uniósła głowę, by obejrzeć sufit. Następnie zwróciła się do Ambrose'a.

- Sufit wygląda na mapę gwiazdną. Symbole to... - zawahawszy się, nie dokończyła. - To musi być jakaś mistyfikacja górników.

- Dlaczego tak myślisz?

- Symbole nie przypominają żadnych starożytnych inskrypcji, jakie kiedykolwiek badałam.

- Jesteś w stanie któreś z nich odcyfrować?

- Mogę jedynie powiedzieć, że to pismo nie jest ani piktograficzne jak hieroglify, ani logograficzne, czyli takie, w którym jeden symbol reprezentuje jedno słowo. Symbole nie oznaczają także określonych pojęć ani sylab. Wygląda na to, że mamy do czynienia z pismem alfabetycznym.

- To znaczy, że symbole reprezentują pojedyncze dźwięki? Pat przytaknęła.

- To jest albo pisemny kod, albo bardzo pomysłowy system pisma. Ambrose przyglądał się jej uważnie.

- Dlaczego uważasz, że to mistyfikacja?

- Napisy nie przypominają żadnego pisma znanego z historii ludzkości - odpowiedziała Pat spokojnym, pełnym autorytetu tonem.

- Powiedziałaś, że to pomysłowy system. Pat podała Ambrose'owi szkło powiększające.

- Przyjrzyj się sam. Symbole są zadziwiająco proste. Zastosowanie form geometrycznych w połączeniu z pojedynczymi liniami to bardzo skuteczny system komunikacji na piśmie. Dlatego nie wierzę, by to, co widzimy, było dziełem kultury starożytnej.

- Można te symbole odcyfrować?

- Będę to wiedziała po przeprowadzeniu odpowiednich badań komputerowych. Większość starożytnych napisów nie jest tak wyraźna i nie ma tak ścisłej struktury. Główny problem polega na tym, że nigdzie na świecie nie spotkano podobnych epigrafów, z którymi można by je porównać i wyciągnąć wnioski. Dopóki komputer czegoś nie zasugeruje, będę poruszać się po ciemku.

- Co tam u was słychać? - zawołał z dołu Marquez.

- Na razie skończyliśmy - odpowiedziała Pat. - Macie w mieście sklep papierniczy?

- Dwa.

- To świetnie. Muszę kupić ryzę kalki i taśmę klejącą, żeby zrobić z nich długie pasy, które można by zwijać w rolki... - z głębi tunelu doleciał stłumiony grzmot i podłoga pod nogami zadrżała. - Trzęsienie ziemi? - zawołała.

- Nie! Pewnie z którejś góry zeszła lawina. Róbcie swoje, ja sprawdzę. Komorą wstrząsnęło kolejny raz - znacznie mocniej.

- Może powinniśmy iść z panem? - spytała Pat z niepokojem.

- Stemple tunelu są stare i wiele przegniło - ostrzegł Marquez. - Większe ruchy skalne mogą je połamać i dojdzie do zawału. Bezpieczniej będzie, jeśli tu zostanieie.

- Niech pan zaraz wraca - poprosiła Pat. - Zaczynam mieć klaustrofobię.

- Wrócę za dziesięć minut.

Kiedy kroki Marqueza ucichły, Pat znów zwróciła się do Ambrose'a.

- Nie powiedziałaś, co myślisz o czaszce. Kiedy według ciebie powstała? Ambrose przyglądał się czaszce z dziwnym wyrazem twarzy.

- Dopiero po przeprowadzeniu badań laboratoryjnych możemy stwierdzić, czy wyrzeźbiono ją i wypolerowano ręcznie, czy też za pomocą nowoczesnych narzędzi. Wiemy na pewno, że pomieszczenie to nie zostało wykute przez górników. Tak poważna robota zostałaby gdzieś

udokumentowana. Marquez zapewnia, że stare księgi i mapy tuneli kopalni Paradise nie wspominają, żeby w tym miejscu istniał kiedyś pionowy szyb. Komora musiała więc zostać wykuta na długo przed tysiąc osiemset pięćdziesiątym rokiem.

- Albo znacznie później. Ambrose wzruszył ramionami.

- Działalność kopalni zakończono w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku. Prace na taką skalę nie przeszłyby nie zauważone. Nie lubię ryzykować swej reputacji, ale nie mam wątpliwości, że zarówno komora, jak i obsydianowa czaszka mają ponad tysiąc lat. Prawdopodobnie znacznie ponad tysiąc.

- Może to dzieło dawnych Indian? Ambrose pokręcił głową.

- Niemożliwe. Indianie zbudowali co prawda wiele skomplikowanych konstrukcji kamiennych, ale tak precyzyjna robota przekraczała ich możliwości. A do tego te napisy. Raczej mało prawdopodobne, by były dziełem niepiśmiennych.

- To jak wizytówka bardzo rozwiniętej inteligencji - powiedziała Pat, delikatnie wodząc palcem po symbolach.

Przy pomocy Ambrose'a zaczęła kopiować niezwykle symbole w notesie. Okazało się, że jest ich czterdzieści dwa. Zmierzyła głębokość rzeźbień oraz odległości między liniami i symbolami. Im dłużej badała napisy, tym bardziej była zdziwiona. W tych, najwyraźniej, literach kryła się tajemnicza logika, którą mogło ujawnić jedynie dokładne tłumaczenie. Kiedy fotografowała ściany i gwiazdy na suficie, przez dziurę w podłodze wsunął się Marquez.

- Wygląda na to, że chwilę tu zabawimy - oznajmił. - Lawina zasypała wejście do kopalni.

- O mój Boże... - jęknęła Pat.

- Nie ma się czego bać - odparł pewnie Marquez. - Moja żona już raz to przerabiała. Domyśli się, w jakiej jesteśmy sytuacji, i wezwie pomoc. Lada chwila wyruszy ekipa ratownicza z miasteczka.

- Jak długo będziemy uwięzieni? - spytał Ambrose.

- To zależy od tego, ile śniegu spadło na wejście. Może być po wszystkim za dwie godziny, a może to potrwać cały dzień. Na pewno będą pracować na okrągło, aż się przekopią - mogę się o to założyć.

Pat poczuła pewną ulgę.

- W takim razie dopóki działa światło, będziemy mogli z doktorem Ambrose'em kopiować napisy.

Z głębi góry dobiegło straszliwe dudnienie. Zaraz potem usłyszeli chrzęst łamiących się stempli i basowe tąpnięcia spadających z wysokości głazów. Do komory wtargnął gwałtowny podmuch powietrza i cała trójka padła na podłogę.

Światło zgasło.

3

Łoskot przetoczył się przez szyby i powoli przeszedł w głuchą ciszę.

Tunelem gnał niewidoczny w głębokiej ciemności, wzniesiony wstrząsem pył. Chmura doszła do szczeliny i bezszelestnie wleciała do komory. Zaraz potem zaczęły się pokasływania - kurz zatkał

krwanie i nosy, pylista warstwa oblepiła zęby i języki.

Ambrose jako pierwszy wykaszał spójne słowa.

- Co się, na Boga, stało?

- Zawał - odpowiedział Marquez. - Tunel musiał się zawalić.

- Pat! - wrzasnął Ambrose i zaczął macać wokół. - Nic ci nie jest?!

- Nie... - wydyszała między dwoma kaszlnięciami. - Przez chwilę nie mogłam oddychać, ale nic mi nie jest.

Złapał ją za rękę i pomógł wstać.

- Weź moją chusteczkę i zasłoń nos i usta.

Pat stała bez ruchu, w nadziei, że w ten sposób szybciej złapie nieco czystego powietrza.

- To było, jakby ziemia wybuchła pod moimi stopami - powiedziała.

- Dlaczego skała nagle się zawaliła? - zapytał Ambrose Marqueza. Mimo że był blisko, nie widział go.

- Nie wiem, ale dla mnie to brzmiało jak wybuch dynamitu.

- Czy zawał tunelu mógł być opóźnionym efektem lawiny? - spytał Ambrose.

- Przysięgam na Boga, że to był dynamit - odparł Marquez. - Znam się na tym. Wystarczająco dużo używałem go przez lata, by poznać dźwięk. Żeby zminimalizować skutki wybuchu, zawsze stosuję dynamit o małej prędkości cząsteczek. Tutaj - gdzieś pod nami - ktoś zdetonował ładunek z materiału o dużej koncentracji. Sądząc po wstrząsie - spory.

- Sądziłem, że kopalnia jest opuszczona.

- Bo jest. Poza mną i moją żoną od lat nikt tu nie wchodził.

- Jak więc...

- Nie „jak”, a „dlaczego” - Marquez otarł się o nogi antropologa, szukając wokół hełmu.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś specjalnie zdetonował ładunek, żeby zamknąć wejście do kopalni? - spytała Pat.

- Dowiem się tego, jeśli stąd wyjdziemy. - Marquez znalazł hełm, włożył go na zapyloną głowę i zapalił zamocowaną na nim latarkę. - No, tak już lepiej.

Niewielka lampka dawała nikłe światło. Opadający pył sprawiał dość upiorne i posępne wrażenie - niczym zasnuwająca brzeg jeziora mgła. Wszyscy upodobnili się do pomników - twarze i ubrania nabrały barwy otaczającego ich granitu.

- Nie podoba mi się to „jeśli”.

- Zależy, po której stronie szczeliny tunel się zapadł. Jeśli gdzieś dalej w głębi kopalni, nie ma sprawy, ale jeśli na drodze do wyjścia, będziemy mieli problem. Idę sprawdzić.

Zanim Pat zdążyła cokolwiek powiedzieć, górnik wyslizgnął się przez dziurę i w komorze zapanowały kompletne ciemności. Ambrose i Pat stali bez słowa w duszącej czerni, a w ich umysłach zaczynały się rodzić pierwsze oznaki przerażenia i rozpacz. Nie minęło pięć minut, jak Marquez wrócił. Nie widzieli jego twarzy, wyczuli jednak, że mają przed sobą człowieka dotkniętego przez zły los.

- Obawiam się, że wiadomości są złe - powiedział powoli. - Zawał jest bardzo blisko, na drodze w kierunku wyjścia. Myślę, że zablokowanych jest jakieś trzydzieści metrów tunelu. Przekopanie się i stemplowanie zajmie ratownikom dni, może nawet tygodnie.

Ambrose wpatrywał się uważnie w górnika, bez skutku szukając w jego twarzy śladów nadziei.

- Ale znajdą nas, zanim umrzemy z głodu? - spytał.

- Naszym problemem nie jest głód - odparł z rozpaczą Marquez. - Woda się podnosi. Tunel jest już zalany na wysokość metra.

Pat spostrzegła, że spodnie górnika są mokre do kolan.

- Więc jesteśmy uwięzieni w tej piekielnej dziurze bez wyjścia?!

- Tego nie powiedziałem - powiedział Marquez. - Istnieje spora szansa, że woda, zanim do nas dojdzie, odpłynie bocznym korytarzem.

- Ale nie jest pan tego pewny.

- Dowiemy się w ciągu kilku godzin.

Pat była blada i oddychała powoli przez pokryte pyłem usta. Kiedy usłyszała bulgot wody tuż pod komorą, ogarnął ją lodowaty strach. Z początku wody było niewiele, ale szybko się podnosiła. Popatrzyła Ambrose'owi w oczy. Też nie umiał ukryć przerażenia.

- Ciekawe - szepnęła cicho - jak to jest, kiedy się tonie...

Minuty mijały powoli jak lata i następne dwie godziny zdawały się trwać dwa stulecia. Woda przybierała, aż zaczęła wpływać do komory i rozlewać się wokół ich butów. Sparaliżowana strachem Pat przyłgnęła plecami do ściany. Chciała zyskać jeszcze kilka sekund, lecz atak wody był bezlitosny. Modliła się w milczeniu, by jakimś cudem zatrzymała się, zanim osiągnie wysokość barków.

Śmierć przez uduszenie trzysta metrów pod powierzchnią ziemi była zbyt potworna, by można ją przyjąć bez walki. Pat pamiętała liczne opowieści o nurkujących w jaskiniach ludziach, którzy zagubili się w plątaninie podziemnych korytarzy. Kiedy odnajdywano ich ciała, okazywało się, że mają palce obtarte do kości. Rozpaczliwie drapali ściany, by za wszelką cenę uciec.

Mężczyźni stali spokojni i ponurzy. Marquez nie mógł uwierzyć, że ktoś próbował ich zabić. Nie było w tym żadnego sensu. Brakowało motywu. Wyobrażał sobie żalobę, jaka wkrótce spadnie na jego rodzinę.

Pat myślała o córce. Świadomość, że nie będzie mogła patrzeć, jak zmienia się w kobietę, napawała ją głębokim smutkiem. Uważała za niesprawiedliwą śmierć, która dopada człowieka głęboko pod ziemią, w środku posępnej, wykutej w skale komory. Na dodatek jej ciało nigdy nie zostanie odnalezione. Miała ochotę zapłakać, ale łzy nie chciały popłynąć.

Kiedy woda dotarła im do kolan, rozmowy zamarły. Lustro podnosiło się dalej, dotykając bioder. Woda była lodowata i w ciało wbijały się jakby tysiące ostrych gwoździków. Pat zaczęła drzeć, a jej zęby szczękały w niemożliwy do opanowania sposób. Ambrose, rozpoznając pierwsze oznaki hipotermii, podszedł i objął ją ramionami. Świadczyło to o dobroci oraz pamięci i była mu za to wdzięczna. Przerażona wpatrywała się w szkaradną czarną wodę, wirującą w żółtym blasku latarki Marqueza.

Nagle wydało jej się, że coś widzi. Właściwie tylko wyczuła zmianę w otoczeniu.

- Niech pan zgasi latarkę - powiedziała do Marqueza.

- Słucham?

- Niech pan zgasi latarkę. Coś jest pod nami.

Mężczyźni byli przekonani, że strach doprowadził ją do halucynacji, Marquez mimo to zgasił lampkę na hełmie. Komorę natychmiast ogarnęła piekielna ciemność.

- Co zauważyłaś? - spytał łagodnie Ambrose.

- Jarzące się światelko.

- Ja tam nic nie widzę - stwierdził Marquez.

- Musi pan widzieć! - zawołała podniecona. - Słabe migotanie w wodzie.

Ambrose i Marquez wbili wzrok w ciągle podnoszącą się wodę, nie dostrzegali jednak niczego poza jej powierzchnią, ciemną jak w Styksie.

- Widziałam! Przysięgam, że widziałam. W szczelinie pod nami było światelko!

Ambrose objął ją mocniej.

- Jesteśmy sami - powiedział czule. - Poza nami nie ma nikogo.

- Tam! - wydyszała. - Nie widzicie?

Marquez zanurzył głowę pod powierzchnię wody i otworzył oczy. Wtedy dostrzegł światło - słabe jarzenie od strony głównego tunelu. Wstrzymywał oddech, zastanawiając się, co to może być - świetlny punkt robił się z każdą chwilą jaśniejszy. Zbliżał się. Marquez wynurzył głowę. Kiedy się odezwał, głos miał przerażony.

- Coś tam jest. Duch. To może być tylko duch, o którym się mówi, że wędruje korytarzami. Człowiek nie może przecież chodzić po zalanym wodą tunelu.

Opuściła ich resztką sił. Skamieniali ze strachu patrzyli, jak światło zbliża się do nich, jakby wpływało do komory. Marquez znowu zapalił latarkę i cała trójka wpatrywała się w coś, co powoli się wysuwało. Najpierw pojawił się czarny kaptur.

Potem z wody wysunęła się ręka. Wyjęła z ust ustnik i podniosła maskę. Lampka Marqueza oświetliła jaskrawozielone, opalizujące oczy. Usta przybysza rozchyliły się w szerokim uśmiechu, ukazując dwa szeregi śnieżnobiałych zębów.

- Wygląda na to - powiedział przyjazny głos - że przybyłem w przysłowiowej ostatniej chwili.

4

Pat wciąż myślała, że to umysł - otumaniony zimnem i męczarniami, jakie znosi ciało - płata jej figle. Ambrose i Marquez gapili się na przybysza zastygli w bezruchu, niezdolni wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Powoli jednak szok zastępowała przemożna fala ulgi. Uświadomili sobie, że nieznajomy musi być w kontakcie ze światem zewnętrznym.

- Skąd pan się, na Boga, wziął? - wyrzucił z siebie podniecony Marquez.

- Z kopalni Buccaneer tuż obok - odparł nieznajomy, oświetlając ściany komory. Zatrzymał promień latarki na obsydianowej czaszce. - Co to za miejsce? Jakies mauzoleum?

- Nie - odparła Pat. - To zagadka.

- Pamiętam pana - powiedział Ambrose. - Rozmawialiśmy dziś rano. Jest pan z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Doktor Ambrose, prawda? Szkoda, że nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że to przyjemność znów pana spotkać. - Nieznajomy popatrzył na Marqueza. - Pan z pewnością nazywa się Luis Marquez i jest właścicielem kopalni. Obiecałem pańskiej żonie przyprowadzić pana do domu na kolację. - Popatrzył na Pat i chytrze się uśmiechnął. - A ta piękna dama to z pewnością doktor O'Connell.

- Skąd pan wie, jak się nazywam?

- Pani Marquez opisała panią - odparł prosto z mostu przybysz.

- Jak się pan tu dostał? - spytała ciągle lekko otumaniona Pat.

- Kiedy dowiedzieliśmy się od szeryfa, że lawina zasypała wejście do kopalni, ekipa moich inżynierów z Agencji postanowiła spróbować dostać się do was przez któryś z tuneli łączących kopalnię Buccaneer z Paradise. Pokonaliśmy kilkaset metrów, kiedy nagle górą wstrząsnęła eksplozja. Wtedy zobaczyliśmy, że woda podnosi się szybami i zaczyna zalewać obie kopalnie. Stało się jasne, że jedynym sposobem dostania się do was jest przepłynięcie tunelami ze sprzętem do nurkowania.

- Przepłynął pan tutaj z kopalni Buccaneer? - spytał zdziwiony Marquez. - To grubo ponad pół kilometra!

- Zanim wszedłem do wody, sporo przeszedłem na piechotę - wyjaśnił nieznajomy. - Niestety, wody było więcej, niż się spodziewałem. Ciągnąłem za sobą wodoszczelny pakunek zjedzeniem i lekami, ale linka niestety się zerwała, kiedy prąd pchnął mnie na stare urządzenie wiertnicze.

- Jest pan ranny? - spytała z troską Pat.

- Tylko siny w miejscu, którego nie będę wymieniał.

- To cud, że odnalazł nas pan w tym labiryncie - stwierdził Marquez. Nieznajomy podniósł niewielki jarzący się nieziemską zielenią wyświetlacz.

- Podwodny komputer - wyjaśnił - pamięta wszystkie korytarze, skrzyżowania i tunele w kanionie Telluride. Ponieważ zawał zablokował wasz tunel, musiałem zejść poziom niżej, zrobić obejście i nadpłynąć z przeciwnego kierunku. W pewnym momencie dostrzegłem światełko pańskiej lampki. No i jestem.

- Czyli nikt na powierzchni nie wie, że zostaliśmy zasypani - stwierdził Marquez.

- Wiedzą - odpowiedział nurek. - Moja ekipa z Agencji zaraz po zorientowaniu się w sytuacji poinformowała szeryfa.

Twarz Ambrose'a była niezdrowo blada. Nie podzielał entuzjazmu pozostałych.

- Czy płynie za panem jeszcze ktoś z pańskiego zespołu? - spytał powoli. Nurek lekko pokręcił głową.

- Jestem sam. Mieliśmy dwie ostatnie butle. Uznałem, że próba dotarcia do was w więcej niż jedną osobę jest zbyt ryzykowna.

- Więc wygląda na to, że pańska podróż była stratą czasu. Nie wiem, jak mógłby nas pan uratować.

- A jeśli pana zaskoczę? - odparł nurek.

- Pańskie dwie butle nie mają dość powietrza, by uratować całą naszą czwórkę. W ciągu najbliższej godziny albo utoniemy, albo zamrzniemy. Nie starczy panu czasu na sprowadzenie pomocy.

- Doskonale pan to wszystko obliczył, doktorze. Dwie osoby mogą dotrzeć do kopalni Buccaneer - ale tylko dwie.

- W takim razie niech pan bierze damę. Nurek uśmiechnął się ironicznie.

- To bardzo szlachetne z pańskiej strony, przyjacielu, ale nie obsadzamy łodzi ratunkowych na „Titanicu”.

- Proszę - powiedział Marquez. - Woda ciągle się podnosi. Niech pan zabierze doktor O'Connell w bezpieczne miejsce.

- Jeśli to panów uszczęśliwi - stwierdził nurek obojętnie i wziął Pat za rękę. - Używała pani kiedyś sprzętu do nurkowania?

Pat pokręciła głową.

Nieznajomy skierował światło reflektora na obu mężczyzn.

- A co z wami?

- Czy to naprawdę istotne? - spytał ponuro Marquez.

- Dla mnie tak.

- Jestem kwalifikowanym nurkiem - odparł doktor Ambrose.

- Tak sądziłem. A pan? Marquez wzruszył ramionami.

- Ledwie umiem pływać.

Nurek odwrócił się do Pat, która starannie owijała w plastik aparat i notes.

- Popłynie pani obok mnie i będziemy oddychać, przekładając sobie ustnik. Biorę wdech i podaję pani końcówkę. Pani bierze wdech i oddaje mi ją. Kiedy zejdziemy pod wodę, złapie się pani mojego pasa i będzie dobrze trzymać. - Następnie odwrócił się do Ambrose'a i Marqueza. - Przykro mi, że muszę was rozczarować, ale jeśli macie w planie umrzeć, to wybijcie to sobie z głowy. Wracam za piętnaście minut.

- Proszę nieco szybciej. - Marquez był szary jak popiół. - Za dwadzieścia minut woda będzie powyżej naszych głów.

- W takim razie proponuję stanąć na palcach.

Nieznajomy wziął Pat za rękę, zanurzył się pod wodę i zniknął w mrocznej otchłani.

Oświetlając drogę wodoszczelnym reflektorem, nurek płynął wzdłuż linii wskazywanej przez jego komputer. Woda podniosła się do samego szczytu tunelu, ale prąd, który odczuwał poprzednio, zniknął. Energicznie pracował płetwami, ciągnąc Pat za sobą.

Kątem oka spostrzegł, że Pat z całych sił zaciska powieki, a dłonie kurczowo wpijają się w jego pas. Ani razu nie otworzyła oczu - nawet biorąc i oddając ustnik.

Decyzja, by wziąć ze sobą zwykłą maskę na oczy oraz standardowy regulator tlenu zamiast sprawdzonej maski na całą twarz, okazała się mądra. Lekki sprzęt bardzo ułatwił przepłynięcie z kopalni Buccaneer - wiele z tamtejszych tuneli było zasypanych kamieniami i zastawionych poprzeczanymi drewnianymi belkami. W kilku miejscach, do których woda jeszcze nie doszła, trzeba było iść albo pełznąć. Omijanie wózków transportowych, podkładów i kawałów skał z całym sprzętem na plecach nie było łatwym zadaniem. Woda była lodowata i w miejscach, gdzie musiał płynąć, skafander mokry typu DUI Norseman sprawiał, że nieco marzł*. Zdecydował się jednak na norsemana, ponieważ dawał większy komfort poza wodą.

* Skafander mokry, strój z gumy piankowej, w którym woda dostaje się pomiędzy ciało nurka i skafander. Mankiety powodują, że woda nie cyrkuluje wokół ciała, a nieruchoma warstwa podgrzewa się do temperatury ciała i umożliwia nurkowi kilkugodzinne przebywanie pod wodą (przyp. tłum.).

Woda była mętna i światło reflektora wnikało w płynny mrok jedynie na trzy metry. Liczył mijane stemple, by móc ocenić pokonany dystans. Wreszcie tunel ostro zakręcał i kończył się małą galerią, prowadzącą do pionowego szybu. Kiedy wpłynęli do szybu, odnieśli wrażenie, jakby połknął ich głębinowy stwór. Dwie minuty później wynurzyli się z wody i mężczyzna skierował światło reflektora w ciemność nad nimi. Nieco ponad dziesięć metrów od nich znajdowało się wejście do poziomego tunelu, prowadzącego na wyższy poziom.

Pat odsunęła włosy z twarzy i patrzyła na nieznajomego szeroko otwartymi oczami. Dostrzegł, że mają śliczny, oliwkowy kolor.

- Udało się - wydyszała. Zakaszała, by wypluć z ust wodę. - Wiedział pan o tym szybie?

Podniósł monitor.

- To ta zabawka nas prowadziła. - Położył dłonie na śliskich szczeblach mocno pordzewiałej drabiny, prowadzącej w górę szybu. - Zdoła pani wejść sama?

- Jeśli będzie trzeba, pofrunę. - Pat była szczęśliwa, że wydostała się z ponurej komory i że w dalszym ciągu ma szansę - choć wciąż odległą - dożyć wieku emerytalnego.

- Wchodząc po drabinie, proszę także podciągać się na rękach i nie stawiać stóp w środku szczebli. Są stare, prawdopodobnie przerdzewiałe. Lepiej uważać.

- Poradzę sobie. Nie mogę teraz spać sprawy. Nie po tym, jak wyprowadził mnie pan tak daleko.

Podał jej zapalniczkę.

- Proszę znaleźć suche drewno i rozpalić ognisko. Zbyt długo była pani pod działaniem zimnej wody.

Kiedy znowu założył maskę i zaczął się szykować do zejścia pod wodę, złapała go gwałtownie za nadgarstek. Pociągały ją jego opalizujące oczy.

- Wraca pan po nich?

Kiwnął głową i uśmiechem dodał jej odwagi.

- Wyciągnę ich. Proszę się nie martwić. Jest jeszcze czas.

- Nie powiedział pan, jak się nazywa.

- Dirk Pitt.

Włożył w usta końcówkę automatu, machnął ręką i zniknął w ciemnej wodzie.

W starożytnej komorze woda doszła do barków obu mężczyzn. Klaustrofobia narastała wraz z jej przyborem. Jednak panika zniknęła, gdy Ambrose i Marquez pogodzili się z losem, jaki czeka ich w prywatnym Hadesie. Marquez postanowił walczyć do ostatniego tchu, Ambrose w milczeniu szykował się na śmierć w męczarniach. Chciał wyjść z komory i płynąć tunelem, póki płuca wytrzymają.

- Nie wróci, prawda? - mruknął Marquez.

- Nie wygląda na to. Prawdopodobnie uznał, że najlepiej jest dać nam fałszywą nadzieję.

- Dziwne, ale miałem wrażenie, że można mu zaufać.

- Może i można - odparł Ambrose na widok światła, które pojawiło się pod wodą.

- Bogu dzięki! - wyrzucił z siebie Marquez, kiedy promień halogenowego reflektora zatańczył na suficie komory. W chwilę później powierzchnię wody przebiła głowa Pitta. - Wrócił pan!

- A były jakieś wątpliwości?

- Gdzie Pat? - ostro spytał Ambrose.

- Bezpieczna - odparł krótko Pitt. - Jakies dwadzieścia pięć metrów w głąb tunelu odchodzi w górę suchy szyb.

- Znam go - powiedział Marquez, którego ledwie dało się zrozumieć. - Prowadzi na wyższy poziom Paradise.

Widząc, że górnik okazuje objawy hipotermii - senność i dezorientację - Pitt postanowił zabrać go pierwszego. Ambrose był w znacznie lepszym stanie. Musiał się spieszyć. Odrętwiające zimno coraz bardziej dawało o sobie znać, wysysając z nich życie.

- Teraz pan, panie Marquez.

- Kiedy zanurkujemy, mogę zemdleć ze strachu - jęknął górnik. Pitt chwycił go mocno za ramiona.

- To wyobraź sobie, że jesteś na Waikiki.

- Trzymajcie się - pożegnał ich Ambrose.

Pitt uśmiechnął się i przyjacielsko klepnął antropologa w ramię.

- Niech pan nigdzie nie odchodzi.

- Zaczekam.

Pitt dał znak Marquezowi.

- No, przyjacielu, jedziemy!

Ewakuacja poszła gładko. Pitt zrobił wszystko, by jak najszybciej dopłynąć do szybu. Widać było, że jeśli górnik wkrótce nie znajdzie się w suchym miejscu, straci przytomność. Jak na kogoś, kto bał się wody, Marquez trzymał się dzielnie. Brał głęboki wdech z ustnika i bez najmniejszego wahania oddawał go Pittowi.

Kiedy dotarli do drabiny, Pitt, popychając Marqueza, pomógł mu wyjść z wody.

- Uda się panu dojść samemu do następnego tunelu?

- Musi - wydusił górnik, walcząc z zimnem. - Nie zamierzam akurat teraz się poddać.

Pitt zostawił go i wrócił po zsiniałego z zimna Ambrose'a. Temperatura jego ciała obniżyła się do trzydziestu trzech stopni Celsjusza. Gdyby spadła o kolejne dwa, straciłby przytomność. Jeszcze pięć minut i byłoby za późno. Wodę dzieliły od sufitu już tylko centymetry. Pitt nie tracił czasu na pogawędki. Szybko podał ustnik antropologowi i pociągnął go za sobą do wody.

Piętnaście minut później siedzieli wokół ogniska rozpalonego przez Pat ze szczap drewna, które znalazła w pobliskiej odnodze tunelu. Pitt obszedł okolicę i znalazł kilka przewróconych stempli, które jakimś cudem wciąż były suche. Wkrótce tunel zmienił się w buchający płomieniami piec i uratowana trójka zaczęła się ogrzewać. Marquez odzyskiwał ludzki wygląd, a znów wesół Pat energicznie masowała Ambrose'owi stopy.

Uratowani korzystali z dobrodziejstw ognia, a Pitt zaczął planować drogę, którą mogliby się wydostać na powierzchnię. W dolinie Telluride było wiele starych kopalń. Ich szyby, sztolnie, boczne korytarze i tunele miały w sumie prawie sześćset kilometrów długości. Pitt dziwił się, że dolina już dawno nie zapadła się jak wydrążone przez korniki drewno. Pozwolił wszystkim przez prawie godzinę odpoczywać i suszyć ubrania, dopiero potem przypomniał, że trzeba wydostać się na powierzchnię.

- Jeśli chcemy jeszcze kiedyś ujrzeć błękitne niebo, musimy zacząć wychodzić.

- Po co ten pośpiech? - Marquez wzruszył ramionami. - Wystarczy pójść tym tunelem i poczekać, aż ratownicy przekopią się przez śnieg z lawiny.

- Nie chciałbym krakać - odparł dość ponuro Pitt - ale ratownicy będą mieli spore trudności. Droga do kopalni zasypana jest sześciometrową warstwą śniegu, a rosnąca temperatura zwiększa ryzyko kolejnej lawiny. Trudno powiedzieć, ile dni albo tygodni zajmie im przebicie się do wyjścia tunelu.

Marquez wpatrywał się w ogień i wyobrażał sobie panujące na górze warunki.

- Wszystko przemawia na naszą niekorzyść - powiedział w końcu.

- Mamy się czym ogrzać i co pić - stwierdziła Pat. - Na pewno wytrzymamy wystarczająco długo bez jedzenia.

Ambrose słabo się uśmiechnął.

- Aby umrzeć z głodu, potrzeba sześćdziesięciu do siedemdziesięciu dni.

- Moglibyśmy spróbować stąd wyjść - rzucił Pitt. Marquez pokręcił głową.

- Sam pan wie najlepiej, że jedyny tunel, prowadzący z Buccaneer do Paradise, jest zalany. Tą drogą się nie przedostaniemy.

- Zwłaszcza że nie mamy sprzętu do nurkowania - dodał Ambrose.

- Fakt - przyznał Pitt ale z mojego elektronicznego atlasu wynika, że istnieje przynajmniej dwadzieścia innych suchych tuneli i szybów, które prowadzą na powierzchnię.

- To ma sens - przyznał Marquez. - Tyle że większość z nich zdażyła się w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu lat zawalić.

- Mimo wszystko to lepsze, niż siedzieć przez miesiąc beczynnym i zgadywać, co będzie dalej - uznał Ambrose.

- Zgadza się - przytaknęła Pat. - Jak na razie starych sztolni wystarczy mi co najmniej na miesiąc.

Pitt podszedł do pionowego szybu i zajrzał w dół. Światło odbiło się od powierzchni wody najwyżej metr od podłogi tunelu.

- I tak nie mamy wyboru - uznał. - Za dwadzieścia minut woda zacznie się wlewać do tunelu.

Marquez stanął obok Pitta i popatrzył na mętną wodę.

- Niesamowite... widzieć po tylu latach, jak woda wpływa tak wysoko. Wygląda na to, że nie będę już wydobywał kamieni ozdobnych.

- Któraś z podziemnych rzek musiała z powodu trzęsienia ziemi dostać się do kopalni.

- To nie było trzęsienie ziemi! - rzucił ze złością Marquez. - To był dynamit!

- Chce pan powiedzieć, że zalanie kopalni i zawał były spowodowane detonacją materiałów wybuchowych? - spytał Pitt.

- Jestem tego pewien. - Przyjrzał się Pittowi przez zmrużone powieki. - Mogę założyć się o moje prawo własności tej kopalni, że ktoś tu jeszcze był.

Pitt wpatrywał się w groźną wodę.

- Jeśli to prawda - powiedział zamyślony - to komuś bardzo zależy na waszej śmierci.

5

- Pan prowadzi - zarządził Pitt, zwracając się do Marqueza. - Będziemy szli za światłem pańskiej latarki, aż bateria się wyczerpie. Wtedy skorzystamy z mojego reflektora.

- Nie będzie łatwo dostać się szybami na górne poziomy - stwierdził górnik. - Jak na razie mieliśmy szczęście, ale niewiele szybów ma drabiny. W większości używano wind.

- Pomyślimy o tym, jak zajdzie potrzeba - odparł Pitt.

Kiedy ruszyli na zachód - tak, jak nakazywał kompas Pitta - zbliżała się piąta po południu. Pitt dziwnie wyglądał, maszerując tunelem w skafandrze nurkowym, rękawicach i butach ze stalowymi czubkami. Poza tym wziął ze sobą jedynie komputer, kompas, reflektor i przypięty do prawego uda nóż nurkowy. Resztę sprzętu zostawił przy gasnącym ognisku.

Tunel był uprzątnięty i pierwsze sto metrów przeszli bez trudu. Marquez prowadził, za nim szli Pat i Ambrose. Pitt zamykał pochód. Między torami a ścianą tunelu było dość miejsca, by idąc, nie

potykać się o podkłady. Minęli dwa szyby - oba nie pozwalały na wejście na wyższy poziom. Doszli do galeryjki, z której rozchodziły się w ciemność trzy tunele.

- Jeśli dobrze pamiętam układ kopalni - powiedział Marquez - powinniśmy pójść tunelem odchodzącym w lewo.

Pitt skonsultował to ze swoim wiernym komputerem.

- Słusznie.

Po kolejnych pięćdziesięciu metrach doszli do sterty kamieni. Nie było ich wiele, poza tym leżały dość luźno i mężczyźni zabrali się do torowania przejścia. Po godzinie pracy, oddawszy całe wiadro potu, wydłubali dziurę wystarczająco dużą, by każdy mógł się prześlizgnąć. Doszli do następnego pomieszczenia - z szybem, w którym tkwiła stara winda. Pitt zaświecił w górę. Wrażenie było takie, jakby patrzyło się w bezdenną przepaść - tyle że w odwrotnym kierunku. Chociaż nie widać było jego końca, szyb wyglądał obiecująco. Na ścianie zamocowana była drabinka inspekcyjna, a liny, na których kiedyś jeździła winda, wisiały jak dawniej.

- Lepiej być nie może - stwierdził Pitt.

- Mam nadzieję, że nie jest przerdzewiała - stwierdził Ambrose, łapiąc boki drabinki i potrząsając. Konstrukcja zadygotała jak ciężka łuku i fala pomknęła do góry. - Już dawno odczyłem się wspinać po śliskich linach.

- Pójdę pierwszy - zaproponował Pitt i owinał wokół nadgarstka pasek latarni.

- Niech pan uważa przy pierwszym kroku - powiedziała Pat z leciutkim uśmiechem.

Pitt popatrzył jej w oczy i dostrzegł w nich prawdziwą troskę.

- Najbardziej martwi mnie zawsze krok ostatni.

Chwycił drabinkę, wspiął się kilka szczebli i zatrzymał, zaniepokojony drżeniem metalu. Po chwili ruszył dalej, za każdym ruchem obserwując wiszące na wyciągnięcie ramienia liny windy. Gdyby drabina nie wytrzymała, mógłby się ich złapać. Wchodził powoli, po jednym szczeblu, sprawdzając jego wytrzymałość, zanim w pełni go obciążył. Mógłby pokonywać dystans znacznie szybciej, ale musiał mieć pewność, że pozostali bezpiecznie pójdą w jego ślady.

Po piętnastu metrach stanął i poświecił w górę szybu. Drabina kończyła się niespodziewanie dwa metry nad nim, cztery poniżej podłogi wyższego tunelu. Pitt pokonał kolejne dwa szczeble i wyciągnął ręką po jedną z lin. Metalowa pleciona lina miała półtora centymetra średnicy, w sam raz, by dobrze ją chwycić. Puścił drabinę i zaczął się piąć, póki nie znalazł się półtora metra nad podłogą tunelu. Wtedy rozbijał się i skoczył.

- I jak? - krzyknął Marquez.

- Drabina jest urwana tuż pod tunelem, ale wciągnę was na górę. Wyślijcie doktor O'Connell.

Kiedy Pat wspinała się w stronę światła reflektora, słyszała dobiegające z góry odgłosy uderzeń. Zanim dotarła do ostatniego szczebla, Pitt zdążył wyrąbać w jakiejś starej belce zagłębienia na ręce i ostrożnie spuścił ją ku Pat.

- Niech pani złapie za przewężenia i mocno trzyma!

Zrobiła, jak kazał, i natychmiast została wciągnięta na górę. Kilka minut później obok niej stali Marquez i Ambrose. Pitt skierował światło w głąb korytarza. Ponieważ nie dostrzegli żadnych przeszkód, zgasił je, by oszczędzać baterie.

- Pan przodem, Marquez.

- Badałem ten tunel trzy lata temu. Jeśli dobrze pamiętam, prowadzi prosto do szybu wejściowego Paradise.

- Nie wyjdziemy tamtędy z powodu lawiny - zaproponował Ambrose.

- Możemy ją ominąć - odparł Pitt, studiując ekran wyświetlacza - jeśli skręcimy w następny boczny. Po stu pięćdziesięciu metrach dotrzemy do tunelu kopalni North Star.

- Co to właściwie jest boczny? - spytała Pat.

- Odejdźcie prostopadłe do szybu wydobywczego. Służy wentylacji i poruszaniu się po kopalni - odpowiedział Marquez. Popatrzył z powątpiewaniem na Pitta. - Nigdy nie widziałem tego przejścia, co oczywiście nie znaczy, że nie istnieje. Prawdopodobnie jest zasypane.

- W takim razie niech się pan dobrze przygląda lewej ścianie. Marquez ruszył przed siebie. Latarka na jego hełmie oświetlała drogę.

Tunel zdawał się nie mieć końca. W pewnym momencie górnik stanął i poprosił Pitta, żeby oświetlił mocniejszą lampką przestrzeń między dwoma stemplami.

- Wygląda na to, że znaleźliśmy to, czego szukamy - stwierdził, wskazując granitowy łuk nad luźno ułożonymi kamieniami.

Mężczyźni zaczęli oczyszczać przejście. W ciągu kilku minut zdołali przebić się na drugą stronę. Pitt skierował światło na otwór, który ledwie mieścił człowieka. Potem popatrzył na busolę.

- Prowadzi w odpowiednim kierunku. Poszerzymy przejście, żeby móc wpełznąć, i ruszajmy dalej.

Tunel był węższy od poprzednich. Musieli iść po podkładach, przez co posuwali się znacznie wolniej. Godzinny marsz ciągnął się w nieskończoność, wyczerpując i tak już niewielkie zapasy sił. Wszyscy co chwila potykali się o nierówne belki.

Kolejny zawał zmusił ich ponownie do nadłożenia drogi, co trwało niemal dwie godziny. W końcu weszli na górę skośną sztolnią, która przecinała trzy poziomy i kończyła się w wielkiej sali, gdzie stały przerdzewiałe resztki parowej windy. Z trudem wspięli się do końca sztolni, omijając ogromne cylindry oraz owinięte liną bębny.

Marquez zaczynał odczuwać wysiłek ostatnich godzin. Jak na swój wiek był w znakomitej kondycji, ale nie co dzień przeżywał takie napięcie jak ostatnio. Ambrose sprawiał wrażenie, jakby spacerował po parku. Jak na książkowego mola był zadziwiająco spokojny. Rozrywki dostarczały jedynie wściekłe pomruki Pitta. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i z denerwującą regularnością walił pożyczonym od dużo niższej Pat hełmem w stropnice.

Idąc z tyłu, nie widział twarzy swych towarzyszy, wiedział jednak, że każdy z nich jest tak uparty i dumny, że będzie szedł do upadłego, byleby jako pierwszy nie zaproponować przerwy. Ich oddechy stawały się coraz cięższe, więc choć sam nie czuł się jeszcze zmęczony, zaczął dyszeć, by zwrócić na niego uwagę.

- Jestem ugotowany. Może byśmy się na chwilę zatrzymali?

- Niezły pomysł - Marquez poczuł ulgę, że ktoś inny zaproponował odpoczynek.

Ambrose oparł się o ścianę.

- Moim zdaniem nie powinniśmy się zatrzymywać, dopóki stąd nie wyjdziemy.

- Mojego głosu nie dostaniesz - odparła Pat. - Nogi mi wyją z bólu. Musieliśmy przejść przez co najmniej tysiąc podkładów.

Kiedy opadli zmęczeni na podłogę, a Pitt stanął niedbale, domyślili się, że zostali oszukani. Nikt jednak nie narzekał, wszyscy cieszyli się z możliwości odpoczynku i rozmasowania zbolałych stawów.

- Wiadomo, co dalej? - spytała Pat. Pitt po raz setny popatrzył na komputer.

- Nie jestem stuprocentowo pewien, ale jeśli uda się nam wspiąć jeszcze o dwa poziomy i żaden

tunel nie będzie zasypany, powinniśmy za godzinę być na zewnątrz.

- Gdzie pana zdaniem wyjdziemy? - spytał Marquez.

- Gdzieś w centrum Telluride.

- Pewnie na dawnym terenie O'Reilly'ego. Niedaleko wyciągu na Mountain Village był kiedyś duży szyb. Będą problemy.

- Kolejne?

- Dokładnie na szczycie szybu stoi nowy hotel Sheridan i jego restauracja. Pitt uśmiechnął się.

- Jeśli się pan nie myli, stawiam kolację.

Siedzieli w milczeniu, zatopieni w myślach. Słysząc było tylko oddechy i krople wody kapiące z sufitu. Przygnębienie przeradzało się w nadzieję. Czuli, że zbliża się szczęśliwe zakończenie, zmęczenie powoli ustępowało.

Pitt zawsze podejrzewał, że kobiety mają lepszy słuch od mężczyzn. Panie, które go odwiedzały, zwykle narzekały, że telewizor gra za głośno. Spostrzeżenie to potwierdziła Pat.

- Zdaje mi się, że słyszę motocykl - powiedziała.

- Harley davidson czy honda? - spytał Marquez w przypływie humoru.

- Nie żartuję. Mogę przysiąc, że to silnik motocykla.

Pitt także coś usłyszał. Odwrócił się i popatrzył w głąb tunelu, w kierunku, z którego przyszli. Rozpoznał charakterystyczny odgłos rury wydechowej sportowego motocykla terenowego. Popatrzył ponuro na Marqueza.

- Czy zdarza się, że miejscowi chłopcy jeżdżą dla zabawy po tunelach kopalni?

Marquez pokręcił głową.

- Nigdy. Pogubiliby się - jeśli nie wpadliby najpierw w trzystumetrowy szyb. Poza tym drgania silników mogłyby spowodować pęknięcie przegniłych stempli i zawały. Nie, nie znam nikogo na tyle głupiego, by jeździł pod ziemią na motocyklu.

- Skąd nadjeżdżają? - spytała Pat.

- Z sąsiedniej, jeszcze dostępnej kopalni. Bóg jeden wie, jak trafili do tego samego tunelu co my.

- Szczególny zbieg okoliczności - stwierdził Pitt, wpatrując się w tunel. Nie wiedzieć czemu, czuł lekki niepokój. Stał nieruchomo i wsłuchiwał się w narastający odgłos. W starej kopalni warkot motocykli brzmiał wyjątkowo absurdalnie. Po chwili w głębi tunelu pojawił się pierwszy błysk światła.

Pitt potrafił ocenić, czy motocyklista jest jeden, czy też jest ich więcej. Naturalne było potraktowanie przybyszy jako zagrożenia. Lepiej na zimno dmuchać. Stare przysłowie wciąż było aktualne, Pitt nieraz się o tym przekonał.

Powoli minął Marqueza i Ambrose'a. Zaabsorbowani światłami, nie zauważyli, że ruszył wzdłuż ściany w kierunku motocykli. Jedynie Pat spostrzegła, że schował się w ciemnej niszy, prowadzącej do niewielkiej dziury między stemplami. Po chwili zniknął jak duch.

Motocyklistów było trzech. Każda maszyna oślepiająco świeciła halogenami. Wycieńczona trójka zaczęła osłaniać oczy i odwracać głowy. Motory stanęły, wolno terkocząc na luzie. Dwóch motocyklistów zsiadło i podeszło w kierunku grupy. Ich sylwetki rysowały się wyraziście w jaskrawych światłach reflektorów. W czarnych, opływowych hełmach i dwuczęściowych ubiorach z osłonami na piersiach wyglądali jak przybysze z kosmosu. Mieli wysokie do kolan buty, a ich ręce osłaniały czarne, żebrowane rękawice. Trzeci mężczyzna pozostał na swoim motorze. Jego towarzysze zbliżyli się do czekającej grupki i zdjęli kaski.

- Nie wiecie panowie, jak się cieszymy, że jesteście! - zawołała podniecona Pat.

- Wasza pomoc przydałaby się znacznie wcześniej - słabo dodał Ambrose.

- Jestem pełen uznania, że dotarliście tak daleko - powiedział motocyklista z prawej głębokim, ponurym głosem. - Byliśmy pewni, że utonęliście w komorze Amenów.

- Amenów? - zdziwiła się Pat.

- Skąd się tu wzięliście? - spytał Marquez.

- Nieważne - odparł motocyklista jak znudzony nauczyciel, któremu nie chce się odpowiadać na bezsensowne pytanie.

- Wiedzieliście, że jesteśmy uwięzieni w komorze?

- Tak - lodowato odparł motocyklista.

- I nic nie zrobiliście? - z niedowierzaniem powiedział Marquez. - Nie próbowaliście nas ratować ani wzywać pomocy?

- Nie.

Elokwentny rozmówca, pomyślał Pitt. Nawet gdyby przedtem nie był podejrzliwy, teraz wiedziałby na pewno, że nie mają do czynienia z miejscowym cwaniaczkiem, szukającym weekendowej przygody. Mężczyźni byli zabójcami, w dodatku nieźle uzbrojonymi. Nie zamierzali puścić ich z kopalni żywych. Należało zacząć działać, a jedyną przewagą Pitta było zaskoczenie. Wyjął z pochwy nóż i mocno złapał rękojeść. To jedyna broń, jaką dysponował, i musiała wystarczyć. Wziął kilka głębokich wdechów i rozprostował palce. Teraz albo nigdy!

- Jeszcze kilka minut i utonęlibyśmy w komorze.

Pat zastanawiała się, co robi Pitt. Może jest tchórzem i po prostu chowa się przed niebezpieczeństwem?

- Wiemy. Taki był plan.

- Plan? Jaki plan?

- Mieliście wszyscy zginąć - swobodnie odparł motocyklista. Jego słowa przyjęto z pełnym zdziwienia i przerażenia milczeniem.

- Niestety, pokonaliście i zawał, i wodę. Nie przewidzieliśmy waszej wytrwałości. Ale to nieważne, tylko odsunęliście to, co nieuniknione.

- Wybuch dynamitu... - wyszeptał Marquez. - To wy? Odpowiedź była szczerą.

- Tak, to myśmy założyli ładunek.

Pat przypominała dzikie zwierzę wpatrujące się w reflektory nadjeżdżającej ciężarówki. Wiedziała, że motocykliści nie zdają sobie sprawy z obecności Pitta, zachowywała się więc tak, jakby go nie było. Marquez i Ambrose sądzili, że Dirk po prostu stoi za nimi w milczeniu, tak samo sparaliżowany jak i oni.

- Dlaczego chcecie nas zabić? - spytała drżącym głosem. - Dlaczego nieznajomi mogliby chcieć naszej śmierci?

- Bo widzieliście czaszkę i napisy.

Marquez znajdował się na granicy strachu i wściekłości.

- I co z tego?! - warknął.

- Nie wolno pozwolić na to, by wiedza o waszym odkryciu wyszła poza tę kopalnię.

- Nie zrobiliśmy nic złego - powiedział dziwnie spokojny Ambrose. - Jesteśmy naukowcami i badamy fakty historyczne. Nie chodzi nam o skarby, lecz o znaleziska archeologiczne. Zabijanie z tego powodu jest chore.

Motocyklista wzruszył ramionami.

- Na wasze nieszczęście zetknęliście się z czymś, czego nie jesteście w stanie pojąć.

- Skąd wiedzieliście o wejściu do komory? - spytał Marquez.

- Zostaliśmy poinformowani. Więcej nie musicie wiedzieć.

- Przez kogo? O tym, że tam będziemy, wiedziało najwyżej pięć osób!

- Marnujemy czas - warknął drugi motocyklista. - Skończmy robotę i wrzucmy ich do najbliższego szybu.

- To szaleństwo... - w głosie Ambrose'a nie było słyhać większych emocji.

Pitt cicho wysunął się z kryjówki. Odgłos kroków zagłuszało warczenie silnika. Podkraśl się do trzeciego motocyklisty, który przysłuchiwał się rozmowie kolegów. Pitt nieraz zabijał, zawsze jednak - bez względu na to, jak okrutny był przeciwnik - wzdragał się przed wbijaniem noża w plecy. Teraz płynnym ruchem obrócił ostrze i z całej siły walnął tępym trzonkiem w kark motocyklisty, tuż pod hełmem. Był to niemal śmiertelny cios, został jednak wykonany tak, by zaatakowany przeżył. Motocyklista zwiotczał i opadł na Pitta z cichym, krótkim jęknięciem. Pitt przykucnął, objął przeciwnika rękami, przytrzymał chwilę i powoli położył wraz z motocyklem na tory. Zadbął o to, by silnik pracował nadal.

Odsunął napierśnik mężczyzny i wyciągnął z jego kabury jedenastostrzałowy samopowtarzalny pistolet Para-Ordnance P12 kaliber 45 ACP. Odbezpieczył broń i wycelował w plecy motocyklisty po prawej. Jeszcze nigdy nie strzelał z P12, ale po ciężarce wyczuwał, że magazynek jest pełen. Pistolet przypominał mu jego wiernego colta leżącego teraz w samochodzie Agencji.

Reflektory wyraźnie oświetlały obu zabójców, oni zaś nie mogli widzieć stojącego za ich plecami Pitta. Kiedy podszedł bliżej, dostał się w snop światła trzeciego motocykla i Ambrose poznał go.

Antropolog przyglądał się wychodzącemu z cienia Pittowi, wyciągnął rękę i ze zdziwieniem spytał:

- A ty skąd się tam wzięłeś?

Pitt starannie wycelował i musnął palcem spust.

- Do kogo gadasz? - spytał pierwszy motocyklista.

- A do mnie - obojętnie odparł Pitt.

Okazało się, że obaj motocykliści to najwyższej klasy fachowcy. Nie zmarnowali ani sekundy. Nie zaczęli dyskusji. Nie zadali żadnego pytania. Nie zawahali się ani chwili. Ich szósty zmysł zadziałał błyskawicznie. Płynnym, znakomicie wytrenowanym ruchem wyszarpnęli z kabur pistolety i w tej samej sekundzie odwróceniu patrzyli na Pitta. Na ich twarzach nie drgnął ani jeden mięsień.

Pitt nie stał na wprost, z ugiętymi lekko kolanami, trzymając oburącz wyciągniętą przed nosem broń, jak uczy się w akademiach policyjnych albo pokazuje w filmach akcji. Wolał postawę klasyczną, ze skrzyconym w bok tułowiem i wzrokiem wzniesionym nad barkiem. Broń trzymał pewnie w jednej ręce. Nie tylko był mniejszym celem, ale mógł precyzyjniej celować. Wiedział doskonale, że sławni rewolwerowcy, którzy dożywali sędziwego wieku, nie zawsze byli najszybsi. Często wystarczało po prostu celować przed pociągnięciem za spust.

Pierwszy strzał trafił prawego motocyklistę w nasadę szyi. Po nieznacznym, niemal niewidocznym przesunięciu pistoletu Pitt wystrzelił ponownie. Motocyklista po lewej dostał kulę w pierś prawie w tym samym momencie, kiedy w szczerbince jego broni pojawiła się sylwetka Pitta. Było nie do wiary, że dwaj ludzie mogli równocześnie zareagować w tak krótkim czasie. Gdyby dał

im jeszcze dwie sekundy, to jego ciało zwałiłoby się ciężko na granitową podłogę tunelu.

Strzały zadudniły jak salwa artyleryjska, a ogłuszający huk pomknął, odbijając się echem, w głąb chodnika. Przez dziesięć- może dwadzieścia sekund Pat, Ambrose i Marquez stali skamieniali, wpatrując się rozszerzonymi, szklistymi oczami w leżące u ich stóp ciała. Kiedy wreszcie pojęli, że ciągle jeszcze żyją, czar prysł.

- Co tu się, na Boga, dzieje? - zaczęła powoli i niezdecydowanie Pat. Popatrzyła na Pitta. - Zabił ich pan? - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

- Lepiej ja ich niż oni panią - odparł Pitt, obejmując ją ramieniem. - To koszmar, ale niedługo będzie po wszystkim.

Marquez nachylił się nad martwymi zabójcami.

- Kto to jest?

- Tę zagadkę będą musieli rozwiązać przedstawiciele odpowiednich służb - odpowiedział Ambrose. Wyciągnął rękę. - Chciałbym uścisnąć panu dłoń, panie... Nawet nie znam nazwiska człowieka, który uratował mi życie.

- To Dirk Pitt - wyjaśniła Pat.

- Jestem panu głęboko zobowiązany - stwierdził Ambrose. Wyglądał jednak nie tyle na uspokojonego, co podnieconego.

Ja też zapewnił Marquez i klepnął Pitta w plecy.

- Jak pan myśli, którędy się tu dostali? - spytał Pitt. Górnik zastanawiał się przez chwilę.

- Najprawdopodobniej przez Paradise.

- To znaczy, że sami się uwięzili, detonując dynamit, który spowodował zejście lawiny - stwierdził Ambrose.

Pitt pokręcił głową.

- Nie, myślę, że znali inną drogę na powierzchnię. Popelnili jedynie błąd, używając zbyt dużego ładunku. Nie spodziewali się, że wstrząsy spowodują zawał i otworzą szczeliny, przez które napłynie woda.

- To możliwe - przyznał Marquez. - Byli po drugiej stronie zawału i mogli bez trudu dojechać sztolnią do wyjścia. Kiedy stwierdzili, że jest zasypane, zaczęli krążyć w poszukiwaniu innej drogi...

- A po kilku godzinach trafili w końcu na nas - dokończył Ambrose. Pitt skinął głową.

- Wjeżdżając tu skośną sztolnią, oszczędzili sobie wspinaczki pionowymi szybami.

- Wyglądało to, jakby na nas czekali - powiedział Marquez.

Pitt nie zdradzał swych myśli, ale był pewien, że kiedy tylko motocykliści uciekli przed wodą, zaczęli ich szukać.

- To szaleństwo - Pat wciąż jeszcze oszołomiona patrzyła na trupy. - Dlaczego mówił, że zetknęliśmy się z czymś, czego nie jesteśmy w stanie pojąć?

Pitt wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Zastanawia mnie raczej to, kto ich przysłał? Kogo reprezentują? Poza tym jestem tylko prostym inżynierem oceanografem, który zmarzł, zmókł i marzy o średnio wypieczonych żeberkach i kieliszku tequili.

- Jak na inżyniera nieźle posługuje się pan bronią - stwierdził Ambrose.

- Strzelanie do kogoś z tyłu nie wymaga wielkich umiejętności - odparł cynicznie Pitt.

- A co zrobimy z tym? - spytał Marquez, wskazując na nieprzytomnego motocyklistę.

- Nie mamy sznura, by go związać, więc zabierzemy mu buty. Na bosaka daleko nie ucieknie.

- Chce go pan tak zostawić?

- Nie ma sensu wlec bezwładnego ciała. Poza tym jest spora szansa, że szeryf zdąży tu przysłać swoich ludzi, zanim koleś odzyska przytomność. - Pitt rozejrzał się po obecnych. - Czy ktoś z was umie jeździć motocyklem?

- Przez dziesięć lat jeździłem na harleyu - odparł Marquez.

- Ja mam starą hondę CBX Super Sport. Odziedziczyłam ją po ojcu - powiedziała Pat.

- Jeździ pani na niej?

- Jeździłam w college'u. Teraz czasem robię wypadki w weekendy.

Pitt popatrzył na nią z większym szacunkiem.

- Czyli jest pani zaprawioną w bojach, pewną w siodle kobietą w skórzanych spodniach?

- Co do joty - odparła z dumą.

- A pan, doktorze? - zwrócił się do Ambrose'a.

- Nigdy w życiu nie siedziałem na motocyklu. Dlaczego pan pyta?

- Ponieważ mamy tu trzy suzuki RM 125 w idealnym stanie i nie widzę powodu, aby ich nie wypożyczyć i wyjechać na nich z kopalni.

Marquez wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jestem za.

- Zaczekam tu, aż pojawi się szeryf - stwierdził Ambrose. - Wy jedźcie. Nie chciałbym siedzieć długo z jednym żywym zabójcą i dwoma martwymi.

- Wolałbym nie. Nie chciałbym zostawiać pana samego, doktorze. Niech pan jedzie ze mną.

Ambrose obstawał przy swoim.

- Te motocykle nie są przystosowane do wożenia pasażerów. Mowy nie ma, bym wsiadł na coś takiego. Poza tym będziecie jechać po torach, więc będzie strasznie trzęsło.

- Jak pan sobie życzy - ustąpił Pitt. Ukląkł i zabrał zabitym pistolety. Nie był urodzonym zabójcą, ale nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Ci ludzie zamierzali zamordować trzy niewinne osoby, których nigdy przedtem nie widzieli. Pod żadnym pozorem nie wolno było do tego dopuścić. Podał jeden z pistoletów Ambrose'owi. - Proszę trzymać się przynajmniej pięć metrów od naszego przyjaciela i być czujnym, nawet jeśli ruszy powieką. - Pitt podał mu także reflektor. - Baterie powinny wytrzymać do przybycia szeryfa.

- Wątpię, czy umiałbym zastrzelić człowieka - powiedział Ambrose lodowato.

- Niech pan nie traktuje tych istot jak ludzi. To zawodowi egzekutorzy. Bez problemu mogą poderżnąć kobiecie gardło, a zaraz potem iść na lody. Ostrzegam pana, doktorze. W razie czego, niech mu pan rozwali łeb kawałem skały.

Motocykle przez cały czas pracowały na jałowym biegu. Cała trójka błyskawicznie nauczyła się je obsługiwać. Pomachali doktorowi na pożegnanie i odjechali - Pitt przodem. Było za mało miejsca, by jechać między podkładami a ścianą tunelu bez ryzyka, że zawadzi się o nią końcem kierownicy, Pitt trzymał się więc środka toru. Pat i Marquez podążali tuż za nim. Motocykle podskakiwały na podkładach, powodując bezwiedne szczykanie zębami. Pat czuła się, jakby jej żołądek był bębniem wirującej pralki. Pitt szybko zauważył, że przy pewnej prędkości wibracje są mniejsze. Jechał czterdzieści kilometrów na godzinę - niewiele na asfaltowej drodze, ale dość niebezpiecznie w wąskim tunelu.

Nagie ściany tak odbijały dźwięki, że odgłosy silników dudniły w uszach jak wybuchy. Światło reflektorów nieustannie drgało. Muskając na przemian tory i stropnice, przypominało stroboskop. W

pewnym momencie Pitt omal nie wpadł na wózek, wystający z poprzecznego korytarza. Wkrótce znaleźli się na górnym poziomie kopalni, oznaczonym na komputerze Dirka jako The Citizen. Kiedy dotarli do rozwidlenia, Pitt stanął i znów popatrzył na wyświetlacz.

- Zgubiliśmy się? - spytała Pat, przekrzykując warkot motorów.

- Jeszcze dwieście metrów i powinniśmy dotrzeć do wyjścia, które pańskim zdaniem znajduje się pod hotelem.

- Wejście na teren O'Reilly'ego zostało zamknięte ponad sto lat temu - oznajmił Marquez. - Nigdy się tamtędy nie wydostaniemy.

- Nie zaszkodzi sprawdzić - Pitt wrzucił bieg i ruszył z kopyta. Po najwyżej dwóch minutach zahamował przed zagrządzającą korytarz ceglana ścianą. Oparł motor o stempel i zaczął uważnie oglądać cegły.

- Musimy znaleźć inne wyjście - Marquez zatrzymał się i podparł obydwoma nogami. - To jest ściana piwnicy hotelu.

Pitt zdawał się nie słyszeć. Przeciągnął palcami po starych ceglach. Kiedy Pat dojechała i zgasła silnik, odwrócił się.

- Dokąd teraz? - była kompletnie wycieńczona.

- Tam - Pitt wskazał na ścianę. - Proponuję, żebyście odstawili motory. Pat i Marquez nie rozumieli. Nie pojmowali planu nawet wówczas, gdy Pitt wsiadł na motor i wyrzucając spod kół żwir, pognął w kierunku, z którego przybyli. Po mniej więcej minucie usłyszeli, jak pędzi z powrotem. Światło reflektora jak oszalałe tańczyło na belkach.

Zdaniem Marqueza Pitt jechał przynajmniej pięćdziesiąt na godzinę. Około dziesięciu metrów przed ścianą - wciąż jadąc - postawił stopy na szynach, puścił kierownicę i stanął, pozwalając, by motocykl sam wyrwał do przodu. Pochylony zachowywał równowagę przez jakieś pięć metrów, po czym jego stopy ześlizgły się z torów i dalej poturlał się jak wielka kula do kręgli.

Motocykl dojechał do muru. Choć tuż przed uderzeniem zaczął się kłaść na bok, zachował dość rozpędu i walnął w mur ze zgrzytem protestującego metalu. Miejsce kolizji zakryła wielka chmura pyłu. Suzuki przebiło się przez stare cegły i zniknęło za nimi.

Pat podbiegła do Pitta leżącego nieruchomo na ziemi. Gdyby nie spojrzał na nią, byłaby gotowa przysiąc, że nie żyje. Uśmiechnął się jak obłąkany, nie zwracając uwagi na ciekącą mu z brody krew.

Patrzyła jak zauroczona.

- Nie mogę uwierzyć, że nie połamał pan sobie wszystkich kości...

- Żadna nie złamana - mruknął zboląły i powoli wstał - ale chyba parę powyginałem.

- To najbardziej szalona akcja, jaką kiedykolwiek widziałem - stwierdził Marquez.

- Może, ale przyniosła więcej korzyści, niż się spodziewałem - powiedział Pitt, trzymając się za prawy bark. Kiwnął głową w kierunku otworu. Oddychał głęboko i czekał, aż ból poobijanych żeber i barku ustąpi. Marquez powiększył wybitą przez motor dziurę. Zajrzał do środka i zaświecił latarką. Po kilku sekundach cofnął głowę.

- Chyba mamy poważne kłopoty - stwierdził.

- Dlaczego? - spytała Pat. - Nie da się tędy wyjść?

- Da się, ale będzie nas to sporo kosztować.

- Kosztować?

Pitt, kuśtykając, podszedł do ściany i zajrzał przez otwór.

- O nie...

- Co się stało? - spytała Pat.

- Motocykl - odpowiedział Pitt - wpadł do piwnicy z winem hotelowej restauracji. Do ścieku spływa zawartość kilkuset butelek dobrego wina...

6

Szeryf James Eagan prowadził akcję ratunkową w Paradise, kiedy powiadomiono go, że Luis Marquez został zatrzymany w hotelu New Sheridan za włamanie i wtargnięcie na teren prywatny. Eagan nic z tego nie rozumiał. Jak to możliwe? Żona Marqueza utrzymywała, że jej mąż został wraz z dwojgiem innych uwięziony w Paradise. Wbrew logice szeryf przekazał dowództwo akcji ratunkowej jednemu ze swych ludzi i pojechał na dół, do hotelu.

Kompletnie zniszczony motocykl, wbity między skrzynki wina, był ostatnią rzeczą, jaką spodziewał się zobaczyć. Jego zdziwienie wzrosło, gdy przesłuchał sprawców, którzy już przyznali się do winy. Ujrzał trójkę przemoczonych, brudnych i sponiewieranych ludzi - kobietę i dwóch mężczyzn, z których jeden ubrany był w porwany skafander nurka. Zakuty w kajdanki pilnowało dwóch ponurych strażników. Jeden z nich wskazał głową na Pitta.

- Ten miał przy sobie niezły arsenał.

- Masz jego broń? - spytał poważnie Eagan.

Zastępca skinął głową i uniósł trzy pistolety Para-Ordnance P12 kaliber 45 ACP.

Zadowolony Eagan zwrócił się do Marqueza.

- Jak, na Boga, udało ci się wyjść z kopalni i pojawić tutaj? - spytał kompletnie zdezorientowany.

- Nieważne! - odparował Marquez. - Musisz zejść ze swoimi ludźmi do tunelu. Znajdziesz tam dwa trupy i doktora Ambrose'a, którego zostawiliśmy, by pilnował trzeciego zabójcy.

Szeryf Jim Eagan sceptycznie odniósł się do tego oświadczenia. Właściwie nie uwierzył w nie. Usiadł, przechylił krzesło, aż stanęło na dwóch nogach, i wyjął z kieszonki koszuli notes.

- Opowiedz mi, co tu się właściwie dzieje?

Marquez, zrozpaczony, streścił wydarzenia. Opowiedział o zawale i zalaniu kopalni, szczęśliwym pojawieniu się Pitta, ucieczce z tajemniczej komory, spotkaniu z trójką morderców i gwałtownym wdarciu się do piwnicy z winami.

Z początku mówił powoli, walcząc ze zmęczeniem i skutkami przebytego stresu. Potem, kiedy poczuł, że szeryf mu nie wierzy, zaczął mówić coraz szybciej z rosnącą rozpaczą. Po kilku minutach błagał Eagana, by ratował Toma Ambrose'a.

- Cholera jasna, Jim, przestań się zachowywać jak tępak. Podnieś tyłek i sam się przekonaj!

Eagan znał Marqueza i wiedział, że twardo stoi na ziemi. Jednak opowieść wydawała się zbyt fantastyczna, by w nią uwierzyć.

- Czarna obsydianowa czaszka, niemożliwe do odczytania napisy na ścianach komory, wykutej trzysta metrów w głębi góry, mordercy krążący po kopalnianych tunelach na motocyklach... Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, jesteście wszyscy troje podejrzani o morderstwo.

- Pan Marquez opowiedział szczerą prawdę - potwierdziła powoli Pat. - Dlaczego nie chce mu

pan uwierzyć?

- A pani kim jest?

- Patricia O'Connell. Z Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii.

- Z jakiego powodu znalazła się pani w kopalni?

- Zajmuję się starożytnymi językami. Poproszono mnie o przyjazd do Telluride, żeby odcyfrować napisy, które odkrył pan Marquez.

Eagan przez chwilę przyglądał się kobiecie. Ładniej ubrana i w makijażu mogła być całkiem atrakcyjna. Nie chciało mu się wierzyć, że jest specjalistką od języków starożytnych. Z mokrymi, potarganymi strąkami na głowie i wysmarowaną mułem twarzą wyglądała jak bezdomna.

- Jedno wiem na pewno - powoli powiedział Eagan. - Zniszczyliście motocykl, być może kradziony, zdemolowaliście hotelową piwnicę z winem.

- Daj sobie z tym spokój - jęknął Marquez. - Ratuj Ambrose'a!

- Poślę ludzi do kopalni dopiero, kiedy się upewnię, że mówicie prawdę.

Jim Eagan był szeryfem okręgu San Miguel od ośmiu lat i bez zgrzytów współpracował ze strażą z Telluride. Zabójstwa były tu czymś rzadkim i mało znanym. Problemy, z jakimi borykali się funkcjonariusze, sprowadzały się do wypadków samochodowych, drobnych kradzieży, pijackich burd i wandalizmu. Czasem zatrzymywali kogoś pod wpływem narkotyków, lecz byli to prawie wyłącznie przyjezdni, wpadający do Telluride w drodze na liczne imprezy, takie jak festiwale bluegrassowe i jazzowe. Członkowie niedużej, zamieszkującej piękną okolicę społeczności szanowali Eagana - był sympatyczny, odpowiedzialny, ale lubił się pośmiać przy piwku w którymś z miejscowych barów. Średniego wzrostu i wagi, umiał jednak przybrać karcący wyraz twarzy. Jedno spojrzenie zwykle wystarczało, by zastraszyć tych, których aresztował.

- Czy mógłbym poprosić pana o drobną przysługę? - spytał Pitt. Posiniaczony i zmęczony, w porwanym skafandrze nurkowym, sprawiał wrażenie, jakby przeciągnięto go przez wirnik pompy wodnej.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na czterdzieści pięć lat, choć mógł mieć z pięć lat mniej, niż sugerowały ogorzale, kanciaste rysy. Szeryf dawał mu metr dziewięćdziesiąt wzrostu i osiemdziesiąt kilo wagi. Włosy miał ciemne, pofalowane, na skroniach przyprószone siwizną. Pod gęstymi brwiami jarzyły się jaskrawozielone oczy. Prosty, wąski nos, pod nim stanowcze usta, których kąciaki lekko unosiły się w uśmiechu. Eagana zaniepokoiła nie tyle obojętność mężczyzny - znał wielu przestępców, którzy udawali apatię - co jego podszyte rozbawieniem swobodne zainteresowanie. Było oczywiste, że taktyka Eagana, polegająca na okazywaniu, kto tu rządzi, nie wywierała na nim najmniejszego wrażenia.

- To zależy - odparł Eagan po dłuższej chwili. Długopis zawiesił nad kartką, jakby miał zaraz zapisać coś epokowego. - Pańskie nazwisko?

- Dirk Pitt.

- A co pan tu robi?

- Jestem dyrektorem Wydziału Programów Specjalnych Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Właśnie byłem w okolicy i pomyślałem sobie, że zabawnie by było trochę poszukać złota.

Eagan zagotował się w środku. Czuł, że facet ma nad nim przewagę.

- Możemy obyć się bez dowcipów, panie Pitt.

- Czy jeśli dam panu numer telefonu, zrobi mi pan uprzejmość i zadzwoni? - Ton głosu Pitta był

grzeczny, bez śladu wrogości.

- Chce pan rozmawiać z adwokatem? Pitt pokręcił głową.

- Nie. Wydało mi się, że rozmowa potwierdzająca moje stanowisko i informująca o mojej obecności tutaj mogłaby pomóc nam obu.

Eagan zastanawiał się chwilę, po czym przesunął w kierunku Pitta notes i długopis.

- Niech będzie, pisz pan numer.

Pitt zapisał numer i oddał notes.

- To rozmowa międzymiastowa. Może pan rozmawiać na koszt abonenta. A pan będzie mógł zapłacić za szkody w hotelu...

- Odbierze admirał James Sandecker - dodał Pitt. - To numer prywatny. Proszę podać mu moje nazwisko i wyjaśnić sytuację.

Eagan przysunął się do stojącego na biurku obok telefonu i wykręcił numer. Po krótkiej chwili zaczął mówić.

- Admirał Sandecker? Mówi szeryf Jim Eagan z okręgu San Miguel w Kolorado. Mam problem z człowiekiem, który twierdzi, że pracuje dla pana. Nazywa się Dirk Pitt. - Następnie szybko naszkicował sytuację, zaznaczając, że Pitt najprawdopodobniej zostanie aresztowany i oskarżony o wtargnięcie na teren prywatny, kradzież i wandalizm. W tym momencie szeryf przestał mówić, przez następne dziesięć minut przybierając coraz bardziej zdziwioną minę. Jedyne kilka razy - jakby rozmawiał z samym Panem Bogiem - powtórzył: - „Tak jest, sir!”. W końcu odłożył słuchawkę i wbił wzrok w Pitta. - Pański szef to wściekły drań!

Pitt roześmiał się.

- Większość ludzi tak mówi.

- Ma pan dość interesującą biografię...

- Zaproponował zwrot kosztów zniszczeń? Eagan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Powiedział, że każe panu ściągnąć wszystko z pensji. Zaciekawiona Pat spytała:

- Co jeszcze admirał miał do powiedzenia?

- Stwierdził między innymi - powiedział powoli szeryf - że jeśli pan Pitt uzna, że Południe wygrało wojnę secesyjną, to mamy mu wierzyć.

Pitt i Marquez, a za nimi Eagan i jeden z zastępców szeryfa przeszli przez wybitą w piwnicy dziurę i ruszyli truchtem w głąb tunelu. Wkrótce minęli stary, przyrdzewiały do szyn wózek na rudę i podążyli dalej, znikając w ciemności.

W mroku Pitt nie był w stanie ocenić pokonanej odległości. Zakładał, że zostawili Ambrose'a i nieprzytomnego zabójcę mniej więcej kilometr od hotelowej piwnicy. Co kilkadziesiąt metrów gasił pożyczoną od szeryfa latarkę i wypatrywał blasku reflektora, który zostawił antropologowi.

Po pokonaniu odpowiedniego dystansu stanął i skierował promień latarki w głąb tunelu. Potem wyłączył ją i przed nimi zapadła ciemność.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Pitt do Marqueza.

- To niemożliwe - odparł górnik. - Doktor Ambrose usłyszałby nasze głosy i zobaczył światła latarek. Na pewno krzyknąłby albo dał jakiś znak.

- Coś jest nie tak - Pitt oświetlił dziurę w ścianie tunelu. - To jest miejsce w którym schowałem się, kiedy nadjechali motocykliści.

Doszedł do nich Eagan.

- Dlaczego stajemy?

- Zabrzmi to dziwnie, ale zniknęli - odparł Pitt.

Szeryf poświecił Pittowi w twarz, by sprawdzić, czy nie znajdzie czegoś podejrzanego w jego oczach.

- Na pewno nie byli wytworem waszej wyobraźni?

- Przysięgam - wymamrotał Marquez. - Zostawiliśmy dwa ciała, nieprzytomnego zabójcę i doktora Ambrose'a, żeby go pilnował.

Pitt zignorował szeryfa i ukląkł. Powoli oświetlał podłogę tunelu, uważnie przyglądając się każdemu centymetrowi skalnego podłoża.

- Co pan...? - zaczął Marquez, ale Pitt dał znak, by mu nie przeszkadzano.

Zdaniem Pitta zabójcy i Ambrose musieli zostawić po sobie jakiś ślad. Szukał łusek wystrzelonych naboju, lecz niestety nie mógł ich znaleźć. Zaczął go boleć kark. Był pewien, że zatrzymali się w odpowiednim miejscu... Nagle nie tyle zobaczył, co wyczuł w odległości pół metra niemal niewidoczny czarny drut. Był tak cienki, że nie rzucał żadnego cienia. Powiódł promieniem latarki wzdłuż drutu - przez tory, w górę ściany, aż do przymocowanego na jednej ze stropnic czarnego zawiniątka.

- Szeryfie - spytał dziwnie cichym głosem - przechodził pan przeszkolenie z rozbijania bomb?

- Wykładam na ten temat w szkole policyjnej - odparł Eagan. - W wojsku byłem saperem. Dlaczego pan pyta?

- Wygląda na to, że komuś zależy, żebyśmy udali się na tamten świat w kawałkach. - Wskazał na idący do sufitu drucik. - Jeśli się nie mylę, to bomba pułapka.

Eagan zbliżył twarz do czarnego przewodu. Powiódł wzrokiem do płóciennego zawiniątka i uważnie mu się przyjrzał. Potem odwrócił się do Pitta z wyrazem szacunku w oczach.

- Chyba ma pan rację, panie Pitt. Ktoś pana nie lubi.

- Pana też, szeryfie. Musieli wiedzieć, że pan i pańscy ludzie będziecie nam towarzyszyć.

- Ale gdzie jest Ambrose? - spytał Marquez.

- Są dwie możliwości - odparł Pitt. - Pierwsza, że zabójca odzyskał przytomność, obezwładnił doktora, zabił go i wrzucił jego ciało do najbliższego szybu. Potem założył ładunek i uciekł innym, prowadzącym na zewnątrz tunelem.

- Powinien pan pisać bajki - stwierdził Eagan.

- Niech pan wyjaśni, skąd się wzięła pułapka.

- Skąd mam wiedzieć, że nie pan ją tu umieścił?

- Nie mam motywu.

- Daj mu spokój, Jim - wtrącił się Marquez. - Pan Pitt od kilku godzin nie schodzi mi z oczu. Właśnie uratował nam życie. Gdyby nie zabił nas wybuch, załatwiłby nas zawał.

- Nie mamy pewności, czy w paczce jest materiał wybuchowy - upierał się Eagan.

- To niech pan nadejmuje na przewód i sprawdzi. - Pitt uśmiechnął się złośliwie. - Ja nie jestem ciekawy. Wynoszę się. - Wstał i ruszył z powrotem w kierunku hotelu.

- Sekundę, panie Pitt! Jeszcze nie skończyliśmy! Pitt stanął i odwrócił się.

- Co pan zamierza, szeryfie?

- Sprawdzić pakunek. Jeśli się okaże, że to ładunek wybuchowy, rozbiorę go.

Pitt cofnął się kilka kroków i z poważną miną powiedział:

- Na pańskim miejscu nie robiłbym tego. To nie jest amatorszczyzna, poskładana do kupy przez

gówniarza na podwórku. Założę się o pensję, że skonstruowali ją fachowcy i wybuchnie przy najbliższym dotknięciu.

Eagan zamyślił się.

- Jeśli ma pan lepszy pomysł, chętnie posłucham.

- Kilkaset metrów dalej stoi wózek. Pchnijmy go, niech uderzy w drut i wysadzi ładunek.

- Sufit tunelu się zawali - zaproponował Marquez. - I zablokuje go na zawsze.

Pitt wzruszył ramionami.

- Przyszłe pokolenia nie poniosą wielkiej straty. Jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy przechodzą tędy od lat trzydziestych dwudziestego wieku.

- To ma sens - zgodził się Eagan. - Nie możemy przecież tak zostawić materiałów wybuchowych.

Mogłyby zrobić krzywdę komuś, kto by się tu zapuścił.

Piętnaście minut później dopchali wózek na odległość pięćdziesięciu metrów od drutu. Masywne koła początkowo skrzypiały w proteście, wkrótce jednak stary smar rozszedł się po łożyskach i gładko potoczyły się po torach. Czwórka spoconych mężczyzn dotarła wreszcie do szczytu niewielkiego podjazdu.

- Koniec trasy - oznajmił Pitt. - Jedno dobre pchnięcie i powinien potoczyć się przynajmniej kilometr.

- Albo do momentu, kiedy wpadnie do najbliższego szybu - dodał Marquez.

Podbiegli kilka metrów z wózkiem, aż nabrał prędkości i przegonił ich. Zatrzymali się i zaczęli łapać powietrze, dając sercom możliwość powrotu do normalnego rytmu. Oświetlili wózek, który po chwili zniknął za łukiem zakrętu.

Po niecałej minucie tunelem wstrząsnęła potężna eksplozja. Fala uderzeniowa niemal ich przewróciła. Chmura pyłu zawirowała wokół i pognała dalej, rozległo się długie dudnienie skał, zasypujących tunel.

Wciąż jeszcze grało im w uszach, kiedy Marquez krzyknął do Eagana:

- To powinno usunąć wszelkie wątpliwości!

- Chcąc udowodnić, że macie rację, zapomnieliście o jednym - powiedział głośno szeryf oschłym i prowokującym tonem.

Pitt popatrzył na niego.

- O czym?

- O doktorze. Wciąż może tkwić gdzieś za zawałem. Jeśli nawet nie żyje, nie ma teraz możliwości odnalezienia ciała.

- Ani potrzeby - odparł sucho Pitt.

- Mówił pan o dwóch możliwościach, ale przedstawił pan tylko jedną - stwierdził Eagan. - Ma pan jakieś wytłumaczenie?

Pitt lekko skinął głową.

- Jak najbardziej. Doktor Ambrose nie zginął.

- Uważa pan, że trzeci zabójca go nie zabił? - spytał Marquez.

- Mało prawdopodobne, by zabił swego szefa.

- Szefa?

Pitt uśmiechnął się.

- Doktor Tom Ambrose był jednym z zabójców.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Pat po wejściu do domu Marquezów. - Potrzebowałam gorącej kąpieli i obawiam się, że moczyłam się trochę za długo.

Lisa Marquez objęła ją z radością.

- Nie wie pani, jak się cieszę, że znów panią widzę! - Na widok Pitta jej twarz rozpromieniła się w anielskim uśmiechu. Ucałowała go w oba policzki. - Nie wiem, jak mam dziękować za przyprowadzenie męża do domu całego i zdrowego!

- Nic wielkiego nie zrobiłem - Pitt uśmiechnął się w charakterystyczny dla siebie sposób. - Uratowałem Luisa, by uratować siebie.

- Mówi pan tak tylko przez skromność.

Pat zaskoczyło zawstydzenie Pitta. Kiedy wbił wzrok w dywan, dodała:

- Pani mąż nie był jedyną osobą, którą Dirk uratował.

- Luis nie chciał wiele mówić o waszych przejściach. Musicie o wszystkim opowiedzieć przy kolacji. - Lisa wyglądała bardzo elegancko w markowych spodniach. - Dajcie kurtki.

- Czyżbym czuł zapach piekącego się na grillu jelenia? - spytał Pitt, by zmienić temat.

- Luis siedzi w garażu i bawi się w kucharza - wyjaśniła Lisa. - Jest za zimno, żeby jeść na dworze. Nakryłam do stołu w oszklonym solarium na werandzie. Luis zamontował tam ogrzewanie, więc jest przyjemnie i ciepło. Kiedy będziecie przechodzić przez kuchnię, weźcie sobie piwo z lodówki.

Pitt wziął butelkę pacifico i poszedł do Marqueza, który stał nad dwustu-litrową beczką, przerobioną na wędzarnię.

- Ładnie pachnie - stwierdził Pitt. - Nie używacie grilla na węgiel drzewny?

- Wędzenie nadaje mięsu, drobiowi i rybom znacznie lepszy aromat. Zastrzeliłem tego jelenia jeszcze w zeszłym sezonie, opraciłem w Montrose i zamroziłem. Zobaczysz pan, jak smakuje ze specjalnym sosem mornay Lisy.

Wkrótce potem wszyscy siedzieli przy długim sosnowym stole, który Marquez zbudował na oszklonej werandzie, i rozkoszowali się stekami z sosem Lisy. Do mięsa podano szpinak, pieczone ziemniaki i wielką miskę sałaty. Marquez poprosił przed kolacją Dirka i Pat, żeby nie opowiadali zbyt wiele o ich niemiłej przygodzie. Nie chciał denerwować żony. Wystarczająco dużo przeszła, zanim dowiedziała się, że mąż żyje i wy dostał się z kopalni cały i zdrowy. Traktowali więc swą gehennę tak, jakby nie stało się nic wielkiego. Nie wspominali o zabójcach, a nieobecność Ambrose'a wyjaśnili jego spotkaniem z przyjaciółmi.

Zachowywali się, jakby wrócili ze spaceru po parku, ale Lisa - choć się z tym nie zdradzała - wiedziała swoje. Pat pomogła jej posprzątać ze stołu. Lisa zajęła się karmieniem córek. Potem zrobiła kawę, by mieli czym popijać marchewkowe ciasto.

- Przepraszam na sekundę - Pitt odszedł w głąb domu, powiedział coś Lisie i wrócił do Luisa i Pat.

Wykorzystując okazję, że żona nic nie usłyszy, Marquez zwrócił się do Pitta.

- Nie mogę przyjąć pańskiej teorii o doktorze. Jestem niemal pewien, że zabili go, kiedy odjechaliśmy.

- Zgadzam się - powiedziała Pat. - Sugestia, że Tom nie był jedynie szanowanym naukowcem, jest absurdalna.

- Widziała go pani kiedykolwiek przedtem? - spytał Pitt. Pokręciła głową.

- Nie, tylko słyszałam o nim.

- Ale nigdy go pani nie widziała?

- Nie.

- W takim razie skąd pewność, że człowiek, który przedstawiał się jako Tom Ambrose, to nie oszust?

- Dobrze - wtrącił Marquez. - Załóżmy, że był podstawiony i działał razem z tymi szalonymi motocyklistami. Jak wyjaśni pan to, że gdyby nie pan, utonąłby razem z nami?

- No właśnie - przytaknęła Pat. - Trudno łączyć go z bandą, jeśli chciała go zabić tak samo jak nas.

- Jego towarzysze spaprali robotę - w głosie Pitta brzmiała całkowita pewność. - Może i są specjalistami od materiałów wybuchowych, ale nie znają się na górnictwie i założyli zbyt silny ładunek. Zamiast zawału i zasypania tunelu spowodowali pęknięcie przegrody blokującej koryto podziemnej rzeki. Woda zalala dolne poziomy. To pokrzyżowało im plany. Szyb i komora z czaszką zostały zalane, zanim zdążyli objechać zawał i uratować szefa.

Marquez wpatrywał się w otaczające Telluride góry. Wyraźnie odcinały się od rozgwieżdżonego nieba.

- Dlaczego chcieli zasypać tunel? Co by im z tego przyszło?

- Morderstwo doskonałe. Zamierzali zabić was, uderzając kamieniem w głowę, i zasypać potem głazami. Jeśli w ogóle znaleziono by wasze ciała, uznano by, że zginęliście w wypadku.

- Ale po co mieliby nas zabijać? - spytała Pat. - W jakim celu?

- Ponieważ stanowicie zagrożenie.

- Luis i ja mamy stanowić zagrożenie? Dla kogo?

- Dla zamożnej, dobrze zorganizowanej tajnej organizacji, która nie życzy sobie, by odkrycie komory i czaszki wyszło na jaw.

- Dlaczego ktoś chciałby ukrywać tak znaczące znalezisko? - Pat była zdenerwowana.

Pitt wzruszył ramionami.

- Tu moje domysły się kończą. Jednak mogę założyć się o tę farmę, że to nie był osamotniony przypadek. Pasma trupów musi prowadzić do innych, podobnych odkryć.

- O ile wiem, podobną tajemnicą otoczona jest wyprawa doktora Jeffrey'a Taffeta z Uniwersytetu Stanowego Arizony. Zginął z kilkoma studentami podczas badania jaskini na zachodnim zboczu góry Lascar w Chile.

- Jaka była przyczyna śmierci?

- Znaleziono ich zamrożonych - odparła Pat. - Według ekipy ratunkowej było to bardzo dziwne. Trwał okres dobrej pogody, nie przeszła żadna burza, a temperatura utrzymywała się nieco poniżej zera. W wyniku śledztwa nie ustalono żadnej racjonalnej przyczyny zamrożenia Taffeta i studentów.

- Co było w jaskini?

- Nikt tego nie wie na pewno. Dwóch wspinaczy amatorów - adwokatów z Nowego Jorku - odkryło jaskinię podczas zejścia ze szczytu i wstępnie ją przebadano. Twierdzili, że były tam znaleziska archeologiczne. Wkrótce potem zginęli.

Pitt przyglądał się w napięciu.

- Zamordowani?

- Kiedy wracali do domu, ich prywatny samolot rozbił się przy starcie z lotniska w Santiago.

- To coraz bardziej tajemnicze.

- Kolejne ekspedycje nie znalazły w jaskini niczego. Albo adwokaci przesadzali...

- ... albo ktoś ją wyczyścił - dokończył Pitt. Pat wzruszyła ramionami.

- Nigdy się tego nie dowiemy.

- Udało się pani uratować jakieś zapiski z komory? - spytał Pitt.

- Kartki zamokły, ale wysuszyłam je suszarką i są dość czytelne. Jeśli następne pytanie dotyczy znaczenia napisów, odpowiem: nic z tego. Symbole nie przypominają żadnej znanej mi formy pisma.

- Myślałem, że symbole przenikają ze starszych kultur do nowszych i w rezultacie nie różnią się zbyt - powiedział po namyśle Pitt.

- Niekoniecznie. Istnieje szereg starożytnych inskrypcji, które nigdzie się nie powtarzają. Niech pan mi wierzy - znaki z komory są zupełnie inne.

- Czy istnieje możliwość, że zostały sfalszowane?

- Nie mogę tego stwierdzić, zanim ich dokładnie nie zbadam.

- Na pewno od dawna nikt nie wchodził do komory - powiedział stanowczo Marquez. - Na skale wokół nie było żadnych śladów.

Pat odgarnęła włosy z czoła.

- Pytanie brzmi: kto ją zbudował i dlaczego?

- I kiedy - dodał Pitt. - Komora i zabójcy jakoś się ze sobą wiążą. Kanionem pomknął nagły podmuch wiatru i zatrzęsł oknami solarium.

Pat zadrżała.

Robi się zimno. Pójdę po płaszcz. Marquez odwrócił się w stronę kuchni.

- Ciekawe, gdzie Lisa z kawą i ciastem...

Pitt wstał gwałtownie i pchnął górniką pod stół. Potem złapał Pat, rzucił ją na podłogę i przykrył własnym ciałem. Podejrzany ruch za oknami uruchomił reakcję obronną. W następnej sekundzie w ciemnościach na zewnątrz zapłonęły dwa płomyki wystrzałów. Były prawie równoczesne i zwały się w jeden dźwięk.

Pat tylko jęknęła, kiedy Pitt przygniótł ją swoim ciężarem. Z ciemności dobiegł znajomy, pewny siebie głos.

- Mam go!

Pitt odturlał się na bok i wstał. Pomógł Pat usiąść na krześle, po czym podniósł Marqueza.

- Ktoś strzelał... a ten głos? - wymamrotał oszołomiony Marquez.

- Proszę się nie martwić - uspokoił go Pitt. - To nasz człowiek.

- Lisa...! Dzieciaki! - rzucił Marquez i ruszył w kierunku kuchni.

- Bezpieczni w wannie - powiedział Pitt, łapiąc go za ramię.

- Jak to...

- Kazałem im się tam schować.

Z cienia wyszedł krępy, przypominający byczka mężczyzna w białym kombinezonie z kapturem. Włókł za sobą ciało ubrane w czarny strój wojownika ninja, z twarzą zasłoniętą wełnianą maską. Na głowie miał szopę poskręcanych w loki czarnych włosów, ciemne oczy Etrusków. Otworzył usta w szerokim uśmiechu, ukazując dwa szeregi śnieżnobiałych zębów. Ciało ciągnął z taką łatwością, jakby miał do czynienia z pięciokilową torbą ziemniaków.

- Jakież problemy? - spytał spokojnie Pitt, kiedy wyszedł na zewnątrz.

- Nie - odparł nieznajomy. - To było łatwe jak napad na ślepego. Dostał się tutaj po mistrzowsku, ale nie spodziewał się zasadzki.

- Niedocenianie ofiary to najpoważniejszy błąd, jaki może popełnić zawodowy zabójca.

Pat przyglądała się Pittowi. Twarz miała bladą jak popiół.

- Zaplanowaliście to?

- Oczywiście - przyznał okrutnie Pitt. - Ci zabójcy są... - przerwał i popatrzył na mężczyznę u swych stóp - byli fanatykami. Nie wiem, dlaczego chcieli zamordować każdego, kto widział tajemniczą komorę. Mnie umieścili na samym szczycie swojej listy, ponieważ sypnąłem nieco piasku w tryby ich znakomicie naoliwionej maszynierii. Obawiali się, że mógłbym wrócić do komory i zabrać czaszkę. Jeśli chodzi o Pat, bali się, że może odczytać napisy. Kiedy wydostaliśmy się z tunelu i rozmawialiśmy z szeryfem Eaganem, ten typ obserwował nas, czekając, aż nadarzy się okazja do strzału. Jeśli włożyli tyle wysiłku w eliminację świadków, nie potrzeba było szczególnej przenikliwości, by domyślić się, że zamierzają dokończyć robotę i zabić nas. Zarzuciłem przynętę, a potem ich złowiliśmy.

- To my byliśmy tą przynętą - powiedział Marquez z wyrzutem. - Mogliśmy zginąć.

- Lepiej było podjąć ryzyko, kiedy mieliśmy przewagę, niż czekać, aż będziemy bezbronni.

- Czy szeryf o tym wie?

- Właśnie w tej chwili powinien aresztować drugiego zabójcę w pensjonacie Pat - W moim pokoju był zabójca? Kiedy się kąpałam?

- Nie - cierpliwie odpowiedział Pitt. - Wszedł tam dopiero po tym, jak wyszliśmy do państwa Marquezów.

- Mógł wejść wcześniej i mnie zabić!

- Raczej nie. - Pitt ścisnął jej dłoń. - Proszę mi wierzyć, ryzyko było naprawdę niewielkie. Nie zauważyła pani, że w pensjonacie nagle zrobił się tłok? Ludzie szeryfa udawali uczestników zjazdu i zapełnili salę i jadalnię. Skrytobójca nie zaatakowałby swej ofiary w takich warunkach. Kiedy powiedzieliśmy, że jedziemy do Marquezów, zabójcy się podzielili. Jeden miał wysłać nas na cmentarz podczas kolacji, drugi został, by przeszukać pani pokój.

- Ten człowiek nie przypomina mi nikogo z ludzi szeryfa - stwierdził Marquez, wskazując na muskularnego intruza w białym ubraniu.

Pitt objął nieznajomego ramieniem.

- Chciałbym państwu przedstawić mego najstarszego i najlepszego przyjaciela, Alberta Giordina. Jest moim zastępcą w Agencji.

Marquez i Pat stali w milczeniu, nie wiedzieli, jak się zachować. Studiowali Ala z uwagą, z jaką badacz owadów obserwuje okaz przez mikroskop. Giordino puścił nogę zabójcy, zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- Miło mi was poznać. Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Dostałeś? - spytał Pitt.

- Facet zareagował momentalnie - odparł Giordino.

- Widziałem.

- Musiał być telepatą. Strzelił do mnie w tym samym momencie, kiedy nacisnąłem spust. - Giordino wskazał na cienki ślad na kombinezonie w okolicy biodra. - Jego kula ledwo mnie musnęła, moja trafiła go w prawe płuco.

- Miałaś szczęście.

- Nie wiem... Celowałem, on nie.

- Żyje?

- Raczej tak, ale szybko sobie w maratonie nie pobiega. Pitt schylił się i ściągnął z twarzy zabójcy maskę.

Pat jęknęła. Trudno się dziwić; Pitt uważał, że wciąż jeszcze nie oswoiła się z tym, co wydarzyło się od jej przybycia do Telluride.

- Boże drogi! - W jej głosie przerażenie mieszało się z rozpaczą. - To doktor Ambrose!

- Nie, droga pani - łagodnie powiedział Pitt. - To nie jest doktor Thomas Ambrose. Jak mówiłem przedtem, prawdziwy doktor Ambrose prawdopodobnie nie żyje. Moim zdaniem ten typ wziął na siebie pozabijanie nas, ponieważ tylko on mógł nas rozpoznać.

Prawda słów Pitta uderzyła Pat z obezwładniającym okrucieństwem. Uklękła, popatrzyła zabójcy w oczy i spytała:

- Dlaczego musiał pan zamordować doktora Ambrose'a?

W oczach bandyty nie było żadnych emocji. Jediną oznaką, że jest ranny, był ciekący z ust strumyczek krwi.

- Nie zamordować, a dokonać egzekucji - wyszeptał w odpowiedzi. - był zagrożeniem i musiał umrzeć... tak jak i wy umrzecie...

- Masz odwagę jeszcze się usprawiedliwiać? - powiedział Pitt z groźną nutą w głosie.

- Niczego nie usprawiedliwiam. Obowiązków wobec Nowego Przeznaczenia nie trzeba usprawiedliwiać.

- Nowe Przeznaczenie? Co to?

- Czwarte Imperium, ale nie ujrzycie go, bo przedtem umrzecie. - W głosie zabójcy nie było nienawiści ani arogancji. Stwierdzał fakt. Mówił z lekkim, europejskim akcentem.

- Komora, czaszka - jakie mają znaczenie?

- To wiadomość z przeszłości. - Po raz pierwszy na jego ustach pojawił się ślad uśmiechu. - Największa tajemnica na świecie. Więcej niczego się nie dowiecie.

- Może będzie pan chętniej współpracować po kilku latach ciężkiego więzienia za morderstwo...

Zabójca pokręcił głową.

- Nigdy nie stanę przed sądem.

- Wyzdrowieje pan.

- Nie o to chodzi. Nie będzie kolejnego przesłuchania. Umrę z satysfakcją, że wkrótce pójdiesz w moje ślady, panie Pitt...

Zanim Pitt zdążył cokolwiek zrobić, zabójca podniósł dłoń do ust i włożył między zęby kapsułkę.

- Cyjanek, panie Pitt. Tak skuteczny, jak sześćdziesiąt lat temu, kiedy zażył go Hermann Gering. - Zgryzł kapsułkę.

Pitt przyłożył usta do ucha zabójcy. Musiał powiedzieć mordercy Thomasa Ambrose'a słowo na jego podróż w wielką nicość.

- Przykro mi, ty nieszczęsny gnoju. Wiemy niejedno o waszym kretyńskim imperium.

To było obrzydliwe kłamstwo, ale dało Pittowi okrutną satysfakcję. Ciemne oczy rozszerzyły się, po czym zmatowiały i zamarły. Zabójca był martwy.

- Nie żyje? - szepnęła Pat.

- Jak mumia egipska - bezdusznie odparł Pitt.

- Krzyżyk na drogę - dodał Giordino i wzruszył ramionami. - Szkoda, że nie możemy nakarmić nim sępów.

Pat patrzyła na Pitta.

- Wiedział pan... Dlatego nie dał mu pan broni.

- Pozabijałby nas wszystkich - stwierdził Marquez. - Jak go pan rozgryzł?

- Zgadywałem, nic więcej. Wydał mi się zbyt wyrachowany, za spokojny. Nie zachowywał się jak człowiek, którego życie jest zagrożone.

W kuchni zadzwonił telefon. Marquez odebrał, przez chwilę słuchał, powiedział kilka słów i rozłączył się.

- Szeryf Eagan - wyjaśnił. - Dwóch jego zastępców poważnie raniono w pensjonacie Pat. Jakiś obcy, uzbrojony mężczyzna został postrzelony i zmarł, zanim złożył zeznanie.

Pitt w zamyśleniu przyglądał się ciału fałszywego doktora Ambrose'a.

- Kto powiedział, że martwi nic nie mówią? - spytał w końcu.

- Możemy wyjść? - rozległ się niewiele głośniejszy od szeptu głos Lisy Marquez, która stanęła w drzwiach do kuchni i spostrzegła ciało na podłodze.

Pitt podszedł i wziął ją za rękę.

- Bez najmniejszej obawy. Marquez troskliwie objął żonę.

- Jak dziewczynki?

- Wszystko przespały.

- Zawał zamknął tunel na dobre - powiedział Marquez do Lisy. - Wygląda na to, że górnicze czasy się skończyły.

- Wcale się tym nie martwię - odparła Lisa z uśmiechem. - Jesteś bogatym człowiekiem, Luisie Marqueezie. Najwyższy czas zmienić styl życia.

- To będzie konieczne - powiedział Pitt. W oddali słychać było wycie syren radiowozu szeryfa i ambulansu. - Dopóki nie dowiemy się, kim są ci ludzie i co zamierzają, wasza rodzina musi opuścić Telluride. - Spojrzał ze złością na ciało zabójcy.

Lisa patrzyła na męża, ale jej oczy widziały coś całkiem innego.

- Ten mały, otoczony palmami hotelik na plaży Cabo San Lucas, który zawsze chcieliśmy kupić...

Luis skinął głową.

- Chyba nadszedł czas.

Pat dotknęła ramienia Dirka. Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

- A gdzie ja mam się schować? Nie mogę ot tak zrezygnować z kariery. Zbyt wiele czasu i wysiłku kosztowało mnie, by osiągnąć to, co mam.

- Jeśli wróci pani na salę wykładową i do badań, pani życie nie będzie warte nawet dwóch centów. Przynajmniej dopóki nie dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Jestem specjalistką od języków starożytnych, pan inżynierem oceanografem. Ściganie morderców to nie nasze zadanie.

- Zgadza się. Od tej chwili sprawę przejmą odpowiednie służby rządowe. Ale pani wiedza będzie im jednak potrzebna.

- Uważa pan, że to jeszcze nie koniec? Pitt powoli pokręcił głową.

- Nieważne, jak to nazwiemy: spiskiem czy makiaweliczną intrygą - faktem jest, że mamy do czynienia z czymś więcej niż ze zwykłymi morderstwami. Nietrudno się domyślić, że napisy z komory i obsydianowa czaszka mają dużo większe znaczenie, niż nam się wydaje.

Zjawił się szeryf Eagan i zaczął przesłuchiwać Giordina. Pitt wyszedł na zewnątrz i przyglądał się wspaniałemu pasmu Drogi Mlecznej. Dom Marquezów stał na wysokości mniej więcej trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Gwiazdy zdawały się większe i migotały jak morze kryształu.

Przebijał wzrokiem niebo i przeklinał noc, swoją bezsilność, tajemniczych morderców i siebie, pogrążonego w niewiedzy. Kim byli ci szaleńcy i co to za Czwarte Imperium? Odpowiedzi krążyły w ciemnościach, umykając przed pochwyceniem.

Wiedział jednak na pewno, że ktoś zapłaci. I to słono.

To od razu poprawiło mu nastrój. Pod złością Pitta kryła się dziwna pewność. Zaczęła klarować się myśl - krążyła i dojrzewiała - aż wreszcie uświadomił sobie, co musi zrobić.

Jutro z samego rana wróci do kopalni, by zdobyć czarną obsydianową czaszkę.

8

Ponieważ spowodowany bombą pułapką zawał zablokował drogę, którą wydostali się z kopalni, ekipa złożona z Pitta, Giordina, Eagana, Marqueza i dwóch zastępców szeryfa musiała znaleźć inną trasę. Wybrali tę, którą przybył Pitt z kopalni Buccaneer. Dzięki komputerowi szybko dotarli do zalanego szybu prowadzącego do niższych tuneli kopalni Paradise.

Pitt stał na skraju szybu, wpatrywał się w ciemną, złowrogą wodę i zastanawiał się, czy to, co zamierza zrobić, jest naprawdę dobrym pomysłem. Kopalnia była zalana o dwa poziomy wyżej niż wczoraj. W nocy przybór wody osłabł, woda się ustabilizowała.

Szeryf Eagan uważał plan za szalony. Tak samo Pat O'Connell, Luis i Lisa Marquezowie. Giordino był innego zdania tylko dlatego, że sam miał iść z Pittem jako wsparcie na wypadek jakichś problemów.

Sprzęt Pitta był w zasadzie taki sam jak poprzednio, tyle że teraz postanowił użyć skafandra suchego. Skafander mokry był lepszy poza wodą, bo chronił przed zimnem w czasie marszu, ale skafander suchy lepiej osłaniał ciało przed lodowatą wodą w tunelach. W drodze do szybu był oczywiście ubrany w ciepłe, wygodne ubranie i zamierzał założyć skafander dopiero tuż przed zejściem pod wodę.

Luis Marquez towarzyszył ekipie wraz z trzema przyjaciółmi górnikami. Zatrudnił ich do pomocy przy niesieniu sprzętu do nurkowania oraz sznurowych drabinek. Szeryf Eagan był przekonany, że będzie potrzebny do prowadzenia akcji ratunkowej. Uważał ją za nieuniknioną.

Pitt i Giordino zdjęli ubrania, po czym dla dodatkowej ochrony założyli nylonowo-poliestrowe podpinkę, przypominające wyglądem duże śpioszki. Potem wsunęli się w gumowe skafandry, zaopatrzone w kaptury, rękawice i buty z porządnym protektorem. Kiedy się ubrali i sprawdzili sprzęt, Pitt popatrzył Giordinowi w oczy. Niewysoki Włoch był spokojny, jakby miał wskoczyć do dwumetrowego basenu.

- Poprowadzę z komputerem, a ty skoncentruj się na tabelach dekompresji. Giordino uniósł lewą rękę, do której miał przymocowany komputer z niezbędnymi danymi.

- Zakładając pół godziny nurkowania na głębokość trzydziestu pięciu metrów, do tego na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza, obliczenie długości postojów na

dekompresję trochę mi zajęło, ale myślę, że uda mi się wyciągnąć cię z tego kamiennego ogrodu bez oszołomienia azotem, zatorów tętniczych i bólów mięśni.

- Będę niezmiernie wdzięczny. - Pitt założył maskę z wmontowanym zestawem do prowadzenia rozmów podwodnych. - Słyszysz mnie?

- Jakbyś siedział w mojej głowie.

Do kopalni znieśli dziesięć butli z powietrzem. Przy nurkowaniu każdy miał na plecach podwójną butlę i trzecią - rezerwową. W sumie - sześć. Pozostałe cztery Marquez i jego koledzy mieli spuszczać na sznurach do wody na głębokości określone przez komputer Giordina, w miejsca przewidzianych postojów dekompresyjnych. Poza nożami nurkowie nie mieli broni.

- Chyba możemy ruszać - stwierdził Pitt.

- Za tobą.

Pitt zapalił latarkę i skierował światło na gładką tafłę wody. Skoczył z krawędzi szybu i przeciął gładź, wywołując eksplozję pęcherzyków powietrza. Potem nastąpiła kolejna i z mroku obok Pitta wychynęła głowa Giordina. Al wskazał dłonią w dół, zgiął się w scyzoryk i z silnym uderzeniem płetw zaczął schodzić w głąb kopalni.

Płynęli coraz niżej i niżej. Światło reflektorów przecinało czarną wodę, nieustannie ukazując jedynie zimne, twarde skały. Poruszali się powoli i zwiększając ciśnienie, wyrównywali coraz większe parcie wody na uszy. Gdyby nie wiedzieli, że schodzą w dół pionowym szybem ani nie mieli przyrządów byliby gotowi przysiąc, że tunel jest idealnie poziomy.

Wreszcie pojawiła się galeria na dnie tunelu i spostrzegli wózek na urobek i zardzewiałe szyny. Drobinę po wczorajszym wybuchu osiadły. Woda była przejrzysta i spokojna, widoczność wynosiła co najmniej piętnaście metrów. Pitt spojrzał na głębokościomierz - igła zatrzymała się na pięćdziesięciu siedmiu metrach - i czekał, aż pojawi się przy nim Giordino.

- Jak daleko stąd? - spytał Włoch.

- Sto, może sto dziesięć metrów - odparł Pitt i wyciągnął rękę. - Zaraz za tamtym zakrętem.

Machnął płetwami i pomknął w głąb tunelu. Światło latarki błyskało na kolejnych stemplach. Zbliżyli się do zakrętu. Nagle Pitt wyciągnął rękę i zamarł.

- Zgaś światło! - rozkazał Giordinowi.

Al wykonał polecenie i tunel ogarnęła ciemność. Przed nimi migotało słabe światełko.

- Chyba zjawili się kłusownicy - stwierdził Giordino.

- Dlaczego za każdym razem, kiedy mam ochotę się wysmarkać, pojawiają się jakieś dziwne typki? - westchnął Pitt.

W komorze było dwóch nurków. Fotografowali ściany, pracując ze skupieniem i bez zbędnych ruchów. Na stojakach umieścili dwa reflektory, które oświetlały pomieszczenie jak filmową dekorację. Pitt patrzył przez dziurę w podłodze, uważając, by nie zauważono refleksu światła na jego masce.

Podziwiał ich sprawność. Używali sprzętu do oddychania, który wyłapywał wydychane powietrze, dzięki czemu bąbelki nie przelatywały przed obiektywami aparatów. Pitt szczególnie uważał, by wydychane przez niego powietrze nie dostało się do komory.

- Są uparci, trzeba im przyznać - mruknął Pitt. - Niezależnie od tego, co jest w tych napisach, gotowi są dla nich zabijać i umierać.

- Dobrze, że rozmawiamy na innej częstotliwości niż ta, na której pracują ich radia.

- Może nas słyszą i chcą nas tylko zwabić do środka? Wargi Giordina ułożyły się w uśmiech.

- Czyli co - rozczarujemy ich i wiejemy?

- Od kiedy jesteśmy na tyle rozsądni, by wybierać proste rozwiązania?

- O ile pamiętam - nie jesteśmy.

Po wielu latach przyjaźni Giordina i Pitta wciąż łączyła silna więź - a przyjaźnili się od pierwszej klasy podstawówki. Nieważne, co Pitt wymyślił, nieistotne, jak zwariowany albo absurdalny wydawał się plan - Giordino bez słowa protestu włączał się do jego realizacji. Parę razy uratowali sobie życie. Kiedy było trzeba, umieli się dogadać bez słów. Przy współpracy pasowali do siebie jak rękawiczki z tej samej pary. Ich przygody opowiadano sobie w Agencji jak legendy.

- Raczej niemożliwe, żebyśmy we dwóch naraz wpadli do środka i ich zaskoczyli - stwierdził Pitt, przyglądając się wąskiemu wejściu.

- Moglibyśmy wpłynąć i powbijać im noże w szanowne tyłki.

- Oni na naszym miejscu - odparł Pitt tak cicho, że Giordino ledwie słyszał - na pewno by tak zrobili. Od strony praktycznej lepiej jest wziąć ich żywcem.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Pitt przysunął się do otworu najbliżej, jak tylko się dało, i obserwował zaabsorbowanych pracą nurków.

- Chyba mam pomysł.

- Już zżera mnie ciekawość - odparł Giordino, zdejmując rękawice, by mieć większą swobodę ruchów.

- Mają noże przypięte do łydek. Giordino pytająco uniósł brwi.

- My też.

- Tak, ale my nie zostaniemy zaatakowani od tyłu przez dwóch genialnych i błyskawicznie się poruszających brutalni.

Nurkowie w komorze skończyli fotografować napisy i gwiazdne symbole. Jeden z nich zaczął pakować sprzęt do wielkiej płóciennej torby, drugi montował w rogu pomieszczenia ładunki wybuchowe. Gdy nurek z aparatami wypłynął z komory, Giordino wyrwał mu z ust końcówkę regulatora i obejmując ramieniem odkrytą szyję, dusił, aż mężczyzna stracił przytomność.

- Mój gotowy - wymamrotał z trudem.

Pitt nie tracił czasu na odpowiedź. Wpadł do komory jak pocisk i popędził na niczego nie spodziewającego się nurka, który właśnie podłączał do ładunku czasowy mechanizm wyzwalający. Aby ominąć butlę na plecach przeciwnika, Dirk podpłynął z boku. Podobnie jak Giordino wyrwał ofierze ustnik i mocno ścisnął gardło. Niestety, nie był przygotowany do walki z gigantem. W dwie sekundy pojął, że ugryzł więcej, niż może przełknąć. Przeciwnik był zbudowany jak zawodowy zapaśnik. Rozjuszony zaczął walić wokół siebie rękami niczym wariat w napadzie szaleństwa. Pitt czuł się jak lis, który nieopatrznie wskoczył rannemu niedźwiedziowi na plecy i teraz musi się trzymać, walcząc o życie.

Zwierzęca siła mężczyzny była przerażająca. W pewnym momencie dwa potężne łapska capnęły głowę Pitta, któremu wydawało się, że jego czaszka pęknie za chwilę na setki kawałków. Od przerobienia mózgu na papkę uratował go niewielki błąd przeciwnika, który umieścił gruby nadgarstek tuż przy jego ustach. Dirk wypluł ustnik, cudem wyrwał głowę z miażdżącego uścisku i wgryzł się w nadgarstek najgłębiej, jak tylko potrafił. W wodzie pojawiła się chmura krwi. Dłonie olbrzyma gwałtownie się cofnęły, towarzyszył temu pełen bólu wrzask. W wodzie brzmiał jak groteskowy bulgot. Pitt w dalszym ciągu trzymał przeciwnika za gardło i ścisnął byczy kark,

wykorzystując każdą drobinę siły. W desperacji zerwał potworowi maskę.

Olbrzym rzucił się gwałtownie do tyłu. Butle na plecach Dirka załomotały o ścianę, a ciężar przeciwnika wypchnął mu powietrze z płuc. Jednak nie osłabił chwytu. Wręcz przeciwnie - złapał go ręką za nadgarstek i ścisnął mocniej.

Pitt nie mógł zobaczyć twarzy nurka. Olbrzym rzucał się na boki jak pies, który chce się otrząsnąć z wody, i rozpaczliwie szukał ustnika, by złapać nieco powietrza. Jednak przewód butli był owinięty wokół ręki Pitta. Mężczyzna zgiął się wpół, by sięgnąć po nóż. Dirk był na to przygotowany. Kiedy gigant wyciągał rękę, Pitt na chwilę zwolnił uścisk i wbił przeciwnikowi kciuk w oko.

Efekt był taki, jak się spodziewał. Goryl zesztyniał i przyłożył dłoń do oka. Po chwili jednak złapał rękę Pitta i zaczął powoli, bezlitośnie wyłamywać mu palce. Ból przeszył ciało Dirka jak błyskawica. Tego, co przeżywa się podczas łamania palców, nie da się porównać z żadnym innym bólem. „Straszny” czy „niesamowity” to zbyt słabe określenia. W głowie Pitta wybuchły fajerwerki. Zamierzał już puścić kark wielkoluda, kiedy poczuł lekką ulgę. Ból trwał dalej - ale odrobinę osłabł.

Przeciwnik zaczął połykać wodę, ostry ból, bardzo powoli, słabł. Ruchy wielkoluda stały się spazmatyczne i chaotyczne. Tonął, równocześnie tracąc przytomność. Jego twarz nagle wykrzywił grymas i ciało zwiotczało. Pitt odczekał chwilę i wetknął między jego wargi ustnik, wtłaczając do płuc powietrze.

Giordino wsunął się do połowy w dziurę.

- Co tak długo?

- Ja zawsze mam szczęście - odparł Pitt, ciężko dysząc. Serce waliło mu jak cylinder w tłoku. - Zawsze wybieram zły pas na autostradzie, w banku nie tę kolejkę, co trzeba, a do walki największego gościa na świecie. Co z twoim?

- Owinąłem go jak jedwabnika kablem, który był zamocowany pod sufitem. - Giordino popatrzył na nieruchomą postać na podłodze i jego oczy rozszerzyły się. Spojrzał na Pitta z nie ukrywanym szacunkiem. - Czy selekcyonerzy reprezentacji wiedzą o jego istnieniu?

- Gdyby wiedzieli, zwerbowałiby go jako pierwszego. - Powoli serce Pitta przestało łomotać, wrócił normalny oddech. - Zabierz im noże i broń, jeśli mają. Znajdź jeszcze trochę kabla i zwiąż go, zanim przyjdzie do siebie i rozwali tę górę na pół. I nie zakładaj im masek.

Giordino związał giganta jak wieprzka i nieszczerze troszcząc się o niego zrzucił do skalnej szczeliny w dole. Wyjął kilka ciężarków z ich pasów balastowych, dzięki czemu unosili się w wodzie i łatwiej było ich transportować. Oczywiście zabrał im noże. Przy mniejszym znalazł jednostrzałowe urządzenie z krótką strzałą jak do kuszy. Była wystrzeliwana za pomocą sprężonego powietrza.

Kiedy Giordino zajmował się więźniami, Pitt wyjął z pasa balastowego wielką nylonową torbę i otworzył zamek. Wbił wzrok w złowieszczą czarną czaszkę, która zdawała się mu przyglądać pustymi oczodołami. Czy niosła ze sobą jakieś przekleństwo? Jakie kryła tajemnice?

Romantyzm Pitta zazwyczaj przegrywał z jego pragmatyzmem. Choć lubił marzyć, nie wierzył w mity i ludowe przekazy. Coś, czego nie dało się zobaczyć, wyczuć ani doświadczyć, po prostu dla niego nie istniało. Gdyby nie znajdował się pięćdziesiąt pięć metrów pod wodą, naplułby obsydianowej czaszce w puste oczodoły. Miała jakiś związek z łańcuchem zagadek. Musiał dostarczyć ją ludziom, którzy mogli ją zbadać.

- Przykro mi, przyjacielu - powiedział tak cicho, że Giordino nie mógł usłyszeć - ale czas się ujawnić. - Ostrożnie zdjął czaszkę z podstawy i włożył ją do torby. Na tej głębokości manipulowanie

nią było łatwe, podejrzewał jednak, że na powierzchni może się okazać, że waży dwadzieścia kilo. Spojrzał po raz ostatni na komorę, napisy na ścianach i wciąż włączone reflektory, które w trakcie walki przewróciły się na podłogę. Potem wypłynął przez otwór, dbając, by nie uderzyć o nic znaleźskiem. Giordino wtaszczył już obu więźniów do tunelu. Wielkolud odzyskał przytomność i zaczął szarpać się w więzach.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał Pitt.

- Masz czaszkę i aparaty, ja zajmę się tymi śmieciami.

- Najlepiej będzie, jak popłyniesz przodem. Będę patrzył, czy nasz wyrośnięty przyjaciel przypadkiem się nie uwalnia.

Giordino dał mu pistolet ze strzałą.

- Jak tylko kiwnie palcem, celuj w jabłko Adama.

- Będziemy musieli starannie kalkulować przystanki dekompresyjne. Może nie wystarczy powietrza na cztery osoby.

Giordino dał znać, że jest mu to obojętne.

- Przykro mi, ale nie mam zamiaru się poświęcać.

Wracali bardzo powoli. Okazało się, że szybciej posuwają się, kiedy Giordino, zamiast płynąć, ciągnąc za sobą pakunki, idzie po podkładach. Z powodu wolnego tempa stracili dużo cennego powietrza. Pitt uważnie obserwował manometr - wiedział, że mają mały zapas. Wskazywał zaledwie piętnaście atmosfer. Zużyli z Giordinem dwa razy więcej powietrza, niż zaplanowali. Ale w końcu nie spodziewali się walczyć.

Pitt opłynął związaną dwójkę i sprawdził ich manometry. Każdy miał w butlach ponad czterdzieści atmosfer. Oznaczało to, że musieli przyplnąć krótszą drogą. Zdawało się, że minął cały rok, zanim dotarli wreszcie do pionowego szybu. Podpłynęli kawałek w górę i zrobili pierwszy postój dekompresyjny. Szeryf Eagan i Marquez spuścili dwie butle dokładnie w miejsce określone przez Giordina.

Giordino obserwował komputer dekompresyjny i równocześnie słuchał odczytów ciśnienia w butlach, jakie robił Pitt. Dopiero kiedy ilość zawartego w nich powietrza spadła poniżej bezpiecznej granicy, odpiął je i pozwolił, by opadły w głębinę. Więźniowie byli spokojni - wiedzieli, że opór oznacza śmierć. Jednak Pitt nawet na sekundę nie tracił czujności. Ciągnęli dwie tykające bomby zegarowe, które tylko czekały na to, by wybuchnąć i uciec.

Czas płynął powoli, jakby przebijał się przez warstwę kleju. Zużyli do końca powietrze z butli, które dostali z góry, i musieli przejść na butle rezerwowe. Kiedy w butlach więźniów powietrze także się skończyło, Pitt i Giordino zaczęli dzielić się z nimi własnym - wymieniając się ustnikiem. Po odczekaniu koniecznego czasu popłynęli powoli w górę na następny przystanek dekompresyjny.

Kończyło im się powietrze, kiedy Giordino wreszcie dał upragniony znak „na powierzchnię” i powiedział:

- Przyjęcie skończone. Możemy iść do domu.

Pitt wspiał się na sznurową drabinkę, wrzuconą do wody przez Marqueza. Po chwili dotarł do podłogi tunelu i podał szeryfowi Eaganowi butle. Oddał torby z czaszką i aparatami. Eagan pomógł mu wyjść z wody. Pitt położył się na plecach, zdjął maskę i leżał bez ruchu przez minutę. Z wdzięcznością wciągał chłodne kopalniane powietrze.

- Witamy w domu - powiedział Eagan. - Co zajęło wam tyle czasu? Powinniście być z powrotem dwadzieścia minut temu.

- Natknęliśmy się na kolejnych kandydatów do pańskiego więzienia. Giordino wynurzył się, wyszedł na powierzchnię, ukląkł na krawędzi i wyciągnął mniejszego więźnia do tunelu.

- Przy drugim będę potrzebował pomocy - stwierdził. - Waży dwa razy tyle co ja.

Trzy minuty później Eagan stał nad intruzami i próbował ich przesłuchiwać, ale ci tylko zerkali na niego wrogo. Pitt ukląkł i zdjął okrywający głowę mniejszego kaptur.

- No proszę... mój przyjaciel motocyklista. Jak kark?

Związany bandyta podniósł głowę i splunął. Mało brakowało, a trafiłby w twarz. Szczyrzył zęby jak wściekły pies, błyszczące oczy wyraźnie mówiły, że widziały niejedną śmierć.

- Złośliwy diabełek, co? - stwierdził Pitt. - Wierny sługa Czwartego Imperium? Będiesz mógł o nim pomarzyć, gnijąc w więzieniu.

Szeryf złapał Pitta za ramię.

- Muszę ich puścić.

Pitt spiorunował go wzrokiem.

- Akurat!

- Nie mogę ich aresztować, dopóki nie popełnili przestępstwa. - Wzruszył bezradnie ramionami.

- Chciałem ich oskarżyć - wtrącił się Marquez.

- O co?

- Wtargnięcie na teren prywatny, szabrownictwo, zniszczenie własności prywatnej. Na deser możesz dołożyć kradzież.

- Co ukradli?

- Moje oświetlenie tunelu - spokojnie odparł Marquez, wskazując na kabel, którym byli związani bandyci. - Wynieśli je z kopalni.

Pitt położył szeryfowi rękę na ramieniu.

- Szeryfie, mamy także do czynienia z próbą morderstwa. Chyba byłoby mądrze zamknąć ich na kilka dni, przynajmniej do czasu, aż wstępne śledztwo pozwoli ustalić tożsamość i, być może, określić zamiary tych panów.

- Jim, zatrzymaj ich przynajmniej na przesłuchanie - dodał Marquez.

- Wątpię, czy coś z nich wydobędę.

- Ja też - powiedział Giordino, przeczesując włosy niewielką szczoteczką. - Nie wyglądają na turystów.

- Dzieje się tu coś, co wykracza poza okręg San Miguel. - Pitt zdjął skafander i zaczął się przebierać. - Nie zaszkodziłoby sprawdzić kilka podstawowych faktów.

To przekonało Eagana.

- No dobrze, pošlę raport do Wydziału Śledczego w Kolorado.

Nagle przerwał. Wszystkie głowy się odwróciły. Tunelem biegł jakiś człowiek. Wrzeszczał, jakby goniły go demony. Kilka sekund później stanął przy nich jeden z zastępców Eagana. Zgiął się wpół tak, że głowę miał na wysokości bioder i łapał oddech.

- Co jest, Charlie? - spytał Eagan. - Mów!

- Ciała... - wydyszał Charlie. - Ciała w kostnicy! Szeryf chwycił go za ramiona.

- Co się stało z ciałami?

- Zaginęły.

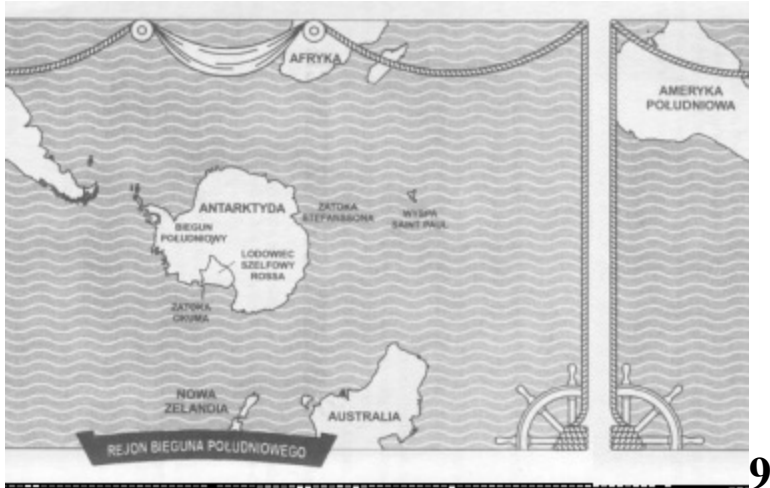
- O czym ty gadasz?

- Koroner mówi, że ciała zniknęły. Ktoś ukradł je z kostnicy. Pitt uważnie przyjrzał się Eaganowi.

- Na pańskim miejscu, szeryfie - powiedział po chwili - posłałbym kopie raportu do FBI i Departamentu Sprawiedliwości. To poważniejsza sprawa, niż sobie wyobrażamy.

CZĘŚĆ II

Śladami starożytnych



9

27 marca 2001, zatoka Okuma, Antarktyda

Kapitan Daniel Gillespie stał na ogromnym, oszklonym mostku statku „Polar Storm” i patrzył przez lornetkę z przyciemnianymi szklarni na lód, który tworzył się wokół kadłuba. Smukły, nieco nadwrażliwy kapitan obserwował teren i wykreślał w myśli kurs, który pozwoli „Polar Stormowi” przepłynąć między kawałkami kry. Na Morzu Rossa jesienny lód tworzy się wcześniej. W niektórych miejscach miał już ponad pół metra grubości, a wypiętrzenia sięgały metra.

Wielki, pękaty dziób uderzył w lód, wzniosł się nad białą płaszczyznę i po chwili spadł na nią. Kapitan poczuł pod stopami, jak statek drży. Lód pękł na kawały wielkości fortepianu, które jęcząc i drapiąc stalowe płyty kadłuba, starały się zedrzeć z niego jak najwięcej farby, zanim zmiażdżone przez wielkie, prawie czterometrowe śruby rozpląną się w kilwatterze. Płynęli w ten sposób, aż dotarli do miejsca oddalonego o kilka mil morskich od brzegu, gdzie lód tworzył się wolniej.

„Polar Storm” łączył możliwości lodołamacza i statku badawczego. Wedle większości standardów morskich był stary - zwodowano go przed dwudziestu laty, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku. W porównaniu z większością lodołamaczy był też niewielki. Miał osiem tysięcy ton wyporności, czterdzieści cztery metry długości i osiem metrów szerokości. Na jego pokładzie prowadzono badania oceanograficzne, meteorologiczne, biologiczne oraz glaciologiczne. Był w stanie łamać lód o grubości co najmniej jednego metra.

Evie Tan, która wsiadła na pokład „Polar Stormu” w Montevideo, siedziała na krześle i coś notowała. Pisywała na tematy naukowe i techniczne, a także fotografowała. Tym razem zbierała materiały do artykułu dla pewnego amerykańskiego czasopisma naukowego. Była drobną kobietą o długich, czarnych, lśniących włosach. Urodziła się i wychowała na Filipinach. Popatrzyła na kapitana

Gillespiego i zanim zadała mu pytanie, przyjrzała się białej powierzchni przed dziobem.

- Zamierza pan wysadzić naukowców, żeby zbadali lód?

Gillespie opuścił lornetkę i skinął głową.

- To rutyna. Czasami trzy razy w ciągu jednego dnia antarktycznego glacialodzy robią pomiary i zbierają próbki, które analizują w laboratoriach statku. Zawsze rejestrują też fizyczne właściwości lodu i wody morskiej.

- Szukają czegoś określonego?

- Wyjaśni to pani znacznie lepiej Joel Rogers, nasz kierownik naukowy.

Mają ocenić wpływ ocieplenia klimatu na kurczenie się otaczającego kontynent lodowca.

- Czy potwierdzono to naukowo?

- W trakcie antarktycznej jesieni, czyli od marca do maja, ocean wokół kontynentu zaczyna zamarzać. Kiedyś warstwa lodu zajmowała powierzchnię dwóch Australii, teraz jest go znacznie mniej. Zimy po prostu nie są już tak zimne. Ocieplenie wody naruszyło w łańcuchu zależności pokarmowych jedno z zasadniczych ogniw.

- Chodzi pewnie o jednokomórkowe algi, które żyją pod lodem - powiedziała Evie.

- Odrobiła pani lekcję - stwierdził z uśmiechem Gillespie. - Bez alg nie będzie kryła, którym żywią się prawie wszystkie zwierzęta wód południowych - od pingwinów przez wieloryby po Phocidae.

- Ma pan na myśli foki?

- Tak.

Evie zapatrzyła się na zatokę Okuma, która oddzielała Lodowiec Szelfowy Rossa od Półwyspu Edwarda VII.

- Te góry na południu... jak się nazywają?

- Góry Rockefellera. Bliżej jest Góra Frazier, a na końcu Góra Nilsena.

- Są piękne - stwierdziła Evie, zachwycając się pokrytymi śniegiem szczytami. Zdawały się płonąć w słońcu. - Mogę pożyczyć pańską lornetkę?

- Oczywiście.

Evie spojrzała na kompleks dużych budynków, stojących wokół wysokiej wieży. Znajdował się mniej więcej trzy kilometry na południe, w osłoniętej od wiatru części zatoki Okuma. Za budynkami leżało lądowisko. Przy betonowym moło cumował statek transportowy, właśnie rozładowywany przez wysoki dźwig.

- Czy to stacja badawcza?

Gillespie popatrzył w tym kierunku.

- Nie, kopalnia. Należy do wielkiej międzynarodowej korporacji z siedzibą w Argentynie. Wydobywają z morza minerały.

Evie opuściła lornetkę i spojrzała na kapitana.

- Nie sądziłam, że to może być opłacalne.

Gillespie pokręcił głową.

- Z tego, co mówił mi Bob Maris, nasz geolog, stworzyli nową metodę pozyskiwania złota i innych cennych związków z wody morskiej.

- Dziwne, że o niej nie słyszałam.

- Zachowują to w tajemnicy. Kawalek bliżej przegoniłaby nas ochrona.

Krążą pogłoski, że stosują nową gałąź nauki zwaną nanotechniką.

- Dlaczego w tak odległym miejscu jak Antarktyka? Dlaczego nie na jakimś wybrzeżu albo w łatwiej dostępnym mieście portowym?

- Według Marisa w tak zimnej wodzie sól koncentruje się i opada głębiej. A procedura uzyskiwania metali jest tym skuteczniejsza, im jest jej mniej... - kapitan przerwał i popatrzył na lód przed dziobem „Polar Stormu”. - Przepraszam, panno Tan, ale idzie na nas góra lodowa.

Góra wystawała nad płaszczyznę lodu, który wydawał się pokrytą białym prześcieradłem pustynną równiną. Strome zbocza wznosiły się na wysokość ponad trzydziestu metrów. Rozświetlana czystym światłem słońca bryła zdawała się nieskazitelna. „Polar Storm” zbliżał się do niej od zachodu i Gillespie kazał sternikowi obrać kurs wokół jej najbliższego występu. Sternik fachowo ustawił umieszczone na szerokiej konsolce dźwignie i pchnął lodołamacz o siedemdziesiąt pięć stopni na lewą burtę. Równocześnie obserwował ekran echosondy, by w porę dostrzec schowane pod wodą części góry lodowej. Co prawda kadłub lodołamacza był przygotowany do wytrzymania mocnego uderzenia, ale Gillespie nie widział powodu, by narażać stalowe płyty na najmniejsze nawet uszkodzenie.

Mijali górę w odległości niecałych trzystu metrów. Dystans był bezpieczny, ale na tyle niewielki, że załoga i naukowcy, którzy wyszli na pokład, musieli dobrze podnieść głowy, by zobaczyć szczyt niemal pionowej lodowej ściany. Widok był niezwykły i wspaniały. Wkrótce minęli wielką bryłę i statek wrócił na poprzedni kurs.

Nagle w polu widzenia ukazał się inny statek, do tej pory ukryty za górą. Gillespie ze zdziwieniem stwierdził, że widzi łódź podwodną. Płynęła wąskim, wolnym od lodu torem. Wielki dziób lodołamacza szedł prosto na nią.

Sternik zareagował, zanim Gillespie zdążył wydać rozkaz. Błyskawicznie pojął sytuację, ocenił prędkość okrętu podwodnego i przełączył wielki lewy silnik lodołamacza na całą wstecz. Był to mądry manewr - podobny być może uratowałby „Titanica”. Oba silniki ustawione na całą wstecz nie zatrzymałyby rozpędzonego statku, dlatego sternik trzymał prawy silnik na naprzód. Dzięki temu „Polar Storm” skręcał znacznie szybciej. Wszyscy na mostku zahipnotyzowani obserwowali, jak wielki dziób powoli obraca się w stronę kilwateru łodzi podwodnej.

Nie było czasu na wydanie ostrzeżenia ani jakąkolwiek komunikację między jednostkami. Gillespie zdążył jedynie zatrąbić syreną i wrzasnąć przez interkom na załogę i naukowców, by przygotowali się na kolizję. Na mostku panowała atmosfera hamowanego szaleństwa.

- Dawaj, mały... - szeptał błagalnie sternik. Skręcaj... skręcaj!

Evie zamarła na kilka sekund w bezruchu, zaraz jednak doszedł w niej do głosu duch zawodowca. Wyjęła z torby aparat fotograficzny, sprawdziła parametry i zaczęła robić zdjęcia. Patrząc na łódź przez teleobiektyw, nie zauważyła na pokładzie ani jednego marynarza, we władze kiosku nie było oficera. Odsunęła aparat od oka, by zmienić ustawienia obiektywu, i kiedy ponownie przez niego spojrzała, dostrzegła, że dziób okrętu wsuwa się pod lód. To było zanurzenie awaryjne.

Jednostki coraz bardziej się zbliżały. Gillespie był pewien, że ich masywny kadłub za chwilę poszarpie powłokę łodzi podwodnej. Jednak szybka reakcja sternika i zwrotność „Polar Stormu” spowodowały, że do tragedii nie doszło.

Gillespie pobiegł na prawą stronę mostka i - obawiając się najgorszego - spojrział w dół. Łódź podwodna zdążyła zanurzyć się w ostatniej chwili. Dziób lodołamacza znalazł się nad jej rufą - minął ster pionowy i śruby w odległości mniejszej niż długość przeciętnego stołu do jadalni. Gillespie nie mógł w to uwierzyć. Łódź zniknęła, pozostawiając na powierzchni jedynie niewielkie sfalowanie.

Lodowata woda lekko zawirowała, po czym wyglądziła się - jakby nic się nie wydarzyło.

- Jezu, ale mało brakowało - mruknął sternik, oddychając z ulgą.

- Łódź podwodna - zastanawiała się Evie, opuszczając aparat. - Skąd się wzięła? Z jakiego była kraju?

- Nie widziałem, by miała jakieś oznaczenia - odparł sternik. - Nie przypominała żadnej łodzi, jaką znam.

Na mostek wbiegł pierwszy oficer, Jake Bushey.

- Co się stało, kapitanie?

- Ledwie uniknęliśmy zderzenia z łodzią podwodną.

- Tutaj? W zatoce Marguerite? Chyba pan żartuje.

- Kapitan Gillespie nie żartuje - wtrąciła się Evie. - Mam zdjęcia, które mogą to udowodnić.

- To nie był okręt z napędem atomowym - powoli stwierdził Gillespie.

- Sądząc po wyglądzie, to dość stary model - powiedział sternik, który właśnie spojrzał na ręce i zauważył, że drżą.

- Proszę przejąć mostek - rozkazał Gillespie Busheyowi. - Proszę iść kursem na grań lodową, którą widać nieco z lewej, milę przed nami. Wysadzimy tam naukowców. Będę w swojej kabine.

Evie i Jake Bushey zwrócili uwagę na minę kapitana. Był bardzo zdziwiony, a jego myśli błądziły gdzieś daleko. Patrzyli, jak schodzi schodkami na niższy pokład. Otworzył drzwi do swej kabiny i wszedł do środka. Był stworzony dla morza i kochał marynarkę. Biegające wokół ścian kabiny półki pełne były książek marynistycznych. Jego wzrok przeslizgnął się po szeregu grzbietów i zatrzymał na starym, zakurzonym leksykonie typów statków i okrętów.

Usiadł w wygodnym fotelu i zaczął powoli przewracać kartki, aż zatrzymał się na dużym zdjęciu mniej więcej w środku tomu. Ukazywało jednostkę identyczną z tym dziwadłem, które pojawiło się nie wiadomo skąd. Duża łódź podwodna płynęła wynurzona, w tle widać było skalisty brzeg. Podpis brzmiał:

Jedynie istniejące zdjęcie U-2015, jednego z dwóch okrętów typu XXI Elektro, które weszły do służby operacyjnej podczas drugiej wojny światowej. Szybka jednostka, zdolna pozostawać pod wodą przez niemal nieograniczony czas. Jest w stanie opłynąć pół kuli ziemskiej bez konieczności wynurzenia się po paliwo.

Opis informował dalej, że ostatni raz widziano U-2015 u wybrzeży Danii, po czym jednostka zniknęła, płynąc kursem na Atlantyk. Oficjalnie uznano ją za zaginioną.

Gillespie nie mógł w to uwierzyć, chociaż wiedział, że to prawda. Dziwna, nie oznakowana łódź była hitlerowskim okrętem podwodnym z czasów wojny, która skończyła się pięćdziesiąt sześć lat temu.

Po długiej naradzie z udziałem admirała Sandeckera, dyrektora Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, oraz Francisa Ragsdale'a, świeżo mianowanego dyrektora FBI, ustalono, że

Pitt, Giordino oraz Pat O'Connell przylecą do Waszyngtonu, by przekazać inspektorom rządowym wszelkie niezbędne informacje o łańcuchu dziwnych wydarzeń w kopalni Paradise. Agenci FBI przewieźli córkę Pat z Filadelfii do bezpiecznego domu pod Waszyngtonem, gdzie wkrótce miała się spotkać z matką. Pojechali także do Telluride, skąd zabrali rodzinę Marquezów do dyskretnego miejsca na Hawajach.

Eskortowani przez ludzi Eagana Pitt, Giordino i Pat O'Connell wsiedli na Pokład samolotu Agencji i odlecieli do stolicy. Kiedy turkusowa cessa wzniosła się nad pokryte śniegiem szczyty San Juan i wzięła kurs na północny wschód, Pat odprężyła się w skórzanym fotelu, wyciągnęła ręce i ujęła dłonie Pitta.

- Jesteś pewien, że moja córka jest bezpieczna?

Uśmiechnął się i delikatnie oddał uścisk.

- Po raz dziesiąty powtórzę: jest w dobrych rękach. Za kilka godzin ją zobaczysz.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że będziemy już zawsze żyć jak ścigane zwierzęta.

- Nie grozi ci to. Kiedy wariaci z Czwartego Imperium zostaną znaleźni, aresztowani i skazani, wszyscy znów zaczniemy normalnie żyć.

Pat popatrzyła na Giordina, który zasnął, zanim koła samolotu oderwały się od pasa startowego.

- Nie lubi marnować czasu na zasypianie, co?

- Al może spać zawsze i wszędzie. Jest jak kot. - Uniósł dłonie Pat do ust i lekko pocałował palce. - Ty też powinnaś się nieco przespać. Musisz padać z nóg.

Pitt po raz pierwszy, odkąd się poznali, okazał jej uczucia i Pat poczuła, jak ogarnia ją przyjemne ciepło.

- Mój umysł za bardzo pracuje, bym mogła czuć zmęczenie. - Wyjęła z aktówki notes. - Zrobię wstępną analizę napisów.

- Jeśli to ci w czymś pomoże, w kabinie z tyłu jest komputer.

- Jest tam skaner, żebym mogła zeskanować rysunki na dyskietkę?

- Sądzę, że tak.

Zmęczenie zniknęło z jej twarzy.

- Bardzo by mi to pomogło. Szkoda, że film zniszczył się w wodzie.

Pitt sięgnął do kieszeni spodni, wyjął plastikowe pudełko i położył je Pat na kolanach.

- Kompletna dokumentacja fotograficzna komory.

Kiedy je otworzyła, zobaczyła, że wewnątrz jest sześć kaset z filmem. Nie umiała ukryć zaskoczenia.

- Skąd to masz?

- Z pozdrowieniami od Czwartego Imperium - odparł obojętnie Pitt. - Przerwaliśmy im z Alem sesję zdjęciową. Kiedy się zjawiliśmy, właśnie kończyli, sądzą więc, że jest tu wszystko. Zaraz jak dolecimy, każę wywołać filmy w laboratorium Agencji.

- Dziękuję bardzo! - z podnieceniem powiedziała Pat i pocałowała go w zarośnięty gęstą szczecina policzków. - Zrobiłam notatki tylko z niewielkiej części napisów.

Jakby byli przypadkowymi przechodniami na zatłoczonej ulicy, odwróciła się i pobiegła do pracowni komputerowej samolotu.

Pitt podniósł z fotela obolałe ciało, podszedł do barku i wyjął z lodówki puszkę oranżady. Żałował, że admirał Sandecker nie pozwalał wносить na pokłady statków i samolotów napojów alkoholowych.

Zatrzymał się i spojrzął na drewnianą skrzynię, starannie przypiętą pasami do pustego fotela. Nie spuszczał czaszki z oczu od chwili, kiedy zabrał ją z komory. Wyobrażał sobie puste oczodoły zięjące na niego przez drewno. Usiadł w fotelu po drugiej stronie przejścia, wyciągnął antenę telefonu satelitarne i wcisnął klawisz zaprogramowanego numeru. Sygnał został wysłany do jednego z siedemdziesięciu orbitujących wokół Ziemi satelitów, następnie skierowany do innego satelity, który przesłał go na ziemię, do ogólnodostępnej sieci telefonii naziemnej.

Pitt patrzył przez okienko na przepływające chmury - wiedział, że człowiek po tamtej stronie rzadko odbiera wcześniej niż po siódmym, ósmym sygnale. W końcu, po dziesiątym, ze słuchawki dobiegło basowe:

- Halo.

- St. Julien?

- Dirk! - wykrzyknął z radością St. Julien Perlmutter. - Gdybym wiedział, że to ty, odebrałbym wcześniej.

- I zrobiłbyś coś wbrew sobie? Nie sądzę.

Pitt bez trudu mógł sobie wyobrazić Perlmuttera: ubranego w rytualną jedwabną pidżamę w paisleyowskie wzory, ważącego sto osiemdziesiąt kilo kolosa, zakopanego w górze marynistycznych książek, zgromadzonych w wozowni, którą określał mianem swego domu. Był znakomitym gawędziarzem, smakoszem, koneserem i uznanym autorytetem w zakresie historii marynistyki. Miał bibliotekę, w której skład wchodziły najrzadsze na świecie książki marynistyczne, prywatne listy, dokumenty i plany niemal wszystkich zbudowanych w historii świata statków. Był chodzącą encyklopedią wiedzy o człowieku i morzu.

- Gdzie jesteś, mój chłopcze?

- Dziesięć tysięcy metrów nad Górami Skalistymi.

- Nie mogłeś poczekać i zadzwonić do mnie z Waszyngtonu?

- Chciałem jak najszybciej rozpocząć pewien projekt badawczy.

- Jak mogę ci pomóc?

Pitt krótko opisał tajemniczą komorę i napisy na ścianach. Perlmutter uważnie słuchał, przerywał jedynie od czasu do czasu krótkim pytaniem. Kiedy Pitt skończył, zadał pytanie zasadnicze:

- Czego konkretnie oczekujesz?

- Masz materiały dotyczące prekolumbijskich odwiedzin obu Ameryk, prawda?

- Cały pokój. Mnóstwo materiałów i teorii o marynarzach, którzy byli tam na długo przed Kolumbem.

- Czy pamiętasz jakieś legendy o starożytnych przybyszach, którzy wkopywali się głęboko pod ziemię i budowali tam pomieszczenia, żeby zostawić w nich informację dla przyszłych pokoleń? Czy istnieją jakiegokolwiek wzmianki o czymś takim?

- W tej chwili nic takiego mi się nie przypomina, ale mieszkańcy Ameryk bardzo często handlowali z przybyszami z Europy i Afryki. Kopalnictwo miedzi i cyny, z których otrzymywano brąz, istniało tam przez ponad pięć tysięcy lat.

- Gdzie je prowadzono?

- W Minnesocie, Michigan, Wisconsin.

- To potwierdzone?

- Ja w to wierzę. Są dowody na prehistoryczne kopalnictwo ołowiu w Kentucky, hydroksykrzemianu magnezu w Pensylwanii i miki w Karolinie Północnej. Kopalnie powstały na

wiele stuleci przed Chrystusem. Potem - w tajemniczy sposób - górnicy w bardzo krótkim czasie zniknęli, porzucając narzędzia i inne przedmioty codziennego użytku tam, gdzie ich używali. Zostawiali także kamienne rzeźby, ołtarze i dolmeny. Dolmeny to wielkie poziome płyty kamienia, podparte po bokach dwiema pionowymi płytami.

- Czy możliwe, by to było dzieło Indian?

- Indianie rzadko rzeźbili w kamieniu i stworzyli niewiele - jeśli w ogóle - posągów. Po zbadaniu wykopalisk inżynierowie górnictwa oszacowali, że w czasach prekolumbijskich wydobyto z ziemi i wywieziono trzysta tysięcy ton miedzi. Nikt nie wierzy, by mogli dokonać tego Indianie, ponieważ znalezione dotychczas indiańskie wyroby miedziane, głównie paciorki i ozdoby, ważą w sumie najwyżej kilkaset kilogramów. Dawni Indianie przetwarzali bardzo mało metalu.

- Ale nie ma informacji o podziemnych komorach z tajemniczymi napisami?

Perlmutter chwilę myślał.

- Nie przypominam sobie. Prehistoryczni górnicy pozostawili po sobie niewiele wyrobów garncarskich i napisów. Właściwie ograniczają się one do nielicznych logogramów i piktogramów, których praktycznie nie da się odczytać. Możemy się jedynie domyślać, że są pochodzenia egipskiego, fenickiego, nordyckiego, a może stanowią dzieło jakiejś wcześniejszej rasy. W przypadku kilku kopalni na południowym zachodzie udowodniono ich celtyckie pochodzenie. Twierdzi się, że na początku dwudziestego wieku znaleziono w Arizonie, tuż pod Tucson, artefakty rzymskie. Kto wie? Większość archeologów nie chce się wychylić i potwierdzić istnienia kontaktów prekolumbijskich. Nie chcą zaakceptować dyfuzjonizmu.

- To znaczy teorii, że zmiany kulturowe są wynikiem przenikania kultur w wyniku kontaktu?

- Tak.

- Dlaczego? Jeśli jest na to tyle dowodów?

- Archeologowie to tępogłowa banda. Wszyscy pochodzą z Missouri. Trzeba im wszystko pokazywać palcem. Ponieważ wczesne kultury amerykańskie nie używały koła - jedynie w zabawkach - ani nie znały koła garncarskiego, nie zamierzają zaakceptować teorii dyfuzjonistycznej.

- Przecież może być po temu masa powodów. Do przybycia Cortesa i Hiszpanów w obu Amerykach nie było koni ani wołów. Nawet ja wiem, że zanim z Chin przeniknęły do Europy taczki, minęło sześćset lat.

- Co mam na to powiedzieć? - westchnął Perlmutter. - Jestem jedynie zajmującym się historią marynistyki hobbistą. Nie zamierzam pisać traktatów o czymś, na czym się słabo znam.

- Ale przejrzyj swoją bibliotekę i sprawdzisz, czy nie ma wzmianek o podziemnych komorach z napisami w nieznanym języku, porozmieszczanych cztery tysiące lat temu w odludnych zakątkach świata?

- Zrobię, co się da.

- Dziękuję, przyjacielu. Nie proszę o więcej. - Pitt miał stuprocentowe zaufanie do starego przyjaciela rodziny, który niegdyś sadzał sobie małego Dirka na kolanach i opowiadał mu marynistyczne historie.

- Czy jest coś, co ma związek z tą komorą i o czym mi nie powiedziałeś?

- Tylko to, że było w niej pewne znalezisko.

- Trzymasz mnie w niepewności. Co to było?

- Naturalnej wielkości czaszka z czarnego obsydianu.

Perlmutter chwilę trawił wiadomość.

- Wiesz, jakie ma znaczenie?

- Nie jest to zbyt jasne. Mogę jedynie powiedzieć, że starożytni bez nowoczesnych narzędzi musieli potrzebować na osiągnięcie tak znakomitego efektu z dziesięć pokoleń.

- Masz rację. Obsydian to szkło pochodzenia wulkanicznego. Powstaje przez szybkie schładzanie się płynnej lawy. Przez wiele tysięcy lat ludzie używali go do wyrobu grotów strzał, noży i szpiców oszczepów. Jest bardzo kruchy. Stworzenie takiej czaszki przez półtora stulecia to naprawdę wielkie osiągnięcie.

Pitt popatrzył na zamocowaną w fotelu skrzynię.

- Szkoda, że cię tu nie ma i nie możesz jej zobaczyć, St. Julien.

- Nie ma potrzeby. Wiem, jak wygląda.

Pitt wyczuł, że dał się nabrać. Perlmutter był znany z tego, że kiedy zamierzał komuś okazać przewagę intelektualną, najpierw bawił się ofiarą. Pitt nie miał wyboru - ruszył w pułapkę.

- Aby w pełni ocenić jej urodę, musiałbyś zobaczyć czaszkę na własne oczy.

- Czyżbym zapomniał ci napomknąć, drogi chłopcze - powiedział Perlmutter niewinnym głosem - że wiem, gdzie znajduje się drugi taki obiekt?

11

Cessna dotknęła kołami wschodniego pasa lądowań w Bazie Sił Powietrznych Andrews i dotarła do hangarów, wynajmowanych różnym agencjom rządowym. Hangary i budynki Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych znajdowały się w północno-wschodniej części bazy. Furgonetka z dwoma ochroniarzami czekała, by zawieźć Giordina do jego mieszkania w Alexandrii, w stanie Wirginia, a Pat do bezpiecznego domu, w którym czekała córka.

Pitt ostrożnie wyniósł z samolotu drewnianą skrzynię z czaszką i postawił ją na betonie. Nie szedł z Pat i Giordinem, trzymał się nieco z tyłu.

- Nie jedziesz z nami? - spytała Pat.

- Nie, zabierze mnie przyjaciel.

Popatrzyła na niego przenikliwie.

- Nie przyjaciółka?

Roześmiał się.

- Uwierzysz, jeśli powiem, że ojciec chrzestny?

- Chyba nie - odparła sarkastycznie. - Kiedy znów się zobaczymy?

Pocałował ją delikatnie w czoło.

- Prędzej, niż myślisz.

Zatrzasnął drzwi i patrzył, jak furgonetka jedzie do głównej bramy bazy. Odprężył się i usiadł na lądowisku, opierając się plecami o koło samolotu. Obaj piloci poszli w stronę budynków. Wiosenne waszyngtońskie powietrze było czyste i świeże, temperatura osiągała niezwykle o tej porze roku piętnaście stopni Celsjusza. Po niecałych dziesięciu minutach do samolotu podjechał bezgłośnie bardzo elegancki, srebrnoszary samochód.

Podwozie od rolls-royce'a silvera dawno zaopatrzone w karoserię firmy Hooper & Company z

pięćdziesiątego piątego roku. Zgrabna linia nadwozia płynnie łączyła przedni zderzak z tyłem samochodu, przykrywając koła łagodnie profilowanymi osłonami. Sześciocylinnowy silnik z górnym wałkiem rozrządu, o pojemności czterech i pół litra, mógł nadać pojazdowi prędkość bliską stu trzydziestu kilometrom na godzinę. Jedyнным dźwiękiem, jaki wtedy powstawał, był szum opon na nawierzchni.

Od strony kierowcy wysiadł Hugo Mulholand, kierowca St. Julienu Perlmuttera, i wyciągnął rękę.

- To wielka przyjemność móc znów pana widzieć, panie Pitt.

Pitt uśmiechnął się i uścisnął szoferowi dłoń. W przywitaniu nie było śladu serdeczności, ale Pitt nie zamierzał się obrażać. Znał Hugona od ponad dwudziestu lat. Kierowca i kompetentny pomocnik Perlmuttera był życzliwym, liczącym się z ludźmi człowiekiem, ale miał kamienną twarz Bustera Katona, rzadko się uśmiechał i okazywał tradycyjne oznaki sympatii. Wziął torbę Pitta i włożył ją do bagażnika rollsa, po czym cofnął się, by Pitt własnoręcznie mógł załadować skrzynię. Następnie otworzył tylne drzwi i odsunął się na bok.

Pitt wsiadł i spróbował jak najwygodniej usadowić się na kanapie zajmowanej już w dwóch trzecich przez masywny korpus Perlmuttera.

- St. Julien, wyglądasz jak skowronek.

- Raczej jak indyk. - Perlmutter ujął głowę Pitta i ucałował go w oba policzki. Wielki mężczyzna w panamie na głowie był siwy, miał czerwoną twarz, nochal jak tulipan i jasnoblękitne oczy. - Wieki się nie widzieliśmy.

Ostatni raz, kiedy ta mała ładna Azjatka z Urzędu Imigracyjnego robiła nam w twoim hangarze kolację.

- Julia Maria Lee. Prawie dokładnie rok temu.

- Co się z nią stało?

- Ostatnio słyszałem, że dostała jakieś zadanie w Hongkongu.

- Żadna nie zagrzewa sobie miejsca, co?

- Nie należę do facetów, których kobiety zabierają do domu, by przed stawić mamie.

- Bzdura. Jeśli się ustatkujesz, będziesz świetną partią.

Pitt szybko zmienił temat.

- Czy to możliwe, żebym czuł zapach jedzenia?

- Kiedy ostatni raz jadłeś?

- Na śniadanie wypilem kawę, na obiad oranżadę.

Perlmutter podniósł z podłogi piknikowy koszyk i postawił go sobie na kolanach. Ze schowka w oparciu przedniego fotela wyjął tace z eleganckiego drewna.

- Przygotowałem małą przekąskę na drogę do Friedrichsburga.

- Tam jedziemy? - Pitt nie mógł się doczekać delikatesów z koszyka.

Perlmutter skinął głową bez słowa i uniósł butelkę szampana Veuve Clicquot Ponsardin Brut z żółtą etykietą.

- Może być?

- Mój ulubiony - odparł Pitt.

Wartownik dał Mulholandowi znak, że mogą wyjechać. Skręcili w lewo na Capital Beltway i pojechali na wschód, przecinając rzekę Potomac. Kiedy dotarli do Springfield, skręcili na południe. Perlmutter ułożył na tacach srebrne sztućce, ustawił porcelanowe naczynia i zaczął podawać dania.

Zaczęli od naleśników z nadzieniem z grzybów i grasicy cielejącej, potem przeszli do pieczonych w kruszonym chlebie ostryg, następnie uporali się z kilkoma rodzajami pasztecików i serów i wreszcie zakończyli brzoskwiniami w czerwonym winie.

- Prawdziwa uczta, St. Julien. Rzadko jadam tak ekstrawagancko.

- Ja często - odparł Perlmutter i poklepał się po wielkim brzuchu. - Tym się różnimy.

Okazały piknik został zakończony termosem espresso.

- Bez koniaku? - spytał żartobliwie Pitt.

- Dla mężczyzny po sześćdziesiątce to zbyt wczesna pora na raczenie się wysokoprocentowymi napojami. Zasnąłbym po południu.

- Gdzie jest ta druga czaszka, o której wspomniałeś? We Friedrichsburgu.

- Tak sądziłem.

- Należy do bardzo miłej starszej pani, która nazywa się Christine Mender-Husted. Jej prababka znalazła ją, kiedy statek wielorybiczny męża został zablokowany w lodach Antarktyki. Przejmująca historia. Wedle rodzinnej legendy Roxanna Mender zgubiła się pewnego dnia podczas spaceru po lodzie. Kiedy jej mąż, kapitan Bradford Mender, właściciel i dowódca „Paloverde”, wyszedł z członkami załogi jej szukać, odkryli porzuconego angielskiego indiamana. Zaciekawieni weszli na pokład żaglowca i przeszukali go. Znaleźli nie tylko martwą załogę i pasażerów, ale także ładownię, w której znajdowały się czaszka z czarnego obsydianu i inne dziwne przedmioty. Niestety, zostawili je, ponieważ pokrywa lodowa zaczęła pękać i musieli gnać z powrotem na swój statek.

- Ale czaszkę wzięli? Perlmutter skinął głową.

- Tak. Roxanna przyniosła ją osobiście z porzuconego żaglowca. Od tego czasu jest dziedziczona z pokolenia na pokolenie.

Pitt patrzył przez okno na zielony, pagórkowaty krajobraz Wirginii.

- Nawet jeśli obie czaszki okazałyby się identyczne, nie pomoże nam to ustalić autora ani celu ich zrobienia.

- Porównanie czaszek nie jest powodem, dla którego umówiłem się na spotkanie z panią Mender-Husted.

- A o co ci chodzi?

- Od dziesięciu lat próbuję odkupić od niej rodzinne dokumenty z czasów, kiedy kapitan Mender polował na wieloryby. Są wśród nich dzienniki pokładowe statków, na których pływał. Ale najważniejszy w kolekcji jest dziennik ze statku, który znaleźli w lodzie. Oddałbym za niego resztę swych zębów.

- Rodzina Menderów go ma?

- Z tego, co wiem, kapitan Mender miał go przy sobie, kiedy pędzili co sił do swego statku.

- A więc miałaś ukryty cel tej wyprawy... Perlmutter uśmiechnął się chytrze.

- Mam nadzieję, że kiedy pani Mender-Husted zobaczy twoją czaszkę zmięknie i sprzeda mi swoją wraz z rodzinnym archiwum.

- Nie wstyd ci, kiedy patrzysz na siebie w lustrze?

- Wstyd. - Perlmutter roześmiał się diabolicznie. - Ale szybko mi przechodzi.

- Czy w tym dzienniku są jakieś informacje o tym, skąd wzięła się czaszka? Perlmutter pokręcił głową.

- Nie czytałem go. Mender-Husted trzyma księgę pod kluczem. Mijały sekundy, Pitt siedział zamyślony. Zastanawiał się, ile obsydianowych czaszek kryje się na kuli ziemskiej.

Rolls-royce poruszał się cicho, ale szybko. Do Friedrichsburga dotarli w półtorej godziny. Mulholand skierował limuzynę na okrągły podjazd, prowadzący do malowniczego domu w stylu kolonialnym. Posiadłość stała na wzgórzach nad rzeką Rappahannock, skąd rozpościerał się widok na miejsce, gdzie pewnego dnia podczas wojny secesyjnej zginęło dwanaście i pół tysiąca żołnierzy. Zbudowany w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym roku dom był wytwornym wspomnieniem przeszłości.

- No to jesteśmy na miejscu - stwierdził Perlmutter, kiedy Mulholand otworzył drzwi.

Pitt wyjął z bagażnika skrzynię z czaszką.

- To powinno być ciekawe - stwierdził, kiedy weszli schodami i pociągnęli za sznur dzwonka.

Christine Mender-Husted mogłaby grać przeciętną babcię. Była siwa i serdecznie się uśmiechała. Miała anielskie rysy twarzy, dziesięć kilo nadwagi i poruszała się równie żywo, jak jej migoczące brązowe oczy. Przywitała się z Perlmutterem silnym uściskiem dłoni i skinęła głową, kiedy przedstawił przyjaciela.

- Proszę wejść - powiedziała serdecznie. - Oczekiwałam panów. Napiją się panowie herbaty?

Przytaknęli i przeszli do wysokiego pomieszczenia o wyłożonych boazerią ścianach, w którym mieściła się biblioteka. Usiedli w wygodnych, skórzanych fotelach. Młoda dziewczyna, przedstawiona jako pomagająca w domu córka sąsiadów, podała herbatę, po czym Christine zwróciła się do Perlmuttera.

- Cóż, St. Julien, powiedziałam już przez telefon, że jeszcze nie jestem gotowa, żeby sprzedać rodzinne skarby.

- Przyznam, że nadzieja zakupu nigdy mnie nie opuściła, ale przywiozłem Dirka z innego powodu.

- Zwrócił się do Pitta. - Mógłbyś pokazać pani Mender-Husted, co masz w skrzyni?

- Proszę mówić mi Christine. Moje nazwiska nie brzmią razem najlepiej.

- Od zawsze mieszka pani w Wirginii? - spytał Pitt, by podtrzymać rozmowę. Równocześnie odpinał paski od skrzyni.

- Sześć pokoleń moich przodków to Kalifornijczycy, wielu do dziś mieszka w San Francisco i okolicy. Miałam szczęście wyjść za mąż za dobrego człowieka z Wirginii. Pracował jako doradca trzech prezydentów.

Pitt zaniemówił. Jego wzrok napotkał czarną obsydianową czaszkę, stojącą na obramowaniu kominka. Powoli, niczym w transie, otworzył skrzynię. Wyjął swoją czaszkę, podszedł do kominka i postawił ją obok „bliźniaka”.

- Jezu drogi! - zawołała Christine. - Nie wiedziałam, że jest jeszcze jedna!

- Ja też - odparł Pitt. Przyglądał się czaszkom. - Wyglądają na idealne duplikaty. Wszystkie rozmiary są takie same. Jakby odlane z tej samej formy.

- Niech mi pani powie, Christine - powiedział Perlmutter - jaką tajemniczą historię o czaszce przekazał pani pradziadek?

Popatrzyła na niego, jakby pytanie było nad wyraz głupie.

- Wie pan równie dobrze, jak ja, że została znaleziona na statku o nazwie „Madras”, tkwiącym w lodzie. Płynął z Bombaju do Liverpoolu z trzydziestoma siedmioma pasażerami, czterdziestoosobową załogą i ładunkiem herbaty, jedwabiu, przypraw korzennych oraz porcelany. Moi pradziadkowie znaleźli czaszkę w ładowni wypełnionej innymi starożytnymi przedmiotami.

- Chodziło mi o to, czy odkryli coś, co pomogłoby ustalić, w jaki sposób dostały się na pokład „Madrasa”?

- Wiadomo na pewno, że czaszka i reszta osobliwości nie trafiły na statek w Bombaju. Załoga i pasażerowie odkryli przedmioty, kiedy zacumowali na bezludnej wysepce w poszukiwaniu wody. Szczegóły były w dzienniku.

Pitt z wahaniem, obawiając się najgorszego, spytał:

- Powiedziała pani: były?

- Kapitan Mender nie zatrzymał dokumentu. Ostatnim życzeniem umierającego kapitana „Madrasa” było, by przekazać go właścicielom statku. Mój pradziad, który był obowiązkowym człowiekiem, wysłał dziennik kurierem do Liverpoolu.

Pitt miał wrażenie, jakby wpadł na kamienny mur w ślepej uliczce.

- Nie wie pani, czy właściciele „Madrasa” wysłali jakąś ekspedycję, która miałaby odnaleźć statek i prześledzić drogę, jaką przebyły znaleźziska?

- Okazało się, że pierwsi właściciele firmy sprzedali ją, zanim kapitan Mender wysłał logbuch. Nowa dyrekcja wysłała na poszukiwania dwa statki, ale oba zaginęły.

- Czyli wszystkie zapiski są stracone - stwierdził zniechęcony Pitt. Oczy Christine błysnęły.

- Tego nie powiedziałam.

Pitt popatrzył na starszą panią, chcąc wyczytać w jej oczach, co ma na myśli.

- Ale...

- Moja prababka była bardzo rzutką kobietą - przerwała mu w pół słowa. Zanim mąż odesłał dziennik do Anglii, sporządziła jego kopię. Pitt miał wrażenie, że słońce przebiło się przez chmury.

- Mógłbym go przeczytać?

Christine nie od razu odpowiedziała. Podeszła do starego kapitańskiego biurka i zapatrzyła się w obraz wiszący na dębowej boazerii. Przedstawiał mężczyznę siedzącego w fotelu ze skrzyżowanymi rękami i nogami. Gdyby nie wielka broda, można by go uznać za przystojnego. Był wysoki, ciało i ramiona wypełniały mebel. Za nim stała drobna kobieta, z dłonią opartą na jego ramieniu. Jej brązowe oczy patrzyły przenikliwie. Oboje byli ubrani w dziewiętnastowieczne stroje.

- Kapitan Bradford i Roxanna Menderowie - powiedziała tęsknie, zagubiona w przeszłości, w której nigdy nie żyła. Potem odwróciła się i popatrzyła na Perlmuttera. - St. Julien, sądzę, że chwila nadeszła. Sentyment kazał mi trzymać dokumenty i listy zbyt długo. Lepiej będzie, jeśli poznają je ludzie, którzy zrobią użytek z tej historii. Zbiór jest pański za cenę, którą pan zaoferował.

Perlmutter wstał z krzesła z lekkością atlety i objął Christine.

- Dziękuję, droga pani. Obiecuję, że wszystko będzie przechowywane zgodnie z wszelkimi wymogami archiwistyki i zachowane dla przyszłych badaczy.

Christine podeszła do Pitta.

- Dla pana mam prezent. Oddaję moją obsydianową czaszkę w pańskie ręce. Co pan zamierza z nimi zrobić?

- Zanim znajdą się w muzeum historii starożytnej, zostaną zbadane w laboratorium. Może uda się określić datę ich powstania i przypisać je jakiejś minionej cywilizacji.

Przez długą chwilę patrzyła na czaszki, po czym powoli westchnęła.

- Niechętnie ją oddaję, ale wiedza, że ktoś o nią odpowiednio zadba, nieco to ułatwia. Wszyscy uważali, że przynosi nieszczęście i tragedię, ale od momentu, kiedy Roxanna przeniosła ją przez roztapiający się lód na statek męża, naszej rodzinie przyniosła jedynie szczęście i błogosławieństwo.

W drodze powrotnej do Waszyngtonu Pitt czytał dziennik „Madrasa”, precyzyjnie przepisany do oprawionej w skórę księgi delikatnym i płynnym pismem Roxanny Mender. Choć rolls-royce jechał

gładko jak po maśle, Pitt raz za razem podnosił głowę i patrzył w dal, by nie dostać choroby lokomocyjnej.

- Jest coś ciekawego? - spytał Perlmutter, kiedy Mulholand przecinał most George'a Masona, łączący brzegi Potomacu.

Pitt podniósł wzrok.

- O, tak. Dowiedziałem się, gdzie mniej więcej załoga „Madrasa” odkryła czaszkę. I wiele, wiele więcej.

12

Rolls-royce zatrzymał się przy starym hangarze, na opuszczonym końcu lotniska Washington International. Pitt nazywał go swoim domem. Zbudowany w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku budynek wyglądał, jakby dawno go opuszczono i lada chwila miał się zawalić. Pordzewiałe blaszane ściany obrosły chwasty, okna były na głucho pozabijane deskami.

Hugo nie wysiadł. Obok samochodu pojawili się nagle dwaj ubrani w panterki ludzie, którzy obstawili samochód z gotowymi do strzału karabinami. Jeden z nich wsadził głowę przez okno kierowcy, drugi stał naprzeciw Mulholanda w sposób wyraźnie ostrzegający przed jakimkolwiek niemądrym ruchem.

- Mam nadzieję, że któryś z was to Dirk Pitt - rzucił krótko mężczyzna, zaglądając na tylne siedzenie.

- To ja.

Ochroniarz przez chwilę się przyglądał.

- Proszę okazać dowód tożsamości. - Nie była to prośba, ale rozkaz. Pitt pokazał identyfikator Agencji, na co ochroniarz uśmiechnął się i podniósł lufę karabinu.

- Przepraszam za niewygodę, ale mamy rozkaz ochraniać pana i pańskie mienie.

Pitt przypuszczał, że mężczyźni należeli do mało znanej federalnej agencji ochrony. Pracowali w niej dużej klasy specjaliści od ochrony zagrożonych osób z rządu i podległych rządowi instytucji.

- Jestem wdzięczny za troskę i poświęcenie.

- Pozostali dwaj panowie?

- Dobrzy przyjaciele.

Ochroniarz podał Pittowi niewielkie urządzenie przypominające pilota do alarmu samochodowego.

- Proszę nosić to ze sobą w domu przez cały czas i przy najmniejszej oznace niebezpieczeństwa wcisnąć przycisk. Zareagujemy w ciągu dwudziestu sekund.

Ochroniarz nie przedstawił się, Pitt nie pytał o imię ani nazwisko. Mulholand otworzył bagażnik i Pitt wyjął torbę. W tym momencie zauważył, że obaj ochroniarze zniknęli. Rozejrzał się wokół hangaru i przyjrzał pustemu polu między hangarem a głównym pasem startowym. Można było odnieść wrażenie, że nigdy nikogo tu nie było. Jakby zapadli się pod ziemię.

- Każę Hugonowi zostawić w centrali obie czaszki - stwierdził Perlmutter.

Pitt położył dłoń na ramieniu kierowcy.

- Zanieś je bardzo ostrożnie do laboratorium na piątym piętrze i daj dyżurnemu naukowcowi. Nazywa się Harry Matthews.

Mulholand lekko podniósł kącki ust. Oznaczało to tyle co szeroki uśmiech u przeciętnego człowieka.

- Zrobię wszystko, żeby ich nie upuścić.

- Do widzenia, St. Julien. I dziękuję.

- Nie ma za co, chłopcze. Wpadnij na kolację, kiedy tylko będziesz mógł.

Pitt patrzył, jak stary rolls jedzie polną drogą do bramy lotniska. Za nim unosił się niewielki obłok kurzu. Podniósł wzrok ku dawno nie używanej latarni i popatrzył na zamontowaną tam maleńką kamerę. Może obejrzenie nagrań zaspokoi jego ciekawość i dowie się, gdzie chowają się ochroniarze.

Za pomocą innego niewielkiego pilota wyłączył skomplikowany system alarmowy hangaru i otworzył drzwi, które wyglądały na nie ruszane od drugiej wojny światowej. Zrzucił torbę na ramię i wszedł do środka. Było tu ciemno, ale czysto. Ani jednego słonecznego promyka. Zamknął drzwi i zapalił światło. Wnętrze zaśniło nagle wszystkimi kolorami tęczy.

Na śnieżnobiałej podłodze hangaru stało pięćdziesiąt starych samochodów we wszelkich możliwych barwach świata. Poza samochodami znajdował się tu niemiecki odrzutowiec z okresu drugiej wojny światowej i trzysilnikowy samolot Forda z wczesnych lat trzydziestych, zwany Tin Goose. Na szynach, tuż pod jedną ze ścian, stała lokomotywa z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Całości dopełniały żeliwna wanna z zamontowanym silnikiem oraz przedziwna niezatapialna tratwa z prowizoryczną kabiną i masztem. Kolekcji pilnował wysoki słup totemowy Indian Haida.

Pitt zatrzymał się i omiół wzrokiem eklektyczną kolekcję. Spojrzał w górę na zwisające z wysokiego sufitu dawne znaki drogowe. Część z nich pochodziła z najstarszych amerykańskich autostrad. Zadowolony, że wszystko jest na swoim miejscu, wszedł spiralnymi, żelaznymi schodami do umieszczonego pod dachem mieszkania.

Jego wnętrze przypominało muzeum marynistyczne. Modele statków w szklanych gablotach mieszały się z drewnianymi kołami sterowymi, podstawami kompasów, dzwonekami okrętowymi oraz miedzianymi i mosiężnymi hełmami nurkowymi. Salon, gabinet, sypialnia z łazienką, kuchnia z jadalnią zajmowały razem niewiele ponad sto metrów kwadratowych.

Choć był śmiertelnie zmęczony, wyjął rzeczy z torby i wrzucił je do niewielkiej szafy, w której trzymał pralkę i suszarkę. Poszedł potem do łazienki i wziął długi prysznic. Oparty plecami o ścianę wyciągnął nogi i patrzył, jak strumień parującej wody spływa w dół kabiny. Kiedy odprężył się przy szklaneczce srebrnej tequili, dźwięk dzwonka oznajmił przybycie gościa.

Spojrzał na ekran jednego z czterech monitorów, zamontowanych między półkami na książki. Przy wejściu stał zastępca dyrektora Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych Rudi Gunn. Pitt wcisnął klawisz i powiedział:

- Wchodź, Rudi. Jestem na górze.

Gunn wspiął się po schodach i wszedł do mieszkania. Był niewysokim mężczyzną o romańskim nosie i rzadnych włosach. Patrzył na świat przez okulary w grubych rogowych oprawkach. Gunn, były komandor marynarki wojennej i prymus roku w Akademii Morskiej, był wybitnie inteligentny i szanowany przez współpracowników. Jego błękitne oczy wydawały się przez okulary olbrzymie. Twarz wyrażała konsternację.

- Tych dwóch ludzi w polowych mundurach z bronią przstraszyło mnie na śmierć. Na szczęście udało mi się udowodnić im, że jestem twoim przyjacielem z Agencji.

- Pomysł admirała Sandeckera.

- Wiem, że wynajął agencję ochrony, ale nie miałem pojęcia, że umieją zjawiać się znikąd i rozplýwać w powietrzu. Brakowało jedynie obłoczka dymu.

- Są bardzo skuteczni.

- Powiedziano mi, co ci się przytrafiło w Telluride - Gunn opadł na krzesło. - Po mieście krąży pogłoska, że twoje życie nie jest warte grosza.

Pitt przyniósł Gunnowi z kuchni szklankę mrożonej herbaty. Rudi rzadko pijał alkohol - właściwie jedynie okazjonalnie jedno piwo.

- Nie dla tych pajaców z Czwartego Imperium. Podejrzewam, że nie pożałują pieniędzy, by posłać mnie do grobu.

- Pozwoliłem sobie zajrzeć w kilka ciemnych kątów. - Gunn przerwał i jednym haustem wypił pół szklanki herbaty. - Spotkałem się z kilkoma przyjaciółmi z CIA...

- Co może interesować CIA w przestępstwie dokonanym na terenie Stanów Zjednoczonych?

- Podejrzewają, że przestępcy, na których się natknąłeś, mogą należeć do międzynarodowego syndykatu przestępczego.

- Terrorysty? Gunn pokręcił głową.

- Wiadomo, że nie są to fanatycy religijni ani wyznawcy jakiegoś kultu, ale ich mocodawcy wciąż pozostają w cieniu. Ani CIA, ani Interpolowi nie udało się jeszcze zinfiltrować tej organizacji. Zagraniczne służby wywiadowcze wiedzą jedynie, że coś takiego istnieje. Nikt nie ma pojęcia, gdzie mają siedzibę ani kto nimi dowodzi. Zabójcy pojawiają się - tak jak w Telluride - zabijają swe ofiary i znikają.

- W co są wplątani poza morderstwem?

- To też wydaje się niejasne. Oczy Pitta się zwiężyły.

- Kto słyszał o organizacji przestępczej bez motywu? Gunn wzruszył ramionami.

Wiem, że brzmi to wariacko, ale jak na razie nie wysunęli żadnej groźby.

- Macie dwóch z Telluride, których można przesłuchać.

Gunn uniósł brwi.

- Nie słyszałeś?

- O czym?

- Godzinę temu do admirała Sandeckera zadzwonił szeryf Eagan z Telluride. Więźniów znaleziono martwych.

- Cholera! Wyraźnie mu powiedziałem, żeby ich przeszukał, czy nie mają kapsulek z cyjankiem!

- To nie była zwykła trucizna. Według Eagana przemycono im do celi bombę. Rozerwało ich na strzępy - razem z zastępcą szeryfa, który pełnił niedaleko służbę.

- Życie jest dla tych ludzi naprawdę tanim towarem.

- Też mi się tak wydaje.

- Co dalej?

- Admirał zamierza cię wysłać na środek Pacyfiku, gdzie prowadzone są prace geologiczne na dużych głębokościach, żebyś był bezpieczny przed wszelkimi próbami zamachu.

- Nigdzie nie jadę.

- Wiedziałem, że tak powiesz. Poza tym jesteś zbyt ważny dla śledztwa, by wysłać cię na jakieś

zadupie. Jak na razie miałeś więcej kontaktu z tą bandą niż ktokolwiek inny - i przeżyłeś to. Chce z tobą rozmawiać śledczy wysokiego szczebla. Jutro o ósmej rano... - Podał Pittowi kawałek papieru. - Tu masz adres. Wjedź do garażu i czekaj na dalsze instrukcje.

- James Bond i Jack Ryan też będą?

Gunn skrzywił się drwiąco.

- Śmieszne. - Dokończył herbatę i wyszedł na balkon, by popatrzeć na wspaniałą kolekcję w dole. - To ciekawe...

- Co?

- Powiedziałeś, że skrytobójcy to członkowie Czwartego Imperium...

- To ich słowa, nie moje.

- Hitlerowcy nazywali swój ohydny świat marzeń Trzecią Rzeszą.

- Na szczęście większość dawnych hitlerowców już nie żyje. Trzecia Rzesza zmarła z nimi.

- Uczyłeś się kiedyś niemieckiego? Pitt pokręcił głową.

- Jedyne słowa, jakie znam, to: ja, nein i auf Wiedersehen.

- W takim razie nie wiesz, że po angielsku Trzecią Rzeszę nazywa się Trzecim Imperium.

Pitt nieco zeszywniał.

- Chyba nie myślisz, że to banda neonazistów?

Gunn właśnie zamierzał odpowiedzieć, kiedy nagle rozległ się głośny syk, przypominający włączony dopalacz samolotu myśliwskiego. Niemal równocześnie usłyszeli zgrzyt rozrywanego metalu. Ze ściany hangaru strzelił długi pomarańczowy płomień, który natychmiast zniknął po przeciwległej stronie budynku. Dwie sekundy później wewnątrz wstrząsnęła głośnie eksplozja. Balkon, na którym stali Gunn i Pitt, zadygotał. Z sufitu spadła chmura kurzu i pokryła jaskrawe dachy samochodów. Po grzmocie zapanowała głucha cisza.

Odezwała się długa seria z broni maszynowej i zadudniła kolejna, bardziej zduszona eksplozja. Obaj mężczyźni stali jak zamurowani, ściskając poręcz balkonu.

Pitt pierwszy odzyskał mowę.

- To dranie...

- Co to, na Boga, było?

- Niech ich cholera weźmie! Wystrzelili w mój hangar raketę. Uratowało nas tylko to, że głowica nie wybuchła. Przeleciała przez cienką zardzewiałą ścianę i wyfrunęła przeciwległą. Czujnik w głowicy nie wyczuł żadnej trwałej przeszkody.

Gwałtownie otworzyły się drzwi i do hangaru wpadło dwóch ochroniarzy. Zatrzymali się pod schodami.

- Nic się nie stało? - spytał jeden z nich.

- Trochę nami wstrząsnęło - odparł Pitt. - Skąd strzelali?

- Z helikoptera, z ręcznej raketnicy. Przepraszamy, że pozwoliliśmy im tak blisko podlecieć. Zmylili nas oznaczeniami lokalnej stacji telewizyjnej. W każdym razie ostrzelaliśmy maszynę i rozbili się w rzece.

- Dobra robota - z przekonaniem stwierdził Pitt.

- Pańscy przyjaciele nie żałują pieniędzy, co?

- Najwyraźniej mogą ich dużo spalić. Ochroniarz zwrócił się do swojego partnera.

- Zwiększamy promień ochrony. - Rozejrzał się po hangarze. - Coś zostało zniszczone?

- Dziury w ścianach są na tyle duże, że można z nich spokojnie wypuszczać latawce.

- Zajmiemy się tym. Coś jeszcze?

- Tak - stwierdził Pitt, coraz bardziej zezłoszczony widokiem osadzającego się na jego drogich samochodach kurzu. - Wezwijcie ekipę sprzątającą.

- Może powinieneś się jednak zastanowić, czy nie lepiej pojechać na Pacyfik - podsunął Gunn.

Pitt najwyraźniej go nie usłyszał.

- Czwarta Rzesza, Czwarte Imperium - bez względu na to, kim są, popełnili poważny błąd.

- Czyżby? - spytał Gunn, patrząc na drżące ręce, jakby należały do kogo innego. - Jaki błąd?

Pitt wpatrywał się w dziury w ścianach hangaru. Jego oczy wyrażały wściekłość. Taką złość Gunn widział w nich najwyżej cztery razy i mimowolnie się wzdrygnął.

- Jak na razie, bawili się tylko niegrzeczni chłopcy... - Pitt wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - Teraz kolej na mnie.

13

Przed pójściem do łóżka Pitt obejrzał taśmy z kamery kontrolnej i stwierdził, że ochroniarze dobrze odrobili lekcję. Wykorzystując mapy podziemi lotniska, znaleźli betonową rurę o średnicy dwóch i pół metra, służącą do odprowadzania deszczu i wody śniegowej z pasów startowych, pasów do kołowania i okolic terminali. Rura przebiegała w odległości niecałych trzydziestu metrów od hangaru Pitta. Przy ukrytym za wysokimi chwastami włązie ochroniarze założyli znakomicie zakamuflowany punkt obserwacyjny.

Pitt przez chwilę pomyślał, żeby pójść do nich z kawą i kanapkami, ale było to oczywiście niepoważne. Ostatnie, czego potrzebował, to narażać na odkrycie swoją ochronę.

Właśnie się ubrał i zjadł szybkie śniadanie, kiedy obok hangaru zatrzymała się ciężarówka ze sprzętem do naprawy wybitych dziur. Za nią stanęła Poznakowana furgonetka, z której wysiadło kilku ludzi w roboczych kombinezonach. Chociaż ochroniarze nie pokazali się, Pitt wiedział, że uważnie obserwują, co się dzieje. Podszedł jeden z robotników.

- Pan Pitt?

- Tak.

- Wejdziemy do środka, naprawimy, co trzeba, posprzątamy i już nas nie ma. Pitt z niemal unizonym zachwytem patrzył, jak robotnicy wyładowują z ciężarówki płaty pordzewiałej blachy, prawie niczym nie różniące się od ścian jego hangaru.

- Gdzie to znaleźliście? - spytał.

- Nie uwierzyłby pan, jak rząd umie wyszukiwać stare materiały budowlane - odparł brygadzysta.

- To, co pan widzi, pochodzi z dachu starego magazynu w Capital Heights.

- Nasz rząd jest bardziej skuteczny, niż sądziłem.

Zostawił robotników i właśnie zamierzał wsiąść za kierownicę turkusowego jeepa cherokee z firmowym napisem na boku, kiedy na drodze stanęła czarna corvetta stingray. Przez okno pasażera wychylił się Giordino.

- Podwieźć cię?!

Pitt podbiegł do auta i usadowił się wewnątrz, zginając nogi.

- Nie mówiłeś, że wpadniesz.
- Mam być o ósmej tam gdzie i ty. Pomyślałem, że możemy jechać razem.
- Porządny z ciebie facet, Al - stwierdził radośnie Pitt. - Bez względu na to, co o tobie gadają.

Giordino zjechał z Wisconsin Avenue w niewielką uliczkę w dzielnicy domów jednorodzinnych w Glover Park, niedaleko Obserwatorium Marynarki Wojennej. Krótki zaułek ocieniały stuletnie wiązy. Był tu tylko jeden dom - ukryty za wysokim żywopłotem, żadnych samochodów ani ludzi na chodnikach.

- Na pewno dobrze skręciliśmy? - spytał Giordino. Pitt wskazał palcem przed siebie.
- Ulica jest ta, co trzeba, a ponieważ to jedyny dom, nie mamy wyjścia.

Giordino wjechał na kolisty podjazd, nie zatrzymał się jednak przy bramie wjazdowej, lecz pojechał dalej, by dotrzeć na tył budynku. Gdy zgodnie z umową podjechali do rozsypującego się garażu, Pitt obejrzał dwupiętrową ceglana bryłę budynku. Posiadłość wyglądała, jakby zbudowano ją dla kogoś znaczącego i zamożnego tuż po wojnie secesyjnej. Otoczenie i sam dom sprawiały wrażenie doskonale utrzymanych, ale wszystkie okna były zasłonięte, jakby mieszkańcy wyjechali na dłuższy czas.

Corvetta wjechała do garażu, którego podwójne drzwi były szeroko otwarte. Pomijając kilka rzuconych byle jak narzędzi ogrodniczych, kosiarkę i stół warsztatowy, nie używany od dziesięcioleci, w środku było pusto. Giordino wyłączył silnik, przerzucił dźwignię automatycznej skrzyni biegów na parkowanie i odwrócił się do Pitta.

- I co teraz?

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast. Drzwi garażu zamknęły się. Kilka sekund później podłoga zaczęła powoli zjeżdżać. Ciszę zakłócało jedynie delikatne buczenie. Pitt chciał oszacować prędkość oraz głębokość, na jaką zjeżdżają, ale po kilkunastu sekundach wokół zrobiło się ciemno. Na trzydziestu metrach - według niego - winda łagodnie stanęła. Zapalił się szereg lamp i dostrzegli, że są w sporym podziemnym garażu. Stało tu już kilka aut. Giordino zajął wolne miejsce między turkusowym jeepem cherokee z firmowym napisem na drzwiach a chryslerem. Poznał samochód Sandeckera. Admirał obstawał przy tym, by wszystkie pojazdy Agencji miały napęd na cztery koła. Powinny nadawać się zarówno do jazdy miejskiej, jak i terenowej, tak aby można się było nimi poruszać przy złej pogodzie.

Przy metalowych drzwiach stał żołnierz korpusu marines.

- Chyba mogę tu stanąć? - spytał złośliwie Giordino. - Zamknąć go?
- Mam przecucie, że nikt go tu nie ukradnie - odparł Pitt. - Ale to oczywiście tylko przecucie.

Wysiedli i podeszli do strażnika. Na jego mundurze dostrzegli trzy belki sierżanta. Skinął na powitanie głową.

- Pan musi być Dirkiem Pittem, a pan Albertem Giordinem. Jesteście ostatni.

- Chce pan zobaczyć nasze legitymacje? Strażnik uśmiechnął się.

- Oglądałem dokładnie zdjęcia panów. Rozróżnienie was to jak rozróżnienie Joego Pesci i Clinta Eastwooda. Trudno się pomylić. - Przycisnął klawisz i drzwi rozsunęły się, ukazując krótki korytarzyk. Na jego końcu były kolejne drzwi. - Kiedy dojdą panowie do wewnętrznych drzwi, proszę się zatrzymać, żeby wartownik mógł was obejrzeć w kamerze.

- Nie ufa pańskiej ocenie? - spytał Giordino. Na twarzy wartownika nie drgnął żaden mięsień.
- Zasady bezpieczeństwa - odparł lakonicznie.

- Nie przesadzają z tym bezpieczeństwem? - mruknął Giordino. - Równie dobrze mogli zrobić odprawę w Taco Bell.

- Biurokraci mają hyzja na punkcie zachowania tajemnicy.

- Tam mógłbym przynajmniej zjeść enchiladę.

Drzwi otworzyły się i weszli do ogromnego, wyłożonego wykładziną pomieszczenia. W celu wyciszenia, ściany pokryto tkaniną. W głębi znajdował się gigantyczny ekran. Oświetlenie było odpowiednie, tak że oczy nie musiały się wysilać. Wokół stołu siedzieli już różni ludzie - zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Kiedy Pitt i Giordino podeszli, nikt nie wstał.

- Spóźniliście się - powiedział admirał Sandecker, dyrektor Agencji. Niewysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna o płomiennie rudych włosach i bródce a la van Dyck spoglądał na nich władczo błękitnymi oczami, którym nic nie umykało. Był sprytny jak śpiący na drzewie czujny lampart - wiedział, że posiłek prędzej czy później sam do niego przyjdzie. Bywał drażliwy i wybuchowy i kierował Agencją jak udzielny władca. Wskazał dłonią mężczyznę po lewej.

- Obaj chyba nie znacie Kena Helma, agenta specjalnego FBI.

Siwy mężczyzna w doskonale skrojonym garniturze, o przenikliwych, spokojnych oczach spoglądających znad okularów, uniósł się nieco w krzesło i wyciągnął dłoń.

- Wiele o was słyszałem.

Czyli czytałeś nasze akta osobowe, pomyślał Pitt. Sandecker odwrócił się do mężczyzny po prawej.

- Ron Little. Ma w wywiadzie wysokie stanowisko, ale wciąż zapominam jakie.

Pittowi bez trudu się przypomniało - zastępca dyrektora.

Little miał głęboko osadzone oczy, łagodne jak u psa collie, i naznaczoną doświadczeniem twarz, która przywodziła na myśl średniowiecznych świętych. Kiwnął głową i powiedział tylko dwa słowa:

- Witam panów.

- Pozostałych znacie - stwierdził Sandecker i wskazał na środek stołu. Rudi Gunn gorączkowo notował i nawet nie podniósł głowy. Dirk podszedł do Pat O'Connell, położył jej dłoń na ramieniu i łagodnie powiedział:

- Prędzej, niż myślałaś.

- Uwielbiam mężczyzn, którzy dotrzymują obietnic. - Poklepała go po dłoni, nie zwracając uwagi na spojrzenia obecnych. - Usiądź obok mnie. Przeraza mnie taka ilość rządowych dygnitarzy.

- Zapewniam, doktor O'Connell - wtrącił Sandecker - że w tym pokoju włos pani z głowy nie spadnie.

Pitt przyciągnął krzesło i usiadł obok Pat, Giordino zajął miejsce obok Gunna.

- Czy ominęło nas coś ważnego? - spytał Pitt.

- Doktor O'Connell opowiedziała o podwodnej komorze i czaszce - odparł Sandecker. - Ken Helm miał przedstawić wstępne wyniki badania ciała, które przywieziono z Telluride.

- Niewiele tu do powiedzenia - powiedział Helm powoli. - Identyfikacja na podstawie uzębienia niezbyt się udała. Wstępne badania sugerują, że ubytki były leczone w Ameryce Południowej.

Pitt miał wątpliwości.

- Jesteście w stanie rozróżnić techniki stomatologiczne różnych krajów?

- Dobry biegły sądowy, specjalizujący się w identyfikacji na podstawie danych stomatologicznych, często potrafi określić miasto, gdzie robiono plombę.

- Czyli przybyli z zagranicy? - spytał Giordino.

- Zdawało mi się, że ich angielski jest nieco dziwny - powiedział Pitt. Helm popatrzył na niego znad okularów.

- Zauważył pan to?

- Mówili idealnie, bez amerykańskiego akcentu, choć dwóch miało naleciałości z Nowej Anglii.

Little zapisał coś w notesie.

- Panie Pitt, komandor Gunn przekazał nam, że mordercy, na których natknął się pan w Telluride, przedstawiali się jako członkowie Czwartego Imperium.

Swoją organizację określali także jako Nowe Przeznaczenie. Jak podejrzewaliście, może chodzić o duchowych spadkobierców Trzeciej Rzeszy.

- Wszystko jest możliwe.

Giordino wyjął z kieszonki na piersi gigantyczne cygaro i - bez zapalania, ze względu na siedzących przy stole niepalących - zaczął je przetaczać w ustach. Rozpoznawszy po etykiecie, że jest to egzemplarz z jego osobistego zapasu, Sandecker posłał mu zabójcze spojrzenie.

- Może nie jestem wystarczająco bystry, ale czegoś tu nie rozumiem - skromnie zaczął Giordino, który lubił odgrywać pokornego Kazia. W Akademii Sił Powietrznych był trzeci na roku. - Jak organizacja, dysponująca armią zabójców na całym świecie, może działać przez lata tak, że najlepsze służby wywiadowcze nie wiedzą, kto to jest i do czego zmierza?

- Przyszaję, że jesteśmy mocno sfrustrowani - ucziwie stwierdził Helm z FBI. - Jak pan wie, przestępstwa bez motywu są najtrudniejsze do rozwikłania.

Little potaknął.

- Do czasu konfrontacji w Telluride nikt, kto zetknął się z tymi ludźmi, nie przeżył.

- Dzięki Dirkowi i doktor O'Connell mamy teraz trop - powiedział Gunn.

- Kilka spalonych zębów to słaby ślad - uznał Sandecker.

- To prawda - zgodził się Helm - ale jest jeszcze zagadka komory w kopalni Paradise. Ktoś, kto posuwa się tak daleko, by powstrzymać naukowców przed studiowaniem napisów, morduje niewinnych ludzi i popełnia po zatrzymaniu samobójstwo... Cóż, musi mieć poważny motyw.

- Te napisy - wtrącił Pitt. - Dlaczego miałoby komuś tak zależeć na ukryciu ich znaczenia?

- Nie są chyba zachwyceni efektem swoich działań - powiedział Gunn. - Stracili sześciu zabójców i zdjęcia napisów.

- To niewiarygodne, że zwykłe odkrycie archeologiczne może kosztować życie tylu ludzi - stwierdził Sandecker beznamiętnie.

- To nie jest zwykłe odkrycie - zaoponowała Pat. - Jeśli to nie głupi żart, zrobiony przez górników sprzed kilkudziesięciu lat, może się okazać najważniejszym odkryciem archeologicznym minionego stulecia.

- Udało się pani odczytać symbole?

- Po pobieżnej analizie notatek mogę jedynie stwierdzić, że są alfabetyczne. To znaczy, że każdy symbol oznacza jeden dźwięk. Alfabet angielski na przykład składa się z dwudziestu sześciu symboli. Znaki z komory to trzydzieści dwie głoski i dziesięć liczb. Ludzie, którzy się nimi posługiwali, musieli dobrze rozwinąć matematykę. Znali zero i używali tyle samo cyfr, co my dzisiaj. Wpiszę je do komputera i przeanalizuję całościowo. Więcej na razie nie mam do powiedzenia. W tak krótkim czasie i na podstawie tak skromnych danych uzyskała pani naprawdę wiele - skomplementował ją Helm.

- Jestem przekonana, że uda nam się odczytać te napisy. W odróżnieniu od skomplikowanych

logosylabicznych systemów, jakimi posługiwali się Egipcjanie, Chińczycy czy mieszkańcy Kreta, tworząc teksty, które do dziś nie są odszyfrowane, ten wydaje się wyjątkowo prosty.

- Uważa pani, że czarna obsydianowa czaszka, znaleziona w komorze ma jakiś związek z inskrypcjami? - spytał Gunn.

Pat pokręciła głową.

- Nie umiem na to odpowiedzieć. Tak jak czaszki z kryształu, które znaleziono w Meksyku i Tybecie, może mieć przeznaczenie rytualne. Wiele osób - choć należy dodać, że nie są to uznani archeologowie - uważa, że pierwotnie było trzynaście czaszek. Ustawione w odpowiedni sposób rejestrowały drgania i przetwarzały je na obrazy holograficzne.

- Wierzy pani w to? - spytał całkiem poważnie Little. Pat się roześmiała.

- Nie, za bardzo jestem pragmatyczką. Zamiast szalonych teorii wolę mocne dowody.

Little przyglądał się jej zamyślony.

- Czy uważa pani, że obsydianowa czaszka...

- Czaszki - poprawił Pitt. Pat spojrzała na Dirka.

- Od kiedy mamy więcej niż jedną?

- Od wczoraj popołudniu. Dzięki dobremu przyjacielowi, St. Julienowi Perlmutterowi, zdobyłem następną.

- Gdzie ona jest? - spytał Sandecker.

- Została razem z czaszką z Telluride zawieziona do laboratorium Agencji. Chociaż nie da się datować obsydianu za pomocą konwencjonalnych metod, to może dowiemy się czegoś o autorach.

- Wiadomo, skąd się wzięła? - spytała Pat, zżerana przez ciekawość. Bez zbędnych szczegółów Pitt krótko przedstawił historię odnalezienia czaszki we wnętrzu bezpiecznego „Madrasa”. Potem opowiedział o spotkaniu i rozmowie z Christine Mender-Husted oraz o tym, jak wspaniałomyślnie podarowała mu czaszkę i zgodziła się sprzedać rodzinne dokumenty.

- Powiedziała, gdzie załoga „Madrasa” znalazła czaszkę? Pitt zamilkł na chwilę, napięcie wokół stołu wzrosło.

- Według dziennika pokładowego statku, „Madras” płynął z Bombaju do Liverpoolu, kiedy rozpętał się potężny huragan...

- Cyklon - poprawił Sandecker. - Każdy marynarz wie, że huragany występują jedynie na Atlantyku i na wschodnim Pacyfiku. Tajfuny na zachodnim Pacyfiku, a cyklony na Oceanie Indyjskim.

- Oczywiście - westchnął Pitt. Admirał Sandecker uwielbiał demonstrować swą encyklopedyczną wiedzę o sprawach morza. - Jak mówiłem, „Madras” wpadł w potężną burzę, która trwała niemal dwa tygodnie. Sponiewierany statek został zepchnięty z kursu daleko na południe. Kiedy wiatr i morze w końcu się uspokoiły, okazało się, że baryłki z pitną wodą zostały zniszczone i może jej zabraknąć. Kapitan postanowił zrobić postój na jednej z bezludnych wysep w południowej części Oceanu Indyjskiego. Zatrzymali się na Wyspach Crozeta - maleńkiej zamorskiej posiadłości Francji. Rzucono kotwicę przy niewielkiej wyspie Saint Paul - właściwie kupce poszarpanych skał z wulkanicznym wierzchołkiem pośrodku. Kiedy załoga zajmowała się naprawianiem baryłek i napełnianiem ich wodą ze strumienia, jeden z pasażerów, pułkownik armii angielskiej, który odsłużywszy dziesięć lat w Indiach, wracał właśnie do domu z żoną i dwiema córkami, postanowił wybrać się na małe polowanie. Jedyne zwierzęta łowne na wyspie były słonie morskie i pingwiny, ale w swej ignorancji pułkownik sądził, że znajdzie tam zwierzęta czworonożne. Po wspięciu się prawie trzysta metrów po zboczu góry natknął się z przyjaciółmi na ścieżkę, wyłożoną wygładzonymi

przez czas kamieniami. Doszli nią do wykutego w skale zwieńczonego łukiem otworu. Po wejściu do środka natknęli się na korytarz, który prowadził w głąb góry.

- Ciekawe, czy ktoś po nich widział to wejście i je badał - powiedział Gunn.

- Nie wiadomo - odparł Pitt. - Hiram Yaeger sprawdził dane. Poza australijską automatyczną stacją meteorologiczną, działającą od siedemdziesiątego ósmego do dziewięćdziesiątego siódmego roku, na wyspie nikt nigdy nie mieszkał. Stacja była monitorowana przez satelitę. Jeśli meteorologowie znaleźli coś we wnętrzu góry, nie wspomnieli o tym. Wszystkie ich raporty dotyczą wyłącznie spraw meteorologicznych.

Little, zaciekawiony, wychylił się, niemal kładąc się na stole.

- I co dalej?

- Pułkownik kazał jednemu człowiekowi wrócić na statek i przynieść latarnie. Wtedy weszli do środka. Wykuty w skale korytarz miał gładkie ściany i schodził łagodnie przez mniej więcej trzydzieści metrów. Kończył się komorą, w której były dziesiątki niezwykle rzeźb. Wyglądały na bardzo stare. Na ścianach i suficie znaleźli wykute niezrozumiałe symbole.

- Zapisali je? - spytała Pat.

- W dzienniku kapitana nie ma o tym wzmianki - odparł Pitt. - Jedynym rysunkiem jest szkic wejścia do komory.

- A znaleźli? - spytał Sandecker.

- Są ciągle na „Madrasi”. Roxanna Mender, żona kapitana „Paloverde”, wspomina o nich w krótkim wpisie. Jeden z nich opisała jako srebrną urnę.

Pozostałe przedmioty były z brązu oraz wypalanej gliny. Przedstawiały dziwne zwierzęta, jakich nigdy nie widziała. Zgodnie z prawem przejmowania bezpieczeństwa statków jej mąż zamierzał zabrać z „Madrasy” wszystko, co przedstawiło jakąkolwiek wartość, ale łód zaczął pękać i musieli uciec na swój statek. Zabrali tylko obsydianową czaszkę.

- Kolejna komora z ważnymi znaleziskami - powiedziała Pat, wbijając wzrok w ścianę. - Jestem ciekawa, ile ich kryje się na świecie.

Sandecker ze złością przyglądał się Giordinowi, żującemu olbrzymie cygaro.

- Wygląda na to, że mamy wiele do zrobienia. - Admirał przeniósł wzrok z małego Włocha na Gunna. - Rudi, wyślij jak najszybciej dwie ekspedycje. Niech jedna szuka „Madrasy”, a druga sprawdzi komorę na wyspie Saint Paul. Zatrudnij jednostki znajdujące się najbliżej. - Zwrócił się do mężczyzn siedzących nieco dalej. - Dirk, zajmiesz się poszukiwaniem wraka. A ty, Al bierzesz wyspę Saint Paul.

Giordino siedział zgarbiony.

- Mam nadzieję, że nasi krwiożerczy przyjaciele nie uprzedzili nas.

- Dowiesz się tego, kiedy dotrzesz na miejsce - odparł bez mrugnięcia Gunn.

- Przez ten czas - powiedział Helm - dwóch moich ludzi będzie szukać w całych Stanach śladów organizacji, która zatrudniła zabójców.

- Muszę przyznać, admirale - dodał z powagą Little - że dla CIA to nie jest sprawa wielkiej wagi, ale zrobię, co się da. Moi ludzie przyjrzą się międzynarodowym organizacjom przestępczym działającym poza granicami Stanów Zjednoczonych, które finansują albo prowadzą badania archeologiczne. Zbadamy także wszelkie odkrycia archeologiczne związane z morderstwem. Sugestia dotycząca neonazistów może okazać się chybiona.

- W końcu dochodzimy do naszej przemiłej damy - stwierdził Sandecker bez cienia

protekcjonalizmu. Do większości kobiet zwracał się w ten sposób.

Czując na sobie tyle męskich spojrzeń, Pat uśmiechnęła się nieco sztucznie.

- Moje zadanie to oczywiście odczytanie napisów.

- Zdjęcia, które zrobili zabójcy, powinny być już wywołane - zauważył Gunn.

- Potrzebuję miejsca do pracy... - powiedziała Pat melancholijnie. - Ponieważ mam się ukrywać, nie mogę analizować danych na uniwersytecie.

Sandecker uśmiechnął się.

- Ron, Ken i ja posiadamy trzy najlepsze systemy komputerowe świata, obsługiwane przez najlepszych ludzi. Niech pani wybiera.

- Jeśli mogę coś zasugerować - wtrącił Pitt, nie dbając o bezstronność - ponieważ Agencja Badań Morskich i Podwodnych jest bezpośrednio zaangażowana w sprawę komory, moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli doktor O'Connell będzie pracować z Hiramem Yaegerem na naszym sprzęcie.

Sandecker przez chwilę szukał w tym jakiegoś haczyka. Kiedy nic nie odkrył, wzruszył ramionami i powiedział:

- Pani wybór, doktor O'Connell.

- Sądzę, że pan Pitt ma rację. Współpracując z Agencją, będę miała kontakt z ekspedycjami.

- Proszę bardzo. Yaeger i Max są do pani dyspozycji.

- Max?

- Najnowsza zabawka Yaegera - wyjaśnił Pitt. - System sztucznej inteligencji, który potrafi tworzyć obrazy holograficzne.

Pat wzięła głęboki wdech.

- Będę potrzebować wszelkiej możliwej pomocy.

- Nie przejmuj się tak - powiedział rozbawiony Giordino. - Nawet jeśli napisy naprawdę są antyczne, i tak prawdopodobnie to tylko lista przepisów kulinarnych.

- Na co? - spytał hełm.

- Na gęś - markotnie odparł Giordino. - Tysiąc i jeden sposobów przyrządzania gęsi...

14

- Czy pan jest Hiramem Yaegerem?

Podniecona Pat obesła dziewiąte piętro centrali Agencji, w całości zajęte przez gigantyczny komputer. Nieraz słyszała, jak informatycy z Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii z estymą wypowiadają się o bazie danych oceanicznych Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Wiadomo było, że ośrodek miał największe cyfrowe archiwum danych z zakresu oceanografii, jakie kiedykolwiek powstało.

Mężczyzna za konsolą w kształcie podkowy opuścił okulary i popatrzył na kobietę, stojącą w drzwiach jego świątyni.

- Zgadza, się. Pani jest zapewne doktor O'Connell. Admirał mówił, że bym się pani spodziewał dziś rano.

Inaczej wyobrażała sobie człowieka, który obsługuje tak wielką liczbę urządzeń do zbierania

informacji. Spodziewała się, że Yaeger będzie wyglądał jak skrzyżowanie Billa Gatesa z Albertem Einsteinem. Nie przypominał żadnego z nich. Był ubrany w levisy i dżinsową kurtkę, pod którą nosił śnieżnobiały podkoszulek. Kowbojki na nogach wyglądały, jakby przecierpiał tysiąc występów na rodeo. Miał siwe, długie i związane w koński ogon włosy. Twarz wyglądała młodo, policzki były gładko ogolone. Całości dopełniały wąski nos i szare oczy.

Pat byłaby zaskoczona, gdyby dowiedziała się, że Yaeger mieszka w modnej willowej dzielnicy Marylandu, jego żona jest znaną treserką cyrkową i że jest ojcem dwóch nastolatków, które chodzą do drogiej szkoły prywatnej.

Jego jedynym hobby było zbieranie i naprawianie starych, niepotrzebnych komputerów.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała.

- Nikt nie wyszedł po panią do windy i nie oprowadził po moim królestwie.

- Nie, po prostu krążyłam po piętrze, aż dostrzegłam kogoś, kto nie wygląda jak Dilbert.

Yaeger, miłośnik komiksu Scotta Adamsa, roześmiał się.

- Chyba powinienem potraktować to jako komplement. Bardzo przepraszam, że nikt po panią nie wyszedł.

- Nie ma sprawy. Zwiedziłam wszystko po swojemu. Pańskie imperium danych jest wspaniałe.

Nie ma porównania z tym, na czym pracuję na uniwersytecie.

- Ma pani ochotę na filiżankę kawy?

- Dziękuję, nie trzeba. Możemy zabrać się do pracy?

- Proszę uprzejmie - grzecznie odparł Yaeger.

- Dostał pan zrobione w komorze fotografie?

- Laboratorium przysłało je wieczorem. Zostałem trochę dłużej i zeskanowałem je. Max ma wszystko.

- Dirk opowiadał mi o nim. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć go w akcji.

Yaeger przyciągnął do siebie drugi fotel obrotowy, nie poprosił jednak Pat, by usiadła.

- Czy może pani obejść konsolę i stanąć na środku tej platformy przede mną? Pokażę, co potrafi.

Pat stanęła na środku podwyższenia i wbiła wzrok w Yaegera. W jej oczach obraz informatyka zaczął się zamazywać. Po chwili zniknął, ona zaś znalazła się - mogłaby przysiąc - w chmurze mgły.

Dookoła zaczęły materializować się ściany, nad nią sufit i znalazła się w kopii podziemnej komory z Telluride. Wiedziała, że otaczają ją holograficzna iluzja, była ona jednak niezwykle realistyczna.

Powoli na ścianach pojawiały się bardzo wyraźne napisy.

- To fantastyczne...

- Wszystkie symbole z fotografii zostały zakodowane i Max ma je w pamięci. Choć mamy ekran o rozmiarach odpowiednich do niewielkiego kina, pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli będzie pani mogła oglądać napisy w naturalnej perspektywie.

- Tak, oczywiście! - Pat ogarniało podniecenie. - Możliwość oglądania napisu w całości to wielka pomoc. Dziękuję i... dziękuję Maksowi.

- Proszę przyjść i zapoznać się z Max - dobiegł głos Yaegera zza holograficznej ściany. - A potem zabierzmy się do pracy.

Komora wyglądała tak realistycznie, że przez chwilę zastanawiała się jak to zrobić. Złamała jednak czar i przeszła przez ścianę, jak w filmach przechodzi się przez ducha, i dołączyła do Yaegera.

- Max - powiedział Yaeger - poznaj doktor Patricię O'Connell.

- Miło mi poznać - rozległ się łagodny kobiecy głos. Pat podejrzliwie popatrzyła na Yaegera.

- Max to kobieta...

- Początkowo zaprogramowałem ją ze swoim głosem, ale z biegiem czasu wprowadzałem szereg poprawek i uznałem, że wolę słuchać kobiecego głosu.

- Jest aktywizowana głosem? Yaeger uśmiechnął się.

- Max to system sztucznej inteligencji. Nie trzeba nic naciskać. Proszę z nią rozmawiać jak z człowiekiem.

Pat rozejrzała się.

- Jest tu gdzieś mikrofon?

- Jest ich sześć, ale są tak małe, że nie ma pani czego szukać. Można stać wszędzie, do sześciu metrów od konsoly.

- Max? - niepewnie powiedziała Pat.

Na wielkim monitorze za podwyższeniem ukazała się kobieca twarz. Kolory były bardzo żywe, Max patrzyła uważnie na Pat. Miała brązowe oczy i błyszczące kasztanowe włosy. W uśmiechu ukazywała równe, białe zęby. Ramiona miała nagie aż do szczytów piersi - zaraz potem ekran się skończył.

- Witam, doktor O'Connell. Miło mi panią poznać.

- Mów mi Pat.

- Od tej chwili będę.

- Jest urocza - powiedziała z uznaniem Pat.

- Dziękuję. - Yaeger uśmiechnął się. - Naprawdę ma na imię Elsie i jest moją żoną.

- Dobrze wam się pracuje razem? - spytała żartobliwie Pat.

- Zazwyczaj tak. Jeśli jednak odpowiednio jej nie traktuję, robi się tak samo złośliwa i nadąsana jak oryginał.

- Nie ma co... - mruknęła pod nosem Pat. - Max, przeanalizowałaś symbole, które ci wskanowano?

- Tak. - Głos komputera brzmiał bardzo ludzko.

- Czy udało ci się odszyfrować i przetłumaczyć któreś symbole na angielski?

- To dopiero początek, ale robię postępy. Inskrypcje na suficie zdają się być mapą nieba.

- Wyjaśnij - polecił Yaeger.

- Moim zdaniem to skomplikowany system współrzędnych, stosowany w astronomii do wykreślenia pozycji ciał niebieskich. Pozwala śledzić zmiany deklinacji gwiazd widocznych na niebie nad pewnym fragmentem Ziemi w ciągu minionych epok.

To znaczy, że z powodu odchylenia w rotacji Ziemi gwiazdy pozornie zmieniają pozycje?

Tak, naukowe określenia tych zjawisk to precesja i nutacja. Ponieważ Ziemia z powodu ruchu obrotowego „pęcznieje” w okolicy równika, Słońce i Księżyc najsilniej oddziałują na strefę równikową, co powoduje drobne odchylenie osi obrotu Ziemi. Tak samo ziemską grawitacja wpływa na wirującego bąka. W efekcie oś obrotu Ziemi zakreśla w przestrzeni co dwadzieścia pięć tysięcy osiemset lat stożek. Nutacja, czyli kołysanie się, to niewielki i nieregularny ruch, który co osiemnaście i sześć dziesiątych roku odchyła biegun niebieski od idealnego okręgu precesyjnego.

- Wiem, że kiedyś, w dalekiej przyszłości, Gwiazda Polarna nie będzie wskazywać północy - powiedziała Pat.

- Masz rację - zgodziła się Max. - Gwiazda Polarna odpływa i za mniej więcej trzysta

czterdzieści pięć lat jej miejsce nad biegunem północnym zajmie inna gwiazda. Sto lat przed narodzinami Chrystusa ekwinokcja wiosenna... przepraszam, wie pani, o czym mówię?

- Jeśli dobrze pamiętam lekcje astronomii z pierwszych klas szkoły średniej, chodzi o równonoc wiosenną. Mniej więcej dwudziestego pierwszego marca Słońce przecina od południa równik niebieski, tworząc punkt odniesienia do mierzonych z równika odległości kątowych.

- Bardzo dobrze - skomplementowała ją Max. - Jak profesor college'u układający swą klasę do snu. Przed narodzinami Chrystusa w chwili równonocy wiosennej Słońce przechodziło przez punkt Barana. Z powodu precesji obecnie przechodzi przez punkt Ryb i porusza się w kierunku Wodnika.

- Jeśli dobrze rozumiem - powiedziała Pat z rosnącą radością - chcesz nam powiedzieć, że gwiazdne symbole na suficie komory przedstawiają układ gwiazd z przeszłości.

- Tak myślę.

- Czy starożytni mieli wystarczającą wiedzę, żeby dokonywać tak precyzyjnych prognoz?

- Ktokolwiek wykuł w skale tę gwiazdną mapę, wiedział więcej od astronomów sprzed dwustu, trzystu lat. Zdawał sobie sprawę, że galaktyka niebiańska jest nieruchoma, a poruszają się Słońce, Księżyc i planety. Mapa ukazuje orbitę Plutona, choć odkryto go dopiero w minionym wieku. Wiedział także, że gwiazdy Betelgeuse, Syriusz i Procyon pozostają nieruchome, choć gwiazdozbiory przemieszczają się - co prawda bardzo powoli i trzeba tysiącleci, żeby zauważyć ich ruch. Uwierzcie mi, jeśli chodzi o gwiazdy, ci starożytni ludzie znali się na rzeczy.

Pat popatrzyła na Yaegera.

- Jeśli Max zdoła odczytać współrzędne gwiazd, jakie istniały w momencie budowy komory, będzie to równoznaczne z określeniem daty powstania.

- Gra warta świeczki.

- Odszyfrowałam niektóre z cyfr - powiedziała Pat. - Pomogłoby ci to, Max?

- Nie powinna się pani męczyć. Już rozkodowałam system numeryczny - Jest genialny w swej prostocie. Nie mogę się doczekać, aż moje bajty zostaną przysłane do rozpoznania napisów zawierających słowa.

- Max...

- Tak, Hiram?

- Skoncentruj się na odcyfrowaniu symboli gwiazdnych i na razie daj sobie spokój z literami.

- Chcesz, żebym przeanalizowała gwiazdną mapę?

- Zrób, co się da.

- Do piątej powinienam sobie poradzić.

- Czas start - odparł Yaeger.

- Wykonanie takiego zadania zajmuje zazwyczaj miesiące albo lata - rzekła z niedowierzaniem Pat.

- Nie należy jej nie doceniać - odparł Yaeger, obracając się w fotelu i popijając zimną kawę. - Spędziłem kilka swych najlepszych lat na jej skonstruowaniu. Nie ma na świecie drugiego takiego komputera. Nie znaczy to, że za pięć lat nie będzie przestarzały, ale na razie niewiele jest rzeczy, których nie potrafi zrobić. Max jest wyjątkowa. Sercem i duszą należy do mnie i Agencji.

- Co z patentami? Pewnie musiał pan oddać swoje prawa autorskie rządowi.

- Admirał Sandecker nie jest przeciętnym biurokratą. Mamy ustną umowę. Ja ufam jemu, on ufa mnie. Pięćdziesiąt procent wszelkich wpływów z tantiem za patenty i opłat za korzystanie przez prywatne firmy albo agencje rządowe z naszych baz danych wpływa do kasy Agencji, drugie

pięćdziesiąt - na moje konto.

- Pracuje pan dla uczciwego człowieka. Każdy inny pracodawca dałby panu premię, złoty zegarek, klepnął w plecy i zaniósł to, co pan zarobił, do własnego banku.

- Rzeczywiście, mam szczęście. Otaczają mnie uczciwi ludzie. Admirał, Rudi Gunn, Al Giordino i Dirk Pitt - wszystkich ich z dumą nazywam przyjaciółmi.

- Znać się od dawna, prawda?

- Prawie piętnaście lat. Przeżyliśmy niejedno i rozwiązaaliśmy parę zagadek oceanów.

- Może zanim Max skończy, zaczniemy analizować symbole ze ścian? A nuż coś odkryjemy?

Yaeger skinął głową.

- Pewnie.

- Może pan wyświetlić hologram komory?

- Wystarczy jedno zakłęcie - Yaeger wcisnął klawisz - i ponownie pojawi się obraz wnętrza komory.

- Pierwsza sztuczka przy dekodowaniu jakiegokolwiek nieznanego alfabetu polega na oddzieleniu spółgłosek od samogłosek. Ponieważ nic nie wskazuje na to, że te znaki reprezentują idee albo przedmioty, zakładam, że mają naturę alfabetyczną. To znaczy, że są zapisem dźwiękowych cząstek wyrazów.

- Skąd pochodzi pierwszy alfabet?

- Trudno jednoznacznie powiedzieć, ale większość epigrafików uważa że powstał w Kanaanie i Fenicji w okresie między osiemnastym a szesnastym wiekiem przed naszą erą. Określa się go jako pismo spółgłoskowe północno-semickie. Oczywiście wybitni naukowcy mają w tym względzie różne poglądy, ale przyznają, że wczesne kultury śródziemnomorskie stworzyły pierwociny alfabetu z prehistorycznych symboli geometrycznych. Znacznie później Grecy zaadaptowali i zmodyfikowali alfabet. Litery, których dziś używamy, są spokrewnione z greckimi. Dalszych udoskonaleń dokonali Etruskowie. Rzymianie wiele od nich przejęli, tworząc swój alfabet. Późne klasyczne pismo rzymskie opierało się na dwudziestosześcioletowym alfabecie łacińskim, którego używamy do dziś.

- Od czego zaczynamy?

- Od zera. - Pat zajrzała w notatki. - Nie znam żadnego starożytnego pisma, którego znaki byłyby podobne do tych. Jakby powstawały w próżni. Jedyne podobieństwo, jakie widzę - choć bardzo dalekie - to celtyckie pismo ogamiczne.

- Aha, niemal zapomniałem. - Yaeger dał Pat niewielkie urządzenie zakończone kamerą. - Max zakodowała symbole. Wystarczy skierować kamerę na symbol i sekwencję, którą chce pani zbadać, i uruchomię program deszyfrujący.

- Świetnie - Pat była zadowolona, że znów pracuje. - Zaczniemy od stworzenia listy symboli i obliczenia, jak często każdy z nich występuje. Potem spróbujemy poukładać je w słowa.

- Takie jak „albo” czy „oraz”?

- Większość starożytnych napisów nie zawiera słów, które uważamy dziś za oczywiste. Zanim zabierzemy się do spółgłosek, zobaczymy, czy uda się nam odkryć samogłoski.

Pracowali bez przerwy cały dzień. W południe Yaeger zamówił w kawiarni Agencji kanapki i napoje. Z każdą godziną Pat była coraz bardziej rozczarowana. Choć symbole wyglądały na szalenie proste, do piątej praktycznie niczego nie osiągnęli.

- Dlaczego kod cyfrowy dało się złamać tak łatwo, a alfabet sprawia takie trudności? - mruzczała zirytowana.

- Może na dzisiaj już skończymy?

- Nie jestem zmęczona.

- Ja też nie, ale jutro będziemy mieli świeże spojrzenie. Nie wiem, jak pani, ale mnie najlepsze pomysły przychodzą w środku nocy. Poza tym Max nie potrzebuje snu. Każę jej pracować nad napisami całą noc. Rano powinna mieć kilka pomysłów.

- Przekonał mnie pan.

- Zanim skończymy, wezwę Max i sprawdzimy, czy zrobiła postępy z gwiazdami. - Yaeger nie musiał nic pisać. Wcisnął jedynie klawisz i powiedział. - Max, jesteś tam?

Twarz na monitorze miała nachmurzoną minę.

- Co zajęło wam tyle czasu, żeby kazać mi tak długo czekać? Siedzę beczynn timerze od prawie dwóch godzin.

- Przepraszam, Max - odparł Yaeger, ale w jego głosie nie było skruchy. - Byliśmy zajęci.

- Pracowałaś tylko kilka godzin - powiedziała naiwnie Pat. - Coś masz?

- Coś? A niech mnie! Mogę bardzo dokładnie powiedzieć wszystko, co chcecie.

- Zaczynaj od tego, jak dochodziłaś do swych wniosków - polecił Yaeger.

- Chyba nie sądzisz, że sama obliczałam ruchy gwiazd?

- To było twoje zadanie.

- Dlaczego miałam męczyć własne procesory, jeśli mógł to zrobić za mnie inny komputer?

- Max, powiedz nam, proszę, czego się dowiedziałaś.

- Cóż, po pierwsze określenie współrzędnych znajdujących się na niebie obiektów to skomplikowany proces geometryczny. Nie będę zanudzać was szczegółami, jak oblicza się wysokość, azymut, rektascensję i deklinację. Moim zadaniem było ustalenie, z którego miejsca dokonano pomiaru, współrzędnych wykutych w skale komory. Udało mi się to z dokładnością do kilku kilometrów. Określiłam także, których gwiazd używano do pomiarów dewiacji przez wiele, wiele lat. Leżące w jednej linii trzy gwiazdy w Orionie poruszają się. Syriusz - Psia Gwiazda, znajdująca się niedaleko pięty Oriona - jest nieruchoma. Mając te dane, weszłam do komputera astrometrycznego w Narodowym Centrum Nauki.

- Wstydź się, Max - upomniał komputer Yaeger. - Wkradając się do innych komputerów, możesz narobić mi poważnych kłopotów.

- Ich komputer chyba mnie lubi. Obiecał zatrzeć zapis udzielenia informacji.

- Mam nadzieję, że można mu wierzyć - burknął Yaeger. Był to oczywiście teatr. Sam setki razy odwiedzał nieproszony bazy danych różnych komputerów.

- Astrometria - mówiła dalej Max - na wypadek gdybyście nie wiedzieli to jedna z najstarszych gałęzi astronomii, która zajmuje się ustalaniem ruchów gwiazd. Nadażacie?

- Dalej! - przynagliła komputer Pat.

- Koleś z Narodowego Centrum Nauki nie sięga mi do pięty, ale ponieważ był to dla niego elementarny program, namówiłam go, żeby ustalił odchylenia między pozycjami Syriusza i Oriona w czasach, kiedy budowano komorę, i dziś.

- Oceñałaś wiek komory? - wymamrotała Pat i wstrzymała oddech.

- Jak najbardziej.

- Czy to fałszyfikat? - spytał Yaeger, jakby bał się odpowiedzi.

- Jedynie pod warunkiem że górnicy z Kolorado, którymi się martwisz byli znakomitymi astronomami.

- Max, proszę... - powiedziała błagalnie Pat. - Kiedy zbudowano komorę i wykuto napisy?
- Musicie wziąć pod uwagę, że mogę się mylić o sto lat.
- Ma więcej niż sto lat?
- Czy uwierzylibyście w liczbę... - powoli powiedziała Max, podnosząc napięcie - dziewięć tysięcy?
- Słucham?
- Twierdzą, że komora została wykuta mniej więcej siedem tysięcy sto lat przed naszą erą.

15

Giordino podniósł boeinga 609 z ruchomymi wirnikami prosto w błękitne niebo nad Kapsztadem w Republice Południowej Afryki tuż po czwartej rano. Przy starcie ustawił wirniki wertykalnie - jak w helikopterze - i samolot wzniósł się pionowo, aż znalazł się na wysokości stu pięćdziesięciu metrów. Wtedy Giordino przesunął dźwignię, silniki ustawiły się poziomo i maszyna poleciała jak normalny samolot.

Model 609 mieścił do dziewięciu pasażerów, ale kabina pasażerska była pusta. Do podłogi przypięty był jedynie sprzęt zapewniający przeżycie w trudnym terenie. Giordino wyczarterował samolot w Kapsztadzie, ponieważ najbliższy statek badawczy Agencji znajdował się ponad tysiąc mil morskich od Wysp Crozeta.

Helikopter nie był w stanie przelecieć niemal czterech tysięcy kilometrów bez przynajmniej czterech tankowań, a normalny wielosilnikowy samolot, zdolny pokonać ten dystans, nie mógłby wylądować na wulkanicznej wysepce. Model 609 z ruchomymi silnikami potrafił lądować wszędzie tam gdzie helikopter, i wydawał się idealny do realizacji zadania. W zależności od wiatru lot powinien zająć mniej więcej cztery godziny w każdą stronę - Będą musieli uważnie obserwować zużycie paliwa. Nawet przy zmodyfikowanych zbiornikach w skrzydłach Giordino przewidywał, że w powrotnym locie do Kapsztadu zostanie jedynie półtoragodzinny zapas. Nie zapewniało to spokoju, ale Giordino nigdy nie należał do miłośników gry pozbawionej ryzyka.

Pół godziny później, kiedy osiągnęli wysokość czterech tysięcy metrów i lecieli na południe nad Oceanem Indyjskim, ustawił przepustnicę na najbardziej ekonomiczny lot i popatrzył na igłę prędkościomierza. Wskazywała czterysta osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Potem odwrócił się do niedużego mężczyzny w fotelu drugiego pilota.

- Jeśli miałeś jakieś wątpliwości co do uczestnictwa w tej wariackiej wycieczce, to już za późno na zmianę zdania.

Rudi Gunn uśmiechnął się.

- Dostanie mi się za te wagary, kiedy admirał dowie się, że nie siedzę grzecznie za biurkiem w Waszyngtonie.

- Jak wytłumaczyłeś zniknięcie na sześć dni?

- Powiedziałem w biurze, że lecę nad Bałtyk rzucić okiem na pracę ekspedycji wydobywczej, którą Agencja zorganizowała z Duńczykami.

- Taka ekspedycja istnieje?

- Pewnie - odparł Gunn. - Kuter rybacki złapał w sieć flotę łodzi wikingów.

Giordino podał Gunnowi kilka map.

- Masz, pilotuj.

- Jak duża jest wyspa Saint Paul?

- Ma jakieś sześć i pół kilometra kwadratowego. Gunn popatrzył na Giordina przez grube szkła.

- Pomodłę się.

Po trzech godzinach lotu, dzięki złapaniu pięciowęzłowego wiatru, stan paliwa wyglądał nie najgorzej. Ocean Indyjski powoli znikał. Zaczęli wchodzić w płynące od wschodu chmury, które zapowiadały deszcz i turbulencje. Giordino wzbił się wyżej w czyste, bezwietrzne niebo nad puszystymi białymi chmurami. Kłębiły się pod nimi jak wzburzone morze.

Giordino z niezwykłą łatwością zasypiał na dziesięć minut, po czym budził się, sprawdzał instrumenty i dokonywał wszystkich sugerowanych przez Gunna zmian kursu. Potem znów zasypiał. Zdarzyło się to często, ale nigdy czas rutynowej procedury nie zmienił się nawet o minutę.

Zresztą ryzyko minięcia wyspy nie istniało. W samolocie zamontowano globalny system nawigacyjny GPS. Urządzenie na bieżąco mierzyło odległość od satelity i na tej podstawie precyzyjnie obliczało położenie, w którym się znajdowali. Porównanie danych z liczbami z komputera pozwalało określić kurs, prędkość, odległość od celu oraz przewidywany czas jego osiągnięcia.

W odróżnieniu od Giordina Gunn miał trudności z zasypianiem. Należał do tych ludzi, którzy wszystkim się zamartwiali. Nie umiałby się rozluźnić, nawet leżąc pod palmą na tahitańskiej plaży. Nieustannie spoglądał na zegarek i sprawdzał pozycję. W wolnych chwilach studiował zdjęcie lotnicze wyspy.

Kiedy Giordino kolejny raz się obudził i sprawdził instrumenty, Gunn stuknął go palcem w ramię.

- Nie zasypiaj. Powinniśmy schodzić. Wyspa jest sześćdziesiąt kilometrów przed nami.

Giordino ochlapał twarz wodą z menażki, usiadł za sterami i pchnął drążek sterowniczy może półtora centymetra w przód. Samolot powoli opadał. Kiedy weszli w środek chmury, zaczęły nim szarpać turbulencje. Giordino mógł tylko obserwować opadającą strzałkę wysokościomierza. Za przednią szybą wirowało białe kłębowisko. Nagle na wysokości tysiąca pięciuset metrów wyszli z chmur i po raz pierwszy od trzech godzin zobaczyli ocean.

- Dobra robota, Rudi - pochwalił Giordino. - Saint Paul jest osiem kilometrów przed nami, mniej niż dwa stopnie na prawo. Trafiłeś prosto na nią.

- Dwa stopnie... następnym razem muszę to zrobić lepiej.

Po ustaniu turbulencji czubki skrzydeł przestały drgać. Giordino zredukował ciąg, odgłos silników przeszedł w cichy pomruk. Deszcz praktycznie przestał padać, mimo to raz za razem po przedniej szybie spływały strużki wody. Wycieraczki włączył jednak dopiero w momencie, gdy skierował samolot nad wysokie klify, chroniące wyspę przed bezlitosnymi uderzeniami fal oceanu.

- Znalazłeś miejsce do lądowania? - spytał Giordino, wpatrując się w wysepkę z samotną górą. Zdawała się wyrastać prosto z morza, jak gigantyczny stożek. Nie było widać żadnej plaży ani płaskiego miejsca. Wokół były same skalne stromizny.

Gunn przyłożył do oczu lornetkę.

- Przeszukałem każdy centymetr. To najgorsza działka budowlana, jaką widziałem w życiu. Nie ma tu nic poza kamieniami - chyba tylko producent żwiru miałby pociechę z tego miejsca.

- Nie mów, że zrobiliśmy taki kawał drogi tylko po to, żeby wracać.

- Nie powiedziałem, że nie możemy lądować. Jedyne płaskie miejsce znajduje się niedaleko podstawy góry, po zachodniej stronie. Wygląda jak półeczka, ma może piętnaście na trzydzieści metrów.

Giordino popatrzył z przerażeniem w dół.

- Nawet na filmach helikoptery nie lądują na zboczach gór. Gunn wskazał palcem do przodu.

- Tam, po lewej. Nie wygląda tak źle, jak sądziłem.

Dla Giordina jedyne płaskie miejsce nie było większe od paki ciężarówki. Delikatnie popchnął stopami pedały. Palce muskały umieszczone na drążku kółko, za pomocą którego korygował statecznikami kąt i szybkość opadania. Dziękował niebiosom, że mają wiatr z przodu - choć wiał jedynie z prędkością czterech węzłów. Widział porzucane po mikroskopijnym lądowisku kamienie, na szczęście żaden nie był na tyle duży, by móc uszkodzić podwozie. Zdjął jedną rękę z drążka i zaczął manipulować dźwigniami sterującymi wirnikami. Ustawił je w pozycji pionowej, żeby maszyna mogła opadać jak helikopter. Silny podmuch powietrza wzbijał kamyki, które wirowały pod kołami.

Giordino leciał już tylko na wyczucie. Jednym okiem obserwował zbliżający się grunt, a drugim stromą skalną ścianę, oddaloną najwyżej o trzy metry od czubka prawego skrzydła. Kiedy opony dotknęły podłoża, wyczuli delikatne uderzenie i maszyna usiadła niczym tłusta gęś na jajach. Giordino głośno westchnął, zamknął przepustnice i wyłączył silniki.

- Jesteśmy w domu - powiedział z wdzięcznością. Sowa twarz Gunna skrzywiła się w uśmiechu.

- A były jakieś wątpliwości?

- Po mojej stronie jest góra. A co po twojej?

W czasie lądowania uwaga Gunna koncentrowała się na zboczu góry po prawej i dopiero teraz spojrzał w lewo. Najdalej półtora metra od jego drzwi półka kończyła się, a teren opadał niemal pionowo dwieście metrów w dół. Czubek skrzydła wystawał daleko nad przepaścią. Kiedy odwrócił się do Giordina, nie uśmiechał się już i był blady jak papier.

- Nie była tak szeroka, jak mi się zdawało - powiedział głupekowato. Giordino odpiął pasy bezpieczeństwa.

- Wymyśliłeś trasę do komory?

Gunn uniósł zdjęcie lotnicze i wskazał na prowadzący od brzegu wąski kanion.

- To jedyna droga, którą amatorzy polowania mogli wejść na wyspę i dostać się na górę. Pitt mówił, że według dziennika statku, pułkownik i jego ludzie weszli do połowy góry. Jesteśmy mniej więcej na tej wysokości.

- W którym kierunku jest wąwóz?

- Na południe. Odpowiedź na twoje następne pytanie: jesteśmy na zachodnim zboczu. Przy odrobinie szczęścia nie będziemy musieli iść dalej niż kilometr - jeżeli oczywiście uda nam się znaleźć starożytną drogę, o której wspomniał pułkownik.

- Dzięki Bogu za małe wyspy - mruknął Giordino. - Widać może tę drogę na zdjęciu?

- Nie, nie ma po niej śladu.

Odpięli z podłogi sprzęt i zarzucili plecaki na ramiona. Znow zaczęło padać, więc założyli na ubranie i buty nieprzemakalne pokrowce. Następnie otworzyli drzwi i wysiedli. Za krawędzią półki czyhała szara jak zmatowiała cyna woda Oceanu Indyjskiego. Dla bezpieczeństwa przywiązali samolot do kilku wielkich głazów.

Groźne niebo sprawiało, że wyspa wydawała się jeszcze bardziej ponura i opuszczona. Gunn dał

Giordinowi znak, że będzie prowadził, i wskazał kierunek, w którym powinni pójść. Ruszyli trawersem po zboczu, starając się stawać na dużych głazach o płaskiej powierzchni.

Z trudem pokonywali nieduże skalne półki i wąskie szczeliny. Nie używali sprzętu alpinistycznego. Nie czuli się dobrze we wspinaczkach na linach i hakach. Giordino był nieczuły na zmęczenie. Jego masywne, silne ciało pozwalało na nieustanną walkę ze skałą. Gunn też nie miał większych problemów. Był żyłasty i znacznie twardszy, niż można było sądzić na pierwszy rzut oka. Co prawda zaczął zostawać w tyle za pracującym do przodu jak lokomotywa Giordinem, ale nie ze zmęczenia, lecz dlatego, że co dwadzieścia metrów musiał stawać i przecierać sobie okulary.

Mniej więcej w połowie zbocza Giordino stanął.

- Jeśli twoja ocena jest prawidłowa, kamienna droga powinna znajdować się gdzieś tutaj.

Gunn usiadł, opierając się plecami o kawał gładkiej lawy, i zaczął przyglądać się zdjęciu, którego rogi pozawijały się od wilgoci.

- Jeśli pułkownik poszedł najłatwiejszą drogą, powinien przejść mniej więcej trzydzieści metrów niżej.

Giordino kucnął, oparł dłonie o skałę i popatrzył w dół. Zamarł na kilka chwil, po czym spojrzał Gunnowi prosto w oczy.

- Przysięgam, że nie wiem, jak ty to robisz.

- Co masz na myśli?

- Niecałe dziesięć metrów pod nami jest wąska, wyłożona gładkimi kamieniami droga.

Gunn wyjrzał za krawędź. Tuż przed sobą dostrzegł drogę - właściwie ścieżkę o szerokości najwyżej półtora metra - wybrukowaną kamieniami, które przez wieki kształtowała pogoda. Biegła w obu kierunkach, w wielu miejscach mocno zniszczyły ją osunięcia gruntu. Spomiędzy kamieni tuż przy ziemi wyrastały dziwne rośliny. Ich liście przypominały sałatę.

- To musi być droga opisana przez angielskiego pułkownika - powiedział Gunn.

- Co za dziwactwo tam rośnie?

- Kapusta Kerguelena. Wytwarza cierpki olejek, ale po ugotowaniu może być spożywana.

- Teraz wiadomo, dlaczego drogi nie było widać na zdjęciu. Schowała się w kapuście.

- Właśnie, tak musiało być.

- Jak roślinność dostała się na tę zapomnianą przez Boga wyspę?

- Prawdopodobnie nasiona przywiął wiatr.

- W którą stronę chcesz iść?

Gunn popatrzył w obie strony najdalej, jak się dało.

- Pułkownik musiał wejść na drogę gdzieś na prawo od nas. Poniżej ścieżka zapewne została zniszczona przez osunięcia ziemi i erozję. Komora musi być ukryta wyżej. Nie było sensu schodzić do niej ze szczytu. Chodźmy w lewo, w górę drogi.

Stawiając ostrożnie nogi na luźnych kawałkach lawy, szybko dotarli do ułożonej równo nawierzchni i ruszyli w górę. Małe nachylenie było miłą odmianą, niestety osunięcia ziemi dawały się we znaki. Musieli pokonać dwie wyrwy w drodze, a każda miała przynajmniej trzydzieści metrów długości. To bardzo spowolniało marsz. Lawa wokół była poszarpana, a krawędzie ostre jak noże. Wystarczyło raz się poślizgnąć, a ich ciała poleciałyby w dół i nabierając prędkości, odbiły od pionowych ścian, lądując w oceanie.

Po pokonaniu ostatniej przeszkody usiedli, żeby odpocząć. Giordino wyrwał główkę kapusty i rzucił ją w przepaść, obserwując, jak odbija się od skał i rozpada. Stracił ją z oczu, zanim wpadła do

wody. Pogoda, zamiast się poprawić, pogorszyła się. Zrobiło się zimniej, powietrze stężało. Podmuchy wiatru były mocniejsze i smagały ich twarze kroplami deszczu. Choć mieli odpowiednie ubrania, woda jakoś znalazła sposób, by dostać się za kołnierze i zmoczyć wewnętrzne warstwy.

Gunn podał Alowi termos z kawą, która zdążyła już wystygnąć. Na obiad zjedli cztery batony zbożowo-orzechowe. Nie byli jeszcze w złym stanie, ale wkrótce mogło to nastąpić.

- Musimy być blisko - oznajmił Gunn, patrząc przez lornetkę. - Za tamtym głazem tuż przed nami nie widać już ścieżki.

Giordino patrzył na wielki głaz wystający ze zbocza.

- Oby komora znajdowała się po drugiej stronie. Nie uśmiecha mi się tkwić tutaj po ciemku.

- Nie ma obawy. Na tej szerokości geograficznej słońce zajdzie dopiero po dwunastu godzinach.

- O czymś pomyślałem.

- O czym?

- Jesteśmy jedynymi ludźmi w promieniu trzech tysięcy kilometrów.

- Pociuszająca myśl.

- A gdyby coś nam się stało i nie moglibyśmy odlecieć? Przy tym wietrze nie odważyłbym się startować.

- Sandecker zorganizowałby akcję ratowniczą zaraz po otrzymaniu wiadomości. - Gunn wyciągnął z kieszeni telefon. - Jedno wciśnięcie guzika i jest u nas.

- A czekając, musielibyśmy jeść kapustę. Dziękuję bardzo.

Gunn pokręcił z rezygnacją głową. Giordino był specem od narzekania, mimo to nie było człowieka, który by tak jak on potrafił wychodzić z opresji. Nie bali się - jedynym ich zmartwieniem były ewentualne niepowodzenia.

- Kiedy wejdziemy do komory - powiedział głośno Gunn, by przekrzyczeć wiatr - będziemy osłonięci przed burzą i wyschniemy.

Giordino nie potrzebował zachęty.

- To ruszajmy. - Wstał. - Zaczynam się czuć jak mop w wiadrze brudnej wody.

Nie czekając na Gunna, podszedł do znajdującego się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej głazu. Zbocze góry było w tym miejscu niemal pionowe. Część drogi osunęła się dawno temu i musieli dokonywać akrobacji, by minąć głaz. Zaraz za nim ujrzeli zwieńczone łukiem wejście do komory. Otwór był mniejszy, niż się spodziewali - miał mniej więcej metr osiemdziesiąt wysokości i metr dwadzieścia szerokości - tyle co droga. Czarna dziura wyglądała złowieszczo.

- No proszę - tak, jak opisał pułkownik - stwierdził Gunn.

- Jeden z nas powinien krzyknąć: eureka! - Giordino był szczęśliwy, że nareszcie schowają się przed deszczem i wiatrem.

- Nie wiem jak ty, ale ja zdejmuję przeciwdeszczowe łachy i plecak.

- Jestem za.

W ciągu kilku minut plecaki i wierzchnie okrycia leżały na podłodze tunelu, żeby przeschnąć do czasu powrotnej drogi. Wyjęli latarki, napili się kawy i ruszyli w głąb krypty. Na gładkich ścianach tunelu nie było żadnych wybrzuszeń ani wgłębień. Wewnątrz panował dziwny, niesamowity nastrój wzmagany przez upiorną ciemność i wycie wichru przy wejściu.

Zaniepokojeni i ciekawi tego, co znajdą, szli za promieniami latarek. Nagle tunel zmienił się w prostopadłościenną komorę. Giordino znieruchomiał, kiedy światło wydobyło z ciemności kawałki szkieletu - stopę, piszczel, miednicę, potem klatkę piersiową i kręgosłup, zwieńczony czaszką z

resztkami rudych włosów. Na kościach wisały strzępy pleśniejącego ubrania.

- Ciekawe, jak ten biedak się tu dostał - powiedział Gunn, który poczuł dreszcze.

Giordino omiół komorę promieniem światła. Na podłodze były resztki paleniska, wokół leżały narzędzia i stały prymitywne meble - wszystkie wykonane ręcznie z drewna i wulkanicznej skały. W kącie widać było resztki foczych skór i garstkę kości.

- Sądząc po tym, co zostało z jego ubrania, moim zdaniem był marynarzem, który żył tu jako rozbitek. Bóg wie jak długo.

- Dziwne, że pułkownik o nim nie wspomniał.

- „Madras” zawinął tu po wodę w tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Ta zagubiona dusza musiała pojawić się później. Przez pięćdziesiąt albo i sto lat żaden statek nie odwiedzał tej wyspy.

- Nie jestem nawet w stanie wyobrazić sobie, co przeżywał, siedząc samotnie na tej zlewanej deszczem kupie wulkanicznej skały. Bez nadziei ratunku, z wiszącą nad głową groźbą samotnej śmierci.

- Zrobił palenisko - odparł Giordino. - Skąd, twoim zdaniem, miał drewno? Nie ma na wyspie krzewów.

- Musiał znaleźć jakieś gałązki... - Gunn przyklęknął na jedno kolano i zaczął grzebać dłonią w popiele. Po chwili podniósł coś, co wyglądało na spalone resztki zabawki, zaprzęzonego w dwa konie powozu. - Przedmioty z komory - oznajmił posepnie. - Aby się ogrzać, palił drewniane antyki. - Gunn zaświecił Giordinowi latarką w twarz i dostrzegł uśmiech. - Co cię tak śmieszy?

- Zastanawiałem się... - powiedział Giordino - ile się biedak musiał nazreć tej paskudnej kapuchy.

- Póki sam nie spróbujesz, nie wypowiadaj się na jej temat.

Giordino oświetlił ścianę, ukazując ten sam rodzaj napisów, jakie widział przez chwilę w Telluride. Na środku pomieszczenia stał cokół z czarnego obsydianu, skąd angielski pułkownik zabrał równie czarną obsydianową czaszkę. Światło wydobyło z ciemności także stertę kamieni, które musiały spaść z sufitu. Zasłaniała ona niemal całą przeciwległą do wejścia ścianę.

- Ciekawe, co za nimi jest.

- Następna ściana?

- Może tak, a może i nie...

Giordino już przed wieloma laty nauczył się ufać inteligencji i genialnej intuicji małego Rudiego Gunna. Popatrzył na niego.

- Sądysz, że jest tam kolejny tunel?

- Tak myślę.

- Cholera! - syknął Giordino. - Musieli tu być nasi przyjaciele z Telluride.

- Dlaczego tak uważasz?

Giordino oświetlił stertę kamieni.

- To ich styl działania. Mają hopla na punkcie zasypywania tuneli.

- Nie sądzę. Ten zawał wygląda na bardzo stary. Spójrz, ile pyłu zebrało się między kamieniami. Jestem gotów założyć się o moją premię bożonarodzeniową, że te kamienie zwały się setki lat przed pojawieniem się pułkownika i tego rozbitek. A żaden z nich nie był na tyle ciekaw, co jest po drugiej stronie, by przekopać się przez nie. - Gunn podszedł do sterty i dokładnie jej się przyjrzał. - Dla mnie wygląda to naturalnie. Nie jest aż tak wielka, żebyśmy nie mogli się przedostać.

- Nie jestem pewien, czy mam w żyłach dość testosteronu na takie zabawy.

- Przestań narzekać i kop.

Okazało się, że Gunn miał rację. Kamieni nie było zbyt wiele. Mimo utyskiwań Giordino pracował wytrwale jak muł. Jako znacznie silniejszy nosił większe kamienie, Gunn usuwał drobniejsze. Zdecydowanym ruchem podnosił pięćdziesięciokilowe głązy i odrzucał je na bok, jakby były z korka - W niecałą godzinę zrobili przejście wystarczające, by prześlizgnąć się dalej.

Gunn jako mniejszy ruszył pierwszy. Zaświecił do środka.

- Co widzisz? - spytał Giordino.

- Krótki, mniej więcej pięciometrowy korytarz. Kończy się kolejną komorą. - Gunn precyzyjnie przeszedł przez dziurę. Wstał po drugiej stronie, otrzepał się i odrzucił jeszcze kilka kamieni, by ułatwić przejście Giordinowi. Kiedy i on przeszedł, obaj poświecili w kierunku drugiej komory. Ruch światła wywołał tajemnicze odbłaski.

- Cieszę się, że cię posłuchałem - powiedział Giordino. Szli powoli naprzód.

- Mam dobre przeczucie. Założę się o dychę, że jesteśmy pierwsi.

- Sceptycyzm każe mi przyjąć zakład.

Szli, czując narastający z każdym krokiem niepokój. Z obawą weszli do komory. Oświetlili ściany. Chociaż nie znaleźli żadnych napisów, widok, który im się przedstawił, sprawił, że stanęli jak wryci. Z nabożnym zachwytem wbili wzrok w dwadzieścia mumii, siedzących w kamiennych fotelach. Dwie postaci - zwrócone twarzami do wejścia - siedziały na podwyższeniu, pozostałe były rozmieszczone w dwóch szeregach po bokach.

- Co to za miejsce? - wyszeptał Giordino, który niemal czekał na czyhające w cieniu duchy.

- Jesteśmy w grobowcu - niepewnie odparł Gunn. - Sądząc po strojach, bardzo starym.

Mumie i czarne włosy na ich czaszkach zachowały się znakomicie. Każdy rys twarzy był wyraźny. Tkaniny, z których wykonano ubrania, pozostawały nietknięte, a czerwone, niebieskie i zielone desenie wciąż były intensywne. Kamiennie fotele dwóch głównych mumii ozdobiono wizerunkami najróżniejszych gatunków fauny morskiej. Stroje wykonane były z materii kunsztowniej tkanej i barwniejszej niż ubiory pozostałych figur. Czoła zdobiły miedziane opaski z artystycznymi grawerunkami, wysadzone kamieniami, w których Gunn rozpoznał turkusy i czarne opale. Obie postaci miały na głowach wysokie, stożkowe kapelusze. Ich tuniki obszyto delikatnymi morskimi muszlami, płytkami polerowanego obsydianu i miedzianymi krążkami, które od kołnierza po dolny skraj układały się w kunsztowne, egzotyczne wzory. Nogi zdobiły luźne, sięgające do połowy łydek buty z wytłaczanej skóry.

Ta dwójka wyraźnie przewyższała rangą i znaczeniem pozostałych. Szkielet siedzący po lewej był większy. Choć wszystkie zmumifikowane postaci miały długie włosy, odróżnienie kobiet od mężczyzn nie sprawiało większych problemów: mężczyźni mieli silniejsze dolne szczęki i występy kostne nad oczodołami. Ciekawe, że niezależnie od płci, opaski na czołach - może należałoby mówić: korony - były identycznej grubości. Jakby wszyscy mieli taką samą władzę. Wszystkie postaci męskie siedziały na prawo od środkowej dwójki - w równym szeregu, zwrócone ku niej twarzami, ubrane w podobne szaty, ale nie z tak kunsztownie tkanego materiału. Na ich strojach nie było tylu turkusów i czarnych opali. Naprzeciw w podobnej konfiguracji siedziały kobiety.

Pod jedną ze ścian stał szereg wypolerowanych oszczepów ze szpicami z czarnego obsydianu. U stóp każdej mumii znajdowały się miedziane wazy z kubkami do picia i łyżeczkami. Zarówno wazy, jak i łyżeczki miały dziurki z przewleczonymi przez nie rzemieniami do owijania wokół szyi albo

zawieszania na ramieniu, co wskazywało na to, że przedstawiciele tej kultury zawsze nosili ze sobą naczynia do picia i jedzenia. Wokół kamiennych foteli rozstawiono ceramikę - gładką i ozdobioną subtelnymi, ręcznie malowanymi symbolami geometrycznymi - oraz duże miedziane urny, pełne zasuszonych liści i kwiatów. W chwili umieszczania mumii w komorze musiały ślicznie pachnieć. Urny wyglądały na znakomite rękodzieło.

Gunn z bliska przyjrzał się figurom. Zachwycił go sposób mumifikacji. Technicznie przewyższał znacznie metody stosowane przez Egipcjan.

- Żadnych śladów gwałtownej śmierci. Wszyscy wyglądają, jakby umarli we śnie. Nie chce mi się wierzyć, że przyszli tu, by wspólnie umrzeć w samotności i zapomnieniu.

- Ktoś musiał przeżyć, żeby usadzić ich w fotelach - zauważył Giordino.

- To prawda. - Gunn zatoczył dłonią wokół. - Zwróć uwagę, że żadna postać nie siedzi w identycznej pozycji. Jedne trzymają dłonie na udach, inne na poręczach foteli. Król i królowa - czy kim tam byli za życia - opierają głowy na dłoniach, jakby kontemplowali swe przeznaczenie.

- Moim zdaniem podchodzisz do tego nieco zbyt teatralnie.

- Nie czujesz się jak Howard Carter, kiedy po raz pierwszy zajrzał do komnaty grobowej Tutanchamona?

- Howard miał szczęście. Znalazł coś, czego my nie znaleźliśmy.

- To znaczy?

- Rozejrzyj się. Nie ma złota. Nie ma srebra. Jeśli ci ludzie byli spokrewnieni z Tutanchamonem, musieli być ubogimi krewnymi. Wygląda na to, że najcenniejszym metalem była dla nich miedź.

- Zastanawiam się, kiedy znaleźli tu wieczne schronienie - cicho powiedział Gunn.

- Lepiej zapytaj: dlaczego? Pójdę po aparat. Zrobimy kilka zdjęć i wracamy do domu. Łaźnienie po grobowcach źle wpływa na mój delikatny żołądek.

Przez następne pięć godzin Giordino fotografował każdy centymetr kwadratowy wnętrza, a Gunn ze szczegółami opisywał - nagrywając na dyktafon co widzi. Dodatkowo katalogował każdy przedmiot w notesie. Niczego nie dotknięto, wszystko pozostało na swoim miejscu. Ich praca nie była może tak precyzyjna jak grupy zawodowych archeologów, ale jak na pracujących w niełatwych warunkach amatorów spisywali się znakomicie. Historycy będą musieli rozwikłać liczne zagadki i zidentyfikować znajdujące się w komorze postaci.

Kiedy skończyli, było późne popołudnie. Gdy Gunn wypełził przez dziurę w stercie kamieni i dochodził właśnie do wyjścia, spostrzegł, że Giordino zniknął. Zawrócił i znalazł Ala stojącego w miejscu, gdzie zawalił się sufit. Wrzucał kamienie w otwór, skutecznie go zamykając.

- Po co to robisz?

Giordino przerwał na chwilę i wbił w niego wzrok. Twarz miał oblepioną kurzem, po którym ściekały strużki potu.

- Nie zamierzam dawać następnym gościom karty wolnego wstępu. Ktokolwiek zechce po nas wejść do krypty, będzie musiał napracować się tak samo jak my.

Marsz powrotny do samolotu minął im zaskakująco szybko. Deszcz i wiatr osłabły, a większość drogi prowadziła w dół - jedynie ostatnie pięćdziesiąt metrów wymagało podejścia. Byli już blisko samolotu i właśnie mijali wąską półkę, kiedy nagle kolumna pomarańczowego ognia wystrzeliła przed nimi w wilgotne powietrze. Nie towarzyszył temu żaden rozrywający uszy grzmot. Eksplozja brzmiała raczej jak wybuchająca w blaszanej puszcze petarda. Kula ognia zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, zostawiając po sobie jedynie wznoszący się spiralnie ku niebu dym.

Giordino i Gunn patrzyli bezradnie, jak kadłub ich maszyny pęka niczym rzucony na chodnik melon. W powietrze pofrunęły poodrywane elementy, a poszarpane i nadpalone resztki kadłuba zaczęły spadać w dół zbocza, ciągnąc za sobą ogon metalu. Wrak osiągnął w końcu podnóże klifu i plusnął w bijące o skały fale.

Ogłuszający zgrzyt trącego o skały metalu ucichł, ale obaj mężczyźni długo jeszcze stali jak wryci, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Gunn był wstrząśnięty, wpatrywał się w morze z niedowierzaniem. Reakcja Giordina była zupełnie inna. Był wściekły, wkurzony jak cholera, zaciskał pięści, twarz zbieleła mu ze złości.

- To niemożliwe - wymamrotał w końcu Gunn. - Nie widać żadnej łodzi, nie ma miejsca na lądowanie drugiej maszyny. Niemożliwe, żeby ktoś umieścił bombę i uciekł niezauważony.

- To znaczy, że podłożono ją w Kapsztadzie, jeszcze przed naszym odlotem - odparł Giordino lodowatym tonem. - Została ustawiona tak, żeby wybuchła, kiedy będziemy w drodze powrotnej.

Gunn przyglądał mu się z niewiarą.

- Te kilka godzin, które spędziliśmy, badając komory...

- Uratowało nam życie. Kimkolwiek są zabójcy, nie liczyli na to, że znajdziemy tu coś ciekawego i spędzimy więcej niż godzinę lub dwie. Dlatego ustawili zapalnik o cztery godziny za wcześniej.

- Nie wierzę, żeby ktokolwiek oglądał komorę od momentu, kiedy pojawił się ten rozbitek.

- Na pewno nie widzieli jej nasi przyjaciele z Telluride. Inaczej zniszczyliby wejście. Ktoś chlapanął ozorem, że lecimy na Saint Paul, i pokazaliby im drogę. Teraz to tylko kwestia czasu, jak się tu zjawia.

Umysł Gunna potrzebował kilku chwil, by przystosować się do nowej sytuacji.

- Musimy zawiadomić admirała.

- Ale kodem - poradził Giordino. - Ci chłopcy są nieźli. Stawiam dziesięć do jednego, że mają urządzenie do podsłuchu rozmów satelitarnych. Najlepiej, gdyby myśleli, że leżymy gdzieś na dnie oceanu, zjadani przez ryby.

Gunn właśnie zamierzał zadzwonić, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl.

- A jeśli zabójcy dotrą tu przed ekipą ratunkową admirała?

- Zaczynaj od razu ćwiczyć rzucanie kamieniami, bo to nasza jedyna broń. Gunn rozejrzał się niemal żałośnie wokół.

- Cóż - stwierdził drętwo - przynajmniej nie musimy się martwić, że zabraknie nam amunicji.

16

„Polar Storm” znajdował się właśnie niedaleko Półwyspu Antarktycznego na Morzu Weddella, kiedy kapitan Gillespie otrzymał od admirała Sandeckera rozkaz chwilowego przerwania ekspedycji. Miał natychmiast opuścić lody Antarktyki i na pełnej prędkości udać się w stronę Wybrzeża Księcia Olava, zatrzymać się na wysokości japońskiej stacji badawczej Syowa i czekać na dalsze rozkazy. Gillespie kazał pierwszemu mechanikowi i załodze maszynowni wydusić z lodołamacza całą moc. Wkrótce udała im się rzecz niemal niemożliwa - pędzili z prędkością dwudziestu węzłów. Było to nie lada osiągnięcie, Gillespie pamiętał, że w dokumentach zbudowanego dwadzieścia lat temu statku

maksymalna prędkość wynosiła osiemnaście węzłów.

Był zadowolony, że dotarł na wyznaczone miejsce osiem godzin szybciej, niż można się było spodziewać. Duża głębokość nie pozwalała na rzucenie kotwicy, doprowadził więc statek do granicy lodu i kazał wyłączyć silniki. Następnie zawiadomił Sandeckera, że statek zajął pozycję, a on czeka na dalsze rozkazy.

Odpowiedź była krótka i zwięzła:

- Czekać na pasażera.

Chwila wytchnienia pozwoliła wszystkim wrócić do rozpoczętych zadań. Naukowcy zabrali się do analizy zebranych danych i wpisywania wyników do komputera, załoga zajęła się rutynowymi zadaniami naprawczymi i konserwacyjnymi.

Nie musieli długo czekać.

Rano, piątego dnia od opuszczenia Morza Weddella, Gillespie patrzył przez lornetkę na lód. Z porannej mgły wyleciał helikopter. Leciał prosto na „Polar Storma”. Kapitan kazał drugiemu oficerowi przyjąć maszynę na lądowisku na tylnym pokładzie.

Helikopter unosił się kilka sekund nad statkiem, po czym opadł na lądowisko. Z otwartych drzwi przedziału bagażowego wyskoczył mężczyzna z aktówką i małą torbą podróżną, po czym powiedział coś do drugiego oficera. Odwrócił się i pomachał pilotowi, który dostarczył go na statek. Łopaty wirnika zawirowały szybciej i maszyna wzniosła się z powrotem w zimne powietrze. Była już spory kawałek od „Polar Stormu”, kiedy Pitt wszedł na mostek.

- Cześć, Dan! - przywitał się ciepło z kapitanem. - Miło znów cię widzieć.

- Dirk! Skąd się tu wzięłeś?

- Przyleciałem z Punta Arenas nad Cieśniną Magellana wojskowym samolotem na lądowisko japońskiej stacji badawczej. Byli uprzejmi podrzucić mnie na statek swoim helikopterem.

- Co cię sprowadza na Antarktykę?

- Drobny program badawczy, który muszę przeprowadzić niedaleko stąd.

- Wiem, że admirał coś chowa w rękawie. Był bardzo tajemniczy. Nie powiedział ani słowa, że to ty się zjawisz.

- Ma do tego powody. - Pitt położył aktówkę na stole z mapami, otworzył ją i dał Gillespiemu kartkę ze współrzędnymi. - To nasz cel.

Kapitan popatrzył na cyfry, potem na odpowiednią mapę.

- Zatoka Stefanssona - powiedział cicho. - Na Wybrzeżu Kempa, niedaleko Wysp Hobbsa. Nie ma tam nic ciekawego. Najbardziej pusty kawałek ziemi na świecie, jaki widziałem. Czego szukamy?

- Wraka statku.

- Pod lodem?

- Nie. W lodzie.

Zatoka Stefanssona wyglądała na jeszcze bardziej opuszczoną i odległą od cywilizacji, niż przedstawił ją Gillespie - zwłaszcza przy niebie pełnym chmur koloru węgla drzewnego i ponurym morzu, pokrytym groźnym lodem. Wiatr wgryzał się w skórę jak ostre zęby węgorza i Pitt zaczął myśleć o wysiłku koniecznym, by dotrzeć do stałego lądu. Jednak szansa odkrycia statku, na którym od tysiąc osiemset trzydziestego piątego roku nie stanęła ludzka stopa sprawiła, że jego organizm zaczął produkować kolejne porcje adrenaliny.

Czy wrak tkwił jeszcze w miejscu, gdzie Roxanna Mender i jej mąż natknęli się na niego niemal

półtora wieku temu, czy też łód zgniółł kadłub? A może wyniósł go na morze, gdzie zatonął?

Pitt znalazł Gillespiego na skrzydle mostka. Kapitan patrzył przez lornetkę na coś, co jego zdaniem poruszało się w kilwaterze lodołamacza.

- Szukasz wielorybów? - spytał Pitt.

- Nie, U-Bootów - odparł obojętnie Gillespie. - Pitt uznał to za dowcip.

- W tych wodach nie natkniesz się na wiele wilczych stad.

- Tylko na jednego - odparł Gillespie, nie poruszając lornetką. - U-2015. Płynie w naszym kilwaterze, odkąd dziesięć dni temu o mało się nie zderzyliśmy.

Pitt w dalszym ciągu nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Mówisz poważnie?

Gillespie wreszcie opuścił lornetkę.

- Jak najbardziej. - Potem opowiedział Pittowi o spotkaniu z okrętem podwodnym. - Zidentyfikowałem go na podstawie starego zdjęcia, które mam w mojej bibliotece marynistycznej. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - to U-2015. Nie pytaj, w jaki sposób ta jednostka dotrwała do dzisiejszych czasów ani dlaczego nas śledzi. Nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że płynie za nami.

Pitt w ciągu minionych lat przynajmniej czterokrotnie współpracował z Gillespiem i uważał go za jednego z najbardziej godnych zaufania kapitanów Agencji. Dan Gillespie nie był czubkiem, który wymyślał sobie historyjki. Trzeźwo myślał i był stanowczy, a w jego aktach nie znajdowała się najmniejsza skaza. Żadnemu statkowi, którym dowodził, nie przydarzył się wypadek. Ani jeden człowiek pod jego dowództwem nie odniósł poważnych obrażeń.

- Kto by uwierzył, że po tylu latach... - Pitt nie dokończył zdania. Nie bardzo wiedział, co chce powiedzieć.

- Nie muszę czytać w twoich myślach, by wiedzieć, że sądzisz, iż nadaję się do wariatkowa - poważnie powiedział Gillespie - ale mogę dowieść tego, co mówię. Panna Evie Tan, która przygotowuje artykuł o ekspedycji dla czasopisma przyrodniczego, zrobiła wiele zdjęć, kiedy o mało co go nie staranowaliśmy.

- Widzisz go teraz? Peryskop albo chrapy?

- Jest nieśmiały i trzyma się głęboko - odparł Gillespie.

- Skąd więc wiesz, że tam jest?

Jeden z naszych naukowców wyrzucił za burtę mikrofon, którym rejestrujemy rozmowy waleni. Tak poluzowaliśmy linkę, by płynął czterysta metrów za statkiem. Wtedy zatrzymaliśmy silniki i dryfowaliśmy. To nie jest nowoczesny okręt podwodny z napędem atomowym, który może poruszać się pod wodą bezgłośnie. Nagraliśmy dudnienie jego silników. Było tak wyraźne jak warczenie psa.

- Niezły pomysł, ale ja bym pociągnął za statkiem balon meteorologiczny i podwiesił do niego magnetometr.

Gillespie roześmiał się.

- Też niezłe. Chcieliśmy prześwietlić ich radarem, ale po to, aby otrzymać prawidłowy obraz, należałoby umieścić czujnik z boku, a to wydało się nam zbyt trudne. Miałem nadzieję, że dzięki tobie uzyskamy choć część odpowiedzi.

W głowie Pitta zamrugało ostrzegawcze światełko. Zaczął się zastanawiać, czy aby przypadkiem nie wkroczył w strefę mroku. Już sam związek zabójców z Czwartego Imperium z przestarzałym okrętem podwodnym był dziwny. Ale z drugiej strony w tej serii wydarzeń nic nie wydawało się

normalne.

- Poinformuj admirała - powiedział Pitt. - Powiedz mu, że potrzebujemy pomocy.

- Podrażnimy się z nimi trochę? - spytał Gillespie, mając na myśli załogę okrętu podwodnego. -

Możemy zawrócić i zabawić z nimi w kotka i myszkę.

Pitt pokręcił głową.

- Obawiam się, że nasz anioł stróż będzie musiał poczekać. Znalezienie „Madrasy” ma pierwszeństwo.

- Tak się nazywał? Pitt potaknął.

- Indiaman, zagubiony w tysiąc siedemset dziewiątym roku.

- I sądzisz, że jest unieruchomiony w lodzie gdzieś przy brzegu? - spytał z powątpiewaniem kapitan.

- Mam nadzieję, że jeszcze gdzieś jest.

- Co na jego pokładzie tak interesuje Agencję?

- Odpowiedź na starożytną zagadkę.

Gillespie nie potrzebował długich wyjaśnień. Jeśli Pitt nie chciał mu więcej powiedzieć, godził się z tym. Jego obowiązkiem było dbać o statek i ludzi na pokładzie. Zamierzał bez dyskusji wykonywać rozkazy swych przełożonych - chyba że mogłyby zagrozić bezpieczeństwu „Polar Stormu”.

- Jak daleko w lód mam wpłynąć? Pitt podał kapitanowi kawałek papieru.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł umieścić statek na tych współrzędnych.

Gillespie przez chwilę studiował kartkę.

- Trochę czasu minęło, odkąd ostatni raz nawigowałem wedle długości i szerokości geograficznej, ale spróbuję dotrzeć najbliższej, jak się da.

- Kiedyś kompas, potem Loran, teraz GPS. Niedługo ktoś wymyśli urządzenie, które będzie mówić, gdzie znajduje się najbliższa rolka papieru toaletowego i ile centymetrów od prawej ręki.

- Mogę spytać, skąd masz ten namiar?

- Z dziennika pokładowego „Paloverde”, statku wielorybniczego, który dawno temu znalazł tego indiamana. Niestety, nie wiadomo, z jaką dokładnością zmierzili jego pozycję.

- Wiesz co? - z zazdrością powiedział Gillespie. - Jestem pewien, że kapitan tego starego statku umiał posadzić swoją jednostkę na dziesięciocentówce. Ja miałbym trudności z postawieniem mojej na ćwierćdolarówce.

„Polar Storm” wszedł w lód i zaczął pruć jego powierzchnię niczym atakujący futbolista przeciskający się przez szeregi obrońców. Przez pierwszą milę lód miał najwyżej trzydzieści centymetrów grubości i masywny dziób z łatwością wbijał się w zmrożoną masę. Im jednak bliżej brzegu, tym lód stawał się grubszy. Osiągał niemal półtora metra. Statek musiał zwalniać, cofać się i ponownie atakować. Robił piętnastometrowe pęknięcia, wbijał się jak najdalej i znów zatrzymywał. Powtarzano manewr i dziób raz za razem atakował kolejny kawałek opornej masy.

Gillespie nie obserwował tych zmagania. Siedział na wysokim obrotowym fotelu i przyglądał się ekranowi echosondy, wysyłającej sygnały w kierunku dna. Musiał znać aktualną głębokość, ponieważ te wody nie były zbadane i dno nie zostało opisane na morskich mapach.

Pitt stał dwa metry obok i patrzył przez lornetkę Gillespiego. Jej przyciemniane szkła nieco redukowały intensywność odbłasku lodu. Utworzone z lodu klify, biegnące wzdłuż brzegu kilkadziesiąt metrów w głąb stałego lądu, osiągały wysokość mniej więcej siedemdziesięciu metrów

i przeradzały się w płaskowyż. Pitt przesuwiał lornetkę, obserwując teren wzdłuż podstawy klifu, i próbował znaleźć jakiś ślad „Madrasy”. Nic jednak nie było widać - z lodu nie wystawał żaden fragment rufy ani kawałek masztu.

- Panie Pitt?

Dirk odwrócił się i ujrzał przed sobą uśmiechniętego przysadzistego mężczyznę nieco po czterdziestce. Miał różową twarz cherubina, skrzyżujące się zielone oczy i szerokie usta, ułożone w lekko skrzywiony uśmiech. Wyciągnął małą, niemal delikatną rękę.

- Tak? - bąknął Pitt, zaskoczony siłą uchwytu nieznajomego.

- Nazywam się Ed Northrop, jestem kierownikiem naukowym wyprawy i glaciologiem. Chyba nie mieliśmy nigdy przyjemności...

- Doktor Northrop. Słyszałem o panu wiele od admirała Sandeckera.

- Mam nadzieję, że dobrego - powiedział ze śmiechem Northrop.

- Fakt, nigdy nie wybaczył panu lodu w butach podczas ekspedycji na Morza Beringa.

- Jim długo chowa urazę. To było piętnaście lat temu. - Spędził pan wiele lat w Arktyce i na Antarktyce.

- Przez osiemnaście lat badałem lód morski. A poza tym zgłosiłem się na ochotnika, żeby panu towarzyszyć.

- Proszę nie traktować tego jako niewdzięczność, ale raczej pójdę sam. Northrop skinął głową i złapał się obydwoma rękami za spory brzuch.

- Nie zaszkodzi mieć ze sobą kogoś, kto zna się na lodzie. Poza tym jestem wytrzymalszy, niż wyglądam.

- To dobry argument.

Dno się podnosi - oświadczył Gillespie i połączył się z maszynownią. - Cała stop! Dalej nie płyniemy. - Popatrzył w kierunku Pitta. - Jesteśmy dokładnie w miejscu, którego współrzędne mi dałeś.

- Dziękuję, Dan. Znakomita robota. To powinno być mniej więcej miejsce, gdzie „Paloverde” zamarzył w lodzie zimą tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego roku.

Northrop patrzył przez okno na lód między statkiem a brzegiem.

- Moim zdaniem to trzy kilometry. Krótki marsz na świeżym powietrzu dobrze nam zrobi.

- Nie macie na pokładzie skuterów?

- Przykro mi, ale w trakcie pracy oddalamy się najwyżej na sto metrów od statku. Nie widzieliśmy powodu, żeby obciążać budżet luksusami.

- Jaką temperaturę ma twoim zdaniem to świeże powietrze?

- Minus dwadzieścia, dwadzieścia pięć stopni. Tutaj to ciepło.

- Nie mogę się doczekać - stwierdził lakonicznie Pitt.

- Ciesz się, że teraz jest jesień. Wiosny są znacznie mroźniejsze.

- Wolę tropiki, ciepły wiaterek i miłe dziewczęta w sarongach, wachlujące człowieka przy zachodzącym słońcu do rytmu bębnów. - Jego wzrok powędrował w kierunku atrakcyjnej Azjatki, która podeszła prosto do niego.

- Nie dramatyzuje pan?

- Taką mam naturę.

- Powiedziano mi, że Dirk Pitt to pan. - Uśmiechnął się.

- Mam taką nadzieję. Pani musi być Evie Tan. Dan Gillespie mówił, że robi pani reportaż o

ekspedycji.

- Dużo czytałam o pańskich wyczynach. Czy kiedy wróci pan stamtąd dokąd się wybiera, będę mogła zrobić z panem wywiad?

Pitt odruchowo spojrział na Gillespiego, który pokręcił głową.

- Słowa nie powiedziałem o twoim celu. Pitt uściśnął Evie dłoń.

- Z przyjemnością udzielę pani wywiadu, ale nie może pani ani słowem wspomnieć o tym, co tu robimy.

- Chodzi o tajemnicę wojskową? - spytała z niewinnym uśmiechem. Pitt natychmiast załapał.

- To nie ma nic wspólnego z tajnymi działaniami militarnymi, hiszpańskimi galeonami ze złotem ani z odrażającym człowiekiem śniegu. Tak naprawdę sprawa jest nudna i wątpię, by jakikolwiek szanujący się dziennikarz mógł się nią zainteresować. - Zwrócił się do Gillespiego. - Wygląda na to, że zostawiliśmy okręt podwodny na granicy lodu.

- Albo płynął za nami pod lodem - odparł kapitan.

- Czekamy na pana - powiedział do Pitta pierwszy oficer Bushey.

- Już idę.

Opuszczono trap i na lód spuszczone troje sań - na jednych znajdowała się przykryta plandeką skrzynia ze sprzętem do cięcia lodu. Na pozostałych leżały jedynie zwoje liny do zamocowania znalezisk, gdyby na jakieś trafili. Pitt stał ze stopami zanurzonymi w puszystym śniegu i patrzył, jak Gillespie podchodzi do mężczyzny dorównującego wielkością niedźwiedziowi z wyspy Kodiak.

- Posyłam z tobą Irę Coxa, mojego trzeciego oficera, i doktora Northropa.

- Miło pana poznać - powiedział Cox przez sięgającą pasa brodę. Głos zdawał się bardzo odległy. Nie podał Pittowi ręki. Jego olbrzymie łapska były schowane w gigantycznych arktycznych rękawicach.

- Kolejny ochotnik?

- To był mój pomysł - odparł Gillespie. - Nie mogę pozwolić, by jeden z najważniejszych ludzi admirała Sandeckera sam wędrował po pełnym pułapek lodzie. Nie wziąłbym za to odpowiedzialności. A tak, w razie problemów, będziesz miał większą szansę przeżycia. Gdybyście się natknęli na niedźwiedzia polarnego, Cox sobie z nim poradzi.

- Na Antarktydzie nie ma niedźwiedzi polarnych. Gillespie popatrzył na Pitta i wzruszył ramionami.

- Po co ryzykować?

Pitt nie protestował. W głębi duszy wiedział, że jeśli miałoby dojść do najgorszego, któryś z tych ludzi może uratować mu życie.

Kiedy nad Antarktydę nadchodzi jesień, kontynent jest otoczony wzburzonym morzem, ale wraz z nadejściem zimy i spadkiem temperatury woda gęstnieje do konsystencji oleju. Pływające fragmenty lodu zwane żartobliwie lodowymi naleśnikami rosną i łączą się ze sobą, tworząc w końcu pokryte śniegiem lodowe połączenie. Ponieważ tej jesieni lód pojawił się wcześniej, Pitt, Northrop i Cox poruszali się bez problemów po nierównej, ale w zasadzie płaskiej powierzchni. Musieli obejść kilka grzbietów i dwie góry lodowe, te dotarły do brzegu, zanim skuł je lód. W oczach Pitta teren wyglądał jak nie posłane łóżko, na które byle jak rzucono białą kołdrę. Kilkucentymetrowa warstwa puszystego śniegu nie hamowała marszu. Nie stali nawet na chwilę. Northrop szedł pierwszy i wypatrywał w lodzie pęknięć albo innych przeszkód. Szedł nie obciążony saniami, twierdził bowiem, że do badania lodu potrzebuje większej swobody ruchów. Pitt - zapięty w uprząż - poruszał

się jako drugi na nartach biegowych, które przywiózł z domku weekendowego ojca w Breckenridge, w stanie Kolorado. Cox był ostatni - w raketach ciągnął dwoje sań, jakby to były zabawki.

Chociaż dzień zapowiadał się piękny i słoneczny, teraz pogoda zaczęła się psuć z nadejściem chmur. Powoli błękitne niebo szarzało, a słońce stawało się niewyraźną kulą wyblakłej pomarańczy. Prószyący śnieg zmniejszył widoczność. Pitt starał się nie zwracać na to uwagi. Nie pozwalał też sobie na myśl, że półtora metra pod stopami ma zieloną, lodowatą wodę. Obserwował klif, który wznosił się coraz wyżej nad czubki jego nart. W głębi łądu widział wolne od śniegu, poszarpane szczyty Gór Hansena. Niestety, w lodzie nie było śladu żadnego nietypowego kształtu. Zaczął się czuć jak intruz w tym rozległym, pustym terytorium, nieskalanym ludzką stopą.

Dotarli do podstawy klifu w nieco ponad godzinę. Gillespie obserwował ich uważnie, póki nie stanęli na skraju lodu od strony łądu. Turkusowe kombinezony Agencji sprawiały, że byli doskonale widoczni na białym tle. Po raz dziesiąty sprawdził prognozę pogody. Padał drobny śnieg, wiatr nie był silny, ale mogło się to przecież zmienić w ciągu kilku minut. Wiatr był zawsze niemożliwy do przewidzenia - bez zapowiedzi mógł zasnuć skrzący się jaskrawym światłem teren wyjąca śnieżycą.

Gillespie wcisnął klawisz telefonu satelitarnego. Połączył się bezpośrednio z Sandeckerem.

- Są na brzegu i zaczynają szukać - poinformował szefa.

- Dziękuję, Dan. Zawiadom mnie, kiedy wrócą.

- Zanim się rozłączę, admirale, jest jeszcze coś. Obawiam się, że mamy tu dość niezwykłą sytuację. - W krótkich słowach opowiedział o U-Boocie. Kiedy skończył, zapadła cisza, której można się było spodziewać - admirał próbował przetrwać informację.

W końcu powiedział lakonicznie:

- Zajmę się tym.

Gillespie wrócił do wielkiego okna mostka i znów przyłożył do oczu lornetkę.

- I wszystko to dla jakiegoś starego wraka - mruknął. - Oby był tego wart.

Pitt próbował opanować ogarniające go zniechęcenie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że szukanie czegoś, co zaginęło tyle lat temu, to szukanie igły w stogu siana. Nie można było obliczyć, ile lodu nazbiera się wokół statku w ciągu stu pięćdziesięciu lat. Było całkiem prawdopodobne, że „Madras” tkwił sto metrów pod lodem. W pamięci wyznaczył obszar poszukiwania. Zarówno on, jak i Cox mieli do dyspozycji ręczne urządzenia GPS wielkości paczki papierosów, co pozwalało na bardzo dokładne określenie pozycji. Rozdzielili się, zostawiając w punkcie wyjścia sanie, Pitt wybrał stronę lewą. Szybko biegł na nartach wzdłuż podnóża klifu, pozostali dwaj ruszyli w prawo. Po pokonaniu dystansu około półtora kilometra od sań zawrócili.

Pitt był pierwszy. Choć dwa razy oglądał lód, nie znalazł śladu „Madrasa”. Pół godziny później pojawił się glaciolog - padł na plecy na małej górcie, rozłożył ręce i nogi i zaczął dyszeć. Dawał odpoczynek bolącym kolanom i kostkom. Popatrzył na Pitta przez brązowe gogle i dał znak, że się poddaje.

- Przykro mi, Dirk, ale nie dostrzegłem niczego, co by przypominało stary statek.

- Ja też nie.

- Bez dokładnych badań nie można mieć co do tego pewności, ale mógłbym się założyć, że lód kilka razy pękał i wyniósł wrak na otwarte morze.

Z kieszeni kurtki Pitta dobiegł stłumiony głos Gillespiego. Dirk wyjął krótkofalówkę i odpowiedział.

- Mów, Dan, słyszę cię.

- Wygląda na to, że zbliża się potężny sztorm. Powinniście jak najszybciej wracać.

- Nie mam nic przeciwko. Do zobaczenia.

Pitt wsunął radio do kieszeni i popatrzył na północ, gdzie dojrzał jedynie pusty lód.

- Gdzie zostawił pan Coxa?

Zaniepokojony Northrop wyprostował się i rozejrzał.

- Znalazł w klifie pęknięcie i wszedł tam. Myślałem, że zbada je i zaraz przyjdzie.

- Lepiej zobaczę, co się z nim dzieje.

Pitt odepchnął się kijkami i pobiegł po śladach, podwójnych w jedną stronę i pojedynczych z powrotem. Wiatr nasilał się błyskawicznie i unosząc drobiny lodu, tworzył w powietrzu białą mgłę. Słońce schowało się, a odbłaski światła na śniegu zniknęły. Mimo woli czuł podziw dla odwagi Roxanny Mender. Cud, że przeżyła w takiej pogodzie. Spostrzegł, że znajduje się pod wysokimi lodowymi graniami. Przez chwilę miał wrażenie, że potężna masa zaraz spadnie mu na głowę.

Przez zagłuszający huk wiatru przebił się krzyk. Doleciał z niezbyt daleka - Pitt stanął i przekrzywił głowę, próbując wyłowić coś z lodowej mgły.

- Panie Pitt! Tutaj!

Z początku Dirk widział jedynie lodową ścianę, po chwili dostrzegł jednak mignięcia turkus na tle czarnego pęknięcia w lodzie. Wbił kijki w lód i ruszył w stronę Coxa. Czuł się jak Ronald Colman w Zaginionym horyzoncie - kiedy walczy z himalajską śnieżycą, by wejść do tunelu wiodącego do Shangrila. W jednej chwili był w samym środku chmury wirujących drobin lodu, a w następnej w suchym, cichym, bezwietrznym miejscu.

Oparł się na kijkach i rozejrzał po lodowej jaskini. Miała szerokość mniej więcej dwóch i pół metra, kończyła się spiczasto sześć metrów w górę. Zaraz za wejściem otoczyła go ciemność. Jedyнным barwnym akcentem było turkusowe pobłyskiwanie stroju Coxa.

- Szykuje się poważna burza - stwierdził Pitt i wystawił dłoń na zewnątrz. - Najlepiej będzie, jeśli ruszymy biegiem na statek.

Cox podniósł gogle. Dziwnie przyjrzał się Pittowi.

- Chce pan iść?

- Tu jest przyjemnie, ale nie możemy marnować czasu.

- Zdawało mi się, że szuka pan starego statku.

- Też tak sądziłem.

Cox wyciągnął w górę rękawice i wyprostował palec wskazujący.

- No i?

Pitt popatrzył w górę. Tuż przy szczycie szczeliny z lodu wystawał kawałek drewnianej rufy.

17

Pitt wrócił do Northropa i wspólnymi siłami zaciągnęli sanie do jaskini. Przekazał także wiadomość o odkryciu Gillespiemu i zapewnił, że są dobrze schowani przed burzą.

Cox natychmiast wyjął narzędzia i zabrał się do pracy. Za pomocą młota i przebijaka rąbał w ścianie stopnie, którymi mieli wejść do spoczywającego w lodowym grobowcu statku. Kiedy Roxanna i jej mąż, kapitan Bradford Mender, znaleźli „Madrasa”, jego górny pokład był jeszcze odsłonięty, ale w ciągu minionych czternastu dziesięcioleci lód zdążył pokryć stary żaglowiec aż po czubki masztów.

- Zdziwiałem się, że jest w tak dobrym stanie - stwierdził Northrop. - Spodziewałem się raczej, że został przerobiony na wykałaczkę.

- Okazuje się, że glaciolodzy również się mylą - odparł Pitt.

- Mówię poważnie - to jest warte dokładnego zbadania. Stan statku świadczy o tym, że w tej części wybrzeża klif lodowy, tworząc się, ani razu się nie zawalił. To dość niezwykle. Musi być jakieś wytłumaczenie, dlaczego lód narasta, ale nie przesuwają się w kierunku morza.

Pitt popatrzył na Coxa, który skończył rąbać stopnie i stał na wysokości kadłuba.

- No i jak, Ira?

- Deski są zamrożone na kość i kruche jak szklane oko mojej babci. W ciągu godziny powinienem zrobić dziurę na tyle dużą, żeby dało się wejść do środka.

- Staraj się trafić między wręgi. Inaczej nie przebijesz się przez tydzień.

- Wiem, jak konstruuje się statki, panie Pitt - odparł Cox urażony.

- Przyjmuję naganę - powiedział Pitt. - Jeśli przebijesz się w czterdzieści minut, zadbam o to, żeby kapitan Gillespie dał ci błękitną wstążkę za rzeźbienie w lodzie.

Z Coxem nie było się łatwo zaprzyjaźnić. Miał niewielu kumpli na pokładzie „Polar Stormu”. Z początku wydawało mu się, że Pitt to zadzierający nosa biurokrata z centrali Agencji, teraz jednak widział, że dyrektor Wydziału Programów Specjalnych jest poważnym, stojącym pewnie na ziemi, a mimo to dowcipnym gościem. Zaczynał go wręcz lubić. Kawałki lodu fruwały jak iskry.

Trzydzieści cztery minuty później Cox zszedł na dół i oznajmił triumfalnie:

- Wejście gotowe, panowie.

Pitt skłonił głowę w podziękowaniu.

- Dziękuję, Ira. Generał Lee byłby z ciebie dumny. Cox odklonił się.

- Zawsze mówię, że nie należy wyrzucać konfederackich pieniędzy. Południe może któregoś dnia się podnieść.

- Widząc ciebie, zaczynam w to wierzyć.

Pitt wspiął się po wykutych przez Coxa stopniach i wślizgnął w dziurę pierwszy. Dotknął butami pokładu metr poniżej krawędzi otworu. Zajrzał w mrok i spostrzegł, że stoi w kambuzie rufowym.

- Co pan widzi? - spytał niecierpliwie Northrop.

- Zamrożony piec. - Pitt wychylił się przez dziurę. - Wchodźcie i przynieście jakieś światło.

Cox i Northrop szybko dołączyli do niego i podzielili się halogenowymi reflektorami w aluminiowych oprawach. Pomieszczenie rozjaśniło się, jakby weszło w nim słońce. Gdyby na wielkim, żeliwnym piecu nie było sadzy, można by sądzić, iż nigdy go nie używano. Pitt otworzył drzwiczki i zobaczył, że w środku nie ma popiołu.

- Półki są puste - zauważył Cox. - Musieli zjeść cały papier, garnki i szkło.

- Papier może tak - mruknął Northrop, który czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Trzymajmy się razem - zaproponował Pitt. - Któryś z nas może zobaczyć coś, czego nie dostrzegą inni.

- Szukamy czegoś konkretnego? - spytał Cox.

- Ładowni w tylnej części kadłuba, tuż pod kabiną kapitana.

- Myślę, że jest jakieś dwa pokłady pod nami.

- To musi być kambuz oficersko-pasażerski. Kabina kapitana powinna być niedaleko. Znajdźmy zejściówkę.

Pitt przeszedł przez otwarte drzwi i zaświecił. Stał w jadalni. Stoły, krzesła i pozostałe meble pokrywała kilkucentymetrowa warstwa lodu. W świetle halogenów pomieszczenie migotało jak kryształowy kandelabr. Na środku stołu stał dzbanek i filiżanki, jakby przygotowane do podania herbaty.

- Żadnych ciał - stwierdził z ulgą Northrop.

- Wszyscy umarli w swych kabinach - powiedział Pitt. - Prawdopodobnie z zimna, głodu i skorbutu.

- Dokąd teraz? - spytał Cox.

Pitt skierował promień reflektora w kierunku następnych otwartych drzwi.

- Zaraz za nimi powinniśmy znaleźć zejściówkę prowadzącą na pokład niżej.

- Skąd pan wie, jak się poruszać po dwustuletnim statku?

- Obejrzałem plany kilku starych indiamanów. Choć żadnego nie widziałem w naturze, znam ich zakamarki.

Schodząc po stopniach, musieli przy każdym kroku uważać, żeby nie poślizgnąć się na lodzie. Pitt prowadził na rufę. Po drodze minęli armatę, która wyglądała, jakby właśnie wyjęto ją z formy odlewniczej. Drzwi ładowni były otwarte - tak, jak zostawiła je Roxanna Mender i ludzie z „Paloverde”.

Pitt pełen napięcia wszedł pierwszy i omiótł wnętrzem promieniem światła.

Skrzynie - jak w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku, kiedy widziano je po raz ostatni - piętrzyły się pod sam sufit. Dwie z nich stały na podłodze z otwartymi wiekami. Za drzwiami leżała przewrócona miedziana urna - potoczyła się tam, kiedy ludzie Mendera w pośpiechu opuszczali statek, widząc, że lód zaczyna pękać.

Pitt ukląkł. Pieczołowicie wyjmował przedmioty z otwartych skrzyń i stawiał je na zamrożonym pokładzie. W ciągu kilku minut zebrał całą menażerię figurek przedstawiających zwierzęta. Część z nich, psy, koty, bydło czy lwy, rozpoznawał, ale niektórych nigdy nie widział. Jedne figurki zrobiono z miedzi, inne z brązu. Były także przedstawienia ludzi - głównie kobiet, ubranych w długie szaty i plisowane spódnice, zakrywające nogi aż po dziwne buty. Ich kunsztownie ułożone i posplatane w warkocze włosy sięgały do pasa, piersi przedstawiono zwyczajnie, bez przesadnej pełni.

Na dnie skrzyń leżały jak żetony w kasynie poukładane w stosiki miedziane tarcze o grubości centymetra i średnicy mniej więcej dwunastu. Były po obu stronach pokryte wygrawerowanymi sześćdziesięcioma symbolami podobnymi do tych, które Pitt widział w komorze w kopalni Paradise. Na środku rewersu znajdował się wizerunek mężczyzny, na awersie - kobiety.

Mężczyzna miał na głowie wysoki spiczasty kapelusz ze zgiętym na bok czubkiem. Ubrany był w lejącą się szatę, przypominającą nieco pelerynę, i spódniczkę, podobną do szkockiego kiltu. Jego korpus ochraniał metalowy napierśnik. Dosiadał konia, z którego głowy wyrastał pojedynczy róg, uderzał szerokim, wzniesionym nad głową mieczem w kark olbrzymiej jaszczurki, szczerzącej wielkie, ostre kły.

Kobieta po drugiej stronie płytki była ubrana podobnie, ale jej strój był bardziej bogato zdobiony - muszlami albo jakimiś paciorkami. Także jechała na jednorogim koniu. Nie miała w rękach miecza,

za to rzucała oszczepem w zwierzę, w którym Pitt rozpoznał tygrysa szablozębnego - drapieżnika, który wymarł kilka tysięcy lat temu.

Myśli Pitta powędrowały w inny czas i inne miejsce - niewyraźne, ledwie widoczne za delikatną mgłą. Trzymał w rękach płytki i próbował nawiązać duchowy kontakt z ich twórcami. Niestety, telepatia nie była jego mocną stroną. Żył tu i teraz - nie umiał pokonać niewidocznej ściany, oddzielającej przeszłość od teraźniejszości.

Jego marzenia przerwał południowy akcent Iry Coxa.

- Chce pan ładować te skrzynie do sań? Pitt podniósł głowę, zamrugał i potaknął.

- Przybiję z powrotem pokrywy i wyniesiemy je etapami na pokład wyżej. Potem spuścimy je na linie przez dziurę na dno jaskini.

- Naliczyłem dwadzieścia cztery sztuki - stwierdził Northrop. Podszedł do sterty skrzyń i spróbował podnieść jedną z nich. Jego twarz nabrała kilku odcieni czerwieni, a oczy niemal wyszły z oczodołów.

Cox szybko ocenił sytuację i wziął skrzynię od Northropa z taką łatwością, jakby ważyła tyle, co noworodek.

- Lepiej ja się zajmę fizyczną pracą, doktorze.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować, Ira - powiedział Northrop, uwolniony od ciężaru blisko pięćdziesięciu kilogramów.

Cox zabrał się do najcięższej roboty. Zarzucał skrzynie na ramię i nosił je zejściówką do Pitta. Dirk obwiązywał ładunek i spuszczał do Northropa, który układał go na saniach. Kiedy skończyli, na każdym było po osiem skrzynek.

Pitt podszedł do wejścia jaskini i wezwał statek.

- Co tam ze sztormem? - spytał Gillespiego.

- Według naszego meteorologa powinien przejść za kilka godzin.

- Sanie są załadowane.

- Potrzebujecie pomocy?

- Każde z nich waży około czterystu kilo. Przyjmujemy z wdzięcznością.

- Czekajcie, aż się wypogodzi. Osobiście poprowadzę ekipę.

- Na pewno chcesz się szwendać po lodzie?

- Mam stracić okazję wejścia na pokład osiemnastowiecznego statku? Nie przekupisz mnie nawet całym koniakiem Francji.

- Przedstawię cię kapitanowi.

- Widziałeś kapitana?

- Jeszcze nie, ale jeśli Roxanna Mender nie przesadzała, powinien być świeży jak wyjęte prosto z lodówki lody waniliowe.

Kapitan Leigh Hunt wciąż siedział za biurkiem, gdzie zmarł w tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Wszystko wyglądało tak samo jak owego fatalnego dnia - z wyjątkiem niewielkiego zagłębienia w lodzie na blacie, gdzie leżał dziennik. Z powagą obejrzeli dziecko w kołysce i panią Hunt. Jej smutną delikatną twarz pokrywał osadzający się od dwóch wieków lód. Pies pod drzwiami był już tylko zamrożonym białym kształtem.

Szli przez kabiny, oświetlając halogenami martwych pasażerów. Lodowy całun migotał jaskrawo i ledwie pozwalał dostrzec ludzi pod spodem. Pitt próbował wyobrazić sobie ich ostatnie chwile, ale tragedia była tak przejmująca, że nawet nie dało się o niej myśleć. Spowite w cień nieruchome

postaci przypominały woskowe kukły. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś byli żywymi, oddychającymi ludźmi i że w tej odległej i okropnej części świata prowadzili normalne życie. Grymasy na niektórych twarzach, zniekształcone przez lód, sprawiały upiorne wrażenie. Co myśleli, mając świadomość, że ratunek nie przyjdzie?

- To koszmar - mruknął Northrop. - Ale wspaniały. Pitt popatrzył na niego pytająco.

- Wspaniały?

- To coś niesamowitego. Idealnie zakonserwowane ludzkie ciała, zatrzymane w czasie. Proszę pomyśleć, co to znaczy dla kriogeniki. Niech pan się zastanowi nad możliwością przywrócenia ich do życia.

Myśl ta trafiła Pitta jak cios. Czy nauka będzie któregoś dnia w stanie przywrócić do życia zimnych, martwych pasażerów i członków załogi „Madrasa”?

- Niech pan pomyśli, ile można by dopisać w podręcznikach historii, gdyby udało się porozmawiać z kimś ożywionym po dwustu latach. - Northrop wyrzucił ręce w górę. - Ale po co marzyć? Za naszego życia to nie nastąpi.

- Prawdopodobnie nie - odparł Pitt, rozważając tę możliwość. - Chciałbym jednak zobaczyć reakcje tych biedaków, gdyby zobaczyli, co się stało ze światem od tysiąc siedemset siedemdziesiątego roku.

Po czterech godzinach sztormowe chmury przeszły i wiatr ustał. Cox stanął przed jaskinią i machał jak flagą żółtą plandeką, przykrywającą skrzynie.

Wysłana na pomoc grupa zauważyła sygnał i skręciła w kierunku jaskini. Pitt liczył dziesięć turkusowych mrówek, zbliżających się po lodzie. Kiedy podeszli bliżej, dało się rozpoznać prowadzącego - był nim kapitan Gillespie. Rozpoznał też niską figurkę na końcu - Evie Tan.

Pół godziny później Gillespie stał uśmiechnięty obok Pitta.

- Miły dzień na przechadzkę po parku.

- Witam w antarktycznym muzeum marynistycznych antyków. - Pitt prowadził kapitana do jaskini i wskazał mu wystającą drewnianą rufę. - Wchodź ostrożnie po schodach. Ira z takim talentem wykuł je w lodzie.

Pitt oprowadził po statku Gillespiego i Evie, która wypstrykała dziesięć rolek filmu, rejestrując każdy centymetr kwadratowy wnętrza oraz wypełniające je ciała. W tym czasie Cox i Northrop razem z przybyłymi na pomoc ludźmi przetransportowali sanie do „Polar Stormu”.

Pitt z rozbawieniem patrzył, jak Evie rozpina grubą, długą kurtkę, wyciąga zza spodni sweter i przyczepia rolki z filmem do bielizny. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

- Dla ochrony przed zimnem.

Jake Bushey, pierwszy oficer „Polar Stormu”, wezwał Gillespiego przez krótkofalówkę. Kapitan przez chwilę słuchał, po czym wsunął radio do kieszeni. Pitt poznał po jego minie, że nie był w dobrym nastroju.

- Musimy wracać na statek - oznajmił.

- Zbliża się kolejna burza? - spytała Evie. Krótco pokręcił głową.

- U-Boot - odparł ponuro. - Wynurzył się niecałą milę od „Polar Stormu”.

Zbliżywszy się do statku, wyraźnie zobaczyli za nim odcinający się od białego lodu czarny, przypominający wieloryba kontur kadłuba okrętu podwodnego. Po kilkuset metrach dało się rozróżnić stojące na kiosku postaci i kolejne, które zbierały się wokół działa. U-Boot stał najwyżej pięćset metrów od „Polar Stormu”.

Gillespie wezwał pierwszego oficera.

- Bushey!

- Jestem, sir.

- Zamknąć grodzie wodoszczelne i kazać wszystkim założyć kamizelki ratunkowe!

- Tak jest, sir. Włączam zamykanie grodzi.

- Ten okręt duch jest jak zaraza... - mruknął pod nosem Gillespie. Jego niefort jest zaraźliwy.

- Dziękujemy za drobne przychyłności losu - powiedział Pitt. - Na szczęście z powodu lodu nie może wystrzelić torpedy.

- Tak, ale ma działa.

Dźwięk alarmu, informującego ludzi na pokładzie o zamykaniu grodzi pomknął przez lodowate powietrze i doleciał do Pitta, Gillespiego i Evie, podążających do „Polar Stormu”. Z łatwością szli głębokimi koleinami śniegu. Kilku marynarzy stało w śniegu przy trapie i pospieszało ich gestami.

Kapitan znów włączył radio.

- Bushey, czy U-Boot próbował nawiązać kontakt?

- Nie, sir. Spróbować się z nimi porozumieć? Gillespie przez chwilę zastanowił się.

- Nie, jeszcze nie, ale obserwujcie go uważnie.

- Czy wcześniej kontaktowałeś się z tym okrętem? - spytał Pitt.

- Próbowałem dwa razy, ale obie próby o identyfikację pozostały bez odpowiedzi.

Gillespie nie spuszczał z oczu U-Boota.

- Co powiedział admirał, kiedy go zawiadomiłeś?

- Tylko tyle, że zajmie się sprawą.

- Zawsze dotrzymuje obietnicy. - Pitt zamyślił się. - Powiedz Jake'owi, żeby ostrzegł komandora U-Boota, że wasz statek zostawił koło nich pod lodem urządzenia z ładunkiem wybuchowym do badań sejsmicznych.

- Co przez to osiągniemy?

- Musimy zyskać na czasie. Bez względu na to, co Sandecker organizuje, potrzebuje czasu.

- Prawdopodobnie podsłuchują naszą komunikację radiową.

- Mam taką nadzieję.

Mieli jeszcze pięćset metrów do statku. Gillespie wcisnął przycisk krótkofalówki.

- Bushey, posłuchaj mnie uważnie... - W nadziei, że są podsłuchiwni, przekazał pierwszemu oficerowi, co ma powiedzieć.

Bushey nie zamierzał dyskutować z rozkazem przełożonego. Nie zdradził się najmniejszym wahaniem.

- Rozumiem, kapitanie. Skontaktuję się natychmiast z okrętem podwodnym i ostrzeżę jego komandora.

- Masz dobrego człowieka - z uznaniem powiedział Pitt.

- Jest najlepszy - przyznał Gillespie.

- Zaczekamy dziesięć minut, po czym wymyślimy kolejną bajeczkę. Miejmy nadzieję, że komandor okrętu jest łatwowierny.

- Szybciej - ponaglił Gillespie.

Pitt odwrócił się do Evie Tan, która ciężko oddychała.

- Może da mi pani ponieść przynajmniej swój aparat? Energicznie pokręciła głową.

- Każdy fotograf sam nosi swój sprzęt. Nic mi nie będzie. Niech pan nie zwalnia. Dogonię was przy statku.

- Nie lubię być niegrzeczny - wtrącił Gillespie - ale muszę jak najszybciej znaleźć się na mostku.

- Pędź - odrzekł Pitt. - Zobaczymy się na pokładzie.

Kapitan ruszył biegiem. Pitt już przy jaskini namawiał Evie, by wzięła jego narty, ale zdecydowanie odmówiła. Teraz pozwoliła przypiąć sobie wiązania. Podał jej kijki.

- Niech pani jedzie do statku, chcę się bliżej przyjrzeć temu U-Bootowi. Po wysłaniu Evie w drogę Pitt odszedł w bok, aż znalazł się mniej więcej pięćdziesiąt metrów od rufy „Polar Stormu”. Ruszył w stronę okrętu podwodnego. Wyraźnie widział siedzących przy dziale pokładowym marynarzy i oficerów, wychylających się przez osłonę wjazdu kiosku. Nie byli ubrani w standardowe mundury załóg hitlerowskich U-Bootów, lecz w jednoczęściowe, czarne, dopasowane kombinezony zimowe.

Pitt stanął tak, by załoga łatwo mogła go dostrzec. Wcisnął klawisz krótkofalówki.

- Mówię do komandora U-2015. Nazywam się Dirk Pitt. Może mnie pan zobaczyć niedaleko rufy „Polar Stormu”. - Zaczekał, by usłyszeli jego słowa. - Doskonale wiem, kim jesteście. Zrozumiał mnie pan?

Radio zaskrzeczało i doleciał z niego przyjazny głos.

- Jestem, panie Pitt. Tu kapitan U-2015. W czym mogę pomóc?

- Ja przedstawiłem się panu, kapitanie, lecz jak się pan nazywa?

- Nie musi pan wiedzieć.

- Oczywiście. Wszystko się układa. Pan, podobnie zresztą jak reszta kolesi z Nowego Przeznaczenia... czy raczej powinienem powiedzieć: Czwartego Imperium - macie obsesję na punkcie tajności. Proszę się jednak nie martwić. Nikomu nie powiem o waszej obrzydliwej bandzie zabójców - pod warunkiem że zabierzecie tę przestarzałą stertę złomu rodem z kraju waszych marzeń i popłyniecie swoją drogą.

Był to strzał w ciemno, próba oparta na domyśle, ale długa cisza, która po tym zapadła, oznaczała, że uderzył w odpowiednią strunę. Minęła pełna minuta, zanim z głośnika radia znów dobiegł głos dowódcy U-Boota.

- A więc pan jest tym wszechobecnym Dirkiem Pittem.

- Zgadza się - odparł Pitt zadowolony, że trafił we właściwy ton. - Nie wiedziałem, że moja sława rozchodzi się tak prędko.

- Widzę, że nie marnował pan czasu.

- Byłbym tu szybciej, ale musiałem się pozbyć kilku ciał pańskich kumpli.

- Sprawdza pan moją cierpliwość, panie Pitt?

Rozmowa robiła się idiotyczna, ale Pittowi zależało głównie na zyskaniu czasu.

- Nie, chciałbym jedynie, by wytłumaczył pan swoje dziwne zachowanie. Zamiast atakować bezbronny statek badawczy, powinien pan torpedować na północnym Atlantyku zwykłe statki handlowe.

- Zawiesiliśmy wrogię działania w kwietniu czterdziestego piątego roku.

Pittowi nie podobał się widok zamontowanego na przedniej części kiosku wycelowanego w niego karabinu maszynowego. Zdawał sobie sprawę z tego, że czas się kończy, a U-Boot zamierza zniszczyć „Polar Storm” wraz z załogą.

- A kiedy nastąpi Czwarta Rzesza?

- Nie widzę powodu, by kontynuować tę konwersację, panie Pitt - głos był obojętny jak u spikera podającego pogodę w Cheyenne w stanie Wyoming. - Do widzenia.

Pitt doskonale wiedział, co teraz nastąpi. Skoczył za lodowy wzniesienie w tym samym momencie, w którym zaczął strzelać karabin maszynowy na kiosku. Pociski przecięły powietrze i uderzały o lód z dziwnym sykiem. Pitt leżał w małym zagłębieniu za górką, nie mogąc się poruszyć. Po raz pierwszy żałował, że ma na sobie turkusowy strój Agencji. Kolor tak wyraźnie odróżniał się od bieli, że czynił z niego idealny cel.

Widział nadbudówki „Polar Stormu”. Były tak blisko, a równocześnie tak daleko... Wyślizgnął się z kombinezonu i został tylko w swetrze i wełnianych spodniach. Buty były zbyt wielkie, więc zdjął je również, pozostając jedynie w ocieplanych skarpetach. Grad pocisków ustał, strzelec prawdopodobnie zastanawiał się, czy trafił przeciwnika.

Pitt natarł sobie głowę śniegiem, żeby jakoś zamaskować ciemne włosy. Wyjrzał zza pagórka. Strzelec karabinu maszynowego opierał się o broń, ale dowódca U-Boota patrzył w stronę Pitta przez lornetkę. Po jakimś czasie odwrócił się i wskazał na „Polar Storm”. Strzelec obrócił karabin.

Pitt wziął głęboki wdech i ruszył. Pędził przez lód, klucząc niemal tak samo szybko jak w czasach, kiedy był rozgrywającym w drużynie Akademii Sił Powietrznych. Z tą tylko różnicą, że teraz drogi nie będzie mu przecierał Al Giordino. Lód ciął skarpety i ranił stopy, ale Pitt starał się nie myśleć o bólu.

Przebiegł trzydzieści metrów, zanim załoga U-Boota zorientowała się i znów zaczęła strzelać. Pociski leciały jednak za wysoko i lądowały za nim. Zanim skorygowano ustawienie karabinu, było za późno. Schował się za ster „Polar Stormu” kilka sekund przed tym, gdy pociski jak wściekłe osy załomotały o stal, wrywając płatki farby.

Bezpieczny, zwolnił i zaczął odzyskiwać oddech. W tym czasie Gillespie zdążył zarządzić skręt o sto osiemdziesiąt stopni i wydać komendę: cała naprzód. Trap został już wciągnięty i rzucono mu sznurową drabinkę. Pitt pobiegł wzdłuż przyspieszającego statku, złapał szczebel drabinki i podciągnął się wystarczająco wysoko, by znaleźć się nad kawałami odrzuconego przez dziób lodu.

Kiedy dotarł do relingu, Cox wyciągnął go i postawił na pokładzie.

- Witam w domu - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Dzięki, Ira... - wydyszał Pitt.

- Kapitan prosi pana na mostek.

Pitt kiwnął głową i podreptał do prowadzącej na mostek zejściówki.

- Panie Pitt...

- Tak?

Cox wskazał ruchem głowy krwawe placki, jakie zostawiły na pokładzie stopy Pitta.

- Powinien pan poprosić naszego lekarza, żeby obejrzał pańskie nogi.

- Oczywiście, umówię się z nim w wolnej chwili.

Gillespie stał na mostku i obserwował U-Boota, tkwiącego bez ruchu tam, gdzie się wynurzył. Odwrócił się, kiedy Pitt wdrapywał się na górę.

- Miałeś paskudne spotkanie.
- Musiałem powiedzieć coś nie tak.
- Tak, słyszałem.
- Dowódca skontaktował się z tobą? Gillespie pokręcił głową.
- Ani słowa.
- Masz połączenie ze światem zewnętrznym?
- Nie. Jak podejrzewaliśmy, zablokowali komunikację satelitarną. Pitt patrzył uważnie na U-Boota.

- Ciekawe, na co czeka.

- Na jego miejscu zaczekałbym, aż „Polar Storm” zawróci i ruszy na pełne morze. Wtedy będzie nas miał na celowniku. Prosty strzał w środek kadłuba.

- To rzeczywiście już niedługo...

W tym momencie z lufy działa U-Boota wyleciał dym, do ich uszu dobiegł odgłos wystrzału. Tuż za szeroką rufą lodołamacza eksplodował lód.

- Blisko - powiedział stojący przed główną konsolą sterowniczą Bushey.

Evie obserwowała wszystko w drzwiach mostka, nic nie rozumiejąc. - Dlaczego do nas strzelają?

- Na dół! - wrzasnął na nią Gillespie. - Wszyscy zbędni członkowie załogi, naukowcy i pasażerowie mają iść na dół, na lewą stronę kadłuba! Evie buntowniczo zrobiła najpierw kilka zdjęć okrętowi podwodnemu, dopiero potem zeszła w bezpieczniejsze miejsce. Usłyszeli kolejny wybuch, tym razem brzmiał inaczej. Pocisk trafił w lądowisko helikopterów na rufie i zamienił je w masę poskręcane, dymiącego metalu. Wkrótce lodowate powietrze przeciął kolejny pocisk i z ogłuszającym hukiem uderzył w komin, rozrywając go na pół, jakby był zwykłą aluminiową puszką. „Polar Storm” zadrżał, zawahał się, po czym zebrał się w sobie i ruszył dalej przez lód.

- Nabieramy dystansu! - zawołał Cox.

- Jeszcze sporo musimy przepłynąć, zanim znajdziemy się w bezpiecznej odległości - odpowiedział Pitt. - Nawet wtedy będą mogli się zanurzyć i ścigać nas pod lodem.

Znów usłyszeli karabin. Pociski wydrążyły na rufie perforowaną ścieżkę, zadzwięczały o nadbudówkę, dotarły do okna mostka, rozbijając je na milion kawałeczków. Dostały się na mostek, wbijając się we wszystko, co wystawało wyżej niż metr nad podłogę. Pitt, Gillespie i Cox instynktownie padli na podłogę, ale Bushey się spóźnił. Jedna kula przeszła mu bark, druga otarła się o szczękę.

Działo U-Boota ponownie kaszlnęło. Pocisk padł tuż za mostkiem, trafiając w mesę, prosto w grodz. Przez „Polar Storm” przeszedł potężny wstrząs. Wszyscy obecni na mostku poupadali jak szmaciane lalki. Gillespie i Cox polecili na stół z mapami, Bushey - już leżący na podłodze - znalazł się pod poszarpanymi resztkami konsoli. Pitt zatrzymał się w drzwiach na skrzydło mostka.

Wstał, nie licząc nawet siniaków i ran. Jego nozdrza wypełniał gryzący dym. W uszach dzwoniło mu tak, że z zewnątrz nie docierały do niego żadne dźwięki. Zataczając się, podszedł do Gillespiego i ukląkł obok. Kapitan, uderzając klatką piersiową o kant stołu, złamał sobie trzy, może cztery zębra. Z uszu ciekła mu krew, skapywała także spod jednej nogawki. Oczy miał otwarte, ale szkliste.

- Mój statek - jęknął cicho. - Te dranie niszczą mój statek...

- Nie ruszaj się - rozkazał Pitt. - Możesz mieć obrażenia wewnętrzne.

- Co się dzieje na górze? - z głośnika, który jeszcze jakimś cudem funkcjonował, rozległ się głos pierwszego mechanika. Był ledwie słyszalny w ryku z maszynowni.

Pitt złapał słuchawkę telefonu.

- Atakuje nas okręt podwodny. Proszę największą moc, jaką uda się panu wydusić z silników.

Musimy mu uciec, zanim rozwali nas na kawałki.

- Mamy tu zniszczenia i rannych.

- Będzie znacznie gorzej, jeśli nie będzie pan trzymał całej naprzód!

- Jake... - jęknął Gillespie. - Gdzie jest Jake?

Pierwszy oficer leżał nieprzytomny. Krwawił. Nad nim pochylał się oszołomiony Cox.

- Nic z tego - odpowiedział Pitt. - Kto jest następny rangą?

- Drugim oficerem był Joe Bascom, ale w Montevideo wrócił do Stanów, ponieważ jego żona miała rodzić. Daj mi Coxa.

Pitt kiwnął na potężnego trzeciego oficera.

- Ira, kapitan chce z tobą rozmawiać.

- Zakończyliśmy nawrót? - spytał Gillespie. Cox skinął głową.

- Tak jest, sir. Wychodzimy z lodu kursem zero-pięć-zero.

Pitt gapił się na okręt podwodny jak zahipnotyzowany i czekał, aż następny pocisk trafi w pokład. Nie trwało to długo. W następnej chwili zobaczył anioła śmierci. Pocisk przeleciał przez łódź ratunkową na prawej burcie - sporą jednostkę, na której mogło zmieścić się sześćdziesiąt osób. Statek zadrżał w konwulsjach i przechylił się na lewą burtę. Pocisk wybuchł przy grodzi, odrywając pokład szalupowy od kambuza. Chmura dymu mieszała się z kawałkami poszarpanego relingu i wyciągarki szalupy. Po chwili płonęła prawa część pokładu szalupowego, jęzory ognia wystrzeliwały przez poszarpane dziury w pokładzie i grodzi.

Nim ktokolwiek na mostku zdążył się otrząsnąć, z lufy działa kolejny pocisk pognął w kierunku poobijanego lodołamacza niczym rozzłoszczona furia. Wzniecił serię wybuchów, które niemal oderwały rufę. Łańcuchy kotwiczne wyleciały w powietrze, jakby były papierowymi serpentynami. „Polar Storm” płynął jednak dalej.

Szybko zwiększał dystans do okrętu podwodnego. Nieskuteczny karabin maszynowy zamilkł. Odległość rosła jednak zbyt powoli. Załoga U-Booty zrozumiała, że lodołamacz może im uciec i podwoiła wysiłki strzeleckie. Wystrzeliwali pociski co piętnaście sekund - na szczęście nie wszystkie trafiały. Szybsze tempo osłabiło celność. Jeden z pocisków przeleciał tak wysoko, że odciał radar i maszt radiowy „Polar Stormu”.

Gillespie nie zdążył nawet pomyśleć o poddaniu statku, żeby uratować ludzi. Pitt nie miał jednak wątpliwości - Czwarte Imperium nie zamierzało nikomu pozwolić uciec. Wszyscy powinni zginąć, a ich ciała miały spocząć we wraku na dnie lodowatego, obojętnego oceanu.

„Polar Storm” zbliżał się do granicy lodu, którego warstwa była coraz cieńsza. Ranny statek pędził przed siebie, gniojąc krę. Silniki dygotały, a śruby pracowicie miały wodę. Pitt zastanawiał się, czy nie zaatakować U-Booty, taranując go, ale byli za daleko. Wystawiliby się na strzał jak kaczką. Poza tym zanim dopłynęliby do przeciwnika, ten spokojnie zdążyłby się zanurzyć.

Szalupa ratunkowa na prawej burcie była kompletną ruiną. Jej fragmenty zwisały smętnie z resztek wyciągarki. Z poszarpanych dziur po pociskach wydobywał się dym, jednak póki działała maszynownia, „Polar Storm” mógł płynąć. Mostek był pełen bezkształtnych kawałków urządzeń i porozbijanego szkła. Gdzieniedzie pojawiły się jaskrawe plamy krwi.

- Jeszcze pięćset metrów i powinniśmy wyjść z zasięgu strzału! - krzyknął Pitt.

- Trzymać kurs - rozkazał Gillespie. Z wyraźnym cierpieniem usiadł i oparł się o stół z mapami.

- Sterowanie elektroniczne jest zniszczone - powiedział Cox. - Ster zablokowany i nie możemy nim poruszyć. Obawiam się, że zataczamy koło z powrotem na ten cholerny okręt.

- Ofiary? - spytał Gillespie.

- O ile się orientuję, naukowcom i większości załogi nic się nie stało - odparł Pitt. - Część statku, gdzie schowali się przed walką, pozostała nietknięta.

- Ładna mi walka - wymamrotał przez zakrwawione usta Cox. - Nawet nie możemy rzucać śnieżkami.

Niebo ponownie się rozstało. W kadłub uderzył pocisk przeciwpancerny. Przeleciał przez maszynownię, poszarpał kable elektryczne i przewody paliwowe, po czym, nie wybuchając, wyleciał przez drugą burtę. Nikt z maszynowni nie został ranny, ale pocisk zrobił swoje: wielkie diesle zwolniły bieg i stopniowo milkły.

- Mamy poprzecinane przewody paliwowe! - doleciał głos pierwszego mechanika.

- Możecie to naprawić? - spytał Cox z rozpaczą.

- Tak.

- Ile wam to zajmie?

- Dwie, może trzy godziny.

Cox popatrzył na Pitta, który odwrócił się i wbił wzrok w U-Boot.

- No to kopnęliśmy w kalendarz - powiedział.

- Na to wygląda - ponuro odparł Pitt. - Mogą stać i walić w nas, aż nie zostanie nic poza dziurą w lodzie. Dan, każ opuszczać statek. Może chociaż części uda się dotrzeć do stałego lądu i wytrzymać w jaskini do przybycia pomocy.

Gillespie starł sobie krew z policzka i przytaknął.

- Ira, proszę mi podać telefon.

Pitt wyszedł na skrzydło mostka. Klęska rozwścieczyła go. Wszystko wokół wyglądało, jakby zostało przepuszczone przez zgniatarkę starych karoserii. Zapatrzył się na powiewającą buntowniczo amerykańską banderę. Potem przeniósł wzrok na łopoczącą na wietrze, poszarpaną turkusową flagę Agencji. Wreszcie znów spojrzął na U-Boot. Lufa ponownie zaśniła płomieniem i kolejny pocisk przeleciał między masztem radarowym a szczątkami komina, wybuchając sto metrów za statkiem. Niewielka pociecha.

Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Popatrzył za U-Boot i z ulgą wypuścił powietrze. Na tle błękitnego nieba dostrzegł cieniutką kreskę dymu.

Mniej więcej piętnaście kilometrów od nich spod lodu wystrzelił pocisk raketowy typu woda - woda. Wzniósł się wysoko nad horyzont i zaczął nieubłagalnie spadać na U-Boot. W następnej chwili U-2015 otoczyła niesamowita kula pomarańczowych, czerwonych i żółtych płomieni, która zmieniła się w grzyb jak po wybuchu bomby atomowej i wzniosła w szare niebo. Kadłub okrętu podwodnego pękł na pół. Końcówki dwóch niezależnych teraz części uniosły się wysoko nad wodę. Śródkręcie zmieniło się w kipiela ognia i dymu. Z U-Booty wydobył się kłęb pary i połówki wraka poszły na dno.

Odbyło się to tak szybko, że Pitt nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Zniknął... - mruknął z zachwytem. Pełną zaskoczenia ciszę przerwał głos.

- „Polar Storm”, słyszysz mnie? Pitt złapał radio.

- Czysto i wyraźnie, miłosierny samarytaninie.

- Mówi kapitan Evan Cunningham, dowódca amerykańskiego okrętu podwodnego „Tucson”.

Przepraszam, że nie mogliśmy się zjawić wcześniej.

- Lepiej późno niż wcale - odparł Pitt. - Może nam pan przysłać swoją ekipę naprawczą? Jesteśmy nieco poobijani.

- Nabieracie wody?

- Nie, ale zniszczyli nam trochę rzeczy na pokładzie i trafili maszynownię.

- Proszę czekać. Będziemy u was za dwadzieścia minut.

- Przygotujemy szampana i kawior.

- Skąd oni się wzięli? - spytał zdziwiony Cox.

- Admirał Sandecker musiał nacisnąć na szefa sztabu Marynarki Wojennej - odparł Pitt.

- Teraz, kiedy U-Boot już nie blokuje przekazu satelitarnego - powiedział z trudem Gillespie - proponuję, żebyś skontaktował się z admirałem. Na pewno będzie chciał dostać raport o zniszczeniach i ofiarach.

Cox doglądał Busheya, który zdawał się odzyskiwać przytomność.

- Zajmę się wszystkim - powiedział Pitt do kapitana. - Ty czekaj spokojnie, aż zaopiekuje się tobą sanitariusz i będzie mógł cię wziąć w obroty jakiś lekarz.

- Jak Bushey?

- Żyje. Ma paskudną ranę, ale za parę tygodni powinien być na nogach. Ty ucierpiełeś najbardziej.

- Dzięki Bogu - odważnie jęknął Gillespie.

Kiedy Pitt dzwonił do centrali Agencji w Waszyngtonie, myślał o Giordynie, który znajdował się na wyspie Saint Paul, niecałe dwa i pół tysiąca kilometrów od nich. Szczęściarz, pomyślał. Wyobraził sobie, jak jego kumpel siedzi w eleganckiej restauracji w Kapsztadzie z olśniewającą dziewczyną w uwodzicielskiej sukni i zamawia butelkę dobrego, południowoafrykańskiego wina.

- Niektórzy to mają szczęście - mruknął pod nosem, rozglądając się po pomieszczeniu, które kiedyś było mostkiem. - On się wygrzewa, ja marznę na śmierć.

19

- Jak to się dzieje, że Dirk dostaje najlepsze zadania? - gderał Giordino. - Założę się, że właśnie śpi w ciepłej, wygodnej kabine „Polar Stormu”, trzymając w ramionach wspaniałą oceanografkę.

Był przemoczony, dygotał od porywistego wiatru i deszczu. Z trudem szedł skalistym zboczem w kierunku jaskini. W ręku trzymał wiązkę gałązek, które poodcinali z Gunnem od karłowatych krzewów, rozrzuconych w sporych odstępach wokół góry.

- Nam też zaraz będzie ciepło. Jak tylko drewno wyschnie na tyle, żeby dało się zapalić - odparł Gunn. Szedł przed Giordinem i miał szczęście jako pierwszy wejść do tunelu z kupką pokrzywionych, niemal całkowicie pozbawionych liści gałązek. Rzucił zdobycz na skalną podłogę i usiadł pod ścianą.

- Obawiam się, że narobimy tym strasznie dużo dymu - wymamrotał Giordino, zdjął mokre ubranie przeciwdeszczowe i wytarł kark małym ręcznikiem.

Gunn podał mu filiżankę zimnej kawy i reszkę batonu.

- Ostatnia wieczerza - stwierdził ponuro.
- Czy Sandecker powiedział, kiedy ściągnie nas z tej sterty kamieni?
- Tylko tyle, że transport jest w drodze. Giordino spojrział na zegarek.
- Minęły cztery godziny. Chętnie dotarłbym do Kapsztadu przed zamknięciem barów.
- Najwidoczniej nie udało mu się wyczarterować drugiej takiej samej maszyny jak ta, którą przylecieliśmy. Inaczej już by tu byli.

Giordino przechylił głowę i zaczął nasłuchiwać. Poszedł w kierunku wyjścia i stanął pod łukiem. Ulewa przeszła w mżawkę. Chmury przerzedzały się i między nimi błyskał gdzieś błękit. Po raz pierwszy od wielu godzin morze widoczne było na kilka kilometrów w dal.

Na początku wyglądało to jak kropka na zamrożonej szybie, ale po chwili zmieniło się w czarny helikopter. Jeszcze półtora kilometra i Giordino rozpoznał model: McDonnell Douglas Explorer z podwójnym ogonem, bez tylnego wirnika.

- Mamy towarzystwo - oznajmił. - Z północnego zachodu nadlatuje helikopter. Idzie szybko i nisko nad wodą. Wygląda na uzbrojony w rakiety powietrze - ziemia.

Gunn stanął obok.

- Helikopter ma za mały zasięg, żeby przylecieć tu z Kapsztadu. Musiał wystartować ze statku.
- Żadnych oznakowań. Dziwne.
- To na pewno nie jest maszyna wojskowa RPA - uznał Gunn.
- Nie sądzę, żeby lecieli z prezentami - dodał sarkastycznie Giordino. - Inaczej by się zapowiedzieli.

Jeszcze chwila i w zimnym powietrzu dał się słyszeć terkot łopat wirnika. Pilot nie ryzykował. Przez przynajmniej trzy minuty leciał na bezpiecznej wysokości nad klifami, by w końcu zawisnąć nad półką, gdzie kilka godzin temu stała maszyna Gunna i Giordina. Potem zaczął się powoli opuszczać, wyczuwając zmiany kierunku wiatru. Wreszcie płozy dotknęły skały i łopaty wirnika zwolniły.

Zapadła cisza. Bez wiatru było tu naprawdę spokojnie. Po kolejnej minucie odsunęły się szerokie, przynajmniej metrowe drzwi i na skały wyskoczyło sześciu ludzi w czarnych kombinezonach. Wyglądało na to, że mieli dość broni na dokonanie inwazji niewielkiego kraju.

- Dziwna ekipa ratunkowa - powiedział Giordino.

Gunn właśnie połączył się przez telefon satelitarny z admirałem Sandeckerem w Waszyngtonie. Kiedy admirał odebrał, powiedział mu wprost:

- Mamy uzbrojonych gości w nie oznakowanym czarnym helikopterze.
- Wygląda, że mam dziś szczęście do gaszenia pożarów - uszczypliwie odparł Sandecker. - Najpierw Pitt, teraz wy. - Jego głos wyrażał jednak poważną troskę. - Jak długo możecie się ukrywać?
- Dwadzieścia minut, może pół godziny.
- W kierunku wyspy płynie z pełną prędkością amerykańska fregata rakietowa. Poproszę kapitana, żeby wysłał helikopter, jak tylko znajdziecie się w ich zasięgu.
- Można jakoś oszacować, ile to potrwa? Zapadła chwila ciężkiej ciszy.
- Dwie godziny, miejmy nadzieję, że krócej.
- Wiem, że zrobił pan wszystko, co możliwe - spokojnie powiedział Gunn, starając się wyrazić tonem pełne cierpliwości zrozumienie. - Dziękujemy. - Czuł, że twarda skorupa admirała pęka. - Proszę się nie martwić, w poniedziałek zgłosimy się z Alem do biura.

- Postarajcie się.
- Do widzenia, sir.
- Do widzenia, Rudi. Bóg z wami. I powiedz Alowi, że jestem mu winien cygaro.
- Przekażę.
- Jak długo? - Giordino, widząc zaniepokojoną twarz Gunna, spodziewał się najgorszego.
- Dwie godziny.
- Bosko... - jęknął Giordino. - Chciałbym, aby ktoś mi wytłumaczył, skąd te śmierdzące dranie wiedziały, że tu jesteśmy.

- Dobrze pytanie. Należymy do dość elitarniej grupy. Nie więcej niż pięć osób znało współrzędne miejsca, w którym pasażerowie „Madrasa” znaleźli czarną czaszkę.

- Zaczynam wierzyć, że naprawdę mają międzynarodową armię informatorów.

Grupa poszukiwawcza rozdzieliła się. Trzech uzbrojonych ludzi odeszło pięćdziesiąt metrów na bok i zaczęło okrążyć górę. Pozostała trójka ruszyła w przeciwnym kierunku. Było oczywiste, że zamierzają wchodzić spiralą, aż znajdą wejście do tunelu.

- Godzina - mruknął Gunn. - Mniej więcej godzinę zajmie im znalezienie drogi.

- Raczej pięć minut - odparował Giordino i wskazał na startujący helikopter. - Pilot poprowadzi swych koleżków prosto w nasze skromne podwoje.

- Sądysz, że jest sens pertraktować? Giordino pokręcił głową.

- Jeśli należą do tej samej bandy, której członków spotkaliśmy z Dirkiem w Telluride, to nie podają ręk, nikogo nie obejmują i nie wiedzą, co to zmiłuj się.

- Dwóch nie uzbrojonych ludzi na sześciu przygotowanych do strzelania w niedźwiedzie...
Musimy wyrównać szansę.

- Masz plan? - spytał Giordino.

- Jasne, że mam.

Giordino obdarzył niewysokiego intelektualistę zdziwionym spojrzeniem.

- Jest wredny, złośliwy i podstępny?

Gunn kiwnął głową z tajemniczym uśmiechem.

- Nie tylko.

Helikopter okrążył górę niemal cztery razy, zanim pilot dostrzegł prowadzącą do jaskini starożytną drogę. Poinformował o tym obie grupki - jedna znajdowała się właśnie po przeciwległej stronie góry - i zaczął unosić się nad ścieżką niczym boja kierunkowa. Pierwsza trójka szybko weszła na drogę i zaczęła nią iść, zachowując co najmniej dwudziestometrowe odstępy. To był klasyczny szyk - prowadzący obserwował teren z przodu, drugi człowiek sprawdzał zbocze w górze, a trzeci - w dole. Helikopter poleciał do drugiej ekipy, żeby wskazać im najłatwiejszą drogę.

Pierwsza trójka pokonała miejsce, gdzie osunęła się ziemia, i szybko zbliżała się do wielkiego głazu, który Giordino i Gunn minęli tuż przed znalezieniem wejścia do tunelu. Prowadzący obszedł skałę i spostrzegł, że stoi naprzeciwko wykutej dziury. Odwrócił się i po angielsku krzyknął do dwójki za sobą.

- Doszedłem do tunelu! Wchodzę!

- Uważaj na zasadzkę, Pierwszy! - odkrzyknął człowiek za nim.

- Gdyby mieli broń, już by jej użyli. Prowadzący zniknął za skałą.

Dwie minuty później w jego ślady poszedł drugi napastnik. Na końcu, niewidziany przez swych towarzyszy, poszedł trzeci. Spomiędzy skał za jego plecami cicho uniosła się postać. Trzeci

koncentrował uwagę na dojściu do tunelu, więc nie usłyszał ani cichego stuknięcia kamienia o kamień, ani odgłosów kroków za plecami. Nie uświadomił sobie nawet, że umiera. Gunn z takim impetem walnął go kamieniem w głowę, że czaszka natychmiast pękła, a komandos padł bezwładnie na ziemię.

Po niecałej minucie jego ciało było całkowicie przykryte kamieniami. Gunn szybko rzucił okiem, czy helikopter ciągle jest po drugiej stronie góry, i z trudem obszedł głaz. Teraz był już uzbrojony w karabinek szturmowy, pistolet samopowtarzalny kaliber dziewięć milimetrów i nóż komandoski, a tułów chroniła mu kuloodporna kamizelka. Zabrał napastnikowi także radio. Jego chytry plan przeżycia zaczął się pomyślnie.

Pierwszy ostrożnie wchodził do tunelu. Drogę oświetlał wetkniętą pod pachę długą latarką. Powoli wszedł do pierwszej komory. Był pochylony i przygotowany do strzału. Za każdym krokiem obracał się na boki, świecąc w lewo i prawo. Zobaczył tylko szkielet starego marynarza, gnijące meble i wiszące na ścianie focze skóry.

- Tu Pierwszy. W tunelu nie ma niczego poza kośćmi starego marynarza, którego musiało tu wyrzucić na brzeg. Słyszysz mnie?

- Słyszę wyraźnie, Pierwszy - odpowiedział pilot, zagłuszany warkotem silnika. - Jesteś pewien, że nie ma agentów Agencji?

- Uwierz mi. Nie ma ich tutaj.

- Kiedy Czwarty, Piąty i Szósty dotrą do ciebie, poprowadzę poszukiwania na skałach.

Pierwszy wyłączył radio. To była ostatnia czynność w jego życiu. Zza skór wyskoczył Giordino i wbił komandosowi w gardło obsydianowy szpic starożytnego oszczepu. Rozległ się paskudny gardłowy charkot, po czym zapadła cisza. Komandos znieruchomiał skulony na podłodze. Był martwy.

Giordino trzymał w ręku jego karabinek bojowy, praktycznie jeszcze zanim przeciwnik padł na podłogę. Błyskawicznym ruchem odsunął ciało na bok. Z głowy zabitego ściągnął słuchawki z mikrofonem i sam je założył.

Potem cicho podszedł do swego kombinezonu przeciwdeszczowego, zwinął go w kulę i wbił w nią wylot lufy.

- Pierwszy! - dobiegł krzyk od wejścia. - Co znalazłeś?!

Giordino przysłonił dłonią usta, odwrócił się w głąb komory i odpowiedział.

- Tylko stary szkielet.

- Nic więcej? - Drugi członek ekipy poszukiwawczej najwyraźniej nie miał ochoty wchodzić do środka.

- Nic. - Giordino postanowił zaryzykować. - Wejdz sam i się przekonaj, Drugi.

Drugi wchodził ostrożnie jak wężący królik. Giordino zapalił skierowaną w jego twarz latarkę i strzelił prosto między oczy. Ubranie zadziało jak tłumik. Po chwili do komory wpadł Gunn z gotowym do strzału karabinkiem.

- Teraz jest dwóch na trzech - triumfująco oznajmił Giordino.

- Nie podniecaj się. Kiedy helikopter wróci, będziemy siedzieć tu jak w pułapce.

- Jeśli Drugiego nabraliśmy tak łatwo jak Pierwszego, może zwabię ich do środka.

Następna grupa nie była tak naiwna jak pierwsza. Komandosi zbliżali się do jaskini z ostrożnością kontrolera pocztowego, badającego, czy w przesyłce nie ma bomby. Helikopter unosił się nad ich głowami, oni zaś podchodzili pojedynczo. Jeden szedł, pozostali go osłaniali. Potem

pierwszy padał, żeby ci z tyłu mogli do niego dojść. W ten sposób szybko osiągnęli wejście do jaskini.

Byli ostrożni, ponieważ Giordino przestawił radio jedynie na odbiór i nie odpowiadał na wezwania. Obawiał się, że rozpoznają obcy głos. Rozebrali jednego z zabitych komandosów wielkością najbardziej przypominającego Giordina i ubrali Ala w czarny kombinezon. Rękawy były za długie o pięć, a nogawki o dziesięć centymetrów, ale Giordino, nie przejmując się tym, po prostu podwinął. Zrzucił karabinek na ramię i bezczelnie wyszedł na zewnątrz. Mówił do mikrofonu kątem ust, próbując naśladować głos mężczyzny, którego zabił.

- Co jest, Czwarty? - spytał na pewniaka, nie spoglądając w górę na helikopter. - Zachowujecie się jak stare baby. Przecież już mówiłem, że w tunelu i jaskini nie ma nic poza gnijącymi kośćmi marynarza. Musiał tu spędzić trochę czasu jako rozbitek.

- Zmienił ci się głos, Pierwszy.

Giordino wiedział, że teatr się kończy.

- Bo łapie mnie przeziębienie. Nic dziwnego przy tej pogodzie.

- Od tego przeziębienia musiałeś stracić przynajmniej dziesięć centymetrów wzrostu.

- Żartuj sobie, jeśli chcesz. Chowam się przed deszczem. Proponuje żebyście zrobili to samo.

Odwrócił się i wszedł do jaskini. Był pewien, że nie dostanie kuli w plecy, zanim nie będą mieli pewności, że nie strzelają do swojego człowieka.

- Są czujni - powiedział Gunn. - Słyszałem was przez radio.

- Jak wygląda plan B? - spytał lakonicznie Giordino.

- Wchodzimy przez zawał do drugiego tunelu i zaatakujemy ich z zaskoczenia.

- Będziemy mieć szczęście, jeśli załatwimy dwóch albo chociaż jednego.

- I tak da nam to przewagę - odparł niemal radośnie Gunn.

Mieli zaledwie kilka minut, więc zaczęli gorączkowo pracować, żeby ponownie otworzyć przejście do komnaty grobowej. Mimo wilgotnego, zimnego powietrza pocili się obficie, kiedy przeciągali przez otwór dwa trupy i sami przeciskali się przez niego. Na koniec wciągnęli plecaki. Nie mogli lepiej wycyrklować - kiedy zatkali przejście i zaczęli obserwować komorę przez małe otworki, do środka wskoczył Czwarty. Po sekundzie leżał na podłodze. Za nim pojawił się Piąty i obaj płynnymi ruchami latarek oświetlili komorę, wciąż gotowi do strzału.

- Powiedziałem ci - szepnął Gunn Giordinowi do ucha - że zostawią Szóstego na zewnątrz.

- Nikogo tu nie ma - stwierdził Czwarty. - Jaskinia jest pusta.

- To niemożliwe - odpowiedział głos pilota helikoptera. - Wszyscy doszli do tunelu niecałe piętnaście minut temu.

- Ale tak jest - powiedział Piąty. - Pierwszy, Drugi i Trzeci zniknęli. Rozmawiali cicho, ale Gunn słyszał każde słowo. Choć wciąż byli ostrożni i czujni, nieco się odprężyli, kiedy zobaczył, że w jaskini nie ma kryjówek.

- Bierz stojącego - szepnął Gunn. - Mają kamizelki, więc celuj w głowę. Ja biorę tego na ziemi.

Wsunęli lufy w otwory o średnicy nie większej niż cztery centymetry - wystarczające, by dało się obserwować muszkę - wycelowali i strzelili równocześnie. W zamkniętej przestrzeni wystrzał huknął jak grzmot. Mężczyzna na podłodze ledwie się ruszył, stojący wyrzucił w górę ręce, stęknął i ciężko upadł na swego martwego towarzysza.

Giordino wypchnął kamienie na wysokości twarzy, wystawił przez dziurę latarkę i przyjrzał się robocie. Po chwili odwrócił się do swego towarzysza i przeciągnął palcem po gardle. Gunn

doskonale zrozumiał i wyłączył nadawanie radia.

- Musimy tu zostać - szepnął Giordino.

Zanim wyjaśnił dlaczego, z głośnika buchnął zdenerwowany głos.

- Co tam się stało?

Niezainteresowany już używaniem podstępów, Giordino odparł:

- Nic wielkiego. Zastrzeliliśmy parę szczurów.

- Szczurów? Co to za bzdury? - spytał niecierpliwie pilot helikoptera.

- Obawiam się, że nasi towarzysze nie żyją - powiedział Szósty. - Te diabły z Agencji musiały ich zabić.

- O tych właśnie szczurach mówiłem - oświadczył Giordino, dodając.

- Nie wyjdziecie stamtąd żywi - stwierdził pilot.

- Cóż, dawni gangsterzy mówili do gliniarzy: to nas złapcie.

- To nie będzie konieczne - odparł pilot.

- Kryj się! - syknął na Giordina Gunn. - Łapią nas!

Pilot ustawił dziób na wysokości wejścia do jaskini i odpalił jedną rakietę. Rozległ się głośny syk i pocisk wystrzelił z mocowania przy podwoziu. Jednak nie udało mu się przelecieć przez tunel - odbił się od ściany i eksplodował. Wstrząs był tak potężny, że mieli wrażenie, jakby z dziesiątego piętra zrzucono im na głowy fortepian. Powietrze przecięła śmiertelna chmura skalnych odprysków, które poszarpały na kawałeczki to, co miększe od kamienia. Gęsty pył zawirował z furją huraganu, po czym wystrzelił przez tunel na zewnątrz. W komorze wszystko, co było w stanie się zapalić, buchnęło jasnym płomieniem.

Zadziwiająca, ale ani w komorze, ani w tunelu nie zawaliły się sufity. Główny impet wybuchu został wyprowadzony z komory wraz z dymem i pyłem. Giordino i Gunn mieli wrażenie, jakby wielkie pięści wycisnęły z ich płuc powietrze. Na szczęście w porę zasłonili usta kombinezonami i wycofali się w czystsze powietrze wewnętrznej komory.

- Mam nadzieję, że nie poślą następnej rakiety - powiedział Gunn, kaszląc. - To byłby nasz koniec.

Giordino ledwie go słyszał przez dzwoniące w uszach.

- Chyba wydaje im się, że ta jedna wystarczyła - wycharczał między kasznięciami. Kiedy jego zmysły zaczęły wracać do normy, zabrał się do odsuwania kamieni i poszerzania otworu. - Mówię ci... zaczynam już mieć dość tego przepychania kamieni tam i z powrotem...

Weszli do komory, po omacku obszukali ją i zabrali martwym komandosom broń. Wkrótce mieli pięć karabinków szturmowych i tyle samo samopowtarzalnych pistoletów. Próbując wciągać w płuca powietrze, którego nie było, Giordino na ślepo związał trzy karabinki tak, żeby zwracały się lufami w jednym kierunku. Następnie obwiązał spusty i zamocował sznurek wokół ich osłon.

- Ostatnie, czego będą się spodziewać, to atak - stwierdził. - Ty bierz Szóstego, ja zaatakuję helikopter.

Gunn przetarł brudne okulary i przytaknął.

- W takim razie lepiej wyjdę pierwszy - powiedział. - Dopóki Szósty nie zostanie wyeliminowany, nie będziesz miał szansy, żeby zaatakować helikopter.

Giordino nie zamierzał pozwolić niskiemu zastępcy dyrektora Agencji na niemal samobójczą misję. Chciał właśnie zaprotestować, kiedy Gunn uniósł karabinek i zniknął wśród dymu i płomieni.

Po kilku pierwszych krokach potknął się i upadł, zaraz jednak wstał i pobiegł dalej. Był

przekonany, że w tej chwili, kiedy wychynie z tunelu dymu, kule natychmiast zetną go z nóg. Szósty jednak nie był w stanie uwierzyć, że ktokolwiek przeżył atak rakietowy, i rozluźniony zaczął rozmawiać z pilotem helikoptera.

Największym utrudnieniem był całkowity brak widoczności. Gunn nie umiał ocenić, gdzie znajduje się Szósty. Jego okulary szybko pokryły się warstwą sadzy, a oczy zaczęły łzawić. Ledwo dostrzegł niewyraźną czarną sylwetkę dziesięć metrów na prawo od wyjścia z tunelu. Kilkakrotnie pociągnął za spust, ale pociski chybiły. Szósty odwrócił się i oddał w stronę Gunna pięć strzałów. Dwie kule przeleciały obok, jedna trafiła go w udo, a dwie ostatnie w kamizelkę kuloodporną, rzucając Gunnem do tyłu. Nagle z chmury wyskoczył Giordino. Zmasowana salwa z trzech lufo mało nie oderwała Szóstemu głowy. Al nie czekał na efekt. Szybko podniósł swój kombinowany sprzęt i zaczął ostrzeliwać brzuch helikoptera. W cienki metal wrył się grad pocisków - gdyby Giordino strzelał całą minutę, byłoby ich trzy tysiące.

Zaskoczony pilot zawahał się - strzelali do niego jego ludzie. Zanim uruchomił zamontowany pod nosem explorera karabin maszynowy, Giordino umieścił w kadłubie nieuzbrojonej maszyny zadziwiająco ilość ołowiu. Niczym igła materiał, serie z karabinków Giordina przeszły podwozie i zalały kokpit, rozbijając szyby w drobny mak. Nagle zapanowała cisza - Giordinowi skończyła się amunicja.

Explorer zawisł nieruchomo w powietrzu, po czym gwałtownie przechylił się na bok i poleciał w dół, roztrzaskując się o skały trzysta metrów niżej. Giordino rzucił karabinki na ziemię i podbiegł do Gunna, który trzymał się za postrzeloną nogę.

- Zostań, gdzie jesteś! - krzyknął. - Nie ruszaj się!

- To draśnięcie... - jęknął Gunn przez zaciśnięte zęby.

- Draśnięcie, niech cię cholera! Kula złamała ci kość udową. Masz skomplikowane złamanie.

Gunn popatrzył na Giordina i z wysiłkiem się uśmiechnął.

- Nie powiem, żebyś miał najlepsze maniery przy łóżku pacjenta. Giordino nie zwracał uwagi na próby bohaterskiego zachowania Gunna.

Wyciągnął z buta sznurowadło i zrobił mu prowizoryczną opaskę uciskową nad kolanem.

- Wytrzymasz to przez minutę?

- Jeśli nie chcę się wykrwawić na śmierć, chyba będę musiał.

Giordino pobiegł z powrotem do komnaty grobowej i wyjął ze swego plecaka apteczkę. Po kilku minutach był z powrotem i fachowo opatrzył ranę, starając się przede wszystkim zatrzymać krwawienie.

- Nawet nie będę próbował nastawiać kości - oznajmił. - Lepiej niech się tym zajmie lekarz w Kapsztadzie. - Nie chciał przenosić drobnego Gunna, ułożył go więc jak najwygodniej i ochronił przed mżawką płachtą plastiku z plecaka. Potem zadzwonił do admirała, poinformował o sytuacji i poprosił o szybką pomoc.

Kiedy skończył rozmowę, schował telefon do kieszeni i wbił wzrok w płonący w dole helikopter.

- To chore... - powiedział pod nosem. - Czyste szaleństwo. Co może kierować tyloma ludźmi, żeby zabijać innych i samemu się narażać?

Mógł mieć jedynie nadzieję, że odpowiedzi pojawią się wkrótce.

- Pięćdziesiąt metrów głębokości - powiedział Ira Cox, wpatrując się ponuro w dziurę w lodzie, znaczącą grób zniszczonego i zatopionego okrętu podwodnego. - Na pewno tego chcesz?

- Prace naprawcze w maszynie i na mostku „Polar Stormu” potrwać jeszcze przynajmniej dwie godziny - odparł Pitt. - A ponieważ na pokładzie mamy sprzęt do nurkowania w warunkach arktycznych, nie przepuszczę okazji zbadania tego wraka.

- Co spodziewa się pan tam znaleźć? - spytała Evie Tan, która towarzyszyła Pittowi i kilku marynarzom.

- Dziennik pokładowy, dokumenty, raporty, wszystko, co posiada jakiś napis i mogłoby poinformować, kto wydawał komandorowi okrętu rozkazy i skąd przybyli napastnicy.

- Z hitlerowskich Niemiec Anno Domini 1945 - powiedział Cox z uśmiechem.

Pitt siedział na lodzie i zakładał płetwy.

- Zgoda, ale gdzie się chowali przez ostatnie pięćdziesiąt sześć lat? Cox wzruszył ramionami i zabrał się do testowania sprzętu do komunikacji podwodnej.

- Słyszysz mnie?

- Rozwalasz mi bębny. Ściszej.

- A teraz?

- Lepiej. - Głos Pitta dobiegał z głośnika w namiocie, który rozbili niedaleko otworu w lodzie.

- Nie powinieneś iść sam - przestrzegł go Cox.

- Drugi nurek tylko by mi przeszkadzał. Poza tym zrobiłem ponad dwadzieścia nurkowań arktycznych, więc to dla mnie nie nowość.

W ciepłe kaloryfera na prąd z przenośnego generatora Pitt wsunął nogi w nogawki skafandra zaopatrzonego w system wewnętrznych i zewnętrznych rurek. Dzięki nim całe ciało, łącznie z dłońmi, stopami i głową, okrążała ciepła woda. Nurek mógł regulować jej dopływ specjalnym zaworem. Na głowę założył maskę przystosowaną do komunikacji radiowej. Zamiast korzystać z powietrza dostarczanego przez przewód z powierzchni, zdecydował się - dla swobody ruchów - założyć butle. Szybko sprawdził jeszcze lampę nurkową i był gotów do drogi.

- Powodzenia! - krzyknęła Evie, żeby przebić się przez maskę i kaptur Pitta. Zaczęła mu robić zdjęcia, gdy siedział na skraju pokładu i szykował się do skoku w lodowatą wodę. - Na pewno nie da się pan namówić na kilka zdjęć kamerą podwodną?

Pitt krótko pokręcił głową.

- Nie będę miał czasu bawić się w fotografa.

Skoczył głową naprzód i odepchnął się płetwami od krawędzi lodu. Zatrzymał się na głębokości trzech metrów, by wypchnąć ze skafandra powietrze i sprawdzić, czy nagrzewnica jest sprawna. Dzięki tej ostrożności Pitt rzadko miewał problemy podczas nurkowania. Pod wodą wciąż do siebie mówił. Nieufny wobec otoczenia, stale je badał oraz na bieżąco kontrolował przyrządy i stan organizmu.

Pod lodem - niecały metr od powierzchni - zaczynał się inny świat. Patrząc na spód tafli, zdawało mu się, że widzi powierzchnię jakiejś odległej, nieznannej planety. Prześwietlona biała warstwa zmieniała się w odwrócony do góry nogami krajobraz pełen błękitnych, zamrzniętych wzgórz i dolin, pokrytych kłębiącą się żółtą chmurą alg, którymi karmiła się wszechobecna armia kryla. Ustawił przepływ ciepłej wody i spojrział w ciemnozieloną otchłań, przechodzącą w czerń.

Wzywała go. Zanurkował, by paść w jej objęcia.

W miarę jak zbliżał się do dna, rozstępowała się przed nim cienista kurtyna, ukazując śmiertelnie ponurą scenę. Nie było wodorostów, koralu ani kolorowych ryb. Chcąc ustalić położenie, spojrzął w górę na upiorne migotanie, przesączaające się na dół z dziury w lodzie. Zapalił lampę i zatrzymał się na chwilę, żeby wyrównać ciśnienie w uszach.

Z okrętu pozostały tylko smętne resztki. Kadłub na wysokości kiosku był straszliwie poszarpany wybuchem rakiety. Sam kiosk, oderwany, leżał na boku, obsypany masą najróżniejszego śmiecia. Rufa trzymała się stępki jedynie na wale śruby. Poskręcany dziób stał pionowo w mule. Miękkie dno wchłonęło sporą część wraka. Pitt z zaskoczeniem stwierdził, że jest w nim zakopane niemal dwadzieścia procent kadłuba.

- Dotarłem do wraka - oznajmił Coxowi. - Jest poważnie zniszczony. Wchodzę do środka.

- Uważaj na siebie - zabrzmiał w słuchawkach bezosobowy głos Coxa - Jeśli zahaczysz o metal i zrobisz dziurę w skafandrze, zamarzniesz, zanim zdążysz wypłynąć na powierzchnię.

- Cóż za radosna myśl.

Pitt nie od razu wszedł do wraka. Prawie dziesięć minut pływał nad kadłubem i oglądał miejsce katastrofy. Rakieta przeznaczona była do niszczenia znacznie większych celów i z U-Boota została tylko miazga. Rury, zawory i pogniecione stalowe blachy leżały, jakby rozrzuciła je wielka dłoń. Pitt pływał nad szczątkami ludzkich ciał jak duch unoszący się nad resztkami wysadzonego przez terrorystów autobusu.

Machnął płetwami i wpłynął do środka przez wielki otwór, w miejscu którego kiedyś stał kiosk. Światło latarki ukazało dwa ciała, wciśnięte pod konsolę sterowniczą. Walcząc z ogarniającymi go mdłościami, przeszukał trupy, jednak nie znalazł nic wartościowego - ani portfeli z kartami kredytowymi, ani zalaminowanych identyfikatorów ze zdjęciem. Zdziwiło go, że marynarze nie posiadają nic osobistego.

- Osiem minut - oznajmił Cox. - Masz jeszcze osiem minut do rozpoczęcia wynurzania.

- Rozumiem. - Ostrzeżenia zwykle wydawał Giordino, Pitt był jednak wdzięczny potężnemu trzeciemu oficerowi za troskę. Dzięki temu nie musiał się zatrzymywać i patrzeć na pomarańczową tarczę doxy.

Wpłynął głębiej, oświetlając kłębowisko poskręcanych rur i przewodów, przebił się wąskim przejściem i zaczął sprawdzać pomieszczenia po obu stronach korytarza. Wszystkie były puste. W szufladach i szafach nie znalazł żadnych dokumentów.

Sprawdził, ile mu zostało powietrza, po czym wpłynął do jadalni. Ściana była od zewnątrz bardzo mocno wgnieciona, przykręcane do podłogi szafki, krzesła i stoły rozbite w drobny mak.

- Cztery minuty.

- Cztery minuty - powtórzył Pitt.

Popłynął dalej i znalazł kabinę dowódcy. Czasu było coraz mniej, więc gorączkowo zaczął szukać listów, raportów, może pamiętnika. Nie było niczego. Dziennik pokładowy nie istniał. Tak jakby zniszczony okręt i jego załoga były tylko iluzją. Pitt niemal czekał, aż wrak rozplynie się w wodzie i zniknie.

- Dwie minuty. - Głos był ostry.

- Ruszam.

Nagle, bez ostrzeżenia, poczuł dłoń na ramieniu. Zamarł, a jego serce gwałtownie przyspieszyło i zaczęło walić jak młot pneumatyczny. Dłoń nie chwyciła go, lecz raczej zwyczajnie położyła się

między szyją a barkiem. Za granicą przerażenia znajduje się lęk - paraliżujący, niemożliwy do opanowania strach, który może pchnąć człowieka w szaleństwo. Jest to stan, który charakteryzuje się całkowitą utratą zdolności rozumowania i postrzegania otoczenia. Wielu ludzi drętwieje wówczas, jakby byli w narkozie, nie potrafią sformułować choć jednej logicznej myśli.

Większość ludzi - ale nie Pitt.

Mimo początkowego zaskoczenia jego umysł pracował niezwykle jasno. Był zbyt dużym pragmatykiem i sceptykiem, by wierzyć w duchy i gobliny, a pojawienie się znikąd innego nurka wydawało się niemożliwe. Strach i zdenerwowanie zniknęły jak poranna rosa. Świadomość kontaktu z czymś nieznanym wywołała intelektualne zaciekawienie. Przez chwilę tkwił jak wykuty w lodzie pomnik, potem powoli, ostrożnie przełożył latarkę do lewej ręki, a prawą wyjął z pochwy nóż. Ściskając rękojeść, odwrócił się i spojrzął na zagrożenie.

Zjawisko przed nim było tak niezwykle, że zapamiętał je aż do śmierci.

21

Kobieta, przepiękna kobieta - albo raczej to, co kiedyś było piękną kobietą - przyglądała mu się szerokimi, niewidzącymi, błękitno-szarymi oczami. Ręka, która go dotknęła, była wciąż wyciągnięta, jakby go wzywała. Kobieta miała na sobie standardowy czarny kombinezon Czwartego Imperium. Wyglądał jak poszarpany pazurami gigantycznego kota. Przez dziury niczym macki wystawały fragmenty ciała i lekko falowały poruszane prądem wody. Przez duże rozdarcie z przodu widać było kształtną pierś. Jedna ręka kończyła się na łokciu. Paski na pagonach nic Pittowi nie mówiły.

Twarz była dziwnie spokojna i wybielona przez lodowatą wodę. Rysy twarzy podkreślało kłębowisko blond włosów, unoszących się wokół głowy jak aureola. Kości policzkowe były wysokie, nos delikatnie zadarty, wargi lekko rozchylone, jakby kobieta zamierzała coś powiedzieć. Błękitno-szare oczy zdawały się wpatrywać w oddalone o najwyżej trzydzieści centymetrów opalizujące, zielone oczy Pitta. Początkowo zamierzał odepchnąć trupa jak demona podziemi, ale pojął, że musi zrobić coś innego.

Przeszukał kieszenie kobiety. Nie zdziwił się, kiedy nie znalazł żadnych dokumentów. Z przymocowanej do pasa obciążeniowego rolki wyciągnął końcówkę cienkiej linki i obwiązał ją wokół kostki trupa. Potem wypłynął przez wielką dziurę w kadłubie i ruszył w kierunku plamy światła pięćdziesiąt metrów w górze.

Po kilku koniecznych przystankach dekompresyjnych pojawił się dokładnie na samym środku dziury i podpłynął do krawędzi, gdzie czekali już Cox i kilku ludzi z załogi. Evie Tan stała obok i fotografowała, jak silne ramiona wciągają ubranego w pękaty skafander Pitta.

- Znalazłeś coś? - spytał Cox.

- Nic, co da się zanieść do banku - odparł Pitt po zdjęciu maski. Podał Coxowi schodzącą pod wodę linkę.

- Mogę spytać, co jest na drugim końcu?

- Przeprowadziłem kogoś z U-Boota.

Evie wybałuszonymi oczami wpatrywała się w wyciągany spod wody ładunek. Trupa położono

na łodzi, blond włosy rozsypały się wokół głowy, a oczy zdawały się wpatrywać prosto w słońce.

- Jezu... - westchnęła Evie, jej twarz miała kolor otaczającego lodu. - To kobieta! - Nie zrobiła

ani jednego zdjęcia, dopóki ciała nie owinięto plastikową płachtą i nie ułożono na saniach.

Pittowi zdjęto butle z powietrzem. Patrzył, jak sanie odjeżdżają w kierunku „Polar Stormu”.

- Jeśli się nie mylę, była oficerem.

- Wielka szkoda - powiedział Cox. - Musiała być bardzo atrakcyjną kobietą.

- Nawet po śmierci jest w niej coś tajemniczego - uznała Evie. - Jeśli znam się na ludziach, była niezwykłą kobietą.

- Może, ale co robiła na okręcie podwodnym, który powinien być zniszczony pięćdziesiąt lat temu? - spytał Pitt. - Miejmy nadzieję, że identyfikacja ciała dostarczy kolejnej części tej skomplikowanej układanki.

- Będę drażyć tę historię aż do pełnego rozwiązania! - stwierdziła zawadiacko Evie.

Pitt zdjął pletwy i założył podbite futrem buty.

- Lepiej niech pani uzgodni to wcześniej z Marynarką Wojenną i admirałem Sandeckerem. Mogą nie chcieć, żeby informacje o tej sprawie zostały podane do publicznej wiadomości.

Evie zamierzała zaprotestować, ale Pitt szedł już śladem sań w kierunku statku.

Wziął prysznic i ogolił się, wytarł wodę w łazience, po czym zasiadł z kieliszeczką tequili, którą kupił w meksykańskim La Paz, gdzie kiedyś nurkował. Kiedy zebrał myśli, zadzwonił do Sandeckera.

- Ciało, mówisz... - powtórzył admirał, wysłuchawszy raportu. - Kobieta oficer w okręcie podwodnym...

- Tak jest, sir. Jak tylko będzie to możliwe, prześlę ciało do Waszyngtonu, żeby je zbadali i zidentyfikowali.

- To nie będzie łatwe, jeśli nie była Amerykanką.

- Jestem pewien, że da się odtworzyć choćby część jej przeszłości.

- Czy w trakcie ataku zniszczone zostały jakieś przedmioty z „Madrasy”?

- Wszystkie są bezpieczne i całe.

- Mieliście szczęście, że udało się wam przeżyć.

- Mało brakowało, admirale. Gdyby Cunningham nie zjawił się na czas z „Tucsonem”, nie U-Boot, ale „Polar Storm” leżałby teraz na dnie.

- Yaeger przeczesał akta, poszukując danych o U-2015. Okręt był zagadką. Dokumenty sugerują, że ostatni raz widziano go u wybrzeży Danii na początku kwietnia czterdziestego piątego roku. Niektórzy historycy uważają, że udało mu się uciec bez uszkodzeń z terenu działań wojennych i został zatopiony przez załogę w Rio de la Plata, między Argentyną a Urugwajem - niedaleko miejsca, w którym został wysadzony „Graf Spee”, ale nie ma na to dowodów.

- Czyli jego los ostatecznie nigdy nie został ustalony?

- Nie. Na pewno wiadomo tylko, że budowę ukończono w listopadzie czterdziestego czwartego roku i choć okręt zwodowano, nie rozpoczął działalności bojowej.

- Do czego Niemcy chcieli go użyć?

- Ponieważ należał do nowej generacji jednostek z napędem elektrycznym, uważano, że wszelkimi parametrami przewyższa ówczesne okręty podwodne. Potężne akumulatory, umieszczone w niższym kadłubie, pozwalały na prześcignięcie większości jednostek podwodnych, długie zanurzenie oraz pokonywanie pod wodą dużych odległości. Yaeger uzyskał ze starych niemieckich

akt tak mało informacji, ponieważ okręt ten był częścią operacji pod nazwą Nowe Przeznaczenie.

- Gdzieś słyszałem już tę nazwę - mruknął pod nosem Pitt.

- Czołowi dygnitarze hitlerowskiej Rzeszy we współpracy z rządem Perona w Argentynie stworzyli plan przeniesienia na kontynent południowo-amerykański bogactw zebranych przez hitlerowców w czasie wojny. Inne okręty podwodne patrolowały oceany i zatapiały alianckie statki, U-2015 pływał między Niemcami a Argentyną, wożąc setki milionów dolarów w złocie, srebrze, platynie, diamentach oraz dziełach sztuki, ukradzionych z wielkich kolekcji europejskich. Razem z bagażem przewożeni byli także wysoko postawieni oficerowie hitlerowscy z rodzinami. Wszystko wyładowywano w pełnej konspiracji w tajnym porcie u wybrzeży Patagonii.

- Zaczęto to robić jeszcze przed końcem wojny?

- Aż do samego końca. Krążyły plotki, że operacja Nowe Przeznaczenie to pomysł Martina Bormanna. Może i fanatycznie podziwiał Adolfa Hitlera, ale był wystarczająco inteligentny, żeby dostrzec, że Trzecia Rzesza wali się i płonie. Przemycanie hitlerowskich hierarchów i olbrzymiej ilości skarbów do kraju przyjaznego Niemcom było jego celem, zanim jeszcze alianci przekroczyli Ren. Najambitniejszym planem było przewiezienie Hitlera do tajnego fortu w Andach. Ale Hitler chciał zginąć w swym bunkrze w Berlinie.

- Czy U-2015 był jedynym okrętem podwodnym transportującym bogactwa i ludzi do Ameryki Południowej?

- Nie, było jeszcze przynajmniej dwanaście innych. Los wszystkich jest znany. Część zniszczyły alianckie samoloty i okręty, reszta albo dotarła do neutralnego kraju, albo została zatopiona przez załogę.

- Czy wiadomo, co się stało z dobrami i pasażerami?

- Nie - przyznał Sandecker. - Jednego z marynarzy przesłuchiowano wiele lat po wojnie - wkrótce potem zniknął. Mówił o ciężkich drewnianych skrzyniach ładowanych na ciężarówkę czekające na bezludnym nabrzeżu. Ubranych po cywilnemu pasażerów, którzy wyglądali i zachowywali się jak ważne figury partii hitlerowskiej, kierowano do czekających samochodów osobowych. Nie wiadomo, co się stało z nimi i skarbami.

- Argentyna stała się dla byłych hitlerowców rajem. Nie było lepszego miejsca, w którym z popiołów starego imperium wypróbowani ludzie mogli by zorganizować nowy porządek świata.

- Prawdopodobnie dziś żyje tylko niewielu z nich. Każdy hitlerowiec, który osiągnął wysokie stanowisko w partii lub armii, musi mieć powyżej dziewięćdziesiątki.

- Akcja się wikła - zauważył Pitt. - Z jakiego powodu banda starych hitlerowców miałaby ożywić U-2015 i kazać mu zaatakować statek badawczy?

- Z tego samego, dla którego chcieli zabić ciebie w Telluride, a Ala i Rudiego na wyspie Saint Paul na Oceanie Indyjskim.

- Przepraszam, że nie spytałem o nich wcześniej. Jak sobie poradzili? Znaleźli komorę?

- Tak - odparł Sandecker. - Ledwie uszli z życiem. Tuż przed odlotem do Kapsztadu ich samolot został zniszczony. Z pokładu statku towarowego, który znajdował się niedaleko, wystartował helikopter z sześcioma uzbrojonymi ludźmi na pokładzie. Mieli ich zabić i zabrać wszystkie przedmioty, które w tysiąc siedemset osiemdziesiątym pierwszym zostawili pasażerowie „Madrasy”. Al i Rudi zabili ich i zestrzelili helikopter. Rudi został postrzelony i ma paskudnie strzaskaną kość udową. Wyjdzie z tego, ale przez dłuższy czas będzie musiał nosić gips.

- Są jeszcze na wyspie?

- Tylko Al. Rudiego godzinę temu zabrał helikopter z przepływającej niedaleko brytyjskiej fregaty rakietowej. Płynęli z Australii do Southampton.

Wkrótce powinien być w szpitalu w Kapsztadzie, gdzie przejdzie operację.

- Sześciu zabójców i helikopter - powiedział z uznaniem Pitt. - Nie mogę się doczekać ich opowieści.

- Tak, to godne podziwu. Tym bardziej że na początku nie byli uzbrojeni.

- Czwarte Imperium ma dobry wywiad. Zanim U-Boot zaczął ostrzeliwać „Polar Storm”, przez chwilę rozmawiałem z dowódcą. Kiedy powiedziałem, jak się nazywam, spytał, jak udało mi się tak szybko dotrzeć z Kolorado na Antarktydę. Proszę się nie obrazić, admirale, ale sądzę, że mogą mieć w biurach Agencji, albo przynajmniej w ich pobliżu, informatora.

- Zajmę się tym - stwierdził Sandecker, wściekły na samą myśl o przecieku. - Teraz jednak poślę doktor O’Connell na wyspę Saint Paul, żeby na miejscu zbadała to, co znaleźli Al i Rudi. Zorganizuję ci przelot. Spotkacie się tam i będziecie nadzorowali załadunek i transport znalezisk do Stanów.

- A co z Francuzami? To nie ich wyspa?

- Czego oczy nie widzą...

- Kiedy będę mógł wrócić do cywilizacji?

- Będiesz w swoim łóżku pod koniec tygodnia. Zależy ci na czymś innym?

- Czy Pat i Hiram odszyfrowali napisy?

- Tylko cyfry. Komputerowa analiza pozycji gwiazd na suficie komory wykazała, że napisy mają pięć tysięcy lat.

Pitt nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Powiedział pan pięć tysięcy?

- Hiram datował komorę na siedem tysięcy sto lat przed naszą erą.

- Chce pan powiedzieć, że cztery tysiące lat przed Sumerami i Egipcjanami istniała na Ziemi rozwinięta cywilizacja?

- Nie przerabiałem historii starożytnej od czasu Annapolis, ale jeśli dobrze pamiętam, mówiono nam to samo co tobie.

- Archeologowie nie będą zachwyceni koniecznością napisania na nowo podręczników o cywilizacjach prehistorycznych.

- Yaeger i doktor O’Connell robią także postępy w odszyfrowywaniu napisów. Wygląda na to, że jest to opis jakiejś dawnej ogólnoświatowej katastrofy.

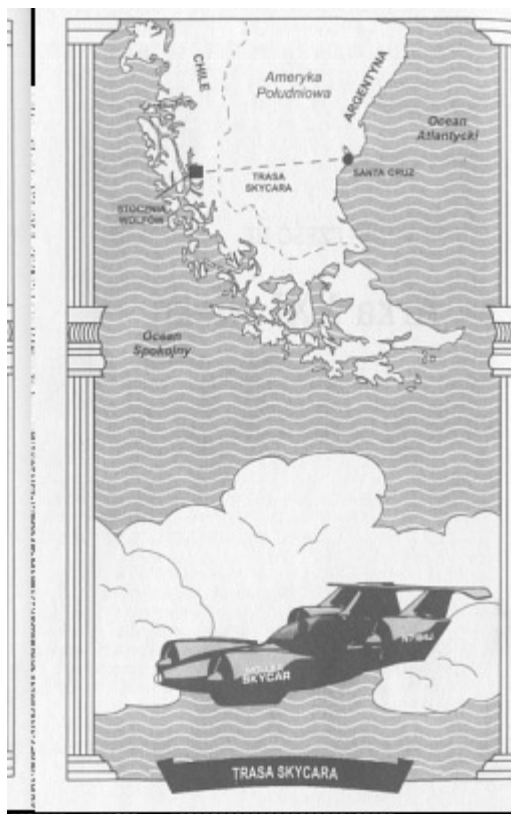
- Nieznana cywilizacja, zniszczona przez wielką katastrofę. Gdybym miał zgadywać, admirale, uznałbym, że mówi pan o Atlantydzie.

Sandecker nie od razu odpowiedział. Pitt mógłby przysiąc, że słyszy obracające się w jego głowie trybiki. W końcu admirał powiedział powoli:

- Atlantyda. - Wypowiedział to słowo, jakby opisywało coś świętego. - Choć dziwnie to brzmi, może jesteś bliżej prawdy, niż sądzisz.

CZĘŚĆ III

Arka XXI wieku



4 kwietnia 2001, Buenos Aires, Argentyna

Światowe teatry operowe są oceniane przez śpiewaków i muzyków według akustyki - jakości dźwięku docierającego ze sceny do miejsc w lożach i znajdującej się wyżej galerii. Miłośnicy oper natomiast klasyfikują je na podstawie elegancji i oryginalności. Niektóre teatry są wyróżniane za barokowość, inne za przepych, kilka za zdobienia. Żaden z nich nie może jednak równać się z niezwykle pompatycznym budynkiem Teatro Colon, mieszczącym się w Buenos Aires, przy Avenida 9 de Julio.

Gmach zaczęto budować w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku i nie żałowano środków. Budowę ukończono w tysiąc dziewięćset ósmym roku, kiedy na scenach niepodzielnie panował Puccini. Teatr zajmuje cały kwartał uliczny - od przecznicy do przecznicy. Jest czarującą mieszaniną francuskiego art deco, włoskiego renesansu i greckiego klasycyzmu. Goszczono tu Pawłową i Niżyńskiego, dyrygował Toscanini, śpiewali wszyscy liczący się wykonawcy operowi od Carusa po Callas.

Przepyszna dekoracja wnętrza w kształcie podkowy aż kłuje w oczy. Poręcze schodów zdobią kunsztownie wykonane mosiężne ornamenty, w szerokich rzędach stoją obite aksamitem fotele, w lożach obszyte brokatem zasłony, sufity pokrywają mistrzowskie dzieła. Podczas uroczystych premier elita argentyńskiego społeczeństwa zapelnia wyłożone włoskim marmurem, zwieńczone przepiękną kopułą z witrażami foyer, przepływa przez rozświetloną migoczącymi światłami przestrzeń i wchodzi po wspaniałych schodach, by zająć miejsca na widowni.

Na minutę przed rozpoczęciem uwertury Koronacji Poppei Monteverdiego zajęte zostały wszystkie miejsca - z wyjątkiem najlepszej łoży po prawej stronie sceny - Chociaż Poppea była metresą Nerona w okresie rozkwitu cesarstwa rzymskiego, aktorzy ubrani byli w siedemnastowieczne stroje. W dodatku wszystkie partie męskie miały być śpiewane przez kobiety. Dla jednych jest to genialne dzieło, dla innych - czterogodzinne nudziarstwo.

Kilka sekund przed zgaśnięciem świateł do pustej łoży dyskretnie weszli mężczyzna i cztery kobiety i zasiedli w ciemnoczerwonych, aksamitnych fotelach. Za zasłonkami - tak, by nie było ich widać z zewnątrz stanęło dwóch ochroniarzy, ubranych w idealnie skrojone smokingi. Wszystkie oczy w operze, każda lornetka, automatycznie obróciły się w kierunku przybyszów.

Kobiety były olśniewająco piękne - nie ładne czy egzotyczne - były pięknosciami w klasycznym znaczeniu, takimi, przy których ma się wrażenie kontaktu z nieuchwytną boskością. Jasnoblond włosy zawijały się w loki na nagich ramionach, a przez środek głowy biegł ciasno spleciony warkocz. Wyglądały niemal identycznie. Zasiadły po królewsku, delikatne dłonie położyły skromnie na kolanach i zapatrzyły się w orkiestrę swymi błękitno-szarymi oczami, które jarzyły się intensywnie jak księżycowe światło na skrzydle kruka. Wysokie kości policzkowe i opalenizna o kolorze, który

można uzyskać, jeżdżąc na nartach w Andach albo opalając się na jachcie, zacumowanym u wybrzeży Bahía Blanca, uwydatniały rysy twarzy. Choć każda z kobiet miała po trzydzieści pięć lat, wszystkie mogły bez trudu uchodzić za dwudziestopięciolatki. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by domyślić się, że są siostrami - w rzeczywistości były czterema z sześcioraczek. Sukienki ukazywały wystarczająco wiele, aby przekonać się, że dzięki zmuśnemu treningowi miały zgrabne i wysportowane sylwetki.

Ich długie, jedwabne toalety, obszyte barwionym lisim futrem, różniły się jedynie kolorem. Kiedy tak siedziały w łoży, jaśniały niczym żółty, niebieski, zielony i czerwony klejnot. Miały na sobie mnóstwo podobnych, migoczących diamentami naszyjników, kolczyków i bransoletek. Wyglądały niezwykle zmysłowo. Wokół nich unosiła się aura eterycznego, nieuchwytnego piękna. Chociaż wydawało się to niemożliwe, każda była mężatką i matką pięciorga dzieci. Przyjście na otwarcie sezonu operowego było dla nich wydarzeniem rodzinnym. Wdzięcznie kiwały głowami i uśmiechały się do siedzącego między nimi mężczyzny. Siedzący sztywno osobnik miał taki sam kolor oczu i włosów, co jego siostry, ale na tym podobieństwa się kończyły. Był przystojny, tak jak jego siostry były zachwycające, ale w znacznie bardziej szorstki sposób - szczupłą talię i wąskie biodra podkreślały bary jak u drwala oraz ramiona i uda ciężarowca. Twarz miał kanciastą, w podbródku mały dołeczek, nos prosty jak strzała, głowę pokrywała bujna czupryna blond włosów. Wiele kobiet marzyło, by zanurzyć w niej palce. Był wysoki, mierzył niemal dwa metry, i przewyższał siostry o głowę.

Odwrócił się i powiedział coś do sióstr, ukazując w uśmiechu śnieżnie białe zęby. Zdawało się, że jego usta nie znają grymasu niezadowolenia, ale w oczach nie było ciepła. Były to oczy pantery, przeszukującej sawannę w poszukiwaniu ofiary.

Karl Wolf był bardzo majątnym i wpływowym człowiekiem. Jako naczelny dyrektor ogromnego rodzinnego imperium finansowego, rozciągającego się od Chin i Indii przez Europę i Atlantyk do Kanady, Stanów Zjednoczonych, Meksyku i Ameryki Południowej, był nieprawdopodobnie bogaty. Jego osobisty majątek oceniano na setki miliardów dolarów. Gigantyczna korporacja, którą kierował, zaangażowana w liczne programy naukowe i wdrożeniowe, była znana w świecie biznesu jako Destiny Enterprises Limited. W odróżnieniu od sióstr Karl nie był związany węzłem małżeńskim.

Wolf - tak zresztą jak i inni członkowie jego rodziny - bez trudu mógłby znaleźć się wśród nowej elity społeczeństwa argentyńskiego. Był inteligentny, pewny siebie i znakomicie prosperował, choć, biorąc pod uwagę posiadany majątek, żył podobnie jak cała jego rodzina - skromnie. Członków dynastii Wolfów, składającej się z ponad dwustu osób, rzadko widywano w modnych restauracjach albo w trakcie pełnienia obowiązków towarzyskich. Kobiety z rodziny niemal nigdy nie pojawiały się w ekskluzywnych sklepach i butikach Buenos Aires. Z wyjątkiem Karla, który na każdym kroku demonstrował, że jest otwarty na kontakty z ludźmi, reszta rodziny trzymała się w cieniu i stanowiła dla Argentyńczyków wielką zagadkę. Nie przyjaźnili się z nikim spoza rodziny i nikt - nawet sławni i wysoko postawieni oficjele rządowi - nie zdołał się przebić przez skorupę, w której się zamknęli. Mężowie kobiet zdawali się przybywać znikąd i nie mieć przeszłości. Jeszcze dziwniejsze było to, że wszyscy przyjmowali nazwisko Wolf. Każdy członek rodziny nazywał się Wolf, bez względu na płeć. Byli jak tajne bractwo.

Kiedy Karl i jego cztery siostry pojawiali się na premierach w operze, stanowili temat wszystkich plotek.

W końcu uwertura skończyła się, kurtyna poszła w górę. Obecni powoli odwracali od nich

wzrok, aby spojrzeć na artystów na scenie. Maria Wolf, siedząca z lewej strony Karla, pochyliła się do brata.

- Dlaczego musimy uczestniczyć w tej gehennie? - spytała szeptem.

Wolf odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Ponieważ, droga siostrzo, gdybyśmy nie pokazywali się czasem przy różnych okazjach, rząd i opinia publiczna zaczęłoby nas uważać za uczestników gigantycznego spisku. Najlepszym wyjściem jest pokazać się i dać do zrozumienia, że nie jesteśmy obcymi z zaświatów, którzy zamierzają cichcem przejąć władzę nad krajem.

Powinniśmy zaczekać, aż Heidi wróci z Antarktyki.

- Też tak uważam - szepnęła Geli, siostra siedząca po prawej stronie Wolfa. - Jest jedyną z nas, której podoba się to okropne nudziarstwo.

Wolf poklepał Geli po dłoni.

- Wyrównam jej straty w przyszłym tygodniu, na premierze Traviaty.

Nie zwracali uwagi na wpatrujących się w nich ludzi, rozdartych między chęcią obserwowania akcji a zainteresowaniem rodziną Wolfów. W chwili gdy kurtyna podniosła się i rozpoczął się trzeci akt, z prowadzącego do łoża korytarzyka wyszedł jeden z ochroniarzy i szepnął coś Wolfowi do ucha. Karl zeszywniał, uśmiech zniknął mu z twarzy. Pochylił się i cicho powiedział:

- Drogie siostry, wydarzyło się coś niespodziewanego. Muszę iść. Wy zostańcie. Zarezerwowałem na kolację po przedstawieniu prywatną salę w Plaza Grill. Pójdźcie tam, dołączę do was.

Kobiety odwróciły się od sceny i popatrzyły na niego z ukrytą trwogą.

- Możesz nam powiedzieć, o co chodzi? - spytała Geli.

- Chciałybyśmy wiedzieć - poparła ją Maria.

- Kiedy się dowiem, powiem wam - obiecał. - Teraz dobrze się bawcie.

Wolf wstał i wyszedł z łoża. Jeden z ochroniarzy poszedł za nim, drugi został z siostrami. Karl pospieszył do bocznego wyjścia i wsiadł do czekającej limuzyny - mercedesa 600 z sześćdziesiątego dziewiątego roku, który nawet po czterdziestu latach miał opinię najbardziej luksusowego samochodu świata. Ulice były pełne, ale w Argentynie zawsze jest duży ruch. Miasta tętnią życiem aż do wczesnych godzin porannych. Kierowca skierował wóz w stronę Recolety, dzielnicy wokół bujnych ogrodów na Plaza Francia i Plaza Intendente Alvear. Miejsce to uważano za odpowiednik Michigan Avenue w Chicago albo Rodeo Drive w Beverly Hills - obsadzone drzewami bulwary były pełne szykownych sklepów, ekskluzywnych hoteli i przypominających pałace rezydencji.

Samochód minął sławny cmentarz Recoleta, na którym wąskie ścieżki wciskają się między siedem tysięcy bogato zdobionych mauzoleów. Nad ich lokatorami czuwają długie szeregi betonowych aniołów. W jednym z mauzoleów należących do rodziny Duarte spoczywa Eva Peron. Zagraniczni turyści zazwyczaj są mocno zaskoczeni epitafium, które brzmi: „Nie płacz za mną, Argentyno. Jestem tuż obok”.

Szofer wjechał w strzeżony wjazd, minął otwarte skrzydła pięknej bramy z kutego żelaza i dotarłszy na półkolisty podjazd, stanął przy portalu wielkiej dziewiętnastowiecznej posiadłości z wysokimi kolumnami i pokrytymi bluszczem ścianami. Przed drugą wojną światową mieściła się tu niemiecka ambasada. Cztery lata po wojnie rząd Niemiec przeniósł swych dyplomatów do modnej dzielnicy Palermo Chico. Od tego czasu posiadłość służyła jako centrala korporacji Destiny Enterprises Limited.

Wolf wysiadł i wszedł do gmachu. Wnętrze nie było zbyt okazałe. Co prawda marmurowe podłogi i kolumny, bogato malowane ściany i wyłożone kafelkami sufity przypominały wspaniałą przeszłość, ale umeblowanie było skromne i brakowało wyszukanych ozdób. Do biur na piętrze prowadzą chody z białego marmuru, Wolf jednak skorzystał z ukrytej w ścianie windy. Kabina uniosła się bezgłośnie i po kilkunastu sekundach drzwi otworzyły się na ogromną salę konferencyjną, gdzie wokół dziesięciometrowego stołu z tekowego drewna czekało dziesięciu członków rodziny - cztery kobiety i sześciu mężczyzn.

Wszyscy wstali i powitali Karla. Jako najbardziej przebiegły i przewidujący członek rodziny trzydziestoosmioletni Karl Wolf był uważany za jej głównego doradcę i menedżera prowadzonych przez nią interesów.

- Bracia i siostry, wybaczcie mi spóźnienie, ale przybyłem do was natychmiast po otrzymaniu informacji o tragedii. - Podszedł do siwego mężczyzny i objął go. - Czy to prawda, ojcze, że straciliśmy U-2015, a Heidi zginęła?

Max Wolf ze smutkiem skinął głową.

- Prawda. Twoja siostra, syn Kurta - Eric, i cała załoga leżą na dnie oceanu u wybrzeży Antarktydy.

- Eric? Nie powiedziano mi, że nie żyje. Nie wiedziałem, że był na pokładzie. Czy to pewne?

- Przejęliśmy przekazy satelitarne Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych do Waszyngtonu - odparł wysoki mężczyzna, siedzący po drugiej stronie stołu. Był bliźniaczko podobny do Karla. Twarz Brunona Wolfa skrzywiła wściekłość. - Komunikaty są jednoznaczne. Realizując misję usuwania świadków istnienia artefaktów Amenów, nasz U-Boot ostrzeliwał statek badawczy Agencji. Wtedy pojawił się atomowy okręt amerykańskiej Marynarki Wojennej i wystrzelił rakietę. Nasza jednostka została zniszczona. Nie wspomniano o tym, żeby ktoś przeżył.

- To wielka strata - ponuro mruknął Karl. - Dwoje członków rodziny i cenny U-2015. Nie zapominajmy, że po wojnie przetransportował z Niemiec naszych dziadków oraz początek naszego majątku.

- Dobrze nam służył - dodał Otto Wolf, jeden z ośmiu fizyków rodziny. - Będzie nam go bardzo brakowało.

Mężczyźni i kobiety przy stole siedzieli w milczeniu. Nigdy jeszcze nie poznali smaku porażki. Od czterdziestu pięciu lat, czyli od chwili powstania, Destiny Enterprises Limited odnosiła sukces za sukcesem. Każde zadanie, każda operacja były zaplanowane precyzyjnie, ze wszystkimi szczegółami. Nie zapominano o żadnej możliwości. Problemy przewidywano i radzono z nimi. Nie było niedbalstwa i niekompetencji. Aż do tej chwili rodzina rządziła, jak chciała. Nie byli w stanie pogodzić się z żadnym niepowodzeniem.

Wolf usiadł u szczytu stołu.

- Jakie mieliśmy w ostatnich tygodniach straty w rodzinie i wynajętym personelu?

Bruno Wolf, szwagier Karla, otworzył teczkę i popatrzył na kolumnę cyfr.

- Siedmiu agentów w Kolorado, siedmiu na wyspie Saint Paul, w tym nasz kuzyn Fritz, kierujący akcją z powietrza. Czterdzieści siedem osób załogi U-2015, Heidi i Eric.

- Sześćdziesięciu trzech naszych najlepszych ludzi, w tym trzech członków rodziny w niecałe dziesięć dni - powiedziała Elsie Wolf, żona Brunona - To brzmi nierealnie.

- Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że odpowiedzialni są za to oceanografowie z za biur, niewiele więcej wariacji od pozbawionych kręgosłupa meduz! - warknął wściekle Otto.

Karl potarł oczy.

- Może ci przypomnę, drogi Ottonie, że te pozbawione kręgosłupów meduzy zabiły dwunastu naszych najlepszych agentów - nie wliczając w to dwójki, którą trzeba było wyeliminować, żeby powstrzymać ją przed mówieniem.

- Oceanografowie i inżynierowie nie są profesjonalnymi zabójcami - powiedziała Elsie. - Nasz agent z Agencji w Waszyngtonie przysłał mi akta ludzi, odpowiedzialnych za straty w Kolorado i na Saint Paul. To nie są przeciętniacy. - Elsie zrobiła przerwę, by rozdać zdjęcia. - Admirał James Sandecker, dyrektor Agencji. Jest bardzo szanowany w rządowych kręgach Stanów Zjednoczonych. Po godnych pozazdrosczenia wyczynach w Wietnamie powierzono mu założenie i poprowadzenie nowej agencji. Ma wśród członków Kongresu wielkie poważanie.

- Spotkałem go kiedyś na konferencji oceanograficznej w Marsylii - powiedział Karl. - Nie należy go lekceważyć jako przeciwnika.

- Następne zdjęcie to Rudolph Gunn, zastępca Sandeckera.

- Wygląda byle jak - stwierdził Felix Wolf, adwokat rodziny. - Chyba nie jest zdolny do zabijania.

- Nie zabija własnoręcznie - odparła Elsie. - O ile wiemy, był mózgiem operacji, w wyniku której straciliśmy ekipę na wyspie Saint Paul. Jest absolwentem Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Ma za sobą błyskotliwą karierę w marynarce, stamtąd przeszedł do Agencji, gdzie jest prawą ręką Sandeckera.

Bruno podniósł trzecie zdjęcie.

- No, ten to wygląda, jakby był w stanie wyrwać człowiekowi z brzucha połkniętą monetę i wydać resztę...

- Albert Giordino, asystent dyrektora Wydziału Programów Specjalnych - wyjaśniła Elsie. - Absolwent amerykańskiej Akademii Sił Powietrznych. Służył w Wietnamie, z wyróżnieniem. Bruno ma rację, uważa się go za niebezpiecznego przeciwnika. Jego dokonania w Agencji są godne uwagi. Teczka zawierająca opisy projektów, które doprowadził do pożądanego końca, jest dość gruba. Wiadomo, że umie zabijać, i mimo skąpych informacji, jakie udało nam się zebrać, należy domyślać się, że to on - wraz z Gunnem - jest odpowiedzialny za likwidację całej naszej grupy na wyspie Saint Paul.

- A ostatnie zdjęcie? - łagodnie ponaglił Elsie Otto.

- Nazywa się Dirk Pitt. To w kręgach oceanografów niemal legenda, dyrektor Wydziału Programów Specjalnych, człowiek renesansu. Kawaler, kolekcjonuje antyczne samochody. Także absolwent Akademii Sił Powietrznych, kilka odznaczeń w Wietnamie za bohaterstwo. Przedstawienie listy jego osiągnięć wymagałoby sporo czasu. To on popsuł nam szyki w Kolorado. Był także obecny na Antarktydzie przy zatopieniu U-2015.

- Wielka szkoda - jeszcze raz westchnął Otto. Ze złością patrzył na twarze osób siedzących za stołem. - Użycie go zamiast nowoczesnego statku nawodnego okazało się błędem.

- Tak jak i cała próba namacania w głowie naszemu przeciwnikowi - stwierdził Karl.

Bruno walnął pięścią w stół.

- Musimy się na nich zemścić! Muszą umrzeć!

- Wydałeś na Pitta wyrok śmierci bez konsultacji z nami - ostro przerwał mu Karl. - Nie muszę dodawać, że próba się nie powiodła. Nie stać nas na luksus zemsty. Musimy realizować ustalony plan i nie chcę tracić sił na małostkową zemstę.

- Nie widzę w tym nic małosłownego - odparł Bruno. - Tych czterech ludzi jest bezpośrednio odpowiedzialnych za śmierć naszych braci i siostr. Nie mogą uniknąć kary.

Karl lodowato przyglądał się Brunonowi.

- Czy nigdy do ciebie nie dotarło, drogi bracie, że kiedy projekt Nowe Przeznaczenie zostanie zrealizowany, i tak wszyscy tragicznie zginą?

- Karl ma rację - poparła go Elsie. - Nie stać nas na schodzenie z obranej drogi, niezależnie od tego, jak bardzo to przeżywamy.

- A więc sprawa jest załatwiona - zamknął dyskusję Karl. - Koncentrujemy się na pracy i przyjmujemy żałobę za koszt osiągnięcia celu.

- Teraz, po odkryciu komór w Kolorado i na Saint Paul przez niepowołane osoby - powiedział Otto - nie widzę wielkiego sensu w marnowaniu pieniędzy, czasu i życia kolejnych ludzi, żeby ukryć istnienie naszych starożytnych przodków.

- Zgadza się - poparł go Bruno. - Teraz, kiedy napisy znalazły się w rękach Amerykanów, możemy trzymać się w cieniu. Sami je odczytają i ogłoszą światu ostrzeżenie Amenów o katastrofie, oszczędzając nam wysiłku.

Karl wpatrywał się w zamyśleniu w blat stołu.

- Największym problemem jest, żeby wiadomość nie została opublikowana zbyt wcześnie, zanim się zacznie Nowe Przeznaczenie, a dezinformacja zadziała na naszą korzyść.

- W takim razie musimy zamącić wodę, nim pracownicy naukowci przejrzą nasz podstęp.

- Dzięki tym wścibskim draniom z Agencji wieść rozejdzie się w ciągu dwóch tygodni. - Bruno popatrzył na Karla. - Istnieje szansa, bracie, żeby nasi ludzie w Walhalli przyspieszyli?

- Jeśli wyjaśnię im powody pośpiechu i uświadomię nadciągające niebezpieczeństwo, chyba uda mi się namówić ich, żeby rozpoczęli za dziesięć dni.

- Dziesięć dni! - gorączkowo wyrzuciła z siebie Christa. - Jeszcze tylko dziesięć dni do zniszczenia starego świata i powstania z popiołów Czwartego Imperium!

Karl poważnie skinął głową.

- Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, który nasza rodzina układa starannie od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, całkowicie zmienimy ludzkość na najbliższe dziesięć tysięcy lat.

23

Pitt dostał się do arktycznej stacji badawczej, skąd przeleciał zachodnim skrajem Oceanu Indyjskiego do Kapsztadu, gdzie spotkał się z Pat O'Connell, która przybyła z Waszyngtonu. Towarzyszył jej doktor Bradford Hatfield, patolog i archeolog, specjalizujący się w badaniach starożytnych mumii. We trójkę polecili na wyspę Saint Paul samolotem z ruchomymi silnikami. Gęsta mżawka, wyrzucana z nieprzyjaznych chmur i gnana sztywną bryzą, smagała na przywitanie ich twarze jak wystrzeliwany z wiatrówki śrut. Czekał na nich oddział SEAL - elitarna jednostka specjalna Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Komandosi byli potężnymi, cichymi ludźmi, skoncentrowanymi jedynie na wyznaczonym im zadaniu. Z powodu ubiorów niemal zlewali się z

otaczającymi skałami.

- Witamy na zagubionym poletku szatana - powitał ich wysoki, patykowaty mężczyzna z przyjacielskim uśmiechem. Na jego ramieniu wisiał lufą do dołu wielki karabin. Wyglądał jak kombinacja karabinu maszynowego, raketnicy, karabinu strzelca wyborowego i strzelby kaliber dwanaście.

- Porucznik Miles Jacobs. Mam być waszym przewodnikiem.

- Admirał Sandecker nie zamierza ryzykować na wypadek powrotu terrorystów, prawda? - powiedział Pitt, ściskając mu rękę.

- Co prawda odszedł już ze służby w marynarce, ale jego słowo wciąż bardzo się liczy na górze - odparł Jacobs. - Rozkaz, by chronić ludzi Agencji, pochodzi bezpośrednio od dowódcy Marynarki Wojennej.

Bez dalszych pogaduszek Jacobs i czterech jego ludzi - dwóch z przodu, dwóch z tyłu poprowadziło Pitta i towarzyszącą mu dwójkę w górę zbocza, na starożytną drogę do tunelu. Mimo stroju przeciwdeszczowego, Pat była przemoczona i nie mogła się doczekać, aż znajdzie się w suchym miejscu. Kiedy dotarli do zwieńczonego łukiem wejścia, wyszedł im naprzeciw Giordino. Wyglądał na zmęczonego, ale szedł dumnie niczym kapitan zwycięskiej drużyny futbolowej.

Pat była trochę zaskoczona, kiedy ujrzała, jak dwaj tak silni i twardzi mężczyźni witają się, obejmując i poklepując po plecach. W ich oczach było tyle tkliwości, że mogłaby się założyć, że zaraz się rozpłaczą.

- Dobrze widzieć cię całego i żywego, stary - powiedział z radością Pitt.

- Cieszę się, że ty też przeżyłeś - odparł Giordino, uśmiechając się szeroko. - Słyszałem, że obrzuciliście ich śnieżkami.

Pitt roześmiał się.

- To lekka przesada. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to wymachiwać pięściami, obrzucać ich wyzwiskami i czekać na przybycie Marynarki Wojennej.

- Doktor O'Connell - Giordino uklonił się z galanterią i ucałował odzianą w rękawiczkę dłoń Pat.

- Potrzebowaliśmy kogoś, kto, jak pani, rozjaśniłby to ponure miejsce.

Pat uśmiechnęła się i dygnęła.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Pitt przedstawił Alowi archeologa.

- Doktor Brad Hatfield. Przyjechał, żeby obejrzeć mumie, które znaleźliście z Rudim.

- Powiedziano mi, że natrafiliście panowie na archeologiczną kopalnię złota - powiedział Hatfield. Był wysoki, chudy, miał jasnobrażowe oczy, gładką wąską twarz i łagodny głos. Kiedy mówił, garbił się i rozglądał zza okularów w drucianych oprawkach, które wyglądały, jakby wyprodukowano je w latach dwudziestych dwudziestego wieku.

- Schowajcie się przed deszczem i sami zobaczcie.

Giordino poprowadził ich w głąb tunelu do pierwszej komory. Już z daleka czuć było przenikliwy odór dymu i spalonego mięsa. Komandosi zainstalowali generator prądotwórczy, który zasilał zestaw reflektorów.

Nikt się nie spodziewał zobaczyć takich zniszczeń. Wszystko było poczerńiałe od ognia i pokryte sadzą. To, co znajdowało się w komorze przed wystrzeleniem rakiety, wyparowało.

- Co tu się stało? - spytał Pitt.

- Pilot atakującego nas helikoptera uznał, że dobrze byłoby wstrzelić do środka pocisk raketowy

- Giordino powiedział to takim tonem, jakby wyjaśniał, w jaki sposób je się jabłko.

- Nie mogliście tu być z Rudim.

Giordino uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie. Odchodzi stąd drugi tunel, prowadzący do kolejnej komory. Chroniła nas sterta kamieni, zwalonych z sufitu w wyniku dawnego zawału. Przez kilka tygodni nie będziemy z Rudim słyszeć cicho i łagodnie wypowiedzanych słów, a nasze płuca są nieco przypalone, ale przeżyliśmy.

- Cud, że nie zostaliście upieczeni tak jak wasi przyjaciele - stwierdził Pitt, patrząc na zwęglone szczątki napastników.

- SEAL oczyści miejsce i zidentyfikuje resztki w Stanach.

- Jakie to straszne... - jęknęła Pat, która zbladła jak płótno. Jej profesjonalizm szybko wziął jednak górę i zaczęła wodzić palcami po resztkach napisów na ścianach. Z wielkim smutkiem wbiła wzrok w spękaną i zniszczoną skałę.

- Zniszczyli je... - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Starli. Zostało za mało, by cokolwiek odczytać.

- Niewielka strata - stwierdził niewzruszenie Giordino. - To, co najlepsze, przetrwało w drugiej komorze bez najmniejszej szkody. Mumie pokryła warstewka kurzu, ale poza tym są w takim stanie, jak wtedy, kiedy je stawiano.

- Stawiano? - spytał Hatfield. - Nie leżą poziomo w sarkofagach?

- Nie, siedzą na kamiennych fotelach.

- Są owinięte bandażami?

- Nie - odparł Giordino. - Siedzą tak, jakby uczestniczyły w zebraniu zarządu - w sukniach, kapeluszach i sandałach.

Hatfield pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Widziałem wiele metod grzebania zmarłych. Ciasno owinięte bandażem zwłoki składano do sarkofagów, wkładano je, zwinięte w pozycji embrionalnej, do glinianych naczyń, czasem kładziono zwłoki twarzą do góry albo w dół, stawiano pionowo, ale nigdy nie słyszałem o tym, żeby je sadzano.

- Kazałem rozstawić w komorze lampy, żeby mógł pan zbadać postacie i resztę znalezisk.

Czekając kilka godzin na Pitta i Pat O'Connell, Giordino zatrudnił komandosów SEAL, którzy sprząkali gruz, wynieśli go na zewnątrz i zrzucili w przepaść. Tunel do wewnętrznej krypty był teraz całkowicie odsłonięty i można było wejść bez konieczności wspinania się i potykania o kamienie. Reflektory rozświetlały komorę jaśniej niż słońce, ukazując mumie i ich stroje ze wszystkimi barwnymi szczegółami.

Hatfield wysunął się do przodu i zaczął badać pierwszą mumię, niemal przystawiając jej nos do twarzy. Wyglądał jak człowiek, który nagle znalazł się w raju. Chodził od figury do figury, oglądał skórę, uszy, nosy, wargi. Otworzył wielką skórzaną torbę i wyjął z niej opaskę z latarką i okularem powiększającym, jakich używają lekarze. Założył urządzenie na głowę, a potem zapalił światło, uregulował ustawienie soczewek i zaczął małym pędzelkiem delikatnie zdejmować kurz z powiek jednej z mumii. Pozostali przyglądali się w milczeniu. W końcu odwrócił się i unióś opaskę.

Mówił, jakby wygłaszał kazanie w kościele.

- Przez całe lata badań starożytnych zwłok - powiedział cicho - nigdy nie widziałem tak dobrze zakonserwowanych ciał. Nawet gałki oczne są zachowane na tyle dobrze, że da się określić barwę tęczówki.

- Może mają sto lat albo i więcej - stwierdził Giordino.

- Nie sędzę. Materiał tunik, styl sandałów, nakrycia głowy i reszta ubrania nie przypominają niczego, co dotychczas widziałem, niczego, co jest opisane w pracach historyków. Metody balsamowania zwłok tej cywilizacji są bez porównania lepsze od technik, jakie stosowano w Egipcie. Egipcjanie okaleczali zwłoki, by wyjąć narządy wewnętrzne, i usuwali przez nos mózg. Te ciała nie są w ogóle uszkodzone. Wydają się nietknięte przez balsamistów.

- Napisy, które odkryliśmy w Kolorado, zostały datowane na rok siedem tysięcy setny przez naszą erą - powiedziała Pat. - Czy to możliwe, żeby te mumie i przedmioty pochodziły z tego samego tysiąclecia?

- Nie umiem na to odpowiedzieć bez przeprowadzenia badań - odparł Hatfield. - Nie jestem w stanie wyciągać wniosków, ale mogę założyć się o moją karierę, że ci ludzie reprezentują nieznaną historykom starożytną kulturę.

- Musieli być znakomitymi marynarzami, żeby znaleźć tę wyspę i wykorzystać ją jako grób dla swoich przywódców - uznał Pitt.

- Dlaczego pochowali ich tutaj? - spytał Giordino. - Dlaczego nie w jakimś wygodniejszym miejscu na kontynencie?

- Najprostsza odpowiedź brzmi: ponieważ nie chcieli, by ich znaleziono - powiedziała Pat.

Pitt zamyślony wpatrywał się w mumie.

- Nie jestem tego pewien. Moim zdaniem jednak tego chcieli. Tysiące kilometrów stąd, w innych podziemnych komnatach, zostawili na ich temat informacje. O ile wiem, ustaliliście z Hiramem, że napisy z Kolorado to nie informacje dla bogów rządzących światem zmarłych.

- Na razie można tak sądzić, jednak przed nami jeszcze długa droga do pełnego odszyfrowania znaczenia symboli. Dotychczas dowiedzieliśmy się, że napisy nie dotyczą zaświatów, są raczej ostrzeżeniem przed zbliżającą się katastrofą.

- Kiedy miała nastąpić? - spytał Giordino. - Może już się wydarzyła w ciągu minionych dziewięciu tysięcy lat.

- Jeszcze tego nie ustaliliśmy - odparła Pat. - Hiram i Max ciągle nad tym pracują. - Podeszła do ściany i starła kurz z rytu przypominającego ludzkie postacie. Jej oczy rozszerzyły się z podniecenia. - To nie jest taki sam rodzaj symboli jak ten z Kolorado! Tu są hieroglify, przedstawiające ludzi i zwierzęta!

Wkrótce wszyscy pracowali nad usunięciem z polerowanej skały zbierającego się przez wieki kurzu i brudu. Zaczęli od rogów i szli do środka, aż jasne światło wyraźnie ukazało napisy.

- Co wy na to? - spytał Giordino.

- To port albo przystań morska - odparł Pitt. - Widzę flotę starożytnych statków wiosłowych, otoczonych falochronami, na których końcu są wysokie konstrukcje - prawdopodobnie latarnie morskie albo coś w tym stylu.

- Zgadza się - przyznał Hatfield. - Ja widzę budynki wokół przystani w których cumują statki.

- Sprawiają wrażenie, jakby je wylądowywano albo załadowywano - dodała Pat, patrząc przez szkło powiększające. - Ludzie są wyrzeźbieni z najdrobniejszymi szczegółami i mają podobne ubrania jak tutejsze mumie. Z jednego ze statków chyba wylądowuje się zwierzęta.

Giordino przysunął się do Pat i popatrzył.

- Jednorożce - oznajmił. - To są jednorożce. Mają jeden róg na czubku głowy.

- Dziwaczne... - mruknął sceptycznie Hatfield. - Tak dziwaczne jak przedstawienie nie

istniejących greckich bogów.

- Skąd pan wie? - spytał Pitt. - Może dziewięć tysięcy lat temu istniały jednorożce, nim wyginęły z mamutami i tygrysami szablozębnymi?

- Tak, razem z meduzami, mającymi węże zamiast włosów i cyklopami z jednym okiem na czole.

- Niech pan nie zapomina o gargulcach i smokach - dodał Giordino.

- Dopóki nie odkryte zostaną kości albo skamieniałości, dowodzące ich istnienia, będą musiały pozostać mitem z przeszłości - zdecydowanie oświadczył Hatfield.

Pitt nie spierał się dalej z Hatfieldem. Poszedł za kamienne fotele z mumiami i obejrzał zakrywającą ścianę zasłonę ze zszytych zwierzęcych skór. Bardzo ostrożnie podniósł jeden róg i zajrzał pod spód. Zrobił tajemniczą minę.

- Ostrożnie! - ostrzegł Hatfield. - To bardzo delikatne!

Pitt zignorował go i oburącz uniósł zasłonę, aż miał ją nad głową.

- Nie powinien pan tego dotykać - z irytacją dodał Hatfield. - To bezcenny obiekt i może się rozpaść na kawałki. Należy obchodzić się z nim ostrożnie, aż będziemy mieć możliwość konserwacji.

- To pod spodem jest znacznie cenniejsze - odparł obojętnie Pitt. Skinął na Giordina. - Weź kilka oszczepów i podeprzyj zasłonę.

Hatfield spurpurowiał i próbował zatrzymać Giordina, ale równie dobrze mógłby zatrzymać jadący traktor. Al odsunął go na bok jak dziecko, wziął dwa starożytne obsydianowe oszczepy, wbił ich szpice w podłogę i podparł drzewcami zasłonę. Pitt podniósł dwie lampy i ustawił tak, by świeciły na ścianę.

Pat wstrzymała oddech. W czterech wrytych w polerowanej ścianie wielkich kołach znajdowały się przedziwne diagramy.

- To jakieś hieroglify - orzekła uroczyście.

- Wyglądają na mapy - zauważył Giordino.

- Mapy czego?

Pitt uśmiechnął się.

- Cztery różne rzuty Ziemi.

Hatfield patrzył Pat przez ramię.

- Absurdalne! Nie przypomina to żadnych starożytnych map. Rysunki są zbyt szczegółowe i nie przypominają znanej mi geografii.

- To dlatego, że pański płytki umysł nie jest w stanie wyobrazić sobie kontynentów i linii brzegowych sprzed dziewięciu tysięcy lat.

- Muszę się zgodzić z doktorem Hatfieldem - powiedziała Pat. - Widzę jedynie nagromadzenie czegoś, co może być dużymi wyspami o poszarpanych liniach brzegowych, przemieszanych z małymi, a wszystko jest otoczone falującymi symbolami, które mogą reprezentować wielkie morze.

- Ja głosuję za zestrzelonym przez raketę ziemia-powietrze motylem z testu Rorschacha - cynicznie mruknął Giordino.

- Właśnie spadłeś o pięćdziesiąt punktów na skali oceny wartości mózgu - odparł Pitt. - Zdawało mi się, że na kogo jak na kogo, ale na ciebie mogę liczyć przy rozwiązaniu tej układanki.

- A co ty widzisz? - spytała Pat.

- Cztery różne rzuty kuli ziemskiej sprzed dziewięciu tysięcy lat, dokonane z perspektywy Antarktydy.

- Żarty na bok - powiedział Giordino. - Masz rację.

Pat cofnęła się, by spojrzeć na całość z perspektywy.

- Tak, zaczynam rozróżniać inne kontynenty. Są jednak w innych miejscach. Tak jakby Ziemia się przechyliła.

- Nie widzę Antarktydy - upierał się Hatfield.

- Prosto przed panem.

- Skąd wiesz? - spytała Pat.

- Chętnie bym się dowiedział, jak doszedł pan do tego wniosku - prychnął Hatfield.

Pitt popatrzył na Pat.

- Masz w torbie kredę do uwidaczniania napisów skalnych?

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Kreda wyszła z użytku. Teraz mamy talk.

- Niech będzie. I kilka papierowych chusteczek. Wszystkie kobiety je noszą.

Sięgnęła do kieszeni i dała mu paczkę chusteczek. Potem zaczęła grzebiąc w torbie między notesami, sprzętem fotograficznym i narzędziami do badania napisów skalnych, aż znalazła pojemnik z talkiem.

Pitt namoczył chusteczkę wodą z butelki i zwilżył rysunki na ścianie, by chwyciły talk. Kiedy dostał proszek, zaczął go rozprowadzać po rzeźbieniach. Po mniej więcej trzech minutach cofnął się i przyjrzał swemu dziełu.

- Panie i panowie - oto Antarktyda.

Cała trójka intensywnie wpatrywała się w miejsce, gdzie Pitt rozprowadził talk, po czym stał proszek z gładkiej powierzchni, uwidaczniając wyryte miejsca. Kształt był podobny do ładu znajdującego się wokół bieguna południowego.

- Co to ma znaczyć? - spytała zdezorientowana Pat.

- To, że ci starożytni - Pitt wskazał na mumie na tronach - spacerowali po Antarktydzie tysiące lat przed nami. Pływali wokół niej i sporządzili mapy kontynentu, zanim pokrył go lód.

- Nonsens - prychnął Hatfield. - Jest naukowo dowiedzione, że z wyjątkiem trzech procent powierzchni kontynent jest pokryty lodem od milionów lat!

Pitt nie odzywał się przez długie sekundy. Patrzył na starożytne postacie, jakby były żywe, i przesuwał wzrok od jednej do drugiej, jakby chciał się z nimi porozumieć. W końcu wyciągnął ku dawno zmarłym ludziom rękę.

- Odpowiedzi - stwierdził ze stuprocentowym przekonaniem - dostaniemy od nich.

24

Hiram Yaeger wracał do swego komputera po lunchu, niosąc w rękach kartonowe pudło ze szczeniakiem bassetta w środku. Uratował go ze schroniska kilka godzin przed uśpieniem. Po tym, jak ich rodzinny golden retriever zmarł ze starości, Yaeger przysiągł, że to ostatni pies, jakiego pochował, i nie godził się na nowego. Obie nastoletnie córki ciągle jednak błagały o psa. Zagroziły nawet, że jeśli golden retriever nie dostanie następcy, przestaną się uczyć. Jedynym pocieszeniem Yaegera pozostawało to, że nie jest pierwszym ojcem zmuszonym przez dzieci do przyniesienia do

domu zwierzęcia.

Zamierzał kupić kolejnego golden retrievera, ale kiedy spojrzął w smutne, uduchowione, wielkie oczy basseta i popatrzył na niezgrabne ciało z krótkimi nogami, wielkimi łapami i uszami do ziemi, połknął haczyk. Rozłożył wokół biurka gazety i chciał puścić malca swobodnie - ten jednak pozostał na leżącym w pudle ręczniku i wpatrywał się w Yaegera, który nie był w stanie oderwać wzroku od pełnych smutku oczu.

W końcu skoncentrował się jednak na pracy i wezwał Max. Pojawiła się natychmiast na ekranie i zaczęła zrzędzić.

- Zawsze musisz kazać mi czekać?

Sięgnął w dół i podniósł szczeniaka, by pokazać go Max.

- Wpadłem do schroniska i kupiłem dziewczynkom psa.

Twarz Max natychmiast złagodniała.

- Jest milutki. Dziewczynki będą zachwycone.

- Zrobiłaś postępy w odczycie napisów?

- Praktycznie odkodowałam już pojedyncze symbole, ale poukładanie ich w słowa jeszcze nieco potrwa.

- Powiedz mi, co już masz.

- W zasadzie dość sporo - odrzekła z dumą Max.

- Mów.

- Mniej więcej siedem tysięcy lat przed naszą erą świat uległ potężnej katastrofie.

- Można się domyślić, jakiej natury?

- Tak, zostało to zapisane na mapie na suficie komory z Kolorado. Jeszcze nie odczytałam całego jej opisu, ale wygląda na to, że niejedna, ale dwie komety spoza Układu Słonecznego spadły jednocześnie na Ziemię i spowodowały globalną klęskę.

- Jesteś pewna, że nie były to asteroidy? Nie jestem astronomem, ale nie słyszałem o kometach, które orbitują po elipsach.

- Mapa nieba pokazuje dwa obiekty z długimi ogonami, które wędrują obok siebie na kursie kolizyjnym z Ziemią.

Yaeger zbliżył dłoń do podłogi i pogłaskał psa.

- Dwie komety uderzyły w tym samym czasie. Jeśli były duże, musiały nieźle potrząsnąć planetą.

- Przepraszam, Hiram, nie chciałam wprowadzać cię w błąd. Tylko jedna z komet uderzyła w Ziemię, druga minęła Słońce i zniknęła w dalekim kosmosie.

- Czy mapa wskazuje miejsce, gdzie uderzyła kometa?

Max pokręciła głową.

- Nie, ale opis sugeruje Kanadę, prawdopodobnie w okolicy Zatoki Hudsona.

- Jestem z ciebie dumny, Max. - Yaeger podniósł basseta z podłogi i położył go sobie na kolanach. Szczeniak natychmiast zasnął. - Jesteś klasycznym detektywem.

- Wyjaśnianie przestępstw dokonywanych przez zwykłych ludzi byłoby dla mnie dzieciinną igraszką - odparła wyniośle Max.

- No dobrze, mamy więc kometa, która dziewięć tysięcy lat temu uderza w Ziemię w miejscu dzisiejszej kanadyjskiej prowincji i powoduje globalną katastrofę.

- To jedynie pierwszy akt. Sedno opowieści pojawia się dopiero potem, z opisem istniejącej przed katastrofą cywilizacji. Niemal wszyscy jej przedstawiciele zginęli, a ci, którzy przeżyli, byli

zbyt słabi, żeby odbudować imperium. Uznali więc, że ich misją jest wędrowanie po świecie i nauczanie ówczesnych prymitywnych mieszkańców Ziemi, którzy przeżyli w różnych kryjówkach. Budowali też pomniki ostrzegające przed nadejściem następnej katastrofy.

- Dlaczego spodzielali się kolejnego zagrożenia z kosmosu?

- Domyślam się, że przewidzieli powrót drugiej komety, która dokończy dzieła zniszczenia.

Yaegerowi niemal odebrało mowę.

- Czy sugerujesz, że naprawdę istniała cywilizacja Atlantydy?

- Niczego takiego nie powiedziałam - z irytacją odparła Max. - Nie ustaliłam, jak siebie nazywali. Wiem jedynie, że z grubsza przypomina to legendę przekazaną przez Platona - pierwszą pisemną wzmiankę o krainie zwanej Atlantyda. Platon podaje zapis rozmowy, która odbyła się dwieście lat wcześniej między jego przodkiem, ateńskim mężem stanu Solonem, a kapłanem egipskim.

- Tę legendę znają wszyscy - powiedział Yaeger, wybiegając myślami w dal. - Kapłan opowiedział o większym od Australii wyspowym kontynencie, wyrastającym na Atlantyku na zachód od Słupów Heraklesa - czy jak byśmy dziś powiedzieli: Cieśniny Gibraltarskiej. Kilka tysięcy lat temu ląd ten uległ potężnemu wstrząsowi i zniknął. Zagadka ta do dziś fascynuje ciekawskich i jest obiektem drwin naukowców. Osobiście zgadzam się z akademikami, że Atlantyda to tylko dawna opowieść science fiction.

- Może wcale nie był to wymysł.

Yaeger stał tuż przy Max ze ściągniętymi brwiami.

- Nie ma żadnych geologicznych podstaw, by uważać, że dziewięć tysięcy lat temu na środku Atlantyku zatonał kontynent. Atlantyda nigdy nie istniała. Na pewno nie między Afryką Północną a Karaibami. Ogólnie uznaje się, że legenda jest powiązana z katastrofalnym trzęsieniem ziemi i powodzią, spowodowanymi wybuchem wulkanu na wyspie Thera, noszącej dziś nazwę Santorini, które zniszczyły na Krecie wspaniałą cywilizację minojską.

- A więc uważasz, że opis Atlantydy z platońskich dialogów Kritias i Timaios to wymysł?

- Nie opis, Max - pouczył Yaeger komputer. - Platon przedstawił tę historię w dialogach, gatunku literackim popularnym w starożytnej Grecji.

Opowieść nie jest prezentowana w trzeciej osobie przez autora, lecz przez dwie lub więcej osób, zadających sobie nawzajem pytania. Tak, uwierz mi.

Platon wymyślił Atlantyde, z radością przewidując, że przyszłe pokolenia połkną oszustwo i napiszą o niej tysiąc książek, bez końca na ten temat debatując.

- Jesteś uparty, Yaeger - stwierdziła Max. - Podejrzewam więc, że nie wierzysz także w przepowiednie sławnego medium, Edgara Cayce'a?

Yaeger powoli pokręcił głową.

- Cayce twierdził, że widział wzrost i upadek Atlantydy w rejonie Karaibów. Gdyby kiedykolwiek w tamtym rejonie istniała rozwinięta cywilizacja, na którejś z setek wysp pozostałby po niej jakiś ślad. Jak na razie nie znaleziono tam nawet kawałka starożytnego garnka.

- A co z wielkimi kamiennymi blokami, ułożonymi u wybrzeży Bimini w podwodną drogę?

- Podobne formacje geologiczne można spotkać w innych częściach świata.

- A co z kamiennymi kolumnami, które znaleziono na dnie morskim u wybrzeży Jamajki?

- Dowiedziono, że to cement, który się zestalił po tym, jak wiozący go w beczkach statek zatonał, a beczki zgniły. Spójrz prawdzie w oczy, Max.

Atlantyda to mit.

- Jesteś starym łobuzem, Hiram. Wiesz o tym?

- Mówię tylko, jak jest - odparł cierpko Yaeger. - Po prostu nie wierzę w starożytną cywilizację, która zdaniem niektórych dysponowała statkami z napędem raketowym i systemem usuwania śmieci.

- Tu cię boli. Atlantyda nie była jednym wielkim miastem, zamieszkałym przez Leonardów da Vinci i Tomaszów Edisonów, jak opisał ją Platon.

Według mnie ci starożytni stanowili wspólnotę niedużych narodów morskich.

Krążyli po wodach świata i sporządzili mapy całej kuli ziemskiej na cztery tysiące lat przedtem, zanim Egipcjanie wzniesli piramidy. Panowali na morzu. Wiedzieli, jak korzystać z prądów, i uzyskali wielką wiedzę astronomiczną i matematyczną, co czyniło z nich mistrzów nawigacji. Zbudowali sieć miast-portów i utworzyli imperium handlowe, wydobywając i transportując rudy, z których wytwarzali metale. Ich współcześni, którzy mieszkali na wyżej położonych terenach, prowadzili koczowniczy tryb życia i przeżyli katastrofę.

Żeglarze mieli pecha. Zalało ich wielkie tsunami i zginęli bez śladu. To, co pozostało po ich portach, znajduje się na dnach oceanów, zasypane setkami metrów mułu.

- Odczytałaś i zebrałaś wszystkie te informacje od wczoraj? - spytał Yaeger, nie kryjąc zdziwienia.

- Nie zamierzam czekać, aż trawa wyrośnie mi pod stopami ani, pozwolę sobie dodać, nie mam ochoty się przyglądać, jak rdzewieją mi wnętrzności.

- Max, jesteś mistrzem.

- To nic wielkiego. W końcu ty mnie zbudowałeś.

- Dałaś mi wiele do myślenia. Nie jestem w stanie przetrwać wszystkiego naraz.

- Idź do domu, Hiram. Zabierz żonę i dzieciaki do kina. Prześpij się, a ja pomęcę moje procesory. Rano, kiedy tu usiądziesz, powiem ci coś, co cię naprawdę zaskoczy.

25

Pat sfotografowała napisy i dziwne mapy świata, a potem poleciała z Giordinem do Kapsztadu. Tam odwiedzili w szpitalu Rudiego Gunna, który właśnie przeszedł operację. Powodując wielkie poruszenie, Gunn - wbrew zaleceniom lekarzy - namówił Giordina, żeby pomógł mu wydostać się ze szpitala. Giordinowi nie trzeba było tego powtarzać. Przy dużej pomocy Pat przebili się przez szeregi lekarzy i pielęgniarek do podziemia, gdzie wsiedli do czekającej już limuzyny. Ta dowiozła ich na lotnisko. Stał tam w gotowości odrzutowiec Agencji, który miał dostarczyć ich do Waszyngtonu.

Pitt został z doktorem Hatfieldem i oddziałem SEAL. Zapakowali starannie znaleźiska i poleciełi helikopterem na wysłany na Saint Paul statek oceanograficzny Agencji. Hatfield krążył nad mumiami, delikatnie owijał je kocami i układał w drewnianych skrzyniach, w których miały pojechać na dokładne badania do Uniwersytetu Stanforda.

Kiedy ostatnią mumię załadowano do helikoptera, Hatfield zdecydował się towarzyszyć im w krótkiej podróży na statek. Pitt uścisnął dłoń porucznikowi Jacobsowi.

- Jesteśmy wdzięczni za pomoc, poruczniku. I proszę w moim imieniu podziękować swoim ludziom. Bez nich nigdy byśmy sobie nie poradzili.

- Nieczęsto dostajemy zadanie opiekowania się mumiami - odparł z uśmiechem Jacobs. - Niemal żałuję, że terroryści nie próbowali nam ich odebrać.

- Nie sądzę, by to byli terroryści w dokładnym tego słowa znaczeniu.

- Morderca to morderca - bez względu na to, jak się go nazwie.

- Wracacie do Stanów?

Jacobs skinął głową.

- Mamy rozkaz przewieźć ciała napastników, tak skutecznie usuniętych przez pańskich przyjaciół, do szpitala Waltera Reeda w Waszyngtonie. Tam je zbadają i spróbują zidentyfikować.

- Powodzenia.

Jacobs zasalutował.

- Może kiedyś się jeszcze spotkamy.

- Jeśli nam to pisane, mam nadzieję, że na plaży Tahiti.

Pitt stał w nie kończącej się mżawce i patrzył, jak helikopter z ruchomymi silnikami zawisł nad ziemią, by pozwolić wsiąść komandosom. Stał jeszcze, kiedy maszyna zniknęła w niskiej chmurze. Był teraz jedynym człowiekiem na wyspie.

Wrócił do pustej komnaty grobowca i ostatni raz popatrzył na wyryte w przeciwległej ścianie mapy świata.

Kim byli starożytni, którzy umieli kilka tysięcy lat temu narysować tak dokładne mapy? Jak udało im się stworzyć mapę Antarktydy z okresu, kiedy nie okrywała jej gruba warstwa lodu? Czyżby południowy kontynent kilka tysięcy lat temu był pod wpływem łagodniejszego klimatu? Czy możliwe, żeby mieszkali tu ludzie?

Zarys pozbawionej lodu Antarktydy nie był jedyną osobliwością. Pitt nie wspomniał o tym, ale dziwiła go także pozycja pozostałych kontynentów. Nie znajdowały się na swoich miejscach. Zdaniem Pitta obie Ameryki, Europa i Azja leżały przynajmniej trzy tysiące kilometrów bardziej na północ niż w rzeczywistości. Dlaczego starożytni, którzy z taką dokładnością umieli ustalić przebieg linii brzegowej, przesunęli kontynenty? Nic z tego nie rozumiał.

Żeglarze ewidentnie mieli wiedzę, która wykraczała daleko poza osiągnięcia następujących po nich cywilizacji. Zdawało się także, że w ich epoce dużo lepiej rozwinęła się sztuka pisania i porozumiewania się. Jaką wiadomość - w trwały sposób wykutą w kamieniu - próbowali przekazać przyszłym pokoleniom? Czy niosła nadzieję, czy też była ostrzeżeniem przed nadchodzącą katastrofą?

Zamęt w głowie Pitta przerwał odgłos pracy silnika helikoptera, który przybył, by zabrać go na statek badawczy. Z ociążaniem zgasił latarkę, co przerwało tok myśli. Wyszedł z ciemnej komory.

Pitt, nie czekając na maszynę rządową, poleciał z Kapsztadu do Johannesburga, gdzie złapał samolot South African Airlines, lecący do Waszyngtonu. Większość drogi przespał. Wstał jedynie na kilka minut podczas postoju na Wyspach Kanaryjskich, gdzie samolot tankował. Kiedy wyszedł z terminalu na lotnisku Dullesa, zbliżała się północ. Mile zaskoczył go widok czekającego przy krawężniku forda kabrioletu z trzydziestego szóstego roku z opuszczonym dachem. Przerobiony i podrasowany na niezłą raketę wyglądał wspaniale, jak dziecko Kalifornii lat pięćdziesiątych. Karoseria pomalowana metalizującym lakierem w kolorze między ciemną czerwieńią a śliwką migotała w światłach terminalu. Prądkowane zderzaki pochodziły z deSoto rocznik trzydziesty szósty. Przednie koła zaopatrzone w fantazyjne kołpaki, tylne okrywały fartychy w kształcie łez. Siedzenia z

przodu i minikanapę z tyłu pokryto skórą w kolorze herbatnika. Elegancki samochód napędzał silnik V-8 z płaską głowicą, kompletnie przebudowany, by wydusić z niego dwieście dwadzieścia pięć koni mocy. Z tyłu umieszczono pięćdziesięcioletnią skrzynię biegów z nadbiegiem.

Jakby tego było mało, za kierownicą siedziała olśniewająco piękna kobieta. Długie włosy koloru cynamonu chroniła przed wiatrem kolorową chustką. Miała wydatne jak modelka kości policzkowe oraz pełne usta. Całości dopełniał krótki, prosty nos i wabiące fioletowe oczy. Miała na sobie gruby golf z alpaki w kolorze jesiennych liści, szarobrazowe wełniane spodnie i podobnego koloru sięgający kolan barani kożuszek.

Członkini Kongresu Loren Smith z Kolorado uśmiechnęła się zachęcająco.

- Ileż to razy tak się spotykaliśmy, a ja mówiłam: „Witam w domu marynarzu”.

- Przypominam sobie przynajmniej osiem - odparł Pitt, szczęśliwy, że jego romantyczna wieloletnia miłość znalazła mimo napiętego planu dnia chwilę, by wyjechać na lotnisko jednym z jego samochodów.

Rzucił torbę na tylne siedzenie, wsiadł do samochodu i pocałował kobietę. Długo trzymał ją w ramionach. Kiedy w końcu usiadł normalnie, Loren westchnęła.

- Uważaj, nie chcę skończyć jak Clinton.

- Opinia publiczna sprzyja romansom kobiet polityków.

- Tak ci się tylko wydaje. - Loren wcisnęła dźwignię zapłonu, potem guzik startera. Silnik zaskoczył od razu i rozległo się łagodne, lekko gardłowe perkotanie. - Dokąd? Do twojego hangaru?

- Nie, chciałbym na chwilę wpaść do centrali Agencji i sprawdzić najnowsze wiadomości od Hiram Yaegera w związku ze sprawą, nad którą pracujemy.

- Chyba jesteś jedynym mężczyzną w Ameryce, który nie ma komputera w domu.

- Nie chcę - odparł poważnie. - Nawet bez surfowania po Internecie i odpowiadania na e-maile ledwie starcza mi czasu na pracę.

Loren ruszyła spod krawężnika i pojechała w kierunku miasta. Pitt siedział milczący i zamyślony. Wkrótce pojawił się przed nimi oświetlony pomnik George'a Washingtona. Loren wystarczająco dobrze знаła Dirka, by mu nie przerywać. Wiedziała, że za kilka minut wróci na ziemię.

- Co nowego w Kongresie? - spytał w końcu.

- Jakby cię to obchodziło.

- Tak nudno?

- Debata budżetowa nie jest najlepszym afrodyzjakiem dla dziewczyny. - Jej głos zrobił się łagodniejszy. - Słyszałam, że Rudi Gunn został paskudnie postrzelony.

- Chirurg w Afryce Południowej, specjalizujący się w rekonstrukcji kości, znakomicie się spisał. Rudi będzie kilka miesięcy kuśtykał, ale nie powstrzyma go to przed kierowaniem sprawami Agencji zza biurka.

- Al mówił, że miałeś parę problemów na Antarktydzie.

- Nie tyle co on na skalnej wysepce, przy której wyspa Alcatraz wygląda jak ogród botaniczny.

Odwrócił się do niej, nad czymś się zastanawiając.

- Jesteś członkinią Komisji Handlu Międzynarodowego?

- Jestem.

- Znasz jakieś duże korporacje w Argentynie?

- Byłam tam kilka razy i spotykałam się z ich ministrami finansów i handlu zagranicznego.

Dlaczego pytasz?

- Czy słyszałaś kiedyś o czymś, co nazywało się New Destiny Company albo Korporacja Czwartego Imperium?

Loren chwilę myślała.

- Raz, podczas misji handlowej, spotkałam się w Buenos Aires z dyrektorem generalnym Destiny Enterprises. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się Karl Wolf.

- Kiedy to było?

- Cztery lata temu.

- Masz znakomitą pamięć do nazwisk.

- Karl Wolf był bardzo przystojny i elegancki, prawdziwy uwodziciel.

Kobiety nie zapominają takich mężczyzn.

- W takim razie dlaczego ciągle kręcisz się koło mnie?

Popatrzyła na niego i obdarowała go prowokacyjnym uśmiechem.

- Kobiety przyciągają także przyziemni, nieokrzesani i jurni mężczyźni.

- Nieokrzesany i jurny do mnie pasuje. - Objął ją i lekko ugryzł w ucho.

Odsunęła głowę.

- Nie kiedy prowadzę.

Czule ścisnął jej prawe kolano i ułożył się wygodnie w fotelu. Zaczął patrzeć w gwiazdy, które migotały w chłodnym, nocnym powietrzu. Gałęzie nad ich głowami zaczynały wypuszczać liście. Karl Wolf - powtórzył kilka razy. Dobre niemieckie nazwisko. Warto było przyjrzeć się Destiny Enterprises - nawet gdyby miało się to okazać chybionym strzałem.

Loren płynnie wyprzedzała nieliczne samochody, które o tej porze poruszały się jeszcze po ulicach, i wkrótce wjechała do podziemnego parkingu Agencji. Z budki wyszedł strażnik, poznał Pitta i machnął, by jechali. Udał, że stary ford go nie zachwyca. Na głównym poziomie parkingowym stały tylko trzy samochody. Loren zatrzymała się przy windzie, zgasiła światła i wyłączyła silnik.

- Chcesz, bym z tobą weszła?

- To potrwa tylko kilka minut - stwierdził Pitt, wysiadając.

Wjechał windą do głównego holu, gdzie kabina automatycznie się zatrzymała. Tam musiał wpisać się do księgi strażnikowi, otoczonemu monitorami ukazującymi różne miejsca budynku.

- Zamierza pan tak późno pracować?

- Wpadłem tylko na chwilę - odparł Pitt, walcząc z ziewaniem.

Zanim wjechał na swoje piętro, zatrzymał się na dziewiątym. Tak jak podejrzewał, Hiram Yaeger jeszcze pracował. Kiedy Pitt wszedł do jego królestwa, podniósł zaczerwienione z niewyspania oczy.

- Dirk... - mruknął i wstał, by się przywitać. - Nie spodziewałem się tu ciebie o tej porze.

- Pomyślałem, że rzucę okiem na to, co wydarliście wraz z doktor O'Connell mrokom przeszłości.

- Nienawidzę banalnych metafor - powiedziała Max.

- Wystarczy twoich mądrości - upomniał ją Yaeger z udawaną irytacją i ponownie zwrócił się do Dirka. - O dziesiątej wieczór zostawiłem na biurku admirała pisemny raport.

- Pożyczę go i zwrócę z samego rana.

- Nie spiesz się. Dopółdnia ma spotkanie z dyrektorem Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery.

- Powinieneś być w domu z żoną i dziećmi.

- Pracowałem do późna z doktor O'Connell - stwierdził Yaeger i potarł oczy. - Minałeś się z nią.
- Przyszła tu bez odpoczynku po podróży?
- Zdziwiająca kobieta. Gdybym nie był żonaty, zakręciłbym się koło niej.
- Zawsze pociągały cię kobiety z akademickim wykształceniem.
- Zawsze mówię, że inteligencja jest ważniejsza niż uroda.
- Możesz coś powiedzieć, zanim przeczytam raport?
- To zdumiewająca historia - powiedział niemal tęsknie Yaeger.
- Potwierdzam - wtrąciła Max.
- To prywatna rozmowa! - rzucił nerwowo Yaeger do wizerunku na ekranie i wyłączył komputer.

Wstał i przeciągnął się. - Mamy niewiarygodną opowieść o rasie żeglarzy, żyjących w czasach prehistorycznych. W pewnym momencie w Ziemię uderzyła kometa. To spowodowało powstanie wielkich fal, które zalały zbudowane przez nich nadmorskie miasta-porty. Były niemal w każdym zakątku świata. Żyli i zginęli w zapomnianych czasach, w świecie, który w niczym nie przypominał naszego.

- Kiedy ostatnio rozmawiałem z admirałem, nie odrzucał hipotezy o Atlantydzie.

- Zaginiony kontynent na środku Atlantyku nie pasuje do obrazu - poważnie powiedział Yaeger - ale nie ma wątpliwości, że istniała unia morskich narodów, której przedstawiciele opłynęli wszystkie morza i sporządzili dokładne mapy każdego zakątka świata. - Przerwał i popatrzył na Pitta. - Zdjęcia napisów i map świata z komory grobowej, które zrobiła Pat, są w laboratorium. Powinny czekać na mnie z samego rana, przygotowane, aby wprowadzić je do komputera.

- Ukazują rozmieszczenie kontynentów różniące się znacznie od dzisiejszego.

Zaczerwienione oczy Yaegera patrzyły z namysłem.

- Czuję, że miało miejsce coś znacznie gorszego niż uderzenie komety. Przejrzałem dane geologiczne, które moi ludzie zebrali przez minione dziesięć lat. Epoka lodowcowa skończyła się nagle, towarzyszyły temu gwałtowne ruchy mórz.

Poziom wód jest dziś o ponad sto metrów wyższy niż dziewięć tysięcy lat temu.

- To oznacza, że każda budowla Atlantydy oraz wszelkie po nich pozostałości są głęboko pod wodą. Nie wspominając o mule.

- Mówili o sobie Atlantydzi?

- Wątpię, by znali znaczenie tego słowa - odparł Yaeger. - Słowo Atlantyda pochodzi z greckiego i oznacza „córkę Atlasa”. Dzięki Platonowi stało się znane jako synonim świata z epoki prehistorycznej czy, inaczej mówiąc, cywilizacji przedpotopowej. Dziś każdy, kto umie czytać - a nawet ci, którzy czytać nie umieją, słyszał o Atlantydzie. Wiele instytucji - hotele w ośrodkach turystycznych, firmy innowacyjne i finansowe, sklepy, producenci basenów - i tysiące produktów, zwłaszcza wina i produkty żywnościowe, mają w nazwie Atlantyde. O zaginionym kontynencie napisano niezliczoną liczbę książek i artykułów, był on tematem licznych filmów telewizyjnych i kinowych. Do dziś opowieść o Atlantydzie była czymś więcej niż tylko fantazją Platona jedynie dla miłośników Świętego Mikołaja, UFO i sił nadprzyrodzonych.

Pitt podszedł do drzwi i odwrócił się.

- Ciekaw jestem, co ludzie powiedzą, kiedy dowiedzą się, że ta cywilizacja rzeczywiście istniała?

Yaeger uśmiechnął się.

- Wielu powie: „A nie mówiłem?”.

Po wyjściu od Yaegera Pitt pojechał na piętro z gabinetami dyrektorskimi. Kiedy wysiadł z windy, jego uwagę zwróciło przyciemnione światło w korytarzu prowadzącym do gabinetu admirała Sandeckera. Zdziwiło go, że się pali, choć mogło być ku temu wiele powodów. Doszedł do końca korytarza i pchnął szklane drzwi do przedpokoju, skąd wchodziło się do jego wewnętrznego gabinetu oraz prywatnej sali konferencyjnej. Kiedy wszedł do środka i mijał biurko zajmowane przez Julie Wolff, sekretarkę admirała, poczuł charakterystyczny aromat kwiatu pomarańczy.

Otworzył drzwi gabinetu, zatrzymał się w drzwiach i zaczął macać w poszukiwaniu kontaktu. Zanim zdążył go znaleźć, z ciemności wypadła jakaś postać i pochyłona skoczyła na niego. Zbyt późno zareagował - głowa intruza walnęła go prosto w brzuch. Zatoczył się do tyłu i choć ustał na nogach, zgiął się wpół i stracił oddech. Sięgnął ręką ku napastnikowi, lecz ten z łatwością się wykręcił.

Z trudem łapiąc oddech i trzymając się ręką za brzuch, Pitt znalazł kontakt i zapalił światło. Wystarczyło jedno spojrzenie na biurko, żeby cel intruza stał się jasny. Admirał zawsze miał idealny porządek, co wieczór, przed opuszczeniem biura i powrotem do mieszkania w Watergate, starannie chował dokumenty do szuflad. Raport Yaegera o starożytnych żeglarzach zniknął.

Choć czuł, że żołądek zaplątał mu się w wielki supeł, Pitt pobiegł do wind. Jedna - ze złodziejem zjeżdżała, druga stała piętro niżej. Gorączkowo nacisnął kilka razy przycisk i czekał, biorąc głębokie oddechy, by odzyskać siły. W końcu drzwi windy rozsunęły się, wskoczył do środka i wcisnął przycisk piętra, na którym znajdował się parking. Kabina zjeżdżała szybko bez przystanków. W myśli podziękował producentowi.

Wyskoczył, zanim drzwi do końca się otworzyły, i kiedy dobiegał do forda, za rogiem właśnie zniknęła para czerwonych świateł. Otworzył gwałtownie drzwi kierowcy, pchnął Loren na bok i uruchomił silnik.

Loren spojrzała na niego pytająco.

- Gdzie się pali?

- Widziałaś mężczyznę, który właśnie odjechał? - Wrzucił bieg i wcisnął gaz.

- Nie mężczyznę, a kobietę w drogim futrze, zarzuconym na skórzany garnitur.

Pitt uznał, że Loren na pewno nie myliła się w takich szczegółach. Silnik forda ryknął, opony zostawiły na betonie dwa pasma spalonej gumy i auto skoczyło z przeraźliwym piskiem do przodu. Pomknęli rampą, Pitt gwałtownie zahamował przy budce strażnika. Strażnik stał przy podjeździe i patrzył w dal.

- Którędy pojechali? - krzyknął Pitt.

- Śmignął obok mnie, nim zdążyłem go zatrzymać - jęknął oszołomiony strażnik. - Skręcił na południe, w stronę alei. Wezwać policję?

- Wezwij! - rzucił Pitt, wyjechał na ulicę i pognał w kierunku pobliskiej alei Washington Memorial. - Jaki samochód? - spytał Loren.

- Czarny chrysler 300M z trzyipółlitrowym silnikiem, dwieście pięćdziesiąt trzy konie. Od zera do setki w dziesięć sekund.

- Znasz parametry? - spytał zaskoczony Pitt.

- Powinnam - odparła Loren. - Mam takiego.

- Wypadło mi z pamięci.

- Ile mocy ma ten wynalazek? - wrzasnęła, przekrzykując hałas silnika.

- Jakies dwieście dwadzieścia pięć - odparł Pitt i włączył napęd na cztery koła.

- Różnica klas.

- Weź pod uwagę, że ważymy czterysta kilo mniej - odparł spokojnie Pitt, wrzucając kolejne biegi. - Nasza złodziejka może mieć większą maksymalną prędkość i lepszą stabilność na zakrętach, ale nadrobimy przyspieszeniem.

Wraz ze wzrostem obrotów zmodyfikowany silnik wył coraz głośniej. Kiedy wskazówka prędkościomierza dochodziła do stu pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, Pitt wcisnęła klawisz włączający nadbieg. Kiedy samochód pokonał granicę stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, obroty spadły o połowę.

Ruch o tej porze był niewielki i na jasno oświetlonej alei Pitt wkrótce ujrzał czarnego chryslera. Choć uciekający samochód przekroczył ograniczenie o trzydzieści kilometrów, mógł jechać dużo szybciej. Kierowca zjechał na pusty prawy pas - najwyraźniej bardziej obawiał się policji niż pogoni z budynku Agencji.

Kiedy ford znalazł się trzysta metrów od chryslera, Pitt zaczął zwalniać i chować się za wolniejsze samochody, żeby nie za bardzo rzucać się w oczy. Czuł się pewnie, sądził już, że zwierzyzna go nie zauważyła, kiedy chrysler gwałtownie skręcił na most Francisa Scotta Keya. Na przeciwległym brzegu Potomacu skręcił ostro w lewo, a następnie w prawo, w willową dzielnicę Georgetown. Zarzucając tyłem, z piskiem protestujących opon uciekiniarka zniknęła za rogiem.

- Chyba jest lepsza od ciebie - powiedziała Loren, drżąc od podmuchów wpadającego za szybę zimnego wiatru.

- Jest niezła - mruknął Pitt, sfrustrowany, że przegrywa. Mocno chwycił staromodną kierownicę i przekręcił ją gwałtownie do oporu. Ford zakręcił o dziewięćdziesiąt stopni. - Zamiast wiać przed siebie, skręca, gdzie się da.

Ma nadzieję, że odsadzi się od nas na tyle, żeby zawrócić, i że nie zauważymy, którądy pojechała.

Była to zabawa w kotka i myszkę - chrysler odjeżdżał na zakrętach, sześćdziesięciopięcioletni kabriolet odrabiał straty na prostych dzięki lepszemu przyspieszeniu. Po siedmiu przecznicach dystans właściwie się nie zmienił.

- To dla mnie coś nowego - mruknął Pitt, ponuro ściskając kierownicę.

- Co masz na myśli?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się krzywo.

- Po raz pierwszy to ja gonię.

- To może potrwać do rana - stwierdziła Loren, która ściskała kurczowo klamkę, jakby szykowała się na wyskoczenie w razie wypadku.

- Albo do czasu, aż komuś z nas skończy się benzyna.

- Nie objeźdzaliśmy już raz tego kwartału?

- Objeźdzaliśmy.

Pitt wyskoczył zza kolejnego zakrętu i zauważył, że tylne światła chryslera nagle się zapalają, a auto gwałtownie hamuje przed ceglany budynek - jednym z wielu przy obsadzonej drzewami ulicy. Zatrzymał się tuż przy nim akurat w momencie, kiedy kobieta zniknęła we frontowych drzwiach domu.

- Dobrze, że zrezygnowała właśnie teraz - Loren wskazała na parę, wymywającą się spod maski w okolicy chłodnicy.

- Nie zrezygnowałyby za nic, chyba że to pułapka - stwierdził Pitt, wpatrując się w ciemny budynek.

- I co teraz, szeryfie? Wycofujemy oddział pościgowy? - Rzucił jej przebiegłe spojrzenie. - Nie, pójdziesz do drzwi wejściowych i zapukasz.

Odwzajemniła spojrzenie, w świetle pobliskiej latarni widać było na jej twarzy przerażenie.

- O, na pewno pójde.

- Wiedziałem, że się nie zgodzisz. - Otworzył drzwi i wysiadł. - Tu masz mój telefon satelitarny. Jeśli nie wrócę za dziesięć minut, dzwoń na policję i zawiadom admirała Sandeckera. Przy najmniejszym dźwięku albo poruszeniu w mroku - wysiadaj, i to szybko. Jasne?

- Dlaczego nie wezwiemy policji i nie zgłosimy włamania?

- Ponieważ chcę wejść tam pierwszy.

- Masz broń?

Uśmiechnął się szeroko.

- Kto słyszał o wożeniu broni w takim samochodzie? - Otworzył schowek i wyjął latarkę. - Będzie musiała mi wystarczyć. - Pochylił się i pocałował swoją wytworną przyjaciółkę. Po chwili rozpląnął się w otaczającym dom cieniu.

Nie zapalił latarki. Pobliskie latarnie wystarczająco oświetlały wąską kamienną ścieżkę, prowadzącą na tył budynku. Ciemność i cisza irytowały go. Z tego, co dało się dostrzec, podwórze było znakomicie utrzymane i zadbane. Pokryte bluszczem wysokie mury oddzielały dom od sąsiadów. W ich oknach nie paliło się światło - musieli błogo spać w łóżkach.

Pitt był niemal pewien, że dom ma system alarmowy, póki jednak nie pojawiały się krwiożercze psy, nie widział powodu, aby się kryć. Miał nadzieję, że złodziejka i jej kumple lada chwila się pokażą. Wtedy będzie się martwił, dokąd uciekać. Doszedł do czarnych drzwi i ze zdziwieniem stwierdził, że są szeroko otwarte. Zbyt późno pojął, że złodziejka wbiegła frontowymi drzwiami, by zaraz wybiec tylnymi. Ruszył biegiem w kierunku garażu, wychodzącego na położony za domem zaułek.

Nagle noc rozerwał ryk motocyklowego silnika. Pitt jednym szarpnięciem otworzył drzwi garażu i skoczył do środka. Staromodna brama po przeciwległej stronie była szeroko otwarta. Postać w czarnym futrze i skórzanych spodniach uruchomiła motor. Właśnie zamierzała wrzucić bieg i dać gazu, gdy Pitt skoczył jej na plecy, objął rękami za szyję i przewrócił się na bok, pociągając przeciwnika za sobą.

Pitt od razu zauważył, że Loren miała rację. Ciało było za lekkie jak na mężczyznę, nie było także po męsku twarde. Zwalili się na betonową podłogę - Pitt na górze. Motocykl też upadł i zaczął się kręcić jak zwariowany bąk. Tylne koło drapało z piskiem beton, dopiero po chwili zareagował automatyczny wyłącznik i silnik zgasł. Rozpęd skierował maszynę w kierunku leżącej na podłodze dwójki - przednie koło uderzyło kobietę w głowę, rączki kierownicy - w biodro Pitta. Co prawda kość nie została złamana, ale siniak miał być widoczny przez kilka tygodni.

Wspiął się obolały na kolana i spostrzegł świecącą latarkę w miejscu, gdzie ją upuścił. Podpełzł, wziął ją i oświetlił nieruchome ciało obok motocykla - kobieta nie zdążyła założyć hełmu, więc promień światła ukazał głowę oraz długie blond włosy. Przekręcił postać na plecy i zaświecił jej w twarz.

Nad jednym okiem tworzył się guz, ale co do rysów nie mogło być pomyłki. Przednia opona motocykla pozbawiła kobietę przytomności, ale nie zabiła jej. Pitt był tak zaskoczony, że omal nie wypuścił latarki z dłoni.

Faktem jest, że krew nie może zamarznąć - chyba że wstrzyknie się w żyły lód, Pitt czuł się

jednak tak, jakby jego serce pompowało krew o temperaturze dwóch stopni poniżej zera. Klęczał wstrząśnięty, a powietrze w garażu nagle zrobiło się ciężkie od grozy. Znał leżącą obok osobę.

Bez najmniejszej wątpliwości patrzył na twarz martwej kobiety, która dotknęła jego ramienia w kadłubie zatopionego okrętu podwodnego.

26

W odróżnieniu od większości wysokich urzędników państwowych albo dyrektorów wielkich firm admirał James Sandecker zawsze przychodził na spotkania pierwszy. Lubił usiąść wygodnie, rozłożyć dokumenty i odpowiednio przygotować się do prowadzenia konferencji. Metodę taką zaczął stosować, kiedy dowodził operacjami floty w Marynarce Wojennej.

Choć dysponował wielką salą konferencyjną, w której mógł przyjmować dygnitarzy, naukowców i oficjeli rządowych, na bardziej prywatne spotkania w zaufanym gronie wybierał leżącą za ścianą jego gabinetu mniejszą salę. To było dla niego najlepsze schronienie - pobyt tu uspokajał go i stymulował intelektualnie. Na turkusowym dywanie stał czterometrowy stół otoczony wygodnymi, obitymi skórą krzesłami. Stół zrobiono z kawałka kadłuba dziewiętnastowiecznego szkunera, który przez wiele lat leżał w głębinach jeziora Erie. Na wyłożonej drogim drewnem ścianie wisiały obrazy ukazujące dawne bitwy morskie.

Sandecker kierował Agencją niczym udzielny władca - miał twardą rękę, ale był wobec swych ludzi bardzo lojalny. Po tym, jak jeden z byłych prezydentów osobiście wybrał go, by stworzył od podstaw Narodową Agencję Badań Morskich i Podwodnych, zorganizował rozbudowaną instytucję z dwoma tysiącami zatrudnionych, którzy badali każdy szczyt i każdą dolinę, znajdujące się pod powierzchnią mórz i oceanów. Agencja była szanowana na świecie za osiągnięcia naukowe, a Kongres rzadko kwestionował jej preliminarz budżetowy.

Sandecker był fanatykiem ćwiczeń sportowych, jego ciało mimo sześć i dwóch lat nie miało grama tłuszczu. Mierzył niewiele więcej ponad półtora metra, miał jasnobrązowe oczy, płomiennorude włosy i brodę a la van Dyck. Alkohol pijał okazjonalnie, głównie na waszyngtońskich przyjęciach, a jego głównym grzechem było zamiłowanie do eleganckich cygar - wielkich i aromatycznych, produkowanych i pakowanych dokładnie według jego wskazówek w małej rodzinnej firmie w Dominikanie. Nigdy nie częstował nimi gości, ale często wściekał się, gdy przyłapywał Giordina na paleniu identycznych cygar - choć żadne mu nigdy nie zginęło.

Siedział u szczytu stołu, kiedy weszli Pitt i Pat O'Connell - wstał. Podeszedł do nich i przywitał Dirka jak syna. Uścisnął mu dłoń, drugą ręką objął go za ramię.

- Miło cię widzieć.

- Powrót do owczarni to zawsze przyjemność - odparł Pitt, promieniejąc z radości. Admirał był dla niego bliski jak ojciec.

Sandecker zwrócił się do Pat.

- Proszę siadać, pani doktor. Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć, co dla mnie przygotowaliście z Hiramem.

Wkrótce nadeszli Giordino i Yaeger, a za nimi doktor John Stevens, znany historyk i autor kilku

książek o badaniu i identyfikowaniu starożytnych znalezisk. Stevens był typowym nauczycielem akademickim - ubranym w bezrękawnik i wełniany sportowy płaszcz, z którego kieszonki wystawała fajka z morskiej pianki. Miał nawyk przekrzywania głowy, czym przypominał dzięcioła, przysłuchującego się poruszającym się pod korą robakom. Przyniósł ze sobą wielką przenośną lodówkę, którą umieścił obok krzesła na dywanie.

Sandecker postawił przed sobą służącą za popielniczkę odpiłowaną końcówkę łuski po dwustumilimetrowym pocisku i zapalił cygaro. Wpatrywał się w Giordina, niemal oczekując, że i on zapali. Al uznał jednak, że nie należy denerwować szefa, i próbował zachowywać się kulturalnie.

Pitt od razu zwrócił uwagę na to, że twarze Yaegera i Pat zdradzają nadmierne zmęczenie i napięcie.

Sandecker zapytał na wstępie, czy wszyscy mieli okazję przeczytać raport Pat i Yaegera. Poza Giordinem wszyscy kiwnęli głowami.

- Był ciekawy - powiedział - ale jako science fiction nie umywa się do dzieł Isaaca Asimova ani Raya Bradbury'ego.

Yaeger wbił w niego twarde spojrzenie.

- Zapewniam cię, że to nie jest science fiction.

- Odkryliście, jak ci ludzie siebie nazywali? - spytał Pitt. - Czy poza określeniem Atlantyda spotyka się jakąś inną nazwę?

Pat otworzyła leżącą przed nią teczkę i wyjęła z niej jakąś kartkę.

- O ile mogę to odczytać i przetłumaczyć na angielski, swoją unię żeglarskich miast-państw nazywali Amenes, co wymawiało się mniej więcej aminis.

- Amenes... - powoli powtórzył Pitt. - Brzmi z grecka.

- Odczytałam szereg słów, od których może pochodzić wiele późniejszych słów greckich i egipskich.

Sandecker kiwnął końcem cygara na historyka.

- Doktorze Stevens, rozumiem, że zbadał pan czaszki.

- Tak jest. - Stevens pochylił się, otworzył lodówkę i wyjął jedną z obsydianowych czaszek. Położył ją na wielkiej jedwabnej poduszce, przygotowanej na środku stołu konferencyjnego. Wypolerowany obsydian błyszczał w świetle. - To naprawdę godny podziwu wyrób - powiedział z uznaniem. - Rzemieślnicy Amenów zaczynali od bloku obsydianu, pozbawionego jakichkolwiek wad, co jest wielką rzadkością. Czaszka była wykonywana ręcznie przez dziewięćdziesiąt, może sto lat, powierzchnię kształtowano przez szlifowanie, moim zdaniem używano do tego pyłu obsydianowego.

- Nie dłut ani czegoś w tym rodzaju? - spytał Giordino. Stevens pokręcił głową.

- Nie używano żadnych narzędzi. Nie ma żadnych śladów zadrapań ani nacięć. Obsydian, choć bardzo twardy, jest niezwykle kruchy. Jedno obsunięcie się narzędzia, jedno ustawienie dłuta pod nieodpowiednim kątem i czaszka rozprysłaby się na kawałki. Nie - zastosowano tu ścieranie i polerowanie. Tak jakby robiono marmurowe popiersie, używając pasty polerskiej.

- Ile czasu zajęłoby stworzenie czegoś takiego przy użyciu nowoczesnych narzędzi?

Stevens lekko się uśmiechnął.

- Technicznie biorąc, stworzenie kopii byłoby w zasadzie niemożliwe. Im dłużej studiuję tę czaszkę, tym bardziej wydaje mi się, że nie powinna istnieć.

- Czy są na niej jakieś znaki wskazujące źródło pochodzenia? - spytał Sandecker.

- Nie ma żadnych znaków, ale proszę pozwolić mi pokazać coś, co jest naprawdę zaskakujące. -

Z ogromną ostrożnością przekręcił czerep, jakby był zakrętką słoika. Uniósł górną część czaszki, po czym wyjął ze środka idealną kulę. Trzymając ją nabożnie w rękach, położył na przygotowaną poduszkę. - Nie jestem w stanie wyobrazić sobie stopnia kunsztu artystycznego, koniecznego do wytworzenia tak zachwycającego obiektu. Dopiero po obejrzeniu czaszki pod silnym powiększeniem zauważyłem na jej obwodzie cieniutką kreskę.

- Niesamowite - szepnęła z podziwem Pat.

- Czy na kuli są jakieś rzeźbienia? - spytał Pitt.

- Tak, to przedstawienie kuli ziemskiej. Jeśli chce pan przyjrzeć się bliżej, mam szkło powiększające.

Podał grube szkło, przez które Pitt zaczął się przyglądać kuli o wymiarach piłki tenisowej. Po minucie przesunął kulę w kierunku Sandeckera i podał mu szkło powiększające.

Podczas gdy admirał oglądał globus, Stevens wyjaśniał.

- Porównanie zdjęć z komory w Kolorado i z grobowca na wyspie Saint Paul wykazało, że układ kontynentów jest taki sam jak na obsydianowym globusie.

- Jakie ma to znaczenie? - spytał Sandecker.

- Jeśli przyjrzy się pan kontynentom i wielkim wyspom, takim jak Grenlandia, zauważy pan, że są położone w innych miejscach niż dzisiaj.

- Zauważyłem te różnice - powiedział Pitt.

- Czego to dowodzi? - spytał Giordino, który wszedł w rolę sceptyka. - Poza tym, że mapa jest prymitywna i niedokładna?

- Prymitywna? Tak. Niedokładna? Może według dzisiejszych standardów. Ci starożytni opłynęli jednak każde morze na Ziemi i nanieśli na mapy tysiące kilometrów linii brzegowej. Jeśli przyjrzy się pan dokładniej obsydianowemu globusowi, zauważy pan, że przedstawili na nim nawet Australię, Japonię i wielkie jeziora Ameryki Północnej. A dokonano tego ponad dziewięć tysięcy lat temu!

- Chociaż Platon umieścił Atlantydę na jednej wielkiej wyspie albo kontynencie - wtrąciła Pat - Amenowie prowadzili handel na całym świecie. Dotarli znacznie dalej niż o wiele późniejsze cywilizacje. Nie ograniczały ich tradycja ani lęk przed nieznanymi oceanami. Napisy przedstawiają ze szczegółami ich drogi morskie oraz rozległą sieć handlową. Pokonywali Atlantyk i docierali Rzeką Świętego Wawrzyńca do Michigan, gdzie kopali miedź, w Boliwii i na Wyspach Brytyjskich wydobywali cynę, stosując nowoczesne technologie metalurgiczne, odkryli brąz i produkowali go, co oznacza, że przeszli z epoki kamiennej do epoki brązu.

Sandecker pochylił się do przodu.

- Z pewnością handlowali także srebrem i złotem...

- Dziwne, ale nie uważali złota ani srebra za użyteczne metale. Do wyrobu ozdób i dzieł sztuki woleli używać miedzi. Jeździli jednak po świecie w poszukiwaniu turkusów i czarnych opali, z których wyrabiali biżuterię. Obsydian był dla nich niemal święty. Tak a propos, do dziś stosuje się go przy operacjach na otwartym sercu. Jego ostre krawędzie powodują mniej uszkodzeń tkanki niż stalowy skalpel.

- Mumie, które znaleźliśmy w komorze grobowej, miały sporo ozdób zarówno z turkusów, jak i czarnych opali - zauważył Giordino.

- To pokazuje jedynie, jak daleko docierali - odparła Pat. - Barwnik, z którego otrzymano błękit na ubraniach mumii z grobowca, może pochodzić jedynie z pustyń na południowym zachodzie Ameryki Północnej.

- A czarne opale? - spytał Sandecker.

- Z Australii.

- W takim razie - powiedział zamyślony Pitt - Amenowie już tysiące lat temu mieli wiedzę nautyczną i umiejętności budowania statków, wystarczające do żeglowania po oceanach.

- To wyjaśnia także, dlaczego gromadzili się wokół miast portowych - dodała Pat. - Na fotografii z grobowca widać wyraźnie, że niewiele społeczeństw w historii ludzkości było tak rozproszonych. Zlokalizowałam ponad dwadzieścia miast w tak odległych częściach świata jak Meksyk, Peru, Indie, Chiny, Japonia i Egipt. Wiele leżało na Oceanie Indyjskim, kilka na wyspach Pacyfiku.

- Mogę poprzeć twierdzenia doktor O'Connell tym, co odczytałem z globusa z czaszki - dodał Stevens.

- Czyli ich świat - w odróżnieniu od późniejszych cywilizacji - nie koncentrował się wokół Morza Śródziemnego? - spytał admirał.

Stevens pokręcił przecząco głową.

- Za czasów Amenów teren, który znamy jako Morze Śródziemne, nie był morzem. Dziewięć tysięcy lat temu znajdowały się tam płodne doliny i jeziora, zaopatrywane w wodę przez europejskie rzeki i Nil z południa, które zlewały się w jedno koryto, a następnie wspólnie wpływały do Atlantyku przez dzisiejszą Cieśninę Gibraltarską. Może zaciekawia was także to, że Morze Północne było suchą niziną, a Wyspy Brytyjskie częścią kontynentu europejskiego. Bałtyk był szeroką doliną, biegnącą wysoko nad poziomem morza. Pustynie Gobi i Sahara porastała bujna roślinność, żywiąca wielkie stada zwierząt. Starożytni mieszkali na planecie bardzo różnej od naszej.

- Co się stało z Amenami? - spytał Sandecker. - Dlaczego do tej pory nie natrafiono na żadne ślady ich istnienia?

- Ich cywilizacja została zniszczona, kiedy siedem tysięcy lat przed naszą erą w Ziemię uderzyła kometa, powodując globalny kataklizm. Wtedy pękło pasmo ziemi łączące Gibraltar z Marokiem i powstało Morze Śródziemne. Linie brzegowe zmieniły się na zawsze. W czasie potrzebnym kropli deszczu na spadnięcie z chmury na ziemię Amenowie, ich miasta i cała kultura zniknęli z powierzchni ziemi. Ślad po nich zaginął. Aż do dziś.

- I to wszystko odczytaliście z napisów?

- To i jeszcze więcej - z powagą odpowiedział Yaeger. - Opisałi przerażające sceny cierpienia ze wszystkimi szczegółami. Uderzenie komety było gigantyczne, nagłe i śmiertelne. Inskrypcje mówią na przykład o górach, które dygotały jak osika na wietrze. Trzęsienia ziemi osiągnęły niespotykaną moc. Wulkany wybuchały z siłą tysięcy bomb atomowych, wypełniając atmosferę warstwą pyłu niewyobrażalnej grubości. Pumeks pokrył powierzchnię mórz na trzy metry. Rzeki lawy zalały większą część dzisiejszego północno-zachodniego Pacyfiku. Huragany rozdmuchiwały pożary, tworząc wysokie, zakrywające niebo chmury dymu. Na lądy wlały się pięciokilometrowe tsunami. Zniknęły wyspy na zawsze zalane wodą. Większość ludzi, zwierząt lądowych i morskich zniknęła w ciągu doby.

Giordino splótł dłonie na karku i zapatrzył się w sufit, próbując wyobrazić sobie tak wielkie zniszczenia.

- To by wszystko wyjaśniało... nagłe zniknięcie z Ameryki tygrysa szablozębnego, dromadera, piźmowola, gigantycznego bizona o dwumetrowych rogach, mamuta, kudłatego konika, który kiedyś zapełniał północnoamerykańskie równiny. Także nagłe skamienienie małży, meduz, ostryg i rozgwiazd. Pamiętacie, odkryliśmy coś takiego podczas wierceń w osadzie dennym. Naukowcy nie

umieli tego wyjaśnić, może teraz znajdują jakiś związek z uderzeniem komety.

Sandecker przyglądał się Giordinowi z uznaniem. Krępy Włoch miał błyskotliwy umysł, choć ukrywał go pod maską sardonika.

Stevens wyjął fajkę i zaczął się nią bawić.

- Powszechnie wiadomo, że wraz z końcem ostatniej epoki lodowcowej, który miał miejsce mniej więcej w czasie uderzenia tej komety, doszło do masowego wyginięcia zwierząt o wadze ponad czterdziestu kilo. Na Syberii odkryto wiele zakonserwowanych w lodzie mastodontów. W ich żołądkach znajdowała się jeszcze nie przetrawiona trawa, co dowodzi, że zginęły nagle. Jakby wrzucono je do zamrażarki. To samo stało się z drzewami i roślinami - zamrożone z liśćmi i kwiatami.

Nikt przy stole nie był w stanie wyobrazić sobie rozmiaru klęski. Przekraczało to możliwości ludzkiego umysłu.

- Nie jestem geofizykiem - powiedział cicho Stevens - ale nie wiedziałem, że nawet duża kometa mogła przy uderzeniu w Ziemię spowodować takie zniszczenia. To niewyobrażalne.

- Sześćdziesiąt pięć milionów lat temu kometa albo asteroida wybiła dinozaury - przypomniał Giordino.

- To musiała być gigantyczna kometa - uznał Sandecker.

- Nie można mierzyć komet taką samą miarą jak asteroid albo meteoroidów, które mają stałą konsystencję - powiedział Yaeger. - Komety składają się z lodu, gazu i skał.

Pat bez zaglądania do notatek przedstawiała dalszą historię z napisów.

- Ci z mieszkańców Ziemi, którzy przeżyli, mieszkali, hodowali zwierzęta i polowali w górach i na płaskowyżach. Udało im się uciec przed skutkami katastrofy, schodząc pod ziemię albo chowając się w jaskiniach. Przeżyli, żywiąc się marną roślinnością, która była w stanie egzystować w niezwykle trudnych warunkach, i nielicznymi zwierzętami. Wielu z nich zmarło z głodu albo z powodu zatrucia gazami z zakrywających niebo chmur. Jeśli chodzi o Amenów, przeżyła ich jedynie garstka - ci, którzy przypadkiem znaleźli się podczas potopu na wyższych terenach.

- To, co przekazuje się nam jako opowieść o biblijnym potopie - wyjaśnił Stevens - pochodzi z sumeryjskich glinianych tabliczek sprzed pięciu tysięcy lat, znalezionych w Mezopotamii. Legenda o Gilgameszu i potopie jest wcześniejsza od opowieści o Noem i Arce. Kamiennie inskrypcje Majów, pisemne przekazy babilońskich kapłanów czy legendy Indian - w każdej kulturze świata istnieją opowieści, które wspominają o wielkim zalaniu wodą. Nie ma żadnych wątpliwości, że potop rzeczywiście kiedyś nastąpił.

- A teraz, dzięki Amenom, możemy datować potop na mniej więcej siedem tysięcy sto lat przed naszą erą - podsumował Yaeger.

- Historia poucza nas, że im bardziej rozwinięta cywilizacja, tym łatwiej ginie bez pozostawienia po sobie śladu - wyjaśnił Stevens. - Z powodu katastrof naturalnych i niszczycielskiej działalności człowieka utraciliśmy przynajmniej dziewięćdziesiąt dziewięć procent starożytnej wiedzy.

Pitt przytaknął.

- Złota era nawigacji oceanicznej siedem tysięcy lat przed Chrystusem i nic z niej nie pozostało poza kilkoma napisami w skale.

Sandecker wydmuchał kłęb dymu.

- Mam nadzieję, że nie czeka nas taki sam los. Pat zabrała głos.

- Ci Amenowie, którzy przeżyli, stworzyli kult i poświęcili się nauczaniu reszty mieszkańców

Ziemi rzemiosła, technik porozumiewania się oraz budowania stabilnych budynków i statków zdolnych do pływania po morzach. Zamierzali ostrzec przyszłe pokolenia przed kolejną nadchodzącą katastrofą, ale ci, którzy urodzili się po kataklizmie, nie byli w stanie wyobrazić sobie, że tak straszliwe wydarzenie z przeszłości może się powtórzyć. Amenowie zrozumieli, że straszliwa prawda wkrótce zaginie w otchłaniach czasu i przetrwa jedynie w mitach. Postanowili więc spróbować przekazać swe dziedzictwo, budując szereg zaopatrzonych w odpowiednie napisy kamiennych monumentów, które przetrwałyby stulecia. Kult megalitów, który stworzyli, rozpowszechnił się i przetrwał cztery tysiące lat, ale w końcu czas i żywioły zatarły napisy i usunęły ostrzeżenia. Kiedy Amenowie wymarli, nastąpiły wieki paraliżu, po czym z prymitywnych kultur zaczęli się wykształcać Sumerowie i Egipcjanie, którzy budowali nowe cywilizacje, stosując fragmenty wiedzy z dalekiej przeszłości.

Pitt stuknął ołówkiem w stół.

- Z tego, co wiem o megalitach, a nie jestem specjalistą, późniejsze kultury, zapomniawszy o Amenach, używały ich budowli jako świątyń, grobowców i kalendarzy. Potem na ich wzór budowano tysiące własnych.

- Analiza danych dotyczących megalitów - wyjaśnił Yaeger - wykazują że wczesne, czyli te zbudowane przez Amenów, różnią się od późniejszych. Amenowie budowali struktury niemal koliste, z przyciętych w trójkąty kamiennych bloków, które zachodziły na siebie jak części układanki. Dzięki temu konstrukcja była odporna na niemal wszystkie ruchy ziemi, niezależnie od ich nasilenia.

Stevens schował globus do czaszki.

- Z tego, co mówił pan Yaeger i doktor O'Connell, wynika, że elementy kultury Amenów oraz starożytnego dziedzictwa przetrwały przez wieki i zostały wchłonięte przez Egipcjan, Sumerów, Chińczyków, Olmeków, którzy stworzyli swoje cywilizacje przed Majami, Hindusami oraz Indianami. Umiejętność nawigacji oceanicznej przejęli przede wszystkim Fenicjanie. To co udało im się odczytać, pomaga także wyjaśnić, dlaczego większość bogów i bóstw w niemal każdej nowszej cywilizacji na całym świecie pochodzi z morza oraz dlaczego wszyscy bogowie, którzy zakorzenili się w Amerykach, pochodzą ze wschodu, podczas gdy bogowie kultur wczesnoeuropejskich - z zachodu.

Sandecker wpatrywał się w czubek cygara, z którego unosiła się spirala dymu.

- To ciekawa uwaga, doktorze, i odpowiada na wiele pytań dotyczących naszych przodków, na które od stuleci nie udawało się znaleźć odpowiedzi.

Pitt zwrócił się do Pat.

- Co się w końcu stało z Amenami?

- Zrozpaczeni, że nie są słuchani, zbudowali w różnych częściach świata komnaty, które miały pozostać nie odnalezione przez tysiące lat i ujrzeć światło dzienne, dopiero kiedy ludzkość osiągnie taki poziom nauki, która pozwoli im zrozumieć wiadomość o zagrożeniu.

- Jakim? - spytał natychmiast Sandecker.

- Chodzi o datę powrotu drugiej komety na orbitę okołozemską i niemal pewne zderzenie.

Stevens dla podkreślenia wartości swych słów uniósł palce.

- Nawracającym w mitologiach motywem jest powtórzenie się kataklizmu wraz z jego skutkami.

- Niezbyt radosna myśl... - stwierdził Giordino.

- Skąd mają pewność, że znów odwiedzi nas ten kosmiczny niszczyciel? - zdziwił się Sandecker.

- Napisy mówią wyraźnie, że w tym samym czasie nadleciały dwie komety - odpowiedział

Yaeger. - Jedna uderzyła w Ziemię, a druga minęła ją i wróciła w kosmos.

- Chcesz powiedzieć, że Amenowie umieli dokładnie przewidzieć datę powrotu drugiej komety?

Pat w odpowiedzi jedynie skinęła głową.

- Amenowie znali się nie tylko na morzu, ale i na niebie - wyjaśnił Yaeger. - Mierzylili ruchy planet z niezwykłą dokładnością. Robili to za pomocą silnych teleskopów.

- Załóżmy, że ta kometa wróci - powiedział Giordino. - Skąd wiedzieli, że nie minie Ziemi i nie zniknie ponownie w kosmosie? Czy ich nauka była tak rozwinięta, że mogli obliczyć datę uderzenia wraz z obecną pozycją orbity Ziemi?

- Mogli obliczyć i zrobili to - odparła Pat. - Wyliczyliśmy pozycje gwiazd i gwiazdozbiorów na podstawie starożytnych map z Kalifornii i porównaliśmy je z ich obecnymi pozycjami. Przepowiednie Amenów mylą się o godzinę. Egipcjanie stworzyli podwójny kalendarz, który jest znacznie bardziej zawiły od tego, którego obecnie używamy. Majowie wymierzili długość roku na 365,2420 dni - nasze obliczenia za pomocą zegarów atomowych mówią: 365,2423. Stworzyli także niezwykle dokładny kalendarz, oparty na koniunkcjach Wenus, Marsa, Jowisza i Saturna. Babilończycy ustalili długość roku gwiazdowego na 365 dni 6 godzin i 11 minut, pomylili się o dwie sekundy. - Pat zrobiła efektowną pauzę. - Wyliczony przez Amenów czas obrotu Ziemi wokół Słońca odbiega od prawdy o dwie dziesiąte sekundy! Oparli kalendarz na zaćmieniu Słońca, które występuje co pięćset dwadzieścia jeden lat w tym samym miejscu zodiaku, tego samego dnia w roku. Ustalona przez nich mapa dzisiejszego nieba przedstawia prawidłowe dane!

- Pytanie, które nas wszystkich teraz dręczy - powiedział Sandecker - brzmi, oczywiście, na kiedy Amenowie przewidzieli powrót komety?

Pat i Yaeger smutno spojrzeli w powietrze. Pierwszy odezwał się Yaeger.

- Komputer przeszukał dane i dowiedzieliśmy się, że Amenowie nie byli jedynymi starożytnymi astronomami, którzy przewidzieli nadejście drugiej katastrofy. Majowie, Indianie Hopi, Egipcjanie, Chińczycy i wiele innych cywilizacji przedchrześcijańskich przedstawiało daty końca świata. Niepokojące jest w tym to, że wszystkie one mieszczą się w odstępnie roku.

- Może to przypadek? Na przykład przejmowali od siebie informacje?

Yaeger z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Możliwe, że inne kultury skopiowały dane Amenów, ale wiele wskazuje na to, że wszyscy prowadzili własne badania mające potwierdzić datę przekazaną przez przodków.

- Kto waszym zdaniem był najdokładniejszy w przewidywaniach?

- Ci z Amenów, którzy przeżyli. Byli naocznymi świadkami katastrofy. Przewidzieli nie tylko rok, ale i dzień.

- I to będzie...? - natychmiast spytał Sandecker. Pat opadła na krzesło, jakby chciała uciec od rzeczywistości. Yaeger wahał się, spoglądając po twarzach obecnych. W końcu zaczął z wahaniem:

- Amenowie przewidzieli, że kometa powróci dwudziestego maja dwa tysiące pierwszego roku.

Pitt zmarszczył czoło.

- Właśnie mamy dwutysięczny pierwszy rok. Yaeger obydwoma rękami pomasaował skronie.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Sandecker pochylił się do przodu, jakby zamierzał skoczyć.

- Chcecie powiedzieć, że dzień zagłady nastąpi za niecałe dwa miesiące? Yaeger poważnie skinął głową.

- Właśnie to chcę powiedzieć.

Po spotkaniu Pitt wrócił do swego biura. Powitała go długoletnia sekretarka Zerri Pochinski. Była to przemiła dama o olśniewającym uśmiechu. Bóg obdarzył ją figurą, która mogła wywołać zazdrość tancerek z Las Vegas. Płowe włosy opadały na ramiona, oczy miały urzekający, brązowy kolor. Mieszkała sama z kotem o imieniu Murgatroyd i rzadko umawiała się z mężczyznami. Pitt czuł do niej miętę, ale z żelazną dyscypliną próbował się do niej nie zbliżać. Choć nieraz wyobrażał ją sobie w ramionach, miał twarde zasady dotyczące znajomości z wszystkimi zatrudnianymi przez Agencję kobietami. Widział zbyt wiele biurowych romansów, które kończyły się fatalnie.

- Dzwonił agent specjalny FBI Ken Helm i prosił o telefon - oznajmiła, podając mu różową karteczkę z prywatnym numerem Helma. - Znow masz problemy z rządem?

Uśmiechnął się do Zerri i pochylił, aż ich nosy niemal się zetknęły.

- Zawsze mam problemy z rządem. Jej oczy figlarnie błysnęły.

- Nieustannie czekam, aż złapiesz mnie w ramiona i zawieszysz na plażę na Tahiti.

Odsunął się na bezpieczną odległość, zapach perfum chanel poruszył w nim silne emocje.

- Dlaczego nie wyjdiesz za miłego, ustatkowanego, kochającego dom mężczyznę, zamiast napastować starego, nieustatkowanego, rozsypującego się plażowego włóczęgę?

- Ponieważ ustabilizowani, kochający dom mężczyźni nie podobają mi się.

- Ktoś powiedział, że kobietom zależy na uwiciu gniazda...

Pitt poszedł do swego gabinetu, który wyglądał jak parking przyczep kempingowych po tornadzie. Książki, dokumenty, mapy morskie i zdjęcia zaściełały każdy centymetr kwadratowy powierzchni z dywanem włącznie. Udekorował swe miejsce pracy antykami, które kupił na wyprzedaży z eleganckiego liniowca American President Lines „President Cleveland”. Usiadł za biurkiem, wymacał pod stertą raportów z prowadzonych przez Agencję poszukiwań wraków telefon, podniósł słuchawkę i wybrał numer Helma.

Ze słuchawki dobiegło zwięzłe:

- Tak?

- Dirk Pitt przy telefonie.

- Witam, panie Pitt. Pomyślałem, że chętnie się pan dowie, że zidentyfikowaliśmy ciało, które przywiózł pan z Antarktydy, oraz kobietę, którą zatrzymał pan wczoraj.

- Szybka robota.

- To dzięki naszemu nowemu skomputeryzowanemu wydziałowi identyfikacji osobowej. Oglądają każdą gazetę, programy telewizyjne, mają kontakt z rejestrami wydziałów komunikacji, dostają zdjęcia z biur paszportowych, wszystkie fotografie z raportów policyjnych. Jednym słowem to największa na świecie baza danych identyfikacyjnych. Składa się już z setek milionów zdjęć. W połączeniu z naszymi bankami odcisków palców i kodów genetycznych możemy teraz szybko identyfikować ciała i uciekinierów. Mieliśmy obie panie w dwadzieścia minut.

- Co pan odkrył?

- Zmarła z okrętu podwodnego nazywała się Heidi Wolf, zatrzymana przez pana to Elsie Wolf.

- Bliźniaczki?

- W zasadzie kuzynki. Najdziwniejsze jest to, że obie pochodziły z bardzo bogatej rodziny i zajmowały wysokie stanowiska w tej samej ogromnej korporacji.

Pitt wyglądał przez okno, ale nie widział ani Potomacu, ani znajdującego się w tle Kapitolu.

- Czy nie są przypadkiem spokrewnione z Karlem Wolfem, dyrektorem naczelnym argentyńskiego Destiny Enterprises?

Helm zamilkł na chwilę.

- Wygląda na to, że jest pan dwa kroki przede mną, panie Pitt.

- Dirk.

- W porządku, Dirk, zgadza się. Heidi była siostrą Karla, Elsie to jego kuzynka. Tak, Destiny Enterprises to prywatna korporacja z siedzibą w Buenos Aires. Forbes szacuje ogólny majątek rodziny na dwieście dziesięć miliardów dolarów.

- Nie mieszkają na ulicy, co?

- A ja musiałem ożenić się z dziewczyną, której ojciec jest murarzem.

- Nie rozumiem, dlaczego kobieta z takim majątkiem miałyby popełniać zwykłą kradzież - powiedział Pitt.

- Kiedy się pan czegoś dowie, proszę mi przekazać.

- Gdzie jest teraz Elsie?

- Pod strażą, w prywatnej klinice FBI przy ulicy W, naprzeciwko Mount Vernon College.

- Mogę z nią porozmawiać?

- Z naszej strony nie ma przeciwwskazań, będzie pan jednak musiał dostać zgodę lekarza. Nazywa się Aaron Bell. Zapowiem pana.

- Czy jest przytomna?

Tak. Zdrowo ją pan walnął w głowę. Mało brakowało, a pękłaby czaszka.

- Nie ja ją uderzyłem. To motocykl.

- Nieważne - odparł Helm z wyraźnym rozbawieniem. - Wiele pan z niej nie wydobydzie. Próbował jeden z naszych najlepszych speców od przesłuchań. Jest twarda. Małż przy niej to gaduła.

- Wie, że jej kuzynka nie żyje?

- Wie. Wie także, że ciało Heidi leży w kostnicy.

- To powinno być ciekawe...

- Co?

- Mina Elsie, kiedy się dowie, że to ja wydobyłem ciało Heidi z Atlantyku i przywiozłem do Waszyngtonu.

Niemal natychmiast po odłożeniu słuchawki Pitt opuścił gmach Agencji i pojechał do kliniki, obsługującej wyłącznie FBI i inne agencje bezpieczeństwa narodowego. Zaparkował kabriolet na pustym miejscu przy budynku i wszedł głównym wejściem. Poproszono go o wylegitymowanie się i zanim wpuszczono do środka, wykonano kilka telefonów. Administrator skierował go do gabinetu doktora Bella.

Pitt kilka razy widział się z nim, nie z powodów medycznych, ale w okolicznościach towarzyskich. Doktor Bell był wraz z ojcem Pitta - senatorem George'em Pittem - członkiem zarządu fundacji zajmującej się walką z rakiem. Miał mniej więcej sześćdziesiąt pięć lat, nalaną, czerwoną twarz, potężną nadwagę, był nerwowy i pracował w nieustannym stresie. Palił dwie paczki papierosów dziennie i pił dwadzieścia filiżanek kawy. Jego życiową maksymą było: Zasuway jak

cholera i idź do grobu zadowolony.

Wstał zza biurka jak chodzący na tylnych łapach niedźwiedź.

- Dirk! - rozpromienił się. - Miło cię widzieć. Jak senator?

- Zamierza kandydować na kolejną kadencję.

- Nigdy nie zrezygnuje, tak jak ja. Siadaj. Przyszedłeś z powodu kobiety, którą przywieziono wczoraj wieczór.

- Ken Helm dzwonił?

- Gdyby nie dzwonił, nie przekroczyłbyś progu tego przybytku.

- Klinika nie sprawia wrażenia mocno strzeżonej.

- Spójrz krzywo w kamery nadzorujące, to zobaczysz, co się będzie działo.

- Czy doznała jakichś trwałych uszkodzeń mózgu? Bell energicznie pokręcił głową.

- Za kilka tygodni będzie w doskonałej formie. Niesamowita konstrukcja fizyczna. Nie jest zbudowana jak większość kobiet, które wchodzą przez te drzwi.

- Fakt, jest bardzo atrakcyjna.

- Nie chodzi mi o wygląd. Ta kobieta to szczególny okaz z biologicznego punktu widzenia. Tak samo jak jej kuzynka, której ciało przywiozłeś z Antarktydy.

- Wiem od FBI, że były spokrewnione.

- Mają ten sam materiał genetyczny - poważnie stwierdził Bell. - Na dodatek są bardzo podobne. Zbyt podobne.

- Jak to?

- Uczestniczyłem w sekcji, po czym wziąłem wyniki i porównałem cechy fizyczne zmarłej z cechami kobiety leżącej w pokoju w głębi korytarza. Łączy ich więcej niż normalne podobieństwo rodzinne.

- Helm mówił mi, że ciało Heidi jest w waszej klinice.

- Tak, na stole w kostnicy.

- Czy członkowie tej samej rodziny, mający te same geny, nie mogą mieć sobowtóra? - spytał Pitt.

- Nie jest to niemożliwe, choć niezwykle rzadkie - odparł Bell.

- Mówi się, że każdy z nas ma gdzieś na świecie swój duplikat. Bell uśmiechnął się.

- Niech Bóg ma w opiece mój.

- Do czego zmierzasz?

- Nie udowodnię tego bez przeprowadzenia wielomiesięcznych badań. Wyrażanie tej opinii jest bardzo ryzykowne, ale jestem gotów postawić na szali moją naukową reputację. Te dwie damy - jedna martwa, druga żywa - zostały wyprodukowane.

Pitt uważnie przyjrzał się lekarzowi.

- Nie sugerujesz chyba, że są androidami?

- Nie, nie - Bell zamachał rękami. - Nic tak absurdalnego.

- Klonowanie?

- Też nie.

- Więc co?

- Uważam, że zastosowano metody inżynierii genetycznej.

- Czy to możliwe? - spytał Pitt z niewiarą. - Istnieje już odpowiednia wiedza i technologia w tym zakresie?

- Istnieją laboratoria pełne naukowców pracujących nad udoskonaleniem ludzkiego ciała za

pomocą manipulacji genetycznych, choć z tego, co wiem, są jeszcze w stadium badań na myszach. Mogę jednak powiedzieć, że jeśli Elsie nie umrze tak jak Heidi, nie wpadnie pod ciężarówkę albo nie zginie z rąk zazdrosnego kochanka, prawdopodobnie dożyje stu dwudziestu lat.

- Nie jestem pewien, czy chciałbym żyć tak długo - z zadumą powiedział Pitt.

- Ani ja - uznał ze śmiechem Bell. - Na pewno nie w tym starym cielsku.

- Mogę zobaczyć Elsie?

Bell wstał zza biurka i dał Pittowi znak, żeby poszedł za nim. Wyszli z gabinetu i pomaszerowali korytarzem. Od chwili wejścia do kliniki jedynymi żywymi, których Pitt widział, byli administrator i doktor Bell. Budynek sprawiał wrażenie nieprawdopodobnie czystego i wymarłego.

Bell stanął przed niestrzeżonymi drzwiami, wsunął w otwór kartę magnetyczną i pchnął je. Na standardowym szpitalnym łóżku siedziała kobieta i wyglądała przez okno, zabezpieczone od wewnątrz grubą siatką, a od zewnątrz kratami. Pitt po raz pierwszy widział Elsie w świetle dziennym i był zadziwiony jej niezwykłym podobieństwem do nieżyjącej kuzynki. Ta sama burza blond włosów, te same błękitno-szare oczy. Nie mógł uwierzyć, że były jedynie kuzynkami.

- Panno Wolf - powiedział radośnie Bell. - Przyprowadziłem gościa. - Popatrzył na Pitta i skinął głową. - Zostawię was samych. Nie siedź zbyt długo.

Doktor nic nie powiedział o tym, jak w razie czego wzywać pomocy, ale choć nie było widać kamer, Pitt zdawał sobie sprawę z tego, że każdy ich ruch i słowo były filmowane i nagrywane.

Przysunął krzesło do łóżka pacjentki i usiadł. Przez jakiś czas nie odzywał się, tylko patrzył w oczy, które zdawały się przebijać go na wylot i zatrzymywać na wiszącej za nim litografii Wielkiego Kanionu. W końcu się odezwał.

- Nazywam się Dirk Pitt. Nie wiem, czy moje nazwisko coś pani mówi, ale komandorowi U-2015, z którym rozmawiałem, stojąc na krze, było znane.

Jej oczy odrobinę się zwęziły, ale w dalszym ciągu milczała.

- Zanurkowałem do wraka i wydobyłem z niego ciało pani kuzynki Heidi. Chciałaby pani, bym zorganizował przewiezienie jej do Buenos Aires, do Karla, żeby zostało pochowane na prywatnym cmentarzu Wolfów?

Pitt wiedział, że porusza się po wąskiej grani, ale założył, że Wolfowie mają własne miejsce pochówku zmarłych.

Tym razem trafił. W jej oczach pojawiło się zastanowienie. W końcu zacisnęła usta z wyraźną złością i zadrzała.

- To ty! - niemal wypluła. - To ty jesteś odpowiedzialny za śmierć naszych ludzi w Kolorado!

- Doktor Bell się pomylił... jednak ma pani język.

- Widziałeś, jak zatopiono nasz okręt podwodny? - spytała.

- Jeśli chodzi o Kolorado, proszę Wysoki Sąd o uznanie mego czynu za samoobronę. Tak, byłem na pokładzie „Polar Stormu”, kiedy wasz okręt podwodny zatonął, choć nie ja byłem za to odpowiedzialny. Jeśli musi pani kogoś obwiniać, to Marynarkę Wojenną USA. Gdyby nie jej interwencja, pani kuzynka i jej krwiożercza banda piratów zatopiłaby nieuzbrojony statek badawczy i zabiła ponad stu niewinnych naukowców i członków załogi. Proszę mi nie kazać opłakiwać Heidi. Moim zdaniem dostała wraz ze swoją załogą to, na co zasłużyła.

- Co pan zrobił z jej ciałem?

- Jest tutaj, w kostnicy kliniki. Podobno ona i pani możecie być ziarenkami z tego samego strąka.

- Z genetycznego punktu widzenia jesteśmy nieskalane - powiedziała arogancko Elsie. W

odróżnieniu od reszty rasy ludzkiej.

- Jak to się udało?

- Zajęło trzy pokolenia doboru i eksperymentów. Przedstawiciele mojego pokolenia mają idealne ciała i umysły geniuszy. Jesteśmy także utalentowani artystycznie.

- Naprawdę? - sarkastycznie spytał Pitt. - A ja zawsze sądziłem, że inbred wytwarza debili*.

* inbred (ang.) chów wsobny, hodowla w pokrewieństwie (przyp. tłum.).

Elsie przez długą chwilę przypatrywała się Pittowi, po czym lodowato się uśmiechnęła.

- Pańskie obelgi są mi obojętne. Wkrótce zarówno pan, jak i reszta skalanych indywiduali, zaludniających Ziemię, nie będzie żyć.

Pitt zaglądał jej głęboko w oczy, by zobaczyć, jak zareaguje. Kiedy się odezwał, przybrał obojętny ton.

- No tak, bliźniak komety, która dziewięć tysięcy lat temu zniszczyła Ziemię, wróci, uderzy w nasz glob i zdziesiątkuje rasę ludzką. Wiem o tym.

Mało brakowało, a umknąłby mu krótki błysk w jej oku - rozradowanie zmieszane z entuzjazmem. Unosząca się wokół Elsie aura była tak gęsta, że zdawało mu się, iż kiedy wyciągnie rękę, dotknie jej. Niepokoiła go. Odniósł wrażenie, jakby ukrywała sekret znacznie groźniejszy od wszystkiego, co był w stanie sobie wyobrazić.

- Ile czasu zajęło waszym ekspertom odczytanie napisów? - spytała obojętnie.

- Pięć albo sześć dni.

- Naszym trzy. - Jej mina wyrażała zadowolenie.

Był pewien, że Elsie kłamie, więc dalej się z nią droczył.

- Czy rodzina Wolfów planuje obchody dnia zagłady? Elsie powoli pokręciła głową.

- Nie mamy czasu na głupie zabawy. Nasze laboratoria pracowały, żeby zapewnić nam przeżycie.

- Naprawdę uważa pani, że w ciągu najbliższych kilku tygodni w Ziemię uderzy kometa?

- Amenowie byli bardzo precyzyjni przy tworzeniu map nieba. - Jej spojrzenie drgnęło na ułamek sekundy i przeniosło się z jego twarzy w kierunku podłogi. W głosie pojawił się ton, który kazał Pittowi wątpić w wypowiedane słowa.

- Tak mi mówiono.

- Mamy... kontakty z kilkoma z najlepszych astronomów w Europie i Stanach Zjednoczonych, którzy potwierdzili obliczenia Amenów. Wszyscy byli zgodni co do tego, że powrót komety obliczono - zarówno czas, jak miejsce - z zadziwiająco dokładnością.

- A pani rodzina nieżycliwych ludziom klonów, zamiast ostrzec świat, postanowiła zatrzymać tę wiadomość dla siebie - powiedział złośliwie Pitt. - Dzięki waszym „kontaktom” astronomowie także zamilkli. Dobroczynność najwyraźniej nie należy do słownika Wolfów.

- Po co powodować ogólnoświatową panikę? - spytała beztrąsko. - Co by to dało? Lepiej pozwolić ludziom umrzeć w niewiedzy i bez psychicznych cierpień.

- Jesteście kochani.

- Życie to zabawa dla najsilniejszych - i tych, którzy planują.

- A co ze wspaniałymi Wolfami? Co ochroni was przed śmiercią razem z resztą śmierdzącego motłochu?

- Planujemy nasze przeżycie od pięćdziesięciu lat - powiedziała stanowczo. - Moja rodzina nie zostanie zmieciona przez powódź ani spalona pożarem. Jesteśmy przygotowani na przetrwanie

katastrofy i przeżycie potem.

- Pięćdziesiąt lat... - powtórzył Pitt. - To wtedy znaleźliście komorę z napisami Amenów opisującymi katastrofę?

- Tak.

- Ile jest komór?

- Amenowie mówili o sześciu.

- A ile znaleźliście?

- Jedną.

- A my dwie. Pozostają więc jeszcze trzy.

- Jedna została zniszczona na Hawajach po wybuchu wulkanu. Tony lawy całkowicie ją zalały. Następną zburzyło trzęsienie ziemi w Tybecie około osiemsetnego roku naszej ery. Tylko jednej jeszcze nie znaleziono. Podobno leży na zboczach góry Lascar w Chile.

- Jeśli nie została odnaleziona - powiedział Pitt, starannie formułując zdanie - dlaczego zamordowaliście grupę studentów badających jaskinię na zboczu tej góry?

Jej wzrok znieruchomiał, ale nie odpowiedziała.

- Trudno, pozwoli pani, że spytam o lokalizację komnaty Amenów, którą odkryła pani rodzina?

Patrzyła na niego, jakby był zagubioną duszą.

- Pierwsze napisy Amenów, jakie znaleźliśmy, znajdują się we wnętrzu świątyni, która stała wśród ruin ich dawnego miasta-portu. Więcej pan ode mnie nie wyciągnie, panie Pitt. Powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia. Mogę tylko dodać, że powinien się pan pożegnać ze swoimi przyjaciółmi i ukochanymi. Już wkrótce wasze poszarpane ciała będą w morzu, które nigdy nie istniało.

Powiedziawszy to, Elsie Wolf zamknęła oczy. Odizolowała się od otaczającego ją świata tak skutecznie, jakby weszła w stan hibernacji.

Kiedy Pitt wyszedł z kliniki, było już późne popołudnie. Postanowił nie jechać do centrali Agencji, lecz prosto do swojego hangaru. Parł powoli przez gęsty strumień aut pełzających w godzinie szczytu przez most Rocheambeau i wpływających na Washington Memoriał. Właśnie zbliżał się do bramy lotniska, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo?

- Cześć, kochasiu... - rozległ się sypialniany głos Loren Smith.

- Zawsze z przyjemnością słyszę głos mojego ulubionego przedstawiciela w rządzie.

- Co robisz wieczorem?

- Pomyślałem, żeby zjeść omlet z wędzonym łososiem, wziąć prysznic i pooglądać telewizję - odparł Pitt. Strażnik w bramie machnął, by przejeżdżał. Wpatrywał się z zazdrością w starego forda.

- Niektórzy kawalerowie prowadzą nudne życie - powiedziała z kpina.

- Zrezygnowałem z latania po knajpach, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat.

- Oczywiście. - Przerwała na chwilę, by odpowiedzieć na pytanie asystenta. - Przepraszam. Zadzwonił wyborca ze skargą na dziury w jezdni przed jego domem.

- Niektóre członkinie Kongresu prowadzą nudne życie.

- W ramach przeprosin za złośliwość zabierasz mnie na kolację do Saint Cyr.

- Masz dobry gust. Stracę pensję. Co to za okazja?

- Na moim biurku leży raport o Destiny Enterprises. Przeczytanie go zajmie ci masę czasu.

- Czy ktoś ci kiedyś mówił, że wybrałaś nieodpowiedni zawód?

- Częściej sprzedawałam duszę, by przepchnąć ustawę, niż większość prostytutek ciało klientom.

Pitt zatrzymał się przed wielkimi wrotami hangaru i wcisnął klawisz pilota.

- Mam nadzieję, że zrobiłaś rezerwację. Saint Cyr nie wpuszcza byle kogo z ulicy.

- Wyświadczyłam kiedyś przysługę kierownikowi. Zaufaj mi, dostaniemy najlepszy stolik. Przyjedź po mnie pod dom o wpół do ósmej.

- Możesz mi załatwić zniżkę na wino?

- Jesteś słodki - powiedziała Loren. - Do widzenia...

Pitt nie był w nastroju na krawat, kiedy zatrzymał forda pod domem Loren w Alexandrii. Ubrany był w szare spodnie, granatowy sportowy płaszcz i golf w kolorze szafranu. Loren zamachała z balkonu na trzecim piętrze i zeszła na dół. Była bardzo elegancka. Miała czarny rozpinany żakiet z wyszywanej perłami koronki i szerokie, luźne spodnie. Na wierzch zarzuciła sięgający kolan, także czarny płaszcz ze sztucznego futra. Trzymała aktówkę, której czarna skóra pasowała do ubrania. Z balkonu dostrzegła, że Pitt podniósł dach forda, skoro więc nie musiała się bać o fryzurę, nie włożyła kapelusza.

Pitt stał na chodniku i trzymał przed nią drzwi samochodu.

- Miło widzieć, że zostało jeszcze kilku dżentelmenów - powiedziała z zalotnym uśmiechem.

Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Jestem ze starej szkoły.

Restauracja znajdowała się mniej więcej trzy kilometry od jej domu, wystarczyło przejechać Capital Beltway i wjechać do okręgu Fairfax w Wirginii. Na ich widok odprowadzający samochody pracownik rozpromienił się jak dynia na Halloween. Aksamitny dźwięk silnika przyprawiał go o dreszcze podniecenia.

Podał Pittowi pokwitowanie, nim jednak odjechał, Pitt zajrzał do środka i popatrzył na licznik.

- Coś nie tak, sir?

- Sprawdzam tylko kilometraż - odparł Pitt, obdarzając młodzieńca porozumiewawczym spojrzeniem.

Marzenie, by przejechać się fordem, podczas gdy jego właściciel je kolację, gwałtownie przysło. Pracownik wolno pojechał na parking, gdzie postawił auto obok bentleya.

Restauracja Saint Cyr była miejscem kameralnym. Mieściła się w osiemnastowiecznym, kolonialnym, ceglany budynku, a szef kuchni przybył do Waszyngtonu przez Cannes i Paryż, gdzie został odkryty przez parę zamożnych waszyngtońskich przedsiębiorców budowlanych z podniebieniami wrażliwymi na dobre jedzenie i wina. Załatwili sfinansowanie restauracji i dali szefowi kuchni pięćdziesiąt procent udziału w interesie. Jadalnia została urządzona na granatowo i złoto. Meble i dekoracje były w stylu marokańskim. Wewnątrz stało dwanaście stolików, obsługiwanych przez sześciu kelnerów i czterech pomocników. Pittowi szczególnie podobały się panujące tu warunki akustyczne. Grube zasłony i kilometry materiału na ścianach doskonale wyciszały odgłosy rozmów przy sąsiednich stolikach. To mile różniło Saint Cyr od większości restauracji, w których prawie nie słyhać, co mówi siedząca naprzeciwko osoba, a poziom hałasu zabija przyjemność dobrego posiłku.

Kiedy posadzono ich w niewielkiej niszy, położonej z boku głównej sali, Pitt spytał:

- Wino czy szampan?

- Po co pytasz? Przecież wiesz, że dobry cabemet wprowadza mnie w taki nastrój, że robię się bezbronna...

Pitt zamówił butelkę Martin Ray Cabernet Sauvignon i usiadł wygodnie na obitym skórą krześle.

- Może, czekając na zamówienie, powiesz mi, czego się dowiedziałas o Destiny Enterprises?

Loren uśmiechnęła się.

- Najpierw powinieneś mnie nakarmić.

- Kolejny przekupny polityk.

Pochyliła się, otworzyła aktówkę i wyjęła kilka teczek z aktami. Podała mu je dyskretnie pod stolikiem.

- Destiny Enterprises zdecydowanie nie jest firmą, która kocha ujawniać informacje o sobie i promować się na rynku. Nigdy nie sprzedawała akcji i cała jest własnością trzypokoleniowej rodziny Wolfów. Nie sporządzają i nie rozprowadzają rocznych raportów ani bilansów finansowych. Oczywiście w Stanach, Europie lub Azji nie mogliby działać w takim ukryciu, ale mają ogromną siłę przebicia w argentyńskim rządzie - zaczęło się to od Peronów tuż po drugiej wojnie światowej.

Pitt czytał właśnie pierwsze strony raportu, kiedy przyniesiono wino. Kelner nalał mu odrobinę do kieliszka, Dirk obejrzał barwę, powąchał i wziął łyczek. Nie wlał płynu do gardła, lecz obracał nim delikatnie w ustach przez kilka sekund i dopiero potem przełknął. Popatrzył na kelnera i uśmiechnął się.

- Zawsze zachwyca mnie delikatność i równoczesna siła tego wina.

- Znakomity wybór, sir - odparł kelner. - Niewielu naszych klientów je zna.

Pitt oddał się rozkoszy smakowania drugiego łyku, po czym wrócił do lektury.

- Wygląda na to, że Destiny Enterprises pojawiła się znikąd w czterdziestym siódmym roku.

Loren wpatrywała się w ciemnoczerwony płyn w kieliszku.

- Zatrudniłam człowieka, który przejrzał ówczesne gazety z Buenos Aires. Działy gospodarcze ani razu nie wspomniały o Wolfie. Dowiedział się jedynie o pogłoskach, że firmę stworzyli wysokiego stopnia funkcjonariusze Werowscy, którzy uciekli przed kapitulacją z Niemiec.

- Admirał Sandecker opowiadał nam o strumieniu hitlerowców i nakradzionych przez nich dóbr, który w ostatnich miesiącach wojny dotarł do Argentyny okrętami podwodnymi. Operacją kierował Martin Bormann.

- Nie zginął podczas próby ucieczki z oblężonego Berlina?

- Ostatecznie chyba nie udowodniono, że kości, które znaleziono wiele lat później, należały do niego.

- Gdzieś czytałam, że jedną z największych nie rozwiązanych zagadek wojny było zniknięcie skarbów Trzeciej Rzeszy. Nie znaleziono ani jednej niemieckiej marki i ani kawałka złota. Czy to możliwe, żeby Bormann przeżył i przemycił to wszystko do Ameryki Południowej?

- Jest na pierwszym miejscu listy podejrzanych. - Pitt szybko przeglądał dokumenty, ale nie znajdował nic, co mogłoby go zaniepokoić. Zebrany materiał składał się głównie z artykułów prasowych dotyczących tych interesów Destiny Enterprises, które miały zbyt wielki zasięg, aby dało się je utrzymać w tajemnicy. Najbardziej szczegółowa analiza została przeprowadzona przez CIA. Przedstawiano w niej listę działań i programów, w których brała udział Destiny Enterprises, niestety bez szczegółów.

- Są dość wszechstronni - zauważył Pitt. - Wydobywanie kamieni szlachetnych na dużą skalę, kopalnie złota, platyny i innych rzadkich minerałów. Ich dział rozwoju i publikacji programów komputerowych jest czwarty co do wielkości na świecie po Microsoftzie. Angażują się poważnie w uzyskiwanie nowych pól naftowych, są także światowym liderem nanotechnologii.

- Nie bardzo wiem, co to jest - przyznała Loren. Zanim Pitt odpowiedział, zjawił się kelner.

- Na co masz ochotę? - spytał Pitt.

- Zaufam twojemu gustowi - odparła cicho. - Zamów coś dla mnie. Pitt nawet nie próbował zamawiać po francusku.

- Na zakąskę poprosimy wasz pasztet z truflami, następnie vichyssoise*. Jako główne danie dla pani królika duszonego w białym winie, ja spróbuję potrawy z grasicy z przybrązowanym masłem.

* Wichyssoise francusko-amerykańska zupa z porów i ziemniaków na rosole, z dodatkiem cebuli, szczypiorku i śmietany, podawana najczęściej na zimno (przyp. tłum).

- Jak możesz jeść grasicę? - spytała Loren ze zde gustowaną miną.

- Zawsze lubiłem dobrze przygotowaną potrawkę z grasicy - odparł Pitt. - Przy czym byliśmy? Aha, przy nanotechnologii. Z tego, co wiem, nanotechnologia to nowa gałąź nauki, zajmująca się sterowaniem układem atomów. Dzięki niej można skonstruować niemal wszystko to, co powstaje w warunkach naturalnych. Umożliwi ona zarówno naprawę struktur molekularnych ludzkiego ciała, jak i zrewolucjonizuje produkcję. Wszystko da się wyprodukować tanio i w doskonałej jakości. Reprodukujące się maleńkie maszyny zostaną zaprogramowane jako nowe paliwa, lekarstwa,

materiały budowlane, o parametrach nieosiągalnych przy zastosowaniu dotychczasowych technik. Słyszałem, że przewiduje się zmniejszenie dzisiejszego komputera do wielkości mikrona sześciennego. Nanotechnologia to dziedzina przyszłości.

- Nie wyobrażam sobie tego.

- O ile mi wiadomo, nanotechnolodzy chcą stworzyć coś, co nazywają assemblerem - mikroskopijnego robota z ramionami sterowanymi przez komputer. Jego zadaniem byłoby skonstruowanie większych obiektów za pomocą kontrolowanych reakcji chemicznych - budowałby je molekula po molekule - Odpowiednio zaprojektowane assembly potrafiłyby się nawet replikować. Teoretycznie rzecz biorąc, mogłabyś wtedy zaprogramować swojego assemblera tak, aby zrobił dla ciebie komplet nowych kijów golfowych z metali, których jeszcze nie odkryto, telewizor o rozmiarach takich, żeby pasował do konkretnej szafki, nawet samochód albo samolot wraz ze specjalnym do nich paliwem.

- Brzmi to dość fantastycznie.

- Postęp technologiczny w następnych trzydziestu latach może się okazać zadziwiający.

- To by wyjaśniało zaangażowanie Destiny na Antarktydzie - powiedziała Loren i przestała na chwilę czytać, by wypić łyk wina. - Znajdziesz w teczce 5-A.

- Tak, widzę. Wielka fabryka wydobywająca pierwiastki z wody morskiej. Muszą być pierwsi, którym przynosi to zysk.

- Wygląda na to, że naukowcom i inżynierom Destiny udało się stworzyć urządzenie do oddzielania od wody morskiej molekuł takich pierwiastków jak złoto.

- A metoda pewnie okazała się skuteczna.

- Bardzo. Według raportów CIA dotyczących szwajcarskich depozytów - musiałam przysiąc im na tysiąc Biblii, że informacja ta pozostanie poufna - Destiny ma w szwajcarskich bankach mniej więcej tyle złota co Ameryka w Fort Knox.

- Muszą trzymać to w tajemnicy, inaczej ceny poleciałyby na łeb na szyję.

- Moi informatorzy twierdzą, że dotychczas nie sprzedali ani grama.

- Po co chomikują taką masę? Loren wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Może sprzedawali złoto powoli i w tajemnicy, żeby utrzymać ceny. Gdyby nagle zalali rynek, nic by nie zarobili.

Pojawił się kelner z pasztetem z truflami. Loren wzięła na widelec małeńki kęs, włożyła go do ust i zrobiła bardzo zadowoloną minę.

- Wspaniały...

- Tak, jest dobry - przyznał Pitt.

Rozkoszowali się pasztetem w milczeniu. Zanim wrócili do rozmowy, zjedli go do ostatniego okruszka.

- Choć od czasu wojny CIA zebrała mnóstwo danych o ugrupowaniach neonazistowskich, nie znalazła dowodu, żeby któreś z nich miało związek z Destiny Enterprises albo rodziną Wolfów.

- Tak, ale nie było tajemnicą - Pitt uniósł plik kartek - że skarby, ukradzione przez hitlerowców w Austrii, Belgii, Norwegii, Francji i Holandii, oraz większość złota i aktywów Żydów przemycono po wojnie do Argentyny na pokładach okrętów podwodnych.

Loren skinęła głową.

- Większość złota i innych cennych przedmiotów zamieniono na walutę i skierowano do banków

centralnych.

- Kto był posiadaczem kont?

- Jak to kto? Destiny Enterprises, i to zaraz po utworzeniu firmy w czterdziestym siódmym roku.

Dziwi jedynie, że we wczesnych rejestrach nazwisk członków zarządu nie pojawia się nazwisko Wolf.

- Musieli przejąć kontrolę później. Ciekawe, jak udało im się odsunąć na bok starych hitlerowców, którzy uciekli z Niemiec w czterdziestym piątym?

- Dobre pytanie - przyznała Loren. - W ciągu minionych pięćdziesięciu czterech lat imperium Destiny rozrosło się w stopniu pozwalającym na wywieranie niewyobrażalnego wpływu na banki światowe i rządy. Są dosłownie właścicielami Argentyny. Informator jednego z moich asystentów twierdzi, że znaczącą ilość pieniędzy przeznaczają na finansowanie kampanii wyborczych członków naszego Kongresu. Prawdopodobnie dlatego jeszcze nigdy rząd nie przeprowadził porządnego śledztwa w sprawie Destiny Enterprises.

- Ich macki sięgają także do kieszeni szacownych senatorów, członków Izby Reprezentantów i ludzi, którzy pracowali w Białym Domu.

Loren uniosła obie ręce.

- Nie patrz na mnie. Nigdy nie wzięłam od nich centa. Pitt chytrze na nią popatrzył.

- Naprawdę? Kopnęła go pod stołem.

- Przestań! Dobrze wiesz, że nigdy nie brałam łapówek. Tak się składa, że jestem jednym z najbardziej szanowanych członków Kongresu.

- Może najładniejszym, ale twoi szacowni koledzy nie znają cię tak dobrze jak ja.

- To wcale nie jest śmieszne.

Postawiono przed nimi talerze z vichyssoise i zachwycali się smakiem zupy, wzmacniając go jeszcze łykami wina. Martin Ray Cabernet wkrótce krążył im w żyłach i pobudzał zmysły, a kelner był zawsze w pobliżu, gotów dolewać do kieliszków.

- Wygląda na to, że czego hitlerowcom nie udało się osiągnąć masowymi rzeziami, zniszczeniem i wojną, osiągną, dominując gospodarczo - powiedziała Loren.

- Dominacja nad światem to przeżytek - zaoponował Pitt. - Może marzy się ona przywódcom Chin, ale im bliżej będą pozycji supermocarstwa, tym jaśniej do nich dotrze, że wojna jedynie zepchnie ich w otchłań. Teraz, po upadku imperium sowieckiego, większość wojen będzie się toczyć na płaszczyźnie ekonomicznej. Wolfowie rozumieją, że potęga ekonomiczna prowadzi do zdobycia władzy politycznej. Mogą kupować, co chcą i kogo chcą. Pytanie brzmi tylko po co.

- Wydobyłeś coś od kobiety, którą zatrzymałeś wczoraj wieczorem?

- Jedynie tyle, że dzień zagłady czai się tuż za rogiem, a cała rasa ludzka - oczywiście z wyjątkiem rodziny Wolfów - zostanie starta z powierzchni Ziemi, gdy nadleci kometa.

- Kupujesz to?

- A ty? - cynicznie spytał Pitt. - Takich zagład było z tysiąc i każda minęła, nie wywołując więcej zamieszania niż przelotny deszczyk. Zastanawia mnie tylko, dlaczego Wolfowie rozpowszechniają taki mit.

- Na czym się opierają?

- Na przewidywaniach starożytnej rasy zwanej Amenami.

- Nie mówisz poważnie... - powiedziała zaskoczona. - Tak wpływowa i cwana rodzina bierze za dobrą monetę mit stworzony przez ludzi, którzy zginęli przed tysiącami lat?

- Ten mit potwierdzają napisy, które znaleźliśmy na ścianach komór na Oceanie Indyjskim i w Kolorado.

- Admirał Sandecker wspominał o waszych odkryciach, kiedy rozmawiałam z nim przez telefon, zanim wyjechałam po ciebie na lotnisko, ale ty nie raczyłeś mi o nich dokładniej opowiedzieć.

Pitt bezradnie rozłożył dłonie.

- Nie miałem okazji.

- Może powinnam zacząć porządkować swoje sprawy.

- Zanim przygotujesz się na spotkanie ze swym Stwórcą, poczekaj, aż sprawie dokładniej przyjrzą się astronomowie.

Zabrano talerze i podano danie główne. Zarówno królik, jak i grasica wyglądały jak dzieła sztuki. Popatrzyli na nie z zachwytem i nadzieją, że smak nie będzie gorszy od dań poprzednich. I nie rozczarowali się.

- Królik był doskonałym wyborem - powiedziała Loren między dwoma kęsami. - Jest znakomity. Mina Pitta graniczyła z ekstazą.

- Kiedy jem grasicę przygotowaną przez wysokiej klasy kucharza, za każdym kęsem słyszę dźwięk dzwonów. Sos to poezja.

- Spróbuj mojego królika - powiedziała Loren, podnosząc talerz.

- Chcesz spróbować mojej grasicy?

- Nie, dziękuję - odparła, marszcząc nos. - Nie przepadam za narządami wewnętrznymi.

Na szczęście porcje nie były tak duże jak w gorszych restauracjach, więc gdy przyszła pora na deser, nie czuli się nasyceni. Pitt zamówił brzoskwinie po kardynalsku: ugotowane, z musem malinowym. Przy remy martin wrócili do dyskusji.

- Nic z tego, co dotyczy rodziny Wolfów, nie układa się w logiczną całość - powiedział Pitt. - Po co gromadzić fortunę, jeśli wiadomo, że pójdzie z dymem po uderzeniu komety?

Loren obracała koniakiem w kieliszku i obserwowała złoty blask, jaki powstawał od palącej się na stole świecy.

- Może zamierzają przeżyć katastrofę?

- Tak twierdzi Elsie Wolf, podobnie gadał jeden z ich zabójców w Kolorado. Jak w ogóle można przeżyć ogólnoswiatową katastrofę?

- Czytałeś teczkę osiemnastą?

Pitt nie od razu odpowiedział. Przejrzał dokumenty, aż znalazł odpowiednio oznakowane materiały. Otworzył okładkę i zaczął czytać. Po dwóch albo trzech minutach podniósł głowę i wbił wzrok w oczy Loren.

- To jest potwierdzone? Skinęła głową.

- To tak, jakby Noe zbudował flotę arek.

- Cztery kolosalne statki... - powoli powiedział Pitt. - Liniowiec pasażerski, w zasadzie pływające miasto, dwa kilometry długości na pięćset metrów szerokości, trzydzieści jeden pięter wysokości, wyporność trzy i pół miliona ton. - Zmarszczył brwi. - Niezły pomysł, tyle że raczej trudny do zrealizowania.

- Przeczytaj resztę. Dalej jest jeszcze lepiej.

- Gigantyczny pełnomorski statek ma duży szpital, szkoły, centrum rozrywkowe, wykorzystuje najnowsze technologie. Lotnisko na górnym pokładzie pomieści całą armadę odrzutowców i helikopterów, kwatery i biura przyjmą i obsłużą pięć tysięcy osób załogi i pasażerów. - Pitt z

niewiarą pokręcił głową. - Jednostka o takich rozmiarach powinna wziąć na pokład przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

- Mylisz się, dwa razy tyle.

- Sprawdźmy pozostałe okręty. Pitt czytał dalej.

- Też mają mamucie rozmiary. Jeden to statek towarowo-remontowy, wiezie warsztaty produkcyjne, ogromną liczbę pojazdów, maszyn oraz materiałów budowlanych. Drugi to istne zoo...

- Widzisz - przerwała Loren. - A jednak arka.

- Ostatni statek to supertankowiec, przygotowany do transportu olbrzymich ilości ropy naftowej, gazu ziemnego i różnych innych paliw. - Pitt zamknął teczkę i spojrzał na Loren. - Słyszałem, że tego typu statki były na deskach kreślarskich, ale nie miałem pojęcia, że coś takiego się buduje. A pewno nie przez Destiny Enterprises.

- Kadłuby budowano we fragmentach, które przewieziono do oddalonej od cywilizacji stoczni Destiny Enterprises, mieszczącej się w odizolowanym fiordzie na samym południu Chile. Tam zmontowano nadbudówki, a statki całkowicie wyposażono, umeblowano i załadowano. Załoga i pasażerowie floty mają być samowystarczalni, jedzenia i picia starczy im na dwadzieścia lat.

- Nikt z zewnątrz nie widział tych statków? Gazety nic nie pisały o największych statkach świata?

- Przeczytaj raport CIA o stoczni. Okolica jest zamknięta i patroluje ją mała armia ochroniarzy. Nikt z zewnątrz nie dostanie się do środka, tym bardziej stamtąd nie wyjdzie. Pracownicy stoczni mieszkają wraz z rodzinami w małym miasteczku na brzegu i nie wolno im wychodzić poza jego teren. Miejsce otaczają Andy, setki górzystych wysp i dwa półwyspy, więc jedyną drogą, którą można tam dotrzeć, jest morze albo powietrze.

- Śledztwo CIA wydaje mi się dość pobieżne. Nie zbadano dogłębnie zamiarów Destiny Enterprises.

Loren dokończyła brandy.

- Agent, który przedstawiał sprawę mojemu biuru, powiedział, że nie dostrzega zagrożenia bezpieczeństwa ani interesów Stanów Zjednoczonych.

Pitt zamyślony patrzył gdzieś w dal.

- Kilka lat temu byłem z Alem Giordinem w chilijskim fiordzie. Szukaliśmy tam porwanego przez terrorystów liniowca, który był schowany niedaleko lodowca. Jeśli dobrze pamiętam układ wysp i dróg wodnych na północ od Cieśniny Magellana, nie ma tam przejść wystarczająco szerokich ani głębokich, by pomieścić tak gargantuiczne twory.

- Może ich celem nie jest pływanie po morzach i oceanach świata - zasugerowała Loren. - Może zbudowano je jedynie po to, aby uratować się przed kataklizmem?

- Choć brzmi to fantastycznie, możesz być blisko prawdy - Pitt próbował przyjąć do wiadomości niesamowity pomysł. - Wolfowie musieli wydać miliardy, licząc na koniec świata.

Pitt zamilkł i Loren widziała, jak głęboko jest zamyślony. Wstała od stołu i poszła do łazienki, żeby dać mu czas na przemyślenie tego, co właśnie usłyszał. Choć trudno mu było się z tym pogodzić, zaczął widzieć wyjaśnienie, dlaczego najmłodsze pokolenie Wolfów zostało genetycznie zaprogramowane.

Starzy hitlerowcy odeszli, pozostawiając jednak w swoim miejscu rodzinę złożoną z nadludzi - wystarczająco silnych, by przeżyć nadchodzący kataklizm, a następnie przejąć to, co pozostanie z cywilizowanego świata, i odbudować go, tworząc nowy, rządzony wedle ich norm.

Szare granitowe klify wąwozu wznosiły się niczym gigantyczne cienie i ginęły w nocnym niebie. Poniżej, w blasku widocznego w trzech czwartych księżyca, migotał i rozbłyskiwał błękitno-biały lód lodowca. Liczący trzy tysiące sześćset metrów, pokryty śniegiem szczyt Cerro Murallon unosił się w rozgwieżdżonym, bezchmurnym niebie nad zachodnimi zboczami Andów i spadał stromo w kierunku morza. U jego podnóża gromadziły się lodowce których materia powstała w zamierzchłych czasach. Noc była czysta i rześka, a niebo jasne. W świetle Drogi Mlecznej widać było niewielki pojazd mknący między groźnymi ścianami wąwozu niczym nietoperz, przemierzający pustynny kanion w poszukiwaniu pożywienia.

Na południowej półkuli trwała jesień i w górach zdążył już spaść śnieg. Wysokie drzewa iglaste wspinały się po stromych zboczach aż do miejsca, w którym ustępowały nagim skałom, biegnącym zygzakami ku ostrym i poszarpanym szczytom. Nie było ani plamki sztucznego światła. Pitt wyobrażał sobie, że za dnia sceneria musi być majestatycznie piękna, ale o dziesiątej w nocy strome klify i skaliste granie wyglądały wyjątkowo groźnie.

Moller M400 Skycar był niewiele większy od jeepa cherokee, ale leciał stabilnie jak duże maszyny. Gdyby się uprzeć, można by nim latać nad miejskimi ulicami i zaparkować w dużym willowym garażu. Aerodynamiczny kształt z ostrym, stożkowym nosem nadawał maszynie kształt łączący samochód przyszłości General Motors i myśliwiec z Gwiezdnym Wojen. Każda komora silnikowa mieściła dwa przeciwbieżne silniki wznosząco-napędzające, które umożliwiały zarówno pionowy start, jak i poziomy lot - przy średniej prędkości pięciuset kilometrów na godzinę oraz wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Utrata jednego albo nawet dwóch silników nie powodowała żadnych zagrożeń dla pasażerów, którzy mogli bezpiecznie wylądować. Nawet w razie awarii wszystkich silników podwójny spadochron pozwoliłby Skycarowi obniżyć się jak paralotnia i sprowadzić pasażerów na ziemię bez obawy o wypadek czy zranienie.

Liczne czujniki oraz układy bezpieczeństwa zapobiegały pojawieniu się uszkodzeń w mechanizmach odpowiedzialnych za sterowanie lotem oraz w pokładowym systemie komputerowym. Cztery komputery nieustannie nadzorowały wszystkie systemy i automatycznie utrzymywały wyznaczoną z góry trasę lotu. Globalny system nawigacyjny bezpiecznie prowadził Skycara nad dolinami i kanionami, skutecznie odciążając pilota.

Pitt miał ograniczoną widoczność tego, co przemykało na zewnątrz, lecz krajobrazy niewiele go interesowały. Rzadko chciał mu się patrzeć przez owiewkę. Cień samolotu w słabym świetle księżyca mknął po nierównych skałach w dole, sunął po czubkach drzew i przeskakiwał rozpadliny. Pitt nie dbał o to, że maszyna praktycznie zlewa się ze swym cieniem. Obserwował tor lotu na monitorze ukazującym trójwymiarową topografię okolicy, a automatyczny pilot robił wszystko za niego. Turbulencje tłumiły błyskawicznie reagujące zamocowane pod silnikami lotki połączone z automatycznym systemem stabilizującym.

Pitt czuł się zażenowany, że siedzi z założonymi rękami, a samolot, w ciemnej jak smoła nocy, okrąża kolejne wierzchołki gór bez najmniejszej pomocy ludzkiego mózgu i ludzkich rąk. Nie pozostawało mu nic innego, jak zaufać komputerowemu systemowi sterowania i pozwolić mu pilotować. Jeśli siedzący obok Giordino przejmował się jakąkolwiek możliwością awarii komputera

i mogącą z tego wynikać kolizją ze zbrodnią, to doskonale to ukrywał. Spokojnie czytał powieść przygodową. Pitt oglądał mapę morską, ukazującą wygląd dna fiordu, prowadzącego do stoczni Wolfa.

Od początku było wiadomo, że nie polecą na bezpiecznej wysokości nad najwyższymi szczytami. Misja była tajna. Skycar miał ich dostarczyć do celu tak, by nie zostali wykryci przez radar ani namierniki laserowe.

Obaj pocili się w suchych skafandrach do nurkowania, pod którymi mieli bardzo ciepłą bieliznę, ale nie narzekali. Ubierając się w ten sposób, oszczędzali czas, który musieliby po wylądowaniu przeznaczyć na przebranie się.

Pitt wpisał kod i odczytał liczby z tabeli.

- Trzysta czterdzieści jeden kilometrów od startu ze statku przy Punta Entrada pod Santa Cruz.

- Ile jeszcze? - spytał Giordino, nie podnosząc wzroku znad książki.

- Niewiele ponad osiemdziesiąt kilometrów, czyli za piętnaście minut powinniśmy być nad wzgórzami przy stoczni Wolfa.

- Dokładne współrzędne miejsca lądowania zostały wprogramowane w komputer na podstawie zdjęcia z satelity szpiegowskiego.

- To zdążę przeczytać jeszcze jeden rozdział.

- Co jest tak ciekawego w tej książce, że nie możesz się od niej oderwać?

- Bohater właśnie ma uratować piękną kobietę, którą chcą zgwałcić obrzydliwi terroryści.

- Czytałem kiedyś coś podobnego - ze znużeniem powiedział Pitt i ponownie skoncentrował się na ekranie, który ukazywał niezwykle szczegółowy, trójwymiarowy obraz terenu, rejestrowany przez zamontowany na nosie M400 noktowizor. Mieli wrażenie, jakby byli kulą wystrzeloną do wnętrza atomatu do gry. Górzysty krajobraz nadlatywał i gnał do tyłu rozmazanymi smugami. Czerwone i pomarańczowe cyfry w rogu ekranu wskazywały prędkość, wysokość, stan paliwa i odległość od celu. Pitt pamiętał, że z podobnego systemu korzystał samolot, z którego szukali nad chilijskimi fiordami porwanego statku pasażerskiego - niewiele ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od miejsca, gdzie znajdowali się obecnie.

Wyjrzał na lodowiec pod nimi. Westchnął z ulgą, najgorszą część mieli już za sobą. Promienie księżycy odbijały się od gładkiej powierzchni pociętej przez nieregularne szczeliny Pasma lodu poszerzało się na brzegach, rozpuszczało się, łącząc się z morzem.

Przelecieli najtrudniejszą część drogi i Pitt dostrzegł na horyzoncie pierwsze światła. Wiedział, że to nie gwiazdy, gdyż były bardzo blisko siebie i migotały zbyt nisko. Wiedział także, że przejrzyste powietrze daje wrażenie, że są bliżej niż w rzeczywistości. Stopniowo, niemal niezauważalnie, na tle czerni zaczęły się pojawiać kolejne zgrupowania jasnych punktów. Jeszcze pięć minut i zrobiły się tak widoczne, że same ściągały uwagę. W dole jarzyła się feeria światel czterech gigantycznych statków, migoczących w ciemności nocy jak małe miasteczka.

- Cel w polu widzenia - powiedział Pitt bez emocji.

- Cholera... - mruknął Giordino - Akurat, kiedy doszedłem do zakończenia.

- Odpręż się. Masz dziesięć minut na dokończenie. Poza tym wiadomo, jak się skończy.

Giordino popatrzył na przyjaciela.

- Naprawdę?

Pitt poważnie skinął głową.

- Zrobił to lokaj.

Giordino zmrużył oczy jak złośliwy chiński mędrzec i wrócił do czytania.

Moller M400 nie poleciał prosto, nad światłami stoczni i stojących w fiordzie wielkich statków. Jakby myślał samodzielnie - tak w końcu było - skręcił na kurs południowo-zachodni. Pitt przyglądał się światłom po prawej.

- Skończyłem - westchnął Giordino. - Jeśli cię to interesuje, to nie lokaj zabił dziesięć tysięcy ludzi, a szalony naukowiec. - Zapatrzył się na tysiące światła. - Nie wychwycą nas?

- Niewielka szansa. Moller M400 jest tak mały, że z wyjątkiem paru najbardziej skomplikowanych radarów wojskowych nic na świecie go nie dostrzeże.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Giordino i przeciągnął się. - Oficjalne powitania bardzo mnie krępują.

Pitt oświetlił mapę umieszczoną w ołówku latarką.

- W tym miejscu komputer daje nam wybór. Możemy dopłynąć do stoczni trzy kilometry pod wodą albo dojść sześć po lodowcu.

- Marsz nocą po lodowcu nie jest zachęcający - skrzywił się Giordino. - Co będzie, jeśli synek pani Giordino wpadnie w szczelinę i znajdą go dopiero za tysiące lat?

- Nie umiem sobie wyobrazić ciebie w muzealnej gablocie, oglądanego przez tysiące ludzi.

- Nie widzę niczego złego w byciu atrakcją z innej epoki - oświadczy uroczyście Giordino.

- Nie przyszło ci do głowy, że prawdopodobnie wystawiono by cię na golasa? Nie najlepiej reprezentowałbyś mężczyzn dwudziestego pierwszego wieku.

- Mogę się równać z najlepszymi.

Dalsza rozmowa została przerwana, ponieważ Moller zaczął zwalniać i tracić wysokość. Pitt zdecydował, że lepiej będzie dostać się do stoczni pod wodą, zaprogramował więc odpowiednio komputer, który skierował samolot na zaplanowane lądowisko na brzegu - wybrane przez analityków zdjęć satelitarnych CIA. Kilka minut później umieszczony na silnikach M400 kaskadowy system lotek tak zmienił ciąg, że maszyna zawisła w powietrzu gotowa do lądowania. Pitt widział w ciemności jedynie to, że wiszą dziesięć metrów nad wąskim wąwozem. Moller delikatnie opadł i lekko dotknął kamienistego gruntu. Po chwili silniki przestały się obracać i wyłączyły się wszystkie systemy. Komputer poinformował ich, że wylądowali dziesięć centymetrów od zaplanowanego miejsca.

- Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak bezużyteczny - powiedział Pitt.

- Fakt, ta maszyna sprawia, że człowiek czuje się zbędny - przyznał Giordino i po raz pierwszy wyjrzał na zewnątrz. - Gdzie jesteśmy?

- W wąwozie, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od fiordu.

Pitt podniósł owiewkę i wyszedł z kabiny na twardą ziemię. Po wodzie niosły się odgłosy pracującej dzień i noc stoczni. Odchylił tylne siedzenie, za którym znajdował się bagażnik, i zaczął podawać sprzęt do nurkowania Giordinowi, który układał w równym szeregu butle, kompensatory pławności, pasy balastowe, płetwy i maski. Założyli buty, kaptury i wyłożony sprzęt. Na piersiach mieli pojemniki z bronią i latarkami nurkowymi, a dodatkowo Pitt trzymał tam swój wierny telefon satelitarny. Ostatnimi elementami wyposażenia, które wyjęli z M400, były dwa podwodne Torpedo 2000, niewielkie pojazdy o obłym kadłubie złożonym z dwóch przypominających rakiety rur, w których mieszczą się akumulatory. Ich maksymalna prędkość pod wodą wynosi nieco ponad siedem kilometrów na godzinę i mogą pracować godzinę.

Pitt przypiął do lewego przedramienia komputer nawigacyjny - podobny do tego, który miał w kopalni Paradise - nastawiony tak, by nadawany sygnał docierał do satelity systemu GPS. Potem

zaprogramował go tak, by przetwarzał docierające dane i wyświetlał je na niewielkim monitorze, ukazującym ich dokładną pozycję w fiordzie oraz oddalenie od stoczni.

Giordino założył na maskę spektroskop i włączył go. Przed jego oczami natychmiast pojawił się obraz, nieco rozmazany, ale wystarczająco wyraźny, by dostrzec kamienie o średnicy centymetra. Obrócił się do Pitta.

- No to co? Czas ruszać w drogę?

Pitt kiwnął głową.

- Ponieważ ty widzisz na łodzi, prowadź. Zmieniamy się pod wodą.

Giordino zgodził się bez słowa.

Dopóki nie pokonają strefy ochronnej wokół stoczni, nie będą mieli sobie nic do powiedzenia. Pitt nie musiał być telepatą, by wiedzieć, co dzieje się w głowie Giordina. Przeżywał dokładnie to samo.

Myślami wracali do gabinetu admirała Sandeckera w centrali Agencji, gdzie dwadzieścia godzin wcześniej ustalili plan, który wydawał się teraz skutkiem poważnego zaćmienia umysłu.

- Popełniono błędy - z powagą stwierdził admirał. - Zniknęła doktor O'Connell.

- Zdawało mi się, że jest pod nieustanną obserwacją agentów ochrony - powiedział Pitt, oburzony na Kena Helma.

- W tej chwili wiadomo tylko, że pojechała z córką na lody. Agenci zostali w samochodzie pod lodziarnią, doktor O'Connell i jej córka weszły do środka, skąd już nie wyszły. Wydaje się niemożliwe, żeby porywacze mogli przewidzieć tak spontaniczne działanie.

- Znów Wolfowie. - Pitt huknął pięścią w stół. - Dlaczego wciąż ich nie doceniamy?

- Podejrzewam, że będziesz znacznie mniej zachwycony, kiedy usłyszysz resztę - ponuro dodał Sandecker.

Pitt rozdrażniony popatrzył na admirała.

- Niech zgadnę. Elsie Wolf zniknęła z kliniki razem z ciałem swej kuzynki Heidi.

Sandecker strzepnął z wypolerowanej powierzchni stołu nie istniejący pyłek.

- To naprawdę robota godna magika - zauważył agent FBI Ken Helm. - Klinika jest wyposażona w najnowocześniejsze systemy zabezpieczające.

- Kamery nie zarejestrowały ucieczki? - spytał z irytacją Pitt. - Elsie nie mogła po prostu wymaszerować głównymi drzwiami z przerzuconymi przez ramię zwłokami kuzynki.

Helm lekko przekrzywił głowę.

- Kamery działały cały czas, a monitory były nieustannie obserwowane. Jest mi przykro... Nie, jestem zdumiony, ale niczego nie zarejestrowano.

- Ci ludzie muszą mieć zdolność przeciskania się przez szpary w podłodze - powiedział Giordino, który siedział naprzeciw Sandeckera. - Albo stworzyli pigułkę na niewidzialność.

- Ani jedno, ani drugie - odparł Pitt. - Są sprytniejsi od nas.

- Podejrzewamy z pięćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem, że odrzutowiec Destiny Enterprises wystartował z lotniska pod Baltimor i skierował się na południe...

- Do Argentyny - dokończył Pitt.

- A dokąd mieliby ją zabrać? - spytał Giordino. - Nie wyobrażam sobie, by chcieli ją trzymać w Stanach, gdzie mają niewielką albo wręcz żadną kontrolę nad rządowymi agencjami śledczymi.

Ron Little z CIA odchrząknął.

- Pytanie brzmi: po co? Najpierw mieliśmy uwierzyć, że chcą wyeliminować Pitta i Giordina

oraz doktor O'Connell, ponieważ odkryli w Kolorado komory i znajdujące się tam napisy. Teraz jednak zbyt wiele osób wie o starożytnych przekazach, rozumieją więc, że tajemnica nie może być zachowana.

- Jedyna odpowiedź brzmi, że potrzebują fachowej oceny - powiedział Helm.

- Kiedy spytałem Elsie Wolf, ile komór zbudowali Amenowie, odpowiedziała, że sześć - oświadczył Pitt. - Myśmy znaleźli dwie, oni jedną. Z pozostałych trzech dwie zniszczyły siły natury. Jej zdaniem jedna nie odkryta komora znajduje się w peruwiańskich Andach, ale nie chciała podać bliższych szczegółów. Założę się, że nie potrafią odczytać zakodowanej wiadomości o tym, jak odnaleźć ostatnią zaginioną komorę.

- Więc porwali ją, żeby odczytała kod? - spytał Sandecker.

- To ma sens - powiedział powoli Helm. Giordino pochylił się do przodu.

- Choć znam Pat krótko, wątpię, czy zechce z nimi współpracować. Little uśmiechnął się gorzko.

- Mają też jej czternastoletnią córkę. Wystarczy, że zagrozą zrobieniem jej krzywdy.

- Będzie mówić - grobowym tonem uznał Helm. - Nie ma wyboru.

- Więc jedziemy je odebrać - oznajmił Pitt. Little przyjrzał się mu z powątpiewaniem.

- Nie potrafimy ustalić, gdzie dokładnie ją trzymają.

- W stoczni w Chile. Wolfowie mają kręcka na punkcie nadchodzącego dnia zagłady. Gotów jestem się założyć, iż cała rodzinka zgromadziła się na statkach i czeka na katastrofę.

- Mogę dostarczyć zdjęcia satelitarne stoczni - powiedział Little. - Zdaniem naszych ekspertów system zabezpieczeń jest jednak tak dokładny, że wejście na teren stoczni, a nawet zbliżenie się do niej lądem, wodą lub drogą powietrzną jest praktycznie niemożliwe.

- W takim razie dostaniemy się pod wodą.

- Należy się spodziewać czujników.

- Poradzimy sobie.

- Nie mogę wyrazić zgody - oznajmił spokojnie Sandecker. - To nie jest zadanie dla Agencji. To robota dla Oddziałów Operacji Specjalnych albo oddziału SEAL.

- Odnalezienie Pat O'Connell i jej córki to tylko część naszego planu - odparł Pitt. - Nikt nie jest lepiej przygotowany do zbadania statków Destiny Enterprises niż Al i ja. Niecały rok temu, przy użyciu skutera podwodnego przeprowadziliśmy w stoczni w Hongkongu tajną akcję poszukiwawczą pod kadłubem dawnego liniowca „United States”. Musi być jakieś wytłumaczenie, dlaczego Wolfowie wydają miliardy dolarów na budowę statków, które nawet nie są w stanie dotrzeć do morza.

- FBI nie może w niczym pomóc - powiedział Helm. - Rejon działania położony jest zbyt daleko od Stanów Zjednoczonych.

Little nerwowo splatał i rozplatał palce.

- Obawiam się, że moja Agencja też nic nie może zrobić poza dostarczeniem informacji. Departament Stanu byłby przeciwny jakiegokolwiek udziałowi CIA.

Pitt popatrzył na Sandeckera i uśmiechnął się, zaciskając usta.

- Wygląda na to, że wybrano nas. Sandecker nie odpowiedział uśmiechem.

- Jesteś pewien, że trzeba się tak spieszyć?

- Jestem - z powagą odparł Pitt. - Uważam także, choć nie umiem tego udowodnić, że za ich przedsięwzięciem kryje się coś o wiele gorszego. Coś, co przyniesie straszliwe konsekwencje.

Wąski wąwóz wił się przez sto metrów, po czym wpadał do fiordu. Jego zachodni brzeg wznosił

się, przechodząc stopniowo w półwysep o dziwnej nazwie Exmouth. Brzeg wschodni przecinały kanały wyrzeźbione przez cofający się lodowiec. Jasne światła stoczni Wolfa oraz czterech pływających miast odbijały się w wodzie północnej części fiordu.

Giordino stanął i dał znak, by schowali się w cieniu dużego głazu. Wzdłuż obu brzegów kanału, na tej samej wysokości, płynęły dwie łodzie patrolowe, omiatając powierzchnię i brzegi silnymi szperaczami. Giordino obserwował je przez spektroskop, zamieniający ciemność w pochmurny dzień.

- Jesteś specem od motorówek - powiedział Pitt. - Rozpoznajesz typ?

- Wyprodukowane przez Dvichak Industries, jedenaście i pół metra długości - bez zająknięcia odpowiedział Giordino. - Używane są zwykle przy neutralizacji rozlanej ropy, ale oni załadowali je bronią. Dobra, wytrzymała, solidna łódka. Niezbyt szybka, maksimum osiemnaście węzłów, ale trzystu-konny silnik ma dość mocy, by przesunąć barkę. Użycie ich jako łodzi patrolowych to nowa koncepcja.

- Widzisz uzbrojenie?

- Dwulufowe karabiny maszynowe dużego kalibru, z przodu i z tyłu. Więcej nie widzę.

- Prędkość?

- Moim zdaniem cztery węzły, w sam raz, żeby spokojnie rozglądać się za intruzami.

- Wystarczająco wolno, żeby Torpedo 200 dotrzymały im kroku.

- Co za głupoty chodzą ci po głowie?

- Zaczekamy pod wodą, aż zawrócą i popłyną z powrotem w kierunku stoczni. Kiedy nas miną, popłyniemy w kilwaterze. Odgłosy i piana ukryją nas przed czujnikami.

- To ma sens.

W czasie gdy łodzie patrolowe płynęły dalej na południe, Pitt i Giordino ostatni raz sprawdzili sprzęt, włożyli płetwy, grube neoprenowe rękawice oraz zakrywające całą twarz maski z podwodnymi komunikatorami typu Aquacom. Do pasów balastowych przypięli linkę, która miała zapobiec ich rozdzieleniu lub zgubieniu się w czarnej wodzie.

Po wypchnięciu powietrza ze skafandra Giordino uniósł kciuk, dając znak, że jest gotów. Pitt powtórzył gest i wszedł do wody. Dno przy samym brzegu było kamieniste i śliskie od glonów. Obciążeni sprzętem szli ostrożnie, aż woda sięgnęła im do pasa i mogli się zanurzyć pod powierzchnię. Grunt szybko opadał. Na głębokości trzech metrów Pitt zatrzymał się i wypchnął ze skafandra resztę powietrza. Oddychał płytko i schodził coraz szybciej pod wodę, aż ciśnienie zewnętrzne przekroczyło ciśnienie wewnątrz skafandra. Wtedy dodał więcej powietrza, by móc zawisnąć nieruchomo w wodzie.

Pięćdziesiąt metrów od brzegu Pitt wynurzył się i spojrzał na południe. Łodzie patrolowe dotarły do końca trasy i zawracały.

- Eskorta płynie po nas - powiedział przez wewnętrzny mikrofon. - Mam nadzieję, że prawidłowo oceniłeś ich prędkość na cztery węzły. Szybciej nie popłyniemy.

Głowa Giordina wynurzyła się tuż obok.

- Będziemy na granicy, ale sądzę, że dotrzemy kroku. Miejmy nadzieję, że nie mają pod wodą kamer na podczerwień.

- Fiord ma przynajmniej osiemset metrów szerokości - za dużo, żeby pokryć go kamerami. - Pitt odwrócił się i popatrzył na światła na północy. - Za pracę na trzy zmiany Wolfowie muszą płacić królewskie pensje.

- Założę się, że nie zgadzają się na żadną organizację związkową.

- Jakże zanurzenie mają te łodzie?

- Pół metra. Bardziej powinniśmy się martwić śrubami. Według mnie mają metr średnicy.

Uważnie obserwowali zbliżającą się do nich łódź patrolową. Ocenili jej Kurs i odплыnęli jeszcze dziesięć metrów, po czym zanurkowali, zanim dziobowy szperacz mógł oświetlić ich wystające nad powierzchnię głowy. Pod wodą odgłos pracy silnika i młócej wodę śruby był cztery razy głośniejszy. Położyli się na plecach i czekali. Przyglądali się od spodu powierzchni fiordu i zbliżającym się powoli, tańczącym po lodowatej wodzie światłom.

W końcu kadłub łodzi popychany wielką śrubą wytwarzającą cyklon piany i oszalałych bąbli znalazł się nad nim. Wcisnęli przyciski, uruchamiające silniki ich pojazdów, złapali uchwyty i zniknęli w skłębionym kilwaterze łodzi patrolowej.

Przy czterech węzłach prędkości kilwater nie był bardzo wzburzony. Bez trudu utrzymywali stabilny kurs, nie rzucało nimi ani nie obracało. Największym problemem było to, że nie kontrolowali, dokąd płyną. Na szczęście Pitt widział przez wzburzoną wodę jasne światło rufowe, kierował więc zaokrąglony jak u torpedy dziób swego podwodnego pojazdu tak, by płynął dokładnie za nim.

Płynęli za łodzią przez trzy kilometry, dwa metry pod powierzchnią zimnej wody. Z trudem utrzymywali się w kursie, zmuszając pojazdy do maksymalnej pracy. Akumulatory wyczerpywały się szybko, Pitt mógł mieć jedynie nadzieję, że mocy wystarczy im na powrót do wąwozu i Skycara. Teraz martwili się głównie o to, czy nikt nie dostrzeże ich w jaskrawo oświetlonej stoczni. Co prawda byli dobrze ukryci w kilwaterze, a czarne skafandry zlewały się z czernią głębiny, lecz zawsze mogło się zdarzyć, że bystrookiemu marynarzowi mignie coś podejrzanego. Na szczęście pozostawiono ich w spokoju. Pitt prawidłowo założył, że załoga skupi się na obserwacji wody i brzegu, oświetlanych szperaczem dziobowym.

- Słyszysz mnie dobrze? - spytał Pitt.

- Każdą sylabę - odparł Giordino.

- Mój monitor pokazuje, że przepłynęliśmy prawie trzy kilometry. Łódź zaraz powinna się przygotowywać do nawrotu i popłynąć z powrotem w głąb fiordu. Kiedy poczujesz, że kilwater zaczyna zmieniać kierunek, schodzimy na kilka minut na bezpieczną głębokość. Kiedy dam znak, wypłyniemy, żeby się rozejrzeć.

- Robi się - odparł Giordino spokojnie, jakby czekali na mający wyjechać zza rogu autobus.

Nie minęły trzy minuty, jak patrol zaczął szeroki nawrót o sto osiemdziesiąt stopni. Wyczuwając początek skrętu, Pitt i Giordino zanurkowali na sześć metrów i zawiśli nieruchomo, aż światło szperacza zniknęło w oddali. Powoli, ostrożnie zaczęli uderzać płetwami i zbliżać się do powierzchni. Nie wiedzieli, w której części stoczni się wynurzą.

Obie głowy wysunęły się dziesięć centymetrów nad wodę i dwie pary oczu rozejrzały się po bokach. Zobaczyli, że dryfują jedynie siedemdziesiąt pięć metrów od pierwszego z czterech gigantycznych doków, wychodzących na ponad półtora kilometra w fiord. Cumowało przy nim olbrzymie pływające miasto. Przy podobnych, równoległych dokach stały pozostałe trzy statki giganty. Migoczące pod czarnym niebem twory były olśniewające. Z wody rozmiary statków zdawały się nieprawdopodobne. I Pitt, i Giordino nie potrafili wyobrazić sobie, by tak niewiarygodna masa była w stanie nie tylko unosić się na wodzie, ale jeszcze samodzielnie po niej poruszać.

- Jak to możliwe? - mruknął zdumiony Giordino.

- Olbrzymi - odparł Pitt szeptem.

- Gdzie on się zaczyna?

- Nie myśl na razie o statkach. Musimy znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy pozbyć się skafandrów.

- Myślisz, że trzymają tu Pat?

- Nie wiem, ale to tak samo dobre miejsce do poszukiwań jak każde inne.

- Możemy przepłynąć pod dokiem do skał na brzegu - powiedział Giordino, wskazując na wodę między słupami podporowymi. - Z prawej jest kilka ciemnych baraków. Może uda nam się wejść do środka i przebrać w robocze ubrania.

Ubraniem roboczymi były pomarańczowe kombinezony, podobne do tych, jakie noszą więźniowie w amerykańskich zakładach karnych, przygotowane szybko na podstawie powiększonych zdjęć robotników. Zrobione przez satelitę szpiegowskiego ujęcia przekazano admirałowi Sandeckerowi wraz ze szczegółowym planem stoczni oraz rozpoznaniem przeznaczenia wielu budynków.

Pitt wpisał do komputera odpowiedni kod i spojrzął na wyświetlacz. Słupy podporowe doku zmateriałyzywały się przed jego oczami, jakby stały na suchym lądzie w promieniach słońca. Miał wrażenie, że płynie podwodnym korytarzem oświetlonym przez skierowane znad powierzchni reflektory.

Okrzyżyli wielkie rury i przewody elektryczne, biegnące z brzegu do końca pomostu. Od tysięcy świateł, jaskrawych jakby miały oświetlać promenadę w Las Vegas, widoczność pod wodą wzrosła do trzydziestu metrów.

Pitt płynął przodem, Giordino trzymał się nieco z tyłu i z boku. Dno pokrywały gładkie kamienie. Stopniowo dotarli do miejsca, gdzie musieli się ciągnąć za ręce. Utknęli na płyciźnie. Niedaleko słupów podpierających dok znajdowały się schody, które odchodziły w górę z niewielkiego, umieszczonego tuż nad poziomem wody betonowego nabrzeża. Oświetlała je niewielka, samotna żarówka, kontrastując z galaktyką świateł w stoczni. Ich blask rozjaśniał także niewielkie baraki, które - jak Pitt przypominał sobie ze zdjęć satelitarnych - służyły jako magazyny narzędzi. W cieniu gubiły się jedynie ich boczne ściany.

- No i jak to wygląda? - spytał Giordino.

- Sprawiają wrażenie opuszczonych, ale nie wiadomo, czy nikt nie czyha w ciemności - odparł Pitt.

Giordino, który lustrował okolicę przez spektroskop, dostrzegł ruch przy bocznej ścianie najbliższego baraku. Złapał ostrzegawczo Pitta za ramię akurat w chwili, gdy z cienia wychynął strażnik z zarzuconym na ramię pistoletem maszynowym i krótko popatrzył w stronę wody. Leżeli nieruchomo, na wpół zanurzeni, częściowo ukryci za podporami.

Tak jak podejrzewał Pitt - ponieważ nikt nigdy nie próbował wkraść się do stoczni, strażnik robił swoje ze znużoną miną. Żaden włamywacz, złodziej ani wandal nie wpadłby na pomysł rabowania w miejscu oddalonym o niemal dwieście kilometrów od najbliższej miejscowości, do tego osłoniętym przez Andy i kilka lodowców. Po kilku chwilach strażnik odwrócił się i z powrotem skrył w cieniu między barakami.

Jeszcze zanim zniknął, Pitt i Giordino znaleźli się na brzegu z płetwami w rękach i podwodnymi pojazdami pod pachą. Wspięli się ostrożnie po schodach i jak najszybciej podbiegli do najbliższej plamy cienia. Pierwszy barak był otwarty - z ulgą schowali się do środka. Pitt zamknął drzwi.

- Nareszcie w domu - powiedział Giordino.

Pitt znalazł kawał plandeki i zasłonił nią jedyne okno, wpychając starannie brzegi w każdą szparę. Zapalił nurkową latarkę i oświetlił wnętrze. Barak wyglądał na magazyn - wokół stały pojemniki z mosiężnymi i chromowanymi nakrętkami, nitami i śrubami, na półkach leżały zwoje przewodów elektrycznych, w szafkach poustawiano pięciolitrowe puszkę farby okrętowej. Wszystko było starannie ułożone i opisane.

- Mają hopla na punkcie porządku.

- To z powodu niemieckiego pochodzenia.

Po cichu zdjęli sprzęt nurkowy i rozebrali się ze skafandrów. Wyjęli z toreb na piersiach pomarańczowe kombinezony i założyli je na bieliznę. Na końcu założyli adidas.

- Coś mi właśnie wpadło do głowy... - powiedział niepewnie Giordino.

- Co?

- A jeśli personel Wolfów nosi na kombinezonach tabliczki z imionami albo inne plakietki, których nie pokazały zdjęcia satelitarne?

- To chyba najmniejszy z naszych problemów.

- A co może być gorszego?

- Jesteśmy w Ameryce Południowej, a żaden z nas nie zna nawet na tyle hiszpańskiego, żeby zapytać o drogę do toalety.

- Może nie mówię płynnie, ale znam hiszpański wystarczająco dobrze, żeby udawać miejscowego.

- To dobrze. Będiesz gadał, ja udam przygłuchego.

Podczas gdy Giordino studiował mapę stoczni, szukając najkrótszej drogi do biur kierownictwa, Pitt wystukał numer na telefonie satelitarnym.

Atmosfera w mieszkaniu Sandeckera w budynku Watergate była ciężka od złych przeczuć. W kominku migotał ogień - ciepły, uspokajający ogień, który daje pocieszenie. Na kanapach, ustawionych wokół niskiego szklanego stolika, na którym stała taca z filiżankami i opróżniony do połowy dzbanek z kawą, siedziało trzech mężczyzn. Admirał Sandecker i Ron Little tkwili jak zaczarowani, wpatrzeni w siwiuteńkiego mężczyznę po osiemdziesiątce, powiadającego historię, której jeszcze nigdy nikt nie słyszał.

Admirał Christian Hozafel był wysoko cenionym oficerem niemieckiej kriegsmarine w czasie drugiej wojny światowej. Od czerwca czterdziestego drugiego do lipca czterdziestego piątego roku służył jako dowódca wielu okrętów podwodnych i oficjalnie poddał ostatnią jednostkę w meksykańskim Veracruz. Po wojnie, w ramach planu Marshalla, odkupił od rządu amerykańskiego statek klasy Liberty i w ciągu czterdziestu lat stworzył niezwykle sprawnie działające przedsiębiorstwo transportowe, które sprzedał, by odejść na emeryturę w chwili, gdy flota firmy Hozafel Marine liczyła trzydzieści siedem jednostek. Miał obywatelstwo amerykańskie i mieszkał obecnie w Seattle albo w wielkiej posiadłości na wyspie Whidbey, gdzie trzymał sześćdziesięciometrową brygantynę, którą pływał z żoną po świecie.

- Chce pan powiedzieć, że Rosjanie nie znaleźli zwęglonych szczątków Hitlera pod berlińskim bunkrem? - powiedział Little.

- Oczywiście - z przekonaniem odparł Hozafel. - Nie było żadnych szczątków. Ciało Adolfa Hitlera i Ewy Braun paliły się przez pięć godzin. Leżały w leju po sowieckiej bombie. Ogień podtrzymywano benzyną z rozbitych pojazdów stojących wokół Kancelarii Rzeszy. Paliły się tak

długo, aż pozostał jedynie popiół i drobniutkie kawałki kości, które lojalni oficerowie SS umieścili w urnie z brązu. Niczego nie zostawiono. Każdy kawałeczek kości i każda drobina popiołu znalazły się w urnie. Następnie esesmani wrzucili do dołu nadpalone, niemożliwe do rozpoznania ciała mężczyzny i kobiety, zabitych podczas nalotu - razem z psem Hitlera, Blondie. Na nim sprawdzono działanie kapsułek z cyjankiem, zanim połknęli je Hitler i Ewa Braun.

Sandecker nie odwracał wzroku od Hozafela.

- I te ciała znaleźli Rosjanie?

Były dowódca łodzi podwodnych potwierdził skinieniem głowy.

- Później utrzymywali, że dokumenty dentystyczne potwierdziły tożsamość Hitlera i Ewy Braun, ale znali prawdę. Ciągnęli oszustwo przez pięćdziesiąt lat, ponieważ Stalin i wysocy oficjele sowieccy uważali, że Hitler uciekł do Hiszpanii albo Argentyny.

- Co się stało z popiołami?

- Niedaleko bunkra, pośród płomieni i wybuchów sowieckich pocisków, wystrzeliwanych przez oddziały zamykające coraz ciasniej pierścień wokół centrum miasta, wylądował lekki samolot. W chwili gdy pilot zrobił nawrót do błyskawicznego ponownego odlotu, podbiegli do niego oficerowie SS i umieścili pudło z brązu w przedziale bagażowym. Pilot bez słowa dodał gazu, pognął pasem startowym i po chwili zniknął w unoszącym się nad miastem gęstym dymie. Dotankował w Danii i poleciał przez Morze Północne do norweskiego Bergen. Tam przekazał pudło kapitanowi Edmundowi Mauerowi, który zaniósł je na pokład U-621. W tym samym czasie na pokład dowodzonego przez komandora Rudolpha Hargera innego okrętu podwodnego, U-2015, załadowano szereg skrzyń i pudeł, zawierających cenne relikwie nazistów - w tym Świętą Włócznię i Sztandar Krwi, oraz inne wartościowe dzieła sztuki Trzeciej Rzeszy.

- To wszystko było częścią planu Martina Bormanna, któremu nadano kryptonim Nowe Przeznaczenie? - spytał Sandecker.

Hozafel z szacunkiem popatrzył na admirała.

- Jest pan dobrze poinformowany, sir.

- Święta Włócznia i Sztandar Krwi - naciskał Sandecker. - Też załadowano je na U-2015?

- Wie pan o włóczni? - zdziwił się Hozafel.

- Badałem jej historię i pisałem o niej pracę podczas studiów w Annapolis - odparł Sandecker. - Apokryfy biblijne twierdzą, że wykuł ją kowal Tubal-Kain, bezpośredni potomek Kaina, syna Adama, z żelaza znalezionej w przysłanym przez Boga meteorycie. Mniej więcej trzy tysiące lat przed Chrystusem. Od Tubal-Kaina cudowna włócznia trafiła do Saula, potem do Dawida, Salomona i kolejnych królów Izraela. W końcu wpadła w ręce Juliusza Cezara, który zabierał ją w bój z wrogami. Przed śmiercią podarował włócznię setnikowi, który uratował mu życie podczas walk z plemionami galijskimi. Syn setnika dał włócznię swojemu synowi, ten z kolei swojemu - także centurionowi legionów rzymskich. To on był na Golgocie i patrzył na ukrzyżowanie Chrystusa. Prawo wymagało wówczas, by wszyscy przestępcy ukrzyżowani w dzień Przygotowania, czyli w piątek, ginęli przed zachodem słońca, aby nie bezcześcić szabat. Złodziejom na krzyżach po obu stronach Jezusa dla przyspieszenia zgonu połamano golenie, kiedy jednak żołnierze podeszli do Chrystusa, okazało się, że już nie żyje. Setnik - z powodów, które zabrał ze sobą do grobu - włócznią przebił Jezusowi bok, powodując wypłynięcie krwi i wody. Kiedy święta krew dotknęła włóczni, stała się ona natychmiast jedną z najświętszych relikwii chrześcijaństwa - obok krzyża i świętego Graala, kielicha Ostatniej Wieczerzy. Wiadomo, że włócznia była w posiadaniu Karola Wielkiego i

przez tysiąc lat przekazywano ją kolejnym cesarzom rzymskim, aż trafiła w ręce Habsburgów, którzy wystawili ją w gablocie w pałacu cesarskim w Wiedniu.

- Musi pan w takim razie znać także legendę o mocy włóczni - powiedział Hozafel. - Legendę, która nakłoniła Hitlera do zdobycia zabytku.

- „Kto znajdzie się w posiadaniu Świętej Włóczni i zrozumie moce, którym służy, ma w ręku - na dobre i na złe - przeznaczenie świata” - zacytował Sandecker. - Dlatego Hitler ukradł włócznię Austriakom i trzymał ją do śmierci. Wierzył, że da mu panowanie nad światem. Być może gdyby nie dowiedział się o włóczni, nie starałby się o dominację nad światem. Jego ostatnią wolą było, by ukryto ją przed wrogami.

- Wspomniał pan o Sztandarze Krwi - powiedział Little. - O tym też nic nie wiem.

- W dwudziestym trzecim roku Hitler dokonał w Monachium próby obalenia rządu, która okazała się klęską. Policja strzeliła w tłum i zabito sporo ludzi. Hitler uciekł, ale potem został aresztowany i skazany na pięć lat więzienia, gdzie napisał Mein Kampf. Incydent ten przeszedł do historii jako pucz monachijski. Jeden z kandydatów na rewolucjonistów niósł hitlerowską flagę ze swastyką, która - gdy go postrzelono - została opryskana krwią. Stała się oczywiście krwawym symbolem męczeństwa hitlerowców. Po dojściu Hitlera do władzy Sztandar Krwi był używany podczas zjazdów NSDAP do wyświęcania hitlerowskich sztandarów.

- Tak więc skarby Trzeciej Rzeszy zostały wywiezione z Niemiec i nigdy więcej ich nie widziano - powiedział Little. - Według danych z archiwum CIA nie odkryto żadnych śladów włóczni ani innych zgromadzonych przez nazistów dóbr - w tym skradzionych dzieł sztuki czy zasobów banków i skarbców państwowych.

- Pański U-Boot miał oznaczenie U-699 - spokojnie powiedział admirał Sandecker.

- Tak, dowodziłem nim - przyznał Hozafel. - Tuż po tym, jak na pokładzie znalazło się wielu wysokiej rangi oficerów i funkcjonariuszy państwowych oraz popioły Hitlera, wypłynąłem z Bergen za U-2015. Do dziś zniknięcie Hitlera było zagadką. Opowiadam panu tę historię jedynie z powodu próśb pana Little oraz - jeśli dobrze zrozumiałem - ryzyka, że po zbliżającym się uderzeniu komety Ziemią wstrząśnie katastrofa. Jeśli to prawda, moja przysięga milczenia jest nieważna.

- Jeszcze się nie poddaliśmy - odparł Sandecker. - Chcemy się dowiedzieć, dlaczego rodzina Wolfów wydaje tak niewyobrażalne sumy na budowę gigantycznych statków? Czy kieruje nimi fanatyczna wiara, że katastrofa zniszczy Ziemię i wszystko, co na niej żyje - czy też jest jakiś inny powód?

- Ciekawa rodzina - z namysłem powiedział Hozafel. - Pułkownik Ulrich Wolf był jednym z najbardziej zaufanych członków sztabu Hitlera. Starannie doglądał, by wykonywano najgłupsze rozkazy Fuhrera i spełniano wszelkie jego życzenia. Był także dowódcą elitarniej grupy oficerów SS, chcących się poświęcić w obronie wiary. Nazwali się Strażnikami. Większość z nich zginęła w ostatnich dniach wojny - z wyjątkiem pułkownika Wolfa i trzech jego towarzyszy. Pułkownik był na pokładzie U-2015 wraz z rodziną: żoną, czterema synami i trzema córkami, dwoma braćmi i trzema siostrami z rodzinami. Dawny towarzysz z marynarki powiedział mi niedawno, że Wolf jest ostatnim ze Strażników i stworzył coś na kształt zakonu zwanego Nowym Przeznaczeniem.

- Zgadza się. Prowadzą gigantyczną korporację o nazwie Destiny Enterprises - powiedział Sandecker.

Stary wilk morski uśmiechnął się.

- A więc zamienili mundury i propagandę na garnitury i bilanse handlowe - Stworzyli także rasę

nadludzi - dodał Sandecker. - Dzięki inżynierii genetycznej przedstawiciele ostatnich pokoleń Wolfów nie tylko są do siebie podobni zewnętrznie, ale także mają takie same cechy anatomiczne i fizjologiczne. Mają umysły geniuszy i niezwykle wytrzymały układ odpornościowy, pozwalający osiągać bardzo zaawansowany wiek.

Hozafel wyraźnie zeszywniał, a w jego oczach pojawił się strach.

- Ma pan na myśli inżynierię genetyczną? Jeden z pojemników, który wiozł mój okręt, był stale chłodzony. - Wziął głęboki wdech. - Zawierał spermę i próbki tkanek Hitlera, pobrane tydzień przed jego samobójstwem.

Sandecker i Little wymienili niespokojne spojrzenia.

- Uważa pan, że możliwe jest, aby do stworzenia ostatnich pokoleń Wolfów użyto spermy Hitlera? - spytał Little.

- Nie wiem - odparł nerwowo Hozafel. - Obawiam się jednak, że to wysoce prawdopodobne. Pułkownik Wolf, współpracując z potworem z Oświęcimia zwanym aniołem śmierci, czyli doktorem Josefem Mengele, mógł eksperymentować nad zapłodnieniem kobiet Wolfów zamrożoną spermą Hitlera.

- To najobrzydliwszy pomysł, o jakim w życiu słyszałem... - mruknął Little.

Rozmowę przerwał cichy dźwięk telefonu. Sandecker wcisnął klawisz telefonu na stoliku.

- Jest ktoś w domu? - rozległ się znajomy głos Pitta.

- Jestem - z napięciem odpowiedział Sandecker.

- Tu Leaning Pizza Tower. Zamawiał pan coś u nas?

- Zamawiałem.

- Chce pan na pizzy salami czy szynkę?

- Wolalbym salami.

- No to wsadzamy do pieca. Zadzwonimy, kiedy dostawca wyjedzie. Dziękuję za złożenie zamówienia.

Rozmowa została rozłączona, z głośnika usłyszeli ciągły sygnał. Sandecker przeciągnął dłonią po twarzy. Kiedy się wyprostował, w jego oczach widać było napięcie.

- Są w stoczni.

- Niech Bóg ma ich w swej opiece - powiedział Little.

- Nic nie rozumiem - spytał Hozafel. - To był jakiś szyfr?

- Przy nieodpowiednim sprzęcie rozmowy satelitarne można łatwo podsłuchać - wyjaśnił Little.

- Czy to ma coś wspólnego z Wolfami?

- Wydaje mi się, admirał Sandecker ściszył głos - że najwyższy czas, by poznał pan naszą część opowieści.

30

Kiedy Pitt i Giordino wyszli z baraku, zawołano na nich zza rogu po hiszpańsku. Giordino spokojnie odpowiedział i zamachał pustymi rękami. Najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią strażnik wrócił do obchodu, Pitt i Giordino zaczekali chwilę, po czym ruszyli drogą, prowadzącą do

serca stoczni.

- O co pytał? - spytał Pitt.

- Chciał papierosa. Powiedziałem, że nie palimy.

- I kupił to?

- Kupił.

- W takim razie twój hiszpański musi być lepszy, niż sądziłem. Gdzie się uczyłeś?

- Targując się z handlarzami na plaży pod hotelem w Mazatlan - skromnie odparł Giordino. -

Kiedy byłem w szkole średniej, sprzątaczką matki nauczyła mnie kilku zdań.

- Założę się, że nie tylko tego - z ironią powiedział Pitt.

- To całkiem inna historia - bez zastanowienia odparł Giordino.

- Od tej pory, będąc w zasięgu słuchu robotników, lepiej zrezygnujmy z posługiwania się angielskim.

- Tak z ciekawości - jaką masz broń?

- Mojego sprawdzonego i wiernego colta government. Dlaczego pytasz?

- Nosisz ten antyk, odkąd się znamy. Dlaczego nie zmienisz go na coś nowocześniejszego?

- Jest jak stary przyjaciel - cicho odparł Pitt. - Uratował mi tyłek więcej razy niż jestem w stanie

spamiętać. - Skinął głową na wybrzuszenie pod kombinezonem Giordina. - A ty co masz?

- Jeden z pistoletów Para-Ordnance P-12, które zabraliśmy tym błaznom w kopalni Paradise.

- Przynajmniej masz dobry gust.

- Poza tym był za darmo - odparł z uśmiechem Giordino. Skinął głową w kierunku głównych budynków stoczni.

- Do którego idziemy? - Pitt spojrzał na ekran komputera nawigacyjnego, który wyświetlał wszelkie dostępne dzięki CIA dane o stoczni. Podniósł wzrok na biegnącą wzdłuż nabrzeża drogę, za którą stały olbrzymie stalowe hale magazynów. Wskazał na dwudziestopiętrowy budynek wznoszący się jakieś półtora kilometra za magazynami.

- Do tego po prawej.

- Jeszcze nigdy nie widziałem tak olbrzymiej stoczni - powiedział Giordino, rozglądając się po ogromnym kompleksie. - To bije na głowę wszystko, co mają w Japonii czy Hongkongu.

Zatrzymali się gwałtownie i zapatrzyli na najbliższy superstatek jak chłopcy ze wsi, obserwujący z zadartymi głowami widziany po raz pierwszy miejski wieżowiec. Z wyciem nadlatywał mały odrzutowiec - pilot zredukował moc i maszyna wylądowała na długim pasie na pokładzie statku. Huk silników odbił się echem od wody, pomknął w górę zboczy i po chwili wrócił. Widok był niesamowity - nawet najbardziej wyszukane hollywoodzkie efekty specjalne nie byłyby w stanie choć w części oddać wyglądu otoczenia.

- Żadna stocznia świata nie ma możliwości budowy tak wielkich jednostek - powiedział Pitt, przyglądając się zachwycony zacumowanemu w doku gigantycznemu tworowi, którego kadłub zdawał się biec w nieskończoność. Żaden ziemski budynek - nawet postawione jedna na drugiej bliźniacze wieże World Trade Center w Nowym Jorku - nie może się równać z niepojętymi rozmiarami arki Wolfa.

Z wyjątkiem potężnego dziobu twór nie przypominał statku. Wyglądał raczej jak położony na boku wieżowiec. Wszystkie nadbudówki zaopatrzone w przyciemniane szkło pancerne o wytrzymałości stali wanadowej. Przez szyby widać było ogrody z drzewami, rosnącymi wśród kamiennych grządek, uformowanych w przypominające park prostokąty. Na zewnątrz nie było

promenad, pokładów spacerowych ani balkonów. Cała przestrzeń została osłonięta. Z przodu nad konstrukcją wznosił się typowy spiczasty dziób, który bez wątpienia miał służyć jako środek przeciwdziałający uderzeniu tsunami.

Przyjrzał się bliżej rufie. Na wysokości linii wodnej wystawało z niej dwadzieścia równoległych pomostów, z których każdy musiał mieć około sześćdziesięciu metrów długości. Nad nimi unosił się wysoki dach, podparty piętnastometrowymi kolumnami w stylu greckim. Pomosty służyły zarówno jako osłona śrub statku, jak i miejsce do cumowania niezliczonych motorówek, wodolotów i poduszkowców. W miejscu, gdzie stykały się z kadłubem, umieszczono liczne szerokie schody i oszklone windy, którymi dostarczano ładunek do głównej nadbudówki. Choć mogło się to wydawać niemożliwe, gigantyczny statek miał własny port, gdzie można było cumować łodzie i wyciągać je z wody, kiedy jednostka matka płynęła.

Pitt obserwował tysiące robotników, wypełniających doki i otwarte pokłady. Wszystko wskazywało na to, że gorączkowo starano się zakończyć wyposażanie statku. Wysokie jak wieże dźwigi jeździły po szynach tam i z powrotem, ładując do wielkiego luku towarowego kontener za kontenerem - Spektakl był zbyt nierealny, by w niego uwierzyć. Niewiarygodne wydawało się, że te pływające miasta nigdy nie wypłyną z fiordu na ocean. Ich głównym zadaniem było przeżycie ataku wielkich tsunami, po czym miały być wyniesione przez powrotną falę na głęboką wodę.

Nie było co marzyć o przekradaniu się w cieniu - jaskrawe oświetlenie było wszędzie. Pitt i Giordino maszerowali swobodnie szeroką drogą i machali mijanym sporadycznie strażnikom, którzy nie zwracali na nich uwagi, Pitt szybko zauważył, że większość robotników porusza się po rozległym terenie w pojazdach przypominających wózki golfowe. Zaczął się za czymś takim rozglądać i niedługo zauważył kilka, zaparkowanych przed wielkim magazynem.

Ruszył w ich kierunku. Giordino, który wciąż nie mógł oderwać wzroku od statków, poszedł za nim.

- To miejsce jest za duże na spacer - rzekł Pitt. - Wolę jechać. Wyglądało na to, że wózek akumulatorowy może wziąć sobie każdy, kto go akurat potrzebuje. Podeszli do grupki pojazdów zaparkowanych wokół stanowiska do ładowania akumulatorów. Do gniazdka pod przednim siedzeniem każdego wózka podłączony był przewód. Pitt wyciągnął wtyczkę z pierwszego pojazdu w szeregu, wrzucili na płaszczyznę bagażową zwój kabla i kilka puszek z farbą, po czym wspięli się na przednie siedzenie. Pitt przekręcił kluczyk zapłonu i ruszył, jakby robił to od lat.

Minęli długi szereg magazynów i dojechali do wysokiego biurowca. Z biegnącej wzdłuż brzegu drogi można było dostać się do bramy drugiego doku. Drugi pływający statek był skromniejszy od tego, który miał dowieźć do nowego świata jego przyszłych władców. Został zbudowany do transportu płodów rolnych. Wielkie transportery, wjeżdżające rampami do wnętrza kadłuba, wiozły całą paletę drzew i krzewów. Na nabrzeżu - w oczekiwaniu na załadunek - leżały sterty cylindrycznych pojemników, opatrzonych napisem „Nasiona”. Do wnętrza ogromnej ładowni wjeżdżał długi konwój sprzętu rolniczego: różnego rodzaju traktorów i ciężarówek, kombajnów, pługów i innych maszyn.

- Zamierzają wystartować z tym swoim nowym światem w wielkim stylu - powiedział Pitt, próbując wyobrazić sobie skalę przedsięwzięcia.

- Założysz się, że jeden z tamtych dwóch statków ma na pokładzie po parze przedstawicieli każdego gatunku zwierząt?

- Wolę się nie zakładać. Mam tylko nadzieję, że są na tyle przewidujący, żeby nie zabierać much,

komarów i jadowitych gadów.

Giordino otworzył usta, by dać mądry komentarz, jednak zmienił zdanie. Pitt stanął obok schodów, prowadzących do nowoczesnego, oszklonego budynku. Wyjęli z wózka zwój przewodu i farbę, weszli do środka i podeszli do długiego kontuaru, za którym stali dwaj strażnicy. Giordino uśmiechnął się swym najbardziej przyjacielskim uśmiechem i zaczął coś cicho mówić po hiszpańsku do jednego z ochroniarzy.

Po chwili strażnik kiwnął głową i wskazał kciukiem na windy.

- Co tym razem nagadałeś? - spytał Pitt, kiedy weszli do windy. Zanim drzwi się zamknęły, wyjrzał ostrożnie za róg. Jeden ze strażników podniósł słuchawkę telefonu i zaczął coś gorączkowo mówić. Cofnął się i drzwi się zasunęły.

- Powiedziałem, że zostaliśmy wezwani przez Wolfów do naprawy instalacji elektrycznej w ścianie apartamentu na dziewiątym piętrze i zagipsowania oraz pomalowania po robocie ściany. Nie zaprotestowałem.

Pitt rozejrzał się w poszukiwaniu kamer, ale nic nie znalazł. Można było sądzić, że Wolfowie nie obawiają się akcji dywersyjnych - albo wiedzą o przybyciu intruzów i przygotowali pułapkę. Być może dmuchał na zimne, ale nie ufał im ani trochę. Wydawało mu się, że strażnicy w holu spodziewali się ich przybycia.

- Czas na kamuflaż - powiedział. Giordino spojrzał na przyjaciela.

- Plan C?

- Zatrzymamy się na czwartym piętrze, żeby zmylić strażników, którzy najprawdopodobniej obserwują nasze ruchy. Nie wysiadziemy jednak, lecz wejdziemy na dach windy i tak pojedziemy wyżej.

- Może być - odparł Giordino, wciskając przycisk czwartego piętra.

- No, weź mnie na barana, to wejdę na górę - powiedział Pitt, jednak nie poruszył się. Choć nie odkrył żadnej kamery telewizyjnej, był przekonany, że w windzie są mikrofony. Stał i uśmiechał się porozumiewawczo do Giordina.

Giordino zrozumiał i wyciągnął swego P-12.

- Cholera, ale jesteś ciężki... - stęknął.

- Daj rękę, to wciągnę cię na górę - powiedział cicho Pitt i ścisnął rękojeść colta. Ustawili się w kątach za drzwiami.

Kiedy otworzyły się, do kabiny wpadło trzech strażników w identycznych czarnych kombinezonach i czapkach na głowach. Mieli wyciągniętą broń i natychmiast skierowali uwagę na otwarty właz inspekcyjny w suficie. Pitt wystawił nogę tak, że trzeci strażnik potknął się, padł na kolegów i cała trójka splątała się na podłodze. Wcisnął przycisk zamykania drzwi, zaczekał, aż kabina opadnie kilka metrów, i czerwonym klawiszem zatrzymał ją między piętrami.

Giordino fachowo ogłuszył dwóch strażników rękojeścią pistoletu, trzeciemu przystawił lufę do czoła i warknął po hiszpańsku:

- Rzuć broń albo zginiesz.

Strażnik był tak samo wyszkolony i opanowany jak zabójcy, których spotkali w kopalni Paradise. Pitt naprężył się, przeczuwając, że może błyskawicznie się odwinąć i strzelić jako pierwszy, ale strażnik, dostrzegłszy zdecydowanie w jego oczach, zrozumiał, co mu grozi. Zdając sobie sprawę z tego, że przy najmniejszym ruchu w jego głowie znajdzie się pocisk, rozsądnie upuścił pistolet na podłogę - ten sam model Para-Ordnance, którego lufę Giordino wciskał mu między oczy.

- Nigdzie się nie dostaniecie, ścierwa! - rzucił po angielsku.

- Proszę, proszę, kogo my tu mamy... - powiedział Pitt. - Kolejny najemnik, jak ci, których spotkaliśmy w Kolorado. Karl Wolf musi wam dobrze płacić, byście chcieli dla niego mordować i umierać.

- Daj spokój, durniu. To wy umrzecie.

- Macie paskudny zwyczaj powtarzać ciągle tę samą śpiewkę. - Pitt zatrzymał wylot lufy colta dwa centymetry od lewego oka strażnika. - Doktor O'Connell i jej córka. Gdzie są? - Pitt nie starał się naśladować odgłosu wydawanego przez ogon grzechotnika, ale niewiele mu brakowało. - Mów albo pociągnę za spust. Prawdopodobnie przeżyjesz, ale nie będziesz miał oczu. No więc - gdzie one są?

Pitt nie był sadystą, jednak widok jego wykrzywionej twarzy i wściekłych oczu wystarczył, by strażnik uwierzył, że ma przed sobą wariata, który zamierza go oślepić.

- W jednym z wielkich statków.

- W którym? - powiedział ostro Pitt. - Są cztery.

- Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem.

- Kłamie - rzucił Giordino. Głos miał tak lodowaty, że można by nim mrozić olej.

- Mów prawdę albo twoje oczy polecą na ścianę - zagroził Pitt. Odbezpieczył colta i przycisnął lufę do lewego oka mężczyzny - w jednej linii z prawym.

Strażnik nie zmienił miny ze zbuntowanej w przerażoną, ale wydyszał:

- Na „Ulrichu Wolfie”. Są na „Ulrichu Wolfie”.

- Który to?

- Statek-miasto. Po kataklizmie zabierze obywateli Czwartego Imperium na morze.

- Przeszukanie statku tych rozmiarów zajmie dwa lata - powiedział Pitt. - Określ bliżej miejsce albo oślepniesz. Szybko!

- Poziom szósty, przedział K. Nie wiem, który apartament.

- Kłamie - powiedział surowo Giordino. - Strzelaj, ale poczekaj, aż się odwrócę. Nie lubię patrzeć, jak krew rozbryzguje się po meblach.

- Zabijcie mnie i skończmy to! - warknął strażnik.

- Gdzie Wolfowie znajdują takich drani?

- Po co chcesz to wiedzieć?

- Jesteś Amerykaninem. Nie wzięli cię z ulicy, musiałeś służyć w wojsku, jeśli się nie mylę w elitarniej jednostce. Twoja lojalność wobec Wolfów przekracza racjonalne granice. Dlaczego?

- Oddać życie za Czwarte Imperium to zaszczyt. Moją zapłatą - jak wszystkich pozostałych - jest świadomość, że kiedy świat ulegnie zagładzie moja żona i synowie będą bezpieczni na pokładzie „Ulricha Wolfa”.

- A więc to jest twoja polisa ubezpieczeniowa...

- Masz jakąś ludzką rodzinę? - spytał, udając zdziwienie Giordino. - Przysięgłbym, że tacy jak ty zwijają się w kłębek i składają jaja.

- Po co komu konto w banku, na którym są miliardy, jeśli ludzkość ma zginąć?

- Nienawidzę pesymistów - powiedział Giordino, waląc lufą pistoletu w kark najemnika, który zwał się nieprzytomny na nieruchome ciała towarzyszy. W budynku rozzwoniły się alarmy. - To tyle. Teraz musimy ogniem przebić sobie drogę ucieczki z miasteczka.

- W odpowiednim stylu - odparł Pitt, jakby nie widział powodu do zdenerwowania. - Zawsze

trzeba mieć styl.

Sześć minut później winda stanęła na poziomie holu wejściowego. Drzwi otworzyły się. Przed nimi stało i klęczało dwudziestu paru ludzi, kierując do wnętrza gotową do strzału broń.

W windzie stali dwaj mężczyźni w mundurach strażników, z zaciągniętymi głęboko na czoło czapczkami. Podnieśli ręce i - z opuszczonymi głowami - zawołali po angielsku i hiszpańsku:

- Nie strzelajcie! Zabiliśmy dwóch intruzów! - Wyciągnęli za nogi dwie postaci w pomarańczowych kombinezonach, bezceremonialnie rzucając je na marmurową podłogę holu. - Jest ich więcej! - z podnieceniem wyrzeszczał Giordino. - Zabarykadowali się na dziewiątym piętrze.

- Gdzie Max? - spytał strażnik, który dowodził.

Pitt, zasłaniając twarz ręką, jakby ścierał pot, pokazał palcem w górę. Giordino wyjaśnił:

- Musieliśmy go zostawić. Jest ranny. Poślijcie szybko po lekarza! Znakomicie wyszkolony oddział natychmiast podzielił się na dwie części - jedna weszła do windy, druga ruszyła w górę schodami. Pitt i Giordino uklękli przy nieprzytomnych strażnikach, których wyciągnęli z windy, i udawali, że dokładnie ich oglądają. Kiedy nikt na nich nie patrzył, spokojnie wyszli frontowymi drzwiami.

- Nie mogę uwierzyć, że udało nam się zwać - westchnął Giordino. Gnali elektrycznym samochodziem w kierunku doku, przy którym cumował „Ulrich Wolf”.

- Na szczęście byli tak pochłonięci zadaniem, że nie przyjrzelili się nam dokładnie.

- Mój kombinezon jest za długi i za ciasny. Jak twój?

- Za krótki i za luźny, ale nie mamy czasu, by wstąpić do krawca - odparł Pitt, kierując pojazd ku pierwszemu nabrzeżu. Musiał gwałtownie ominąć wielki dźwig, pędzący ciężko po torze. Wcisnął pedał gazu aż do podłogi, ale wózek osiągał najwyżej dwadzieścia kilometrów na godzinę. Czuli się, jakby siedzieli na żółwiu.

Jechali wzdłuż olbrzymiego pływającego miasta tak, by ominąć miejsca załadunku. Dok pełen był krzątających się robotników - wielu poruszało się takimi samymi elektrycznymi wózkami, część jechała na rowerach, niektórzy śmigali wokół przeszkód na łyżworolkach. Pitt raz za razem gwałtownie wciskał hamulec, by nie zderzyć się z zapracowanymi ludźmi, którzy beztrako wchodzili im na drogę. W pewnym momencie przecięły im drogę wielkie podnośniki widłowe i wjechały po pochylniach do olbrzymiej ładowni, gdzie miały pozbyć się swego ładunku. Słyszeli wiele przekleństw i zebrali niejedną pogroźkę.

Gdyby nie mieli na sobie czarnych mundurów, z pewnością zatrzymano by ich i zagrożono pobiciem za nieostrożną jazdę. Widząc szansę dostania się na pokład statku bez wspinania się po długich trapach, Pitt ścisnął mocniej kierownicę i ostro skręcił w prawo. Wjechali pustym pomostem, przejechali główny pokład, po czym kolejnym trapem zjechali w głąb pływającego miasta - do części magazynowo-technicznej. Z ogromnej ładowni rozchodziły się we wszystkie strony szerokie tunele prowadzące do położonych niżej magazynów. Pitt dostrzegł mężczyznę w czerwonym kombinezonie, który wyglądał na sztauera. Przekazał Giordinowi, co ma powiedzieć po hiszpańsku, i gwałtownie zahamował.

- Hej, ty! Mamy awarię na poziomie szóstym, w przedziale K! - wrzasnął Giordino. - Jak najszybciej się tam dostać?

- Nie wiecie? - spytał zdziwiony mężczyzna.

- Właśnie przeniesiono nas z brzegu i jeszcze nie znamy „Ulricha Wolfa”. Nie wnikając w szczegóły, odpowiedzialny za prowadzenie załadunku mężczyzna wskazał jeden z korytarzy.

- Podjedźcie do drugiej windy po prawej. Zaparkujcie wózek i wjedźcie na czwarty poziom. Kiedy wysiądziecie, będziecie przy stacji tramwajowej numer osiem. Wsiądźcie w tramwaj jadący do przedziału K, potem pójźcie korytarzem do biura ochrony i spytajcie o drogę - chyba, że wiecie, której rezydencji szukacie.

- Tej, gdzie zamknięto amerykańską uczoną i jej córkę.

- Nie mam pojęcia, gdzie to może być. Będziecie musieli spytać dyżurnego oficera ochrony albo kierownika przedziału K.

- Muy gracias - rzucił przez ramię Giordino, kiedy Pitt szybko ruszył we wskazanym kierunku. - Jak na razie nie najgorzej, powiedział człowiek, który wyskoczył z Empire State Building i zderzenie z chodnikiem ma jeszcze przed sobą... - Po chwili dodał: - Moje uznanie. Zamiana pomarańczowych ubrań na czarne była mistrzowskim posunięciem.

- Inny pomysł ucieczki z pułapki nie przyszedł mi do głowy - odparł Pitt.

- Jak myślisz, ile mamy czasu, zanim odetną nam drogę?

- Jeśli dobrze walnąłeś tamtych gości, szybko nas nie zdemaskują. W ciągu najbliższych dziesięciu minut odkryją jedynie, że pojechaliśmy na „Ulricha Wolfa” i weszliśmy na pokład. Wciąż nie będą wiedzieli, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Poszli za radą sztauera i zatrzymali samochodzik przy drugiej windzie. Była duża, przeznaczona do wożenia ciężkich ładunków. Jechali nią robotnicy z paletą pełną konserw. Pitt i Giordino dołączyli do nich i wysiedli na poziomie szóstym, niedaleko peronu przy obiegających cały statek torach. Czekali pięć minut, nerwowo krążąc, aż w końcu pojawił się tramwaj złożony z pięciu wagonów. Z zewnątrz pomalowany był na jasnożółty kolor, w środku - na lawendowy. Drzwi otworzyły się z cichym syknięciem. Weszli do pierwszego wagonika i spostrzegli, że jest zaplanowany na czterdzieści miejsc. W połowie wypełniony był ludźmi w kombinezonach o wszystkich kolorach tęczy. Niczym przyciągany magnesem, Giordino usiadł obok atrakcyjnej kobiety o srebrnych włosach i błękitnych oczach, ubranej w stonowany, szaroniebieski kombinezon. Pitt, rozpoznając w niej rysy rodziny Wolfów, zeszywniał.

Kobieta popatrzyła na nich i uśmiechnęła się.

- Wyglądacie na Amerykanów - powiedziała po angielsku z lekkim hiszpańskim akcentem.

- Skąd pani wie? - spytał Pitt.

- Większość naszych strażników rekrutowaliśmy w armii amerykańskiej - odparła.

- A pani jest członkiem rodziny Wolfów - odparł uprzejmie, tak jak rozmawia się z kimś ważnym. Roześmiała się beztrąsko.

- Dla obcych musimy wyglądać, jakbyśmy pochodzili z jednego strąka.

- Wasze podobieństwo jest zadziwiające.

- Jak się pan nazywa? - spytała autorytatywnie.

- Dirk Pitt - odparł beczelnie, a właściwie bezmyślnie. Obserwował jej oczy, ale najwyraźniej jeszcze nic nie wiedziała. - Mój przyjaciel nazywa się Al Capone.

- Rosa Wolf.

- To dla mnie zaszczyt, panno Wolf, uczestniczyć w wielkim przedsięwzięciu pani rodziny. „Ulrich Wolf” to godne podziwu mistrzowskie dzieło. Zostaliśmy z moim przyjacielem zwerbowani z korpusu marines dwa tygodnie temu. To prawdziwy przywilej móc służyć rodzinie, która stworzyła coś tak niezwykłego.

- Inicjatorem budowy „Ulricha Wolfa” oraz trzech pozostałych pływających miast Czwartego

Imperium był mój kuzyn Karl - wydekamowała z dumą Rosa, najwyraźniej mile połączona pochwałą. - Zebrał najlepszych na świecie projektantów i inżynierów, którzy w całkowitej tajemnicy stworzyli statki od podstaw. W odróżnieniu od większości dużych liniowców i supertankowców nie mają pojedynczego kadłuba, lecz składają się z dziewięciuset wodoszczelnych, osobnych przedziałów. Gdyby z powodu wielkiego przyływu spodziewanego w wyniku nadchodzącego kataklizmu, zniszczonych i zalanych zostało sto komór, zanurzenie zwiększy się najwyżej o dwadzieścia centymetrów.

- Faktycznie zadziwiające - powiedział Giordino, udając zachwyt. - Jaki mają napęd?

- Dziewięćdziesiąt silników dieslowskich o mocy dziesięciu tysięcy koni każdy, które są tak sprzężone, żeby poruszać statkiem z prędkością dwudziestu pięciu węzłów.

- Miasto na pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, zdolne poruszać się samodzielnie po świecie... - powiedział Pitt. - To wydaje się niemożliwe.

- Nie pięćdziesiąt tysięcy, panie Pitt. W decydującym momencie na tym statku będzie sto dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Po pięćdziesiąt tysięcy będzie na każdym z pozostałych, co czyni razem dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, przeszkolonych tak, by wznieść z popiołów archaicznych systemów demokratycznych Czwarte Imperium.

Pitt stłamsił w sobie chęć protestu i wyjrzał przez okno. Wzdłuż torów biegł sztuczny park o powierzchni przynajmniej dziesięciu hektarów. Co rusz zadziwiał go rozmach projektu. Między drzewami wiły się ścieżki dla biegaczy i rowerzystów, w stawach pływały łabędzie, gęsi i kaczki.

Rosa zauważyła jego fascynację idylliczną scenerią.

- Parki i miejsca wypoczynkowe zajmują w sumie powierzchnię dwustu hektarów. Widzieliście ośrodki sportowe, baseny i źródła mineralne?

Pitt pokręcił głową.

- Nie mieliśmy zbyt wiele wolnego czasu.

- Jest pan żonaty, ma pan dzieci?

Przypominając sobie rozmowę ze strażnikiem, Pitt skinął głową.

- Chłopca i dziewczynkę.

- W naszych szkołach zatrudniliśmy najlepszych na świecie nauczycieli i wychowawców - od poziomu przedszkolnego przez uniwersytecki po kształcenie podyplomowe.

- Cieszy mnie to.

- Będzie pan mógł chodzić z żoną do teatru, uczestniczyć w seminariach edukacyjnych i konferencjach, korzystać z bibliotek i zwiedzać galerie wypełnione cennymi dziełami sztuki. Mamy także miejsca, w których przechowywane są starożytne znaleziska, można je więc będzie badać w oczekiwaniu, aż środowisko naturalne Ziemi zregeneruje się po kataklizmie.

- Starożytne znaleziska? - spytał Pitt.

- Dziedzictwo cywilizacji, którą nasi dziadkowie odkryli na Antarktydzie, stworzonej przez naród zwany Amenami. Była to rozwinięta rasa, a zginęła, kiedy dziewięć tysięcy lat temu w Ziemię uderzyła kometa.

- Nigdy o niej nie słyszałem - do komedii włączył się Giordino.

- Nasi naukowcy badają ich zapisy, żebyśmy wiedzieli, czego należy się spodziewać w najbliższych miesiącach i latach.

- Ile czasu upłynie do momentu, kiedy będzie można pracować na lądzie?

- Pięć, może dziesięć lat, zanim będziemy mogli zejść na ląd i ustanowić nowy porządek świata -

odparła Rosa.

- Sto dwadzieścia pięć tysięcy ludzi przeżyje tak długo?

- Zapomina pan o pozostałych statkach - powiedziała z dumą. - Flota jest w stu procentach samowystarczalna. „Karl Wolf” ma dwadzieścia tysięcy hektarów ziemi uprawnej, już obsadzonej warzywami i sadami owocowymi. „Otto Wolf” załadowany jest tysiącami zwierząt - zarówno do konsumpcji, jak i na rozród. Ostatni statek - „Hermann Wolf” - został zbudowany tylko do przewozu dóbr. Są tam maszyny i sprzęt, który wykorzystamy do budowy miast, dróg i farm, kiedy będziemy mogli zejść na ląd.

Giordino wskazał tablicę nad drzwiami, która wyświetlała nazwy przystanków.

- Zbliża się przedział K.

- Poznać panią było ogromną przyjemnością, panno Wolf - z galanterią powiedział Pitt. - Mam nadzieję, że wspomni pani o mnie swemu kuzynowi Karlowi.

Przez chwilę patrzyła na niego pytająco, po czym skinęła głową.

- Jestem przekonana, że jeszcze się spotkamy.

Tramwaj zwolnił, stanął i Pitt z Giordinem wysiedli. Z peronu weszli do pomieszczenia, od którego promieniście odchodziły korytarze.

- Dokąd teraz? - spytał Giordino.

- Idziemy na oś statku i po strzałkach do przedziału K - powiedział Pitt, ruszając w kierunku środkowego korytarza. - Zamierzam unikać biur ochrony jak zarazy.

Korytarz zdawał się nie mieć końca. Mijali ponumerowane drzwi, z których część była otwarta - meblowano pomieszczenia. Zajrzeli do kilku mieszkań - składały się z wielkich pokoi o standardzie porównywalnym do luksusowych apartamentów hotelowych. W trakcie długiego czekania na zejście na ląd i możliwość stworzenia nowej cywilizacji ludzie mieli mieszkać jak najwygodniej.

Między drzwiami do rezydencji co dziesięć metrów wisiały obrazy. Giordino zatrzymał się przy jednym i przyjrzał namalowanemu jaskrawymi barwami krajobrazowi. Po chwili przysunął się do prawego dolnego rogu i wbił wzrok w sygnaturę twórcy.

- To nie może być Van Gogh - powiedział. - To fałszerstwo albo kopia.

- Oryginał - z przekonaniem odparł Pitt. Podszedł do paru innych obrazów. - Te dzieła bez najmniejszej wątpliwości pochodzą z muzeów i prywatnych kolekcji ofiar holocaustu, które hitlerowcy splądrowali w czasie drugiej wojny światowej.

- Jakże to wspaniałomyślne ratować skarby, które nigdy nie były ich własnością.

- Oto plan Wolfów, jak dostarczyć mistrzowskie dzieła do ziemi obiecanej.

Pitt zastanawiał się, skąd mają pewność, że druga kometa uderzy w Ziemię. Dlaczego nie miałyby jej ominąć tak jak dziewięć tysięcy lat temu? Nie znał odpowiedzi, ale był zdecydowany ją znaleźć, kiedy uciekną ze stoczni z Pat i jej córką.

Po mniej więcej czterystu metrach doszli do wielkich drzwi z napisem: „Ochrona, przedział K”. Minęli je szybko i dotarli do gustownie urządzonej recepcji - z eleganckimi stolikami, fotelami i kilkoma kanapami, ustawionymi przed dużym kominkiem. Miejsce przypominało foyer luksusowego hotelu. Za kontuarem, pod wielkim malowidłem przedstawiającym Arkę Noego, siedziała para - kobieta i mężczyzna - ubrana w zielone kombinezony.

- Ktoś na piętrze decyzyjnym musi mieć manię kodowania wszystkiego kolorami - mruknął cicho Giordino.

- Spytaj ich, gdzie trzymana jest amerykańska epigraficzka, która odczytuje starożytne napisy -

poinstruował Giordina Pitt.

- Skąd ja mam wiedzieć, jak jest po hiszpańsku epigraficzka?

- Wymyśl coś.

Giordino przewrócił oczami i podszedł do kontuaru od strony kobiety, w nadziei, że będzie nastawiona bardziej przychylnie.

- Przysłano nas, żebyśmy przenieśli doktor O'Connell i jej córkę do innej części statku - zaczął cicho, w nadziei, że ukryje amerykański akcent.

Kobieta o męskiej urodzie i bladej cerze popatrzyła na Giordina i jego mundur strażnika.

- A dlaczego nie zawiadomiono mnie, że ma zostać przeniesiona?

- Sam dowiedziałem się dziesięć minut temu.

- Powinnam sprawdzić to żądanie - powiedziała oficjalnym tonem.

- Nie ma potrzeby - mój przełożony właśnie tu idzie. Proponuję, żeby ustaliła pani wszystko z nim.

Kobieta skinęła głową. Oczywiście. Tak zrobię.

- Nam wskaże pani tylko rezydencję, gdzie jest trzymana. Przygotujemy ją do przenosin.

- Nie wiecie, gdzie siedzi? - spytała kobieta podejrzliwie.

- A skąd mamy wiedzieć? - niewinnie spytał Giordino. - Jest przecież pod pani opieką. To grzeczność z naszej strony, że rozmawiamy z panią, a nie idziemy zabrać jej bez słowa. Proszę powiedzieć, gdzie znajdziemy Amerykankę, a żeby panią uspokoić, obiecuję, że zaczekamy, aż pojawi się nasz przełożony z odpowiednimi upoważnieniami.

Kierowniczka oddziału ustąpiła.

Znajdziecie doktor O'Connell w rezydencji K-37. Jednak dopóki nie zobaczę podpisanego rozkazu, nie mogę dać wam klucza.

- Nie musimy teraz wchodzić - odparł Giordino, wzruszając obojętnie ramionami. - Zaczekamy na zewnątrz. - Dał Pittowi znak, by poszedł za nim, i ruszyli w kierunku, z którego przyszli. Kiedy znaleźli się wystarczająco daleko, by móc rozmawiać, powiedział: - Jest w K-37. Wydaje mi się, że w drodze od windy mijaliśmy trzydziestki.

- Czy apartament jest strzeżony?

- Nosząc ten mundur, powinienem to wiedzieć. Nie zamierzałem poruszać tematu, żeby nie wyglądać podejrzanie.

- Pospieszmy się. Na pewno mamy ich na ogonie.

Kiedy doszli do numeru K-37, okazało się, że przed drzwiami stoi strażnik. Giordino podszedł jakby nigdy nic i powiedział:

- Jesteś już wolny.

Strażnik, mniej więcej trzydzieści centymetrów wyższy od krępego Włocha, zrobił pytającą minę.

- Mam jeszcze dwie godziny do końca warty.

- Nie cieszysz się, że przysłano nas wcześniej?

- Nie wydaje mi się, żebym cię znał - z niepokojem powiedział strażnik.

- Ja też ciebie nie kojarzę. - Giordino odwrócił się, jakby zamierzał odejść. - Jak chcesz.

Zaczekam z moim partnerem w jadalni, aż twoja warta dobiegnie końca.

Strażnik nagle zmienił zdanie.

- Nie, nie, dodatkowe dwie godziny przydadzą mi się na sen. - Bez dalszych ceregieli ruszył powoli w kierunku windy.

- Skuteczne przedstawienie - powiedział Pitt.

- Jestem przekonujący.

Kiedy strażnik wszedł do znajdującej się na końcu korytarza windy, Pitt z całej siły kopnął w drzwi przy zamku. Otworzyły się. Byli w środku, zanim przestały się bujać na zawiasach. W kuchni stała nastolatka w błękitnym kombinezonie i piła mleko ze szklanki. Z przerażenia upuściła szklankę na dywan. Z sypialni wybiegła Pat - też w błękitnym kombinezonie - z powiewającym jak sztandar rudymi włosami. Oniemiała zamarła w drzwiach i z niedowierzaniem wbiła wzrok w Pitta i Giordina. Z otwartych ust nie wydobył się żaden dźwięk, w oczach miała bezgraniczne zdumienie.

Pitt złapał ją za ramię, Giordino pociągnął dziewczynę.

- Nie ma czasu na uściski i całuski - rzucił. - Musimy zdażyć na samolot.

- Skąd przybywacie, piękni mężczyźni? - wymamrotała w końcu, w dalszym ciągu nic nie rozumiejąc.

- Nie wiem, czy zależy mi na tym, by nazywano mnie pięknym - stwierdził Pitt, objął Pat w pasie i pchnął w kierunku wyłamanych drzwi.

- Zaczekaj! - krzyknęła, wyrwała mu się z objęcia i pognąła w głąb apartamentu. Po chwili wróciła, przyciskając do piersi niedużą aktówkę.

Nie było czasu na ostrożność i podstęp - jeśli kiedykolwiek sądzili, że coś takiego im się uda. Biegli korytarzem, zajęci pracami wykończeniowymi robotnicy patrzyli na nich krzywo, ale nikt ich nie zatrzymywał.

Pitt był pewien, że ogłoszono alarm - myśl o konfrontacji z bezlitosnymi Wolfami dodawała mu sił. Zejście ze statku, dobiegnięcie do końca doku i skok do wody, by przepłynąć trzy kilometry, stanowiły jedynie część problemu. Choć dzięki podwodnym pojazdom Pat i jej córka mogły płynąć szybciej niż oni w płetwach, obie kobiety najprawdopodobniej zmarłyby z wyziębienia na długo przed dotarciem do wąwozu i Skycara.

Obawy Pitta sięgnęły zenitu w momencie, kiedy dotarli do najbliższej windy - na statku i w doku rozbrzmiało upiorne wycie syren alarmowych.

Tym razem mieli szczęście. Na poziomie szóstym winda stała z otwartymi drzwiami, a trzech mężczyzn w czerwonych kombinezonach wyładowywało z niej meble. Bez słowa wyjaśnienia Pitt i Giordino wypchnęli zdziwionych tragarzy do holu, na ich miejsce wpychając Pat i jej córkę. Za chwilę kabina jechała w dół.

Łapiąc oddech, Pitt uśmiechnął się do córki Pat, ładnej dziewczyny o włosach koloru migoczącego topazu i oczach jak morze u wybrzeży Capri.

- Jak masz na imię, skarbie?

- Megan - odparła dziewczyna, patrząc rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Weź kilka głębokich wdechów i rozluźnij się - powiedział łagodnie. - Nazywam się Dirk, a mój mały gnomowaty przyjaciel to Al. Zamierzamy was zabrać do domu.

Słowa uspokoiły dziewczynę i jej strach powoli zmienił się w niepokój. Ufała mu w pełni. Pitt po raz drugi tego samego dnia obawiał się tego, co czeka ich na dole, gdy otworzą się drzwi windy. Ponieważ były z nimi kobiety, nie mogło być mowy o przebicciu się ogniem.

Okazało się, że obawy były bezzasadne. Na poziomie towarowym nie czekała armia strażników z wyciągniętą bronią.

- Jestem całkiem dezorientowany - powiedział, rozglądając się po labiryncie korytarzy.

Giordino uśmiechnął się ze smutkiem.

- Jaka szkoda, że nie wzięliśmy planu miasta.

Pitt wskazał na elektryczny pojazd, zaparkowany przed drzwiami z napisem „Transformatornia”.

- Oto ratunek - powiedział, wskoczył za kierownicę i przekreślił kluczyk zapłonu. Zajęli miejsca.

Pitt, nie czekając, aż się usadowią, wcisnął pedał gazu do dechy. Nie mógł korzystać z komputera nawigacyjnego, jechał na nosa, na szczęście po przecięciu szyn tramwajowych znalazł szeroki korytarz towarowy, wychodzący na trap załadunkowy. Tędy mogli zjechać na pirs.

Armia uzbrojonych strażników, których tak się obawiał, właśnie przybyła.

Żołnierze wyskakiwali z ciężarówek i rozpraszali się po doku, z gotową do strzału bronią zbierali się przy trapach załadunkowych. Pitt szacował, że jest ich około czterystu - trzeba było jednak dodać przynajmniej tysiąc znajdujących się na pokładzie statku. Musiał dokonać szybkiego wyboru:

- Trzymajcie się! Wracamy do windy! - Wdepnął gwałtownie pedał hamulca i zawrócił wózkiem w korytarz towarowy.

Kiedy Giordino odwrócił się, miał wrażenie, jakby dok oblażyły czarne mrówki.

- Nienawidzę, kiedy sprawy nie idą po mojej myśli - powiedział posepnie.

- Nigdy nie uciekniemy - jęknęła Pat, ściskając córkę. - Teraz już na pewno nie.

Pitt popatrzył na Giordina.

- Pamiętasz taką wojenną piosenkę: „Udało nam się przedtem, więc dokonamy tego znowu”?

- Druga wojna światowa to nie moje czasy - odparł Giordino - ale wiem, do czego zmierzasz.

Szybko dojechali do windy. Na szczęście drzwi były otwarte, więc Pitt nie musiał się zatrzymywać. Wjechali do kabiny dokładnie w momencie, kiedy zaczęły się zamykać. Wcisnął przycisk szóstego poziomu, wyciągnął colta i dał Giordinowi znak, by też wyjął broń. Kiedy drzwi ponownie się otworzyły, stanęli twarzą w twarz z trzema tragarzami mebli, których kilka minut wcześniej wyrzucili. Ciągłe jeszcze wściekli robotnicy krzyczeli coś do mężczyzny w żółtym kombinezonie, który wyglądał na brygadzystę. Na widok Pitta i Giordina, którzy wypadli z windy niczym dwa spuszczone ze smyczy owczarki i skierowali na nich broń, czwórka tragarzy zamarła i wyciągnęła ręce do góry.

- Do windy! - rozkazał Pitt.

Stali nieruchomo, nie pojmując, o co chodzi. Ruszyli się dopiero, kiedy Giordino krzyknął po hiszpańsku.

- Przepraszam - powiedział samokrytycznie Pitt. - Trochę mnie poniosło.

- Wybaczam ci - Giordino udzielił mu rozgrzeszenia.

Powtórzyli to samo, co zrobili w biurowcu. Sześć minut później zjeżdżali windą, a czwórka robotników leżała na podłodze w bieliźnie, ze skrupowanymi taśmą samoprzylepną rękami i nogami. Kiedy drzwi otworzyły się, Pitt skierował pojazd na główny pokład załadunkowy, zatrzymał go i pobiegł z powrotem do windy. Wcisnął kilka guzików i wyskoczył, zanim drzwi się zamknęły. Potem, korzystając z drogowskazów, pojechali w kierunku torów tramwajowych. Pitt był ubrany w żółty kombinezon brygadzysty, pozostała trójka w czerwone kombinezony robotników.

Na skrzyżowaniu, tuż przed torami, stali ochroniarze. Jeden zrobił krok do przodu i podniósł rękę. Pitt powoli zahamował i pytająco spojrział na niego.

Strażnika, który nie wiedział, że Pat i jej córka zniknęły z kwatery, nie zdziwiła obecność dwóch kobiet w mundurach robotników. Wiele robotnic pracowało jako operatorki wózków widłowych i innych pojazdów transportowych. Pat ścisnęła córkę za ramię, by nie odzywała się ani nie ruszała.

Odwróciła także twarz Megan, by strażnik nie zauważył jej wieku.

Pitt uznał, że żółty kombinezon jest oznaką autorytetu - potwierdzał to pełen szacunku wzrok strażnika.

- Co tu się dzieje? - spytał Giordino. Jego hiszpański robił się coraz lepszy.

- Do stoczni wniknęło dwóch intruzów w mundurach strażników. Podejrzewamy, że weszli na pokład „Ulricha Wolfa”.

- Dwóch intruzów? Dlaczego nie zatrzymano ich przed stoczną?

- Nie wiem - odparł strażnik. - Wiem tylko, że podczas ucieczki zabili czterech naszych ludzi.

- Czterech zabitych... - ze smutkiem powtórzył Giordino. - Szkoda. Mam nadzieję, że złapiecie te świnię. Zgadza się, grupa? - Odwrócił się do swych przyjaciół i energicznie pokiwał głową.

- Si, si - potwierdził Pitt, okazując obrzydzenie.

- Musimy sprawdzić każdego, kto wchodzi albo schodzi ze statku - poinformował strażnik. - Muszę obejrzeć wasze identyfikatory.

- Wyglądamy jak intruzi w mundurach ochrony? - spytał dobitnie Giordino. Strażnik pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nie.

- W takim razie nas przepuść! Przyjacielski głos Giordina nagle zrobił się zimny i oficjalny. - Mamy towar do załadowania i terminy, których nie dotrzemy, jeśli będziemy sobie siedzieć i gadać! Już jestem spóźniony na spotkanie z Karlem Wolfem. Jeśli nie chcesz, by zostawiono cię w chwili kataklizmu na brzegu, zejź nam z drogi.

Przeżony strażnik opuścił broń i odsunął się na bok.

- Przepraszam, że przeszkodziłem.

Nie rozumiejąc wymiany zdań, Pitt czekał spokojnie i ruszył dopiero, kiedy Giordino szturchnął go łokciem w żebra. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli w dalszym ciągu będą wyglądać na podążających do pracy robotników. Jechał niezbyt szybko w kierunku najbliższego przystanku tramwajowego. Jedną ręką trzymał kierownicę, drugą zaczął stukać w klawisze telefonu satelitarnego.

Sandecker wcisnął przycisk odsłuchu, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

- Tak?

- Tu znów Leaning Pizza Tower. Pańskie zamówienie jest już w drodze.

- Dostawca znajdzie dom?

- Nie wiem, czy uda się mu, zanim pizza wystygnie.

- Mam nadzieję, że się pospieszy - powiedział Sandecker, starając się opanować nutę zdenerwowania w głosie. - Jest tu paru głodnych ludzi.

- Na ulicach jest straszny ruch. Spróbujemy zrobić, co się da.

- Zostawię zapalone światło. - Sandecker wyłączył telefon i popatrzył na admirała Hozafela. - Proszę wybaczyć tę głupią gadkę, admirale.

- Wszystko zrozumiałem - odparł grzecznie stary Niemiec.

- Jak wygląda sytuacja? - spytał Little.

- Nie najlepiej - odpowiedział Sandecker. - Mają doktor O'Connell i jej córkę, ale aby uciec ze stoczni, muszą jeszcze pokonać wiele przeszkód. „Na ulicach straszny ruch” oznacza, że ściga ich ochrona Wolfa.

Little popatrzył Sandeckerowi prosto w oczy.

- Jaka, pana zdaniem, mają szansę ucieczki?

- Szansę? - Sandecker wyglądał na człowieka cierpiącego. W ciągu ostatniej godziny postarzał się o dziesięć lat. - Nie mają żadnej.

31

Tramwaj wyjechał powoli ze stacji i minął skład jadący w przeciwnym kierunku. Choć przyspieszył do niemal pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, Pitt miał wrażenie, jakby pełzli. Najchętniej popchnąłby wagon. Zostawiali za sobą kolejne oznakowane literami stacje, na każdej wyczekując nerwowo, czy nie wsiądą strażnicy, którzy ich aresztują. Kiedy dotarli do litery W, nadzieje Pitta zaczęły rosnać, niestety, na stacji X ich szczęście się skończyło.

Do ostatniego wagonu wsiadło sześciu uzbrojonych ochroniarzy, którzy zaczęli sprawdzać identyfikatory. Dopiero teraz Pitt zauważył, że wszyscy noszą je na bransolecie wokół nadgarstka. Gdyby wiedział o tym wcześniej, zabraliby tragarzom dowody tożsamości. Zbyt późno dotarło do niego, że strażnicy będą szukać przede wszystkim ludzi bez identyfikatorów. Zauważył także, że szczególnie uważnie sprawdzają osoby w czerwonych i żółtych kombinezonach.

- Zbliżają się - zauważył spokojnie Giordino, kiedy strażnicy weszli do przedostatniego z pięciu wagonów.

- Jak gdyby nigdy nic przechodzimy pojedynczo do pierwszego wagonu. Bez słowa Giordino ruszył pierwszy, za nim poszły Megan i Pat, Pitt zamykał pochód.

- Może zdążymy do kolejnej stacji, zanim tu wejdą - powiedział Giordino. - Ale będzie na styk.

- Wątpię, czy się nam tak łatwo uda - ponuro mruknął Pitt. - Prawdopodobnie będą tam czekać następni.

Podszedł na przód składu i zajrzał przez okienko do kabiny sterowniczej. Była tam konsola ze światłami, przyciskami i przełącznikami, ale ani śladu motorniczego. Tramwaj był sterowany automatycznie. Nacisnął kłamkę, ale drzwi były oczywiście zamknięte.

Przyjrzał się oznakowaniom na konsolecie. Jedno zwróciło jego szczególną uwagę. Złapał colta i uderzył lufą w szybę, aż szkło się rozprysło. Ignorując zaskoczone spojrzenia pasażerów, sięgnął do środka i otworzył drzwi. Nie zwlekając, przesunął pierwszy z pięciu przełączników sterujących elektronicznymi połączeniami między wagonami i wyłączył komputer sterujący prędkością.

Efekt okazał się zadowalający. Cztery tylne wagoniki odłączyły się i zostały w tyle. Choć każdy miał własny napęd, ich prędkość była mniejsza od prędkości pojazdu. Strażnicy mogli jedynie porozumieć się z innymi ekipami poszukiwawczymi i bezradnie obserwować, jak ścigani oddalają się w szybkim tempie.

Cztery minuty później wagon z Pittem i jego towarzyszami bez zatrzymywania minął stację Y - ku rozpaczy oddziału strażników i zdumieniu czekających na peronie robotników. Pitt miał wrażenie, jakby żołądek ścisnęła mu lodowata dłoń, a usta wypełniały suche liście. Grał *va banque*, przeciwnik miał w ręku wszystkie atuty. Spojrzał za siebie i natrafił na wzrok Pat, która jedną ręką obejmowała córkę, a drugą przyciskała do piersi aktówkę. Była blada, smutna i zrozpaczona. Podszedł i przeciągnął palcami przez jej włosy.

- Przejdziemy przez to - powiedział z przekonaniem. - Stary Dirk przeprowadzi cię przez rzekę i góry.

Podniosła na niego wzrok i jakoś udało jej się lekko uśmiechnąć.

- Z gwarancją?

- Na mur-beton - odparł Pitt, sam coraz bardziej przekonany, że im się uda.

Minęło pół minuty. Pitt wrócił do kabiny sterowania i stwierdził, że zbliżali się do portu przy rufie statku. Widział, że szyny zakręcają, prowadząc prawdopodobnie na przystanek Z, skąd tramwaj wracał w podróż dookoła pokładu. Nie trzeba było zdolności telepaty, by domyślić się, że strażnicy stoją już na peronie i czekają, by zdmuchnąć ich z torów siłą ognia.

- Zwolnię teraz do piętnastu kilometrów na godzinę i kiedy dam znak skaczemy - poinstruował. - Skraj toru jest obsadzony roślinnością, więc upadek nie powinien być bolesny. Po wylądowaniu spróbujcie potoczyć się do przodu. Nie stać nas na złamane kostki albo nogi.

Giordino objął Megan ramieniem.

- Wskoczmy razem. Będiesz miała na co miękko spadać. - Była to oczywista przesada. Giordino nie miał grama tłuszczu.

Pitt wyłączył napęd i wagonik gwałtownie zwolnił. Kiedy wskazówka zeszła poniżej liczby piętnaście, krzyknął:

- Wyskakiwać!

Czekał, aż cała trójka opuści pojazd, i wcisnął klawisze. Na programatorze pojawiło się dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Pognał do drzwi i wyskoczył. Wagonik, gwałtownie przyspieszając do maksymalnej prędkości, pognał dalej. Pitt wylądował stopami na miękkiej ziemi, zwinął się w kłębek i rozpędzony niczym kula armatnia wtoczył się w rabatę drzewek bonsai, łamiąc ich powykręcane gałęzie i wbijając pnie w ziemię. Lekko zataczając się, wstał, w jednym kolanie poczuł ostry ból, ale mógł chodzić.

Giordino stanął obok i pomógł mu odzyskać równowagę. Z zadowoleniem dostrzegł, że ani Megan, ani Pat nie okazują bólu. Wyglądało na to, że ich największym zmartwieniem jest strąśnięcie z włosów ziemi i sosnowych igieł. Tramwaj zniknął za zakrętem, niecałe piętnaście metrów od nich znajdowały się schody na pirs, w pobliżu nie było widać żadnych strażników.

- Dokąd idziemy? - spytała Pat.

- Zanim wskoczmy do samolotu - odparł Pitt - będziemy musieli zrobić małą przejażdżkę łódką.

Złapał Pat za ramię i pociągnął za sobą - to samo zrobił Giordino z Megan. Pobiegli wzdłuż torów do schodów, prowadzących na pirs numer jeden. Tak jak podejrzewał, strażnicy otoczyli przystanek Z, który znajdował się dwieście metrów dalej, pośrodku portu. Kiedy wagonik przemknął obok nich, skręcił i zaczął wracać wzdłuż lewej burty, zapanowało zamieszanie. Przekonani, że uciekinierzy ciągle znajdują się w tramwaju, strażnicy ruszyli za nimi; dopiero oficer dyżurny kazał wyłączyć prąd w szynach.

Pitt oszacował, że dotarcie do stojącego wagonika i stwierdzenie, że nie ma w nim zbiegów, zajmie strażnikom siedem minut. Jeśli do tego czasu nie wydostaną się ze statku, złapią ich.

Żaden z robotników nie zwrócił na nich uwagi, kiedy spokojnym krokiem zeszli po schodach. Przy skraju pirsu stały zacumowane trzy łodzie: mała, siedmiometrowa żaglówka, trzynastometrowy kabinowy jacht motorowy typu Grand Banks i trzynastometrowa klasyczna motorówka wyścigowa.

- Wejdźcie na jacht - polecił Pitt, idąc spokojnie pirssem.

- Nie zabieramy sprzętu do nurkowania? - spytał Giordino.

- Pat i Megan nie wytrzymałyby w wodzie, musimy spróbować uciec po wodzie.

- Motorówka jest szybsza.

- Tak, ale ochronę bardziej zdziwi wypłynięcie ze stoczni szybkiej łódki. Jacht spokojnie poruszający się po wodzie nie zwróci ich uwagi.

Na jachcie stał robotnik i zmywał pokład wodą z węża. Pitt podszedł i stanął na trapie.

- Ładna łódka - powiedział z uśmiechem.

- He? - Robotnik gapił się zdziwiony, najwyraźniej nie znał angielskiego.

Pitt wszedł dalej na trap i pokazał gestem szlachetną sylwetkę łodzi.

- Ładna łódka - powtórzył, beczelnie pakując się do sterówki.

Robotnik ruszył za nim, usiłując protestować. Kiedy tylko zniknął w sterówce, Pitt zdzielił biedaka z całej siły pięścią w szczękę. Potem wychylił się przez drzwi.

- Al, rzuć cumy! A panie proszę na pokład!

Przez chwilę oglądał instrumenty, potem przekręcił kluczyk i wcisnął podwójny klawisz rozruchu. Głęboko w maszynowni zakręciły się osie dwóch potężnych diesli, sprężone paliwo w komorach zapłonu zapaliło się, wydając wysoki dźwięk. Pitt odsunął okienko na prawej burcie i wyjrzał. Giordino odwiązał cumy rufową i dziobową i właśnie wskakiwał na pokład.

Pitt wrzucił bieg wsteczny i powoli odpłynął od pirsu, kierując się na otwartą wodę. Pomachał dwóm robotnikom, instalującym poręcz wokół pirsu. Odwzajemnili gest. O ile łatwiej skradać się powoli, pomyślał Pitt, niż wypadać z zagrody niczym wściekły byk.

Jacht minął koniec pirsu i wypłynął na otwartą wodę. Rufa statku-miasta wznosiła się nad nimi jak góra. Pitt ustawił ster na naprzód i popłynęli wzdłuż „Ulricha Wolfa”. Aby dotrzeć do fiordu i uciec ze stoczni, musieli całkowicie opłynąć unoszącego się na wodzie giganta. Pitt ustawił przepustnicę tak, by prędkościomierz wskazywał osiem węzłów - uznał, że taka prędkość nie wywoła podejrzeń. Jak na razie nikt nie krzyczał, nie dzwoniło ani nie gwizdano, nie było widać pościgu, do wody nie przyspilały ich promienie szperaczy.

Przy tej prędkości przeplnięcie całej długości superstatku, opłynięcie jego dzioba i odpłynięcie na bezpieczną odległość od jaskrawych świateł stoczni musiało potrwać piętnaście minut. Piętnaście bolesnych minut, które będą trwać jak piętnaście lat. A to dopiero pierwsza przeszkoda. Muszą jeszcze poradzić sobie z łodziami patrolowymi - należało się spodziewać, że ich załogi zostały już poinformowane o ucieczce jachtu z intruzami.

Nie pozostawało nic innego, jak siedzieć w głównej kabinie i patrzeć na monstrum, mijane w iście żółwym tempie. Ogromna masa szkła oświetlona była z zewnątrz i od środka, przypominając stadion baseballowy podczas wieczornego meczu. Gdyby zacumować jeden za drugim sławne liniowce - „Titanica”, „Lusitanię”, „Queen Mary”, „Queen Elisabeth” i „Normandie”- nie osiągnęłyby długości „Ulricha Wolfa”.

- Zjadłbym hamburgera - powiedział Giordino, próbując rozładować napięcie.

- Ja też - podchwyciła Megan. - Karmili nas tylko jakimiś paskudnymi odżywkami.

Pat uśmiechnęła się, choć na jej twarzy wciąż było napięcie.

- To już długo nie potrwa, skarbie. Wkrótce dostaniesz hamburgera.

- Źle was traktowali? - spytał Pitt.

- Nie stosowali siły - odparła Pat - ale jeszcze nigdy nie komenderowała mną taka masa wrednych arogantów. Kazali mi pracować dwadzieścia godzin na dobę.

- Przy odczytywaniu napisów Amenów z kolejnej komory?

- Nie z komory. Ze zdjęć, zrobionych w zaginionym mieście na Antarktydzie.

Pitt popatrzył ze zdziwieniem.

- Na Antarktydzie?

Z powagą skinęła głową.

- Jest zamarznęte w lodzie. Hitlerowcy odkryli je tuż przed wojną.

- Elsie Wolf twierdziła, że znaleźli dowody na to, iż Amenowie zbudowali sześć komór.

- Nie wiem. Moim zdaniem zamierzają do czegoś wykorzystać miasto pod lodem. Do czego, nie udało mi się odkryć.

- Dowiedziałaś się czegoś nowego z tych napisów? Rozmowa ożywiła Pat, nie wyglądała już tak smutno i żałośnie.

- Dopiero zaczęłam, kiedy wpadłeś do naszego więzienia. Ciekawiło ich, co odczytaliśmy z napisów znalezionych w Kolorado i na wyspie Saint Paul. Wygląda na to, że rozpaczliwie chcą się dowiedzieć, co Amenowie wiedzieli o skutkach kataklizmu.

- To dlatego, że napisy, które znaleźli w zaginionym mieście, pochodzą sprzed uderzenia komety.

- Kiwnął głową w kierunku aktówki. - Są tam?

Pat uniosła aktówkę.

- Zdjęcia z Antarktydy. Nie mogłam ich zostawić. Pitt przyglądał się jej przez chwilę.

- Rzadko spotyka się kobiety takie jak ty.

Może powiedziałaby więcej, ale sto metrów przed nimi drogę przecięła im łódź. Była to robocza szalupa, nie zmieniła kursu na widok jachtu. Załoga zaabsorbowana swoimi sprawami nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi.

Zbliżali się do dziobu „Ulricha Wolfa”, a ponieważ nic nie wskazywało na to, że ktoś ich goni, Pitt nieco się odprężył.

- Mówisz, że badają, jakie warunki będą panować po kataklizmie?

- Wkładają w to wiele wysiłku. Moim zdaniem chcą zebrać jak najwięcej danych, które ułatwią im przeżycie.

- Nadal nie mam pojęcia, dlaczego są tacy pewni, że kometa wróci i uderzy w Ziemię zgodnie z przepowiednią sprzed dziewięciu tysięcy lat.

Pat powoli pokręciła głową.

- Też nie znam na to odpowiedzi.

W dalszym ciągu poruszali się z prędkością ośmiu węzłów. Pitt lekko skrzył, jacht zrobił szeroki łuk wokół dziobu „Ulricha Wolfa” oraz końca pirsu, pełnego teraz robotników i strażników, sprawdzających starannie tożsamość wszystkich mężczyzn i kobiet w czerwonych kombinezonach. Minęli niedużą, płynącą bez świateł motorówkę, która - co niczego dobrego nie zapowiadało - zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyła za nimi. Pitt postawił swój komputer nawigacyjny na framudze okna i studiował namiary, pokazujące, jak dotrzeć w ciemności do wąwozu, w którym czekał Skycar.

W prostej linii zostało im pięć kilometrów, w łodzi, którą mógł wychwycić każdy reflektor, nie dającej żadnej osłony przed ciężkimi karabinami ani inną bronią maszynową. Wszystko, co mieli, to dwa pistolety. Przed nimi znajdowały się łodzie patrolowe, z pewnością już poinformowane o kradzieży jachtu. Jedyną pociechą było to, że pływały po przeciwległym końcu fiordu, co dawało jeszcze kilka minut. Niewielką pociechą. Szybkie łodzie patrolowe mogły bez trudu przechwycić jacht, zanim zdąży dotrzeć do wąwozu.

- Al!

Giordino natychmiast był przy Picie.

- Aye, aye!

- Znajdź parę butelek. Na pokładzie musi być coś butelkowanego. Wylej zawartość i napełnij je czymś łatwo palnym. Olej napędowy pali się za wolno - poszukaj benzyny albo rozpuszczalnika.

- Koktajle Mołotowa, co? - spytał Giordino, uśmiechając się szatańsko.

- Nie rzucałem ich od przedszkola. - Odwrócił się i zbiegł po drabince do maszynowni.

- Pitt, uznawszy, że najlepiej będzie zachowywać się biernie, zwalczył w sobie chęć przesunięcia przepustnicy na pozycję stop. Patrzył przez ramię na doganiającą ich ośmiometrową motorówkę z wielkim silnikiem z tyłu - przyspieszyła nieco i płynęła teraz burta w burtę. Blask świateł stoczni ukazywał na jej pokładzie dwóch mężczyzn w czarnych ubraniach jeden stał przy sterze, drugi na rufie z pistoletem maszynowym w rękach. Sternik wskazał palcem na ucho. Pitt włączył radio na ustawionej częstotliwości.

Z głośnika doleciał skrzekliwy głos, który wykrzyczał coś po hiszpańsku. To musiał być rozkaz zatrzymania. Wziął do ręki mikrofon i odpowiedział:

- No habla Hispañol.

- Alto, alto! - rozległ się kolejny wrzask.

- Zejdźcie na dół i połóżcie się na podłodze - polecił Pat i Megan. Bez słowa zbiegły do kabiny.

Pitt zwolnił i stanął w drzwiach sterówki. Załadowanego colta wsunął za pasek. Strażnik w motorówce obok przykucnął, przygotowany do skoku na pokład jachtu.

Pitt poruszył dźwignię przepustnicy i zwolnił jeszcze bardziej. Starał się utrzymać taką prędkość, by strażnik wskoczył na ich pokład na wysokości drzwi do sterówki. Wszystko zależało od odpowiedniej synchronizacji. Czekał cierpliwie, jak myśliwy w kryjówce, oglądający niebo, aby dostrzec przelatującą kaczkę.

Strażnik skoczył. Pitt lekko przyspieszył, po czym nieco ostrzej zwolnił. Ochroniarz zachwiał się i upadł na wąski pokład jachtu.

Pitt płynnym ruchem runął ze sterówki i wbił obcas prawego buta w jego szyję. Pochylił się, zabrał mu broń - pistolet maszynowy Bushmaster M17S - i uderzył kolbą w kark. Wycelował w strażnika przy sterze i strzelił. Spudłował. Strażnik opadł na kolano, pchnął przepustnicę i zaczął się oddalać pod ostrym kątem. Z rykiem silnika motorówka pognąła przed siebie w chmurze spienionej wody. Nie czekając, co będzie dalej, Pitt wrócił do sterówki i pchnął dźwignię przepustnic najdalej, jak się dało. Rufa jachtu opadła, dziób uniósł się i wkrótce sunęli z prędkością dwudziestu węzłów.

Pitt skoncentrował uwagę na łodziach patrolowych, które zawróciły w ich kierunku i gnały na pełnych obrotach, zataczając szperaczami coraz ciaśniejsze kręgi wokół jachtu. Strażnik na motorówce, któremu udało się uciec, musiał poinformować kolegów o sytuacji. Łódź patrolowa wyprzedziła eskortę przynajmniej o osiemset metrów. Z miejsca, gdzie stał Pitt, nie dało się ocenić, kiedy do nich dotrze, było jednak pewne, że nastąpi to, zanim wpłyną do wąwozu. Najbliższe sześć, siedem minut miało zdecydować o ich życiu lub śmierci.

Byli dość daleko od stoczni, ale zostały im jeszcze trzy kilometry.

Motorówka, która chciała ich zatrzymać przed kilkoma minutami, płynęła nieco z tyłu, mniej więcej sto metrów z boku. Prowadzący ją strażnik nie strzelał tylko dlatego, że bał się trafić swego towarzysza.

Giordino wrócił z czterema butelkami, napełnionymi rozpuszczalnikiem, używanym do zmywania

w maszynowni plam po smarach i oleju napędowym. Z szyjek zwisały cienkie paski płótna. Ostrożnie postawił butelki na wyściełanej ławce. Umieśniony Włoch miał na czole wielkiego siniaka.

- Co ci się stało?

- Pewien facet, którego znam, nie umie sterować jachtem. Kiedy zaczął szarpać, rzuciło mną na drugi koniec maszynowni i walnąłem głową w jakąś rurę. - Giordino zauważył leżącego częściowo w sterówce nieprzytomnego strażnika. - O, przepraszam! Widzę, że miałeś gościa.

- Nie przedstawił się.

Giordino stanął obok Pitta i popatrzył przez szybę na błyskawicznie zbliżającą się łódź patrolową.

- Nie ma co liczyć na strzał ostrzegawczy. Są uzbrojeni po zęby i wykorzystają pierwszą okazję, by zmieść nas z powierzchni wody.

- Może nie - odparł Pitt. - W dalszym ciągu potrzebują Pat do odszyfrowania napisów. Mogą ją poturbować lub uderzyć Megan, ale ich nie zabijają. My się dla nich nie liczymy. Mam zamiar ich zaskoczyć. Jeśli zwabimy ich odpowiednio blisko, przywitamy ich fajerwerkiem.

Giordino spojrzał Pittowi głęboko w oczy. Większość ludzi dawno by się poddała, ale w oczach Pitta widział jedynie determinację i nadzieję, że będzie mógł działać.

- Co by na to powiedział John Paul Jones*.

* John Paul Jones (1747-1792) pochodzący ze Szkocji oficer amerykańskiej Marynarki Wojennej. W czasie rewolucji amerykańskiej (wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, 1775-83) najechał w 1779 roku wybrzeże należące do Wielkiej Brytanii i zniszczył dwa okręty wojenne (przyp. tłum.).

Pitt skinął głową.

- Będziesz zajęty swoimi zabawkami, więc pożycz mi pistolet. Połóż się na mostku po prawej stronie i czekaj, aż usłyszysz strzały.

- Twoje czy ich?

Pitt popatrzył oschle na przyjaciela.

- Przecież to nieważne.

Giordino bez słowa dał mu pistolet. Pitt pchnął dźwignię przepustnicy, próbując bez skutku wydusić z silników kilka dodatkowych obrotów. Silnik robił, co mógł, jacht nie został jednak zbudowany do szybkiej, lecz komfortowej podróży.

Dowódca łodzi patrolowej nie bał się nadpływającego żaglowca. Nie miał powodów do przypuszczeń, że na jego pokładzie znajdował się ktoś na tyle szalony, by próbować oporu. Jego jednostka zaopatrzona była przecież w dwa ciężkie karabiny maszynowe i wiozła doskonale uzbrojonych ludzi, nauczonych zabijania przy najmniejszej prowokacji. Obserwując jacht przez lornetkę noktowizyjną, dostrzegł tylko jednego człowieka - przy sterze - i popełnił klasyczny błąd atakującego: nie docenił przeciwnika. Szperacze jaskrawo oświetlały pokład łodzi.

Grzywa piany opadła pod dziobem ścigacza, gdy powoli zbliżał się do jachtu. Kiedy motorówka znalazła się pięć metrów od niego, Pitt zmrużył oślepienie reflektorami oczy i spostrzegł wyraźnie, że strzelcy obu karabinów maszynowych celują prosto w niego. Niedaleko burty, tuż za sterówką, stało ramię w ramię trzech ludzi z bushmasterami, celując także prosto w sternika. Pitt nie widział schowanego po drugiej stronie sterówki Giordina, ale wiedział, że przyjaciel czeka na sygnał z zapalniczką lub zapałkami. Chwila była bardzo nerwowa, ale sytuacja nie beznadziejna - na pewno nie zdaniem Pitta.

Nie chciał nikogo zabijać - nawet zatwardziałych zabójców, którzy stali przed nim, przypominając mu najemników z Kolorado. Zarówno jego życie, jak i życie Giordina nie było dla nich warte nawet grosza. Patrzył, jak dowódca łodzi przystawia do ust megafon.

Pitt pamiętał, że alto oznacza stać, i mógł się jedynie domyślać, że reszta przemowy jest ostrzeżeniem, że w przeciwnym wypadku zostanie ostrzelany. Pomachał, że zrozumiał, kolejny raz sprawdził, ile jeszcze zostało do wąwozu - nie więcej jak osiemset metrów - oraz jak daleko znajduje się druga łódź patrolowa. Obliczał, że będzie mogła dać wsparcie kolegom za pięć, może sześć minut. Dyskretnie pomacał się po plecach na wysokości paska, by sprawdzić, czy pistolety są w odpowiednich miejscach. Zwolnił jeszcze bardziej, tak by jacht płynął bardzo powoli.

Podszedł do drzwi, podniósł ręce i stanął tak, by światło wyraźnie go oświetlało, ale ramiona miał we wnętrzu sterówki. Nie zamierzał męczyć się po hiszpańsku, więc zawołał po angielsku:

- Czego chcecie?!

- Nie stawiaj oporu - rozkazał dowódca znajdujący się wystarczająco blisko, by rozmawiać bez głośnika. - Posyłam do was dwóch ludzi.

- Jak mam stawiać opór? - bezradnie krzyknął Pitt. - Nie mam, jak wy, karabinów maszynowych.

- Każ pozostałym wyjść na pokład!

Pitt, trzymając ręce w górze, odwrócił głowę, jakby przekazywał do środka rozkaz komendanta.

- Boją się, że ich zastrzelicie.

- Nikogo nie zastrzelimy - odparł komendant tonem oślizgłym jak węgorz.

- Proszę, zgaście światła... - powiedział błagalnie Pitt. - Oślepiacie mnie i straszycie kobiety.

- Stój, gdzie jesteś, i nie ruszaj się! - wrzasnął dowódca.

Łódź patrolowa zwolniła jeszcze bardziej i podpływała skosem do jachtu. Kiedy była blisko, dwóch strażników odłożyło broń na pokład i zaczęło rzucać przez reling odbijacze. Na taką okazję czekał Pitt. Strzelcy karabinów maszynowych również przestali być czujni. Nie widząc niebezpieczeństwa, jeden zapalił nawet papierosa. Załoga i dowódca uważali, że mają pełną kontrolę nad sytuacją.

Właśnie na to liczył Pitt. Precyzyjnym ruchem opuścił ręce i wyciągnął pistolety. Błyskawicznie wycelował i nacisnął równocześnie oba spusty. Na odległość pięciu metrów nie mógł chybić. Strzelec na dziobie padł na kolana z kulą w barku, rufowy wyrzucił ręce w górę, cofnął się i wpadł do wody.

W tej samej chwili nad mostkiem jachtu, niczym roziskrzone meteory, pofrunęły butelki z rozpuszczalnikiem. Spadły na kabinę i pokład łodzi patrolowej i wybuchły gwałtownym płomieniem. Ognisty płyn bryznął, rozlewając się po łodzi i zamieniając ją w stos. Ogień zajął pokład rufowy i pół kabiny. Jęzory płomieni wystrzeliwały niemal zewsząd. Pozostawanie na pokładzie groziło upieczeniem się żywcem, członkowie załogi wskakiwali do zimnej wody. Także ranny strzelec karabinu maszynowego pokuśtykał do burty i rzucił się w dół. Dowódca w płonącym mundurze ignorował ogień i pogardliwie wbijał wzrok w Pitta. Dopiero po dłuższej chwili potrząsnął pięścią i skoczył za burtę.

Zadziorny świr, pomyślał Pitt.

Nie marnował czasu. Podbiegł do konsoli i pchnął przepustnicę do oporu, kierując jacht ku wąwozowi. Dopiero wtedy obejrzał się na łódź patrolową. Płomienie strzelały wysoko w ciemne niebo. Słup czarnego dymu kłębił się i wirował coraz wyżej, zasłaniając gwiazdy. Po chwili eksplodowały zbiorniki paliwa, wyrzucając w niebo rozżarzone kawałki wraka. Przypominało to

pokaz fajerwerków. Łódź zaczęła tonąć, a kiedy lodowata woda zetknęła się z płomieniami, rozległ się głośny syk. Wreszcie, z odgłosem przypominającym westchnienie - jakby miała duszę - zniknęła pod wodą.

Giordino obszedł mostek i stanął przy luku, obserwując pływające na powierzchni palące się resztki.

- Ładny strzał - orzekł.

- Ładny rzut - odparł Pitt.

Giordino wskazał głową pędzącą na nich drugą łódź patrolową. Popatrzył na brzeg.

- Będzie blisko - zauważył obiektywnie.

- Nie dadzą się zwieść jak tamci. Zatrzymają się w bezpiecznej odległości i spróbują trafić w silnik.

- Pat i Megan są na dole.

- Przyrowadź je - powiedział Pitt, patrząc na ekran komputera nawigacyjnego. Coś poprawił i skręcił pięć stopni na południowy zachód. Zostało czterysta metrów. Łódź pościgowa była coraz bliżej. - Powiedz, żeby przygotowały się na opuszczenie pokładu natychmiast, jak uderzymy w brzeg.

- Chcesz walnąć w skały na pełnej prędkości?

- Nie mamy czasu, by zacumować i zejść na brzeg z konfetti i orkiestrą. Druga łódź patrolowa płynęła prosto na nich, nieświadoma ich zamiarów. Szperacz trzymał jacht w nieruchomym kręgu światła - jak reflektor oświetlający tancerza na scenie. Łodzie zbliżały się do siebie gwałtownie pod ostrym kątem. Wreszcie dowódca ścigacza wyczuł intencje Pitta i skręcił, by odciąć im drogę i nie pozwolić dotrzeć do brzegu. Mając nie więcej jak połowę prędkości prześladowcy, Pitt musiał przyznać, że uczestniczy w wyścigu na przegranej pozycji. Mimo to z niezachwianą determinacją stał za sterem, wpatrując się nieruchomym wzrokiem przed siebie. Walka była wyraźnie niesprawiedliwa, ale myśl o przegranej ani na chwilę nie zagościła mu w głowie.

Widząc nieoczekiwaną szansę, szarpnął dźwignią zmiany biegów i wrzucił wsteczny ciąg. Jacht zadrżał i zatrzymał się, a śruby biły, kłębiąc wściekle pianę. Po chwili jacht ruszył do tyłu, szeroka rufa pchała wodę jak buldożer.

Giordino z Pat i Megan wyszli na pokład. Widok łodzi patrolowej, która próbowała zajechać im drogę od przodu, gdy oni się cofali, wywołał uśmiech na jego ustach.

- Nic nie mów, niech zgadnę. Wymyśliłeś kolejny cwany plan.

- Nie cwany, tylko rozpaczliwy.

- Chcesz go staranować.

- Jeśli dobrze rozegramy karty, możemy mu rozbić nos. Wszyscy na podłogę! Przykryjcie się, czym się da, byle było twarde. Na pewno będzie padać.

Nie było czasu na dalsze instrukcje. Dowódca łodzi patrolowej, nie zauważywszy, że ścigany jacht cofa się, zmienił kurs tak, by przeciąć trasę trzy metry przed dziobem, zatrzymać się i ostrzelać z czystej pozycji. Operacja taka nazywa się „taktiką T”. Stał za sterem i uniósł dłoń, dając sygnał strzelcom karabinów maszynowych.

Pitt pchnął dźwignię przepustnicy na całą naprzód, a karabiny maszynowe na patrolowcu otworzyły ogień. Śruby jachtu zawirowały i kiedy kule załomotały o mostek, łódź zaczęła zmieniać kierunek. Szyby sterówki rozprysły się na tysiące kawałków i zagrzechotały o ściany. Schowany za konsolę Pitt trzymał jedną ręką dół koła sterowego. Dopiero kiedy do oczu zaczęła kapać krew, spostrzegł, że ma dłoń przeciętą kawałkiem frunącego szkła. Górna część kabiny była metodycznie

rozbijana na kawałki. Strzelcy specjalnie celowali wysoko, by wywołać przerażenie wśród leżących płasko na pokładzie ludzi. Wnętrze mostka w kilka sekund zmieniło się w bezładne pobojowisko. Dziewięćmilimetrowe pociski rozszarpały wszystko, w co trafiły.

Dowódca łodzi patrolowej zwolnił, zamierzając całkiem stanąć. Wyglądało na to, że jego strzelcy pokładowi dobrze się bawią możliwością potrenowania strzałów z bliskiej odległości. Ich radość była jednak przedwczesna, Pitt nie mógł lepiej trafić. Komandor zorientował się co do jego zamiarów dopiero wówczas, gdy było już za późno. Nim zdążył uciec, jacht skoczył gwałtownie do przodu - oba silniki wirowały na pełnych obrotach.

Rozległ się przenikliwy zgrzyt przewiercanego drewna i włókien szklanych. Dziób żaglowca przeciął prawą burtę łodzi patrolowej, zatrzymując się dopiero przy stępce. Ścigacz przechylił się gwałtownie na lewą burtę - członkowie załogi chwyтали się wszystkiego, czego się dało, by nie wpaść do wody - i zaraz wrócił do poziomu.

Pitt wrzucił wsteczny bieg i wyciągnął dziób z burty łodzi. Do wielkiej wyrwy wlała się woda. Przez chwilę ścigacz utrzymywał się na powierzchni, jednak czarny żywioł błyskawicznie pokrył pokład i statek zaczął tonąć. Kiedy opadał na dno fiordu, szperacz wciąż palił się, oświetlając coraz słabiej członków załogi, którzy próbowali utrzymać się na lodowatej tafli.

- Al - odezwał się Pitt - sprawdź przód.

Giordino zniknął w luku, po kilku sekundach był z powrotem.

- Ciągniemy wodę jak gąbka. Jeszcze pięć minut i dołączymy do naszych przyjaciół. Może nawet szybciej, jeśli nie zatrzymasz łajby.

- A kto mówi, że będziemy dalej płynąć? - Pitt patrzył na komputer nawigacyjny. Choć do wąwozu brakowało im zaledwie pięćdziesięciu metrów, odległość była nie do pokonania dla szybko tonącej łodzi. Próba płynięcia do przodu jedynie przyspieszyłaby wlewanie się wody przez zniszczony dziób. Umysł Pitta pracował z niezwykłą jasnością, rozważając każdą ewentualność. Ruszyli do tyłu, dzięki czemu dziób podniósł się, osłabiając nabieranie wody.

- Wyjdźcie na pokład i przygotujcie się na wstrząs, kiedy hukniemy w brzeg - ostrzegł swe podopieczne.

- Na pokład? - drętwo spytała Pat.

- W przypadku wywrotki lepiej stać na zewnątrz. Stamtąd przynajmniej da się skoczyć do wody.

Giordino posadził obie kobiety na pokładzie plecami do ściany sterówki, tak by wyciągnąwszy ręce, mogły złapać za reling. Sam usiadł między nimi i silnie objął je ramionami wokół pasa. Pat siedziała sparaliżowana ze strachu, ale Megan, patrząc na spokojnego Giordina, nabrała nieco animuszu, mężczyźni dowieźli je aż tutaj i było dla niej całkowicie pewne, że dotrzymają słowa i zabiorą je bezpiecznie do domu.

Jacht zanurzał się coraz głębiej. Wąwóz był coraz bliżej. Z ciemności wychyły się groźne i kuszące czarne skały. Pitt i Giordino już raz mijali je tego wieczoru na początku podwodnej wycieczki do stoczni. Pitt próbował ominąć skały, kierując się widokiem białej piany powstającej w miejscu, gdzie półmetrowe fale biły w kamień.

Jedna ze śrub uderzyła w coś mocno, wydała przenikliwy metaliczny zgrzyt i urwała się, powodując gwałtowny wzrost obrotów jednego silnika. Minęli kolejne skały. Nastąpiło silniejsze uderzenie i jacht zadrżał. Popłynął jeszcze kawałek, lewa część pawęży uderzyła w skałę, która rozbiła drewno na drzazgi. Na tylny pokład wdarł się strumień wody i pociągnął rufę w dół. Po chwili pasażerami wstrząsnęło następne zderzenie - tak silne, że kadłub pękł po stępkę i drewniane

poszycie rozpadło się na kawałki. Zgrzyty i chrzęsty ucichły. Wrak żaglowca zatrzymał się trzy metry od skalistego brzegu.

Pitt złapał komputer nawigacyjny i wypadł na zewnątrz.

- Wychodzimy na brzeg! - krzyknął. Złapał Megan pod pachę i uśmiechnął się do niej. - Przepraszam, młoda damo, ale nie ma czasu na szukanie trapu. - Przeszedł przez reling i wsunął się z dziewczyną do lodowatej wody. Miała jakieś metr dwadzieścia głębokości. Wiedział, że Pat i Giordino są tuż za nim. Po chwili walczył ze śliską skałą, chcąc wejść na suchy grunt.

Kiedy wyszedł z wody, puścił Megan i sprawdził, czy na pewno są przy tym wąwozie, co trzeba. Komputer potwierdził - byli oddaleni o kilka minut marszu od Skycara.

- Jesteś ranny - powiedziała Pat, spostrzegłszy w świetle gwiazd i malejącego księżyca spływającą po jego dłoni strużkę krwi. - Dość paskudnie.

- Małe przecięcie szkłem - odparł zdawkowo.

Włożyła rękę pod swój kombinezon, zerwała biustonosz i owinęła nim Pittowi dłoń, by zatrzymać krwawienie.

- Hm... takiego bandaża jeszcze nigdy nie widziałem... - mruknął z uśmiechem.

- W tej chwili - odparła, zawiązując końce na supeł - to najlepsze, na co mnie stać.

- Czy ktoś narzeka? - Objął Pat ramieniem i odwrócił się do Giordina. - Wszyscy obecni i gotowi?

Giordino trzymał Megan za rękę.

- Adrenalina wciąż w żyłach.

- No to ruszajmy. Nasz samolot czeka.

Oczekiwanie na kolejną informację od Pitta trwało dla Sandeckera i agenta Little wiecznie. Ogień przygasł, pozostawiając jedynie kilka żarzących się węgli, ale admirał nie kwapił się, by go podsycać. Palił wielkie cygareto, wydmuchując pod sufit obłok niebieskiego dymu. Razem z agentem Little słuchali historii admirała Hozafela, opowiedzianej po raz pierwszy od pięćdziesięciu sześciu lat.

- Twierdzi pan, admirale, że kilka lat przed wojną hitlerowcy wysłali na Antarktydę kilka ekspedycji badawczych? - zapytał Sandecker.

- Tak, Hitler był znacznie bardziej kreatywny, niż sądzi większość ludzi. Nie wiem dlaczego, ale fascynował się Antarktydą. Myślał o jej skolonizowaniu i stworzeniu tam wielkiej bazy wojskowej. Uważał, że jeśli to marzenie się spełni, jego lotnictwo i marynarka będą mogły panować nad wszystkimi morzami na południe od zwrotnika Koziorożca. Kierownikiem wyprawy, mającej zbadać kontynent, został kapitan Alfred Ritscher. „Schwabenland”, wczesny niemiecki lotniskowiec, używany na początku lat trzydziestych do tankowania samolotów pokonujących Atlantyk, został przebudowany na potrzeby antarktyczne i w grudniu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku wypłynął z Hamburga pod pretekstem zbadania możliwości założenia kolonii wielorybniczej. Kiedy w środku arktycznego lata dotarł na Antraktydę, Ritscher wysłał nad ląd samolot wyposażony w najnowocześniejsze i najlepsze niemieckie aparaty fotograficzne. Piloci oblecieli ponad sześćset pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych terenu i zrobili ponad jedenaście tysięcy zdjęć.

- Słyszałem pogłoski o tej wyprawie - powiedział Sandecker - ale do dziś nie znałem faktów.

- Po roku Ritscher wrócił na Antarktydę z jeszcze większą grupą ludzi. Aby móc lądować na lodzie, przywiózł ze sobą samoloty na płozach. Mieli także niewielki sterowiec. Tym razem oblecieli dziewięćset tysięcy kilometrów kwadratowych, wylądowali na biegunie południowym i co

pięćdziesiąt kilometrów zrzucali flagę ze swastyką dla zaznaczenia swych roszczeń terytorialnych.

- Odkryto coś interesującego? - spytał Little.

- Tak. Zdjęcia lotnicze ujawniły istnienie wielu stref pozbawionych pokrywy lodowej, które okazały się zamrożonymi jeziorami. Warstwa lodu nie przekraczała tam półtora metra grubości. Odkryli też ujścia pary, wokół których pojawiała się roślinność. Zdjęcia ukazały także coś, co wyglądało na fragmenty biegnących pod lodem dróg.

Sandecker wyprostował się i spojrział przenikliwie na dawnego niemieckiego dowódcę okrętu podwodnego.

- Niemcy odkryli na Antarktydzie dowody istnienia cywilizacji? Hozafel skinął głową.

- Grupy wyposażone w samobieżne pojazdy śnieżne odkryły naturalne jaskinie lodowe, w których natrafiono na pozostałości starożytnej cywilizacji. Odkrycie zainspirowało hitlerowców do budowy na Antarktydzie gigantycznej podziemnej bazy wojskowej. Była to najlepiej strzeżona tajemnica tej wojny.

- O ile wiem - powiedział Little - wywiady alianckie zlekceważyły informacje o hitlerowskiej bazie na Antarktydzie. Uznano je za propagandę. Hozafel uśmiechnął się.

- Tak też miało być. Raz admirał Karl Dönitz o mało nie zdradził prawdy. Podczas przemówienia wygłaszanego przed dowódcami okrętów podwodnych oświadczył: „Niemiecka flota okrętów podwodnych jest dumna ze zbudowania dla Fuhrera w dalekiej części świata fantastycznego państwa, niemożliwej do zdobycia fortecy”. Na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi. U-Bootów którymi dowodziłem na początku wojny, nie wysyłano w rejon antarktyczny, więc dopiero pod jej koniec, kiedy zostałem dowódcą U-699, dowiedziałem się o istnieniu tajnej bazy, która miała kryptonim Nowy Berlin.

- Jak ją zbudowano?

- Po wybuchu wojny pierwszym krokiem było wysłanie na południowe wody kilku okrętów pościgowych, które miały za zadanie zatopić wszystkie jednostki wroga, by alianci nie dowiedzieli się niczego o projekcie. Okręty te do momentu zatopienia ich przez brytyjskie niszczyciele przejęły i wyeliminowały wiele poruszających się po okolicy alianckich statków towarowych, kutrów rybackich oraz statków wielorybnych. Następnie armada statków towarowych, oflagowanych jako alianckie statki handlowe, oraz flota wielkich łodzi podwodnych, przeznaczonych do transportu dużych ilości towaru, zaczęły przewozić ludzi, sprzęt i zapasy żywności do regionu zajętego przez starożytną cywilizację. Sądzono, że to Atlantyda.

- Jaki był sens rozpoczynania budowy na starożytnych ruinach? - spytał Little. - Jakiemu celowi wojskowemu miało to służyć?

- Martwe i zaginione miasto nie było ważne. Chodziło o gigantyczną jaskinię w lodzie, którą znaleziono w jego okolicy. Miała czterdzieści kilometrów długości i kończyła się geotermalnym jeziorem o powierzchni prawie trzystu kilometrów kwadratowych. Na Antarktydzie wylądowali naukowcy, inżynierowie, ekipy budowlane i wszystkie rodzaje wojsk - wojska lądowe, lotnictwo, marynarka i oczywiście kontyngent SS do utrzymania porządku - i zaczęto szeroko zakrojone prace. Ściągnięto dużą liczbę robotników przymusowych, głównie jeńców rosyjskich pochodzących z Syberii, ponieważ byli odporni na zimno.

- Co się stało z rosyjskimi jeńcami po zbudowaniu bazy? - spytał Little, choć podejrzewał, jaka będzie odpowiedź.

Twarz Hozafela spoważniała.

- Hitlerowcy nigdy nie pozwoliliby im ujść z życiem i ujawnić najlepiej strzeżonej tajemnicy.

Umierali podczas pracy albo byli mordowani.

Sandecker z powagą przyglądał się spirali dymu z cygara.

- Czyli pod lodem leżą tysiące zapomnianych Rosjan.

- Dla hitlerowców życie było tanie - powiedział Hozafel. - Budowa fortecy, która miała rozpocząć Czwartą Rzeszę, ich zdaniem usprawiedliwiła tę zbrodnię.

- Czwarte Imperium... - powiedział Sandecker. - Ostatni bastion i ostateczna próba zdobycia panowania nad światem.

- Niemcy to uparty naród.

- Widział pan tę bazę? - spytał Little. Hozafel skinął głową.

- Po wypłynięciu z Bergen popłynąłem moim U-699 za kapitanem Hargerem i jego U-2015. Bez wynurzenia pokonaliśmy Atlantyk i zatrzymaliśmy się w pustym porcie w Patagonii.

- Gdzie wylądowaliście ludzi i skarby - powiedział Sandecker.

- Wie pan o tej operacji?

- W zarysach, nie znam szczegółów.

- W takim razie nie wie pan, że na brzeg wylądowano jedynie pasażerów i próbki medyczne. Dzieła sztuki, złoto i inne kosztowności wraz z relikwiami nazistów zostały na pokładach U-2015 i U-699. Następnie wyruszyliśmy z kapitanem Hargerem do bazy na Antarktydzie. Po spotkaniu ze statkiem zaopatrzeniowym i uzupełnieniu paliwa kontynuowaliśmy rejs, docierając do celu na początku czerwca czterdziestego piątego roku. Dzieło niemieckiej inżynierii było naprawdę imponujące. Wypłynął nam na spotkanie pilot i przejął stery U-2015. Ja popłynąłem jego śladem. Zostaliśmy wprowadzeni do jaskini, niewidocznej z morza już z odległości czterystu metrów. Zaskoczeni ujrzeliśmy wykuty w lodzie port przeładunkowy, zdolny obsłużyć równocześnie kilka okrętów podwodnych i dużych statków towarowych. Kazano nam zacumować za transportowcem, z którego wylądowywano rozmontowany samolot.

- Z bazy startowały samoloty?

- Najnowsze dzieło niemieckiej techniki lotniczej. Odrzutowy bombowiec junkers 287, przerobiony na transportowiec - z płozami, specjalnie przystosowany do warunków podbiegunowych. Przymusowi robotnicy wycięli w lodzie duży hangar, a za pomocą ciężkiego sprzętu przygotowano gładki, półtorakilometrowy pas startowy. W ciągu pięciu lat wydrążono górę, budując w niej miasteczko dla pięciu tysięcy robotników i niewolników.

- Lód w jaskiniach nie topił się od ciepła wytwarzanego przez taką ilość maszyn i ludzi? - spytał Little.

- Niemieccy naukowcy stworzyli środek chemiczny, który rozpryskany na lodzie powstrzymywał jego topnienie. Poza tym utrzymywano temperaturę wewnątrz kompleksu na poziomie nie przekraczającym piętnastu stopni Celsjusza.

- Jaką funkcję mogła pełnić taka baza po zakończeniu wojny? - spytał Sandecker.

O ile dobrze zrozumiałem, plan był taki, by elita hitlerowska, która działała dalej w bazie i zinfiltrowała Amerykę Południową, wykupiła tam duże połacie ziemi oraz firmy techniczno-produkcyjne. Inwestowano znaczne sumy w rozwój powojennych Niemiec oraz krajów azjatyckich - fundusze pochodziły ze starych niemieckich zapasów złota oraz sprzedaży części zrabowanych dóbr w Ameryce. Drukowano także walutę amerykańską z oryginalnych matryc amerykańskiego Departamentu Skarbu, które Niemcy przejęli od Rosjan. Pieniądze nie byłyby problemem przy

rozpoczynaniu działalności Czwartej Rzeszy.

- Jak długo pozostał pan w bazie?

- Dwa miesiące. Potem zabrałem okręt i załogę, popłynąłem do ujścia rzeki Rio de la Plata i poddałem okręt miejscowym władzom. Na pokład wszedł oficer argentyńskiej Marynarki Wojennej i skierował mnie do bazy Mar de Plata. Wydałem ostatni rozkaz jako oficer Kriegsmarine i oddałem kompletnie pusty okręt.

- Ile czasu upłynęło wówczas od skończenia wojny?

- Cztery miesiące bez tygodnia.

- Co było dalej?

- Zostaliśmy zatrzymani aż do przybycia agentów angielskiego i amerykańskiego wywiadu. Przesłuchiwano nas sześć tygodni, po czym zwolniono i pozwolono wracać do domu.

- Zakładam, że nikt z was nic nie zdradził aliantom. Hozafel uśmiechnął się.

- Mieliśmy trzy tygodnie drogi z Antarktydy do Argentyny, by ustalić wersję. Była może nieco melodramatyczna, ale nikt nie pękł i przesłuchujący niczego się nie dowiedzieli. Byli bardzo sceptyczni, w końcu trudno jednak mieć o to pretensje. Niemiecki okręt podwodny znika na cztery miesiące, a kiedy się pojawia, jego dowódca twierdzi, że brał komunikaty radiowe o kapitulacji Niemiec za alianckie sztuczki, mające sprawić, by ujawnił swą pozycję. Nie było to logiczne, ale nie złamali nas. - Przerwał i przez chwilę obserwował gasnący ogień. - Przekazano U-699 Stanom Zjednoczonym, zaholowano okręt do bazy w Norfolk w stanie Wirginia, zdemontowano, co tylko się dało, i oddano go na złom.

- A U-2015? - spytał Sandecker.

- Nie wiem. Nie słyszałem o nim i nigdy więcej nie spotkałem Hargera.

- Z pewnością zainteresuje pana - powiedział z zadowoleniem Sandecker - że U-2015 został zatopiony kilka dni temu w rejonie Antarktydy przez amerykański okręt podwodny z napędem atomowym.

Oczy Hozafela zwężiły się.

- Jeszcze wiele lat po wojnie słyszałem plotki o pływającym w tym regionie niemieckim okręcie podwodnym, ale nie wierzyłem, by mogła to być prawda.

- Wiele U-Bootów z najnowocześniejszych technicznie klas XXI jest do dziś uznawanych za zaginione - powiedział Little. - Uważamy, że dowództwo hitlerowskie zatrzymało sobie flotę tych jednostek do celów przemytniczych.

- Muszę przyznać, że najprawdopodobniej macie rację. Sandecker zamierzał coś powiedzieć, ale zadzwonił telefon. Włączył głośnik, choć obawiał się tego, co usłyszy.

- Tak?

- Chciałem tylko potwierdzić - rozległ się głos Pitta. - Pizza jest u pańskiego progu, a dostawca właśnie wraca przez gęsty ruch uliczny.

- Dziękuję za telefon - odparł Sandecker, ale w jego głosie nie było słychać ulgi.

- Mam nadzieję, że znów pan do nas zadzwoni, kiedy zechce pan szybko dostać pizzę.

- Wolę calzone. - Sandecker przerwał połączenie. - No cóż... - powiedział cicho - dotarli do samolotu i są w powietrzu.

- No to zaraz będą w domu! - rzucił energicznie Little. Sandecker niewesoło pokręcił głową.

- Dirk wspominał o gęstym ruchu ulicznym, co oznacza, że atakują ich samoloty ochrony. Obawiam się, że wpadli z deszczu pod rynnę.

Sterowany przez automatycznego pilota Moller Skycar wzniósł się w niebo i pomknął tuż nad fiordem, powoli nabierając wysokości, by przelecieć nad spływającym z gór lodowcem. Jeśli ktokolwiek na pokładzie sądził, że wystartowali w spokojny lot do czekającego przy Punta Entrada statku Agencji, poważnie się mylił.

Z pokładu „Ulricha Wolfa” wystartowały cztery helikoptery i natychmiast weszły na kurs przechwytyjący. Jeden też by wystarczył, ale Wolfowie wysłali do zatrzymania uciekinierów wszystkie maszyny. Nie leciały w swobodnej formacji, szykując się do wstępnej potyczki, lecz szły tuż obok siebie, w dokładnie wyliczonych odstępach. Szyk był optymalny, by odciąć drogę Skycarowi, zanim uda mu się uciec w góry.

Zakupione przez Destiny Enterprises z firmy Messerschmitt-Bolkow helikoptery Bo 105LS-7 zostały zaprojektowane dla armii niemieckiej głównie do wspierania piechoty i użytku paramilitarnego. W każdym helikopterze była dwuosobowa załoga, a podwójny silnik pozwalał na osiągnięcie maksymalnej prędkości czterystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Uzbrojone były w dwudziestomilimetrowe działko.

Tym razem w fotelu pilota Skycara siedział Giordino, Pitt obserwował przyrządy. Pat i Megan siedziały ściśnięte na ciasnym tylnym fotelu pasażerskim. Poza ustawieniem prędkości na maksimum Giordino nie mógł wiele zrobić. Wszystko inne ustalał komputer. Pitt obserwował na ekranie radaru zbliżające się helikoptery.

- Dlaczego, dlaczego te dranie nie mogą zostawić nas w spokoju? - teatralnie westchnął Giordino.

- Wygląda na to, że wysłali całą bandę - odparł Pitt, patrząc na cztery kropki na skraju ekranu. Zbliżały się do umieszczonego w centrum zarysu Skycara, jakby był ściągającym je magnesem.

- Jeśli mają rakiety sterowane termicznie, czujnikami ciepła, mogą sprawić nam kłopot - stwierdził Giordino.

- Nie sądzę. Maszyny cywilne rzadko mają na pokładzie sprzęt wojskowy - Możemy ich zgubić w górach?

- Na to wygląda - odparł Pitt. - Ich jedyną nadzieją jest ustrzelić nas zanim wyjdziemy z ich zasięgu i uciekniemy. Wygląda na to, że są od nas wolniejsi o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Giordino popatrzył przez owiewkę.

- Schodzimy znad lodowca i wlatujemy w góry. Lot krętymi kanionami powinien uniemożliwić im strzelanie.

- Nie powinniście się koncentrować na pilotowaniu? - spytała Pat, niespokojnie przyglądając się oświetlanym księżycowym światłem zboczom, które wyrastały po obu stronach. - A nie ciągle gadać?

- Co słysząc u was z tyłu? - spytał Pitt.

- To jak jazda kolejką górską w wesołym miasteczku! - powiedziała podniecona Megan.

Pat lepiej zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, więc nie była tak pełna entuzjazmu jak córka.

- Wolę mieć oczy zamknięte - powiedziała.

- Ponieważ lecimy z maksymalną prędkością, odczuwamy turbulencje - wyjaśnił Pitt. - Ale nie martw się, steruje nami komputer.

- Jakie to pocieszające...

- Źli chłopcy nadlatują od strony grani na dziewiątej - oznajmił Giordino, wpatrując się w

jaskrawe światła reflektorów, rozjaśniające poszarpane zbocza.

Piloci helikopterów wymyślili sprytną taktykę. Nie próbowali ścigać szybszego Skycara w przecinających góry wąwozach, lecz wlecieli wyżej i próbowali zestrzelić go z góry. Dwudziestomilimetrowe pociski przesywały powietrze przed Skycarem.

Pitt przejrzał tę taktykę i trącił Giordina łokciem.

- Przełącz na sterowanie ręczne! Zatrzymaj i zawracaj!

Giordino zrobił, co mu kazano, i wykonał manewr, ledwie Pitt skończył mówić. Przełączył tryb sterowania i zahamował tak nagle, że wszyscy zabujali się gwałtownie w pasach bezpieczeństwa. Nie odwracając maszyny, ruszył do tyłu.

- Gdybyśmy spróbowali przedostać się przez tę zaporę z ołowiu, rozerwaliby nas na strzępy - zauważył Pitt.

- Niedługo zmienią kurs i zaczną w nas celować.

- O to chodzi. Liczę na to, że zakręcą i skierują ogień za naszą rufę, tak byśmy w niego wlecieli. Wtedy znów ruszymy do przodu i zmusimy ich do ponownego przegrupowania - to samo zrobiliśmy z łodzią patrolową. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, powinniśmy zyskać dość czasu, by schować się za górą.

Helikoptery zmieniły szyk, by przenieść ogień. W kilka sekund ustawiły się ponownie i zaczęły strzelać - tym razem prosto w Skycara. Był to znak dla Giordina, by pchnąć maszynę w przód. Prawie im się udało, niestety helikoptery były teraz bliżej. Napastnicy strzelali w mniej skoordynowany sposób - piloci zareagowali odruchowo i każdy na własną rękę bombardował uciekającego Skycara.

Kule wbiły się w statecznik poziomy, odstrzelone zostały koła podwozia, górna część owiewki rozprysnęła się na kawałki i do kabiny wpadło lodowate powietrze. Skycara otoczył grad pocisków, na szczęście silniki pozostały nietknięte. Nie mogąc robić klasycznych uników na boki - ściany wąwozu były oddalone o niecałe pięć metrów od końców skrzydeł - Giordino skakał w dół i w górę.

Niecelne dwudziestomilimetrowe pociski wgryzały się w skały, wznosząc gejzery pokruszonych kamieni. Jak ścigany przez sforę psów kot, Giordino skakał maszyną w niemożliwy do przewidzenia sposób. Jeszcze dwieście metrów, jeszcze sto i skręcił o dziewięćdziesiąt stopni za występ skalny, który zasłonił ich przed ogniem.

Kiedy helikoptery Destiny Enterprises dotarły do występu i okrążyły go, Skycar zniknął w ciemności gór.

CZEŚĆ IV

Miasto pod lodem

OWIEC
LFOWY
DSSA

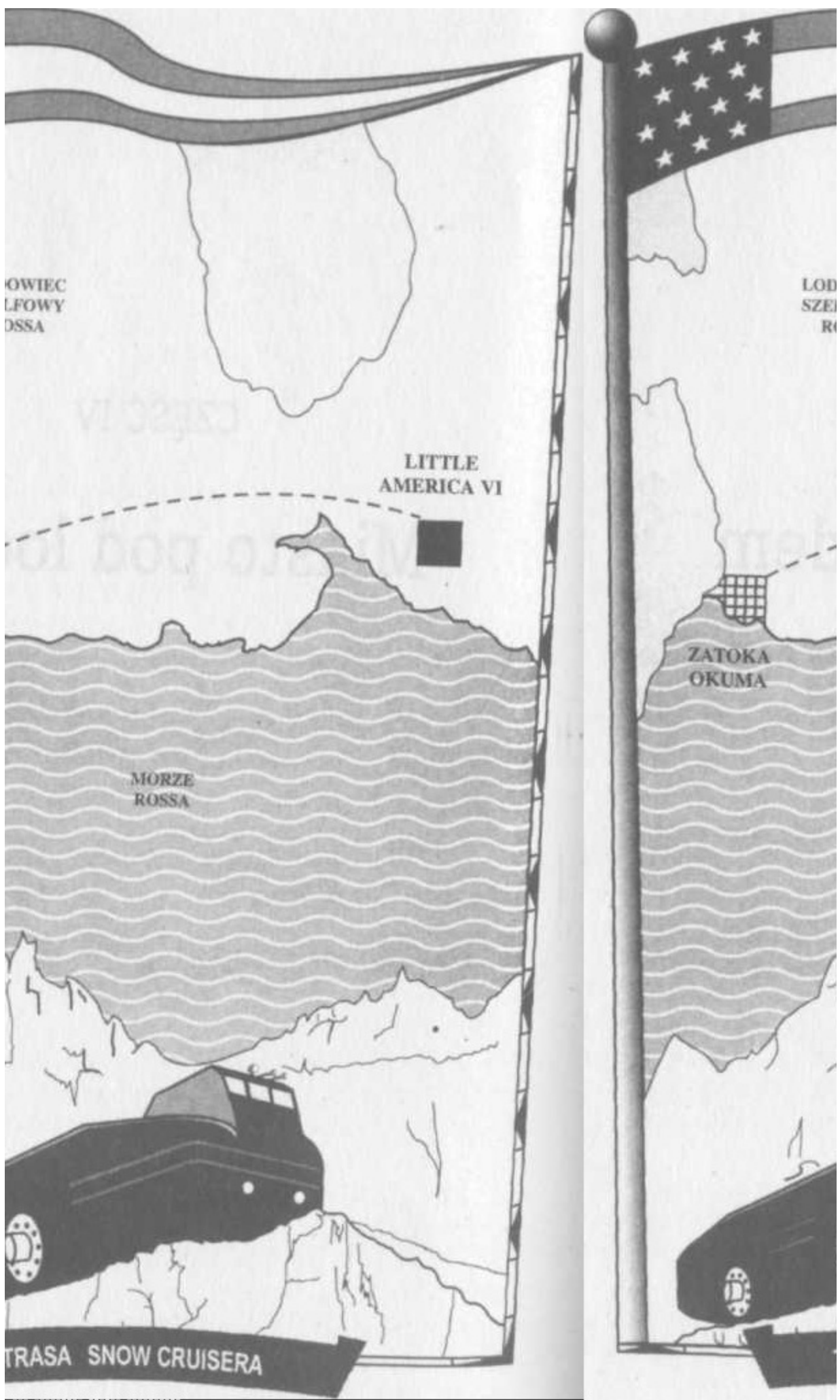
LITTLE
AMERICA VI

MORZE
ROSSA

TRASA SNOW CRUISERA

LOD
SZE
R

ZATOKA
OKUMA



10 kwietnia 2001, Buenos Aires, Argentyna

Na kolistym podjeździe ambasady Wielkiej Brytanii stał długi sznur czarnych limuzyn. Wsiadali z nich mężczyźni we frakach i panie w sukniach balowych - wchodzili przez wysokie, wykute w brzoju drzwi do holu, gdzie witał ich Charles Lexington, brytyjski ambasador w Argentynie, wraz ze swoją żoną Martha - wysoką, spokojną kobietą o krótko ostrzyżonych siwych włosach. Przyjęcie zorganizowane zostało z okazji objęcia przez księcia Karola tronu, zwolnionego nareszcie przez jego matkę królową Elżbietę. Zaproszono całą elitę Argentyny. Przyszli wszyscy: prezydent, przedstawiciele Kongresu Narodowego, burmistrz, finansjści i przemysłowcy, sławy kultury i sztuki. W sali, w której grała orkiestra ubrana w osiemnastowieczne stroje, przyciągał powszechną uwagę okazały bufet, przygotowany przez najlepszych kucharzy, sprowadzonych specjalnie z Anglii.

Kiedy do wielkiego pomieszczenia w zwykły sobie, teatralny sposób wszedł Karl Wolf z siostrami, oczy wszystkich natychmiast skupiły się na nich. Tuż za Wolfami szło kilku ochroniarzy. Zgodnie z rodzinną tradycją kobiety miały na sobie suknie tego samego kroju, lecz innych barw. Po powitaniu przez brytyjskiego ambasadora cała grupa przeszła do sali balowej. Wśród obecnych nie było kobiety, która nie poczułaby zazdrości z powodu aury, jaką roztaczały siostry Wolf.

Karl przyprowadził Geli, Marię i Luci - wszystkie z mężami, oraz Elsie, która właśnie wróciła ze Stanów Zjednoczonych. Siostry i ich mężowie zaczęli tańczyć przy wiązance melodii Cole'a Portera, a Karl poprowadził Elsie do bufetu, zatrzymując się po drodze, by wziąć kieliszek szampana z tacy niesionej przez kelnera w liberii. Dobrali sobie zestaw egzotycznych potraw. Przeszli do biblioteki, gdzie przy sięgającym sufitu regale z książkami znaleźli pusty stolik z dwoma krzesłami.

Ręka Elsie, którą właśnie podnosiła do ust widelec z delikatnym serem zastygła w powietrzu, a na twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Karl zauważył to, ale nie odwracał się. Wysoki twardziel szedł pod rękę ze śliczną kobietą o długich do pasa ognistorudych włosach. Mężczyzna miał smoking z rubinową brokatową kamizelką, z kieszonki zwisał mu złoty łańcuszek od zegarka. Kobieta ubrana była w dopasowaną długą suknię z czarnego jedwabiu i czarną jedwabno-aksamitną marynarkę. Jej szczupłą szyję zdobił naszyjnik z kryształów.

Podeszli do Wolfów i zatrzymali się.

- Jak miło znów panią widzieć, Elsie - zaczął kordialnie Pitt. Zanim zdążyła odpowiedzieć, zwrócił się do Wolfa. - Pan musi być tym słynnym Karlem Wolfem. Wiele o panu słyszałem. Mogę przedstawić doktor Patricię O'Connell?

Wolf przyglądał się Pittowi mniej więcej tak, jak jubiler przygląda się diamentowi przed podniesieniem młotka i uderzeniem w przecinak. Pat poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa biegnie jej lodowaty dreszcz. Miliarder był bardzo przystojny, ale jego oczy były zimne i groźne. Emanowała z niego brutalność. Jeśli ją poznał, nie okazał tego niczym. Wbrew zasadom grzeczności siedział bez ruchu.

- Nigdy się nie spotkaliśmy - kontynuował przyjacielskim tonem Pitt - ale czuję się, jakbym znał pana od dawna.

- Nie mam pojęcia, kim pan jest - odparł Wolf doskonałą angielszczyzną ze śladem teutońskiego akcentu.

- Nazywam się Dirk Pitt.

Przez ułamek sekundy w oczach Wolfa mignęło niedowierzanie, zaraz jednak jego twarz z powrotem przybrała wyraz zwykłej niechęci.

- To pan jest Dirkiem Pittem? - spytał lodowato.

- Nikim innym. - Uśmiechnął się do Elsie. - Wygląda pani na zaskoczoną moim widokiem. Opuściła pani Waszyngton w tak wielkim pośpiechu, że nie mieliśmy okazji na kolejną pogawędkę.

- Skąd się pan tu wziął? - warknęła.

- Z „Ulricha Wolfa” - grzecznie odpowiedział Pitt. - Po zwiedzaniu statku przylecieliśmy z Pat do Buenos Aires i pomyśleliśmy, że może wpadniemy się przywitać.

Gdyby miała w oczach lasery, Pitt byłby już usmażony na węgiel.

- Mogliśmy pana zabić.

- Próbowaliście, ale wam nie wyszło - obojętnie odparł Pitt. - Nie radzę robić tego ponownie, na pewno nie w angielskiej ambasadzie przy ludziach.

- Kiedy wyjdzie pan na ulicę, panie Pitt, będzie pan w moim kraju, nie w swoim. Nie obroni się pan.

- Kiepski pomysł, Karl. Marines, którzy eskortowali nas tu dziś na polecenie amerykańskiego ambasadora Johna Horna, mogliby się zdenerwować.

Jeden z potężnych ochroniarzy Wolfa przysunął się do Pitta, jakby chciał go zaatakować. Nagle drogę zablokował mu Giordino. Człowiek Wolfa - cięższy o dwadzieścia pięć kilo i o dwadzieścia centymetrów wyższy - popatrzył na niego pogardliwie z góry.

- Stawiasz się, mały? - warknął. Giordino uśmiechnął się protekcyjnie.

- Zrobiłoby na tobie wrażenie, gdybym powiedział, że właśnie wyeliminowałem kilku takich gnojków jak ty?

- On nie żartuje - powiedział Pitt.

Reakcja ochroniarza była zabawna. Wahał się między wybuchem złości a ostrożnością. Wolf machnął dłonią, by się odsunął.

- Gratuluję ucieczki z „Ulricha Wolfa”. Mój oddział zabezpieczający okazał się całkowicie niekompetentny.

- Bez przesady - powiedział polubownie Pitt. - Pańscy ludzie byli naprawdę dobrzy. Mieliśmy dużo szczęścia.

- Z raportu, który otrzymałem, wynika, że szczęście nie było tu decydującym czynnikiem.

Był to największy komplement, jaki mógł paść z jego ust. Wstał powoli i stanął naprzeciw Pitta. O pięć centymetrów wyższy z przyjemnością patrzył z góry na człowieka, który był mu zawadą. Błękitno-szare oczy patrzyły przenikliwie, ale Pitt bez trudu wytrzymał spojrzenie. Od tej dziecinnej zabawy bardziej interesowała go obserwacja przeciwnika.

- Przeciwnością mi się, popełnia pan pożałowania godny błąd, panie Pitt. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę z tego, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uczynić świat tak czystym i nieskalanym, jakim był dziewięć tysięcy lat temu.

- Ma pan dziwne metody realizacji tej idei.

- Po co pan tu przyszedł?

- Przez pańską rodzinę musiałem wycierpieć sporo niewygód, chciałem więc poznać człowieka, który ma zamiar zostać panem wszechświata.

- I co?

- Wygląda na to, że stawia pan całą swoją fortunę w zakładzie, który może pan przegrać. Skąd ta pewność, że bliźniak komety, która zniszczyła Amenów, wróci w przyszłym miesiącu i uderzy w Ziemię? Skąd pan wie, że nie przeleci obok jak wtedy?

Wolf popatrzył na Pitta i uśmiechnął się złośliwie. Było oczywiste, że człowiek tak bogaty i potężny nie przywykł do spotkań z ludźmi, którzy się go nie boją i nie okazują czołobitnej uniżoności przed jego majestatem.

- Nadejście kataklizmu to sprawa pewna. Świat, jakim zna go każde żywe stworzenie, przestanie istnieć. Z wyjątkiem mojej rodziny każda obecna tu osoba, łącznie z panem, zginie. - Pochylił się do przodu z chytrym uśmieszkiem. - Obawiam się jednak, że nastąpi to nieco wcześniej, niż się pan spodziewa, panie Pitt. Wszystko odbędzie się wcześniej. Koniec świata rozpocznie się... dokładnie za cztery dni i dziesięć godzin.

Pitt próbował ukryć przerażenie. Niecałe pięć dni! Jak to możliwe?

Pat nie miała zamiaru kryć emocji.

- Jak można coś takiego robić? Dlaczego włożył pan tyle wysiłku w to by zachować tajemnicę? - spytała z pasją. - Dlaczego nie ostrzegł pan wszystkich ludzi, by mogli się przygotować na spotkanie z tym, co ma nadejść? Czy pan i pańskie drogie siostry nie macie sumienia? Nie wiecie, co to współczucie? Nie wzrusza pana śmierć milionów dzieci? Jest pan tak samo zły jak pańscy przodkowie, którzy wymordowali miliony...

Elsie skoczyła na równe nogi.

- Jak śmiesz obrażać mojego brata? - syknęła.

Pitt objął Pat w talii.

- Szkoda energii na ten gadzi pomiot - powiedział z twarzą ściągniętą złością. Konfrontacja robiła się zbyt ostra, nie mógł się jednak powstrzymać przed tą uwagą. Popatrzył na Elsie i z lodowatym uśmiechem powiedział słodko: - Wie pani co, Elsie? Założę się, że kochanie się z panią albo pani siostrami to jak miłość z lodową rzeźbą.

Elsie zamachnęła się, by go spoliczkować, ale Pat wyciągnęła rękę i zatrzymała jej ramię. Elsie wyrwała się zdumiona, że ktoś spoza rodziny śmie ją tak traktować. Przez chwilę Pitt i Wolf sądzili, że kobiety skoczą sobie do gardła, Pat uśmiechnęła się jednak drwiąco i odwróciła do Pitta i Giordina.

- Nudzę się. Dlaczego któryś z panów nie poprosi mnie do tańca?

Pitt uznał, że mądrzej będzie zostać i spróbować wyciągnąć z Wolfów jeszcze jakieś informacje - dopóki poświęcają mu uwagę. Skłonił się lekko Alowi.

- Ty pierwszy.

- Z przyjemnością. - Giordino ujął Pat za rękę i poprowadził ją na parkiet, gdzie orkiestra grała Night and Day Cole'a Portera.

Pitt zwrócił się do Wolfa.

- Przyspieszenie wszystkiego to bardzo sprytne posunięcie. Jak pan to robi?

- Ależ panie Pitt... muszę coś zachować dla siebie.

Pitt próbował z innej strony.

- Jestem pod wrażeniem pańskich statków. Są mistrzowskimi dziełami architektury i inżynierii morskiej. Jedynie „Freedom”, morskie miasto zbudowane przez Normana Nixona z Engineering Solutions, może się z nimi równać.

- To prawda. Przyznam, że budując „Ulricha Wolfa”, wiele czerpaliśmy z jego projektów.

- Naprawdę pan sądzi, że tak wielkie jednostki wypłyną na morze po nadejściu potopu?

- Moi inżynierowie zapewniają, że ich obliczenia są prawidłowe.

- A co by było, gdyby się pomylili?

Mina Wolfa świadczyła o tym, że nigdy nie brał tego pod uwagę.

- Kataklizm nastąpi dokładnie wtedy, kiedy powiedziałem, a nasze statki będą bezpieczne.

- Nie wiem, czy chciałbym znaleźć się na zniszczonej Ziemi, po tym jak większość ludzi i zwierząt zginie.

- Na tym właśnie polega różnica między nami, panie Pitt. Pan traktuje to jako koniec, ja jako początek. A teraz dobranoc. Mamy wiele pracy. - Wziął siostrę pod rękę i wyszli.

Pitt chciał, aby okazało się, że Wolf to jedynie kolejny wariat, ale jego zdecydowanie oraz poświęcenie całej rodziny wskazywały na coś więcej niż fanatyzm. Był naprawdę zaniepokojony. Żaden człowiek tak inteligentny jak Wolf nie budowałby imperium wartego miliardy dolarów tylko po to, by pozbyć się go lekką ręką. Jego postępowaniem musiały kierować racjonalne przesłanki - zbyt przerażające, by się ich domyślić. Jakże? Ze słów Wolfa wynikało, że na znalezienie odpowiedzi pozostało już tylko cztery dni i dziesięć godzin. Dlaczego tak chętnie podał mu termin? Sprawiał wrażenie, jakby nie miał nic przeciwko temu, by Pitt znał datę. Czy to dlatego, że nie można już było zapobiec wydarzeniom? A może szatański umysł miał inny powód?

Pitt odwrócił się i wyszedł. W barze zamówił anejo - tequilę z błękitnej agawy. Podszedł do niego ambasador Horn. Niski, jasnowłosy mężczyzna wyglądał nieco jak jastrząb zataczający koła nad lasem - nie tyle w poszukiwaniu pożywienia, ile aby pokazać, kto tu rządzi.

- Jak panu poszło z Wolfem?

- Nie za dobrze - odparł Pitt. - Wbił sobie do głowy, że będzie się bawił w Boga, a ja nigdy nie nauczyłem się padać na kolana przed świętościami.

- To dziwny człowiek. Nikomu, kogo znam, nie udało się do niego zbliżyć. Nie wiem, na jakiej podstawie wyrobił sobie przeświadczenie o zbliżającym się końcu świata. Mówiłem o tym kolegom - zarówno stąd, jak i z Waszyngtonu - i wszyscy odparli, że nic nie wskazuje na to, że coś takiego nadchodzi. Przynajmniej na razie.

- Dużo pan o nim wie?

- Niewiele. Tylko to, co przeczytałem w raportach wywiadowczych.

Jego ojciec był wysokiej rangi hitlerowcem, któremu udało się uciec z Niemiec pod koniec wojny. Przyjechał do Argentyny z rodziną, grupą kumpli spod znaku swastyki oraz wybitnymi inżynierami i naukowcami. Wkrótce po przybyciu w ciągu niecałych dwóch lat założyli wielką korporację finansową - skupili i zaczęli prowadzić największe w kraju farmy hodowlane, banki i inne firmy. Kiedy ich potęga się ustaliła, rozszerzyli działalność - od chemii po elektronikę - i wyszli za granicę. Można jedynie zgadywać, skąd mieli kapitał startowy. Plotka mówi, że było to złoto niemieckiego skarbu oraz zrabowane Żydom, ofiarom holocaustu. Bez względu jednak na źródło, aby osiągnąć tak wiele w tak krótkim czasie, musieli mieć ogromne zasoby.

- Co pan wie o jego rodzinie?

Horn przerwał i zamówił u barmana martini.

- Głównie plotki. Kiedy Wolfowie stają się tematem rozmowy, moi argentyńscy przyjaciele zawsze ściszą głos. Istnieją doniesienia, że do chwili utonięcia, co nastąpiło kilka lat temu, z Wolfami przyjaźnił się doktor Josef Mengele, anioł śmierci z Oświęcimia. Przyznam jednak, że brzmi to dość niewiarygodnie. Twierdzono, że Mengele, kontynuując swe eksperymenty genetyczne, pracował z dwoma pierwszymi pokoleniami Wolfów, starając się uzyskać potomstwo o wysokiej inteligencji i wyjątkowych cechach fizycznych. Dzieci te tworzyły bardziej kontrolowaną linię rozrodu, co widać po niezwykle podobieństwie członków trzeciego pokolenia Wolfów. Karl i jego siostry wyglądają tak samo jak ich bracia i kuzyni. Krąży dziwna plotka, że w ostatnich godzinach wojny wywieziono z Niemiec spermę Adolfa Hitlera i użyto jej do zapłodnienia kobiet Wolfów.

- Wierzy pan w to?

- Wolalbym nie - odparł Horn, popijając martini. - Ale w końcu źródłem tych informacji jest wywiad brytyjski. Niestety, oficer wywiadu mojej ambasady, major Steve Miller, przeprowadził komputerowe porównanie zdjęć Hitlera i Wolfów. Choć brzmi to odrażająco, pomijając kolor włosów i oczu - istnieją zdecydowane podobieństwa w kształcie twarzy.

Pitt wyprostował się i wyciągnął rękę.

- Ambasadorze, nie jestem w stanie wyrazić, jak cenię pańskie zaproszenie i ochronę. Przyłot do Buenos Aires był spontanicznym pomysłem.

Dziękuję za czas, który poświęcił pan, by umożliwić mi spotkanie z Karlem Wolfem.

Horn ujął wyciągniętą rękę Pitta.

- Mieliśmy szczęście, że Wolfowie pokazali się na przyjęciu. Muszę przyznać, że wielką przyjemnością było przysłuchanie się, jak ktoś pokazuje temu aroganckiemu typowi, gdzie raki zimują. Jako dyplomata nie mogę pozwolić sobie na ten luksus.

- Twierdzi, że zmienił się termin i do Armagedonu zostały cztery dni.

Należy się spodziewać, że jego rodzina zacznie wkrótce wchodzić na pokłady superstatków.

- Naprawdę? To dziwne. Wiem z wiarygodnego źródła, że Karl zamierza pojutrze przeprowadzić inspekcję w swoim zakładzie uzyskiwania kamieni szlachetnych na Antarktydzie.

Oczy Pitta zwęziły się.

- Oby nie przeciągnął struny.

- Ten zakład zawsze był nieco tajemniczy. O ile wiem, CIA nigdy nie udało się umieścić w nim swojego człowieka.

Pitt uśmiechnął się.

- Orientuje się pan w pracy wywiadu, ambasadorze.

Horn wzruszył ramionami.

- Nigdy nie zaszkodzi trzymać ręki na pulsie.

Pitt zakreślił tequilą w szklaneczce i zapatrzył się w wirujący wokół kostek lodu płyn. Cóż tak ważnego było na Antarktydzie, że Wolf musiał złożyć tam wizytę? Spodziewał się raczej, że przywódca Czwartego Imperium w oczekiwaniu na kataklizm poleci do swej stoczni. Przelot na Antarktydę i powrót zajmą mu dwa dni. Coś tu nie pasowało.

Następnego dnia dwudziestu siedmiu spośród dwustu członków dynastii Wolfów - główni dyrektorzy korporacji oraz czołowi architekci Czwartego Imperium - spotkali się w biurach dyrekcji Destiny Enterprises. Zebrano ich w wielkiej sali konferencyjnej, wyłożonej tekową boazerią z pięknym, wyrzeźbionym także w tekowym drewnie, dwunastometrowym stołem pośrodku. Nad kominkiem wisiał duży, olejny portret Ulricha Wolfa. Patriarcha rodziny w mundurze SS stał wyprostowany jak świeca, z wypchniętą do przodu szczęką. Jego czarne oczy wpatrywały się w daleki horyzont.

Dwanaście kobiet i piętnastu mężczyzn czekało cierpliwie, popijając z kryształowych kieliszków pięćdziesięcioletni portwajn. Punktualnie o dziesiątej z przylegającego gabinetu dyrektora naczelnego wyszedł Karl Wolf i zasiadł w fotelu u szczytu stołu. Przez kilka chwil wodził wzrokiem po twarzach wpatrzonych w niego wyczekująco sióstr, braci i kuzynów. Ojca, Maxa Wolfa, miał po prawej ręce. Uśmiechał się lekko i wszystko wskazywało na to, że jest w radosnym nastroju.

- Zanim zaczniemy ostatnie posiedzenie w biurach Destiny Enterprises i naszym ukochanym Buenos Aires, chciałbym wyrazić uznanie za sposób, w jaki wraz z tymi, których kochacie, osiągnęliście tak wiele w tak krótkim czasie. Każdy członek rodziny Wolfów znacznie przewyższył oczekiwania w nim pokładane. Powinniśmy być także dumni, że nikt nie zawiódł.

- Słuchajcie, słuchajcie! - zawołał Bruno. Okrzyk ten powtórzyli inni z aplauzem.

- Bez kierownictwa mego syna - oznajmił Max Wolf - rozpoczęta przez naszych dziadów wielka krucjata nigdy nie doczekałaby się realizacji. Jestem dumny z wielkiego wkładu, jaki wniosłeś w dzieło tworzenia nowego porządku świata, i cieszy mnie, że nasza rodzina - z krwią Fuhrera płynącą w jej żyłach - stoi u wrót do urzeczywistnienia idei Czwartego Imperium.

Znów rozległy się oklaski. Dla kogoś z zewnątrz każdy siedzący za stołem człowiek - z wyjątkiem Karla Wolfa - wyglądał jak klon z tej samej matrycy. Wszyscy mieli te same rysy twarzy, budowę ciała, oczy i włosy. Mogło się wydawać, że sala konferencyjna to gabinet luster.

Karl zwrócił się do Brunona.

- Czy ci, których nie ma tu dzisiaj, są już na pokładzie „Ulricha Wolfa”?

Bruno skinął głową.

- Wszyscy członkowie rodziny zajmują swoje rezydencje.

- Co z zapasami i sprzętem?

Wilhelm Wolf podniósł rękę, chcąc zabrać głos.

- Zapasy żywności zostały załadowane na statki i odpowiednio zasztauowane. Załoga czeka w gotowości na pokładach. Sprzęt, zwłaszcza elektroniczny, został dwukrotnie sprawdzony. Wszystko działa idealnie. Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Rozpatrzono każdą ewentualność i przygotowano plany awaryjne. Według symulacji komputerowych statki mogą przyjąć atak nawet najsilniejszej fali. Pozostało nam już tylko polecieć na „Ulricha Wolfa” i czekać na zmartwychwstanie.

Karl uśmiechnął się.

- Będziecie musieli lecieć beze mnie. Dołączę później. Jest sprawą najwyższej wagi, bym przyjrzał się ostatnim przygotowaniom prowadzonym w zakładzie w zatoce Okuma.

- Tylko się nie spóźnij - powiedziała z uśmiechem Elsie. - Żebyśmy nie musieli wypłynąć bez ciebie.

Karl wybuchnął śmiechem.

- Nie bój się, siostró. Nie zamierzam się spóźnić.

Rosa podniosła rękę.

- Czy ta amerykańska badaczka odcyfrowała przed ucieczką ze statku inskrypcje Amenów?

Karl pokręcił głową.

- Niestety - jeśli cokolwiek odkryła, zabrała informacje ze sobą.

- Nasi agenci nie mogli tego odzyskać? - spytał Bruno.

- Obawiam się, że nie. Jest zbyt dobrze chroniona w amerykańskiej ambasadzie. Na przygotowanie i przeprowadzenie odpowiedniego planu nie mamy czasu.

Głos zabrał Albert Wolf, paleoekolog, ekspert w zakresie starożytnego środowiska naturalnego oraz jego wpływu na ówczesną florę i faunę.

- Bardzo korzystne byłoby zapoznanie się z opowieścią tych, którzy żyli w czasie poprzedniego kataklizmu, uważam jednak, że nasze symulacje komputerowe dają dobry obraz tego, czego należy się spodziewać.

- Kiedy statki wypłyną na otwarte wody, naszym głównym zmartwieniem będzie uszczelnienie ich i zabezpieczenie przed popiołem, gazami wulkanicznymi i dymem - powiedziała Elsie.

- Tym się nie martw, kuzynko - powiedział Brendt Wolf, rodzinny geniusz inżynieryjny. - Statki są tak skonstruowane, że uszczelnia się całkowicie w kilka sekund, po czym automatycznie włączy się system filtrów. Został dokładnie sprawdzony i jest sprawny w stu procentach. Daję gwarancję czystego, zdatnego do oddychania powietrza przez długi czas.

- Czy została już podjęta decyzja, w jakiej części świata zejdziemy na ląd, kiedy będzie to możliwe? - spytała Maria Wolf.

- Ciągle jeszcze zbieramy dane i analizujemy je - odparł Albert. - Musimy dokładnie obliczyć, w jaki sposób fale pływowe i inne czynniki zmieniają linie brzegowe. Decyzja będzie zależała od wyników analizy sytuacji po uspokojeniu się żywiołów.

Karl popatrzył na swych krewnych.

- Wiele będzie zależało od zmian w obrębie mas lądowych. Prawdopodobnie Europa zostanie zalana po Ural, woda może pokryć Saharę, a lód Kanadę i Stany Zjednoczone. Naszym głównym zadaniem jest przeżyć pierwsze uderzenie i czekać cierpliwie z decyzją, gdzie założyć miasto, w którym stworzymy nowy porządek świata.

- Bierzemy pod uwagę kilka miejsc - powiedział Wilhelm. - W pierwszej kolejności w rachubę wchodzi miasta portowe, takie jak San Francisco, gdzie można zacumować statki. W pobliżu powinien znajdować się teren, na którym łatwo dałoby się założyć pola uprawne i sady. Poza tym jego położenie musi umożliwiać transport i rozszerzanie się naszej władzy nad nowym światem. Wiele będzie zależać od siły kataklizmu.

- Czy wiadomo, ile czasu będziemy musieli spędzić na statkach przed zejściem na ląd? - spytała Gerda Wolf, której specjalnością było szkolnictwo i która miała nadzorować system edukacyjny.

Albert popatrzył na nią i uśmiechnął się.

- Na pewno nie dłużej, niż potrzeba, siostró. Potrwa to lata, nie umiemy jednak dokładnie przewidzieć, ile czasu minie, nim będziemy mogli opanować Ziemię.

- Co z ludźmi, którzy przeżyją na wyższych terenach? - spytała Maria. - Jak będziemy ich traktować?

- Będzie ich niewielu - odparł Bruno. - Ci, których znajdziemy, zostaną zebrani w bezpiecznych miejscach, by radzili sobie, jak umieją.

- Nie będziemy im pomagać?

Bruno pokręcił głową.

- Dopóki nasi ludzie nie będą mogli korzystać z plonów na lądzie, nie stać nas na dzielenie się zapasami.

- Z biegiem czasu, z wyjątkiem obywateli Czwartego Imperium, rasa ludzka wyginie - powiedział Max Wolf. - Przeżyć mogą jedynie najsilniejsi. Takie jest prawo ewolucji. Fuhrer nakazał, by któregoś dnia światem rządziła rasa panów. My nią jesteśmy.

- Bądźmy uczciwi, wuju - zaprotestował Felix Wolf. - Nie jesteśmy fanatycznymi nazistami. Partia nazistowska umarła wraz z naszymi dziadkami. Moje pokolenie oddaje hołd Fuhrerowi jedynie za umiejętność przewidywania. Nie czcimy swastyki ani nie krzyczymy Heil przed jego portretem.

Jesteśmy rasą stworzoną do usunięcia ze świata przestępczości, korupcji i chorób poprzez stworzenie człowieka na wyższym poziomie rozwoju - takiego, który zbuduje nowe społeczeństwo, wolne od grzechów starego. Dzięki naszym genom powstanie nowa rasa - czysta i nietknięta złem przeszłości.

- Dobrze powiedziane - zauważył Otto Wolf, który od początku nie powiedział ani słowa. - Felix zgrabnie podsumował nasz cel i zobowiązania.

Teraz pozostało już tylko doprowadzić zadanie do szczęśliwego końca.

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Karl splótł dłonie i powoli powiedział:

- Ciekaw jestem, jak będzie wyglądał świat za rok. Tym, którzy niedługo odejdą, trudno to sobie wyobrazić.

34

Obok terminalu lotniska Jorge Newbery, znajdującego się w obrębie administracyjnym Buenos Aires, przejechała nieduża zamknięta ciężarówka bez znaku firmowego i logo ani reklam i zatrzymała się w cieniu hangaru remontowego. Lotnisko obsługuje na ogół przewoźników organizujących loty krajowe, a także tych, którzy mają siedziby na terenie Paragwaju, Chile i Urugwaju. Żaden z robotników nie zwrócił uwagi na turkusowy, dyrektorski samolot odrzutowy ze znakiem Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych na kadłubie, który po wylądowaniu kołował do hangaru.

Z samolotu wysiadło na rozgrzany południowym słońcem beton trzech mężczyzn i kobieta. Zanim doszli do mieszczącego się w hangarze biura, skręcili za róg i skierowali się ku ciężarówce. Kiedy znaleźli się dziesięć metrów od niej, otworzyły się tylne drzwi i ze środka wyskoczyło czterech żołnierzy, tworząc kordon wokół pojazdu. Dowodzący sierżant pomógł wsiąść pani Smith - członkini Kongresu, admirałowi Sandeckerowi, Hiramowi Yaegerowi i trzeciemu mężczyźnie, po czym zamknął za nimi drzwi.

W środku ciężarówki znajdowało się wygodnie wyposażone biuro i punkt dowodzenia. Był to jeden z pięćdziesięciu pojazdów, skonstruowanych do zapewnienia ochrony i pomocy w ucieczce personelowi ambasad na wypadek ataku - tak jak zdarzyło się w listopadzie siedemdziesiątego dziewiątego roku w Iranie, kiedy porwano i przetrzymywano pracowników ambasady jako zakładników.

Pitt wyszedł naprzeciw i objął Loren Smith, która weszła pierwsza.

- Jesteś wspaniała! Nie spodziewałem się ciebie.

Na widok Pitta obejmującego Loren Smith Pat poczuła ukłucie zazdrości. Członkini Kongresu z Kolorado była znacznie bardziej atrakcyjna, niż przypuszczała.

- Admirał poprosił, bym przyjechała, a ponieważ nie musiałam akurat walczyć o głosy - jestem, choć jedynie na kilka godzin.

- Jaka szkoda... moglibyśmy poszaleć w Buenos Aires.

- Na pewno by mi się spodobało. - Dostrzegła Giordina. - Al! Miło, że i ty jesteś.

Cmoknął ją w policzek.

- Zawsze sprawia mi wielką przyjemność obserwowanie, jak pracuje mój rząd.

Do ciężarówki wszedł już Sandecker, za nim Yaeger i obcy mężczyzna. Admirał zdawkowo skinął głową Pittowi i Giordinowi i podszedł prosto do Pat O'Connell.

- Nawet pani nie wie, jak się cieszę, że znów mogę uścisnąć pani dłoń, doktor O'Connell.

- A pan nie wie, jak bardzo się cieszę, że tu jestem - odparła i pocałowała go w czoło, co wyraźnie zawstydziło admirała. - Jesteśmy z córką bardzo wdzięczne, że wysłał pan po nas Dirka i Ala.

- Nie musiałem ich wcale wysyłać - odparł chytrze. - Sami chcieli lecieć.

Yaeger przywitał się z przyjaciółmi i Pat, którą przedstawiono Loren Smith. Na koniec Sandecker przedstawił doktora Timothy'ego Frienda.

- Tim i ja jesteśmy starymi kumplami. W szkole średniej pomógł mi zdać algebrę. Ja studiowałem w Akademii Marynarki Wojennej, on poszedł do Szkoły Górniczej Stanu Kolorado, gdzie zrobił magisterium z geofizyki. Nie zaspokoivszy tym swych ambicji, obronił w Stanfordzie doktorat z astronomii, po czym został jednym z najbardziej szanowanych w kraju astronomów i dyrektorem rządowego Laboratorium Informatyki i Symulacji Strategicznych. Jest geniuszem w zakresie innowacyjnych technik wizualnych.

Łysą głowę Frienda otaczały kępki siwych włosów, które wyglądały jak ławice drobnych rybek opływających koralową kopułę. Przy rozmowie z obiema znacznie od siebie wyższymi kobietami musiał lekko podnosić głowę, by na nie spojrzeć. Jedynym obecnym, któremu mógł bez trudu patrzeć w oczy, był niewysoki Giordino. Wśród przyjaciół był cichy i spokojny, ale kiedy prowadził wykład dla studentów albo rozmawiał na tematy fachowe z szefami wielkich firm lub wysoko postawionymi funkcjonariuszami rządowymi ożywiał się i robił się ekspansywny. Od razu było widać, że jest w swoim żywiole.

- Możemy usiąść? - spytał Pitt, wskazując na wygodne kanapy i fotele, ustawione w kwadrat na środku ciężarówki. Kiedy usiedli, z kuchenki za szoferką wyszedł pracownik ambasady, by podać kawę i kanapki.

- Loren poprosiła, by ją zabrać - zaczął Sandecker bez wstępów - ponieważ jej asystenci, prowadzący śledztwo w sprawie Destiny Enterprises, uzyskali kilka ciekawych informacji.

- To, czego się dowiedziałam w ciągu minionych dwóch dni, jest dość niepokojące - zaczęła Loren. - Po cichu, zachowując zadziwiająco dyskrecję, rodzina Wolfów i Destiny Enterprises sprzedała swoje przedsiębiorstwo, udziały w firmach i międzynarodowych korporacjach, holdingi finansowe, obligacje, akcje i nieruchomości - łącznie z meblami. Wyczyścili wszystkie konta bankowe. Zlikwidowali duże i małe aktywa. Miliardy dolarów zostały zamienione na złoto, które zawieziono w nieznane miejsce...

- A teraz leży w ładowniach ich statków - dokończył Pitt.

- Tak jakby dwuosobowa rodzina nigdy nie istniała.

- Nie są głupi - powiedział z przekonaniem Pitt. - Od razu wydało mi się niemożliwe, żeby kierowali się irracjonalnymi przesłankami. A więc kometa nadlatuje czy nie?

- Z tego powodu poprosiłem o przyjazd Tima - wyjaśnił Sandecker.

Friend położył na stole kilka niewielkich plików kartek. Wziął pierwszy, przerzucił stronicę i zajrzał do notatek.

- Zanim odpowiem, cofnę się nieco w czasie, żebyście zrozumieli, do czego przygotowali się Wolfowie. Chyba najlepiej będzie, jeśli rozpocznę od uderzenia w Ziemię komety, mniej więcej w roku siedmiotysięcznym przed naszą erą. Na szczęście nie jest to wydarzenie regularne. W Ziemię codziennie coś uderza, zazwyczaj kawałki asteroid wielkości pięści, które spalają się przy wejściu w atmosferę. Mniej więcej co sto lat w Ziemię uderza obiekt o średnicy pięćdziesięciu metrów - taki jak ten, który spowodował powstanie krateru w Winslow w Arizonie, czy ten, który wybuchł tuż nad powierzchnią ziemi na Syberii w tysiąc dziewięćset ósmym roku, rozpryskując się na powierzchni dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych. Raz na milion lat w Ziemię uderza asteroida o średnicy półtora kilometra - z siłą równą jednoczesnemu wybuchowi całej składowanej na Ziemi broni jądrowej. Ponad dwa tysiące tak wielkich niebiańskich pocisków regularnie przecina naszą orbitę.

- Niezbyt miła wizja - powiedziała Pat.

- Nie ma się czym przejmować - odparł doktor Friend z uśmiechem. - Prawdopodobieństwo, by człowiek zginął od uderzenia asteroidy, wynosi jeden do dwudziestu tysięcy. Nie możemy jednak nie zauważyć, że w końcu szczęście przestało nam dopisywać.

Pitt nalał sobie kawy.

- Ma pan na myśli naprawdę duże łupnięcie?

- Tak - odparł Friend, energicznie kiwając głową. - Raz na sto milionów lat w Ziemię uderza mamucia asteroida albo kometa - obiekt taki jak ten, który sześćdziesiąt pięć milionów lat temu uderzył w Jukatan i spowodował wyginięcie dinozaurów. W Ziemię trafił wtedy obiekt o średnicy prawie dziesięciu kilometrów i pozostawił niemal dwustukilometrowy krater. - Friend na chwilę przerwał i zajrzał w papiery. - Był nieco mniejszy od tego, który spotkał się z Ziemią dziewięć tysięcy lat temu. Nasze symulacje komputerowe sugerują, że ten ostatni miał prawie piętnaście kilometrów średnicy i uderzył w okolicy Zatoki Hudsona. Reakcja łańcuchowa zniszczyła niemal dziewięćdziesiąt procent życia na planecie, czyli siedemdziesiąt dwa procent więcej niż asteroida, która pięćdziesiąt cztery miliony lat wcześniej wybiła dinozaury.

Loren wpatrywała się we Frienda.

- Jakie wydarzenia pociągnęła za sobą reakcja łańcuchowa?

- Jeśli weźmie się obiekt o średnicy piętnastu kilometrów, ważący kilka miliardów ton, i rzuci się nim przez próżnię z prędkością ponad dwustu tysięcy kilometrów na godzinę, otrzyma się zderzenie o niewyobrażalnej sile.

Podaję, że kiedy fala uderzeniowa rozchodziła się po każdym zakątku Ziemi, cała planeta rozdzwoniła się jak dzwon. Przy pomocy symulacji komputerowych i technik wizualnych, które były tak skomplikowane, że musiał bym je wyjaśniać przez dwie godziny, ustaliliśmy, że kometa uderzyła w południowo-wschodnią część Zatoki Hudsona i wyrwała w ziemi krater o średnicy trzystu siedemdziesięciu kilometrów, czyli dwa razy większy od Hawajów.

Kiedy rozpadająca się kometa zagłębiała się na ponad trzy kilometry w skorupę ziemską, woda

zatoki wyparowała. Astronaucci wykonali zdjęcia, ukazujące w miejscach, gdzie brzegi otaczają krater, idealnie zaokrąglone fragmenty linii brzegowej.

- Skąd wiadomo, że to była kometa, a nie asteroida albo meteor? - spytał Yaeger.

- Asteroida to niewielkie ciało niebieskie albo mała planeta, znajdująca się w Układzie Słonecznym i krążąca wokół Słońca. Niektóre są bogate w węgiel, inne zawierają związki bogate w żelazo, krzemiany albo inne minerały.

Meteory to w większości kawałki asteroid, powstałe w wyniku zderzenia z innymi asteroidami. Największy znaleziony meteor, czyli odłamek meteoru, ważył siedemdziesiąt ton. Komety to całkiem inne twory. Często określa się je mianem brudnych kul śnieżnych, ponieważ składają się głównie z lodu, i cząsteczek pyłu. Zwykle poruszają się po bardzo długich, owalnych orbitach - przecinających skraj Układu Słonecznego i wychodzących daleko poza niego. Z powodu współdziałania grawitacji Słońca i innych planet niezwykle rzadko wchodzą na orbitę okołosłoneczną. Kiedy zbliżają się do Słońca, wierzchnia warstwa lodu paruje i powstaje ogon. Uważa się, że składają się z materii, pozostałej przy tworzeniu się planet. W wyniku analizy składu próbek pobranych w Zatoce Hudsona i wokół niej geofizycy odkryli cząsteczki komety, która zderzyła się z Ziemią dziewięć tysięcy lat temu. Badania nie wykazały zawartości minerałów i metali, zwykle występujących w asteroidach.

- Czyli mieliśmy zderzenie - podsumował Sandecker. - Co nastąpiło potem?

- W górę wyrzucony został olbrzymi słup rozpalonych do czerwoności skał, pary wodnej, pyłu i innych śmieci. Po jakimś czasie wszystko spadło z powrotem w ognistej ulewie, powodując na całej planecie pożary lasów.

Do atmosfery dostały się wielkie ilości siarki, rozgrzanego azotu i fluorków.

Zniszczona została warstwa ozonowa, niebo przestało być widoczne, a po lądach i morzach szalały huraganowe wichry. Według naszych symulacji chmura pyłu utrzymywała się przynajmniej przez czternaście miesięcy. Już tylko to wystarczyłoby do zniszczenia większości istot żywych i przerwania łańcucha pokarmowego.

- To zbyt straszne do wyobrażenia - wyszeptała Loren.

Friend wykrzywił zaciśnięte usta w słabym uśmiechu.

- Niestety, to był dopiero pierwszy akt. Ponieważ Zatoka Hudsona otwierała się na Atlantyk, powstały fale o wysokości jedenastu, może nawet trzynastu kilometrów, które wlały się na ląd. Zalana została Floryda oraz większość istniejących na świecie wysp. W dużych częściach Europy i Afryki fale doszły kilkaset kilometrów w głąb lądu. Ponieważ większość starożytnych mieszkańców Australii mieszkała na wybrzeżach, w ciągu kilku minut zginęło ich ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Południowo-wschodnia Azja znalazła się pod wodą. Fale zносиły florę i faunę morską daleko w głąb lądów, gdzie ją porzuciły i zaczęły się wycofywać. Zaburzona została równowaga chemiczna oceanów. Czego w oceanach nie zniszczył wstrząs, zabiły muł, błoto i śmieci. Wstrząs wyzwolił trzęsienia ziemi o sile znacznie wykraczającej poza obecnie obowiązującą skalę Richtera, które na zawsze zmieniły kształty gór, równin i pustyń. Wulkany - zarówno czynne, jak i uspięne wybuchły, lava zalała znajdujące się nad wodą fragmenty lądów warstwą o grubości do dwóch kilometrów. Gdyby przed kataklizmem wysłano na Marsa astronautę, a wracałby dwa lata później, nie poznałby Ziemi i nie spotkał nikogo, kogo znał. Mógłby się okazać ostatnim człowiekiem na Ziemi.

Pitt popatrzył na astronoma.

- Nie rysuje pan zbyt miłego obrazu.

- To, co działo się potem, było nie mniej straszne. Kiedy powódź się cofnęła, wszędzie zostały głązy wszelkich kształtów i rozmiarów. Leżą tak do dziś, stanowiąc zagadkę dla geologów nie umiejących wyjaśnić ich pochodzenia. Daleko w głąb lądów zanesione zostały ogromne ilości zmiażdżonych drzew, przemieszanych z ciałami zwierząt lądowych i morskich. Do dziś można znaleźć w zamrożonych regionach Ziemi tego typu złoża, które dowodzą, że kataklizm rzeczywiście miał miejsce. Wielkie połacie wody zostały zamknięte i utworzyły jeziora. Przerwany został przesmyk, oddzielający Atlantyk od dolin i rzek na północ od Afryki, przez co powstało Morze Śródziemne. Stopiły się stare lodowce, powstały nowe. W miejscach, gdzie przedtem dęły mroźne wiatry i panowały niskie temperatury, panował teraz łagodny klimat, umożliwiający powstanie lasów tropikalnych. Regiony Gobi, Sahary i Mojave, które przedtem były tropikalnymi puszciami, wyschły i zmieniły się w pustynie. Płyty kontynentalne, dotychczas unoszące się nad wodą, zatonały, bieguny magnetyczne zmieniły położenie, resztki istniejących cywilizacji zniknęły sto pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią. Mogło minąć dwadzieścia lat, zanim kula ziemską ponownie się ustabilizowała. Nieliczni ludzie, którzy cudem przeżyli, zostali zmuszeni do nędznej egzystencji i cud, że komukolwiek udało się przeżyć i przekazać nam życie.

Pat odstawiła filiżankę.

- Prymitywni mieszkańcy Ziemi zostali tak zdziesiątkowani i rozproszeni, że przez tysiące lat nie prowadzili dokumentacji swego życia. Z wyjątkiem napisów Amenów, z których większość zaginęła albo spłonęła, wspomnienia kataklizmu były przekazywane ustnie. Opowieści pisane o kataklizmie zaczęły się pojawiać dopiero po tym, jak Egipcjanie, Sumerowie i Hindusi wynaleźli na nowo pismo.

- Kto wie, ile miast i pałaców, pełnych skarbów archeologicznych, leży zniszczonych w głębinach morskich albo pod setkami metrów mułu i skały? - spytał Pitt. - Poza napisami Amenów nic nie mówi nam o wspaniałości dalekiej przeszłości, zanim cywilizacje zaczęły się odbudowywać.

Friend milczał, pozwalając, by obecni uzmysłowili sobie rozmiar koszmaru. Przenosił wzrok z jednej osoby na drugą i z zaciekawieniem obserwował pojawiające się w ich oczach przerażenie. Jedyne Pitt wydawał się spokojny. Wyglądał, jakby rozmyślał o czymś całkiem innym, oddalonym.

- I na tym kataklizm się skończył - rzekł Sandecker.

Friend powoli pokręcił głową.

- Nie doszedłem jeszcze do najgorszego. - Przestał się uśmiechać. - Dopiero w ostatnich latach naukowcy odkryli, jakie wielkie kataklizmy przechodziła Ziemia w przeszłości - zarówno z udziałem obiektów z kosmosu, jak i bez nich. Wiemy teraz, że uderzenie dużej komety albo asteroidy może spowodować przesunięcie skorupy ziemskiej. Charles Hapgood wysunął teorię, że ponieważ skorupa, mająca od trzydziestu do sześćdziesięciu kilometrów grubości, dosłownie pływa na złożonym z płynnej materii jądrze, może się wokół niego obracać, powodując wielkie zmiany klimatyczne oraz przesunięcia kontynentów. Hapgood uważa, że zdarzało się to już w historii. Przemieszczenie skorupy ziemskiej może mieć katastrofalne skutki. Początkowo naukowcy śmiali się z jego teorii, kiedy jednak zajął się nią Albert Einstein, uznał że należy ją zaakceptować.

- To tak, jakby pokryć piłkę nożną teflonem - powiedział Sandecker.

- Zasada jest taka sama - przyznał Friend. - Nasze symulacje komputerowe sugerują, że uderzenie wyzwoliło energię wystarczającą do przesunięcia skorupy ziemskiej. Efektem było przysunięcie części kontynentów, wysp i mas lądowych bliżej równika, a odsunięcie innych. Ruch ten sprawił, że

dotychczasowe okolice biegunowe przesunęły się w cieplejsze regiony, uwalniając biliony ton wody. Poziom mórz podniósł się o prawie sto trzydzieści metrów. Dla przykładu powiem, że przed potopem można było przejść suchą nogą z miejsca, gdzie jest Londyn, do Francji. W efekcie cały świat uległ zmianie. Biegun północny, który znajdował się pośrodku dzisiejszej Kanady, przemieścił się daleko na północ, w miejsce znane dziś jako Morze Arktyczne. W bardzo krótkim czasie Syberia została popchnięta na północ. Dowodami na to są znajdowane tam pozostałości kwitnących drzew oraz zamrożone w ułamku sekundy mamuty, które mają w żołądku nie przetrawione rośliny, występujące dziś w odległości tysięcy kilometrów. Ponieważ Ameryka Północna i większa część Europy przesunęły się na południe, nagle zakończyła się epoka lodowcowa. Antarktyda także przesunęła się na południe, niemal trzy tysiące kilometrów od miejsca, zajmowanego na morzach południowych blisko krańców Ameryki Południowej i Afryki.

- Zmieniona została orbita Ziemi? - spytał Yaeger.

- Nie, pozostała na obecnej trasie okołosłonecznej. Niezmieniona została także oś Ziemi. Równik pozostał tam, gdzie był od początku. Cztery pory roku nadchodziły i mijały jak zwykle. Zmieniła się jedynie powierzchnia globu.

- To sporo wyjaśnia - powiedział Pitt. - Na przykład dlaczego Amenowie narysowali mapę Antarktydy bez lodu.

- Oraz swoje miasto, odkryte pod lodem przez Niemców - dodała Pat. - Przed przesunięciem skorupy tamtejszy klimat nadawał się do życia.

- Co z nachyleniem osi obrotu Ziemi? - spytał Giordino. - Coś tu się zmieniło?

Friend pokręcił głową.

- Pochylenie Ziemi, wynoszące dwadzieścia trzy i pół stopnia, pozostało nie zmienione. Jak już mówiłem - równik pozostał tam, gdzie był. Poruszyła się jedynie otaczająca jądro skorupa.

- Jeśli możemy na chwilę wrócić do komety - wtrącił Sandecker - To czas, by odpowiedział pan na pytanie Dirka. Czy Amenowie i rodzina Wolfów prawidłowo przewidują uderzenie w Ziemię bliźniaka tej, która spadła na nasz glob dziewięć tysięcy lat temu?

- Mogę poprosić o filiżankę kawy? - spytał Friend.

- Oczywiście - odparła Loren, nalewając.

Friend wypił kilka łyków i odstawił filiżankę.

- Zanim odpowiem na to pytanie, admirale, chciałbym krótko opisać nowy system informacji o nadlatujących asteroidach i kometach, który został uruchomiony w zeszłym roku. W różnych częściach świata umieszczono teleskopy i inne urządzenia specjalistyczne, których zadaniem jest wychwytywanie asteroid i komet o orbitach znajdujących się w pobliżu Ziemi. Pracujący tam astronomowie odkryli ponad czterdzieści asteroid, które prędzej czy później niebezpiecznie zbliżą się do Ziemi. Szczegółowe obliczenia wykazały jednak, że w najbliższych latach wszystkie miną nas z wystarczającym zapasem odległości.

- Czy to znaczy, że odkryto nadlatującą kometa i powstrzymano się od wydania ostrzeżenia? - spytała zbulwersowana Loren.

- Nie. Choć astronomowie zgodzili się, by przez czterdzieści osiem godzin od odkrycia takiego faktu nie informować o nim - aż do uzyskania całkowitej pewności, że kolizja jest nieunikniona.

- Czyli chce pan powiedzieć... - zaczął Yaeger.

- Że nie ma stanu zagrożenia.

Pitt popatrzył na niego uważnie.

- Jeszcze raz, proszę.

- Wydarzenie z roku siedmiotysiecznego przed naszą erą - wyjaśnił Friend - miało prawdopodobieństwo jak jeden do miliona. Komety - ta, która uderzyła w Ziemię, oraz ta, która nadleciała kilka dni później i minęła nas - nie były bliźniacze. To osobne obiekty na odmiennych orbitach i tylko przypadkiem przecięły w tym samym czasie orbitę Ziemi. Niezwykły przypadek - nic więcej.

- Kiedy wróci druga kometa? - spytał Pitt.

Friend zastanawiał się przez chwilę.

- Wedle naszych szacunków przeleci obok Ziemi w odległości nie mniejszej niż milion trzysta tysięcy kilometrów - za jakieś dziesięć tysięcy lat.

Zapadła cisza. W umysłach siedzących wokół doktora Frienda osób zapanowały dezorientacja i zdumienie. Pitt zaklął cicho pod nosem. Wpatrywał się w doktora, jakby chciał dostrzec w jego oczach niepewność.

- Kometa... - zaczął.

- Nazywa się Baldwin, od nazwiska astronoma amatora, który ją odkrył - wyjaśnił Friend.

- Chce pan powiedzieć, że kometa Murphy'ego i druga kometa z zapisków Amenów to jeden i ten sam obiekt?

Friend energicznie pokiwał głową.

- Nie ma co do tego wątpliwości. Obliczenia potwierdzają, że jej orbita przecina się z orbitą tej, która spowodowała kataklizm sprzed dziewięciu tysięcy lat.

Pitt popatrzył na Sandeckera, potem na Pat, potem znów na Frienda.

- Nie może być pomyłki?

Friend wzruszył ramionami.

- Margines błędu wynosi może dwieście lat, nie więcej. Drugi przypadek wejścia w atmosferę Ziemi dużego obiektu - mówię o okresie historii pisanej - to Syberia i meteor, który spłaszczył dwa tysiące kilometrów kwadratowych. Od niedawna astronomowie zaczynają się skłaniać ku pogładowi, że nie było to jednak potężne uderzenie, ale „prawie minięcie”.

- Wolfowie z pewnością znali te dane - zauważyła Loren, mocno zdezorientowana. - Likwidacja wszystkich aktywów rodziny po wydaniu miliardów dolarów na budowę floty statków mających umożliwić przeżycie katastrofy, która nie nastąpi, to działanie kompletnie pozbawione sensu.

- Wszyscy się z panią zgadzamy - potwierdził Sandecker. - Może ta rodzina jest tylko bandą pomyleńców?

- Rodzina i dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy pracujących dla nich ludzi, czekających na rozpoczęcie podróży donikąd - powiedział Giordino.

- To nie wygląda na wymyśloną przez szaleńców sektę - powiedziała Loren.

- To prawda - wtrącił Pitt. - Kiedy byliśmy z Alem na superstatku, zauważyliśmy fanatyzm przebywających tam ludzi, wynikający z perspektywy przeżycia potopu. Byli gotowi do najwyższych poświęceń.

- Doszłam do tych samych wniosków - dodała Pat. - Rozmowy na temat nadchodzącego kataklizmu, które udało mi się podsłuchać, były jednoznaczne. Nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, że katastrofa obejmie cały świat, a oni otrzymają szansę zbudowania nowej cywilizacji pozbawionej dotychczasowych wad.

Giordino popatrzył na Pat.

- Jak w przypadku Noego i jego Arki.

- Tyle że w znacznie większej skali - poprawił Pitt.

Sandecker powoli pokręcił głową.

- Muszę przyznać, że dla mnie cała ta historia jest wielką zagadką.

- Rodzina Wolfów musi mieć uzasadniony powód - powiedział Pitt i przerwał, kiedy wszyscy skupili na nim wzrok. - Nie może być innej odpowiedzi. Jeśli są przekonani, że cywilizowany świat ma zniknąć z powierzchni Ziemi pogrzebany po wsze czasy, muszą wiedzieć coś, czego nie wie nikt poza nimi.

- Mogę zapewnić, admirale, że kataklizm nie nadejdzie od strony Układu Słonecznego - powiedział Friend. - Przynajmniej nie w ciągu kilku najbliższych dni. Nasza sieć obserwacyjna nie stwierdziła zbliżania się do orbity Ziemi żadnych dużych asteroid ani komet. Na pewno nie przez najbliższe sto lat.

- Co innego mogłoby spowodować tak wielką katastrofę? Czy istnieje jakiś sposób na przewidzenie przesunięcia się skorupy Ziemi albo biegunów? - spytał Yaeger.

- Bez możliwości uprzedniego przebadania takiego zjawiska - raczej nie.

Rejestrowano trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów i tsunami, ale od czasu swoich narodzin nauka nie miała okazji zbadać przesunięć skorupy lub biegunów.

Nie mamy pewnych danych na temat tych zjawisk, niemożliwe jest więc wyciąganie jakichkolwiek wniosków, pozwalających na prognozy.

- Czy na Ziemi mogą powstać warunki, w których wyniku skorupa i bieguny przesuną się? - spytał Pitt.

- Tak - powoli odparł Friend. - Pewne naturalne siły mogłyby zaburzyć równowagę Ziemi.

- Na przykład?

- Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem byłoby przesunięcie się mas lodowych na biegunach.

- To możliwe?

- Ziemia jest jak wielki, wirujący wokół osi bąk, który w ciągu roku okrąża Słońce. Tak jak dziecinna zabawka także nie jest idealnie wyważona, ponieważ lądy i bieguny nie leżą tak, by zapewnić jej idealną stabilność. Tak więc wirując, Ziemia nieco się chwieje. Gdyby któryś z biegunów zaczął zwiększać masę, nasiliłoby to „bicie na boki” - jak w niewyważonym kole samochodowym. Teoretycznie rzecz biorąc, mogłoby to spowodować przesunięcie się skorupy ziemskiej albo biegunów. Znam szanowanych naukowców, którzy twierdzą, że coś takiego przydarza się regularnie.

- Jak często?

- Mniej więcej co sześć, osiem tysięcy lat.

- Kiedy miało miejsce ostatnie przesunięcie?

- Na podstawie analizy fragmentów skorupy ziemskiej, wydobytych z głębokich odwiertów pod dnami oceanów, oceanografowie datowali ostatnie przesunięcie skorupy na jakieś dziewięć tysięcy lat temu - mniej więcej w czasie uderzenia w Ziemię komety.

- Można więc powiedzieć, że czas nadszedł - powiedział Pitt.

- Właściwie dawno minął. - Friend zrobił bezradny gest dłońmi. - Nie ma jednak co do tego żadnej pewności. Wiemy jedynie, że kiedy dojdzie do przesunięcia skorupy, odbędzie się to bardzo gwałtownie. Nie będzie ostrzeżenia.

Loren z niepokojem spytała:

- A jaka będzie przyczyna?

- Zbierający się na Antarktydzie lód nie rozmieszcza się równomiernie.

Jedna połowa kontynentu zatrzymuje go więcej niż druga. Co roku sam Lodowiec Szelfowy Rossa rośnie o ponad pięćdziesiąt miliardów ton, co zwiększa chybotanie się Ziemi. Z biegiem czasu, wraz z przenoszeniem się ciężaru, a przewidział to Einstein - bieguny przesuną się, powodując, że pomkną z nich w kierunku równika biliony ton wody i masy lodu o wysokości setek metrów.

Biegun północny przesunie się na południe, a południowy na północ. Powtórzy się to, co zostało wywołane przez uderzenie komety. Główna różnica będzie polegała na tym, że śmierć poniesie nie milion ludzi - bo tyle zamieszkiwało Ziemię dziewięć tysięcy lat temu - a ponad siedem miliardów. Całkowicie zalane zostaną Nowy Jork, Tokio, Sydney, Los Angeles, miasta położone w głębi lądu zostaną zrównane z ziemią. W ciągu kilku dni w miejscach, gdzie przechodziły miliony ludzi, nie zostanie ani kawałek betonu.

- A co by się stało, gdyby Lodowiec Szelfowy Rossa nagle oddzielił się od Antarktydy i zaczął dryfować? - spytał Pitt.

Mina Frienda jeszcze bardziej spoważniała.

- Rozpatrywaliśmy taką ewentualność. Symulacja wykazała, że drastyczny ruch lodowca pociągnąłby za sobą destabilizację, wystarczającą do spowodowania nagłego przesunięcia skorupy Ziemi.

- Co oznacza drastyczny ruch?

- Gdyby lodowiec się oderwał i odpłynął sto kilometrów od kontynentu, zmiana rozkładu masy zwiększyłaby drgania Ziemi i bieguny przesunęłyby się.

- W ciągu jakiego czasu od oderwania się od kontynentu lodowiec oddryfuje o sto kilometrów?

Friend zastanawiał się przez chwilę.

- Biorąc pod uwagę istniejące w tej części Atlantyku prądy, powiedziałbym, że nie więcej niż trzydzieści sześć godzin.

- Czy można zatrzymać dryfowanie lodowca? - spytała Loren.

- Nie widzę takiej możliwości. - Friend pokręcił głową. - Nie, nawet tysiąc bomb atomowych nie stopiłoby wystarczającej ilości lodu, by cokolwiek się zmieniło. Ale po co o tym rozmawiamy? To przecież jedynie czysta teoria. Co miałyby sprawić oderwanie się Lodowca Szelfowego Rossa od Antarktydy?

Pitt popatrzył na Sandeckera, który odwzajemnił spojrzenie. Obaj mężczyźni dostrzegali ryzyko tego samego koszmaru i obaj czytali sobie w myślach. Pitt przeniósł wzrok na Loren.

- Jak daleko od Lodowca Szelfowego Rossa leży ten zakład, w którym odzyskuje się złoto z wody morskiej? - spytał Pitt.

Oczy Loren rozszerzyły się.

- Chyba nie sądzisz, że...

- Jak daleko?

Wzięła głęboki oddech i odparła:

- Mieści się dokładnie na jego skraju, Pitt zwrócił się do Frienda.

- Doktorze, jak wielki jest Lodowiec Szelfowy Rossa?

- Jest olbrzymi - odparł doktor, rozkładając ręce dla podkreślenia swych słów. - Nie umiem przedstawić dokładnych rozmiarów. Wiem tylko tyle, że to największa na świecie masa pływającego lodu.

- Daj mi kilka minut - wtrącił Yaeger, otworzył laptop i zaczął stukać w klawisze. Siedzieli w

milczeniu, Hiram połączył się z bazą danych Agencji. W ciągu kilku minut miał potrzebne informacje. - Jego powierzchnia wynosi jakieś pięćset pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli mniej więcej tyle co Teksas. Obwód - nie licząc granicy z morzem - wynosi niemal dwa tysiące trzysta kilometrów. Grubość lodu od trzystu trzydziestu do siedmiuset metrów. Naukowcy porównują go do gigantycznej tratwy. - Yaeger popatrzył na zasłuchane twarze. - Jest oczywiście jeszcze mnóstwo informacji, ale te są najważniejsze.

- Jak to możliwe - spytała Pat - by człowiek sprawił, żeby dwa tysiące trzysta kilometrów lodu pękło?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparł Pitt - ale założę się o własny dom, że rodzina Wolfów pracowała przez trzy pokolenia, by tego dokonać.

- Boże drogi! - jęknął Friend. - To niewyobrażalne!

- Wszystko zaczyna się układać w całość - powiedział Giordino.

- Choć nie wiadomo jak, zamierzają oderwać lodowiec szelfowy od kontynentu i przesunąć go na morze, zaburzając rotację Ziemi. Kiedy zostanie przekroczony punkt krytyczny, nastąpi przesunięcie skorupy ziemskiej i biegunów. Megastatki Wolfów przetrzymają gigantyczne fale pływowe i zostaną wypchnięte na otwarte morze, gdzie przez kilka lat będą krążyć po zmienionej Ziemi, aż sytuacja zacznie się uspokajać. Kiedy uznają, że kontynenty nadają się do zamieszkania, zejną na ląd i stworzą nowy porządek świata - Czwarte Imperium. Po trupach siedmiu miliardów ludzi oraz całkowitym wyniszczeniu fauny lądowej i morskiej.

Twarze osób w ciężarówce wyrażały strach i rozpacz. Nikt nie był w stanie objąć rozumem czegoś tak przerażającego. Żaden normalny umysł nie potrafił pojąć nieludzkiego planu.

- Boże, dopomóż nam - cicho szepnęła Loren.

Pitt popatrzył na Sandeckera.

- Musi pan poinformować prezydenta.

- Informowałem na bieżąco o rozwoju śledztwa jego radę naukową i szefa sztabu, Joego Flyna, ale jak na razie nie potraktowano zagrożenia poważnie.

- Lepiej będzie, jeśli jak najszybciej zmienią zdanie - powiedział Giordino.

- Zastanówmy się, co możemy zrobić, i ustalmy plan działania - zaproponował Pitt. - Mamy jeszcze tylko trzy dni, a to niewiele. Zwłaszcza jeśli chcemy powstrzymać Wolfów od apokalipsy.

36

Pilot przygotował odrzutowiec dyrektorski Destiny Enterprises do lądowania i gładko usiadł na długim lodowym pasie. Maszyna - jedyna, która pozostała ze sprzedanej floty - była zbudowanym na specjalne zamówienie japońskim dwusilnikowym Dragonfire bez jakichkolwiek oznakowań na kadłubie, skrzydłach i ogonie. Pomalowany na biało samolot, kiedy zbliżał się do czegoś, co przypominało wysoki klif u stóp potężnej, pokrytej śniegiem góry, był niemal niewidoczny.

Dwieście metrów przed uderzeniem w górę lodowa ściana w cudowny sposób rozdzieliła się, ukazując wielką grotę. Pilot powoli zamknął przepustnice i zatrzymał odrzutowiec na środku hangaru,

wykutego niemal sześćdziesiąt lat temu przez przymusowych robotników. Silniki krótko zawyły, turbiny zwolniły obroty i powoli zamarły. Zasunięto ciężkie, pokryte lodem wrota, poruszające się na masywnych, gumowych kołach.

W hangarze stały jeszcze dwa samoloty - wojskowe wersje A340-300 firmy Airbus Industries. Jedna maszyna mogła przewozić dwustu dziewięćdziesięciu pięciu pasażerów i dziesięć ton frachtu, druga służyła jako transportowiec. Personel naziemny sprawdzał silniki i tankował zbiorniki - szykowano się do ewakuacji na czekające w chilijskim fiordzie superstatki.

Wielki hangar przypominał cichy ul. Robotnicy w różnokolorowych kombinezonach poruszali się bezszelestnie, cicho rozmawiając. Pakowali ponad sto skrzyń ze skarbami Amenów, zrabowanymi podczas drugiej wojny światowej dziełami sztuki oraz hitlerowskimi relikwiami, które miały trafić na „Ulricha Wolfa”.

Kiedy Karl Wolf wysiadał wraz z Elsie z samolotu, przed nimi wyprężyło się na baczność pięćdziesięciu mężczyzn w standardowych czarnych kombinezonach ochrony Destiny Enterprises. Karl nosił narciarskie spodnie i obszerną zamszową kurtkę lamowaną alpaka, Elsie jednoczęściowy kombinezon narciarski oraz futro do kolan.

Kierownik transportu czekał przy schodach.

- Kuzynie Karlu, kuzynko Elsie, czynicie nam zaszczyt swoim przyjazdem.

- Kuzynie Horście - powitał go Karl - uznałem, że moim obowiązkiem jest przyjrzenie się systemowi zagłady w ostatniej fazie przygotowań.

- Zagłady, która wkrótce nastąpi - powiedziała z dumą Elsie.

- Jak przebiega ewakuacja? - spytał Karl.

- Ładunek i pasażerowie znajdują się na pokładzie „Ulricha Wolfa” dziesięć godzin przed kataklizmem - zapewnił Horst.

Następnie podeszli przywitać się brat Hugo i siostra Blondi.

- Witamy z powrotem w Walhalli - pozdrowiła Karla Blondi.

- Zbyt długo zatrzymały mnie sprawy służbowe - odparł Karl.

Hugo, szef ochrony, wskazał na jeden z elektrycznych pojazdów. Elektryczny napęd miał zapobiec gromadzeniu się w jaskini tlenku węgla.

- Zabierzemy cię do centrum sterowania, gdzie sam zobaczysz, jak doprowadzamy do końca świata.

- Najpierw przeprowadzę inspekcję straży - odparł Karl. Ruszył wzdłuż szeregu ubranych na czarno ochroniarzy, wyprostowanych jak struny, z przypiętymi do pasków kaburami z pistoletami Para-Ordnance P-12 i buksmasterami M17 w rękach. Od czasu do czasu zatrzymywał się i pytał o narodowość i przebieg służby. Kiedy doszedł do końca szeregu, skinął z satysfakcją głową. - Nieustraszona grupa. Dobra robota, Hugo. Sprawiają wrażenie, jakby byli w stanie poradzić sobie z każdym intruzem.

- Otrzymali rozkaz natychmiast strzelać do każdej obcej osoby, która wtargnie na nasz teren.

- Mam nadzieję, że okażą się skuteczniejsi od ludzi Ericha ze stoczni.

- U nas nie będzie wpadki - z przekonaniem powiedział Hugo. - Obiecuję to, bracie.

- Były jakieś próby wtargnięcia?

- Żadnych - odparła Blondi. - Centrum kontroli nie wykryło żadnego ruchu w promieniu dwustu pięćdziesięciu kilometrów od bazy.

Elsie popatrzyła na siostrę.

- Nie jest to zbyt wielka odległość.

- O tyle oddalona jest Little America VI, amerykańska stacja antarktyczna. Odkąd ją zbudowali, nie interesują się naszą działalnością. Nadzór powietrzny nie odnotował ani jednej próby wtargnięcia na teren naszego zakładu.

- Amerykanie siedzą cicho - dodał Hugo. - Nie będą sprawiać problemów.

- Nie byłbym taki pewien - odparł Karl. - Uważnie przyglądajcie się ich stacji. Obawiam się, że ich wywiad może być bliski odkrycia naszej tajemnicy.

- Wszelkie próby powstrzymania nas byłyby i tak spóźnione - powiedział z przekonaniem Hugo. - Narodzinom Czwartego Imperium nie da się zapobiec.

- Modłę się, by okazało się to prawdą - odparł Karl i wsiadł jako pierwszy do elektrycznego pojazdu. Choć publicznie zachowywał się wobec kobiet z galanterią, naprawdę pochodził ze starej niemieckiej szkoły, w której mężczyźni nie ustępują kobietom.

Kierowca elektrycznego samochodu wyjechał z hangaru i skierował się do tunelu. Po czterystu metrach wjechali do następnej wielkiej lodowej jaskini, mieszczącej mały port z pływającymi pirsami, unoszącymi się i opadającymi wraz z pływami Morza Rossa. Biegnący od portu do wyjścia na morze wysoki kanał zakręcał łagodnie, pozwalając wpływać i wypływać nawet sporym jednostkom, przy czym z zewnątrz zasłonięty był przez lodowe klify. Jaskinię oświetlały wysoko umieszczone lampy z dużą ilością halogenowych żarówek. Port wyglądał na wyludniony, dźwigi, ciężarówki i maszyny stały nieruchomo. Na nabrzeżach i pokładach statków nie było żywej duszy.

- Szkoda, że stracimy okręty podwodne, które skutecznie służyły nam tyle lat - powiedziała Elsie z tęsknotą w głosie.

- Może nie ulegną zniszczeniu - odparła z nadzieją Blondi.

Hugo uśmiechnął się.

- Kiedy nadejdzie czas, osobiście przyjadę do Walhalli i sprawdzę, co się z nimi stało. Za pracę na rzecz Czwartego Imperium zasługują na pomnik.

Stary tunel prowadził piętnaście kilometrów pod lodem, łącząc ukryty port, hangar samolotowy i zakład odzyskiwania pierwiastków. Został wykopany przez niewolników ze Związku Radzieckiego, których ciała spoczywały w masowej mogile w lodzie szelfowym. W osiemdziesiątym piątym roku zaczęto powiększać tunel i stale poprawiano go z powodu przesuwania się mas lodu.

Początkowo odzyskiwanie cennych pierwiastków z wody morskiej okazało się pełnym fiaskiem. Jednak wraz z pojawieniem się nanotechnologii, której pionierami byli Eric Drexler z Kalifornii i jego żona Chris Peterson, Destiny Enterprises przeznaczyła wiele pieniędzy i wykorzystwała swe szerokie możliwości do realizacji programów pozwalających zwiększyć wydajność. Techniki przestawiania atomów oraz metody pozwalające na budowę mikroskopijnych maszyn całkowicie zrewolucjonizowały procesy produkcyjne. Maszyny molekularne mogłyby zbudować drzewo z niczego. Wolfowie woleli jednak wykorzystać je do odzyskiwania złota z wody morskiej. Powstała odpowiednia technologia, z biegiem czasu tak udoskonalona, że mogli wydzierać Morzu Rossa dziennie ponad trzydzieści kilo tego cennego kruszcu - do tego spore ilości platyny, srebra i innych cennych pierwiastków. W odróżnieniu od złota wydobywanego z ziemi, wymagającego drogiej obróbki, metal odzyskiwany z wody morskiej otrzymywano od razu w niemal czystej postaci.

Centrum inżynieryjne „kopalni” Destiny Enterprises mieściło się pod wielką kopułą, której wewnątrz przypominało wyglądem ośrodek kontroli lotów NASA. Przy konsolach siedziało

trzydziestu naukowców i inżynierów, kontrolujących proces odzyskiwania pierwiastków. Dziś jednak praca została wstrzymana. Koncentrowano się na przygotowaniach do zbliżającego się oderwania szelfu od kontynentu.

Karl Wolf wszedł do wielkiego pomieszczenia i podszedł do zwisającego z sufitu dużego elektronicznego ekranu, który wyświetlał mapę Lodowca Szelfowego Rossa. Na jego obrzeżu, tam gdzie zaczynał się ląd, dość gęsto umieszczone były lampki. Na przestrzeni mniej więcej pięciuset kilometrów świeciły się na zielono. Dalej, po brzeg Morza Rossa, były czerwone.

- Te trzeba jeszcze zaprogramować? - spytał Karl głównego inżyniera Jurgena Holtza, który właśnie podszedł i przywitał się.

- Zgadza się - Holtz podniósł rękę i wskazał na ekran. - Jesteśmy właśnie w trakcie ustawiania molekularnych urządzeń wyzwalających. Do końca zostało nam jeszcze jakieś sześćset pięćdziesiąt kilometrów.

Karl patrzył na zmieniające się na wskaźnikach wokół mapy czerwone litery i cyfry.

- Kiedy nastąpi moment krytyczny?

- Odrywanie lodu od kontynentu zakończy się za sześć godzin... - Holtz przerwał, by spojrzeć na cyfry informujące o czasie pozostałym do chwili zagłady - dwadzieścia dwie minuty i czterdzieści sekund.

- Czy coś może spowodować opóźnienie?

- Nie zauważyliśmy niczego podejrzanego. Cały system został sprawdzony dziesiątki razy. Jak na razie nie pojawił się najdrobniejszy sygnał awaryjny.

- Zachwycające dzieło inżynierii - cicho powiedział Karl, obserwując otaczające lodowiec lampki. - Szkoda, że świat nigdy się o nim nie dowie.

- Wydrążenie przez dwa miesiące tunelu w lodzie o średnicy trzech metrów i długości dwóch tysięcy trzystu kilometrów to faktycznie wielkie osiągnięcie - przyznał Holtz.

- Pochwała należy się panu i pańskim ludziom za projekt i budowę maszyny drążącej - powiedziała Elsie, wskazując na wielkie zdjęcie na ścianie.

Ukazywało ono trzydziestometrowej długości urządzenie wiertnicze, zaopatrzone we wbijak oraz taśmociąg do transportu urobku. Na jego przodzie umieszczono niezwykle wyglądający aparat. Jego zadaniem było rozrywanie wybranych, zawartych w lodzie związków chemicznych oraz rozbijanie urobku na drobny śnieg, który można było bez trudu transportować taśmociągiem prosto do morza. Kolejny przyrząd zbijał odpowiednią ilość śniegu w niemal idealnie krystaliczny lód, którym dla zabezpieczenia wykładane były ściany tunelu. Przy pełnej mocy maszyna mogła w ciągu doby przebić niemal sto kilometrów tunelu. Wykonawszy swą pracę, stała teraz pod rosnącą warstwą lodu na zewnątrz zakładu.

- Może kiedy lód się roztopi, będziemy mieli okazję użyć jej do przebicia się przez skały - powiedział z zamyśleniem Karl.

- Uważasz, że lód się roztopi? - spytała Elsie.

- Jeśli nasze obliczenia są prawidłowe, dwa miesiące po kataklizmie ta część Antarktydy przemieści się o niemal trzy tysiące kilometrów na północ.

- Nigdy do końca nie zrozumiałam, jak lodowiec oderwie się od kontynentu i znajdzie się na morzu - przyznała Elsie.

Karl uśmiechnął się.

- Zapomniałem, że przez minione trzy lata byłeś naszym głównym szpiegiem w Waszyngtonie i nie

znasz szczegółów projektu Walhalla.

Holtz uniósł rękę i wskazał na ekran.

- Najprościej rzecz ujmując, panno Wolf, nasza maszyna nanokomputerowa skonstruowała ogromną liczbę urządzeń do replikacji molekularnej, tak zwanych asemblerów, które z kolei zbudowały wiele milionów maleńkich maszyn rozbijających lód.

- Innymi słowy, zreplikowane w wielu egzemplarzach asemblery są w stanie - za pomocą technik inżynierii molekularnej - zbudować maszyny do produkcji niemal wszystkiego?

- Na tym polega piękno nanotechnologii - odpowiedział Holtz. - Asembler replikujący jest w stanie powielić się w kilka minut. W niecałą dobę tony identycznych maszyn, przemieszczając biliony atomów, wywierciły co dziesięć centymetrów odpowiednio głębokie otwory - powyżej i poniżej tunelu.

Następnie nanokomputer przestał wydawać im dalsze instrukcje. Za szesnaście godzin, kiedy - jak przewidzieli nasi meteorologowie - nadciągnie silny wiatr od lądu i układ prądów morskich będzie sprzyjający, ponownie zostanie wysłany sygnał uruchamiający maszyny. Przecięcie lodu i oderwanie lodowca od kontynentu zostanie sfinalizowane - zacznie on dryfować na otwarte morze.

- Ile czasu to zajmie? - spytała Elsie.

- Niecałe dwie godziny.

- Po dziesięciu godzinach od ostatecznego oderwania się - wyjaśnił Karl - Lodowiec Szelfowy Rossa przemieści się wystarczająco daleko, by zakłócić ruch wirowy Ziemi. Przemieszczą się bieguny i skorupa ziemska, co wywoła na planecie katastrofalne wstrząsy.

- I stworzy świat, który będziemy mogli kształtować wedle naszych wyobrażeń - powiedziała z pychą Elsie.

Z jednego z biur wypadł mężczyzna w czarnym kombinezonie ochrony i podbiegł do grupki.

- Proszę pana... - powiedział do Karla i podał mu kartkę papieru.

Karl na chwilę spochmurniał, szybko jednak opanował się.

- Co się stało? - spytała Elsie.

- To raport od Hugona - powoli odpowiedział Karl. - Wygląda na to, że od Morza Amundsena zbliża się samolot, który nie reaguje na nasze sygnały.

- To prawdopodobnie zaopatrzenie dla „Little America” - powiedział Holtz. - Nie ma się czym przejmować. Przylatuje i odlatuje co dziesięć dni.

- Zawsze przelatuje nad Walhallą? - spytał Karl.

- Nie, ale kiedy schodzi do lądowania, mija ją o kilka kilometrów.

Karl zwrócił się do ochroniarza, który przyniósł wiadomość.

- Proszę przekazać mojemu bratu, by uważnie obserwował maszynę. Jeśli zejdzie z normalnego kursu, niech mnie natychmiast zawiadomi.

- Martwisz się, bracie? - spytała Elsie. Twarz Karla rzeczywiście zdradzała niepokój.

- Nie martwię się, staram się być ostrożny. Nie ufam Amerykanom.

- Stany Zjednoczone są daleko stąd. Przybycie do zatoki Okuma zajęło by oddziałowi szturmowemu ponad dobę.

- Mimo wszystko warto być czujnym - cierpliwie odparł Karl. - Czy w razie jakichś problemów można wysłać impuls wcześniej?

- Jeśli chcemy mieć stuprocentową pewność odpowiedniego efektu, to nie - odparł spokojnie Holtz. - O wszystkim zdecyduje koordynacja w czasie. Musimy poczekać z aktywacją molekularnych

maszyn do chwili tuż przed szczytem przyływu. Tylko wtedy odpływ złapie lodowiec i wyciągnie go na morze.

- W takim razie nie mamy się czego obawiać! - rzuciła entuzjastycznie Elsie.

Karl ściszył głos i powoli, łagodnie powiedział:

- Mam nadzieję, że masz rację, siostrze.

Zjawił się kolejny ochroniarz i podał Karlowi kartkę z wiadomością od Hugona. Karl przeczytał, podniósł wzrok i lekko się uśmiechnął.

- Hugo przekazuje, że amerykański samolot idzie zwykłym kursem piętnaście kilometrów od granicy naszego terytorium i leci na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

- Trudno z takiej wysokości zrzucić spadochroniarzy - zauważył Holtz.

- Żaden kraj na świecie nie odważyłby się ostrzelać nas rakietami bez uprzedniej penetracji przez agentów wywiadu, a do tego przecież nie doszło.

System ochrony Hugona nie dopuścił do wniknięcia niepożądanych elementów do Walhalli. Nie dopuścił... - powtórzył Karl, ale nie był w pełni przekonany. Pamiętał o pewnym osobniku, który już nieraz pokrzyżował szyki rodzinie Wolfów. Chętnie dowiedziałaby się, gdzie teraz przebywa.

37

Niebo było pokryte gęstą warstwą chmur. Służbowy odrzutowiec Agencji wylądował na zamrożonym pasie, pokołował do przykrytego kopułą budynku i zatrzymał się. Little America VI była szóstą amerykańską stacją polarną noszącą nazwę nadaną w tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym roku przez admirała Byrda. Kiedyś leżała kilka kilometrów od skraju Lodowca Szelfowego Rossa, przy zatoce Kainan, lecz teraz, z powodu przemieszczania się lodu, dzieliła ją od niego niewielka odległość. Baza służyła jako ostatni przystanek przed mierzącą tysiąc kilometrów, często używaną drogą do stacji Byrd na Płaskowyżu Rockefellera.

Kiedy Pitt wysiadł na zmrożony grunt, czekający mężczyzna w jasnozielonej długiej kurtce z obszytym futrem kapturem zdjął okulary słoneczne i uśmiechnął się.

- Pan jest Pittem czy Giordinem? - jego głos przypominał grzmot.

- Pittem. Pan to pewnie Frank Cash, kierownik stacji.

Cash lekko skinął głową.

- Nie spodziewałem się was prędzej niż za dwie godziny.

- Spieszyliśmy się.

Pitt odwrócił się do Giordina, który wyłączył silniki i wysiadł. Al przedstawił się i dodał:

- Dziękuję, że tak szybko zgodził się pan nam pomóc. Sprawa jest niezwykle pilna.

- Nie mam powodów wątpić - odparł przebiegle Cash. - Choć nie dostałem żadnych instrukcji od zwierzchników.

Pittowi i Giordinowi nie udało się dostać do oddziału sił specjalnych, który formowano, by zaatakować zakład Wolfa i powstrzymać grożący kataklizm. Admirał Sandecker powiedział im wprost, żeby siedzieli w Buenos Aires i nie pchali się w największy kocioł. Pitt argumentował, że przydadzą się oddziałowi, ponieważ to oni odkryli przerażającą prawdę o kataklizmie i wiedzieli

więcej niż ktokolwiek inny o Wolfach i organizacji ich systemu bezpieczeństwa. A ponieważ byli w Buenos Aires, czyli osiem tysięcy kilometrów bliżej sceny konfliktu, mogli dotrzeć na miejsce przed oddziałem szturmowym i dokonać zwiadu.

Jego prośba spotkała się z niezrozumieniem. Wysoko postawieni oficerowie uznali, że nie są zawodowymi żołnierzami, wyszkolonymi i przyzwyczajonymi do uczestnictwa w tak trudnej operacji. Jeśli chodzi o Sandeckera, nie miał zamiaru pozwolić swym najlepszym ludziom zginąć na lodowatych przestrzeniach Antarktydy. Pitt i Giordino wsiedli więc do odrzutowca Agencji, zamiast jednak - jak im kazano - udać się do Waszyngtonu, zatankowali go po wręby i polecili na Antarktydę. Mieli nadzieję, że uda im się wejść do zakładu Wolfa tylnymi drzwiami - choć nie wiedzieli, jak po wylądowaniu w „Little America” pokonać sto kilometrów lodowego pustkowie.

- Wymyślimy coś na miejscu. - Pitt bardzo lubił wypowiadać to zdanie.

Giordino dodał:

- Wchodzę w to, w końcu nie mam nic lepszego do roboty.

- Chodźmy do środka, nim zamienimy się w lodowe pomniki - zaproponował Cash.

- Jaka jest temperatura? - spytał Giordino.

- Dziś jest przyjemnie, głównie dlatego że nie ma wiatru. Ostatni raz, kiedy patrzyłem, było minus dwadzieścia sześć stopni.

- Przynajmniej nie trzeba posyłać po lód do tequili - powiedział Pitt.

Zwieńczony kopułą budynek był w osiemdziesięciu procentach pokryty lodem i wystawał jedynie półtora metra nad powierzchnię. Pracownie i kwatery mieszkalne mieściły się w labiryncie wykutych w lodzie korytarzy. Cash zaprowadził ich do mieszczącej się obok kuchni jadalni i zamówił dla każdego lasagne, po czym wyczarował dwulitrową butlę burgunda Galio.

- Nic rewelacyjnego, ale będzie akurat - powiedział ze śmiechem.

- Mamy tu wszystkie domowe rozkosze... - odparł Giordino.

- Nie bardzo - odparł Cash. - Chcąc wieść życie, jakie się tu prowadzi, trzeba mieć nie po kolei w głowie.

- Dlaczego więc nie wziął pan roboty w łagodniejszym klimacie? - spytał Pitt, który zauważył, że wszyscy mężczyźni mają brody, a kobiety są nieumalowane i nie uczesane.

- Ludzie zgłaszają się na ochotnika do pracy w regionach polarnych zafascynowani niebezpieczną pracą przy odkrywaniu tego, co nieznanego. Kilka osób przyjechało, by uciec od problemów w domu, ale większość to naukowcy, prowadzący badania w wybranej przez siebie specjalności. Nie dbają o warunki pracy. Po roku każdy nadaje się do odesłania do domu, bo albo zmienił się w żywego trupa, albo zaczyna mieć halucynacje.

Pitt popatrzył na Casha. Kierownik stacji nie miał szalonego wzroku - przynajmniej jeszcze nie.

- Wytrzymanie w tak wyjąłowym otoczeniu wymaga siły charakteru.

- Ważny jest też wiek - dodał Cash. - Mężczyznom poniżej dwudziestego piątego roku życia brakuje rzetelności, powyżej czterdziestego piątego - wytrzymałości.

Po ciepłym odczekaniu kilku minut, kiedy Pitt i Giordino zjedli większość obiadu, Cash wreszcie spytał:

- Czy dobrze zrozumiałem podczas naszej rozmowy, kiedy dzwoniliście panowie z Argentyny, że chcecie przejść przez lodowiec szelfowy i dotrzeć do zatoki Okuma?

Pitt skinął głową.

- Chcemy się dostać do zakładu odzyskiwania pierwiastków Destiny Enterprises.

Cash pokręcił głową.

- Ci ludzie mają fioła na punkcie zabezpieczeń. Żadnej z naszych ekspedycji nie udało się dotrzeć bliżej niż na piętnaście kilometrów do ich terenu - Faceci z ich ochrony natychmiast nas przeganiali.

- Znamy ich dość dobrze - odparł Giordino, który po posiłku od razu lepiej się poczuł.

- O jakim transporcie myśleliście? Nie mamy helikoptera.

- Potrzebujemy dwóch skuterów śnieżnych - odparł Pitt, patrząc Cashowi prosto w oczy. To, co w nich ujrzał, nie było zachęcające.

- Obawiam się, że zrobiliście kawał drogi na darmo. Dwa nasze skutery są w naprawie, czekamy na części, pozostałe cztery wzięli naukowcy, którzy pojechali na północ badać lód wokół Wyspy Roosevelta.

- Kiedy wrócą?

- Nie wcześniej niż za trzy dni.

- Nie ma pan innych środków transportu?

- Buldożer i dziesięciotonowego snow-cata.

- Co z nim?

Cash wzruszył ramionami.

- Fragment gąsienicy rozpadł się na zimnie. Czekamy, aż z Auckland przyjadą części.

Giordino popatrzył przez stół na przyjaciela.

- Nie ma więc innego wyjścia, niż polecieć i mieć nadzieję, że znajdziemy kawałek miejsca do lądowania.

Pitt pokręcił głową.

- Nie możemy ryzykować popsucia akcji oddziałowi specjalnemu. Miałem nadzieję, że uda nam się podjechać blisko na skuterach, zostawić je kilometr albo dwa od zakładu i wślizgnąć się niepostrzeżenie do środka.

- Zachowujecie się, jakby to była sprawa życia i śmierci - powiedział Cash.

Pitt i Giordino wymienili się spojrzeniami, po czym z bardzo poważnymi minami popatrzyli na kierownika stacji.

- Tak - powiedział ponuro Pitt - to sprawa życia i śmierci dla większej liczby ludzi, niż jest pan sobie w stanie wyobrazić.

- Może pan powiedzieć, o co chodzi?

- Nie - odparł krótko Giordino. - Wcale nie chciałby pan tego wiedzieć.

Mogłoby to panu popsuć dzień.

Cash nalał sobie kawy i przez kilka chwil kontemlował ciemny płyn.

- Jest jeszcze jedna możliwość, ale bardzo nieprawdopodobna.

Pitt wbił w niego wzrok.

- Słuchamy.

- Snow Cruiser admirała Byrda - oznajmił Cash tonem, jakby rozpoczynał wykład. W rzeczywistości tak też było. - Wielki pojazd z napędem na cztery koła, większy od wszystkich budowanych podówczas pojazdów.

- Czyli kiedy? - spytał Giordino.

- W trzydziestym dziewiątym roku. Pomysł pochodził od Thomasa Poultera, badacza polarnego, który zaprojektował i zbudował monstrualną maszynę w nadziei, że dowiezie pięciu ludzi i

ulubionego pieska do bieguna południowego i przywiezie ich stamtąd z powrotem. Można chyba nazwać to urządzenie pierwszym pojazdem rekreacyjnym świata. Opony miały prawie metr szerokości i ponad trzy metry średnicy. Długość wehikułu wynosiła siedemnaście metrów, szerokość sześć, z pełnym załadunkiem ważył trzydzieści siedem ton. Uwierzcie mi - to nie byle co.

- Wygląda dość skomplikowanie jak na pojazd przeznaczony do wyprawy na biegun południowy - powiedział Pitt.

- Był rzeczywiście bardzo skomplikowany. Poza wznoszącą się wysoko kabiną, był tam warsztat mechaniczny, kwatery dla załogi i kuchnia, pełniąca równocześnie funkcję ciemni. Z tyłu mieściły się spiżarnia, magazyn na zapasowe opony i zbiornik paliwa na osiem tysięcy kilometrów. Na deser dodam, że był przygotowany do wieszania na dachu samolotu beecham na płozach.

- Czym napędzano tego potwora?

- Dwoma stu pięćdziesięciokonnymi silnikami wysokoprężnymi, połączonymi z czterema siedemdziesięciopięciokonnymi silnikami elektrycznymi, mogącymi napędzać każde koło osobno. Koła można było dowolnie skręcać, co pozwalało na poruszanie się bokiem i robienie ostrych zakrętów. Aby lepiej pokonywać szczeliny, można było nawet chować koła. Każde ważyło trzy tony, opony były dwunastowarstwowe, zrobione na specjalne zamówienie przez Goodyeara.

- Chce pan powiedzieć, że ta olbrzymia maszyna nie tylko wciąż istnieje, ale jest łatwo dostępna? - spytał ze zdumieniem Pitt.

- Istnieje, choć nie powiedziałbym, że jest łatwo dostępna, ani że mogłaby pokonać sto kilometrów po lodzie. Może odległość nie wydaje się duża, ale po zbudowaniu Snow Cruisera, przewiezieniu go statkiem na Antarktydę i wylądowaniu w Little America III, niedaleko stąd, okazało się, że dobre chęci konstruktora nie były warte funta kłaków. Silniki miały odpowiednią moc, ale Poulter źle obliczył przełożenia. Monstrum mogło osiągnąć pięćdziesiąt kilometrów na godzinę na płaskiej drodze, ale nie było w stanie pociągnąć swego ciężaru przez śnieg, zwłaszcza pod górę. Jak to bywa z białymi słoniami - został porzucony. Po latach pokrył się śniegiem i zapomniano o nim. Zawsze uważano, że z powodu przesuwania się lodowca szelfowego ku morzu, Snow Cruiser któregoś dnia wreszcie zostanie wyniesiony blisko morza, a na wiosnę, kiedy lód stopnieje, zatoni.

- Gdzie jest teraz? W dalszym ciągu pod lodem? - spytał Pitt.

Cash pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Snow Cruiser jest trzy kilometry stąd, niebezpiecznie blisko skraju lodowca. Bogaty, stary inżynier górnik wbił sobie do głowy, że go znajdzie i uratuje, po czym przewiezie do Stanów, do muzeum. On i jego ekipa znaleźli pojazd dziesięć metrów pod lodem i trzy tygodnie go wykopywali. Rozpostarli nad nim namiot, a ostatnio słyszałem, że go uruchomili.

- Ciekawe, czy zechcą go nam pożyczyć.

- Zapytać nigdy nie zaszkodzi - powiedział Cash. - Jednak, moim zdaniem, prędzej nauczącie bassetta jeść brokuły.

- Musimy spróbować - powiedział Pitt.

- Macie stroje arktyczne?

- W samolocie.

- To się przebierzcie. Będziemy musieli iść na piechotę do miejsca, gdzie jest Snow Cruiser. - Nagle Cash coś sobie przypomniał. - Zanim zapomnę, każę naszym mechanikom zarzucić na wasz samolot plandekę i włączyć pomocniczy grzejnik, żeby nie zamrzło wam paliwo, silniki i układy hydrauliczne, a na skrzydłach i kadłubie nie zebrał się lód. U nas wystarczy zostawić samolot na

tydzień, a zacznie znikać pod lodem.

- Dobry pomysł - uznał Giordino. - Jeśli wszystko zawiedzie, może się okazać, że będzie nam bardzo potrzebny.

- Spotkamy się tutaj za pół godziny i zaprowadzę was do Snow Cruisera.

- Kim jest człowiek, który ratuje pojazd? - spytał Pitt.

- Właściwie nie wiem - odparł Cash. - Jakiś ekscentryk. Jego ludzie mówią na niego Tato.

Cash prowadził. Szli niemal godzinę ścieżką oznakowaną pomarańczowymi flagami. Wreszcie Pitt dostrzegł wielki niebieski namiot, otoczony kilkoma małymi, polarnymi namiotami mieszkalnymi. Padał drobny śnieg, tworząc na ich dachach białą warstewkę. Choć może się to wydawać dziwne, na Antarktydzie rzadko zdarzają się intensywne opady. Jest to jedno z najsuchszych miejsc na Ziemi. Lód, który leży zaledwie kilka centymetrów pod powierzchnią, liczy sobie wieki.

Było niemal bezwietrznie, ale ponieważ Pitt i Giordino jeszcze nie uodpornili się na lodowate temperatury, było im zimno mimo grubych ubrań. Słońce świeciło jaskrawo przez resztki warstwy ozonowej i gdyby nie mieli okularów słonecznych, nic by nie widzieli.

- Jak tu miło i spokojnie - powiedział Pitt, rozglądając się po majestatycznym krajobrazie. - Żadnego ruchu ulicznego, smogu, hałasu.

- Niech się pan nie da zwieść iluzji - odparł Cash. - Szybciej, niż zdąży pan splunąć, pogoda może zmienić się w piekło cyklonu. Nikt nie zliczy palców u rąk i nóg, które stracono tu z powodu odmrożeń. Regularnie znajduje się zamrożone ciała. Każdy, kto pracuje na Antarktydzie, musi zrobić sobie komplet zdjęć rentgenowskich zębów i nosić tabliczki identyfikacyjne podobne do tych, jakie mają żołnierze. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś będzie musiał rozpoznać nasze zwłoki.

- To brzmi mniej przyjemnie.

- Najgorszym zabójcą jest przejmujący wiatr. Zdarzało się, że ludzie wychodzili na krótką przechadzkę, po czym zaskakiwał ich nagły wichur, który zasłaniał widoczność, i zamarzali na śmierć, nim zdążyli wrócić do stacji.

Ostatnie kilkaset metrów pokonali w milczeniu, ostrożnie stąpając po pomarszczonej przez wiatr lodowej skorupie. Pitt zaczął odczuwać pierwsze oznaki zmęczenia, braku snu i napięcia ostatnich dni, jednak ani razu przez głowę nie przeszła mu myśl, by pójść spać. Stawka była zbyt wysoka - wręcz niebotyczna. Jego chód nie był jednak tak energiczny, jak powinien. Widział, że z Giordinem jest podobnie.

Doszli do obozu i od razu weszli do głównego namiotu. Widok Snow Cruisera zadziwił ich niemal tak samo jak widok gigantycznych statków Wolfa. Przy olbrzymich kołach pracujący przy pojeździe ludzie wydawali się karzełkami. Kabina kierowcy, której szyba znajdowała się dokładnie nad gładkim przodem karoserii, wznosiła się na wysokość pięciu metrów i wybrzuszała dach namiotu. Część korpusu za kabiną była nieco niższa i płaska, by przyjąć samolot, choć w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku przysłano pojazd na Antarktydę bez beechcrafta. Snow Cruiser był pomalowany na jaskrawoczerwony kolor, jakim maluje się wozy strażackie, wzdłuż boków biegł poziomy, pomarańczowy pas.

Hałas, jaki słyszeli, podchodząc do obozu, powodowały piły łańcuchowe, którymi dwóch ludzi wycinało w potężnych oponach rowki. Prymitywne bieżnikowanie nadzorował starszy mężczyzna z siwymi włosami i brodą. Cash podszedł do niego i klepnął w ramię, by zwrócić na siebie uwagę. Mężczyzna odwrócił się, poznał Casha i dał znak, by za nim poszedł. Zaprowadził gości do

mniejszego namiotu, gdzie mieściła się kuchenka z piecem. Wskazał na krzesła, stojące wokół składanego, metalowego stołu.

- Tu jest ciszej - powiedział z ciepłym uśmiechem, który pasował do błękitno-zielonych oczu.

- To są panowie Dirk Pitt i Al Giordino z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych - przedstawił gości Cash. - Otrzymali od rządu pilną misję i mają nadzieję, że pomoże im pan ją spełnić.

- Moje nazwisko jest dość niezwykle, więc członkowie ekipy, zresztą wszyscy młodszy ode mnie o czterdzieści lat, mówią mi po prostu Tato - wyjaśnił, ściskając im dłonie. - W czym mogę pomóc?

- Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali? - spytał Pitt, przyglądając się uważnie starszemu panu.

- Możliwe. Sporo się kręcę po świecie.

- Czy Snow Cruiser - Pitt od razu przeszedł do sedna - byłby w stanie dotrzeć do bieguna?

- Po to go zbudowano, choć gdyby zadał pan to pytanie sześćdziesiąt lat albo nawet tydzień temu, odpowiedź brzmiałaby „nie”. Na suchym lądzie okazał się godnym uwagi urządzeniem, ale w ogóle nie sprawdził się podczas jazdy po śniegu. Gładkie opony buksowały bez efektu, źle skonstruowano skrzynię biegów. Już podjazd pod niewielkim kątem przypominał próbę wjechania na szesnastym biegu osiemnastokółowym ciągnikiem z naczepą na szczyty Gór Skalistych. Silnik by się zarzął. Zmiana skrzyni biegów i nacięcie opon może, naszym zdaniem, sprawić, że Snow Cruiser będzie w stanie wypełnić pokładane w nim nadzieje i dotrzeć do bieguna.

- Co by się stało, gdyby dotarł do szczeliny zbyt szerokiej do przejechania? - spytał Giordino.

- Thomas Poulter, jego projektant i konstruktor, wprowadził pomysłową innowację. Koła umieścił dość blisko środka pojazdu, tak, że zarówno z przodu, jak i z tyłu karoseria wystaje na pięć i pół metra. Poza tym można je schować w podwoziu i spód robi się płaski. Dojechawszy do szczeliny, należy schować przednie koła i używając tylnych, przesunąć przód pojazdu za szczelinę. Kiedy przednie koła znajdują się nad bezpiecznym terenem, należy je wysunąć i schować tylne, by przednie przeciągnęły pojazd do końca na drugą stronę. To bardzo pomysłowy system, który działa.

- Gdzie znalazł pan sześćdziesięcioletnie zębatki, pasujące do pojazdu?

- Zmontowano więcej niż jedną przekładnię. Przeanalizowaliśmy problem i przed przyjazdem ustaliliśmy, jak go rozwiązać. Producent skrzyni biegów Snow Cruisera działa do dziś i okazało się, że ma w magazynie skrzynię starych części. Na szczęście miał także zębatki potrzebne do dokonania odpowiednich zmian.

- Sprawdzaliście, czy to działa? - spytał Giordino.

- Przybyliście panowie w najlepszym momencie - odparł Tato. - Za godzinę po raz pierwszy od czterdziestego roku zamierzamy wyjechać na lód i sprawdzić, na co go stać. Najwyższy czas. Za parę tygodni kra pęknie i Snow Cruiser zatonałby w morzu.

- Jak zamierza pan zawieźć go do Stanów? - spytał Giordino.

- Wyczarterowałem niewielki statek, który czeka przy skraju lodowca.

Pojedziemy po lodzie, wjedziemy po pochylni i jesteśmy na statku.

- Czy jeśli będzie działał zgodnie z oczekiwaniami - spytał Pitt - moglibyśmy go pożyczyć na kilka dni?

Tato zbaraniał. Popatrzył na Casha.

- On żartuje.

Cash pokręcił głową.

- Nie. Rozpaczliwie poszukują możliwości dotarcia do zakładu Wolfa.

Tato uważnie przyjrzał się Pittowi, który dolał sobie wina.

- Powiniennem zdecydowanie odmówić. Kiedy skończę wydobyć Snow Cruisera z lodu, doprowadzę go do stanu używalności i umieszczę w Smithsonian Institution w Waszyngtonie, rachunek wyniesie trzysta tysięcy dolarów. Kiedy zacząłem mówić o moim marzeniu uratowania tego pojazdu, wszyscy się ze mnie śmiali. Pracowaliśmy tu w najgorszych możliwych warunkach. Wyciągnięcie maszyny na wierzch było niezwykle osiągnięciem i jesteśmy z tego cholernie dumni. Nie zamierzam oddawać Snow Cruisera w ręce obcych, którzy chcą sobie zrobić przejażdżkę po lodzie.

- Proszę mi uwierzyć - rzekł z powagą Pitt - że nie wybieramy się na zwykłą przejażdżkę. Choć brzmi to dziwnie, zamierzamy zapobiec ogólnoświatowej katastrofie.

- Nie!

Pitt i Giordino wymienili się lodowatymi spojrzeniami. Pitt wyjął z kieszonki na piersi notes i pchnął go przez stół w kierunku Taty.

- W środku znajdzie pan kilka numerów telefonów. Po kolei - do Gabinetu Ovalnego w Białym Domu, Komitetu Szefów Sztabów w Pentagonie, dyrektora Agencji oraz Komitetu Bezpieczeństwa Kongresu. Są także nazwiska innych ważnych osób, które potwierdzą to, co mamy do powiedzenia.

- A co macie do powiedzenia? - spytał sceptycznie Tato. Pitt opowiedział.

Półtorej godziny później Tato i jego ludzie oraz Frank Cash stali i w milczeniu obserwowali, jak wielki czerwony pojazd, wydmuchując w niebo chmurę czarnego dymu, wlecze się po białym krajobrazie w kierunku horyzontu.

- Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska Taty - powiedział Pitt, który siedział skulony za kierownicą i uważnie wpatrywał się w pole lodowe, by odpowiednio szybko dostrzec pęknięcia i przeszkody.

Giordino stał za nim i przyglądał się topograficznej mapie lądolodu.

- Na kopercie, która wystawała mu z kieszonki na piersi, było napisane „Clive Cussler”.

- To naprawdę dziwne nazwisko. Mimo to wydaje mi się znajome.

- Mniejsza z tym - powiedział obojętnie Giordino.

- Mam nadzieję, że nie wszedłem na pole minowe, obiecując mu, że zwrócimy Snow Cruisera w takim samym stanie, w jakim go wzięliśmy.

- Jeśli coś zadrapiesz, niech wyśle rachunek Sandeckerowi.

- Jak mam jechać?

- Gdzie masz namiernik GPS?

- W pośpiechu zapomniałem go zabrać. Poza tym w czterdziestym roku nie było globalnego systemu nawigacyjnego.

- Jedź tędy - Giordino wskazał do przodu.

- To wszystko, na co cię stać?

- Żaden instrument nawigacyjny nie zastąpi ludzkiego oka.

- Twoja logika zadaje kłam rozsądkowi.

- Ile, twoim zdaniem, potrwa dotarcie na miejsce? - spytał Giordino.

- Sto kilometrów przy mniej więcej trzydziestu kilometrach na godzinę - mruknął Pitt. - Trzy godziny, jeśli nie natkniemy się na żadne przeszkody i nie będziemy musieli ich omijać. Mam nadzieję, że dotrzemy na miejsce przed oddziałem szturmowym. Gwałtowny atak może skłonić Karla Wolfa do przyspieszenia momentu oderwania lodu.

- Mam niemiłe przeczucie, że tym razem nie będzie tak łatwo jak na statku.

- A ja mam nadzieję, przyjacielu, że się mylisz. Jeśli nam się nie uda masa ludzi będzie bardzo nieszczęśliwa.

38

Słońce świeciło na lazurowym niebie, a krystaliczna powierzchnia lodu trzykrotnie wzmacniała jego blask. Wielki czerwony Snow Cruiser pełził po zmrożonym gruncie niczym owad po zmiętym białym prześcieradle. Drobny śnieg otaczał pojazd cieniutką woalką, w powietrzu unosiła się delikatna mgiełka błękitnego dymu, wyrzucanego przez podwójne silniki. Wielkie opony z głośnym chrzęstem zgniatały śnieg i lód - choć bieżnik był toporny, chwycił podłoże bez poślizgu. Snow Cruiser poruszał się bez trudu, niemal majestatycznie - tak jak zaplanowano od początku. Niestety, projektantom nie dane było dożyć chwili, w której ucieleśniają się ich marzenia.

Pitt siedział wygodnie w fotelu i trzymając kierownicę podobną do autobusowej, jechał prosto na majaczące na horyzoncie góry. Miał na nosie okulary słoneczne, ponieważ ślepotą śniegowa była w polarnym klimacie dużym zagrożeniem. Długotrwałe oddziaływanie ultrafioletu może spowodować uszkodzenie zewnętrznej warstwy rogówek. Powstaje wówczas wrażenie, jakby w oczy wtarto piasek, po czym ślepie się na dwa do czterech dni.

Nie groziły im odmrożenia. Grzejniki Snow Cruisera utrzymywały w kabinie przyzwoitą temperaturę osiemnastu stopni Celsjusza. Jedynym zmartwieniem Pitta - małym, choć irytującym - było stałe tworzenie się szronu na przednich szybach. Nawiew pracował zbyt słabo, by pozostawały przejrzyste. Pitt miał na sobie jedynie irlandzki sweter, ciepłe ubranie położył tuż obok - w razie gdyby musiał szybko wyjść na zewnątrz i zająć się jakąś awarią. Choć pogoda była piękna, mogła zmienić się gwałtownie w mgnieniu oka.

Od dwudziestego czwartego stycznia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku, kiedy przybyły na statku wielorybniczym norweski marynarz Carsten Borchgrevink jako pierwszy postawił stopę na kontynencie Antarktydy, zanotowano tu w sumie sto pięćdziesiąt ofiar śmiertelnych - W większości byli to mężczyźni, którzy nie wytrzymali zimna - tak jak kapitan Robert Falcon Scott i jego ludzie. Zamarzli oni w drodze powrotnej z bieguna południowego. Inni zgubili drogę i wędrowali bez celu aż do śmierci, jeszcze inni zginęli w katastrofach samolotowych.

Pitt nie miał ochoty umierać - na pewno jeszcze nie teraz - zwłaszcza że powinien z Giordinem powstrzymać Wolfów przed spowodowaniem straszliwej tragedii. Poza kierowaniem Snow Cruiserem najważniejszym zadaniem było jak najszybsze dotarcie do zakładu uzyskiwania pierwiastków. Namiernik GPS i tak by się nie przydał, ponieważ nie był w stanie wskazywać dokładnej pozycji w promieniu paru tysięcy kilometrów od bieguna. Satelity, z których korzystał, należały do wojska, a ono nie planowało wojny na Antarktydzie. Zawołał Giordina, który stał z tyłu pochylony nad mapą.

- Może dasz jakieś wskazówki co do kierunku?

- Trzymaj przód tego antyku skierowany na najwyższy szczyt przed nami.

Aha, i zadbaj o to, żeby morze pozostało z lewej.

- Żeby morze pozostało z lewej... - powtórzył z rozdrażnieniem Pitt.

- Chyba nie chcemy zjechać do wody i utonąć, co?

- A jeśli pogoda się popsuje i zbliżymy się do wody, nawet tego nie zauważając?

- Chcesz dokładne dane? - cynicznie zapytał Giordino. - Proszę, oto kompas. Masz do wyboru trzysta sześćdziesiąt możliwości.

- Nagana przyjęta - odparł słabo Pitt. - Zamyśliłem się. Zapomniałem, że kompasy tu wariują.

- Nigdy byś nie wygrał w „Va banque”.

- Większość kategorii pytań i tak wykracza poza moje skromne możliwości umysłowe. -

Odwrócił się do Giordina i uśmiechnął się chytrze. - Założę się, że lubisz opowiadać dzieciom przed zaśnięciem krwawe horrory.

- Co takiego? - spytał Giordino, nie rozumiejąc, do czego zmierza Pitt.

- Pionowa ściana na krawędzi Lodowca Szelfowego Rossa wystaje sześćdziesiąt metrów nad wodą i zanurzona jest na blisko trzysta. Jeśli zjedziemy, nie zostanie z nas zbyt wiele, byśmy mogli dokądkolwiek pozełgować.

- Święta prawda - przyznał Giordino.

- Poza wpadnięciem w szczelinę bez dna oraz zagubieniem się i zamrożeniem na śmierć w burzy śniegowej naszym jedynym zmartwieniem jest już tylko oderwanie się lodu i wypłynięcie na morze. Wtedy pozostanie nam jedynie czekać na zapowiadającą kataklizm wielką falę pływową, która nas zmiecie.

- Nie powinieneś milknąć - powiedział Giordino sarkastycznie. - Przy twoich opowieściach do poduszki moje brzmią jak opowiadki Mother Goose*.

* Mother Goose dosłownie „Matka Gęś”, fikcyjna autorka popularnych wierszyków dla dzieci, opublikowanych po raz pierwszy w XVIII wieku w Anglii (przyp. tłum.).

- Ściemnia się - oznajmił Pitt, patrząc w górę przez szybę.

- Myślisz, że zdążymy na czas?

Pitt popatrzył na wskaźnik pokonanych kilometrów.

- W ciągu ostatniej godziny przejechaliśmy trzydzieści cztery kilometry. O ile nie będzie niespodziewanych opóźnień, powinniśmy dotrzeć na miejsce za niecałe dwie godziny.

Musieli zdążyć na czas. Gdyby oddział specjalny nie odniósł sukcesu, byli jedyną nadzieją - choć wykonanie zadania przez dwóch tylko ludzi wydawało się niemożliwe. Pitt nie był nastrojony optymistycznie. Zdawał sobie sprawę z tego, że teren przed nimi naszpikowany jest przeszkodami. Najbardziej bał się kruszącego się lodu i zbyt późno dostrzeżonych pęknięć. Jeśli nie będzie uważał, może wjechać w szczelinę i posłać Snow Cruisera do znajdującego się setki metrów niżej Morza Antarktycznego. Jak na razie zamrożone pustkowia było płaskie i - pomijając tysiące wyglądających jak bruzdy na zaoranej ziemi zmarszczek - dość gładkie. Od czasu do czasu dostrzegał kryjącą się w lodzie przed nimi szczelinę. Jak na razie wystarczało się zatrzymać, ocenić sytuację i zrobić objazd.

Myśl, że jadą trzydziestopięcioletnim monstrum ze stali po spękanej lodowej równinie, nie była pocieszająca. W słowniku jest niewiele słów, mogących opisać uczucie, jakie im towarzyszyło. Nagle pojawiła się kolejna szczelina - prawie w nią wjechali. Oстрым ruchem kierownicy Pitt skręcił i zahamował może półtora metra od krawędzi. Ruszył wzdłuż pęknięcia, które dopiero po prawie kilometrze zniknęło pod lodem - po następnych pięciuset metrach zrobiło się na tyle gładko, że mogli przejechać.

Pitt popatrzył na prędkościomierz i spostrzegł, że prędkość wzrosła do trzydziestu dziewięciu kilometrów na godzinę. Giordino, który zszedł do maszynowni, wyregulował zawory w pompach paliwowych, zwiększając dopływ oleju napędowego. Ponieważ na biegunach powietrze jest z powodu szybszego wirowania Ziemi rzadsze, do tego bardzo zimne i suche, zmiana dopływu paliwa, której nie zdążyli zrobić Tato i jego ludzie, była korzystna. W nowszych silnikach dieslowskich ilość wtryskiwanego oleju napędowego jest stała, ale sześćdziesięcioletnie cumminsy miały regulowany dopływ.

Zamarznięta pustynia była ponura, martwa i groźna - a równocześnie piękna i wspaniała. W jednej sekundzie dawała poczucie spokoju, w następnej przerażała. Pittowi nagle wydała się przerażająca. Jego stopy gwałtownie wcisnęły hamulec i sprzęgło Snow Cruisera - z fascynacją obserwował, jak niecałe trzydzieści metrów od nich lód pęka, a szczelina rozchodzi się na boki, wkrótce sięgając w obie strony tak daleko, jak sięgał wzrok.

Pitt otworzył drzwi, zrzucił z góry drabinkę i podszedł do skraju pęknięcia. Widok był przerażający. W miejscach, gdzie szczelina znikwała z oczu, śnieg na krawędzi nabierał pięknego srebrnozielonego koloru. Brzegi były od siebie oddalone o niemal sześć metrów. Pitt odwrócił się na dźwięk kroków nadchodzącego Giordina.

- I co teraz? - spytał Al. - Wygląda na to, że nie ma końca.

- Frank Cash wspomniał, że można chować koła, by przejechać szczelinę. Zajrzyjmy do instrukcji obsługi, którą dał nam Tato.

Tato opisał im także wymyślony przez konstruktora „Snow Cruisera” Thomasa Poultera sprytny sposób pokonywania szczelin. Spód samochodu był płaski jak narta, zarówno z przodu, jak i z tyłu korpus wystawał po pięć i pół metra za koła. Korzystając z instrukcji, Pitt nacisnął kilka dźwigni i przednie koła ułożyły się w poziomie, po czym całkowicie schowały w podwoziu. Korzystając z tylnego napędu, powoli najechał przodem na szczelinę, przesunął Snow Cruisera na tyle, by przód znalazł się na stabilnym gruncie, po czym podniósł przednie koła i schował tylne. Przedni napęd ściągnął tył pojazdu z przodu pęknięcia. Po wysunięciu tylnych kół mogli jechać dalej.

- To naprawdę znakomity wynalazek! - powiedział Giordino.

Pitt zmienił bieg i ponownie skierował przód Snow Cruisera na szczyt rozpoczynający pasmo gór.

- Zadziwiające, jak konstruktor mógł się okazać tak przewidujący w jednym aspekcie, a tak bez wyobraźni w innym.

- Nikt nie jest ideałem. Oczywiście poza mną.

Pitt przyjął przechwałkę z cierpliwością, którą już nieraz musiał okazywać w podobnych sytuacjach.

- Oczywiście.

Giordino wziął instrukcję obsługi i zniknął ponownie w maszynowni. Przedtem jednak zwrócił uwagę na podwójny wskaźnik temperatury na desce rozdzielczej.

- Silniki nieco za bardzo się grzeją. Rzuć czasami okiem na ich temperaturę.

- Jak mogą się przegrzewać, jeśli na zewnątrz jest minus dwadzieścia pięć stopni?

- Ponieważ chłodnice są schowane. Zamontowano je tuż przed silnikami, które je ogrzewają.

Pitt miał nadzieję, że mrok ukryje ich przybycie do zakładu, ale o tej porze roku na Antarktydzie zachód słońca i świt następują niemal w tym samym czasie. Nie zamierzał się oszukiwać, że uda im się niepostrzeżenie dostać na teren zakładu - zwłaszcza poruszając się monstrualną czerwoną

ciężarówką. Było jasne, że w ciągu najbliższej półtorej godziny trzeba będzie coś wymyślić. Wkrótce budynki zakładu uzyskiwania pierwiastków pojawią się na horyzoncie, u podstawy góry.

Poczuł isierkę nadziei, zaraz jednak - jakby sprzysięgła się przeciwko nim jakaś niewidzialna siła - powietrze stężało i zgęstniało niczym koronkowa firanka. Wiatr uderzył od ładu nagłą falą o sile tsunami. Jeszcze przed chwilą widoczność wynosiła sto kilometrów, lecz teraz Pitt miał wrażenie, jakby patrzył przez warstwę wody, przez poruszający się płyn mieniący się wszystkimi kolorami tęczy. W mgnieniu oka niebo przestało być widoczne, słońce zniknęło, a wichur pomknął po lodowcu jak oszalały potwór. Świat zmienił się w kłęb wirującej bieli.

Pitt wciskał pedał gazu do dechy i trzymał nieruchomo kierownicę, by pojazd posuwał się w linii prostej. Spieszyli się i żadne sztuczki matki natury nie mogły ich powstrzymać.

W ciemności człowiek zaczyna chodzić w koło. Kierunek nie zależy od prawo- lub leworęczności, lecz wynika z tego, że większość ludzi ma jedną nogę odrobinę krótszą. Ta sama zasada dotyczyła Snow Cruisera. Opony nieznacznie się od siebie różniły, więc choć Pitt trzymał kierownicę nieruchomo, pojazd nieuchronnie zaczynał jechać hakiem.

Zdawało się, że świat przestał istnieć. Huraganowy wichur odbierał wszystkiemu barwy. Lodowa burza wirowała i deła z taką mocą, że drobiny lodu bombardowały trzyczęściową przednią szybę jak gwoździki, wywołując niesamowite crescendo drobnych, metalicznych stuknięć. Pitt zastanawiał się, czy tak silny lodowy grad nie zniszczy przedwojennego hartowanego szkła. Snow Cruiser zachwiał się na niewidocznym w zamieci grzbiecie i poleciał z impetem do przodu. Pitt oczekiwał kolejnego podskoku, ale ten nie nastąpił. Lód pod kołami stał się gładki jak ślizgawka.

„Tu nigdy nie pada - tylko leje”, pomyślał Pitt. Giordino krzyknął z dołu.

- Sprawdź temperaturę! Silniki się grzeją. Z przewodów chłodnic leci para.

Pitt popatrzył na wskaźniki. Koncentrując się na utrzymaniu wielkiego pojazdu na stałym kursie, zapomniał je kontrolować. Ciśnienie oleju opadło poniżej normy, a temperatura w chłodnicach dochodziła do czerwonej strefy. Jeszcze chwila i woda się zagotuje, a z któregoś silnika oderwie się przewód wodny. Wały silników poobracają się jeszcze trochę - trudno określić, jak długo, po czym tłoki się zapieką i znieruchomią w cylindrach. Już było słyszeć pierwsze kaszlnięcia - z powodu wysokiej temperatury dochodziło do przyspieszonego zapłonu.

- Załóż ubiór polarny! - krzyknął Pitt. - i otwórz drzwi! Dopływ zimnego powietrza powinien schłodzić silniki!

- A z nas zrobić sopolki!

- Musimy pocierpieć, aż zaczną znów pracować w prawidłowej temperaturze.

Założyli grube kombinezony i kurtki z kapturami. Pitt z trudem utrzymywał w trakcie ubierania kierownicę. Kiedy zabezpieczyli się przed zimnem, Giordino otworzył drzwi. Zawyło, zawirowało i do kabiny z jękiem i rykiem wpadało lodowate powietrze. Pitt skulił się nad kierownicą i patrzył przed siebie mocno zmrużonymi oczami. Mroźna fala wyła jak sfora wiedzów, zagłuszając odgłos silników.

Nie wyobrażał sobie, jak potężny wstrząs powoduje gwałtowny spadek temperatury o czterdzieści stopni. Odpowiednio ubrany człowiek może przez dwadzieścia minut, może nawet pół godziny, wytrzymać temperaturę minus osiemdziesięciu stopni Celsjusza, nie ponosząc uszczerbku na zdrowiu, kiedy jednak współczynnik wychładzania przez wiatr doda to tego kolejne pięćdziesiąt stopni, śmierć może nastąpić w ciągu kilku minut. Ubranie Pitta chroniło przed zwykłym zimnem, ale wiatr wysysał mu ciepło z ciała.

Giordino siedział na dole między silnikami i korzystał z odrobiny ciepła, wytworzonej przez kolektory wydechowe i przegrzane chłodnice. Niepokoił się o Pitta. Nie mógł się z nim porozumieć - wyjący wiatr uniemożliwiał wszelką komunikację.

Następne minuty były najdłuższymi minutami w życiu Dirka. Jeszcze nigdy nie doświadczył podobnego zimna. Miał wrażenie, że wiatr wieje przez niego na wylot, przecinając po drodze wnętrzości. Wbijał wzrok we wskazujące temperaturę strzałki i widział, jak opadają - choć dręcząco powoli. Kryształowy lodu uderzały w przednią szybę jak nie kończący się rój owadów. Wpadały do środka, pokrywając Pitta i tablicę rozdzielczą białym lukrem. Dmuchawa gorącego powietrza praktycznie od razu przestała sobie radzić i szyby pokryły się od wewnątrz szronem, a wycieraczki utknęły w coraz grubszej warstwie lodu. Nie widząc nic na zewnątrz, Pitt siedział nieruchomo jak skała, a biały wir szalał wokół niego. Czuł się, jakby połknął go duch o tysiącach drobnych kłów.

Zaciskał zęby, by nie szczękały. Perspektywa walki z siłami, których potęga wykracza daleko poza możliwości pojedynczego człowieka, i świadomość, że może być odpowiedzialny za uratowanie miliardów ludzkich istnień, nie były zbyt przyjemne, ale pomagały wytrwać na kursie mimo wycia wichru i lodowych ukłuc. Najbardziej bał się, że wjadą w szczelinę, której nie zauważy. Jedynym rozsądnym wyjściem byłoby zwolnić i wysłać Giordina przodem, by badał podłoże, ale wiązało się to nie tylko z narażeniem życia Ala, ale także z utratą cennego czasu - a czas miał teraz nadzwyczajną wartość. Ponieważ odrętwiała stopa Pitta nie była już w stanie regulować pedału gazu, docisnął go do podłogi i tak zablokował.

Jazda po zdradliwym lodzie stała się koszmarem.

Nie było powrotu. Mogli albo dokończyć zadanie, albo zginąć. Wyjąca z furii burza śnieżna nie słabła. Pitt starł z zegarów lód, który coraz grubszą warstwą pokrywał tablicę rozdzielczą. Temperatura silników powoli wychodziła poza czerwoną strefę, jeśli jednak chcieli dotrzeć do celu bez dalszych przerw, musiała opaść o kolejne dwadzieścia stopni.

Czuł się jak ślepiec. Odebrano mu nawet zmysł dotyku. Ręce i nogi zdrętwiały, ciało przestało należeć do niego i odmawiało posłuszeństwa. Oddychanie było niemal niemożliwe. Chłód ranił płuca. Krew zgęstniała, kłujący ból torturował mięśnie. Mróz przesączał się przez skórę, mimo grubej warstwy ubrania wysysał z Pitta resztki siły. Dirk nie zdawał sobie sprawy, że można tak szybko zamarznąć na śmierć. Najwyższego wysiłku woli wymagało powstrzymanie się od rozkazania Giordinowi, by zamknął drzwi, ale jego desperacja była równie silna, jak wichur wyjący na zewnątrz.

Pitt nieraz już patrzył śmierci w oczy. Dopóki oddychał i mógł normalnie myśleć, mieli szansę. Gdyby tylko wiatr się uspokoił... Burze śnieżne mogą cichnąć tak szybko, jak się pojawiają, dlaczego więc ta nie słabła? Zaczęła go ogarniać przerażająca pustka. Krawędzie pola widzenia zaczynały ciemnieć, a wskaźniki temperatury ciągle jeszcze nie wróciły do prawidłowego przedziału.

Jak zwykle nie oddawał się złudnej iluzji wiary w cud. Wierzył w siebie, Giordina i odrobinę szczęścia. Wszechmocny mógł oczywiście wpaść i pomóc - jeśli miał akurat chęć - ale Pitt nie zamierzał witać nadejścia zaświatów z otwartymi ramionami. Zawsze uważał, że będą musiały zawlec go tam siłą - nieważne - anioły czy demony. Wyrok jeszcze nie zapadł, a nie wiadomo, czego miał więcej - zalet czy wad. Pewne było tylko, że w całej sprawie ma niewiele do powiedzenia i za kilka minut zmieni się w blok lodu.

W żaden sposób nie umiałby powiedzieć, jaki sens w konstrukcji świata mają przeciwności losu.

Wszystko zaczynało się oddalać i miał wrażenie, że oddziela się od ciała. Jego umysł był jednak jasny, zdolny do wyliczania szans i konsekwencji, więc odepchnął mroczny koszmar, który zamykał się wokół niego. Cierpienie i złe przeczucia straciły znaczenie, ale Pitt nie godził się na koniec. Wszelka myśl o śmierci była odrażająca i szalona.

Choć mało brakowało, by rzucił ręcznik i poddał się, miał zamiar wytrwać kolejne dziesięć minut. Ani na chwilę nie dopuścił do siebie wątpliwości, ani przez sekundę nie czuł przerażenia. Musieli uratować silniki, a potem świat. Tak wyglądał ich plan. Starł lód z okularów i stwierdził, że wskaźniki temperatury opadają nieco szybciej i silnikom już niewiele brakuje do normalnej temperatury.

Wymógł na sobie jeszcze dwadzieścia sekund, potem kolejne dwadzieścia. Jak brzmi ta stara rymowanka? „Dziewięćdziesiąt dziewięć flaszek piwa na ścianie”? Wreszcie nadeszła ulga i radość - wskaźniki pokazały niemal normalną temperaturę.

Nie było potrzeby wołać do Giordina. Mały Włoch wyczuł, że chwila nadeszła, kiedy położył dłoń na chłodnicy. Zatrzasnął drzwi, oddzielając ich od przerażającej potęgi wichru i lodu, włączył ogrzewanie. Potem jednym szarpnięciem oderwał Pitta od kierownicy.

- Dość zrobiłeś dla sprawy - powiedział, obserwując z niepokojem, jak niewiele brakowało przyjacielowi do śmierci z wyziębienia. - Pomogę ci zejść, będziesz mógł się ogrzać.

- Ale Snow Cruiser... - wymamrotał ledwo słyszalnie Pitt. - Nie pozwól mu zejść z kursu.

- Nie martw się. Pokieruję tym mastodontem równie dobrze, jak ty.

Posadziwszy Pitta na podłodze między silnikami, gdzie mógł się najszybciej rozgrzać, Giordino wspiał się do pokrytej lodem kabiny, usiadł za kierownicą i wrzucił pierwszy bieg. Po minucie wielki pojazd znów przebijał się przez burzę z prędkością trzydziestu dziewięciu kilometrów na godzinę.

Równomierna praca diesli grała w uszach Pitta niczym muzyka, jak symbol nadziei. Nic w jego dotychczasowym życiu nie było tak wspaniałe, jak ciepło silników, wchłaniane przez zamrożone ciało. Wkrótce krew rozrzedziła się i znów zaczęła krążyć, a Pitt pozwolił sobie na luksus półgodzinnego odpoczynku.

Z niemal chorobliwym uporem krążyło mu po głowie pytanie, czy oddział specjalny wylądował, a żołnierze zgubili się i umierali w tej samej zdrażliwej burzy...

39

Smoliście czarny mcdonnell douglas bez oznakowań - jedynie z małą flagą amerykańską na stateczniku pionowym - mknął nad oceanem perłowo-białych chmur, pokrywających świecący jaskrawo lód Antarktydy niczym gigantyczny, pozbawiony piór pterodaktyl przez mezozoiczny krajobraz.

Kapitan sił powietrznych Lyle Stafford czuł się w kokpicie przelatującego nad zamrożonym kontynentem samolotu niemal jak w domu. Zwykle latał między Christchurch w Nowej Zelandii a rozrzuconymi po Antarktydzie stacjami badawczymi, rozwożąc naukowców, sprzęt i żywność. Ten lot umieszczono w planie nadprogramowo - należało dostarczyć zebrany w trybie awaryjnym oddział

szturmowy nad Lodowiec Szelfowy Rossa i zrzucić go nad zakładem uzyskiwania pierwiastków z wody morskiej Destiny Enterprises.

Stafford wyglądał bardziej na rzecznika prasowego wielkiej firmy niż na pilota. Miał krótko ostrzyżone siwiejące włosy, zawsze chętnie się uśmiechał i był gotów do pomocy zarówno siłom powietrznym, jak i organizacjom dobroczynnym. Podczas większości lotów czytał książkę, a instrumentów doglądał drugi pilot, porucznik Robert Brannon, długi jak tyka Kalifornijczyk, który siedząc w fotelu, niemal dotykał kolanami brody. Kapitan niechętnie oderwał wzrok od czytanej książki - Życia Einsteina autorstwa Craiga Dirga - Wyjrzał przez okienko, a następnie popatrzył na wskaźnik GPS.

- Czas wracać do pracy - oświadczył i odłożył książkę. Odwrócił się uśmiechnął do majora Toma Cleary'ego, siedzącego na fotelu za plecami pilotów. - Czas zacząć oddychać, by przystosować się do tlenu, majorze.

Cleary wyjrzał nad głowami pilotów przez okno, ale zobaczył tylko chmury. Uznał, że w dole przed nimi leży widoczny wyłącznie dla instrumentów róg Lodowca Szelfowego Rossa.

- Jak z czasem? Stafford wskazał na konsolę.

- Będziemy nad miejscem zrzutu za godzinę. Czy pańscy ludzie są gotowi i palą się do czynu?

- Gotowi tak, ale nie określiłbym ich jako palących się do czynu. Wszyscy mają za sobą skoki z odrzutowca z pułapu dziesięciu tysięcy metrów, ale nie przy prędkości sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zazwyczaj, zanim platforma się opuszcza, zwalniamy maszynę.

- Przykro mi, że nie mogę podwieźć was bliżej, z mniejszą prędkością i niżej - odparł Stafford współczująco. - Sztuka ma polegać na tym, by pańscy ludzie wylądowali na lodowcu, a spadochronów nie wykryto w powietrzu. Moje rozkazy mówią jednoznacznie, że mam lecieć zwykłą trasą do cieśniny McMurdo. Lecę i tak, jak najbliżej się da bez wzbudzania podejrzeń. By dotrzeć do punktu docelowego tuż za ogrodzeniami, będziecie musieli przesybować niemal piętnaście kilometrów.

- Wiatr wieje od morza, więc trochę wam pomoże - dodał Brannon.

- Pokrywa chmur także - powoli powiedział Cleary. - Nawet jeśli mają radar, operator będzie musiał mieć czworo oczu, by dostrzec nas od momentu skoku do chwili ustawienia się w szyku.

Stafford skorygował kurs.

- Nie zazdroszczę panu, majorze, skoku z przyjemnie ciepłego samolotu wprost w lodowaty wichur o temperaturze minus siedemdziesięciu stopni.

Cleary uśmiechnął się.

- Przynajmniej nie powtórzył pan oklepanej odżywki o stuprocentowo sprawnym samolocie. Doceniam to.

Roześmiali się z tego zrozumiałego doskonale dla ludzi z ich środowiska dowcipu. Przez całe dziesięciolecia piloci naigrywali się ze spadochroniarzy, pytając: - Dlaczego wyskakujesz ze stuprocentowo sprawnego samolotu? Cleary zazwyczaj odpowiadał: „Jeśli naprawdę to jest stuprocentowo sprawny samolot, rezygnuję ze skakania”.

- Jeśli chodzi o zimno - dodał Cleary - nasze elektrycznie ogrzewane kombinezony nie dopuszczają do tego, byśmy przed dotarciem do cieplejszej warstwy zmienili się w sopele lodu.

- Całkiem bezchmurnie robi się trzysta metrów nad ziemią, a ponieważ GPS i kompasy na nic się nie zdadzą, będziecie prawie cały czas lecieć na ślepo - powiedział Brannon.

Ludzie są do tego przygotowani. Kluczem do efektywnego skoku z długim opóźnieniem przy locie

na dużej wysokości jest oddzielenie się od samolotu przy odpowiednich współrzędnych i otwarcie spadochronów przez wszystkich na mniej więcej tej samej wysokości. Dowieziemy was na punkt, ale to nie będzie piknik.

- Wiem. Jestem pewien, że już w sekundę po skoku wszyscy będą marzyć, by znaleźć się w gorącym piekle.

Stafford ponownie sprawdził przyrządy.

- Kiedy skończycie wstępne oddychanie, zdekompresuję kabinę. Potem dam znaki na dwadzieścia i dziesięć minut przed punktem zero. Sześć minut przed skokiem dam panu sygnał przez interkom, przy dwóch opuścę platformę.

- Zrozumiałem.

- Minutę przed skokiem zadzwonię raz dzwonkiem. Kiedy będziemy dokładnie nad wyznaczonym punktem, zapalę zielone światło. Przy prędkości, z jaką lecimy, musicie wyskoczyć szybko i niemal równocześnie.

- Dokładnie tak planujemy.

- Życzę szczęścia - powiedział Stafford, odwrócił się i uściśnął majorowi dłoń.

Cleary uśmiechnął się słabo.

- Dzięki za podwiezienie.

- Cała przyjemność po naszej stronie. Choć mam nadzieję, że nie będziemy musieli tego w najbliższym czasie powtarzać.

- Ja też.

Major wyprostował się, wyszedł z kokpitu i poszedł do przypominającej wielką jaskinię przestrzeni ładunkowej samolotu. Sześćdziesięciu pięciu mężczyzn miało poważne twarze i - biorąc pod uwagę fakt, że zupełnie nie wiedzieli, co czeka ich na terenie, który mają zaatakować - siedziało niezwykle spokojnie. Byli młodzi, rozpiętość wieku wynosiła od dwudziestu do dwudziestu czterech lat. Nikt się nie śmiał, nie było zbędnych rozmów, jakiegokolwiek gderania czy narzekania. Każdy koncentrował się na sprawdzaniu sprzętu. Choć zebrany w pośpiechu, oddział składał się z najlepszych żołnierzy Ameryki, członków stacjonujących jak najbliżej Antarktydy jednostek, które prowadziły w Ameryce Południowej operacje antynarkotykowe. Byli tu członkowie SEAL, Delta Force i Zwiadu Marynarki - nie istniejąca dotychczas kombinacja speców od cichej wojny mająca spełnić misję, jakiej jeszcze nigdy nie było.

Od momentu kiedy Biały Dom przekazał do Pentagonu sygnał alarmowy, jedyną rzeczą, jakiej brakowało, był czas. Z terenu Stanów Zjednoczonych wystartowała większa jednostka Sił Specjalnych, ale nie spodziewano się jej w zatoce Okuma prędzej niż za trzy godziny. A wówczas mogło być już za późno. Ostrzeżenie admirała Sandeckera nie zostało z entuzjazmem przyjęte ani przez asystentów prezydenta, ani przez przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów. Z początku nikt nie wierzył w fantastyczną historię, dopiero interwencja Loren Smith i kilku naukowców przekonała prezydenta. Kazał Pentagonowi wysłać oddział specjalny, który miał zapobiec zbliżającemu się kataklizmowi.

Z powodu całkowitego braku danych wywiadowczych szybko zrezygnowano z planu ostrzelania zakładu Wolfa rakietami. Biały Dom i Pentagon obawiały się, że mogą zniszczyć niewinny zakład produkcyjny i zabić setki robotników. Nie było także pewności, gdzie znajduje się ośrodek sterowania procesami mającymi doprowadzić do zagłady Ziemi. Mógł być ukryty głęboko pod lodem, wiele kilometrów od zakładu. Członkowie Komitetu Szefów Sztabów uznali, że największą

szansę sukcesu ma atak przeprowadzony przez oddział specjalny - w przypadku fiaska na arenie międzynarodowej nie wybuchłby skandal.

Żołnierze siedzieli na ciężkich plecakach, które mieli przed skokiem założyć na brzuch, i przeprowadzali ostatnią kontrolę spadochronów. Plecaki zawierały sprzęt mający ułatwić przeżycie, w tym amunicję do nowego karabinu typu Spartan Q-99 Eradicator - pięciokilogramowej śmiertelnej broni, połączenia strzelby samopowtarzalnej o kalibrze 12, karabinka szturmowego kaliber 5,56 milimetra z celownikiem optycznym i bazuki wystrzeliwującej niewielkie, rozrywające się pociski, czułe na najłżejsze uderzenie. Zapasowe magazynki, naboje do strzelby i pociski szrapnelowe ważyły niemal dziesięć kilo i zapełniały umieszczone wokół pasa biodrowego ładownice. W wierzchniej klapce plecaków znajdował się ekran urządzenia nawigacyjnego, kompas morski oraz cyfrowy wysokościomierz - w czasie szybowania na spadochronie wskaźniki te były dla skoczka wyraźnie widoczne.

Oddziałem Delta Force dowodził kapitan Dan Sharpsburg, oddziałem Zwiadu Marynarki porucznik Warren Garnet. Trzecią częścią - grupą, która pomagała Agencji na wyspie Saint Paul - był oddział SEAL pod dowództwem porucznika Milesa Jacobsa. Całością komenderował Cleary, weteran Sił Specjalnych, który w momencie gdy wezwano go do objęcia dowództwa nad naprędcę poskładaną grupą szturmową, spędzał z żoną urlop w Parku Narodowym Krugera w Afryce Południowej. Był to pierwszy przypadek w historii amerykańskich sił zbrojnych, kiedy członkowie różnych jednostek specjalnych walczyli wspólnie.

W trakcie misji miały zostać po raz pierwszy wypróbowane nowe spadochrony ślizgowe, zwane MT-IZ albo Zulu. Miały wskaźnik ślizgania jeden do czterech, co oznaczało, że na każdy metr opadania mogły się przemieszczać cztery metry w poziomie. Członkowie wszystkich trzech pododdziałów przyjęli to z dużym uznaniem.

Cleary patrzył na oba szeregi żołnierzy. Najbliższy oficer, Dan Sharpsburg, kiwnął głową i uśmiechnął się. Był rudzielcem o wielkim poczuciu humoru i starym kumplem Cleary'ego. Jako jeden z niewielu myślał o czekającym ich zadaniu. Dan od lat uprawiał spadochroniarstwo, osiągając w końcu stopień wojskowego instruktora w prestiżowej Szkole Skoków Spadochronowych Sił Specjalnych w Yumie, w Arizonie. Kiedy nie uczestniczył w akcji ani nie trenował, można go było spotkać z cywilami, z którymi dla przyjemności uprawiał skydiving*.

* Skydiving - sport polegający na skoku z samolotu z przypiętą do nóg deską sno boardową (są też amatorzy skoku, siedzący na rowerze), wykonaniu ewolucji i lądowań na spadochronie (przyp. tłum.).

Cleary nie zdążył dokładniej przyjrzeć się teczkom Jacobsa i Gameta, wiedział jednak, że są najlepszymi z najlepszych ludzi marynarki i marines, wybranymi do prowadzenia akcji specjalnych. Sam służył w wojskach lądowych i zdawał sobie sprawę, że oddziały SEAL i Zwiadu Marynarki należą do najlepszych na świecie.

Przesuwał spojrzenie z twarzy na twarz i myślał, że jeśli przeżyją skok, będą musieli skonfrontować swe umiejętności z ludźmi Wolfa - doskonale uzbrojoną i wyszkoloną małą armią najemników, z których - jak mu mówiono - wielu służyło w tych samych oddziałach co oni. O nie, to nie będzie piknik.

- Ile jeszcze? - z napięciem w głosie spytał Sharpsburg.

- Niecała godzina - odpowiedział Cleary i poszedł dalej, by nakazać gotowość Jacobsowi i Gametowi. Potem stanął w środku grupy i wydał ostatnie instrukcje. Każdy żołnierz trzymał w

kieszeni zdjęcie satelitarne okolicy, które miał obejrzyć po wyjściu z chmur. Miejscem docelowym było duże pole lodowe tuż obok zakładu, którego spękana, nierówna powierzchnia mogła dać nieco ochrony, kiedy będą się przegrupowywać po skoku. Następnie mieli zaatakować centrum sterowania zakładu, gdzie - jak zakładano - znajdowały się urządzenia mające wyzwolić procesy, które doprowadzą do katastrofy.

Eksperci wojskowi uznali, że jeśli wylądują na zewnątrz zakładu i zaatakują zza ogrodzenia, będzie mniej ofiar, niż gdyby lądowali w płataninie budynków, anten, maszyn i sprzętu elektrycznego.

Każda grupa po wylądowaniu i przygotowaniu się do ataku miała skoordynować działania. Gdyby ktoś został podczas lądowania ranny, miał czekać do chwili, aż zakład zostanie zabezpieczony, a wszystkie systemy i urządzenia służące oddzieleniu lodowca od kontynentu - zniszczone.

Zadowolony, że wszyscy wiedzą, co mają robić, Cleary poszedł na tył ładowni i założył plecak oraz spadochron. Jeden z ludzi Sharpsburga przeprowadził mu pełną inspekcję sprzętu - zwłaszcza urządzeń do oddychania w czasie udanego spadania.

W końcu oparł się plecami o zamkniętą jeszcze platformę ładunkową, z której mieli skakać, i pomachał rękami, by zwrócić na siebie uwagę. Od tego momentu obowiązywała komunikacja za pomocą sygnałów rękami i nogami, co było standardową procedurą operacyjną. Do momentu skoku mogli mówić jedynie dowódcy - Cleary, Sharpsburg, Jacobs, Gamet i siedzący w kokpicie Stafford. Po wyskoczeniu z samolotu i otwarciu spadochronów każdy żołnierz mógł się komunikować przez nastawione na bezpieczne częstotliwości radia Motoroli.

- Pilocie, tu kontroler skoków.

- Słyszę, majorze - odpowiedział głos Stafforda. - Gotowi?

- Kontrola sprzętu zakończona. Rozpoczynamy oddychanie tlenem. Cleary usiadł na wolnym miejscu i przyjrzał się swoim ludziom. Jak na razie wszystko szło dobrze - aż za dobrze. W takich właśnie chwilach zaczyna działać prawo Murphy'ego, ale Cleary nie zamierzał do tego dopuścić. Z satysfakcją widział, że żołnierze są w pełnej gotowości i każdy wie, co ma robić.

Pod szarymi hełmami z genteksu mieli kaptury, dodatkowo ochraniające przed ujemnymi temperaturami. Hełmy były zaopatrzone w gogle z żółtymi szklami poprawiającymi widoczność we mgle i przy pochmurnej pogodzie - teraz podniesione, by Cleary i technik tlenowiec mogli wyraźnie widzieć oczy i interweniować na wypadek jakichkolwiek oznak niedotlenienia. Wszyscy włączyli ogrzewanie kombinezonów i każdy jeszcze raz sprawdził, czy sprzęt sąsiada znajduje się w odpowiednim miejscu. Każdy mundur i plecak otoczono gumowymi linkami i kawałkami siatki, by spodziewany po wyskoku z samolotu silny poryw wiatru nie zerwał sprzętu.

Po ostatnim sprawdzeniu radioodbiorników Cleary wstał i podszedł do zamkniętej platformy. Ponownie spojrzął na swój oddział - patrzyli na niego uważnie. Pierwszemu z lewej dał znak uniesionym kciukiem.

W kokpicie starannie śledzono wyliczony przez komputer kurs i namiary zaprogramowanego celu. Kapitan Stafford chciał zrzucić czekających z tyłu ludzi tak, by trafili na miejsce, które da im największą szansę przeżycia. Najważniejsze, by opuścili samolot w wyznaczonym co do sekundy czasie. Inaczej rozproszyliby się po lodowym krajobrazie. Wyłączył automatycznego pilota i przekazał stery Brannonowi, by nic nie przeszkodziło mu w kierowaniu akcją. Potem włączył interkom i powiedział drugiemu pilotowi:

- Skręć o stopień, a będzie po nich.

- Nie ma obawy, lecę prosto nad cel - zapewnił Brannon - ale ty musisz ich w nim umieścić.

- Wątpisz w zdolności nawigacyjne swego kapitana? Wstydz się.

- Proszę o łaskawe wybaczenie, kapitanie.

- No, już lepiej - zgodził się teatralnie Stafford i przełączył na interkom w ładowni. - Majorze

Cleary, jest pan gotów?

- Gotów - krótko odparł major.

- Załoga - gotowi?

Żołnierze, przypięci szelkami do wystających z podłogi kółek do mocowania ładunku, stali zaopatrzeni w przenośne aparaty tlenowe niedaleko pochylni, po obu stronach samolotu.

- Sierżant Hendricks gotów, kapitanie!

- Kapral Joquin gotów, sir!

- Dwadzieścia minut, majorze - oznajmił Stafford. - Dekompresuję samolot.

Hendricks i Joquin ostrożnie podeszli do pochylni. Idąc, starannie przeciągali linki zabezpieczające, sprawdzali listy czynności kontrolnych i przygotowywali się do najdziwniejszego zadania w swej karierze wojskowej.

Kiedy ładownia została zdekompresowana, wszyscy, mimo włączonego w kombinezonach elektrycznego ogrzewania, poczuli spadek temperatury, powietrze wydostało się z sykiem na zewnątrz i ciśnienie wyrównało się z zewnętrznym.

Czas mijał szybko. Wkrótce z interkomu znów dobiegł głos Stafforda.

- Majorze, dziesięć minut.

- Przyjąłem. - Zapadła cisza, po czym Cleary sarkastycznie spytał: - Nie może pan nam dać tu na tył trochę więcej ciepła?

- Zapomniałem powiedzieć - odparł Stafford. - Przy okazji waszego skoku uzupełnimy zapas lodu do koktajli.

Przez następne dwie minuty Cleary powtarzał w myśli plan dostania się do zakładu. W celu zmniejszenia ryzyka wykrycia mieli wykonać skok z opóźnieniem, opadając swobodnie do wysokości siedmiu tysięcy pięciuset metrów, następnie otworzyć spadochrony, zebrać się blisko w powietrzu i razem dolecieć do punktu docelowego.

Oddział Delta Force Sharpsburga miał skakać pierwszy, tuż za nim SEAL Jacobsa, na końcu Zwiad Marynarki Garneta. Cleary miał wyskoczyć jako ostatni, by móc kontrolować opuszczanie samolotu przez wszystkich swych podwładnych i mieć największe pole manewru do ewentualnych korekt lotu. Kaczką matką, czyli skoczkiem prowadzącym, miał być Sharpsburg. Po nim pofrunie „sznur kaczek”. Gdzie uda się Sharpsburg - tam pozostali.

- Sześć minut do skoku - rozległ się głos Stafforda, przerywając myśli Cleary'ego.

Stafford wpatrywał się w ekran monitora, podłączonego do niedawno zainstalowanego systemu fotograficznego, z zaskakującą dokładnością ukazującego grunt pod chmurami. Brannon prowadził wielki samolot tak delikatnie, jakby miał w rękach dziecko, utrzymywał kurs idealnie zgodny z narysowaną na monitorze linią, na której niewielkie kółeczko wskazywało pozycję samolotu.

- Cholera z rozkazami! - nagle prychnął Stafford. - Brannon!

- Sir?

- Minutę przed skokiem zwolnij do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Musimy dać chłopakom maksimum szans na przeżycie. Kiedy Sierżant Hendricks da znak, że ostatni wyskoczył, przyspiesz do trzystu siedemdziesięciu.

- Radary Wolfów nie zarejestrują, że zwalniamy?

- Nadaj na otwartej częstotliwości do stacji McMurdo komunikat, że mamy kłopoty z silnikami, musimy zwolnić i spóźnimy się.

- Niezła przykrywka. Jeśli obserwują nas z dołu, nie będą mieli powodu do podejrzeń.

Brannon podszedł do radia i poinformował wszystkich, którzy chcieli słuchać, o opóźnieniu. Następnie wskazał na migające na ekranie cyfry, informujące o czasie pozostałym do skoku.

- Zbliżają się dwie minuty.

Stafford skinął głową.

- Zaczynj zwalniać, bardzo łagodnie. Minutę przed skokiem, kiedy zadzwonię, zwolnij na dwieście pięćdziesiąt.

Brannon rozprostował palce jak pianista i uśmiechnął się błogo.

- Zagram na przepustnicach jak na koncercie.

Stafford przełączył interkom na ładownię.

- Dwie minuty, majorze. Sierżancie Hendricks - zacząć otwierać platformę.

- Otwieranie platformy rozpoczęte - odpowiedział spokojny głos Hendricksa.

Stafford zwrócił się ponownie do Brannona.

- Przejmuję obserwację instrumentów. Zajmij się przepustnicami, żebym mógł się skoncentrować na momencie skoku.

Po rozłączeniu się Cleary poszedł na lewą stronę platformy, plecy trzymał przy burcie, dzięki czemu dobrze widział swoich ludzi, lampy kontrolne dające znak do skoku i samą platformę. Podniósł prawą rękę i zgiął ją w łuk, pionowo ustawioną dłoń skierował wnętrzem na zewnątrz. Był to sygnał do wstawania.

Mężczyźni wstali, ponownie sprawdzili sprzęt i poprawili plecaki. Wielka platforma zaczęła się opuszczać i do ładowni wpadła fala lodowatego powietrza.

Następne sekundy mijały okrutnie wolno.

Z ponurą determinacją chwycili rękawicami stalowe liny, by oprzeć się potężnej wichurze, której spodziewali się po całkowitym otwarciu platformy, i by bezpieczniej podejść do skraju, z którego mieli skakać. Choć dodawali sobie otuchy spojrzeniami, zdawało się, że nie dostrzegają się nawzajem. Nie potrzeba było słów do opisu tego, czego doświadczą, kiedy platforma całkiem opadnie i zanurkują w niewyobrażalnie zimne powietrze.

W kokpicie Stafford odwrócił się do Brannona.

- Przejmuję instrumenty, przepustnice są twoje.

Brannon uniósł obie ręce.

- Jest cały twój, szefie.

- Szefie? Szefie? - powiedział Stafford, jakby coś go zabolalo. - nie możesz mi okazać choć krztyny szacunku? - Przełączył interkom. - Minuta, majorze.

Cleary nie potwierdził. Nie musiał. Dzwonek alarmowy zadzwonił raz. Wydał kolejny rozkaz - wyciągnął prostą prawą rękę na wysokości barku, wnętrzem dłoni do góry, potem zgiął ją w łokciu, aż dłoń dotknęła hełmu, co było poleceniem udania się na tył. Pierwsi mężczyźni zatrzymali się metr od zawiasów opuszczającej się platformy. Cleary założył gogle i po cichu zaczął odliczać sekundy do skoku. Nagle poczuł coś niespodziewanego - samolot wyraźnie zwalniał.

- Platforma otwarta i zablokowana, kapitanie - poinformował Stafforda Hendricks.

Dźwięk głosu sierżanta zaskoczył Cleary'ego. Natychmiast zauważył, że zapomniał wyjąć z

gniazda wtyczkę przewodu podłączającego go do interkomu.

Dał ludziom znak „piętnaście sekund”. Nie odwracał wzroku od czerwonej lampy ostrzegawczej. Sześćdziesięciu pięciu ludzi stało zbitych w ciasną grupę, Sharpsburg czekał kilkanaście centymetrów od platformy.

Gdy czerwone światło zmieniło się w zielone, Cleary wskazał na platformę.

Jak dźgnięty prądem, porucznik Sharpsburg zanurkował w dół i pomknął w zachmurzoną nicość. Przez sekundę widać było jego rozłożone na boki ręce i rozkraczone nogi, po czym zniknął, jakby wystrzelony przez gigantyczną sprężynę. Jego oddział był tuż za nim. Żołnierzy Delta Force chmury połknęły błyskawicznie. Bez widocznej przerwy poszli w dół Jacobs i ludzie z SEAL, potem Garnet i Zwiad Marynarki. Kiedy ostatni marines zniknął za krawędzią, wyskoczył Cleary.

Przez długi moment Hendricks i Joquin stali bez ruchu i patrzyli w białą pustkę, niezdolni do uwierzenia w to, co przed chwilą widzieli. Niczym zahipnotyzowany, Hendricks powiedział do mikrofonu w masce tlenowej:

- Kapitanie, zniknęli.

Brannon nie czekał z pchnięciem przepustnic do pozycji, w której prędkościomierz wskazywał 350 kilometrów na godzinę - połowę prędkości podróźnej C-17. Platforma tylna została zamknięta, a urządzenia wdmuchujące do ładowni powietrze - ponownie uruchomione. Następnym zadaniem Stafforda było włączenie radia na bezpiecznej częstotliwości i zawiadomienie Kwatery Głównej Wojsk Południowego Atlantyku, że skok przeprowadzono zgodnie z planem. Potem odwrócił się do Brannona.

- Mam nadzieję, że im się uda - powiedział cicho.

- Jeśli tak będzie, to dlatego że wysłałeś ich na dół w podmuch wiatru o dobre czterysta kilometrów słabszy od tych, jakie mamy przy normalnej prędkości.

- Mam nadzieję, że ich przez to nie zdradziłem - odparł Stafford, ale bez poczucia winy. - Wystawienie ich na tak potężny impet wydało mi się zsyłaniem na pewną śmierć.

- Ja na pewno nie będę kwestionował tej decyzji - z powagą powiedział Brannon.

Stafford ciężko westchnął i ponownie włączył automatycznego pilota.

- To już nie nasza sprawa. Wyrzuciliśmy ich z centymetrową dokładnością. - Zamilkł i zapatrzył się w groźne białe chmury, mknące za oknem i zasłaniające cały widok. - Modłę się, by wszyscy dotarli na dół żywi.

Brannon popatrzył na niego z ukosa.

- Nie wiedziałem, że zdarza ci się modlić.

- Tylko w groźnych chwilach.

- Dolecą cali - powiedział optymistycznie Brannon. - Piekło może się zacząć, kiedy wylądują.

Stafford pokręcił głową.

- Ja bym się im nie sprzeciwiał. Założę się, że ten atak będzie jak spacer po parku.

Nie miał zielonego pojęcia, jak bardzo się myli.

Operator, obserwujący w biurze ochrony obok centrali dowodzenia ekran radaru, podniósł słuchawkę.

- Panie Wolf, ma pan chwilę czasu?

Kilka minut później Hugo Wolf wszedł energicznym krokiem do wypełnionego elektronicznymi urządzeniami zaciemnionego pomieszczenia.

- Tak? Co się stało?

- Amerykański samolot zaopatrzeniowy nagle zwolnił.
- Nic dziwnego. Przejęliśmy ich komunikat, że mają problemy z silnikiem.
- Nie sądzi pan, że to może być podstęp?
- Zboczyli ze zwykłej trasy?

Operator pokręcił głową.

- Nie. Lecą piętnaście kilometrów od nas.

- Widzisz coś podejrzanego?

- Nic, jedynie zwykłe zakłócenia, pojawiające się w trakcie burzy śnieżnej i trwające jeszcze jakiś czas po jej zakończeniu.

Hugo położył dłoń na ramieniu operatora.

- Obserwuj, czy nie zawracają, i patrz, czy nikt nie próbuje wtargnąć od morza albo z powietrza.

- A za nami?

- Kto, twoim zdaniem, przeszedłby przez góry albo przemaszerował przez lodowiec w burzy?

Operator wzruszył ramionami.

- Człowiek na pewno nie.

Hugo uśmiechnął się.

- No właśnie.

Generał sił powietrznych Jeffrey Coburn odłożył słuchawkę i spojrzął na ludzi siedzących wzdłuż długiego stołu, ustawionego w pomieszczeniu znajdującym się głęboko w podziemiach Pentagonu.

Panie prezydencie, major Cleary i jego oddział opuścili samolot.

Członkowie Komitetu Szefów Sztabów i ich asystenci siedzieli na ustawionych w półkole fotelach na końcu wielkiego pomieszczenia, którego ściany zastawione były ogromnymi monitorami i ekranami, ukazującymi obrazy z okrętów wojennych, baz i lotnisk wojskowych na całej kuli ziemskiej. Stan statków na morzu i samolotów w powietrzu był ogłaszany na bieżąco - dotyczyło to zwłaszcza jednostek transportujących zebrane w pośpiechu w Stanach Zjednoczonych oddziały specjalne.

Największy ekran, wiszący na szczytowej ścianie, ukazywał zakład Destiny Enterprises w zatoce Okuma. Nie był to obraz z góry, lecz z boku, na podstawie fotografii zrobionych z przelatującego kilka kilometrów obok zakładu samolotu. Nie istniały ujęcia z góry, ponieważ wojsko nie miało satelitów szpiegowskich, krążących po orbicie nad biegunem południowym. Bezpośredni kontakt z oddziałem Cleary'ego uzyskano dzięki pośrednictwu cywilnego satelity komunikacyjnego, wykorzystywanego przez stacje badawcze Stanów Zjednoczonych na Lodowcu Szelfowym Rossa.

Kolejny ekran ukazywał prezydenta Deana Coopera Wallace'a, sześciu członków jego gabinetu i zespół bliskich doradców, siedzących wokół stołu w bezpiecznym pomieszczeniu w podziemiach Białego Domu. Bezpośrednie połączenie z centralą dowodzenia mieli także dyrektorzy CIA i FBI - razem z nimi siedzieli Ron Little, Ken hełm i Loren Smith, zaproszona jako znawca Destiny Enterprises. Pełnili funkcję doradców prezydenta w prowadzeniu operacji, której nadano kryptonim Apokalipsa. Admirał Sandecker znajdował się w budynku Pentagonu jako konsultant Komitetu Szefów Sztabów.

- Ile czasu zostało? - spytał prezydent.

- Godzina i czterdzieści dwie minuty, sir - odparł generał Amos South, przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów. - Według naszych naukowców w tym czasie nastąpi apogeum przypływu, który

oderwie lodowiec od kontynentu. Odpływ wyniesie go w morze.

- Jak dokładne są te dane?

- Można uznać, że pochodzą z pierwszej ręki - odparła Loren. - Moment określił Karl Wolf, a potwierdzili go uznani amerykańscy glaciologowie i specjaliści od nanotechnologii.

- Ponieważ ludzie admirała Sandeckera zinfiltrowali organizację Wolfa - wyjaśnił Ron Little - zebraliśmy sporo danych dotyczących tego, co Wolfowie nazywają projektem „Walhalla”. Polega on na tym, że chcą oderwać Lodowiec Rossa od Antarktydy, by zaburzyć równowagę rotacyjną Ziemi i spowodować przesunięcie się biegunów.

- Wywoła to kataklizm niewyobrażalnych rozmiarów - dodała Loren.

- Doszliśmy do tych samych wniosków co FBI - powiedział Helm i poprosiliśmy ekspertów od nanotechnologii, by zbadali sprawę, i wszyscy są zgodni. Wolfowie mają odpowiednią technologię, by przeprowadzić coś tak niewyobrażalnego.

Prezydent wpatrywał się uważnie - oczywiście przez telewizję - w generała Southa.

- W dalszym ciągu uważam, że należy posłać tam raketę i powstrzymać tych szaleńców, nim będzie za późno.

- To wyjście ostateczne, panie prezydencie. Członkowie Komitetu Szefów Sztabów są zgodni co do tego, że to zbyt ryzykowne.

Admirał Morton Eldridge, dowódca Marynarki Wojennej, włączył się do dyskusji.

- Niedaleko zakładu przeleciał jeden z naszych samolotów, wyposażony w system wykrywania radarów. Przekazano raport, że zakład Wolfa ma znakomity system radarowy, zdolny wykryć pocisk raketowy, nadlatujący z samolotu albo okrętu podwodnego, na trzy minuty przed uderzeniem w cel.

To wystarczający czas, by przedwcześnie wywołać kataklizm. Oczywiście mogą też tego nie zrobić, ale to za duże ryzyko.

- Jeśli, jak pan mówi - zauważył Wallace - ich urządzenia radarowe są uważane za tak doskonałe, dlaczego nie wykryli pańskiego samolotu?

Admirał Eldridge i generał Coburn wymienili rozbawione spojrzenia. Eldridge odpowiedział.

- Ponieważ to tajna informacja, niewiele osób wie, że nasz nowy radarowy system ostrzegawczy jest niemal niewykrywalny. Samolot leci tuż nad ziemią. Możemy tak ukierunkować antenę, by przejąć ich sygnał, ale oni nie mogą odkryć naszego.

- Jeśli oddziałowi lądowemu nie uda się spenetrować linii obronnych Wolfa, oczywiście pošlemy tam raketę z naszego okrętu podwodnego „Tucson” - powiedział South.

- Jest w okolicy Antarktydy? - spytał Wallace podejrzliwie.

- Tak jest, sir - odpowiedział Eldridge. - Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności odbywał niedaleko rejs i skutecznie zniszczył okręt podwodny Wolfów, który ostrzeliwał statek badawczy Agencji „Polar Storm”. Admirał Sandecker zawiadomił mnie w odpowiednim czasie, więc zdążyliśmy posłać go do zatoki Okuma.

- Co z samolotami?

- W powietrzu są dwa bombowce typu stealth*, za godzinę i dziesięć minut rozpoczną w odległości stu czterdziestu kilometrów od zakładu Wolfa lot okrążający.

* Określenie stealth dotyczy samolotów skonstruowanych według technologii mającej niską wykrywalność przez radar (przyp. tłum.).

- Czyli jesteśmy zabezpieczeni zarówno od morza, jak i od powietrza - powiedział Wallace.

- Zgadza się - potwierdził generał South.

- Kiedy major Cleary i jego oddział rozpoczną akcję?

South popatrzył na wiszący na ścianie wielki cyfrowy zegar.

- To zależy od wiatru i pokrywy chmur, ale powinni dotrzeć do celu w ciągu kilku minut.

- Będziemy mieli bieżący obraz walki?

- Przez satelitę, obsługującego nasze stacje polarne na biegunie i w cieśninie McMurdo, mamy stałe połączenie z radiem majora Cleary'ego. Ponieważ jednak przez najbliższą godzinę zarówno on, jak i jego ludzie będą bardzo zajęci, prawdopodobnie dostaną się pod ogień wroga, nie uważamy, by mądre było wtrącać się w system komunikacyjny oddziału.

- W takim razie nie pozostało nam nic innego, jak czekać i słuchać - mechanicznie powiedział Wallace.

Cisza podkreśliła wagę jego słów. Nikt się nie odezwał. Po długiej przerwie prezydent wyszeptał:

- Boże, w co myśmy się wpakowali?

40

Po wyskoczeniu w gęste chmury z wysokości prawie jedenastu tysięcy metrów z prędkością bliską dwustu kilometrom na godzinę Cleary rozpostarł ramiona i odwrócił się w kierunku, gdzie jego zdaniem znajdowała się powierzchnia Ziemi. Postanowił zbojkotować smagający ze wszystkich stron lodowaty wiatr i koncentrował się na utrzymaniu stabilnej pozycji ciała. Pamiętał, by przy okazji podziękować Staffordowi za zwolnienie. Ten gest dał oddziałowi szturmowemu niemal idealne warunki do skoku grupowego i oszczędził niekontrolowanego koziołkowania przez setki metrów. Dzięki temu nie rozproszyli się w promieniu kilku kilometrów, zachowując spójność i sprawność bojową.

Przysunął nadgarstek lewej ręki do gogli, by popatrzeć na wysokościomierz. Opadał szybko - właśnie minął pułap dziesięciu tysięcy stu metrów. Biorąc pod uwagę rozrzedzone powietrze, musiał bardzo przyspieszyć.

Koncentrował się na utrzymaniu kierunku - dokładnie sto osiemdziesiąt stopni od kursu C-17 w chwili skoku, i rozejrzał się za swoimi ludźmi. Kiedy leciał przez warstwę chmur, poczuł na masce i goglach kłujące uderzenia gradu. Z prawej strony, w odległości jakichś piętnastu metrów, dostrzegł szereg błysków, jakby znajdowały się tam robaczki świętojańskie.

Do szczytu hełmu każdego żołnierza przymocowana była specjalna latarka błyskowa, której promień kierował się w górę, za plecy spadającego. Miało to zapobiec wpadaniu na siebie.

Cleary zastanawiał się, czy możliwe jest, by wyskoczyli w nieodpowiednim miejscu, ale w tej chwili i tak było to obojętne. Akcja trwała. Albo doleczą do wyznaczonej strefy lądowania, albo nie. Prawdopodobieństwo wynosiło pięćdziesiąt procent. Jaką taką wiarę w sukces dawało zaufanie do umiejętności nawigacyjnych Stafforda.

W ciągu kilku sekund, które dzieliły skok kapitana Sharpsburga i Cleary'ego, zagadnienie to przestało być ważne. Cleary spojrzął pod siebie i nie dostrzegł nikogo. Sprawdził wysokość. Zbliżał

się do ośmiu i pół tysiąca metrów.

Według planu mieli w swobodnym spadaniu osiągnąć pułap siedmiu i pół tysiąca metrów, utworzyć spadochrony, zgrupować się i poszybować do celu. Tuż przed wyznaczoną wysokością każdy miał rozpocząć przygotowanie do otwarcia spadochronu. Należało znaleźć w powietrzu takie miejsce, by z nikim się nie zderzyć, wygiąć ciało w łuk i chwycić główną rączkę otwierania spadochronu po prawej stronie uprząży. Następnym krokiem było pociągnięcie za rączkę i obserwacja przez prawe ramię, czy spadochron odpowiednio się rozwija. Aby czasza otworzyła się na wysokości siedmiu i pół tysiąca metrów, procedurę trzeba było rozpocząć trzysta metrów wyżej.

W oddali Cleary widział migotanie kolejnych światełek - dziesięciu, może dwunastu. Im byli niżej, tym bardziej rzędły chmury i widoczność poprawiała się. Wysokościomierz Cleary'ego wskazywał siedem tysięcy dziewięćset metrów. Tuż przed otwarciem spadochronu władzę przejmują wytworzone przez lata szkolenia odruchy. Działał bez wahania, stanowczo, wykonując każdy kolejny krok sekwencji, powtarzał w myśli komendy: wygnij się, chwyć, ciągnij, sprawdzaj, sprawdzaj, sprawdzaj!

Główny spadochron MT-1Z Cleary'ego rozłożył się na niemal idealnej wysokości - gładko, płynnie i bez najmniejszej oznaki, że w ciągu kilku chwil wyhamował z dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę prawie do zera. Cleary wisiał teraz pod napełnionym powietrzem skrzydłem i dryfował z wiatrem niczym odrętwiała marionetka.

Wycie wiatru ucichło, tak jakby ktoś wyłączył dudniące głośniki. Słuchawki w jego uszach trzasnęły i po raz pierwszy od skoku z platformy Cleary usłyszał własny oddech. Podniósł wzrok i obejrzał każdy centymetr powierzchni spadochronu w poszukiwaniu uszkodzeń, szczególnie w okolicy podwieszenia linek do klap sterowania.

- Czarodziej, tu Wiking, proszę o rutynowy sprawdzian, odbiór - ze słuchawek dobiegł głos porucznika Gameta. Każdy członek oddziału mógł się komunikować z pozostałymi przez umieszczony na gardle mikrofon, podłączony do pracującego na bezpiecznej częstotliwości radia Motoroli.

Cleary odpowiedział, rozpoczynając sprawdzian sieci komunikacyjnej.

- Wszystkie oddziały, tu Czarodziej, proszę po kolei o raporty, odbiór. - Z powodu słabej widoczności Cleary nie widział oddziału i musiał polegać na szczegółowych doniesieniach dowódców pododdziałów.

Pierwszy zgłosił się kapitan Sharpsburg.

- Czarodziej, tu Lew. Jestem na siedmiu tysiącach. Kontakt wzrokowy ze wszystkimi moimi ludźmi poza dwoma. Gotowy do poprowadzenia patyka do celu. - „Patyk” oznaczał grupę spadochroniarzy, schodzących jeden za drugim.

- Zrozumiałem, Lew - powiedział Cleary.

- Czarodziej, tu Kruk - zgłosił się Jacobs. - Siedem tysięcy trzysta, kontakt wzrokowy ze wszystkimi moimi ludźmi. Odbiór.

Następny był Garnet.

- Czarodziej, tu Wiking. Mam kontakt wzrokowy ze wszystkimi moimi poza jednym.

- Przyjąłem, Wiking.

Cleary sięgnął w górę i złapał rączki linek, prowadzących do obu klap sterujących. Pociągnął je równocześnie, zwalniając hamulce i wprowadzając spadochron w stan pozwalający na jak najszybszy lot. Natychmiast poczuł przyspieszenie. W słuchawkach buczały głosy żołnierzy, porozumiewających się z dowódcami swoich pododdziałów. Kolejny raz zrobił w myśli przegląd

czekających ich zadań. Jeśli oddział osiągnął prawidłowe współrzędne, powinni wylądować na środku wielkiej, pustej lodowej przestrzeni, niedaleko ogrodzenia otaczającego teren zakładu. Tam będą mogli bezpiecznie się ukryć i odpowiednio zgrupować oraz przeprowadzić ostatni sprawdzian sprzętu przed zajęciem pozycji do ataku.

Choć nabierał prędkości, czuł słaby podmuch powietrza. Oznaczało to, że porusza się nie pod wiatr, ale z wiatrem. Na pułapie pięciu tysięcy ośmiuset metrów gęsta warstwa chmur częściowo się otworzyła, ukazując rozległy, bielusieńki, lodowy antarktyczny krajobraz. Przed nim rozciągała się przypominająca schody linia spadochronów, a migające na hełmach światełka wyglądały jak sznur zawieszonych w próżni lampek choinkowych.

Nagle odezwał się Garnet.

- Czarodziej, tu Wiking. Brakuje mi jednego człowieka, powtarzam - brakuje jednego człowieka, odbiór.

Cholera jasna! Wszystko szło zbyt gładko, więc jednak Murphy musiał się wtrącić ze swoim prawem i odebrać im fałszywe poczucie bezpieczeństwa!

Cleary nie pytał o nazwisko zaginionego. Nie było potrzeby. Jeśli miał awarię i odrzucił główny spadochron, powinien znajdować się poniżej patyka sunących do punktu zbornego spadochronów i opadał na spadochronie rezerwowym. Nawet przez głowę mu nie przeszło, że coś mogło zagrozić życiu żołnierza. Rzadko zdarzało się, by ktoś ginął w trakcie skoku. Jednak po wylądowaniu będzie musiał zadbać sam o siebie, nim zabezpieczywszy teren, wyjdzie po niego zespół ratunkowy.

Cleary martwił się tylko, z jakim sprzętem skakał zaginiony.

- Wiking, tu Czarodziej. Jaki miał arsenał?

- Czarodziej, brakuje jednego kompletnego zestawu niszczącego i dwóch LRP, odbiór.

Niedobrze. LRP, czyli Lekka Rusznica Przeciwpancerna, to mocna, jednostrzałowa broń, która mogła wyeliminować z walki pojazd opancerzony. LRP miało jeszcze dwóch ludzi, więc nie było tak źle, problem stanowił zestaw niszczący. Składał się on z piętnastu kilogramów C-4, przewodu i zapalników czasowych. Gdyby natknęli się na barykady albo fortyfikacje, bardzo by się przydał. Akurat musiał się zgubić człowiek z zestawem niszczącym i dwoma LRP!

Nie ma na to rady.

- Czarodziej do wszystkich. Cel za trzysta kilometrów. Zgasić lampy na hełmach i utrzymywać maksymalną ciszę radiową. Zacieśnić patyk. Bez odbioru.

Zostało im piętnaście minut lotu. Cleary sprawdził zegarek. Czasu było coraz mniej. Miał nadzieję, że zaginięcie żołnierza to nie omen. Wciągu następnej pół godziny milion rzeczy mogło nie wypalić. Nie stać ich na stratę ani jednego człowieka więcej i ani jednej sztuki wyposażenia. Na szczęście wiatr od tyłu nieźle pchał. Cleary spojrzał przed siebie - z zadowoleniem spostrzegł, że schodkowa formacja była bardzo ścisła, a nowe spadochrony spełniały wszelkie wymogi w zakresie szybowania i stabilności. Plan przewidywał, że znajdą się nad miejscem lądowania na wysokości stu pięćdziesięciu metrów.

Zakład uzyskiwania pierwiastków był coraz bliżej. Przez dziury w chmurach prześwitywały budynki. Byli na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów i wchodzili w fazę operacji, w której - aż do momentu wylądowania - będą najbardziej bezradni.

Przy dwóch tysiącach metrów Cleary poczuł, że coś jest nie tak. Tracił prędkość. Spadochron zaczął szarpać i łopotać na bocznym wietrze, który pojawił się nagle. Odruchowo sięgnął do rączki, połączonej z linkami przednich klap sterujących. Służyły one jako trymery czaszy i zwiększały jej kąt

czołowy, ułatwiając przeciwdziałanie bocznemu wiatrowi.

- Czarodziej, tu Lew. Mamy silny boczny wiatr.

- Zrozumiałem, Lew. Na mojej wysokości też jest. Wszystkie grupy: użyć trymerów i utrzymywać kurs.

Cleary spojrzął w dół i zauważył, że lodowy krajobraz co prawda się przysuwa, ale znacznie wolniej niż przedtem. Na sześciuset metrach na szczęście znów zaczęło wiać od tyłu i ruch znoszący zanikł. Rozejrzał się po terenie zakładu w poszukiwaniu jakiegoś niepokojącego ruchu, ale na dole panował spokój. W miejscach, gdzie z budynków ulatywały spaliny i ciepłe powietrze, tworzyły się kłęby białej pary. Wszystko wyglądało niegroźnie.

Wreszcie usłyszał informację, na którą czekał.

- Czarodziej, tu Lew. Minąłem płot i widzę miejsce lądowania. Jesteśmy prawie w domu.

- Zrozumiałem, Lew - odparł z ulgą Cleary.

Patrzył, jak przednia część patyka przesuwa się nieco w prawo. Przygotowywali się do rozpoczęcia ostatniej fazy lotu - zwrotu pod wiatr i lądowania. Prowadzący Sharpsburg skrzył prostopadle do kierunku lotu i sznur spadochronów zaczął robić to samo, obracając się w tym samym wyimaginowanym punkcie na niebie co prowadzący.

- Czarodziej - zgłosił się Lew bez identyfikacji. - Sto pięćdziesiąt metrów i szykujemy się do lądowania.

Cleary nie odpowiedział. Nie było potrzeby. Patrzył, jak pierwszy spadochron ląduje w celu i opada na lód, za nim drugi i trzeci. Natychmiast po dotknięciu lodu mężczyźni zrzucali jak najwięcej sprzętu i zajmowali pozycje obronne.

Cleary był teraz na wysokości stu pięćdziesięciu metrów i patrzył, jak SEAL Jacobsa powtarza dokładnie to samo, co wykonał oddział Delta. Na koniec szli marines Gameta. Kiedy sam znalazł się nad punktem zwrotu, pociągnął za lewą rączkę i obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni - po stu metrach powtórzył manewr i znalazł się twarzą pod wiatr. Czuł, jak go pcha, zwalniając lot. Ustawił obie rączki w położeniu środkowym, obserwując równocześnie lód i wysokościomierz.

Szybko zniżył się do sześćdziesięciu metrów. Lód pędził na spotkanie. Przy trzydziestu metrach Cleary puścił rączki, pozwalając na niemal swobodne spadanie. Doświadczenie i ocena sytuacji kazały mu jednak zaraz pociągnąć obie rączki do oporu w dół, aż maksymalnie wyhamował i dotknął powierzchni Antarktydy niemal tak delikatnie, jakby zszedł z chodnika.

Szybko rozpiął uprząż i zrzucił sprzęt, który bezpiecznie doprowadził go do celu. Ukląkł i przygotował do akcji swego spartana Q-99 eradicadora, ładując go i zabezpieczając, by był w każdej chwili gotów do strzału.

Garnet, Sharpsburg i Jacobs byli przy nim w pół minuty. Skoordynowali działania, sprawdzili pozycję i przygotowali się do pójścia w kierunku centrum sterowania zakładu. Po podaniu ostatnich instrukcji Sharpsburgowi, który miał przejąć dowództwo na wypadek jego śmierci albo poważnego zranienia, Cleary przyjrzał się terenowi zakładu przez lornetkę. Nie widząc żadnych oznak aktywności obronnych, kazał oddziałowi ustawić się. Ruszyli - Cleary szedł w środku patrolu.

Wiatr walczył uparcie, aż w końcu zabrakło mu sił. Ucichł i pozwolił, by słońce zamieniło kryształ lodu w migoczący diamentowy pył. Ponure szare światło ustąpiło błękitnemu niebu. Snow Cruiser parł po lodowcu. Wielka maszyna okazała się twardym zawodnikiem. Silniki pracowały bez zarzutu opony wgryzały się w śnieg i lód. Pojazd mimo wściekłej burzy nie zawiódł ani nie zamierzał się poddać. Cisza, jaka zapadła na lodowym pustkowiu, przerywana jedynie stłumionym dźwiękiem wypluwanych z rury spalin, sprawiła, że wkrótce burza wydawała się tylko złym snem.

Ogrzany ciepłem silników Pitt poczuł się wreszcie gotów, by stawić czoło rzeczywistości. Przejął kierownicę od Giordina, który znalazł w maszynowni szczotkę i startł lód z szyb. Uwolnione wycieraczki szybko ją oczyściły. W oddali ukazały się Góry Rockefellera, tuż przed nosem Snow Cruisera. Byli blisko celu.

Pitt wskazał na czarne smugi na rozświetlanym słońcem horyzoncie, nieco z lewej strony od kursu.

- To zakład Wolfa - powiedział.
- Niesamowite - odparł Giordino. - W tej burzy zboczyliśmy z kursu niewiele ponad kilometr.
- Jeszcze pięć albo sześć kilometrów. Powinniśmy dotrzeć w ciągu dwudziestu minut.
- Chcesz wpaść na przyjęcie bez zaproszenia?
- Nie jest to zbyt mądre, jeśli ma się do czynienia z armią ochroniarzy - odparł Pitt. - Widzisz tamten skalny grzbiet, wystający z lodu i biegnący do podnóża góry?
- Widzę.
- Możemy pod jego osłoną przejechać ostatnie trzy kilometry.
- Może się udać, jeśli nie zauważą spalin.
- Trzymaj kciuki - roześmiał się Pitt.

Zostawili za sobą wielką płaszczyznę Lodowca Szelfowego Rossa i wjechali na pokryty lodem ład. Pojechali wzdłuż grzbietu skalnego, schodzącego z góry niczym wielki jęzor, i niezauważeni zbliżali się coraz bardziej do zakładu. Wkrótce jechali pod wznoszącą się wysoko w niebo pionową skalną ścianą. Z jej występów niczym zamarznięte wodospady zwieszały się stalaktyty lodu i migotały błękitnawo w słońcu. Droga, którą wybrali, była mocno sfalowana.

Pitt zredukował bieg do dwójki, by łatwiej wspinać się na szereg poprzedzielanych zagłębieniami bruzd. Mocny pojazd bez zatrzymywania się pokonywał trudny teren, szerokie opony pozwalały mu bez trudu wspinać się pod górę i zjeżdżać w dół. Pitt nie wiadomo który raz spojrzął na deskę rozdzielczą. Wskaźniki temperatury sugerowały, że wkrótce silniki znów zaczną się przegrzewać, tym razem jednak będą mogli po prostu otworzyć drzwi, nie obawiając się burzy. Właśnie mijali wąski ślepy kanion, kiedy Pitt gwałtownie zahamował.

- Co jest? - spytał Giordino. - Coś zobaczyłeś.
- Pitt wskazał na śnieg za przednią szybą.
- Do kanionu prowadzą ślady. Mógł je zostawić jedynie duży traktor śnieżny. Wzrok Giordina podążył za wyciągniętym palcem Pitta.
 - Masz dobre oczy. Ledwie je widać.
 - Powinna je zasypać burza. Pojazd musiał przejeżdżać tędy pod sam jej koniec.
 - Po co ktoś miałby wjeżdżać ciągnikiem do ślepego zaułka?
 - Może tam jest wejście na teren zakładu?

- Może.

- Sprawdzamy?

Giordino wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Umieram z ciekawości.

Pitt skręcił kierownicę i wjechali w kanion. Po obu stronach wznosiły się groźne pionowe ściany, z każdym metrem coraz wyższe. Wkrótce słońce ledwie dochodziło na dno wąwozu. Na szczęście zakręty nie były ostre i masywne cielsko Snow Cruisera mogło je w miarę zgrabnie pokonywać. Pitt martwił się, że jeśli dotrą do ślepego końca, będzie musiał wyjeżdżać tyłem, co wcale nie było łatwe. Po czterystu metrach stanęli przed masywną lodową ścianą.

Byli w zaułku. Spotkało ich rozczarowanie.

Obaj wysiedli i uważnie obejrzelili płaską warstwę lodu. Pitt popatrzył na ślady traktora.

- Intryga się zagęszcza - powiedział. - Ciągnik nie mógł się stąd wycofać.

- Na pewno, skoro nie zostawił drugich śladów.

Pitt przysunął nos bardzo blisko lodu, osłonił oczy od światła i patrzył. Za lodem widać było niewyraźne cienie.

- Coś tam jest.

Giordino też zajrzał.

- To takie miejsce, gdzie trzeba powiedzieć: „Sezamie, otwórz się!”.

- Bez wątplenia to nie jest właściwe hasło.

- Lód musi mieć przynajmniej półtora metra grubości.

- Myślisz o tym samym co ja?

Giordino kiwnął głową.

- Stanę na zewnątrz i będę cię osłaniał bushmasterem.

Pitt wrócił do Snow Cruisera, wrzucił wsteczny bieg i cofnął się o jakieś pięćdziesiąt metrów, dla lepszej przyczepności trzymając się zagłębień zrobionych przez traktor. Zatrzymał się, mocno złapał kierownicę i schował głębiej w fotelu na wypadek, gdyby lód miał przebić szybę. Wrzucił jedynekę i wcisnął gaz do dechy. Mechaniczny goliat skoczył z rykiem do przodu, nabrawł prędkości i po chwili huknął w lodową ścianę, aż Giordino poczuł pod nogami drżenie.

Lód pękł i rozpadł się na kawałki, obsypując czerwonego Snow Cruisera tak, jakby rozbił się na nim kryształowy kandelabr. Dźwięk, jaki przy tym powstał, przypominał zgrzytanie zębów giganta. Giordino sądził początkowo, że ciężarówka będzie musiała kilka razy uderzyć w gruby, twardy lód, kiedy jednak okazało się, że zniknęła w środku za pierwszym razem, poczuł się opuszczony i pognął za nią z karabinem w rękach jak żołnierz piechoty, kryjący się w cieniu czołgu.

Pitt zahamował i otrzepał twarz i pierś ze szkła. Duży kawał lodu przebił środkową z trzech przednich szyb i o mało go nie trafił, zanim rozbił się o podłogę. Szkło przecięło mu policzek i czoło. Rany nie wymagały szycia, ale obfite krwawienie sprawiało, że wyglądały groźnie. Starł rękawem krew z czoła i rozejrzał się wokół.

Snow Cruiser stał w poprzek szerokiego tunelu z przodem wbitym głęboko w lodową ścianę naprzeciw zniszczonego wejścia. Po obu stronach pojazdu tunel był pusty. Giordino wskoczył do ciężarówki. Pitt uśmiechał się do niego zza krwawej maski.

- Kiepsko wyglądasz - zauważył Giordino, próbując wyciągnąć go z fotela.

Pitt delikatnie odepchnął jego rękę.

- Nie jest tak źle, jak wygląda. Nie mamy czasu na leczenie szpitalne.

Zaklej mi rany tym, co znajdziesz w starej apteczce, leży w kabynie załogi. Moim zdaniem powinniśmy ruszyć w lewo i tunel zaprowadzi nas do zakładu.

Giordino wiedział, że dyskusja nie ma sensu. Zszedł do kabiny załogi i wrócił z apteczką, której nie otwierano od czterdziestego roku. Zmył zasychającą na twarzy Pitta krew. Pokrył rany popularnym wówczas środkiem odkażającym - jodyną. Jej pieczenie sprawiło, że Pitt kilka razy porządnie zaklął. Potem założył opatrunki.

- Kolejne życie uratowane przez zdolne ręce doktora Giordina, gwiazdę antarktycznej chirurgii.

Pitt spojrział w boczne lustro. Miał na twarzy wystarczającą ilość bandaża i plastra, by osłonić głowę po przeszczepie mózgu.

- Coś ty narobił? - spytał kwaśno. - Wyglądam jak mumia.

Giordino udał, że czuje się urażony.

- Poczucie piękna nie należy do moich mocnych stron.

- Medycyna też.

Pitt uruchomił silniki i rozhuścił pojazd w tył i w przód tak, by mógł wjechać do tunelu. Opuścił boczną szybę, żeby przyjrzeć się korytarzom. - Mieli po bokach i nad dachem mniej więcej po czterdzieści centymetrów wolnego miejsca. Zastanowiła go duża, okrągła rura, biegnąca wzdłuż ściany tunelu, od której - w górę i w dół - odchodziły znikające w lodzie cieńsze rurki.

- Co o tym sądzisz? - Spytał, wskazując na rurę.

Giordino wysiadł z pojazdu, przecisnął się między przednim kołem a rurą i położył na niej dłoń.

- To nic związanego z prądem - uznał. Musi służyć do czegoś innego.

- Jeśli to jest to, co myślę... - Pitt znacząco opuścił głos.

- Element mechanizmu służącego do oderwania lodowca - dokończył myśl przyjaciela Giordino.

Pitt wystawił głowę przez okno i spojrział do tyłu w znikający w oddali tunel.

- W takim razie musi wychodzić z zakładu i biec przez dwa tysiące trzysta kilometrów aż do przeciwległego końca lodowca.

- Wydrążenie tunelu, który mógłby połączyć San Francisco i Phoenix, to olbrzymie osiągnięcie inżynierii.

- Olbrzymie czy nie, Wolfowie go wydrążyli. Pamiętaj, że wiercenie w lodzie jest łatwiejsze od wiercenia w skale.

- A gdybyśmy przecięli rurę i uniemożliwili aktywację systemu, który ma odciąć lodowiec?

- Nie wiadomo, czy nie spowodowałoby to przedwczesnego rozpoczęcia całego procesu. Nie powinniśmy ryzykować, póki nie będziemy musieli.

Tunel wyglądał jak wielkie, otwarte, czarne usta. Pomijając prześwitujące przez lód słońce, nie był oświetlony. Co prawda wzdłuż sufitu biegł szereg rozmieszczonych co pięć metrów halogenowych żarówek, ale prąd musiał być wyłączony, ponieważ się nie paliły. Pitt włączył zamontowane z przodu Snow Cruisera dwa nieduże reflektory, wrzucił bieg i ruszył. Przyspieszył, aż osiągnęli prędkość czterdziestu kilometrów na godzinę. Choć w takim tempie porusza się wielu rowerzystów, w wąskim tunelu wydawało się, że gnają na łeb na szyję.

Pitt koncentrował się na tym, by Snow Cruiser nie uderzył w lód. Giordino trzymał na kolanach karabin i patrzył do przodu najdalej, jak to było możliwe. Wypatrywał oznak jakiegokolwiek ruchu albo czegoś, co różniłoby się od zdającej się nie mieć końca rury, z której co chwila wychodziły mniejsze rurki. Wbijając się w dół w podłogę i w górę w ścianę tunelu.

Fakt, że tunel był pusty, wskazywał na to, że Wolfowie oraz robotnicy opuścili zakład i przygotowywali się do ucieczki na wielkie statki. Pitt starał się wydusić ze Snow Cruisera maksimum prędkości - od czasu do czasu ocierał kołem o lód i chwilę trwało, nim udało mu się wyprostować pojazd. Ogarniało go przerażenie. Stracili zbyt wiele czasu na pokonanie lodowca. Punkt zero, o którym mówił w ambasadzie w Buenos Aires Karl Wolf, miał nastąpić za cztery dni i dziesięć godzin.

Cztery dni już minęły, tak samo jak osiem godzin i czterdzieści minut, co oznaczało, że za osiemdziesiąt minut Karl Wolf wciśnie klawisz rozpoczynający zagładę.

Pitt szacował, że od serca zakładu dzielą ich dwa, może trzy kilometry. Nie mieli map satelitarnych, więc musieli szukać w ciemno centrali dowodzenia. Zastanawiali się także, czy oddział specjalny dotarł już na miejsce i czy uda mu się wyeliminować najemników. Bez wątpienia to drugie zadanie będzie wymagało twardej walki - Wolfowie każdemu ze swoich ludzi na pewno obiecali ratunek z kataklizmu. W każdym razie przyszłość nie malowała się różowo.

Po kolejnych osiemnastu minutach milczenia Giordino pochylił się do przodu.

- Dojeżdżamy do skrzyżowania.

Pitt zwolnił - w różnych kierunkach rozchodziło się pięć tuneli. Nie stać ich było na błędną decyzję. Pitt wychylił się przez okno i przyjrzał podłodze tunelu. Wszędzie widać było ślady opon, ale najgłębsze prowadziły do odnogi po prawej stronie.

- Wygląda, jakby panował w nim największy ruch.

Giordino wyskoczył na zewnątrz i pobiegł w głąb tunelu. Po kilku minutach wrócił z informacją.

- Po dwustu metrach łączy się z wielką komorą.

Pitt kiwnął głową i skręcił w prawo. Po obu stronach widać było pod lodem dziwaczne kształty, niewyraźne i rozmyte, ale układ konturów świadczył, że nie są naturalnego pochodzenia i wyszły spod ręki człowieka. Jak powiedział Giordino, wkrótce tunel rozszerzył się w wielką jaskinię, z której sufitu zwieszały się lodowe stalaktyty. Wpadające z otworów w suficie światło oświetlało wewnątrz tajemniczymi blaskami. Widok był magiczny, ponadczasowy i cudowny. Zafascynowany Pitt, powoli zatrzymał Snow Cruisera.

Obaj mężczyźni milczeli w zachwycie.

Stali w miejscu, które kiedyś było rynkiem miasta. Teraz otaczały je zakute w lodzie starożytne budynki.

42

Prędkość wiatru spadła do niecałych dziesięciu kilometrów na godzinę i zawieja ustała. Ubrani na biało komandosi rozeszli się na boki i zaczęli podchodzić do zakładu uzyskiwania pierwiastków. Cleary poczuł się nagi. Chowając się za pagórkami, które sterczały w wielu miejscach jak wielbłądzie garby, doszli do wysokiego ogrodzenia otaczającego zakład.

Cleary nie miał informacji na temat tego, co ich czeka, z jakimi siłami mogą się spotkać. Nie zbierano danych dotyczących zakładu, ponieważ CIA nigdy nie uznała go za zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Zatrważającą prawdę o kryjącym się tu koszmarze odkryto

zbyt późno, by spenetrować miejsce, zdecydowano się więc na strategię „uderzyć i zwiewać”. Miała to być prosta, „chirurgiczna” operacja, wymagająca błyskawicznego podejmowania decyzji na miejscu. Rozkaz brzmiał: zneutralizować zakład i unieruchomić system odrywania lodowca oraz zaczekać na dwuosobowy oddział Sił Specjalnych, który miał zjawić się godzinę po ich wylądowaniu.

Cleary’emu powiedziano tylko, że ochroniarze Wolfa są zawodowcami wywodzącymi się z elitarnych jednostek z całego świata. Informację dostarczyła Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych - zdaniem Cleary’ego (choć nie wiedział, jak bardzo się myli) komórka rządowa niezbyt doświadczona w zbieraniu danych wywiadowczych. Był w każdym razie przekonany, że jego oddział poradzi sobie z napotkanym wrogiem.

Nie wiedział jednak, że na każdego z jego ludzi przypada trzech.

Sformowany w dwie kolumny oddział doszedł do ogrodzenia, które początkowo wydawało się pojedyncze. Z bliska okazało się, że jest podwójne, środkiem biegnął rów. Wyglądał na wykopany dziesiątki lat temu. Potwierdzała to stara tablica z mocno wyblakłym napisem po niemiecku, informującym o zakazie wejścia. Płot zrobiono z metalowej siatki i zwieńczono kilkoma rzędami drutu kolczastego, którego pokryte lodem kolce już dawno przestały być groźne. Musiał być kiedyś wysoki, ale z biegiem czasu nagromadziło się pod nim tyle lodu, że teraz można go było pokonać, wysoko unosząc nogę. Rów też wypełnił się lodem i wyglądał jak płytka, łagodnie zaokrąglona bruzda. Wewnętrzny płot był znacznie wyższy - wystawał dwa metry nad lód - choć też nie stanowił poważnej przeszkody. Przecinanie drutu zabrało nieco cennych minut, ale w końcu znaleźli się w środku. Cleary uznał za dobry znak, że wniknęli do obiektu nie odkryci.

Teraz ich ruchy osłaniały ustawione w szeregu baraki bez okien. Cleary zarządził postój. Obejrzał lotnicze zdjęcie zakładu. Choć podobnie jak Sharpsburg, Garnet i Jacobs w czasie lotu z Kapsztadu nauczył się na pamięć położenia każdej uliczki i każdego budynku, chciał porównać mapę z miejscem, w którym wniknęli do środka. Z zadowoleniem stwierdził, że znajdują się jedynie piętnaście metrów od zaplanowanego punktu. Po raz pierwszy od wylądowania, przegrupowania i przejścia po lodzie skorzystał z radia.

- Wiking?

- Jestem za tobą, Czarodzieju - odpowiedział szorstki głos porucznika Warrena Gameta.

- Rozdzielamy się - powiedział Cleary. - Wiesz, co masz robić ze swoimi marines. Życzę szczęścia.

- Ruszamy, Czarodzieju - odparł Garnet, którego zadanie polegało na zabezpieczeniu elektrowni i odcięciu dostawy prądu do zakładu.

- Kruk?

Porucznik Miles Jacobs z SEAL zgłosił się natychmiast.

- Słyszę, Czarodzieju. - Oddział Jacobsa miał obejść zakład i zaatakować centralę dowodzenia od strony morza.

- Masz najdalszą drogę. Ruszaj.

- Połowę już mamy za sobą - z pewnością siebie odparł Jacobs. Jego oddział skręcił w bok do centrali.

- Lew?

- Gotów do zamiatania - odparł wesoło kapitan Sharpsburg.

- Idę z tobą.

- To dla mnie przyjemność mieć do pomocy doświadczoną parę rąk.

- Ruszajmy.

Nie było synchronizowania zegarków, nastąpiło milczenie - oddziały po prostu rozdzieliły się i każdy ruszył do wyznaczonego celu. Wszyscy wiedzieli, co mają robić. Na odprawie powiedziano im dokładnie, jakie będą konsekwencje niepowodzenia. Cleary nie miał najmniejszej wątpliwości, że aby powstrzymać Wolfa przed rozpoczęciem apokalipsy, jego ludzie będą walczyć jak lwy i w razie potrzeby bez wahania oddadzą życie.

Szli swobodnie, płynnie, w szyku ofensywnym - dwóch ludzi dziesięć metrów z przodu i po bokach, dwóch z tyłu. Co pięćdziesiąt metrów stawali, padali na lód albo chowali się - jeśli było za czym. Cleary badał teren i porozumiewał się z oddziałami marines i SEAL.

- Wiking, raport.

- Czysto. Trzysta metrów do celu.

- Kruk? Na coś się natknąłeś?

- Gdybym nie znał prawdy, powiedziałbym, że teren jest opuszczony - odparł Jacobs.

Cleary nie odpowiedział. Wstał i poszedł za Sharpsburgiem, który właśnie dał rozkaz, by ruszać dalej.

Z zewnątrz zakład wyglądał ponuro i byle jak. Cleary nie widział niczego niezwykłego, tym bardziej narastał w nim niepokój. Teren był kompletnie pusty. Nie widać było ani jednego robotnika, nie poruszał się żaden pojazd. Było zbyt cicho. Wewnętrzny plac ogarnęła lodowata, upiorna cisza.

Karl Wolf patrzył na szereg monitorów w kwaterze głównej ochrony znajdującej się tuż nad centrum sterowania. Z rozbawieniem obserwował, jak Cleary i jego ludzie idą uliczkami kompleksu.

- Nie będziesz miał trudności z powstrzymaniem ich? - spytał Hugona, który stał obok.

- Najmniejszej zapewnił Hugo. - Dokładnie zaplanowaliśmy i przeciwiczyliśmy działania przewidziane w tego typu sytuacji. Umocnienia są na miejscu, barykady postawione, a uzbrojone traktory śnieżne czekają na rozkaz włączenia się do walki.

Karl zadowolony skinął głową.

- Dobra robota. Choć to elita armii amerykańskiej.

- Nie martw się, bracie. Moi ludzie są nie gorzej przeszkoleni od Amerykanów. Jest nas znacznie więcej, będziemy walczyć na własnym terenie, a element zaskoczenia jest po naszej stronie. Nie spodziewają się pułapki.

Poza tym możemy poruszać się podziemnymi tunelami, pojawiać się wewnątrz budynków i atakować ich flanki i tyły, zanim się połączą.

- Jaka jest ogólna strategia?

- Stopniowe zapędzanie ich do miejsca bez wyjścia przed centrum sterowania, gdzie będzie ich można zlikwidować.

- Nasi ojcowie, którzy w czasie wojny walczyli w tyłu bitwach z aliantami, byłiby z ciebie dumni.

Mile połączony komplementem brata Hugo strzelił obcasami i sztywno skłonił głowę.

- Możliwość służenia Czwartemu Imperium to dla mnie zaszczyt. - Podniósł głowę i popatrzył na monitory, by ocenić, jak daleko zaszły amerykańskie oddziały. - Teraz jednak muszę iść, bracie, i pokierować obroną.

- Ile czasu zajmie, twoim zdaniem, zniszczenie napastników?

- Pół godziny, na pewno nie więcej.

- Nie zostanie wiele czasu na dotarcie do samolotu i wejście na pokład.

Nie spóźnij się, Hugo. Nie chciałbym zostawić tu ciebie i twoich dzielnych ludzi.

- I pozbawić nas marzenia o tym wspaniałym nowym świecie? - spytał Hugo podniośle. - Nic z tego.

Karl wskazał na zamontowany między monitorami zegar cyfrowy.

- Za dwadzieścia pięć minut powinniśmy ustawić system oddzielenia lodowca na działanie automatyczne. Wtedy wszyscy opuszczą centralę sterowania podziemnym tunelem, prowadzącym do znajdującej się w bezpiecznej odległości od pola walki głównej sypialni robotników. Stamtąd pojedziemy elektrycznymi pojazdami do hangaru.

- Nie zawiedziemy pokładanego w nas zaufania - powiedział Hugo z nieugiętą pewnością.

- W takim razie życzę dużo szczęścia - odparł Karl. Z powagą uściśnił Hugonowi dłoń, odwrócił się i wszedł do windy, która miała go zawieźć do centrali sterowania.

Cleary i oddział Lwa znajdowali się już tylko o sto pięćdziesiąt metrów od wejścia do centrum sterowania, kiedy w słuchawkach rozległ się głos Gameta

- Czarodziej, tu Wiking. Coś jest nie tak.

W tym momencie Cleary zauważył postawioną w poprzek drogi barykadę i ciemne wyloty opartych o jej szczyt luf. Otworzył usta, by krzyknąć, ale było za późno. Ogluszająca salwa huknęła tuż przed oddziałem Delta Force. Huk z ponad stu luf przepelnił lodowate powietrze i odbił się echem od ścian budynków. Ogluszający ryk rozlegał się wszędzie.

Ostrzelani na otwartej przestrzeni Garnet i jego marines odpowiedzieli ogniem osłaniającym, chowając się za najmniejsze nawet występy terenu w okolicy budynków. Mimo ostrzału szli dalej w kierunku elektrowni. Garnet zauważył lodową barykadę, którą dało się odróżnić od tła dopiero wtedy, kiedy dzieliło ich od niej niecałe sto metrów. Jego ludzie rozpoczęli ogień kontratakujący, ostrzeliwując schowanych za barykadą ludzi Wolfa z pocisków rozpryskowych.

Znajdujący się przed centralą sterowania Cleary niemal w tym samym czasie stanął przed taką samą lodową ścianą i pod takim samym ostrzałem co Garnet. Pierwszy żołnierz z lewej flanki padł na lód postrzelony w kolano i udo. Sharpsburg podczołgał się do niego, złapał za buty i wciągnął za róg budynku.

Cleary przykucnął pod prowadzącymi do niewielkiego magazynku schodami. W wiszące nad jego głową sople wpadły pociski, na ramiona zleciał mu grad kawałków lodu. Jeden z pocisków trafił go tuż nad sercem. Kula leciała skosem i nie przebiła kamizelki kuloodpornej, ale sprawiła, że zatoczył się kilka kroków do tyłu, a klatka piersiowa rozboleła go, jakby ktoś uderzył w nią młotem. Sierżant Carlos Mendoza, najlepszy strzelec oddziału, wycelował w człowieka Wolfa, który strzelił do Cleary'ego, i pociągnął za spust. Zza skraju barykady skoczyła w górę ubrana na czarno postać, po czym upadła na lód i zniknęła z pola widzenia. Sierżant wybrał następny cel i ponownie strzelił.

O daszek nad Clearym zadudniły kolejne pociski, rozpryskując sople we wszystkie strony. Zbyt późno pojął, że ludzie Wolfa byli przygotowani i czekali na nich. Umocnienia wyglądały, jakby ustawiono je specjalnie dla nich. Z bólem musiał pogodzić się z myślą, że brak informacji wywiadowczych może ich kosztować życie. Powoli dostrzegał, że obrońcy mają przeważające siły.

Pluł sobie w brodę, że uwierzył niesprawdzonym danym. Skłął Pentagon i CIA, które oceniły liczebność ochrony Wolfa na dwadzieścia, może dwadzieścia pięć osób. Był wściekły, że popełnił największy błąd w karierze wojskowej: nie docenił przeciwnika.

- Wiking! - wrzasnął do mikrofonu. - Raport!

- Sześćdziesięciu albo więcej ludzi blokuje drogę przed nami - odparł Jacobs pozbawionym emocji głosem, jakby opisywał stojące na pastwisku krowy. - Jesteśmy pod ciężkim ostrzałem.

- Możesz się przebić i zabezpieczyć elektrownię?

- Nie możemy się posuwać dalej z powodu niezwykle celnego ognia.

To nie jest ochroniarska zbieranina. Doskonale wiedzą, co robią. Możesz przysłać grupę odciążającą, Czarodzieju? Jeśli połączymy siły i zrobimy manewr oskrzydający, uda nam się wziąć barykadę.

- Odmawiam - odparł Cleary. Doskonale znał wartość Zwiadu Marynarki. Jeśli oni nie mogli posunąć się do przodu, nikt inny by tego nie dokonał. - Nas też blokuje silny ogień, przynajmniej osiemdziesięciu ludzi, i nie możemy przysłać wam wsparcia. Powtarzam: nie mogę oddać wam ludzi.

Wypląćcie się z tego najlepiej, jak możecie, i nawiążcie kontakt z Lwem.

- Zrozumiałem, Czarodzieju. Wycofuję się.

Dla Garneta, którego pododdział był wystawiony na ogień wroga, odmowa pomocy była katastrofą. Pozostawało mu tylko wycofać się i dotrzeć przez płataninę przecinających teren zakładu uliczek do Cleary'ego i oddziału Delta Force Sharpsburga. Nie marnował czasu na rozważanie możliwości odmowy wykonania rozkazu i kontynuowania natarcia. Atakowanie barykady obsadzonej siłami trzykrotnie przekraczającymi jego własne w otwartym terenie byłoby samobójstwem. Doprowadziłoby do masakry, za którą byłby odpowiedzialny. Musiał się wycofać, zabierając rannych spod morderczego ognia.

Dla Jacobsa, który ze swoimi ludźmi obszedł już do połowy centrum sterowania, odgłosy walki i alarmujące raporty Cleary'ego i Gameta były wstrząsem. Kazał swym ludziom przyspieszyć - w nadziei, że uda im się dostać do centrum sterowania od tyłu i zmniejszyć napór na oddziały Wikinga i Lwa. Zaledwie sto metrów dzieliło oddział SEAL od budynku centrali, kiedy zza rogu wyjechały dwa traktory i otworzyły do nich ogień.

Jacobs bezradnie patrzył, jak padło dwóch jego ludzi. Wściekły, naciskał spust tak długo, aż z lufy jego karabinu wyleciał ostatni pocisk. Sierżant złapał go za kołnierz i zaciągnął za pojemnik na śmieci, nim dosięgła go seria z broni przeciwnika. Kanonada pocisków rozpryskujących, wystrzelonych przez ludzi SEAL, na chwilę powstrzymała traktory, ale po chwili znów zaczęły nacierać.

Uparci żołnierze oddziału SEAL wycofywali się, wykorzystując do ochrony każdy najmniejszy występ terenu. Nagle od tyłu pojawiły się dwa kolejne traktory, zasypując marines gradem ołowiu. Jacobs poczuł, jak w żołądku wplątuje mu się gruby supeł. Poza wąską, prostopadłą do ulicy alejką jego oddział nie miał gdzie uciekać. Pomodlił się krótko, by nie okazało się, iż są Wpychani w pułapkę, ale na przestrzeni przynajmniej siedemdziesięciu metrów uliczka wyglądała na pustą.

Biegł ze swoimi ludźmi z nadzieją, że uda im się znaleźć kryjówkę, zanim traktory wjadą w światło alejki i będą miały czyste pole do strzału, i nawiązał łączność z Clearym.

- Czarodziej, tu Kruk. Atakują nas cztery uzbrojone traktory.

- Mają ciężką broń?

- Jeśli tak, to na razie jej nie pokazali. W każdym pojeździe jest czterech ludzi z karabinami maszynowymi. Nasze pociski rozpryskowe dają niewielki efekt.

Cleary wpelzł pod schody i popatrzył na mapę.

- Podaj swoją pozycję.

- Idziemy wąską alejką, biegnącą w kierunku morza za budynkami, które wyglądają na warsztaty naprawcze. Jesteśmy jakieś sto pięćdziesiąt metrów od centrum sterowania.

- Przejdź jeszcze pięćdziesiąt metrów, skręć w prawo i przesuwaj się między zbiornikami paliwa. Powinieneś w ten sposób dotrzeć boczną drogą w pobliże centrali i oskrzydlić wroga.

- Zrozumiałem, Czarodzieju. Ruszamy. - Zanim się rozłączył, zapytał jeszcze: - Co mamy na traktory?

- Wiking ma dwa LRP.

- Potrzebujemy czterech.

- Człowiek, który miał pozostałe dwa, zaginał w trakcie skoku.

- Wiking jest przy elektrowni - z rezygnacją powiedział Jacobs. - Nie jego atakują traktory, a nas...

- Kazałem mu się wycofać, ponieważ trafili na przeważający ogień. Powinien wkrótce połączyć z się Lwem.

- Powiedz mu, żeby załadował. Kiedy wyjdziemy przed was, będą nam siedzieć na ogonie cztery paskudne maszyny.

Oddział SEAL okrążył zbiorniki paliwa, nie natykając się na ogień wroga. Patrząc na mapę, Jacobs poprowadził swoich ludzi wzdłuż długiego muru, który kończył się tuż przed centralą sterowania. Miejsce wydawało się idealną osłoną do zaatakowania z boku ludzi Wolfa, który schowani za barykadą ostrzeliwali Sharpsburga i jego oddziały Delta Force. Brakowało im jeszcze pięćdziesięciu metrów do końca muru, kiedy od tyłu spadł na nich deszcz skoncentrowanego ognia.

Grupa Wolfa przeszła podziemnym tunelem i nieoczekiwanie wyszła z budynku, który SEAL przed chwilą minął. Jacobs od razu zrozumiał, że dalsze okrążenie ludzi atakujących Sharpsburga jest niemożliwe. Wybierając najbezpieczniejszą drogę, poprowadził swój oddział do miejsca, którego z niewyjaśnionych powodów wróg nie ostrzeliwał.

Cleary leżał płasko na brzuchu osiem metrów dalej i lustrował przez lornetkę barykadę zamykającą wejście do centrum sterowania, szukając w niej słabego punktu. Niczego nie znalazł i choć jego pozycja - podobnie jak Garneta - stawała się coraz trudniejsza do utrzymania, był zdecydowany zaatakować centrum sterowania natychmiast po dołączeniu Zwiadu Marynarki i rozpoczęciu przez SEAL manewru oskrzydającego.

W głębi duszy zaczynał jednak wątpić, czy mają jeszcze szansę na zwycięstwo.

Ludzie Wolfa walczyli zażarcie. Walczyli nie tylko o swoje życie, ale także o życie swych rodzin, czekających na pokładzie „Ulricha Wolfa”. Hugo szalał w wirze walki przed centralą sterowania, kierując ludźmi i zacieśniając pętlę wokół amerykańskiego oddziału szturmowego. Jego arogancja przy wydawaniu rozkazów odzwierciedlała bezgraniczną pewność siebie i optymizm. Wszystko przebiegało idealnie według planu. Hugo był w godnej pozazdroszczenia sytuacji dowódcy, który mógł dyktować warunki.

Prowadził wroga wprost do miejsca zagłady - tak jak obiecał Karlowi.

- Bracie Karlu? - powiedział do mikrofonu w hełmie.

Nim Karl odpowiedział, przez sekundę w słuchawkach słychać było trzaski.

- Tak, Hugo?

- Atak opanowany. Możecie ruszać w stronę hangaru zaraz po tym, jak inżynierowie nastawią systemy nanotechnologiczne na działanie automatyczne.

- Dziękuję, bracie. Wkrótce spotkamy się przy samolocie.

Dwie minuty później, kiedy Hugo miał właśnie wydać rozkaz, by dwa ostatnie traktory zaatakowały amerykański oddział, podbiegł do niego jeden z żołnierzy.

- Sir, mam pilną wiadomość z hangaru!

- Co się stało? - zawołał Hugo, przekrzykując strzelaninę.

W tym momencie sierżant Mendoza zmrużył oko, wpatrzony w celownik ustawiony dokładnie na głowie żołnierza Wolfa, i delikatnie pociągnął za spust. Ochroniarz padł martwy u stóp Hugona, nie zdążywszy nawet poczuć kuli, która weszła w głowę prawą skronią, a wyszła lewą. Pilna wiadomość o zniszczeniu samolotów przez dziwny pojazd zginęła wraz z nim.

Marines Gameta dołączyli do oddziału Delta Force Sharpsburga i zaczęli się chować, kiedy cztery traktory, porzuciwszy ludzi Jacobsa, zaatakowały ich od tyłu. Marines wycelowali w nie dwa pociski przeciwpancerne. Przy odległości mniejszej niż sto metrów nie mogli chybić. Pierwszy ciągnik eksplodował w kuli ognia, rozpryskując na boki kawały metalu i poszarpane ciała, tworząc zapórę, która ochroniła pozostałe przed ostrzałem oblężonych Amerykanów.

Cleary szybko pojął, że dostali jedynie krótkotrwałe odroczenie wyroku. Niedługo ludzie Wolfa domyślą się, że traktory nie są dalej ostrzeliwane z broni Przeciwpancernej, ponieważ przeciwnik po prostu jej nie ma. Wtedy pozostałe ciągniki zaatakują i nie będzie ich jak powstrzymać. Jediną szansą odwrócenia losów potyczki był atak ludzi Jacobsa na barykadę od flanki.

Odsłuchiwane w Waszyngtonie rozmowy dowódców oddziałów jednoznacznie dowodziły, że oddział szturmowy ma poważne kłopoty. Z każdą minutą stawało się coraz bardziej jasne, że Cleary i jego podwładni zostaną lada chwila zmiażdżeni. Prezydent i członkowie Komitetu Szefów Sztabów nie mogli uwierzyć w to, co słyszeli. Brawurowa misja okazała się krwawą katastrofą. Byli przerażeni wizją zagłady świata. Nikt nie był w stanie pogodzić się z tym koszmarem.

- Samolot z głównym oddziałem.. - prezydent był coraz bardziej rozkojarzony - kiedy...?

- Dotrą na miejsce najwcześniej za czterdzieści minut - odparł generał South.

- To znaczy?

- Zostały dwadzieścia dwie minuty do poziomu pływu optymalnego dla oderwania lodowca.

- W takim razie musimy odpalić rakiety.

- Zginą także nasi ludzie - powiedział generał South.

- Czy mamy inne wyjście? - spytał prezydent.

South popatrzył na rękę i powoli pokręcił głową.

- Nie, panie prezydencie. Nie mamy.

- Mam wydać rozkaz komandorowi „Tucsona”, by odpalił rakiety? - spytał admirał Eldridge.

- Jeśli mogę wyrazić swe zdanie - wtrącił generał Coburn, szef Sztabu Sił Powietrznych - uważam, że najlepszym wyjściem byłoby wysłanie bombowców stealth. Ich załogi mogą umieścić pociski raketowe precyzyjniej niż wystrzelony z okrętu podwodnego tomahawk.

Prezydent szybko podjął decyzję.

- Dobrze, zaalarmować załogi bombowców, ale czekać z odpaleniem pocisków do przekazania rozkazu. Może zdarzy się cud, oddział majora Cleary'ego przebije się do centrum sterowania i powstrzyma odliczanie.

Kiedy generał Coburn wydawał rozkazy, generał South mruknął pod nosem:

- Bo nic poza cudem już im nie pomoże.

43

Od placu odchodziły ulice, które znikwały między wystającymi z lodu budynkami. Nie były tak duże, jak budynki w miastach późniejszych cywilizacji, a ich architektura nie przypominała niczego, co Pitt i Giordino widzieli podczas którejkolwiek ze swoich podróży. Nie dało się określić, jaką powierzchnię zajmuje miasto. Widać było jedynie maleńki fragment wspaniałej kultury Amenów.

Po przeciwnej stronie placu wznosiła się wielka, bogato zdobiona budowla, z trójkątnymi kolumnami, wspierającymi dwuspadowy dach z tympanonem. Jego pole wypełniała płaskorzeźba ukazująca flotę starożytnych statków, pod nim biegł gzyms, na którym wyrzeźbiono ze szczegółami zwierzęta oraz ludzi, ubranych w takie same stroje, jak mumie z wyspy Saint Paul. Jedynie zawodowy architekt był w stanie dostrzec, że zasadnicza forma budynku przetrwała przez tysiąclecia i została skopiowana przez późniejszych budowniczych wspaniałych świątyń w Luksorze, Atenach i Rzymie. Nietypowe, trójkątne kolumny w porównaniu z późniejszymi - doryckimi, jońskimi i korynckimi - wyglądały obco.

Za kolumnami znajdowało się szerokie wejście. Nie było schodów, wchodziło się po skośnych pochylniach. Pitt i Giordino jak zaczarowani wysiedli ze Snow Cruisera i weszli do budynku. W głównej sali nad pokrytą lodem, wykutą w nagiej skale podłogą wznosił się wysoki trójkątny dach na kroksztynach. W wielkich wnękach w ścianach stały kamienne rzeźby, które musiały przedstawiać królów Amenów - mocarne postacie o okrągłych oczach i wąskich twarzach, wyrzeźbione z granitu bogatego w kwarc, który migotał, kiedy przechodzili obok nich. W podłodze znajdowały się rzeźbione głowy mężczyzn i kilku kobiet, których oczy patrzyły w górę przez cienką warstwę lodu - nad głowami znajdowały się ameńskie napisy.

W środku olbrzymiej komnaty stała na podwyższeniu naturalnej wielkości realistyczna rzeźba starożytnego statku - z rzędami wiosł, ożaglowaniem i olinowaniem oraz załogą. Widok był niesamowity. Rzemieślnicza staranność, z jaką wykonano dzieło, oraz artystyczna doskonałość wskazująca na całkowite panowanie nad kamiennym materiałem nadawały obiektowi niezwykle, mistyczny charakter. Przy nim współczesne rzeźby musiały się wydawać prymitywne.

- Co to jest? - spytał poważnie Giordino, jakby stał w katedrze. - Świątynia ich bogów?
- Raczej mauzoleum albo grobowiec - odparł Pitt, wskazując na wystające z podłogi głowy. - Wyglądają jak pomniki nagrobne, może przedstawiają tych, którzy badali świat i zginęli na morzu?
- Zdziwiałe, że dach się nie zawalił po uderzeniu komety i pod ciężarem lodu.
- Budowniczowie musieli spełniać niezwykle wysokie standardy, możliwe do osiągnięcia jedynie przez rozwiniętą technicznie kulturę.

Zajrzeli w głąb labiryntu pozbawionych okien korytarzy, których ściany przepięknie wymalowano scenami morskimi. Ukazano wszystkie stany morza - od płaskiej jak stół płaszczyzny po wzburzone, gnane szaleńczym huraganem fale uderzające w skaliste wybrzeża. Amenowie nie szukali Boga w niebie, jak współcześni ludzie - ale w morzu. Ich pomniki ukazywały ludzi, nie stylizowane boskie postacie.

- Dawno zaginiony lud, który odkrył świat - powiedział filozoficznie Giordino. - Nic po nich nie pozostało, nawet kości.

Pitt skinął głową w kierunku wąskich przejść, wykutych w lodzie.

- Bez wątpienia wszystko zabrali hitlerowcy, którzy odkryli to miejsce, a teraz mają to Wolfowie na „Ulrichu Wolfie”.

- Nie wygląda na to, by nasza rodzinka zbadała więcej niż jedną dziesiątą miasta.

- Mieli na głowie ważniejsze sprawy. Na przykład musieli chować hitlerowskie skarby i tajne relikwie, uzyskiwać złoto z wody morskiej i planować zniszczenie świata, by zbudować go na nowo wedle swych wyobrażeń...

- Szkoda, że nie mamy czasu na badania.

- Niczego chętniej bym nie zrobił. Niestety, zostało nam tylko niecałe dwadzieścia pięć minut na znalezienie centrali sterowania.

Z żalem, że nie mogą dłużej zostać, Pitt i Giordino powoli wyszli ze wspaniałego gmachu i pobiegli do Snow Cruisera. Jadąc dalej śladami śnieżnego ciągnika, Pitt minął miasto duchów i wprowadził pojazd do odchodzącego za mauzoleum Amenów tunelu. Im bliżej zakładu, tym szybciej jechał Pitt. Giordino przykucnął na podłodze i wystawił lufę bushmastera przez rozbite środkowe okno.

Po przejechaniu kolejnego kilometra zza zakrętu wypadł jadący na nich elektryczny pojazd. Trójka ochroniarzy patrzyła z przerażeniem na pędzącego na nich potwora. Przestraszony kierowca wdepnął z całej siły pedał hamulca, wprowadzając auto w poślizg. Nie zwolnili nawet o jotę. Pozostała dwójka wyskoczyła, daremnie próbując ocalić życie.

Snow Cruiser huknął w pojazd, przejeżdżając po nim jak ciężka śmieciarka po dziecinnym trzykołowcu. Rozległy się jęki i zgrzyt gniecionej, rozrywanego metalu. Kierowca samochodu zniknął wraz ze zmiażdżonym autem pod Snow Cruiserem, pozostali dwaj zostali wgnieceni w ściany tunelu potężnymi oponami. Kiedy Pitt spojrzał w boczne lusterko, ujrzał jedynie kulę sprasowanego złomu.

Giordino odwrócił się i popatrzył przez tylną szybę.

- Mam nadzieję, że zapłaciłeś składkę ubezpieczeniową.

- To tylko zniszczenie przedmiotów martwych. Nigdy nie kupuję ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków.

- Powinieneś się nad tym zastanowić.

Po kolejnych dwustu metrach dojechali do miejsca, gdzie grupy robotników w czerwonych kombinezonach ładowały drewniane skrzynie na wagony-platformy, podczipione do dużego ciągnika. Podnośniki widłowe woziły kolejne skrzynie do pomieszczenia znajdującego się za stalowymi masywnymi drzwiami. Ich bolce zabezpieczające wchodziły głęboko w lód, przypominając zamknięcie sejfu bankowego. Krótki, wykuty w lodzie korytarzyk prowadził do wielkiej jaskini.

Dwóch strażników zamarło na widok olbrzymiego Snow Cruisera, który wypadł z rykiem z pustego tunelu. Stali bez ruchu w świetle reflektorów. Dopiero kiedy Giordino posłał w wózki widłowe krótką serię z bushmastera, robotnicy i ochroniarze ożyli i wpełzli do jaskini, by uratować się przed walącą na nich lawiną stali.

- Drzwi! - krzyknął Pitt i zaczął gwałtownie hamować.

Giordino nic nie powiedział, ale jakby czytając Pittowi w myślach, wyskoczył ze Snow Cruisera i podbiegł do stalowych drzwi. Aby go osłonić, Pitt strzelił kilka razy z colta w prowadzącą do

jaskini korytarzyk. Giordino spostrzegł z zaskoczeniem, że drzwi chodzą niezmiernie lekko. Ciężkie stalowe wrota zasunęły się, jakby wisiały w powietrzu. Kiedy trzasnęły oporniki, zakręcił koło, aż rygle wskoczyły w leża. Potem zablokował zamek, owijając go wokół znalezionym na jednym z podnośników łańcuchem. Teraz ochroniarze i robotnicy Wolfa byli skutecznie uwięzieni bez perspektywy szybkiego uwolnienia.

- Ciekawe, co jest w tych skrzynkach? - spytał Giordino, kiedy wrócili do Snow Cruisera.

- Podejrzewam, że przedmioty z miasta Amenów.

Pitt szybko zmieniał biegi, aż osiągnęli maksymalną prędkość. Umieszczony na dachu samochodu aniołek pomógł im dotrzeć aż tutaj, ale przed sobą mieli jeszcze długą drogę. To fakt, że na ich korzyść działał element zaskoczenia. Zdziwiałoby było, że jeszcze ani razu do nich nie strzelano. Pitt wiedział doskonale, że ten stan może się w każdej chwili gwałtownie zmienić. Moc anioła stróża nie była nieograniczona. Jak na razie poradzili sobie z niespodziankami, ale kiedy Snow Cruiser wypadnie na otwartą przestrzeń, nie będzie wesoło. Każda lufa w zakładzie skieruje się na nich.

Po długim, łukowatym zakręcie nagle wjechali do olbrzymiego hangaru, w którym stały samoloty Destiny Enterprises. Nie unosząc nogi z pedału gazu, Pitt błyskawicznie zorientował się w sytuacji - dostrzegł dwa zaparkowane na środku airbusy A340-300. Pod lukiem ładunkowym pierwszego z nich stał traktor ze składem wagoników, a znajomo wyglądające drewniane skrzynie wjeżdżały do środka taśmociągiem. Inżynierowie i robotnicy wchodzili do drugiej maszyny typowymi lotniskowymi przewoźnymi schodkami. Nieco dalej tankowano smukły dyrektorski odrzutowiec.

Nie widząc strażników, Pitt odetchnął.

- I co my tu mamy?

- Aha! - Na widok sztywniejącej nogi Pitta Giordino cały się napiął.

Spojrzał na deskę rozdzielczą i spytał:

- Czy zamierzasz zrobić to, co przypuszczam?

- Wystartuj raz w tych zawodach, gdzie samochody rozbijają się nawzajem - odparł Pitt z diabolicznym błyskiem w oku - a od razu wejdzie ci to w krew.

Reakcja ludzi na widok Snow Cruisera, który pojawił się jak spod ziemi, była taka sama jak ich towarzyszy w tunelu. Zamarłe ze zdumienia i przerażenia oczy wpatrywały się w pędzącego czerwonego demona.

Pitt potrzebował trzech sekund, by wybrać drogę zniszczenia. Tyle samo potrzebowali ludzie Wolfa, by pojąć, co zamierza. Opanowany uczuciem, które znacznie wykraczało poza zwykłą zawziętość, Pitt ruszył prosto na bliższego airbusa. Ogromny samolot nie był zbyt wysoki dla Snow Cruisera. Prawy róg karoserii, na wysokości deski rozdzielczej, trafił w tył lewego skrzydła, dwa i pół metra od jego końca, zniszczył klapy oraz połamał na kawałki końcówkę skrzydła.

Załadowujący samolot robotnicy i członkowie personelu naziemnego rozprysnęli się na boki, kiedy samolot, ślizgając się po lodzie, przekręcił się o dziewięćdziesiąt stopni. Część ludzi upadła, ale nawet leżąc, starali się oni jak najdalej odpełznąć od oszalałego, ryczącego tytana. Jedynym dźwiękiem, jaki do nich docierał, był modulowany zmianami biegów ryk silników. Nic w gigantycznym pojeździe nie było znajome. Szybko zauważono grubo obandażowaną głowę Pitta, wściekle szarpiącego na boki kierownicą, oraz Giordina, który groźnie wystawił lufę karabinu przez boczne okienko. Zobaczono dość, by wezwać ochronę, ale ta pojawiła się zbyt późno, by powstrzymać zniszczenia.

Snow Cruiser uderzył w skrzydło drugiego airbusa. Niestety Pitt wycelował zbyt blisko kadłuba i

kawałek skrzydła, które złamało się na pół, wydając z siebie przerażający zgrzyt, owinął się wokół przedniego koła. Pitt wrzucił wsteczny bieg i dodał gazu. Snow Cruiser ruszył do tyłu, ale pociągnął za sobą cały samolot. Pitt kręcił kierownicą, by uwolnić pojazd, jednak splątana blacha wciąż trzymała - przy dodaniu gazu koła Snow Cruisera bezsensownie obracały się w miejscu.

Snow Cruiser, Pitt pojechał kawałek do przodu, potem znów do tyłu, jakby chciał wydobyć auto, które ugrzęzło w błocie. W końcu, po licznych metalicznych piskach i zgrzytach, skrzydło oddzieliło się od koła i opadło nienaturalnie wykrzywione. Jego czubek sięgał lodu, a całość wyglądała jak kawał pogiętego aluminium, na który czekają już na złomowisku. Bez wahania i jakichkolwiek oznak emocji Pitt skręcił na odrzutowiec dyrektorski.

- Chyba nie zamierzasz wszystkiego rozwalić... - powiedział Giordino z mieszaniną rezygnacji i rozbawienia.

- Słuchaj! Jeśli ten drań przygotował światu apokalipsę, może tu zostać i pocierpieć z innymi.

Poobijany Snow Cruiser rozwalił ogon prywatnego odrzutowca Wolfa, znacznie niższego od airbusów. Tym razem ciężarówka bez trudu oderwała stateczniki poziome i pionowe, jakby to był zrobiony z balsy model. Tył kadłuba pękł wzdłuż na dwie części i opadł na lód, nos i skrzydła uniosły się, jakby maszyna startowała.

Giordino z podziwem pokręcił głową.

- Jeśli wszędzie, gdzie się pojawiasz, będziesz robił taki bałagan, nikt cię drugi raz nie zaprosi.

Pitt odwrócił się do przyjaciela. Jego uśmiech był szerszy od horyzontu.

- Kiedy człowiek się dobrze bawi, czas mija szybko.

Pitt podniósł wzrok i w połamanych resztkach tylnego lusterka zauważył opancerzony traktor. Nie bardzo się tym przejął - przynajmniej na razie - ponieważ wyliczył, że Snow Cruiser jest szybszy o jakieś dziesięć kilometrów na godzinę.

Wjechał w tunel, by nie dać się dogonić ochroniarzom na ciągniku, i od razu zaczęli obijać się o ściany. Z poślizgiem wpadł w zakręty, dzięki czemu pozostawał poza polem ostrzału, i w końcu zwiększył dystans na tyle, że ciągnik zniknął z widoku.

- Zgubiłeś go - stwierdził Giordino i strząsnął z ramion szkło z roztrzaskanej tylnej szyby, jakby to był łupież.

- Nie na długo - spokojnie odpowiedział Pitt. - Kiedy wyjedziemy na otwarty teren, będziemy kaczką do odstrzału.

Cztery minuty później wyjechali zaa ostatniego zakrętu tunelu i dojechali do miejsca, gdzie leżało mnóstwo porzuconego sprzętu, a liczne otwarte drzwi prowadziły do pustych magazynów. Po kolejnych dwóch minutach Snow Cruiser z rykiem wyjechał na otwartą przestrzeń - niecały kilometr od centrum ogrodzonego terenu.

Wreszcie dotarli do celu. Przed sobą mieli zakład uzyskiwania pierwiastków. W odróżnieniu od stacji polarnych, które zazwyczaj są zagrzebane pod lodem i śniegiem, Wolfowie usuwali śnieg z domów i biegnących między nimi ulic. Mniejsze budynki stały w kręgu, otaczając dwa duże gmachy - właściwy zakład uzyskiwania złota oraz centrum sterowania.

Lodowate powietrze nagle przerwała kanonada. Z pięter budynków buchnęły płomienie i w górę poleciały słupy dymu, które spłaszczały się, docierając do warstwy inwersji temperatury. Od eksplozji w powietrzu latały bliżej nie określone fragmenty przedmiotów, wybuchom wtórowały salwy z broni automatycznej. Na ulicach leżały porozrzucone w nienaturalnych pozach ciała, czerwień na śniegu zdawała się groteskowa. Na każdą postać w białym stroju kamuflującym

przypadały dwie w czarnych kombinezonach.

- Wygląda na to - ponuro powiedział Pitt - że przyjęcie zaczęło się bez nas.

44

Mimo znakomitego wyszkolenia żołnierzy, ich odwagi i poświęcenia, by powstrzymać nadchodzący kataklizm, wszystko wskazywało na to, że misja załamuje się. Brali na siebie ciosy, odnosili rany i ginęli na darmo. Nie posunęli się ani o metr. Katastrofa następowała po katastrofie, potwierdzały się najgorsze obawy Cleary'ego. Oddział SEAL Jacobsa, zamiast zaatakować flankę barykady, został zapędzony w ten sam kocioł, co pozostali. Pułapka zatrzasnęła się. Każdą dziurę zatkało. Cały oddział szturmowy siedział w worze bez wyjścia.

Cleary miał rozcięty szrapnelem podbródek i postrzeloną dłoń. Sharpsburg został wyłączony z akcji po postrzałach w ręce i nogi, a Garnet pluł krwią z rany w gardło. Jedynie Jacobs był jeszcze cały i bez ustanku pokrzykiwał na żołnierzy, dodając im odwagi i kierując ogniem.

Nagle ludzie Wolfa wstrzymali ostrzał. Żołnierze strzelali jeszcze przez chwilę, po czym Cleary, nie wiedząc, co zamierza Wolf, kazał wstrzymać ogień.

Z głośników umieszczonych na budynkach, odbijając się echem w uliczkach, dobiegł zdecydowany, dobitny głos. Wiadomość, którą miał do przekazania - za pośrednictwem mikrofonów żołnierzy Cleary'ego - natychmiast dotarła do Waszyngtonu.

- Proszę o uwagę. Mówi Karl Wolf. Pozdrawiam amerykański oddział szturmowy, który spróbował zinfiltrować zakład uzyskiwania pierwiastków Destiny Enterprises. Z pewnością wiecie już, że znajdujecie się w znaczącej mniejszości, jesteście otoczeni i uwięzieni bez możliwości ucieczki. Dalszy przelew krwi nie ma sensu. Radzę złożyć broń i wycofać się na lodowiec, gdzie przejmą was wasi ludzie. Otrzymacie pozwolenie zabrania rannych i zabitych. Jeśli nie wyrazicie zgody w ciągu sześciu sekund, wszyscy zginiecie. Wybór należy do was.

Wiadomość była wstrząsająca.

Cleary nie chciał się pogodzić z przegraną. Patrzył bezradnie na poskręcane, poszarpane pociskami ciała zabitych i rannych. W oczach tych, którzy wciąż jeszcze mogli walczyć, nie widać było strachu, ale nieustępliwość. Walczyli twardo do ostatniej kropli krwi. Dali z siebie wszystko, co mogli, ale nie byli w stanie zdziałać więcej, niż umrzeć na polu walki - nieznani i nie opłakiwani przez nikogo.

Z sześćdziesięciu pięciu ludzi, którzy wyskoczyli z C-17, pozostało tylko dwudziestu sześciu zdolnych do walki. Z przodu ostrzeliwano ich zza barykady, z tyłu nacierały traktory. Cleary walczył z ogarniającymi go pesymizmem i goryczą, jakich nie zaznał jeszcze nigdy w życiu. Kolejna próba wydawała się beznadziejna, ale był zdecydowany zaatakować jeszcze raz. Parcie do przodu było równoznaczne z samobójstwem, ale nie myślał o poddaniu się. Każdy członek oddziału wiedział, że jeśli nie zginie tu i teraz, zginie, kiedy Ziemia oszaleje. Cleary, pełen najgorszych przeczuć, kazał swym ludziom przegrupować się przed ostatnim atakiem na centralę sterowania.

W tym momencie w ciszy rozległ się dźwięk przypominający trąbiący w oddali klakson samochodowy. Odgłos robił się coraz głośniejszy i wszyscy uczestnicy bitwy odwrócili się w

kierunku, skąd dochodził.

Jeszcze chwila i zjawisko ukazało się za ich plecami.

- Co się stało? - Loren przekrzykiwała pomruk męskich głosów, zaciekawiona okrzykami dobiegającymi z głośników.

Wszyscy w pomieszczeniach dowodzenia w Pentagonie i Białym Domu patrzyli na ekrany ukazujące nieruchome zdjęcia zakładu Wolfa. Przez długą chwilę siedzieli, nie próbując nawet ukryć zdumienia, i słuchali jak zaczarowani tego, co przekazywały mikrofony z pola walki.

- Mój Boże! - wyrzucił z siebie charkotliwie admirał Eldridge.

- Co tam się, do diabła, dzieje? - spytał prezydent.

- Nie mam zielonego pojęcia, panie prezydencie... - mruknął generał South, nie pojmując chaotycznych słów żołnierzy oddziału specjalnego, którzy wrzeszczeli wszyscy naraz. - Nie mam pojęcia...

Na miejscu potyczki zaczęło się dziać coś niezwykłego. Zarówno żołnierze oddziału specjalnego, jak i ochroniarze Wolfa zapatrzyli się przerażeni w miejsce, z którego dobiegało trąbienie. Po chwili Cleary zobaczył monstrualną czerwoną ciężarówkę, która toczy się na przypominających gigantyczne precle kołach i szybko rośnie w oczach jak w śnie szaleńca. Zafascynowany patrzył szeroko otwartymi oczami, jak olbrzymi wehikuł wali w traktory śnieżne, przewraca je na bok i miażdży. Zaskoczeni ochroniarze wylatywali w powietrze, po czym spadali na lód i pozostawali tam jak nieruchome kupki szmat. Znad płataniny zgrzytających, kotłujących się bezładnie drzwi, ogniów gąsienic, odprysków stali i płyt pancernych buchnęły wirujące korkociągi płomieni. Potwór nawet na chwilę nie zwolnił, kierowca przyspieszył, by kontynuować bezlitosne dzieło zniszczenia.

Jacobs krzyknął na swoich ludzi, żeby odskoczyli na bok. Nawet ranny Sharpsburg odczołgał się, by nie przejechał go pędzący twór. Garnet i jego ludzie gapili się z niedowierzaniem, na szczęście w odpowiednim momencie przytulili się do ścian budynków, ratując życie.

Maszyna wjechała między nich, wydając niewyobrażalny ryk z rur wydechowych, których tłumiki oderwały się podczas zderzenia z traktorami. Żaden ze skulonych w śniegu, oszołomionych żołnierzy nie zapomni tego dźwięku. Po chwili pojazd wpadł w lodową barykadę obsadzoną ludźmi Wolfa i przełamał ją, jakby była z kartonu.

Strażnicy zamarli w bezruchu tak samo jak członkowie oddziału szturmowego i z fascynacją patrzyli, jak kolos nienasycony zniszczeniem barykady popędził dalej z hukiem. Niczym wyzwolony spod kontroli człowieka pociąg ekspresowy, obojętny na powodowane przez siebie zniszczenia, pognął w kierunku wejścia do centrali sterowania.

Świat oszalał! Ludzie Wolfa w poszukiwaniu kryjówki zaczęli skakać we wszystkich możliwych kierunkach. Przez krótką, ulotną chwilę Cleary byłby gotów przysiąc, że zbawcą jego oddziału są obcy z kosmosu albo zrodzone z halucynacji demony. Szybko jednak pojął, że dzięki pojazdowi gigantowi zwycięstwo jest znów możliwe.

Na zawsze zapamiętał obraz wspaniałego pojazdu, czerwonej karoserii migoczącej w promieniach jaskrawego słońca, kierowcy, który jedną ręką prowadził, a drugą strzelał przez okno do ochroniarzy Wolfa ze starego samopowtarzalnego colta model 1911 A1 tak szybko, jak na to pozwalał spust, oraz pasażera, walącego z bushmastera do każdego czarnego munduru, jaki się poruszył. Ten nieoczekiwany spektakl sprawił, że niejeden z żołnierzy zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie zwariował.

Trzydziestu albo może czterdziestu ludzi Wolfa, którzy przeżyli walkę z żołnierzami Cleary'ego i

atak ciężarówki, zaczęło ze wszystkich luf bombardować morderczy wehikuł. Salwy leciały ogłuszającymi falami. Pociski wbijały się w czerwoną karoserię i opony, rwały metal i gumę, ale potwór nie chciał się zatrzymać. Syreny na jego dachu wyły, póki nie zostały odstrzelone. Z posiekanych okien kabiny wyleciało szkło, lecz kierowca i pasażer wciąż strzelali.

Dziki, siejący zniszczenie Snow Cruiser wpadł do centrum sterowania. Rozpędzona trzydziestotonowa masa przebiła się przez metalowe ścianki wejścia jak pięść, wbijająca się do domku dla lalek. Wstrząs oderwał dach Snow Cruisera równo, jakby go odcięto potężną siekierą. Choć przód szalejącego potwora został zgnieciony, wgrzyzał się coraz bardziej w głąb centrali sterowania, zamieniając ją w kupę poskręcane metalu, wybuchającego sprzętu elektronicznego, poszarpanych przewodów, połamanych mebli i zmiażdżonych komputerów.

Wielki kadłub był podziurawiony jak sito, kabina prawie nie istniała, potężne poszarpane opony oklapły. Snow Cruiser stracił w końcu rozpęd, uderzył w ścianę i stanął.

W takich momentach logika przestaje obowiązywać, a ludzie nagle okazują się godni chwili. Pozostali przy życiu marines, żołnierze z Delta Force i członkowie oddziału SEAL błyskawicznie bez rozkazu wyskoczyli z nędznych kryjówek. Przy wtórze krzyków i przekleństw oddział ruszył naprzód, przebiegli przez wyrwę, którą zrobił Snow Cruiser, zdobyli barykadę i pokonali prawie wszystkich ochroniarzy, nadal oszołomionych szalejącym pojazdem.

Hugo Wolf patrzył przerażony. Gigantyczne czerwone monstrum, które wyskoczyło spod ziemi, w ciągu dwóch minut odwróciło wynik walki - zlikwidowało dwa traktory z załogami i zmiażdżyło niemal dwudziestu ludzi. Jak piłkarz, który w ostatniej minucie meczu nie zdołał strzelić karnego, Hugo nie był w stanie uwierzyć w to, co się stało. Ogarnięty paniką skoczył na stojący nieopodal skuter śnieżny, uruchomił silnik i popędził w kierunku hangaru.

Pozostawieni sami sobie ochroniarze stracili resztkę nadziei. Odłożywszy po kolei broń, kładli ręce na głowę. Ci, którym udało się uciec, obchodzili z daleka oddział Cleary'ego w nadziei, że dotrą do samolotów. Nagle zrobiło się dziwnie cicho i spokojnie. Krwawa potyczka zakończyła się.

Centrala sterowania była w oplakany stan. Konsolety zostały wyrwane z podstaw i rozbite o ściany. Zawartość biurka, półek i szaf wylądowała na podłodze, pokrywając ją warstwą akt i papierysk. Stoły i krzesła zmieniły się w poskręcane resztki. Monitory zwisały z mocowań pod dziwnymi kątami. Snow Cruiser stał pośrodku niczym wielki dinozaur, raniony tysiącem pocisków. Co zadziwiające - jeszcze nie umarł. Ignorując wszelkie prawa mechaniki, silniki cicho terkotały, charcząc basowo przez zniszczone rury wydechowe.

Pitt pociągnął posiekane drzwi Snow Cruisera i obojętnie patrzył, jak odrywają się z resztek zawiasów i spadają na podłogę. Najdziwniejsze było chyba to, że obaj żyli. Co prawda kilka pocisków poszarpało im ubranie, Pittowi kula oderwała kawałek skóry na lewym przedramieniu, a Giordino krwawił draśnięty w głowę, ale, o dziwo, nie odnieśli poważnych ran.

Pitt przeszukał pomieszczenie, sprawdzając, czy nikt się w nim nie chowa, ale Wolfowie, inżynierowie i naukowcy wyruszyli już do hangaru. Giordino spojrzał roześmianymi, choć równocześnie zamyślonymi oczami na pobojuwisko.

- Myślisz, że odliczanie trwa dalej?

- Nie sądzę. - Wskazał na leżący na ziemi rozbity zegar. Cyfry zatrzymały się przy dziesięciu minutach i dwudziestu sekundach. - Zniszczenie komputerów i układów elektronicznych zatrzymało odliczanie.

- Czyli nici z odrywania lodowca i jego odpłynięcia na morze?

Pitt pokręcił głową.

- Nie będzie końca świata?

- Nie będzie końca świata.

- No to po wszystkim - mruknął Giordino, który z trudem mógł uwierzyć, że to, co zaczęło się w kopalni w Kolorado, znalazło swój koniec w zniszczonym pomieszczeniu na Antarktydzie.

- Prawie. - Pitt oparł się o zniszczonego Snow Cruisera. Ulgę mąciła mu złość na Karla Wolfa. - Musimy jeszcze zawiązać kilka luźnych nitek.

Giordino patrzył, jakby znajdował się na innej planecie.

- Dziesięć minut i dwadzieścia sekund... Świat był naprawdę tak blisko zniszczenia?

- Gdyby projekt Walhalla zadziałał? Prawdopodobnie tak. Czy zmieniło by to Ziemię na tysiąclecia? Miejmy nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy.

- Nie ruszać się ani nawet nie mrugać! - Komenda była twarda jak marmur.

Pitt podniósł głowę i ujrzał przed sobą człowieka w białym kombinezonie, który celował do niego z dziwnie przerobionego karabinu. Krwawił z ran na brodzie i dłoni.

Pitt przyglądał się zjawisku, bez efektu próbując dostrzec schowane za goglami oczy.

- A mogę pokiwać uszami? - spytał spokojnie.

Cleary nie umiał ocenić, czy ma przed sobą wrogów, czy przyjaciół. Niższy wyglądał jak bulterier, wyższemu pół twarzy zakrywały bandaż. Wyglądali, jakby padali z nóg, mieli zmęczone, przekrwione oczy i zarośnięte kilkudniową szczecinę policzki.

- Kim jesteś i skąd się tu wzięłeś, mądralo?

- Nazywam się Dirk Pitt. Mój przyjaciel to Al Giordino. Pracujemy dla Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Agencja... - powiedział Cleary, który uznał odpowiedź za dość obłądną. - To prawda?

- Prawda - powiedział spokojnie Pitt. - A kim pan jest?

- Major Tom Cleary, Siły Specjalne armii amerykańskiej. Dowodzę grupą, która zaatakowała zakład.

- Przykro mi, że nie mogliśmy przybyć wcześniej i uratować więcej pańskich ludzi - powiedział zgodnie z przekonaniem Pitt.

Ramiona Cleary'ego opadły, opuścił broń.

- Nie było lepszych żołnierzy od tych, którzy dziś zginęli.

Pitt i Giordino milczeli. Nie znali mądrej odpowiedzi.

Po chwili Cleary wyprostował się.

- Trudno mi uwierzyć, by para oceanografów z Agencji, nie przeszkolona w technikach wojskowych, mogła narobić tyle zniszczeń - powiedział próbując rozgryźć stojących przed nim mężczyzn.

- Uratowanie pana i pańskich ludzi było działaniem spontanicznym. Nasz zasadniczy cel stanowiło powstrzymanie Wolfów przed wyzwoleniem kataklizmu.

- Udało się? - spytał Cleary, patrząc na resztki tego, co jeszcze niedawno było supernowoczesnym centrum sterowania. - Czy odliczanie trwa dalej?

- Jak pan widzi, elektronika została zniszczona - odparł Pitt. - Przerwaliśmy możliwość uruchomienia urządzenia do przecinania lodu.

- Dzięki Bogu. Stres i zmęczenie jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki opuściły majora. Zdjął hełm, podniósł gogle na czoło i wyciągnął zdrową rękę. - Panowie, ci z nas, którzy przeżyli, są

waszymi dłużnikami. Sam Bóg wie, ilu uratowaliście, pojawiając się na czas tym... - Kiedy podali sobie ręce, Cleary spojrzął na wrak wspaniałego niegdyś Snow Cruisera. Dwa silniki wciąż cicho stukały jak spokojne serca. - Co to właściwie jest?

- Pamiątka po admirale Byrdzie - wyjaśnił Giordino.

- Po kim?

Pitt uśmiechnął się słabo.

- To długa historia.

Cleary zaczął znów myśleć jak dowódca.

- Nie widzę ciał - zauważył.

- W trakcie potyczki wszyscy pobiegli do hangaru, by wejść na pokłady samolotów i uciec - zauważył Giordino.

- Mapa, którą dostałem, przedstawiała pas startowy, ale ze spadochronów nie widzieliśmy żadnych samolotów ani ich śladów.

- Hangaru nie widać z powietrza. Jest wykuty w lodzie.

Cleary wściekł się.

- Chce pan powiedzieć, że fanatycy, odpowiedzialni za tę straszną sprawę, uciekli?

- Niech się pan odpręży, majorze - odparł Giordino z chytrym uśmieszkiem. - Nie opuścili terenu zakładu.

Zauważywszy błysk zadowolenia w oku Pitta, major spytał:

- To też wasza robota?

- Przyznam uczciwie, że tak - odparł Pitt. - Jadąc tutaj, przypadkiem natknęliśmy się na ich samoloty. Z przyjemnością mogę oświadczyć, że wszystkie odloty z terenu zakładu zostały odwołane.

Na wieść o tym, że system mający oderwać lodowiec szelfowy został unieruchomiony, oraz po doniesieniach Jacobsa, że resztki ochroniarzy Wolfa składają broń, centrale dowodzenia Pentagonu i Białego Domu wypełnił chór okrzyków radości. Świadomość że śmiertelny kryzys został przezwyciężony, sprawiła, iż w obu pomieszczeniach zapanowała ulga. Słuchano Cleary'ego rozmawiającego z tymi, którzy uratowali misję; ponieważ nie byli oni włączeni w system komunikacyjny, ich głosy były wychwytywane jedynie fragmentarycznie przez mikrofon majora.

Nie ukrywając radosnego podniecenia, prezydent złapał mikrofon.

- Majorze Cleary, mówi prezydent. Słyszysz mnie pan?

Przez sekundę z głośników wydobywały się jedynie trzaski, po czym dobiegł z nich głos Cleary'ego.

- Tak jest, panie prezydencie. Słyszę głośno i wyraźnie.

- Poproszono mnie, bym nie przeszkadzał wam w rozmowie, ale chyba wszyscy tu obecni chętnie usłyszają pański raport.

- Rozumiem, sir. - Cleary nie bardzo mógł uwierzyć, że rozmawia bezpośrednio z głównodowodzącym armii. - Będę musiał się streszczać, bo musimy jeszcze zająć się Wolfami i ich ludźmi.

- Rozumiem, proszę jednak coś powiedzieć o tajemniczym pojeździe, który pojawił się tak nagle. Do kogo należy i kto nim kierował?

Cleary odpowiedział na pytanie, jednak nie najlepiej udało mu się przedstawić potwora, który pojawił się znikąd, w ostatniej chwili przeważając szalę zwycięstwa.

Najbardziej zdziwiony był admirał Sandecker, kiedy dowiedział się, że dwóch podległych mu

ludzi przejechało sto kilometrów w pojeździe z tysiąc dziewięćset czterdziestego roku i pomogło zniszczyć całą armię najemników. Jeszcze bardziej zdumiały go ich nazwiska, był bowiem przekonany, że Al i Dirk za godzinę będą lądować w Waszyngtonie.

- Pitt i Giordino... - mruknął, kręcąc ze zdziwieniem głową. - Powiniennem się domyślić. Jeśli ktokolwiek robi efektowne wejście, kiedy najmniej się go oczekuje, to właśnie oni.

- A ja nie jestem zaskoczona - powiedziała Loren z uśmiechem na ślicznej twarzy. - Nie mogło być mowy, żeby Dirk i Al beczynnymie czekali, aż świat się rozleci.

- Co to za ludzie? - zażądał odpowiedzi zdenerwowany generał South. - Jak to możliwe, by Agencja wtrącała się do operacji wojskowej? Kto pozwolił na ich obecność?

- Byłbym dumny, mogąc powiedzieć, że ja - odpowiedział admirał Sandecker, patrząc twardo na generała Southa - ale to nieprawda. Ci ludzie, moi ludzie, działali z własnej inicjatywy i wygląda na to, że bardzo dobrze, że się na to zdecydowali.

Spór skończył się, zanim na dobre się zaczął. Obecni w centrach dowodzenia w Pentagonie i Białym Domu oficjele nie zapomnieli, że bez samowoli Pitta i Giordina nie mogliby snuć rozważań, „co by się stało, gdyby Wolfom się udało”.

Pitt i Giordino powinni zacząć się czerwienić, bez podłączenia do radia Cleary'ego nie mogli jednak słyszeć, co się mówi na drugim końcu świata. Pitt siedział na stopniu Snow Cruisera i zdejmował sobie z twarzy bandaż, ukazując kilka ran, którym mimo wszystko przydałoby się szycie.

Cleary spojrzał na niego.

- Jest pan pewien, że Wolfowie jeszcze tu są?

Pitt skinął głową.

- Karl, głowa rodziny, i Elsie, jedna z sióstr, pewnie rozplakali się, widząc, że samoloty, którymi zamierzali uciekać, nie nadają się do użytku.

- Czy możecie mnie zaprowadzić do hangaru?

Pitt skrzywił usta w uśmiechu.

- Będzie to dla mnie zaszczyt.

Do rozmowy wtrącił się generał South.

- Majorze Cleary, proszę się przegrupować, zająć rannymi i zabezpieczyć resztę zakładu. Potem czekajcie na główny oddział. Wylądują w ciągu pół godziny.

- Tak jest, sir - odparł Cleary - ale najpierw musimy załatwić pewien drobiazg. - Wyciągnął wtyczkę interkomu, odwrócił się do Pitta i wymienił z nim porozumiewawcze spojrzenie. - Gdzie jest ten hangar?

- Niecały kilometr stąd - odparł Pitt. - Zamierza pan otoczyć stu ludzi pozostałą garstką?

Cleary uśmiechnął się diabolicznie.

- Nie uważa pan, że robotę powinni dokończyć ci, którzy przeszli przez piekło?

- Nie zamierzam się z panem spierać.

- Możecie nas poprowadzić?

- Ma pan pozwolenie z Waszyngtonu?

- Nie pytałem.

W opalizująco zielonych oczach Pitta pojawił się szelmowski błysk.

- Czemu nie? Z Alem nie przepuszczamy żadnej wariackiej roboty.

Stwierdzenie, że Karl Wolf był przerażony i wściekły na widok zniszczonego samolotu, nie oddałoby stanu jego ducha. Wspaniały plan leżał w gruzach, a naukowcy i inżynierowie kręcili się po hangarze przestraszeni i oszołomieni. Nic dziwnego - sądzili, że mechanizm, mający oderwać lodowiec szelfowy od kontynentu, zacznie działać za niecałe cztery minuty.

Zwiedziony informacją Hugona, że ochroniarze przy centrali sterowania ciągle jeszcze walczą na śmierć i życie z amerykańskim oddziałem sił specjalnych, Karl nie wiedział, że Czwarte Imperium zginęło, nim zdążyło się narodzić - wraz z porażką projektu „Walhalla”.

Wolfowie stali zbici w ciasną grupę, niezdolni przyjąć do wiadomości rozmiaru katastrofy ani uwierzyć w dziwną opowieść o gigantycznym pojeździe, który w niszczycielskim amoku popędził, by wziąć udział w bitwie przed centralą sterowania. Stali odrętwiali, sparaliżowani nagłym fiaskiem ich opracowanych od dawna planów. Z rodziny brakowało jedynie Hugona. Oddany sprawie do końca, gorączkowo organizował pozostałych członków oddziału ochrony, szykując się do ostatniego starcia z Amerykanami, którzy za kilka minut powinni pojawić się w hangarze.

- No cóż, więc tak to wygląda - powiedział Karl i odwrócił się do Blondi. - Wyślij wiadomość na „Ulricha Wolfa”, do brata Brunona. Wyjaśnij mu sytuację i powiedz, by przysłał jak najszybciej rezerwowe samoloty. Nie mamy chwili do stracenia.

Blondi nie marnowała czasu na pytania. Pobiegła do nadajnika, mieszczącego się w kabine kontrolnej na skraju pasa startowego.

- Czy w początkowych fazach kataklizmu będzie można lądować na „Ulrichu Wolfie”? - spytała brata Elsie Wolf. Jej twarz była blada z niepokoju.

Karl popatrzył na naczelnego inżyniera Jurgena Holtza.

- Zna pan odpowiedź na pytanie mojej siostry?

Przerażony Holtz wbił wzrok w lodową podłogę i odpowiedział drętwo:

- Nie ma możliwości obliczenia, kiedy dokładnie nadejdą spodziewane huragany i fale tsunami. Nie jesteśmy także w stanie przewidzieć ich początkowej siły. Jeśli jednak wiatr i fale dotrą do „Ulricha Wolfa” przed naszym lądowaniem, podejrzewam, że skutek będzie tragiczny.

- Chce pan powiedzieć, że wszyscy zginiemy? - spytała Elsie.

- Chcę powiedzieć, że póki to się nie stanie, nic nie wiemy.

- Nigdy nie zdążymy przenieść przedmiotów Amenów ze zniszczonych samolotów do tych, które przyśle Bruno - powiedział Karl, patrząc z wściekłością na rodzinny odrzutowiec, rozbity i przekrzywiony jak popsuta zabawka. - Weźmiemy tylko relikwie Trzeciej Rzeszy.

- Będę potrzebował każdego, kto umie strzelać - dobiegł zza pleców Karla głos Hugona. Jego czarny mundur był spryskany krwią żołnierza, który na barykadzie nie zdążył mu powiedzieć o nieszczęściu w hangarze. - Mamy tu wielu przestraszonych i zdezorientowanych ludzi, jeśli jednak zamierzamy dotrzeć do ratunku, musimy stawić opór amerykańskiemu oddziałowi.

- Ilu twoich ludzi przeżyło? - spytał Karl.

- Zostało dwunastu. To wszyscy, których mogę znaleźć.

- Masz dla nas dość broni? Hugo skinął głową.

- Broń i amunicję można brać z arsenału przy wejściu do hangaru.

- W takim razie masz moje pozwolenie na rekrutację wszystkich, którzy chcą zobaczyć swoich bliskich.

Hugo popatrzył bratu w oczy.

- Nie do mnie, bracie, należy prosić ich o walkę i śmierć. Ty jesteś przywódcą naszego Nowego Przeznaczenia. Ciebie szanują i czczą. Twoją prośbę spełnią.

Karl przez chwilę patrzył na brata i siostry - w ich oczach dostrzegał te same złe przeczucia. Zimny umysł i twarde serce sprawiały, że ani przez chwilę nie zawahał się rozkazać swym ludziom oddać życie po to, by on sam i jego rodzeństwo mogli przeżyć.

- Zbierz wszystkich powiedział do Elsie - powiem im, co mają robić.

Zostawiwszy czterech lekko rannych ludzi, by zajęli się poważniej rannymi kolegami i pilnowali wziętych do niewoli ludzi Wolfa, Cleary i dwudziestu dwóch sprawnych żołnierzy ruszyli do hangaru. Prowadzeni przez Pitta i Giordina weszli do głównego tunelu. Dwóch członków Delta Force Garneta poszło naprzód jako zwiad.

Porucznik Jacobs był zdziwiony ponownym spotkaniem z Pittem i Giordinem, a jego zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że to oni byli szaleńcami w Snow Cruiserze, którym wjechali na pole bitwy, nie dopuszczając, by Cleary i jego ludzie skończyli jak Custer i jego Siódmy Regiment Kawalerii nad Little Bighorn*.

* W trakcie wojny z Siuksami dowodzony przez pułkownika George'a Armstronga Custera oddział, będący szpicą większych sił, zlokalizował nad rzeką Little Bighorn połączony oddział Siuksów i Czejenów. Nie wiedząc, że przeciwnik ma przewagę liczebną, Custer zaatakował. Jego oddział (264 żołnierzy) został otoczony i wyrżnięty w pień. Custer również poniósł śmierć (przyp. tłum.).

Kolumna wyszła ostrożnie z za pierwszego zakrętu tunelu i minęła porzucony sprzęt budowlany oraz otwarte drzwi pustych magazynów. Poruszanie się lodowym tunelem na piechotę było dla Pitta i Giordina całkiem nowym doświadczeniem. Pitt uśmiechnął się pod nosem na widok długich szram w lodzie, spowodowanych wariacką jazdą podczas ucieczki przed uzbrojonym traktorem.

Kiedy doszli do porzuconego ciągnika z czterema wagonikami-platformami, na których wożono sprzęt i towary, zatrzymali się i ukryli za pociągiem. Cleary przepytął Pitta i Giordina.

- Ile jeszcze do hangaru?

- Jakies pięćset metrów - odparł Pitt.

- Czy w ostatnim odcinku jest miejsce, gdzie mogliby postawić barykadę?

- Gdyby mieli czas i bloki lodu, mogą to zrobić co dziesięć metrów. Wątpię jednak, by zbudowali cokolwiek konkretnego w ciągu tych kilku minut. - Wskazał w dół, na lód. Poza śladami Snow Cruisera widać było koleiny jednego skutera śnieżnego i ślady stóp pozostawione w szybkim biegu.

Nie mogło ich zostać więcej niż tuzin. Jeśli zamierzają się bronić, linia obronna będzie najdalej sto metrów od hangaru.

- Nie zapominaj o ciągniku - spokojnie wtrącił Giordino. - Tym, którego nie przerobiłeś na złom.

- Gdzieś czai się tu jeszcze jedno z tych diabelskich urządzeń? - spytał Cleary.

Pitt skinął głową.

- Bardzo możliwe. Ma pan coś w swym przewoźnym arsenale, co mogłoby go zniszczyć?

- Nic, co przebiłoby opancerzenie - powiedział Cleary.

- Niech pan jeszcze chwilę zatrzyma swoich ludzi, majorze. Chyba widzę coś, co może się przydać.

Pitt zaczął grzebać w skrzynce narzędziowej ciągnika, aż znalazł pusty kanister na benzynę. Stalowym prętem przebił jego górę oraz dno baku ciągnika. Kiedy kanister był pełny, podniósł go i powiedział:

- Teraz potrzebujemy tylko czegoś, czym dałoby się to zapalić.

Porucznik Jacobs, obserwujący z uwagą poczynania Pitta, sięgnął do plecaka i wyjął niewielką raketnicę.

- Może być to?

- Jest jak piękna kobieta i kieliszek dobrego caberneta razem wzięte - odparł Pitt.

Cleary podniósł rękę i machnął do przodu.

- Ruszamy!

Zniknął dręczący strach przed nieznanym, nie było pośpiechu ani trwogi, że mija czas. Przednia straż poruszała się jak koty, za nią szli mężczyźni i oddani zadaniu ludzie, żądni pomszczenia śmierci przyjaciół. Zagłębiali się w tunel jak duchy, oświetlani jedynie słabym, przenikającym przez lód światłem. Pitt czuł dumę, że ludzie ci traktują jego i Giordina jak równych sobie.

Nagle zwiadowcy dali sygnał, by się zatrzymać. Wszyscy zamarli. Z dali dobiegł ich cichy odgłos wyrzucanych z rury wydechowej spalin. Wkrótce się nasilił i odbijał się echem od ścian. Pojawiło się światło reflektorów, podwójny promień tańczył na lodzie za zakrętem.

- Ciągnik - stwierdził Pitt. - Jak na zamówienie. - Wskazał na drzwi jednego z magazynów. - Proponuję, by wszedł pan tam ze swoimi ludźmi, zanim wyjadą z zakrętu.

Nastąpiła krótka, cicha komenda i po dwudziestu sekundach wszyscy znaleźli się w magazynie, którego drzwi przymknięto, zostawiając do obserwacji kilkucentymetrową szparę. Światła stawały się coraz jaśniejsze. Pitt stał za drzwiami i trzymał oburącz kanister. Tuż za nim Jacobs czekał z raketnicą w ręku. Oddział za jego plecami był gotów w każdej chwili wyskoczyć na zewnątrz i zasypać gradem ognia pasażerów traktora oraz wszystkich ochroniarzy, którzy szli za nim na piechotę.

O powodzeniu akcji decydowała odpowiednia koordynacja. Gdyby Pitt rzucił kanistrem zbyt wcześnie albo za późno i pasażerowie ciągnika przeżyliby, cały oddział Sił Specjalnych zostałby uwięziony w magazynie. Jego likwidacja trwałaby krócej niż policzenie do dziesięciu. Jacobs musiał trafić, niecelny strzał oznaczał koniec.

Traktor był coraz bliżej. Pitt obliczał jego prędkość na dwadzieścia kilometrów na godzinę. Kierowca posuwał się do przodu ostrożnie. Przez szparę między krawędzią drzwi a ościeżnicą nie było widać, by ktoś szedł za ciągnikiem.

- Porusza się zbyt szybko, by mieć wsparcie piechoty - cicho powiedział Pitt. - Podejrzewam, że chcą przeprowadzić zwiad.

- W środku jedzie czterech ludzi - mruknął major. - Tyle już wiemy.

Pitt zamknął oczy i zasłonił je dłonią, by nie oślepiły go światła pojazdu.

Ciągnik był tak blisko, że słyszeli wyraźnie, jak gąsienice miażdżą lód. Z ogromną ostrożnością, unikając jakiegokolwiek gwałtownego ruchu, który mógłby zwrócić uwagę kierowcy, Pitt pchnął szerzej drzwi. Przód traktora znajdował się niemal w zasięgu ręki. Zwinnie, z najwyższą koncentracją i precyzją, pchnął mocno drzwi, wyprostował się i wrzucił kanister do otwartego przedziału. Bez najmniejszego wahania skoczył w bok i padł na lód.

Jacobs nie należał do ludzi, którzy zasypiają gruszki w popiele. Trzymał raketnicę wycelowaną, zanim Pitt rzucił się w bok. Przesunął ją o milimetr i wypalił, a pocisk przeleciał obok skroni Pitta i

trafił chwilę po tym, jak kanister wleciał do środka, rozpryskując wewnątrz sporą część swej zawartości.

Pojazd eksplodował burzą płomieni. Przerażeni ochroniarze, którym natychmiast zapaliły się kombinezony, wyskoczyli na zewnątrz i zaczęli się turlać po lodzie, próbując je zgasić. Nawet gdyby im się to udało, nie uratowaliby życia. Ludzie Cleary'ego, którym dokuczali najbardziej, nie byli w życzliwych nastrojach. Wypadli z magazynu i skrócili ludziom Wolfa cierpienia gradem pocisków. Ciągnik, nie przypominający środka transportu, jechał, zarzucając na boki w głąb tunelu, objął się to o jedną, to o drugą ścianę i wcale nie zwalniał.

Nie warto było tracić czasu na długie oględziny. Cleary przegrupował ludzi i ruszono dalej. Nikt nie obejrzał się za siebie ani nie okazywał wyrzutów sumienia. Sunęli tunelem, nie mogąc się doczekać końca koszmaru i ukarania winnych. Pitt ze sporym wysiłkiem wstał i zrobił kilka kroków, opierając się na silnym ramieniu Giordina. Kiedy nogi odzyskały pełną sprawność, ruszył za Clearym.

Gdy wezwania radiowe traktora pozostały bez odpowiedzi, a z tunelu dobiegły odgłosy strzelaniny, Hugo Wolf zaczął podejrzewać najgorsze. Po stracie ostatniego uzbrojonego pojazdu pozostał mu już tylko jeden atut. Jeśli i on nie zadziała, Amerykanie dotrą do hangaru i zacznie się walka w stylu „wszystkie chwytaki dozwolone” z resztką jego ludzi. Nie miał wielkiego zaufania do grupy inżynierów, którzy nie bardzo umieli posługiwać się bronią i nie byli wystarczająco twardzi, by zastrzelić człowieka - zwłaszcza jeśli był to odpowiadający ogniem komandos. Hugo pośpiesznie myślał o tym, co ma zrobić, i zdawał sobie sprawę, że to jego ostatnia szansa.

Podszedł do Karla, Elsie i Blondi, którzy rozmawiali z Jurgenem Holtzem. Karl odwrócił się i widząc ponurą minę brata, spytał:

- Problemy?

- Obawiam się, że straciłem ostatni uzbrojony ciągnik i czterech ludzi, a na taką stratę mnie nie stać.

- Będziemy musieli wytrzymać - powiedziała Elsie. - Bruno wyruszył z dwoma samolotami i będzie tu za pięć godzin.

- Trzy i pół godziny po oderwaniu się lodowca - zauważył Holtz. - Sekwencja aktywizująca maszyny tnące lód została rozpoczęta i nie da się już jej zatrzymać.

Karl cicho zaklął.

- Wytrzymamy do tego czasu?

Hugo popatrzył na prowadzący do zakładu tunel, jakby spodziewał się, że w każdej chwili może z niego wylecieć stado upiórów.

- Mogła ich zostać tylko garstka. Jeśli moi ludzie zmniejszą ich liczbę, mamy wystarczającą siłę ognia, by w całości się ich pozbyć.

Karl popatrzył uważnie na Hugona i położył mu dłoń na ramieniu.

- Niezależnie od tego, jak to wszystko się skończy, chcę, byś wiedział, że wykazałeś się niezwykłą odwagą i honorem.

Hugo objął brata, po czym ruszył do swych ludzi i poprowadził ich w głąb tunelu. Jechał za nimi mały ciągnik, do którego przyczepiono wagonik-platformę. Leżała na niej dwustulitrowa beczka i wielki wentylator, z łopatami o średnicy dwóch metrów.

Oddział Sił Specjalnych zatrzymał się tuż przed ostatnim zakrętem, mniej więcej pięćdziesiąt

metrów przed miejscem, gdzie tunel przechodził w hangar. Przed nimi pojawiło się czoło lekkiej mgły, która gęstniejąc, zaczęła powoli ogarniać wszystkich.

- Co pan na to? - spytał Pitta Cleary.

- Nie podoba mi się. Kiedy jechaliśmy tędy Snow Cruiserem, niczego takiego nie było. - Pitt uniósł palec, jakby badał wiatr. - To nie jest zjawisko naturalne. Nie tylko dziwnie pachnie, ale jest nadmuchiwane przez jakieś urządzenie, prawdopodobnie duży wentylator.

- Nie trujące - powiedział Cleary, wachając. - W czasie szkolenia uczymy się rozpoznawać trujące gazy. Podejrzewam, że chcą pokryć nas czymś chemicznym, by móc obserwować nasze ruchy.

- Może nie mają już ludzi i wymyślili jakąś rozpaczliwą akcję - powiedział Jacobs.

- Zewrzeć szereg! - Rozkazał major przez mikrofon. - Idziemy dalej, przygotować się do krycia, gdyby zaczęli strzelać z mgły.

- Nie polecałbym takiej taktyki - ostrzegł Pitt.

- Dlaczego?

Pitt uśmiechnął się do Giordina.

- Chyba już tu byliśmy - powiedział.

- I coś nabroiliśmy... - dodał Giordino.

Pitt spojrzał na mgłę, po czym położył Alowi dłoń na ramieniu.

- Weź jednego z ludzi majora, wróćcie do ciągnika i przynieście zapasowe koło.

Cleary był wyraźnie zdziwiony.

- Po co nam koło?

- To nasz mały podstęp.

Kilka minut później tunelem wstrząsnęła straszliwa eksplozja. Nie było ognia ani dymu, jedynie oślepiający błysk. Wąską rurą pomknęła niczym rakietą potężna fala uderzeniowa. Odgłos wybuchu zabrzmiał jak grzmot, którego echa powoli zanikały.

Wciąż lekko oszołomieni szumem, z uszami, w których dzwoniło jak w katedralnej dzwonnicy, Hugo Wolf i jego ludzie wstali niepewnie i zaczęli się przesuwac między pagórkami oderwanego ze ścian lodu. Mieli nadzieję, że natkną się jedynie na poszarpane trupy Amerykanów. Co prawda eksplozja była znacznie silniejsza, niż się spodziewali, tym większą mieli nadzieję, że wróg został wyeliminowany.

Wyszli z zakrętu, próbując przebić światłami latarek resztki mgły i oparu po eksplozji. Szli powoli, aż ujrzeli pierwsze ciała na podłodze, przywalone kawałami lodu, który spadł z sufitu. Wzrok Hugona wędrował od postaci do postaci, na widok martwych Amerykanów jego zadowolenie i ulga nasilały się. Nikt nie przeżył. Popatrzył na leżących na lodzie dwóch cywilów i zastanowiło go, kim byli i skąd się wzięli. Ponieważ leżeli twarzami do dołu, nie rozpoznał w nich pasażerów odrażającego pojazdu, który zabił jego ludzi i wyrządził tyle szkód w centrali sterowania.

- Gratulacje, panie Wolf - powiedział jeden z ochroniarzy.

Hugo powoli skinął głową.

- Tak, niestety triumf ten zbyt wiele nas kosztował. Wszyscy mechanicznie odwrócili się plecami do jatki i ruszyli z powrotem do hangaru.

- Stać! - wrzasnął Cleary.

Hugo i jego ludzie gwałtownie odwrócili się. Trupy nagle wstały i skierowały na nich lufy. Każdy zdrowy na umyśle człowiek od razu pojąłby, że opór oznacza w tej sytuacji pewną śmierć,

jednak Hugo - bardziej odruchowo niż kierowany świadomą myślą - poderwał broń. Jego ludzie zrobili to samo.

W tym momencie ryknęła broń oddziału szturmowego. Ludzie Wolfa zdążyli wystrzelić kilkanaście pocisków i zostali ścięci. Hugo zatoczył się do tyłu i zatrzymał. Wykrzywił twarz w grymasie, wypuścił broń i szklistymi, przerażonymi oczami patrzył, jak równo rozmieszczone rany po pociskach przecinały przód jego czarnego kombinezonu od mostka po talię. W końcu, kiedy dotarło do niego, że przegrał i pozostało mu tylko kilka sekund życia, padł na podłogę.

Strzelanina błyskawicznie ustała. Jacobs, za którym szli ostrożnie jego ludzie, zaczął oglądać zwłoki, wyjmując ze sztywniejących palców broń. Pitt z coltem zwisającym luźno w prawej dłoni podszedł do Hugona i ukląkł przy nim. Dowódca zlikwidowanego oddziału ochrony rodziny Wolfów wyczuł obecność przybysza i podniósł na niego pozbawione wyrazu oczy.

- Skąd wiedziałeś...- wymamrotał.

- Taką samą sztuczkę z bombą pułapką zastosowali twoi ludzie w kopalni w Kolorado.

- A wybuch...?

Pitt wiedział, że Wolf odchodzi, więc musiał się spieszyć.

- Potoczyliśmy koło zapasowe ciągnika, by uderzyło w linkę prowadzącą do zapalnika, i schowaliśmy się w jednym z magazynów. Zaraz po wybuchu wybiegliśmy i udawaliśmy trupy.

- Kim jesteś...

- Nazywam się Dirk Pitt.

Oczy Hugona otwarły się szeroko.

- O nie... - szepnął, po czym znieruchomiał. Głowa opadła na bok.

46

Odgłosy wybuchu i dzikiej strzelaniny, która po nim nastąpiła, pomknęły tunelem i zadudniły w hangarze niczym błyskawica, która uderza tuż za oknem. Hałas nagle ucichł, a jego echo odpływało w dal, póki nienaturalna cisza nie zawisła w hangarze ciężko jak ołów. Minuty mijały. Wszyscy stali nieruchomo, wpatrując się w ciemność, i czekali z pełną napięcia trwogą. - Wreszcie upiorną martwość przerwał z ciemności odgłos kroków, odbijających się echem od lodowej podłogi tunelu.

Jakaś postać weszła w przesączające się przez dach hangaru światło. Wysoki mężczyzna trzymał w dłoni patyk ze zwisającym z niego kawałkiem białej szmatki i szedł powoli w kierunku mniej więcej setki mężczyzn i kobiet z karabinami, których lufy były na niego skierowane. Dolną część twarzy miał zasłoniętą szalem. Podszedł prosto do Karla Wolfa i jego sióstr, stanął, zdjął szal i ukazał porośnięte szczecina, zapadłe ze zmęczenia policzki.

- Hugo przeprasza, ale nie będzie mógł dołączyć do waszej wycieczki.

Przez chwilę w hangarze panowała zupełna dezorientacja. Blondi zafascynowana wpatrywała się w przybysza. Na twarzy Elsie pojawił się wyraz świadczący o tym, że jest wstrząśnięta i wściekła. Jak należało się spodziewać, pierwszy pozbierał się Karl.

- A więc to pan, panie Pitt - powiedział, obserwując Dirka podejrzliwie. - Jest pan jak przekleństwo.

- Przepraszam za niewyszukany strój, ale mój smoking jest w pralni - odparł serdecznie Pitt.

Nie odwracając wzroku od Pitta, Elsie podeszła do przodu i wbiła mu w brzuch lufę pistoletu. Jęknął z bólu, ale uśmiech nawet na sekundę nie zszedł mu z twarzy.

- Z pewnością zauważyliście, że nie jestem uzbrojony, poza tym niosę flagę pokoju.

Karl odsunął dłoń Elsie z bronią.

- Pozwól mi go zabić... - wysyczała jadownicie.

- Wszystko w swoim czasie - odparł spokojnie Karl. Spojrzał Pittowi w oczy. - Hugo nie żyje?

- W naszych stronach mawiamy: „Pojechał do Abrahama na piwo”.

- A jego ludzie?

- To samo.

- Pan jest odpowiedzialny za zniszczenie moich samolotów?

Pitt spojrzął na zniszczone maszyny i wzruszył ramionami.

- Muszę przyznać, że jeździłem dość nieostrożnie.

- Skąd się pan tu wziął?

Pitt uśmiechnął się i swobodnym tonem powiedział:

- Proponuję, by kazał pan swoim ludziom złożyć broń, zanim stanie im się krzywda. Rozlano tu dziś więcej krwi, niż trzeba. Dalsza jatka byłaby głupotą.

- Pańscy ludzie, panie Pitt - ilu ich zostało?

- Niech pan sam popatrzy. - Pitt odwrócił się i wskazał ręką. Giordino, Cleary i jeszcze dwudziestu ludzi wyszło z tunelu i stanęło w równym, mierzącym dziesięć kroków szeregu. Każdy był gotów do strzału.

- Dwudziestu na stu. - Karl Wolf po raz pierwszy się uśmiechnął.

- W każdej chwili spodziewamy się posiłków.

- Za późno. Karl był pewien, że Pitt rozpaczliwie próbuje ratować się podstępem. - System nanotechnologiczny, który ma oderwać lodowiec, jest uruchomiony. Świat gna ku katastrofie i nic jej nie powstrzyma.

- Wcale nie - odparł Pitt, mówiąc to rozmyślnie obojętnym tonem. - Wszystkie systemy zostały zamknięte dziesięć minut przed aktywacją. Przykro mi, że muszę popsuć ci szyki, Karl, ale nie będzie kataklizmu. Nie będzie Nowego Przeznaczenia ani Czwartego Imperium. Ziemia będzie się dalej kręcić wokół Słońca, niedoskonała jak dotychczas, ze wszelkimi ludzkimi słabostkami i niedostatkami. Lato i zima, błękitne niebo i chmury, deszcz i śnieg - wszystko będzie trwało nieprzerwanie, jeszcze na długo po tym, jak przestanie istnieć ludzka rasa. Jeśli zginiemy, to z przyczyn naturalnych, a nie przez jakiś dziwaczny plan stworzony przez człowieka z manią wielkości, któremu zamarzyła się dominacja nad światem.

- Co powiedziałaś?! - warknęła Elsie, nagle zaniepokojona.

- Nie ma potrzeby się denerwować, droga siostrze - odparł Karl, ale jego głos nie brzmiał przekonywająco. - Ten człowiek kłamie.

Pitt ze zmęczeniem pokręcił głową.

- To koniec rodziny Wolfów. Jeśli ktokolwiek zasłużył sobie na proces przed trybunałem międzynarodowym za zbrodnie przeciwko ludzkości, to na pewno wy. Kiedy sześć miliardów ludzi dowie się, jak wasza upiorna rodzinka zaplanowała wymordowanie każdego z nich, nie będziecie zbyt popularni. Wasze gigantyczne statki, majątek i skarby zostaną zajęte. A jeśli komukolwiek z was uda się uniknąć dożywocia w więzieniu, będzie bardzo dokładnie obserwowany przez służby

wywiadowcze i policje całego świata, czy nie ma przypadkiem ambicji stworzenia Piątego Imperium.

- Jeśli to prawda - powiedział Karl - to co zamierza pan zrobić ze mną i moimi siostrami?

- Nie do mnie należy decyzja. Gdzieś i kiedyś zostaniecie powieszani za swe zbrodnie, za wszystkie zleczone zabójstwa, dokonane na ludziach, którzy stali wam na drodze. Ja tylko będę siedział w pierwszym rzędzie i patrzył, jak zawisacie na szubienicy.

- Bardzo prowokująca wizja, panie Pitt, i niezwykle intrygująca. Niestety, to tylko fantazja.

- Trudno pana przekonać.

- Każ strzelać, bracie! - zażądała Elsie. - Zabij drania. Jeśli nie ty, to ja to zrobię.

Karl Wolf przyglądał się zmęczonym i wycieńczonym walką weteranom, którymi dowodził Cleary.

- Moja siostra ma rację. Jeśli pańscy ludzie nie poddadzą się w ciągu dziesięciu sekund, moi ludzie otworzą ogień.

- Nic z tego nie będzie - powiedział Pitt nagle twardym tonem.

- Sto luf na dwadzieścia? To nie potrwa długo, a wynik jest przesądzony. Panie Pitt, stawka jest zbyt wysoka. Zarówno ja, jak i moje siostry z przyjemnością poświęcimy życie dla Czwartego Imperium.

- Poświęcanie życia za marzenie, które jest już martwe i pogrzebane, to głupota - obojętnie powiedział Pitt.

- Puste słowa desperata. Przynajmniej będę miał satysfakcję, że pan zginie pierwszy.

Pitt przez długą chwilę patrzył na Wolfa, po czym spuścił wzrok na pistolet maszynowy w jego rękach. Wzruszył ramionami.

- Jak pan chce. Zanim pan jednak da upust swej żądzy krwi, proponuję spojrzeć za siebie.

Wolf pokręcił głową.

- Nie spuszczę pana z oczu.

Pitt obrócił się do Elsie i Blondi.

- To może wy, dziewczynki, oświećcie brata?

Siostry Wolf odwróciły głowy.

Niemal równocześnie wszystkie oczy spojrzały w głąb hangaru, tam gdzie znajdował się wlot drugiego tunelu. Jeśli czegokolwiek brakowało w tym miejscu, to na pewno nie broni maszynowej. Do rozgrywającego się wokół zniszczonych samolotów dramatu dołączyło dwustu aktorów. Dwieście par rąk, należących do ludzi w hełmach i goglach, kierowało dwieście luf paskudnie wyglądających karabinów Eradicator w plecy inżynierów i naukowców Destiny Enterprises. Stali w niemal idealnym półkołu, pierwszy rząd klęczał, drugi stał. Wszyscy mieli na sobie arktyczne kombinezony bojowe, podobne do tych, jakie nosili ludzie Cleary'ego.

Jeden z żołnierzy wystąpił naprzód i głośno, nieznoszącym sprzeciwu głosem pełnym autorytetu, powiedział:

- Odłożyć powoli broń i cofnąć się! Przy pierwszej oznace wrogości każę moim ludziom otworzyć ogień. Jeśli będziecie współpracować, nikomu nic się nie stanie!

Nie było wahania ani oporu. Wręcz przeciwnie. Mężczyźni i kobiety, stanowiący dział naukowy Destiny Enterprises, byli szczęśliwi, że mogą pozbyć się broni, którą większość z nich i tak nie umiała się posługiwać. Słysząc było ogólne westchnienie ulgi, kiedy cofali się od leżących na lodzie bushmasterów i podnosili ręce.

Elsie wyglądała, jakby pchnięto ją nożem w serce. Stała nieruchomo, a jej twarz wyrażała najwyższe zdumienie i niemożność pogodzenia się z tym, co się dzieje. Blondi z błędnymi, rozkojarzonymi oczami wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować. Twarz Karla Wolfa była napięta i twarda jak kamień, wyrażała nie tyle strach, co złość spowodowaną faktem, że jego wspaniały plan stworzenia nowego porządku świata tak nagle wyparował.

- Który z was to Dirk Pitt? - spytał dowódca nowo przybyłego oddziału Sił Specjalnych.

Pitt powoli podniósł rękę.

- Ja.

Oficer podszedł i lekko skinął głową.

- Pułkownik Robert Wittenberg, dowódca operacji specjalnej. Jaki jest stan operacji na Lodowcu Szelfowym Rossa?

- Jest zakończona - odparł Pitt. - Projekt Walhalla został zamknięty dziesięć minut przed aktywacją systemu odrywania lodu.

Wittenberg wyraźnie się odprężył.

- Dzięki Bogu - westchnął.

- Nie mógł pan przybyć w lepszym momencie.

- Po skontaktowaniu się przez radio z majorem Clearym przeszliśmy zgodnie ze wskazówkami przez dziurę w lodzie, którą zrobiliście swym po jazdem. Przerwał na chwilę, po czym powiedział z niemal religijnym namaszczeniem: - Widzieliście starożytne miasto?

Pitt uśmiechnął się.

- Widzieliśmy.

- Od tego momentu był to rutynowy bieg z pełnym wyposażeniem - kontynuował Wittenberg - aż dotarliśmy do hangaru i ustawiliśmy się, zanim ktokolwiek nas zauważył.

- Sprawa była na ostrzu noża, ale razem z majorem Clearym udało nam się odciągnąć ich uwagę, aż zajęliście pozycję.

- To ich wszyscy ludzie?

Pitt skinął głową.

- Jest jeszcze paru rannych przy centrali sterowania.

Podszedł Cleary i obaj oficerowie zaszalutowali, po czym przyjacielsko uścisnęli sobie dłonie. Mimo zmęczenia uśmiech Cleary'ego był na tyle szeroki, że ukazał zęby.

- Bob, nawet nie wiesz, jak jestem szczęśliwy, że widzę twoją paskudną gębę.

- Który to raz ratuję ci tyłek? - odparł Wittenberg, ale oczy mu się śmiały.

- Drugi, i wcale mi z tego powodu nie wstyd.

- Nie zostawiłeś mi zbyt wiele roboty.

- Może, ale gdybyś się nie zjawił w odpowiedniej chwili, natknąłbyś się na pół hektara trupów.

Wittenberg patrzył na ludzi Cleary'ego, którzy choć zmęczeni, byli w dalszym ciągu w pełni skoncentrowani i obserwowali każdy ruch ludzi Wolfa, rzucających broń na lód i zbierających się w milczących grupach wokół zniszczonych samolotów.

- Wygląda na to, że trochę was przetrzebili - stwierdził Wittenberg.

- Straciłem zbyt wielu dobrych ludzi.

Pitt wskazał na Wolfów.

- Pułkowniku, chciałbym przedstawić Karla Wolfa, jego siostrę i... - przerwał, nie znał bowiem Blondi.

- Moja siostra Blondi - wyjaśnił Karl Wolf. Był jak człowiek, któremu właśnie śni się koszmar. -

Co zamierza pan z nami zrobić, pułkowniku?

Gdyby decyzja należała do mnie, powystrzelałbym was jak hieny - odparł Cleary.

- Dostał pan jakieś rozkazy dotyczące obchodzenia się z Wolfami po wzięciu ich do niewoli? - spytał Wittenberga Pitt.

Pułkownik pokręcił głową.

- Nie było czasu na omawianie polityki wobec więźniów.

- Czy mógłbym w takim razie o coś poprosić?

- Po tym, czego dokonał pan z przyjacielem... oczywiście - odparł Cleary.

- Chciałbym móc zatrzymać Wolfów w areszcie.

Wittenberg popatrzył Pittowi w oczy, chcąc dowiedzieć się, co zamierza.

- Nie bardzo rozumiem.

Cleary rozumiał.

- Ponieważ nie masz rozkazów dotyczących więźniów, wydaje mi się właściwe spełnić prośbę tego, kto uratował nas przed niewyobrażalną katastrofą - powiedział.

Wittenberg chwilę zastanowił się, po czym skinął głową.

- Dobrze. Łup wojenny. Przydzielam panu prawo aresztowania i pilnowania Wolfów do momentu powstania odpowiednich warunków odtransportowania ich pod strażą do Waszyngtonu.

- Żaden rząd nie ma prawa aresztować kogokolwiek na Antarktydzie - arogancko powiedział Karl. - Przetrzymanie nas jako zakładników jest bezprawne!

- Jestem jedynie prostym żołnierzem - odrzekł Wittenberg, obojętnie wzduszając ramionami. - Niech o waszym losie decydują prawnicy i politycy, kiedy dostaną was w swoje łapy.

Żołnierze zabezpieczali teren zakładu i zamykali więźniów w sypialni robotników. Pitt i Giordino, przez nikogo nie zatrzymywani, doprowadzili Karla, Elsie i Blondi do wielkich drzwi w jednej ze ścian hangaru. Nikt nie zdawał się zauważyć, że wypchnęli ich niewielkimi drzwiami inspekcyjnymi na pas startowy. Wyjście na mróz z panujących w hangarze szesnastu stopni Celsjusza było szokiem.

Karl Wolf odwrócił się i uśmiechnął ponuro do Pitta i Giordina.

- Tu nas zastrzelicie?

Blondi była jak w transie, ale Elsie patrzyła na Pitta z pogardą.

- Zastrzel nas, jeśli masz odwagę! - niemal splunęła.

Pitt był wyraźnie zniesmaczony.

- W pełni na to zasługujecie. Cała wasza godna pogardy rodzinka po winna umrzeć, ale zaszczyt zabicia was nie przypadnie ani mnie, ani mojemu przyjacielowi. Pozostawimy to czynnikom naturalnym.

Informacja nagle dotarła do Karla Wolfa.

- Chcecie nam pozwolić uciec?

- Tak.

- W takim razie nie zobaczycie nas na procesie i w więzieniu.

- Ludzie z waszym majątkiem i władzą nigdy nie trafiają na salę sądową. Użyjecie wszystkich dostępnych środków, by uniknąć szubienicy albo dożywocia za kratami, i w końcu ujdziecie wolno.

- To prawda - przyznał z pogardą Karl. - Przywódca żadnego rządu nie zaryzykowałby

postawienia rodziny Wolfów w stan oskarżenia.

- Ani nie byłby odporny na nasz gniew - dodała Elsie. - Nie ma przywódcy państwa ani wysoko postawionego polityka, który nie jest nam winien przysługi. Obnażenie nas obnażyłoby także ich.

- Nie da się nas wsadzić do więzienia jak byle motłochu - powiedziała Blondi, której głos odzyskał zwykłą bezczelność. - Nasza rodzina zbyt poświęca się temu, co robi, ma za mocną wolę. Podniesiemy się z upadku i następnym razem nie przegramy.

- Moim zdaniem to kiepski pomysł - powiedział Giordino. Jego czarne oczy pałały pogardą.

- Wszyscy uspokoimy się, wiedząc, że nie będziecie mogli przyłożyć do tego ręki - rzekł lodowato Pitt.

Oczy Karla Wolfa zwięziły się, popatrzył na mroźny krajobraz.

- Chyba rozumiem, o co wam chodzi. Chcecie, byśmy zginęli na lodzie.

- Zgadza się. - Pitt lekko skinął głową.

- Bez odpowiednich ubrań nie wytrzymamy więcej niż godzinę.

- Podejrzewam, że dwadzieścia minut.

- Chyba nie doceniłem pana jako przeciwnika, panie Pitt.

- Mam taką teorię, że świat doskonale poradzi sobie bez dyrektora naczelnego Destiny Enterprises i jego rodzinnego imperium.

- Dlaczego nas po prostu nie zastrzelicie?

Pitt spojrział na Wolfa i na ułamek sekundy w jego oczach zamigotało poczucie zadowolenia.

- To potrwałoby za krótko. Przy naszym sposobie będziecie mieli czas zastanowić się nad koszmarem, który chcieliście zgotować miliardom niewinnych ludzi.

Wolf zaczerwienił się. Ochronnym gestem objął siostry ramionami.

- Pańska gadka mnie mierzi, panie Pitt. Wolę zamarznąć na śmierć, niż słuchać dalej pańskiego umoralniającego bełkotu.

Pitt z namysłem spojrział na Karla i jego siostry. Zastanawiał się, czy w ogóle można było naruszyć pancierz niepoprawnej rodzinki. Utrata imperium wstrząsnęła nimi, ale groźba śmierci w zasadzie ich nie załamała. Raczej złościła. Popatrzył po twarzach.

- Jeszcze tylko jedno: nie próbujcie wracać do tuneli albo do zakładu. Wszystkie wejścia będą obstawione. - Machnął starym coltem. - Ruszajcie.

Blondi poddała się losowi tak samo jak Karl. Już dygotała z zimna. Inaczej Elsie. Skoczyła na Pitta, jednak tylko po to, by natknąć się na dłoń Giordina i paść na kolana. Kiedy Karl pomagał jej wstać, spojrzała na Pitta. Jeszcze nigdy nie widziała na twarzy kobiety takiej furii.

- Przysięgam, że cię zabiję... - wywarczała przez zakrwawione usta.

Pitt bezlitośnie się uśmiechnął.

- Do widzenia, Elsie. Życzę miłego dnia.

- Jeśli przyspieszycie kroku, będzie wam cieplej - cynicznie powiedział Giordino, po czym zatrzaskał i zaryglował drzwi.

Czterdzieści osiem godzin później zakład uzyskiwania pierwiastków wypełnili naukowcy i inżynierowie, którzy zaczęli badać system nanotechnologiczny Wolfów oraz zneutralizowali system odrywania lodowca od kontynentu, tak by w żaden sposób nie dało się go uaktywnić. Po nich pojawiła się armia antropologów i archeologów, którzy zajęli się miastem Amenów. W większości byli to sceptycy, zaprzeczający możliwości istnienia przed sześcioma tysiącami lat kultury Atlantydy - teraz chodzili między starożytnymi domami z pełnym szacunku zachwytem, wpatrywali się w groteskowe kształty tkwiących pod lodem kolumn, niezdolni uwierzyć własnym oczom. Wkrótce jednak zabrali się do katalogowania znalezisk, wydobytych ze zniszczonych samolotów i magazynów oraz porozmieszczanych w odchodzących od hangaru tunelach. Po starannym zapakowaniu wszystkie przedmioty poleciały do Stanów Zjednoczonych, gdzie po konserwacji i dogłębnym badaniu miały zostać wystawione na widok publiczny.

Każdy uniwersytet na świecie, który miał liczący się wydział archeologii, posłał na Antarktydę zespół. Badano miasto i usuwano zbierającą się przez dziewięć tysięcy lat warstwę lodu. Projekt był ogromny. Obliczono, że potrwa pięćdziesiąt lat, podczas których naukowcy odkryją kolejne stanowiska, a znaleziska znajdą się w muzeach każdego większego miasta świata.

Kiedy lekarze zaszyli rany Pitta, razem z Giordinem spotkali się z Tatą Cusslerem, który zjawił się ze swoją ekipą, żeby zabrać wrak Snow Cruisera i odtransportować go do warsztatu w Stanach. Poszli do centrum sterowania i zatrzymali się tuż za drzwiami. Tato oglądał pojazd po raz pierwszy, odkąd opuścił on stację Little America VI.

Z powagą i smutkiem patrzył na wielki, czerwony, przerobiony na złom twór podziurawiony kulami, z poszarpanymi oponami i porozbijanymi oknami. Niemal trzy minuty minęły, zanim ruszył się, by dokładnie obejrzeć uszkodzenia. W końcu podniósł wzrok i krzywo się uśmiechnął.

- Nic takiego, czego nie dałoby się naprawić - powiedział i pogładził brodę.

Pitt gapił się na niego lekko zdezorientowany.

- Naprawdę pan sądzi, że da się go odbudować?

- Nie sądzę - wiem. Może to potrwa kilka lat, ale doprowadzimy go do takiego stanu, że będzie jak nowy.

- Nie wydaje mi się to możliwe - powiedział Giordino, kręcąc głową.

- Nie patrzmy na to samo - powiedział Cussler. - Wy widzicie stertę złomu, ja - wspaniały pojazd, którym pewnego dnia będą się zachwycać w Smithsonian Institution miliony ludzi. - Kiedy mówił, jego błękitno-zielone oczy migotały. - Nie widzicie, że dostaliście do ręki coś, co było kiedyś technicznie niedoskonałe, ale dzięki czemu osiągnęliście wspaniały sukces.

Dotychczas jedyną cechą charakterystyczną Snow Cruisera było to, że działał źle i nie miał cienia szansy, by osiągnąć to, do czego go przeznaczono, czyli wygodnie przewieźć grupę ludzi osiem tysięcy kilometrów po Antarktydzie. Niemal natychmiast po wyładowaniu ze statku w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku został odstawiony na boczny tor i zapomniany na sześćdziesiąt lat. Wy dwaj nie tylko dowiedliście, że jest znakomitym dziełem inżynierii początków dwudziestego wieku, ale wykorzystaliście także jego wielkość i siłę, by zapobiec światowemu kataklizmowi. Teraz, dzięki wam, jest bezcennym dokumentem historii.

Pitt patrzył na wielki, sponiewierany wehikuł jak na ranne zwierzę.

- Gdyby nie on, nikogo z nas by tu nie było.

- Mam nadzieję, że któregoś dnia opowiecie mi całą historię.

Giordino spojrział pytająco na starszego pana.

- Mam dziwne wrażenie, że pan ją już zna.

- Kiedy zostanie wystawiony - odparł Tato i klepnął Pitta w plecy - przyślę wam obu zaproszenie.

- Będę z niecierpliwością czekać.

- Aha, coś mi się właśnie przypomniało. Moglibyście mi pokazać, kto tu dowodzi? Kiedy jechaliśmy ze stacji polarnej, natknęliśmy się o jakiś kilometr od pasa startowego na trzy zamrożone ciała. Wyglądało na to, że mróz ich dorwał, kiedy próbowali przejść przez płot. Zamelduję o tym, by zabrano ciała.

- Mężczyzna i dwie kobiety? - niewinnie spytał Pitt.

Tato skinął potwierdzająco głową.

- Dziwne, ale nie byli przygotowani na tutejsze warunki. Raczej jakby się wybierali na mecz w Filadelfii.

- Niektórzy ludzie nie umieją dostrzec zagrożeń, czyhających w mroźnym klimacie.

Tato uniósł brew, po czym sięgnął do kieszeni, wyjął czerwoną chustkę wielkości namiotu dla lalek i wydmuchał nos.

- Cóż... to prawda...

Łądownik samolotem, dowożąc naukowców i personel wojskowy. Jednym z nich odlecieli do szpitali w Stanach ranni ludzie Cleary'ego i ochroniarze Wolfa. Okręt podwodny z napędem atomowym „Tucson” wpłynął przez otwór do ukrytego w lodzie portu i zacumował obok starych hitlerowskich U-Bootów.

Kapitan Evan Cunningham wyglądał trochę jak kogut - był niski i żyłasty, a jego ręce i nogi poruszały się jak pociągane na sznurkach. Miał gładką twarz, ostry podbródek i oczy koloru błękitu pruskiego, które zdawały się nieustannie poruszać. Spotkał się z pułkownikiem Wittenbergiem i generałem Billem Guerrem, którego przysłano z Waszyngtonu, by przejął dowodzenie i nadzorował prace nad odkryciem. Cunningham - zgodnie z otrzymaną od dowódcy marynarki instrukcją - zaoferował usługi swego statku i załogi.

Wittenberg opisał mu Pitta i komandor poszedł go poszukać. Podszedł i przedstawił się.

- Panie Pitt, rozmawialiśmy przez radio, ale nie zdążyliśmy się poznać osobiście. Evan Cunningham, dowódca „Tucsona”.

- To zaszczyt dla mnie móc pana poznać, kapitanie. Chciałbym bardzo podziękować za uratowanie „Polar Stormu” i jego załogi.

- To tylko szczęśliwy przypadek, że znalazłem się o odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. - Uśmiechnął się szeroko. - Nie każdy dowódca okrętu podwodnego może w dzisiejszych czasach powiedzieć, że zatopił U-Boota.

- Raczej żaden z tych, którzy nie siedzą w domu starców.

- Mówiąc o U-Bootach - wie pan, że w porcie pod lodem stoją jeszcze cztery?

Pitt skinął głową.

- Rzuciłem dziś rano na nie okiem. Wyglądają, jakby wyszły wczoraj z fabryki.

- Moi mechanicy weszli do środka. Byli pod wrażeniem jakości i poziomu technicznego, który osiągnięto w czasach, kiedy ich dziadkowie kończyli podstawówkę.

- Każdemu, kto urodził się po osiemdziesiątym roku, druga wojna światowa musi się wydawać tak odległa jak dla naszych rodziców wojna secesyjna.

Pitt przeprosił i popatrzył na pasażerów, wysiadających z boeinga 737, który podjechał tuż pod hangar. Kobieta w wełnianej czapce, spod której niczym gwałtowny wodospad wypływały rude włosy, stanęła i zaczęła się rozglądać po hangarze, zaskoczona panującym w nim ruchem. Potem spojrzała w kierunku Pitta i rozpromieniła się.

Pitt ruszył ku niej, lecz przegonił go Giordino i chwycił Pat O'Connell w potężne ramiona. Uniósł ją z taką łatwością, jakby była puchową poduszką, i obrócił wokół siebie. Potem namiętnie się pocałowali.

Pitt patrzył ze zdziwieniem. Kiedy Giordino puścił Pat, pomachała mu. Pitt delikatnie pocałował ją w policzek i odsunął się o krok.

- Czy coś przegapiłem?

Pat roześmiała się radośnie.

- Spojrzeliśmy sobie w oczy w Buenos Aires i stało się coś cudownego.

Pitt popatrzył na Giordina.

- Co na przykład?

- Na przykład to, że się zakochaliśmy.

Pitt nie był zdziwiony - był oniemiały.

- Zakochałeś się?

Giordino wzruszył ramionami z uśmiechem.

- Nie umiem tego wyjaśnić. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie czułem.

- Czy to znaczy, że się wycofujesz?

- Przyjacielu, wiele razem przeszliśmy, mieliśmy więcej dzikich przygód, niż jestem w stanie pamiętać. To cud, że ciągle żyjemy, mając na po twierdzenie naszych wyczynów jedynie blizny. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Nie robimy się młodszy. Kiedy rano wstaję, skrzypią mi stawy. Trzeba pomyśleć o emeryturze. - Przerwał i dodał po chwili: - Poza tym trzeba oczywiście wziąć pod uwagę mamę.

- Masz matkę? - spytała kpiąco Pat.

- Doskonale się dogadacie - odparł z zadowoleniem Giordino. - Mama twierdzi, że nie mogę zostać starym kawalerem, bo chce mieć wnuczki, które będzie mogła paść swoim sławnym lasagne.

- Będziemy musieli się pospieszyć - powiedziała Pat ze śmiechem. - Mam trzydzieści pięć lat, więc nie zostało nam dużo czasu na produkcję narybku.

- Przecież masz Megan - przypomniał Pitt.

- I jest zachwycona Alem.

Pitt pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Megan akceptuje tego kosmitę?

- Dlaczego nie? Uratował jej życie.

Pitt uważał, że nie ma sensu podkreślać, że on też miał swój udział w ich uratowaniu, ani sugerować, że czuje do niej coś więcej niż przyjaźń.

- Cóż, w takim razie nie pozostaje mi chyba nic innego, jak dać wam moje błogosławieństwo i prosić, byście mnie wzięli na drużbę.

Giordino objął go ramieniem i powiedział tęsknie:

- Nie wyobrażam sobie w tej roli innego śmiertelnika.

- Ustaliliście już datę?

- Nie wcześniej niż za pół roku - odpowiedziała Pat. - Admirał Sandecker załatwił mi

kierownictwo naukowe nad odczytaniem napisów Amenów z zaginionego miasta. To zajmie lata, ale nie będzie miał nic przeciwko temu, że wrócę wcześniej do domu na ślub z Alem.

- Nie sądzę. - Pitt próbował przyjąć do wiadomości nieoczekiwaną informację. - Na pewno nie.

Podszedł porucznik Miles Jacobs i zasalutował.

- Panie Pitt, major Wittenberg prosi na słówko.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Założyli z generałem Guerro punkt dowodzenia w jednym z biur w głębi hangaru.

- Dziękuję, już idę. - Pitt odwrócił się i spojrzał na Giordina. - Najlepiej będzie, jak umieścisz

Pat w jednym z pustych magazynów - może tam zamieszkać i założyć bazę programu badawczego.

Odwrócił się i poszedł między kręcącymi się ludźmi do punktu dowodzenia.

Wittenberg, siedząc w jednym z biur, które rosyjscy niewolnicy wykuli w skale niemal sześćdziesiąt lat wcześniej, wskazał na krzesło. Mieściło się tu także centrum komunikacyjne, obsługiwane przez dwóch radiooperatorów. Panował kompletny chaos, wojskowi i cywile ciągle wchodzili i wychodzili. Generał Guerro siedział za wielkim, stojącym w rogu metalowym biurkiem, otoczony naukowcami, którzy żądali natychmiastowego transportu specjalistycznego sprzętu, by mogli jak najszybciej zacząć usuwać lód z budynków w starożytnym mieście. Nie wyglądał na szczęśliwego, tłumacząc się z opóźnienia.

- Znaleziono już relikwie?

- Byliśmy zbyt zajęci, by zacząć ich szukać - odparł Wittenberg. - Pomyślałem, że pan to zrobi.

Jeśli się panu uda, proszę mnie zawiadomić, wyznaczę transporter, który zawiezie pana do Stanów.

- Niedługo wrócę - powiedział Pitt i wstał. - Chyba wiem, gdzie Wolfowie je schowali.

- I jeszcze jedno, panie Pitt - powiedział poważnie Wittenberg. - Nikomu o niczym ani słowa.

Najlepiej będzie, jeśli relikwie zostaną usunięte po cichu, nim jacyś szaleńcy się o nich dowiedzą i będą próbować dostać je w swoje łapy.

- Dlaczego ich po prostu nie zniszczyć?

- To nie nasza decyzja. Prezydent osobiście kazał przywieźć je do Białego Domu.

- Chyba rozumiem - powiedział Pitt.

Kiedy szedł przez hangar, czuł, jak ciężar odpowiedzialności opada mu na barki niczym czarna chmura. Spięty doszedł do odrzutowca dyrektorskiego Wolfów, przyjrzał się ogonowi, który zmasakrował Snow Cruiserem, okrążył samolot i wszedł przez otwarty luk do mrocznego wnętrza. Mimo słabego światła, wpadającego jedynie przez luk i okienka, dostrzegł luksusowe wnętrze i obite skórą fotele i kanapy. Wyjął z kieszeni latarkę i oświetlił bar i szafkę z wielkim telewizorem. W tylnej części kabiny stało ogromne łóżko. Armatura w łazience zaopatrzonej w kabinę prysznicową była złocona. W przedniej części, tuż za kokpitem, mieścił się kambuz z piecykiem, kuchenką mikrofalową, zlewozmywakiem i szafkami, w których stały kryształowe kieliszki i zastawa z porcelany.

Wzrok Pitta padł na długą skrzynię, leżącą na podłodze obok łóżka. Ukląkł i przeciągnął po niej dłonią. Spróbował podnieść jeden koniec, ale skrzynia była niezwykle ciężka. Na pokrywie znajdowała się mosiężna tabliczka. Poświecił na nią i przyjrzał się bliżej. Napis był po niemiecku, ale wystarczyło to, co pamiętał ze szkoły, by zrozumieć, że „leżą tu skarby z dawnych wieków, które czekają na zmartwychwstanie”.

Otworzył zamki i wziął głęboki wdech. Następnie podniósł wieko skrzyni.

W środku były cztery przedmioty - trzy skórzane pudełka i jedno długie, mahoniowe. Otworzył

pierwsze i znalazł w nim owinięty grubym płótnem przedmiot. Kiedy go odwinął, ujrzał niewielką płytkę z brązu. Wygrawerowany przód ukazywał rycerza zabijającego smoka. Później Pitt dowiedział się, że Hitler miał ją w kieszeni munduru podczas zamachu w Wilczym Szańcu.

Następne puzderko zawierało flagę, o której opowiadał admirał Sandecker - kawałek materiału, poplamiony krwią zwolennika Hitlera, zabitego przez bawarską policję podczas nieudanego puczu monachijskiego w listopadzie tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku. Policja strzelała wówczas do członków świeżo powstałej partii hitlerowskiej. Plama krwi była wyraźnie widoczna w świetle latarki. Pitt schował flagę z powrotem.

Potem otworzył długi pojemnik z mahoniu i zauroczony wbił wzrok w Świętą Włóczęgę, którą ponoć rzymski setnik przebił bok wiszącego na krzyżu Chrystusa. Hitler sądził, że pozwoli mu ona zapanować nad losami świata. Myśl, że tym przedmiotem ugodzono Chrystusa, była zbyt obezwładniająca, by dało się w nią uwierzyć. Delikatnie odłożył na miejsce najważniejszą relikwię chrześcijaństwa i zajął się największym skórzonym pudłem.

Po odwinięciu płótna okazało się, że ma w ręku ciężką urnę z masywnego srebra, o wysokości mniej więcej pół metra. Wierzch pokrywy zdobił czarny orzeł stojący na złotym wieńcu, otaczającym swastykę z onyksu. Tuż pod pokrywą mieścił się napis: „Der Fuhrer”, pod nim dwie daty: 1889 i 1945, a powyżej runiczne symbole SS. Na samym dole, nad szeregiem swastyk, wygrawerowano: „Adolf Hitler”, oraz: „Ewa Hitler”.

Groza uderzyła Pitta prosto w twarz niczym cios pięścią. Niezwykłość tego, na co patrzy, sprawiła, że po plecach zaczęły mu przechodzić dreszcze, w żołądku zasupłał się węzeł, a z twarzy odpłynęła krew. Wydawało się niemożliwe, by mógł trzymać w ręku popioły Adolfa Hitlera i jego kochanki i żony Ewy Braun.

Popioły, popioły

15 kwietnia 2001, Waszyngton

Pitt i Giordino wraz z relikwiami dotarli wojskowym samolotem pasażerskim do Veracruz w Meksyku, gdzie czekał już na nich przysłany przez admirała Sandeckera odrzutowiec służbowy Agencji. Pocąc się w wilgotnym upale, zanieśli skrzynię z brązu do turkusowego samolotu z logo Agencji na bokach. Poza dwoma pilotami w samolocie nie było nikogo. Po załadowaniu skrzyni i przywiązaniu jej do podłogi Pitt spróbował wejść do kokpitu, ale drzwi były zamknięte. Zapukał i czekał, aż przez głośnik w kabinie odezwał się pilot.

- Przykro mi, panie Pitt, ale mam rozkaz trzymać drzwi zamknięte i nie wpuszczać nikogo do kokpitu, aż relikwie znajdą się w opancerzonej ciężarówce w Bazie Sił Powietrznych Andrews.

Pitt uznał, że trochę przesadzają z bezpieczeństwem. Popatrzył na Giordina, który unosił zieloną dłoń.

- Gdzie się tak umazałeś?
- O zawiasy drzwi. Kiedy ładowaliśmy skrzynię, złapałem się dla równowagi. - Potarł plamę palcem. - To turkus. Farba na samolocie nie wyschła.
- Wygląda na to, że pomalowano go mniej niż osiem godzin temu.
- Może nas porwano? - spytał Giordino.
- Możliwe, ale dopóki nie ustalimy, czy jesteśmy na kursie do Waszyngtonu, możemy pooglądać widoki.

Samolot przez kilka chwil kołował, po czym wystartował i poleciał między morzem a jaskrawo-błękitnym niebem bez jednej chmury. Przez następne dwie godziny Pitt i Giordino lecieli odprężeni i zmieniali się przy oknach, z których widać było wodę w dole. Samolot minął Zatokę Meksykańską i leciał nad terenem Stanów Zjednoczonych w okolicy Pensacoli na Florydzie. Kiedy Giordino dostrzegł w oddali stolicę kraju, odwrócił się do Pitta.

- Czy to możliwe, że zaczynamy się zachowywać jak para podejrzliwych starych bab?
- Pozostawię sobie ocenę do chwili, aż zobaczę czerwony dywan, prowadzący do opancerzonej ciężarówki.

Po piętnastu minutach pilot przechylił maszynę i zaczął schodzić do lądowania w Bazie Sił Powietrznych Andrews. Trzy kilometry przed pasem do lądowania samolot skrzył ledwo wyczuwalnie w lewo. Pitt i Giordino, którzy spędzili wiele godzin w kokpicie samolotu, natychmiast wyczuli zmianę kursu.

- Nie ląduje w Andrews - ze spokojem oświadczył Giordino.
- Nie, leci na niewielkie prywatne lotnisko na północ od Andrews, w dzielnicy willowej

Gordons Corner.

- Mam dziwne wrażenie, że nici z czerwonego dywanu i królewskiego przyjęcia.

- Na to wygląda.

Giordino popatrzył na Pitta, mrużąc oczy.

- Wolfowie?

- A któż by inny?

- Bardzo musi im zależeć na tych relikwiach.

- Nie mają innych świętości, dzięki którym mogliby gromadzić wokół siebie ludzi.

- Takie skomplikowane zabawy wcale do nich nie pasują. Mogli wylądować gdziekolwiek między Meksykiem a Wirginią.

- Albo zrobili się bez Karla i Hugona niechlujni, albo wiedzieli, że będą śledzeni od Veracruz i przy najmniejszym odchyleniu od trasy polecą za nimi myśliwce.

- Może przejmujemy stery i polecimy do Andrews?

- Lepiej zaczekajmy, aż znajdziemy się na ziemi. Wpadanie do kokpitu, kiedy pilot podchodzi do lądowania, może narobić bigosu.

- Masz na myśli wypadek?

- Coś w tym stylu.

- Samo życie - powiedział Giordino. - A tak mi zależało na orkiestrze i paradzie przez miasto!

Kilka sekund później opony krótko pisnęły i samolot zaczął toczyć się po asfalcie. Za oknem widać było opancerzoną ciężarówkę, za którą jechały dwa terenowe mercedesy ML430. Były to szybkie auta z silnikami V8 o mocy dwustu sześćdziesięciu ośmiu koni i ich osiągi niewiele się różniły od europejskich aut sportowych.

- Do roboty - powiedział Pitt. Wyjął z torby colta, Giordino swojego P12. Al bez trudu wyłamał kopniakiem drzwi. Wskoczyli do kokpitu. Obaj piloci bez odwracania się natychmiast podnieśli ręce.

- Spodziewaliśmy się panów - powiedział pilot, jakby czytał ze skryptu.

- Proszę nie próbować przejmować kontroli nad samolotem. Natychmiast po wylądowaniu przecięliśmy linki układu sterowania. Ten samolot jest niesterowny i nie może latać.

Pitt spojrział na konsolę między pilotami - linki drążka sterowniczego oraz pedałów zostały przecięte w miejscu, gdzie wchodziły w podłogę.

- Obaj, wynocha! - warknął Pitt i wyszarpnął obydwu za kołnierze z foteli. - Al, wyrzuć ich dupska z samolotu!

Samolot toczył się jeszcze z prędkością mniej więcej czterdziestu kilometrów na godzinę, kiedy Giordino wyrzucił obu pilotów na asfalt, z zadowoleniem patrząc, jak toczą się i podskakują niczym szmaciane lalki.

- I co teraz? - spytał, kiedy wrócił do kokpitu. - Te dość groźnie wyglądające mercedesy są najdalej sto metrów za nami i jadą szybko.

- Może nie mamy układu sterowania, ale ciągle jeszcze mamy hamulce i silniki.

Giordino popatrzył z powątpiewaniem.

- Chyba nie zamierzasz pojechać tym wzdłuż Pennsylvania Avenue do Białego Domu?

- A dlaczego nie? - odparł Pitt, pchając przepustnicę i przecinając postój taksówek, skąd wjechali na drogę prowadzącą do lotniska. - Pojedziemy, jak najdalej się da, i miejmy nadzieję, że jest duży ruch, to nie będą mieli odwagi zaatakować.

- Przez takich jak ty optymiści mają niższą średnią życia od cyników - powiedział Giordino. -

Wolfowie są tak zdesperowani, że aby dostać relikwie w swoje brudne łapy, wystrzelaliby stadion kobiet i dzieci.

- Jestem otwarty na propozycje.

Pitt przerwał, ponieważ do kokpitu dobiegł łoskot pocisków, które wbiły się w aluminiowy kadłub. Zaczął naciskać na zmianę prawy i lewy hamulec, co sprawiło, że samolot jechał slalomem, utrudniając zadanie strzelcom z mercedesa.

- Czas, bym zabawił się w dzikiego Billa Hickocka - powiedział Giordino.

Pitt dał mu swojego colta.

- Będziesz potrzebował całej dostępnej amunicji. W mojej torbie jest jeszcze kilka magazynków.

Giordino położył się w otwartych drzwiach i używając ogona samolotu jako celownika, mierzył do goniących ich samochodów. Kątem oka zauważył, jak pociski przebijają lewe skrzydło i dziurawią zbiornik paliwa. Na szczęście nic się nie zapaliło, ale było jedynie kwestią czasu, kiedy trafiony zostanie silnik i dojdzie do pożaru. Starannie wycelował i kiedy Pitt skręcił bardziej w lewo, strzelił.

Pitt dosłownie wrzucił samolot na prowadzącą do miasta Branch Avenue Highway. Rycząca silnikami maszyna wkrótce jechała prawym pasem i poboczem autostrady z prędkością niemal stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Kierowcy w zaskoczeniu otwierali usta, widząc strzelającego z otwartych drzwi mężczyznę i goniące samolot dwa terenowe mercedesy.

Pitt wiedział, że samolot ma dość mocy, by uciec mercedesom, ale w ucieczce bardzo przeszkadzały mu skrzydła o rozpiętości prawie trzynastu metrów. Prędzej czy później musiał trafić nimi w samochód osobowy, ciężarówkę albo latarnię. Dodatkowym niebezpieczeństwem było to, że w skrzydłach umieszczono zbiorniki. Jakby pomyślał o tym w złą chwilę - zauważył, że z lewego zbiornika w zastraszającym tempie ubywa paliwa. Wyjrzał na zewnątrz i spostrzegł, że skrzydło jest podziurawione pociskami, a benzyna rozpryskuje się na wietrze jak fontanna. Sterował za pomocą hamulców i jak na razie udawało mu się jechać slalomem między nielicznymi samochodami, jednak bliżej miasta ruch się zagęszczał. Kiedy się dało, wyprzedzał ciężarówkę i zajeżdżał ją z przodu, by służyła jako tarcza. Słyszał strzały Giordina, ale nie widział, jakie przynoszą efekty, ani nie umiał ocenić, jak daleko za nimi jest pościg.

Obie stopy trzymał na hamulcach, prawą dłoń na przepustnicy, lewą zaczął nadawać SOS. Oficer z wieży kontrolnej bazy Andrews natychmiast odebrał sygnał i poprosił o podanie pozycji, ponieważ nie miał ich na radarze. Kiedy Pitt przekazał, że jadą Branch Avenue i zbliżają się do Suitland Parkway, kontrolerzy uznali, że mają do czynienia z dowcipnisiem, i zdecydowanie kazali mu się wyłączyć. Pitt nalegał, by zawiadomili najbliższą jednostkę policji, i z przyjemnością spełniono jego prośbę.

Niespieszny, metodyczny ogień Giordina zaczął wreszcie przynosić efekty. Przestrzelił prowadzącemu mercedesowi przednią oponę. Samochód w niekontrolowany sposób zatańczył po autostradzie, potem wpadł do rowu i przeokołkował trzy razy, zatrzymując się na dachu w chmurze pyłu. Drugi mercedes natychmiast zajął jego miejsce, a ponieważ rosnący ruch sprawiał Pittowi coraz więcej trudności, szybko się zbliżał. Aby wykonać manewr wymijania, Pitt potrzebował dwóch pasów i pobocza.

W oddali zawyły syreny i wkrótce z naprzeciwka zaczęły nadjeżdżać migające czerwono-niebieskie koguty. Radiowozy przecięły pas zieleni i dołączyły się do pościgu niemal przyłączone do zderzaka mercedesa, po czym wyprzedziły go i popędziły za samolotem. Zdaniem policjantów

musiał się znajdować w rękach człowieka, który albo się upił, albo był pod wpływem narkotyków.

Przez mniej więcej dziesięć sekund policjanci nie uświadamiali sobie, że z obu bocznych okien mercedesa dwóch ludzi strzela z długiej broni samopowtarzalnej. Nim się połapali, pociski przeszły karoserie radiowozów i zniszczyły silniki, zmuszając ich do zatrzymania się. Zaskoczeni funkcjonariusze zjechali na pobocze i tępo patrzyli na wydobywający się spod masek dym.

- Zatrzymali gliny! - krzyknął Giordino.

Kiedy mercedes znaleźli się na ich wysokości, a strzelcy zasypali przód gradem kul, Pitt uznał, że naprawdę mają zamiar odzyskać relikwie. Zbytne zbliżenie się do samolotu okazało się jednak błędem. Giordino wpakował w mercedesa magazynki dwóch pistoletów, trafiając w końcu kierowcę, który opadł nieruchomo na kierownicę. Samochód zjechał natychmiast ze swojego pasa i rozpędzony uderzył w wielką cysternę z mlekiem. Tylne koła naczepy przejechały po mercedesie, miażdżąc siedzących w środku ludzi i zamieniając samochód w poszarpaną kupę złomu.

- Możesz zwolnić - oznajmił rozradowany Giordino. - Koniec pościgu.

- Jesteś lepszym strzelcem, niż sądziłem - powiedział Pitt, przytknął przepustnicę, ale nie zatrzymywał samolotu. Kiedy był całkowicie pewny, że pościg się skończył, zjechał na szeroki trawnik parku Fort Davis i zgasił silniki.

W ciągu kilku minut otoczyło ich dziesięć radiowozów, a policjanci kazali im się położyć twarzami do ziemi i skuli im ręce na plecach. Zabrano ich do najbliższego komisariatu i zaczęto przesłuchiwać. Dwaj detektywi, którzy uważali, że opowieść o tym, że byli ścigani przez ludzi, chcących odebrać hitlerowskie relikwie, to bajka rodem z Alicji w krainie czarów, w końcu jednak zgodzili się na wykonanie telefonu.

- Macie prawo do jednej rozmowy - powiedział detektyw porucznik Richard Scott, siwowłosy weteran tutejszego wydziału policji.

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan go za mnie wykonał - odparł Pitt.

Detektyw przyniósł do pokoju przesłuchań aparat i włożył wtyczkę w gniazdko.

- Numer? - spytał.

- Nigdy nie mogę zapamiętać, ale w informacji na pewno dostanie pan numer Białego Domu.

- Mam dość tych idiotyzmów - powiedział wyraźnie znudzony Scott. - Pod jaki numer chce pan zadzwonić?

Pitt przeszył detektywa wzrokiem.

- Nie żartuję. Niech pan dzwoni do Białego Domu i poprosi o połączenie z szefem sztabu prezydenta. Niech pan powie, że tkwimy z relikwiami w komisariacie przy Potomac Avenue.

- Żartuje pan.

- Na pewno pan nas sprawdził i wie, że nie jesteśmy poszukiwanymi przestępcami, ale funkcjonariuszami Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Jak więc pan wyjaśni strzelaninę na autostradzie z nielegalnej broni?

- Proszę... niech pan zadzwoni.

Scott znalazł numer Białego Domu i spełnił prośbę. Jego mina zmieniała się jak u komika. Najpierw wyrażała podejrzliwość, potem zaciekawienie, w końcu zdumienie. Kiedy odłożył słuchawkę, patrzył na swych więźniów z szacunkiem.

- No i...? - spytał Giordino.

- Do telefonu podszedł osobiście prezydent Cooper i powiedział, że jeśli w ciągu dziesięciu minut nie dostarczę panów z relikwiami do Białego Domu, sam zerwie mi odznakę.

- Niech się pan nie martwi, poruczniku - powiedział uprzejmie Giordino. - Nie będziemy panu mierzyć czasu.

Pitt, Giordino i skrzynia z brązu podjechali do północno-zachodniej bramy Białego Domu z rykiem syren i miganiem kogutów na dachach. Tuż za bramą wyszkolone oczy agentów Sił Specjalnych przeszukały skrzynię, czy nie ma w niej ukrytej broni albo materiałów wybuchowych. Wyjęto hitlerowskie relikwie, odwinęto je z płótna i zbadano. Nie męcząc się z ponownym zawijaniem, Giordino wziął włócznię do ręki, Pitt schował plakietkę z brązu do kieszeni, a flagę podał agentowi. Srebrną urnę pewnie trzymał oburącz przy sobie.

Na ich widok sekretarka prezydenta wstała, za nią zajęli pozycje czterej agenci. Uśmiechnęła się i przywitała się z przybyłymi.

- Prezydent i kilku wysokich urzędników czeka cierpliwie na panów w swoim gabinecie.

- Wyglądamy mało wyjściowo - stwierdził Giordino, patrząc na swe zmięte ubranie.

- Czy mógłbym poprosić o sekundę? - spytał Pitt. - Chętnie skorzystamy z łazienki.

- Ależ oczywiście - odparła słodko sekretarka. - Męska toaleta jest tuż obok pana, po prawej stronie.

Po kilku minutach Pitt i Giordino weszli do Gabinetu Owalnego. Ze zdziwieniem spostrzegli, że jest tu dość tłoczno: byli członkowie Komitetu Szefów Sztabów, wszyscy ministrowie, najważniejsi doradcy prezydenta, admirał Sandecker z Hiramem Yaegerem i Rudim Gunnem, kilku najważniejszych kongresmanów oraz Loren Smith, która bez skrupowania podeszła do Pitta i pocałowała go prosto w usta. Kiedy zaskoczeni stanęli na środku gabinetu, rozległy się brawa.

Gdy oklaski i okrzyki zamilkły, Pitt nie mógł się powstrzymać od komentarza.

- To lepsze przyjęcie niż na lotnisku w Gordons Corner.

- W Gordons Corner? - wyrzucił z siebie Sandecker. - Mieliście lądować w bazie Andrews, gdzie ciągle jeszcze czeka komitet powitalny.

- No właśnie - powiedział sekretarz stanu Paul Reed. - Co to za historia z aresztowaniem przez policję?

- Rodzina Wolfów próbowała odzyskać relikwie - wyjaśnił Pitt.

- Chcieli porwać relikwie? - spytał generał Amos Smith z Komitetu Szefów Sztabów. - Mam nadzieję, że im się nie udało.

- Nie. Mamy je.

Podszedł prezydent Dean Wallace Cooper.

- Panowie, naród - nie: świat jest wam winien bezgraniczną wdzięczność. Niestety, niewiele osób się dowie, jak blisko zagłady był świat i czego dokonaliście, by temu zapobiec.

Do prezydenta podszedł wiceprezydent Brian Kingman.

- Jest wielką niesprawiedliwością wobec panów, że nie będziecie się cieszyć należnym za wasze zasługi uznaniem, ale upublicznienie informacji o tym, jak niewiele brakowało do zagłady ludzkości, wywołałoby całkowite zamieszanie. Media oszalałyby i choć niebezpieczeństwo minęło, strach i przerażenie trwałyby lata.

- Brian ma rację - powiedział prezydent. - Wiedza, że Ziemia może zostać uszkodzona przez komety czy asteroidę albo że może się wydarzyć trzęsienie ziemi, nie przeszkadza ludziom w wypełnianiu swych codziennych obowiązków. Ale myśl, że może pojawić się kolejny szaleniec - następny Karl Wolf wraz ze swoją rodziną który postanowił zniszczyć ludzkość dla zrealizowania chorej potrzeby dominacji nad światem, nigdy nie dałaby im spokoju. Szerzyłby się strach, a do tego

nie możemy dopuścić.

- Nie ma sprawy, panie prezydencie - rzekł bezczelnie Giordino. - Nigdy nie marzyło mi się, żeby rozdawać w restauracji autografy.

Pitt odwrócił się, by powstrzymać śmiech. Sandecker przewrócił oczami i popatrzył w sufit. Prezydent spojrział bez wyrazu, nie umiejąc ocenić, czy mały Włoch mówi poważnie, czy żartuje.

- Mój przyjaciel chciał chyba powiedzieć - wyjaśnił Pitt - że obaj jesteśmy zadowoleni, mogąc pozostać anonimowi.

W tym momencie każdy w gabinecie zaczął zadawać pytania, głównie dotyczące tego, jak przejechali Snow Cruiserem przez lodowiec i uratowali oddział Sił Specjalnych. Potem prezydent spojrział na przedmiot w ręku Giordina.

- To jest Święta Włócznia, o której tyle słyszałem?

Giordino nonszalancko podał włócznię prezydentowi.

- Tak jest, sir, to ona.

- Najświętsza relikwia chrześcijaństwa - oznajmił Pitt. - Twierdzi się, że ten, kto ją posiada, może na dobre i złe panować nad losem świata.

- Wygląda na to, że Hitler wybrał to drugie - powiedział admirał Sandecker.

- Czy to naprawdę jest włócznia, którą przebito bok wiszącego na krzyżu Chrystusa? - spytał z respektem Cooper, patrząc na czubek ostrza, jakby spodziewał się tam dostrzec zakrzepniętą kroplę krwi.

- Tak mówi legenda - odparł Pitt.

Prezydent podał włócznię sekretarzowi stanu Reedowi.

- Lepiej niech pan ją weźmie, Paul.

- Co zamierza pan z nią zrobić, panie prezydencie? - spytał generał South.

Cooper lekko dotknął starożytnego ostrza.

- Z tego, co wiem, miejsce włóczni jest w wiedeńskim pałacu cesarskim, skąd w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku ukradł ją Hitler.

Reed pokręcił głową.

- Nic z tego! - oznajmił z emfazą. - Przepraszam, panie prezydencie, ale uważam, że musi zostać ukryta, by nigdy już nie wpadła w niepowołane ręce i nie została użyta jako symbol tyranii.

Gdy wszyscy obejrzeni już plakietkę z brązu, która ponoć uratowała Hitlerowi życie, oraz flagę, Pitt wyszedł na chwilę na korytarz, wziął z biurka sekretarki urnę i wniósł ją do Gabinetu Owального. Postawił ją na stole przed kominkiem.

- Popioły Hitlera i Ewy Braun.

Cofnął się, a zebrani w gabinecie ludzie podeszli, żeby przeczytać wygrawerowane w srebrze słowa. Wkrótce wszystkie głosy zmieniły się w cichy szept. Wpatrywano się w pojemnik z przekłętymi resztkami po najstraszliwszym tyranie w historii ludzkości.

- Od samego patrzenia przeszywa mnie dreszcz - powiedziała Loren, ściskając Pitta za ramię.

Pitt objął ją w pasie.

- Nie jesteś jedyna.

- Sama myśl o tym jest aż nazbyt przerażająca... - mruknął prezydent.

Generał South spojrział na niego.

- Sir, sądzę, że powinniśmy zajrzeć do środka i sprawdzić, czy popioły rzeczywiście są wewnątrz.

Prezydent Cooper rozejrzał się po gabinecie.

- Czy ktoś ma coś przeciwko temu?

- Uważam, że mądrze byłoby, gdyby laboratorium FBI przebadalo je i potwierdziło, że są pochodzenia ludzkiego - powiedział sekretarz stanu.

- Mógłby pan zdjąć pokrywę? - prezydent zwrócił się do generała Southa.

Nawet tak doświadczony żołnierz czuł wstręt przed dotknięciem urny.

Z wahaniem, delikatnie objął palcami czarnego orła i ostrożnie nim poruszył. Kiedy zdjął pokrywę, położył ją na stole, jakby była skażona wirusem. Wszyscy stali w milczeniu i przyglądali się w napięciu, jak prezydent zagląda do środka. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie, po czym rozejrzał się po napiętych, pełnych oczekiwania obliczach.

- Jest pusta - stwierdził niepewnie. - W środku nic nie ma.

Słowo „pusta” pomknęło falą po gabinecie.

- Takiego obrotu sprawy z pewnością nikt się nie spodziewał - powiedział nie mniej zdziwiony wiceprezydent Kingman.

- Czy to możliwe, żeby Wolfowie zabrali popioły i ukryli je? - spytał generał South, wyrażając to, o czym myśleli wszyscy obecni.

Jedynie Giordino był dziwnie zamyślony. Nagle jego twarz się rozpromieniła, jakby doznał olśnienia. Odwrócił się do Pitta i dziwnie na niego popatrzył. O nie... - mruknął cicho. - Nie zrobiłeś tego...

- Zrobiłem - szczerze odparł Pitt.

- O czym mówicie? - spytała Loren Smith. - Wiesz, kto zabrał popioły?

- Wiem.

- Kto?

- Ja - odparł Pitt, a jego opalizujące oczy zdradzały szatańskie rozbawienie. - Spuściłem je w klozecie męskiej toalety Białego Domu.

Ostatnie błogosławieństwo

10 września 2002, Waszyngton

Dzień był typowy dla stolicy - gorący i parny. Liście zwisały jak plastikowe zielone płatki i nie było czuć nawet śladu chłodnego, jesiennego powiewu. Tłum ludzi stał w długich kolejkach, by wejść do niedawno otwartego skrzydła Muzeum Historii Naturalnej, gdzie umieszczono ponad trzy tysiące skarbów Amenów oraz znalezisk z wyspy Saint Paul, pokładu „Ulricha Wolfa” oraz zaginionego miasta na Antarktydzie, gdzie wciąż jeszcze trwały prace.

Jak należało się spodziewać, członkowie rodziny Wolfów wyszli z sądów wolni, stworzono jednak międzynarodową jednostkę śledczą, która miała ich obserwować. Możliwość realizacji przez nich kolejnego planu zdobycia panowania nad światem została w ten sposób skutecznie udaremniona. Koncern Destiny Enterprises przestał istnieć, a śmierć Karla Wolfa pozbawiła rodzinę sternika. Bez gigantycznego majątku większość Wolfów została zmuszona do prowadzenia znacznie mniej luksusowego trybu życia.

Rząd chilijski natychmiast zarekwirował cztery monstrualne statki. Po poszerzeniu wejścia do fiordu wypłynęły na otwarte morze i zaczęły wozić niewyobrażalne przedtem ilości pasażerów i towarów. „Ulrich Wolf” został sprzedany grupie armatorów - ponoć za trzy miliardy dolarów. Po niewielkich przeróbkach służył jako krążące dookoła świata miasto, w którym można było kupić albo wynająć mieszkanie. Statek przemianowano na „Ocean Paradise”, a przedsięwzięcie okazało się niezwykle popularne, ponieważ na górnym pokładzie mogły bez problemu lądować samoloty.

Pozostałe trzy statki kupiły firmy zajmujące się transportem morskim oraz towarzystwa naftowe i wkrótce statki stały się częstymi gośćmi w portach, które były w stanie je przyjąć. Ponieważ okazało się, że tak wielkie jednostki mogą być rentowne, wkrótce rozpoczęto budowę sześciu kolejnych podobnych rozmiarów.

Admirał Sandecker, Pitt, Loren Smith, Giordino i Pat, która przyleciała, by pomóc ustawić planse z napisami Amenów, zostali zaproszeni na wernisaż poprzedzający udostępnienie wystawy publiczności. Nieważne, jak często je oglądali, Pitt i Giordino w dalszym ciągu byli zachwyceni wspaniałością wystawionych skarbów. Nikt z oglądających nie był w stanie uwierzyć, że są tworem rasy, która zniknęła dziewięć tysięcy lat temu - na długo przedtem, zanim większość prehistorycznych cywilizacji wyszła z epoki kamiennej.

Głównym eksponatem, umieszczonym pod wielką, szklaną rotundą, była grupa wspaniale zachowanych mumii władców Amenów, znalezionych przez Giordina i Rudiego Gunna na wyspie Saint Paul. Wszyscy stali w niemym zachwycie przed tymi, którzy żyli i zmarli tyle wieków temu. Pitt

zastanawiał się, czy któryś z tych władców mógł być jego przodkiem.

Po pięciu godzinach wyszli z wystawy bocznymi drzwiami, które przytrzymał im uzbrojony strażnik, i ruszyli do niedawno zbudowanego Muzeum Komunikacji - oddziału Smithsonian Institution. Loren wyglądała olśniewająco, słońce podkreślało urodę jej cynamonowych, opadających na ramiona włosów. Była ubrana w błękitną, jedwabną sukienkę bez rękawów, na tyle krótką, by ukazać zgrabne, opalone nogi. Pitt miał na sobie cienki zielony golf i jasnobrązowe spodnie. Al i Pat, unikając przy tej temperaturze formalnych strojów, założyli bawełniane T-shirty i szorty. Trzymali się za ręce jak zakochane nastolatki. Cała grupa, prowadzona przez Sandeckera, który palił jedno ze swych słoniowatych cygar, przecięła Madison Avenue i poszła ścieżką przez Mali.

- Kiedy wracasz do zatoki Okuma? - zapytała Loren Pat.

- W przyszłym tygodniu.

Loren uśmiechnęła się do Giordina.

- To ci trochę popsuje pożycie małżeńskie - zauważyła.

- Nie słyszałaś? - odparł Giordino. - Admirał dał mi urlop naukowy, który spędzę na Antarktydzie. Mam zbadać, jakie podróże morskie podejmowali Amenowie, by Hiram Yaeger miał czym nakarmić swój komputer. Będziemy pracować z Pat razem przez najbliższe pół roku.

- Więc pozostajemy tylko we dwoje - powiedziała Loren, ściskając dłoń Pitta.

- Nie na długo. - Musnął ustami jej włosy. - Za dwa tygodnie wyjeżdżam, by poprowadzić badania podwodnego wulkanu, który wznosi się coraz bardziej z dna morskiego na południe od Hawajów.

- Ile czasu tam spędzisz?

- Najwyżej trzy tygodnie.

- Chyba wytrzymam tyle bez ciebie - powiedziała Loren z lekkim uśmiechem.

Przecięli Jefferson Drive, przechodząc między samochodami, i weszli do Muzeum Komunikacji. Na powierzchni ponad półtora hektara wystawiono tu setki pojazdów, z których najstarsze pochodziły z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Ustawiono je w porządku chronologicznym - od pierwszych mosiężnych bryczek z silnikami po najnowsze concept cars poszczególnych producentów. Poza samochodami osobowymi wystawiono także rozmaite inne pojazdy - ciężarówki, ciągniki rolnicze, motocykle, rowery.

Największym klejnotem kolekcji był Snow Cruiser admirała Byrda. Stał w specjalnym, półtorametrowym zagłębieniu, by widzowie mogli zaglądać do środka przez okna i otwarte drzwi. Świeży czerwony lakier i pomarańczowe pasy niemal świeciły w jasnym świetle, ukazującym całą wspaniałość potężnej maszyny.

- Odbudowanie go to była naprawdę mistrzowska robota... - mruknął Pitt.

- Aż trudno uwierzyć - dodał cicho Giordino - biorąc pod uwagę, w jakim stanie go zostawiliśmy...

Wzrok Sandeckera wędrował wzdłuż Snow Cruisera.

- Majestatyczny twór inżynierii. Niezwykle nowoczesne linie jak na pojazd skonstruowany prawie sześćdziesiąt cztery lata temu.

- Nie rozumiem tylko, po co zamontowali nowiusieńkie diesle z turbo doładowaniem po sześćset koni - powiedział Giordino.

- Oddałbym prawą rękę, by mieć go w swej kolekcji - rzekł z tęsknotą Pitt.

Loren popatrzyła na niego.

- To chyba pierwszy raz, kiedy nie przywiozłeś z wyprawy pamiątki na czterech kołach.

Pitt wzruszył ramionami.

- Należy do narodu.

Stali kilka minut, wpatrując się w Snow Cruisera. Pitt i Giordino wspominali dziką wycieczkę po Antarktydzie. Potem, jakby niechętnie, odeszli, oglądając pozostałe samochody, aż znów dotarli do głównego wejścia.

Sandecker popatrzył na zegarek.

- Cóż, chyba będę musiał iść.

- Jakaś randka? - spytał Giordino. Było ogólnie wiadomo, że od rozvodu wiele lat temu admirał Sandecker był jednym z najbardziej rozchwytywanych kawalerów w mieście. Bez żadnych zobowiązań zrećnie udawało mu się zadowalać swe przyjaciółki, nie denerwując ich ani nie odbierając im złudzeń.

- Jestem umówiony na kolację z senator Mary Conrow i nie nazwałbym tego randką.

- Stary lisie - powiedziała Loren. - Mary jest jedną z ważniejszych osób w komisji budżetowej. Zamierza pan spotkać się z nią w miłym otoczeniu, by namówić ją na głosowanie za zwiększeniem środków budżetowych dla Agencji...

- To się nazywa łączyć przyjemne z pożytecznym. - Cmoknął kobiety w policzki, ale nie uściśnął mężczyznom dłoni. Widywali się codziennie i traktował ich jak synów, ale nie widział powodu, by ostentacyjnie się z nimi kumplować.

- My też musimy iść - powiedziała Pat. Obiecaliśmy zabrać Megan na hamburgera i do kina.

- Co z kolacją u mnie w piątek? - spytała Loren, obejmując Pat.

- To zależy od ciebie, kochanie - powiedziała Pat do Giordina.

Giordino skinął głową.

- Loren robi zabójczą pieczeń z mielonego mięsa.

- Niech będzie pieczeń - zakończyła ze śmiechem Loren.

Słońce zbliżało się do horyzontu, rosnąc z niewielkiego złotego krążka w wielką, pomarańczową kulę. Pitt i Loren siedzieli na kanapie w mieszkaniu w hangarze Pitta przy szklaneczce srebrnej tequili Don Julio z lodem i słuchali muzyki. Loren opierała się o Pitta, nogi podwinęła pod siebie.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak kobiety to robią - powiedział między dwoma łykami tequili.

- Co?

- Siedzą na swoich nogach. Nigdy nie udałoby mi się zgiąć nóg tak bardzo, a gdybym na nich usiadł, natychmiast by mi zdrętwiały.

- Mężczyźni są jak psy, kobiety jak koty. Mamy elastyczniejsze stawy.

Pitt leniwie wyciągnął ręce i przeciągnął się.

- No to po niedzieli. Jutro wracam do badań, a ty do wygłaszania banalnych przemówień w Kongresie.

- W przyszłym roku kończy mi się kadencja. Nie zamierzam ponownie kandydować.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Słyszałem chyba, jak mówiłaś, że zamierzasz się zestarzeć w Kongresie.

- Zmieniłam zdanie. Kiedy zobaczyłam, jak szczęśliwi są Pat i Al, zrozumiałam, że zawsze chciałam mieć dzieci, więc postanowiłam znaleźć odpowiedniego kandydata i się ustatkować.

- Nie mogę uwierzyć.

Rzuciła mu sondujące spojrzenie.

- Nie chciałbyś się ze mną ożenić?

Chwilę potrwało, nim jej słowa dotarły do Pitta.

- Jeśli dobrze pamiętam, proponowałem ci małżeństwo na pustyni Sonora po aferze ze złotem Inków. I odmówiłaś.

- To było dawno temu.

- Nigdy więcej nie pytałem, ale skąd wiesz, czy o tym nie myślałem?

Patrzyła mu prosto w oczy, nie wiedząc, czy mówi poważnie, czy jedynie sobie z niej żartuje.

- I co, przestraszyłeś się?

- Sądzisz, że jesteśmy oboje w stanie zmienić nasz styl życia? - spytał bez ogródek. - W dalszym ciągu masz fotel w Kongresie i luksusowy dom w Aleksandrii. Ja mam mieszkanie i kolekcję samochodów w zardzewiałym hangarze, nad którym ciągle hałasują samoloty. Jak mielibyśmy się dogadać?

Objęła go i patrzyła oczami pełnymi miłości.

- Dość długo grałam niezależną indywidualistkę. Bardzo mi się to podobało, ale teraz czas spojrzeć na życie praktycznie. Są inne zadania, których chętnie bym się podjęła.

- Na przykład?

- Spytano mnie, czy nie chciałabym zostać dyrektorem Narodowej Fundacji Przeciwdziałania Wykorzystywaniu Dzieci.

- To by dotyczyło kariery, ale co ze stylem życia?

- Moglibyśmy mieszkać na zmianę - tydzień tu, tydzień u mnie.

- I to ma być praktyczne?

Nagle Loren zrobiła się nonszalancka.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. I tak spędzamy większość wolnego czasu razem.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Dobrze, ponieważ ładnie prosisz, rozpatrzę, czy się z tobą nie ożenić.

Odepchnęła go i udała, że się dąsa, choć doskonale wiedziała, że ją jedynie drażni.

- Z drugiej strony mogę się rozejrzeć - powiedziała. - Pewnie znajdzie się kilkuset mężczyzn, którzy mnie zaakceptują. Na pewno stać mnie na kogoś lepszego od „wspaniałego i niedostępnego Dirka Pitta”.

Pitt przycisnął ją mocno do siebie, popatrzył w fioletowe oczy i cicho powiedział:

- Po co tracić czas? Przecież to niemożliwe.

- Jesteś niepoprawny.

- W przyszłym roku dużo się może zdarzyć.

Objęła go za szyję.

- To prawda, ale sam przecież wiesz, że najprzyjemniej będzie, jeśli zdarzy się to, czego chcemy.

Postscriptum

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku archeologowie odkryli na jednej z wysp u wybrzeży Kalifornii prastare kości kobiety z Santa Rosa. Przez czterdzieści lat leżały w piwnicy muzeum w Santa Barbara, aż zespół naukowców przeprowadził skomplikowaną analizę DNA szkieletu oraz badania za pomocą węgla promieniotwórczego. Okazało się, że kości mają ponad trzynaście tysięcy lat, co oznacza, że dama jest najstarszym znalezionym w Ameryce Północnej szkieletem.

Za życia musiała widzieć lodowce wielkości Australii, mamuty i tygrysy szablozębne, a ponieważ poziom mórz był wtedy niższy o sto trzydzieści metrów, mogła przechodzić z wyspy na wyspę suchą stopą. Odkrycie podważyło tradycyjne teorie, według których pierwsi ludzie dotarli na kontynent amerykański przez ląd łączący Amerykę i Azję w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Cieśnina Beringa.

Tak zwany Duch-Jaskiniowiec, który żył dziewięć tysięcy czterysta lat temu w Nevadzie, ma profil czaszki sugerujący pochodzenie japońskie albo wschodnioazjatyckie. Znaleziona także w Nevadzie czaszka Człowieka z Plaży Czarownika przypomina zarówno czaszki nordyckie, jak i polinezyjskie. Inne czaszki, znalezione w Nebrasce i Minnesocie, wszystkie mające przynajmniej po osiem tysięcy lat, są podobne zarówno do czaszek europejskich, jak i południowoazjatyckich.

Nowe znaleziska sugerują, że pierwszymi osadnikami na kontynencie amerykańskim mogli być Polinezyjczycy i Azjaci, którzy zasiedlili zachodnie krańce obu kontynentów amerykańskich. Wybrzeża wschodnie natomiast zostały zamieszkałe przez Europejczyków, którzy przybyli na statkach w epoce lodowcowej, płynąc wzdłuż rozciągających się w poprzek północnego Atlantyku lodów oraz kierując się śladem migrujących na zachód ptaków.

Wiadomo, że ponad czterdzieści tysięcy lat temu ludzie pływali statkami między południową Azją a Australią, trudno więc twierdzić, że podróże morskie są wynalazkiem cywilizacji śródziemnomorskiej. Morza nęciły starożytnych marynarzy, którzy zbadali i odkryli znacznie więcej, niż się powszechnie uważa.

Podziękowania

Jestem bardzo wdzięczny majorowi w stanie spoczynku Joemu Andrzejewskiemu za istotne porady dotyczące Sił Specjalnych, na które nie żałował czasu ani wysiłku.

Dziękuję K. Ericowi Drexlerowi i Christine Person, niezrównanym specjalistom od nanotechnologii, za wprowadzenie w jej tajniki oraz Johnowi Stevensowi, który przeprowadził mnie przez labirynt kopalni Paradise. Dziękuję także pułkownikowi Howardowi A. Buechnerowi, Donaldowi Cyrowi, Grahamowi Hancockowi, Charlesowi Hapgoodowi i Platonowi, którego prace i myśli były dla mnie bezcenne, a także Paulowi Mollarowi za wypożyczenie jego niesamowitego Skycara.®